

MIKE CAREY

**BŁĘDNY
KRAJ**

Przełożyła Paulina Braiter

**Wydawnictwo MAG
Warszawa 2009**



Tytuł oryginału:

Vicious Circle

Copyright © 2008 by Mike Carey

Copyright for the Polish translation

© 2009 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:

Joanna Figlewska

Korekta:

Urszula Okrzeja

Ilustracja i opracowanie graficzne okładki:

Jarek Krawczyk

Projekt typograficzny, skład i łamanie:

Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-103-4

Wydanie I

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel. (22) 813-47-43, fax (22) 813-47-60

e-mail kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. (22) 721-30-00

www.olesiejuk.pl

Druk i oprawa:

drukarnia@dd-w.pl

*W porządku alfabetycznym, dla Bena, Daveya i Lou;
Chronologicznym, dla Lou, Daveya i Bena.
Zresztą nieważne, jak ich rozmieszczę,
Dzięki Bogu i tak tam nie zostaną.
Oby świat był dla nich dość dobry.*

PODZIĘKOWANIA

Ci sami ludzie co zwykle tym razem pomogli jeszcze bardziej. Darren, Meg, George, Gabby, Nick, Bella - ogromnie Wam dziękuję. Wielkie dzięki dla Ade, za pokazanie mi wielu kawałków Londynu, które ledwie znałem, i dostarczenie znacznej części ścieżki dźwiękowej tej książki. I, jak zawsze, dziękuję Lin, za to, że była przy mnie, gdy jej potrzebowałem, i zdołała utrzymać mnie na wytyczonym szlaku.

Spis treści:

1.....	6
2.....	19
3.....	44
4.....	68
5.....	85
6.....	103
7.....	119
8.....	142
9.....	155
10.....	166
11.....	186
12.....	209
13.....	228
14.....	242
15.....	258
16.....	267
17.....	283
18.....	305
19.....	318
20.....	335
21.....	346
22.....	361
23.....	375
24.....	382
25.....	389

1

Trociczka kadzidla żarzyła się pomarańczowym płomieniem i roztaczała wokół woń *cannabis sativa*. W południowej Afryce rośnie ona dziko: można wędrować polami roślin sięgających pasa, których pięciopalczaste liście pieszczą cię niczym maleńkie dłonie. Lecz w Londynie, gdzie mieszkam, zazwyczaj występuje pod postacią sprasowanych, czarnych bryłek miękkiej kruchej żywicy. Do tego czasu ulatnia się z niej większość magii.

Detektyw sierżant Gary Coldwood posłał mi głęboko nieprzychylnie spojrzenie spomiędzy smużek dymu, snujących się leniwie w przestronnym wnętrzu magazynu. Słodka woń rozpływała się w przejściach pełnych kwaśnego kurzu. Magazyn mieścił się przy Edgware Road, na zaniedbanych obrzeżach starej dzielnicy przemysłowej. Sądząc po powybijanych oknach na zewnątrz i rzędach pustych regałów w środku, stał opuszczony od kilku ładnych lat - lecz Coldwood zaprosił mnie, bym dołączył do niego i grupki umundurowanych przyjaciół, asystując przy legalnym przeszukaniu. Mogłem zatem śmiało założyć, że w tym przypadku pozory mylą.

- Skończyłeś już się opieprzać, Castor? - spytał z irytacją, wachlując odymioną twarz.

Nie wiem, czy przyszedł na świat z podobnym wyczuciem taktu i dyplomacji, czy też nauczył się go w szkole policyjnej.

- Prawie - odparłem. - Muszę jeszcze z tuzin razy zaintonować mantrę.

O Boże, wicie przecież, co jest grane - był sobotni wieczór, a ja miałem na głowie mnóstwo własnych cholernych spraw. Kiedy gliny dzwonią, odbieram, bo płacą od ręki, ale to nie znaczy, że muszę być zachwycony. A poza tym uważam, że jeśli trochę się przed nimi popopisuję, będą pod większym wrażeniem, kiedy zrobię co trzeba. „Słuchajcie, chłopcy” - mówię na swój własny, podstępny sposób. „To magia: musi nią być, mam tu przecież dymy i lusterka”. Jak dotąd Coldwood to jedyny

gliniarz, który połapał się w moich gierkach i pewnie dlatego tak dobrze się dogadujemy: szanuję gościa, który mimo kadzidla potrafi wywęszyć bajer.

Lecz dzisiejszego wieczoru był wyraźnie nie w sosie. Nie znalazł w magazynie trupa, co oznaczało, że nie wiedział, z czym ma do czynienia. Mogło to być morderstwo albo ich człowiek mógł po prostu uciec. A jeśli to morderstwo, to mogło stanowić albo cudowną okazję, albo też oznaczać wywalone w diabły pół roku potajemnej obserwacji. Pragnął zatem odpowiedzi i przez to okazywał znacznie mniejszą niż zwykle tolerancję mojemu wycuciu dramatyzmu.

Wymamrotałem parę wariacji *om manepadme om*, a on kopnął mnie mocno w obcas swym ciężkim, policyjnym buciorem. Siedziałem przed nim na podłodze z podciągniętymi kolanami, więc i tak mogło być gorzej.

- Powiedz po prostu, kiedy cokolwiek zobaczysz, Castor - zasugerował. - Potem będziesz mógł sobie nucić, ile dusza zapagnie.

Podniosłem się powoli, dość wolno, by Coldwood stracił cierpliwość i poszedł sprawdzić, czy chłopcy z kryminalistyki zdołali wycyckać jakiegokolwiek odciski ze sfatygowanego biurka w najdalszym kącie pomieszczenia. Zdecydowanie nie wyglądał na uszczęśliwionego: świadczył o tym sposób, w jaki jego kanciasta twarz - podobna do Dicka Traceya, gdyby Dick Tracey miał zrosnięte brwi i problemy z cerą - osiadła na dolną wargę, tak że wyraźnie się wysunęła. Mowa ciała również sporo zdradzała: za każdym razem, kiedy skończył wymachiwać i wskazywać ręką, co robi, zawsze wydając rozkazy, jego prawa dłoń opadała na dyskretną kaburę, którą nosił pod pachą skórzanej kurtki, jakby sprawdzając, czy broń wciąż tam jest. Coldwood od niedawna służył w oddziałach zbrojnych i widać było, że wciąż stanowi to dla niego nowość.

Leniwym krokiem ruszyłem przez magazyn w stronę drzwi, którymi przyszedłem, oddalając się od ekipy z laboratorium. Czulem na sobie ciekawskie spojrzenia dwóch czy trzech pospolitych policyjnych wyrobników, ściągniętych do pilnowania budynku. Coldwood zna moje sztuczki i bierze na nie poprawkę, ale dla tych gości byłem prawdziwym dziwowiskiem. Zajrzałem za szafki z aktami, ustawione pod ścianą po prawej stronie drzwi, postukałem w wiszącą za nimi korkową tablicę z warstwami zakurzonych starych rachunków, przypiętych do niej niczym brudne futro, i odwróciłem kalendarze z panienkami, przyglądając się kawałkom pomalowanych na szaro pustaków, które zasłaniały. Ku memu rozczarowaniu, niczego nie znalazłem. Żadnych ukrytych drzwi czy wbudowanych w ściany sejfów, a nawet żadnych starych graffiti.

Spuściłem wzrok na szary beton podłogi. Tuż obok tablicy i szafek ujrzałem sfatygowany prostokąt czerwonego linoleum w psychodeliczny, promienisty wzór, bardzo modny, chyba że leżał tu od lat siedemdziesiątych. Pod biurkiem zauważyłem kolejny kawałek z tej samej serii. Tu jednak w kurzu pozostały ślady: linoleum niedawno odsuwano. Eksperymentalnie uderzyłem obcasem i podłoga pod moimi stopami zadźwięczała głucho.

- Coldwood?! - zawołałem przez ramię.

Musiał usłyszeć coś w moim głosie - albo też dosłyszeć ów głuchy dźwięk - bo nagle znalazł się tuż za mną.

- Czego? - spytał podejrzliwie.

Pokazałem palcem linoleum.

- Coś tu jest - oznajmiłem. - Czy ten magazyn ma piwnice?

Oczy Coldwooda zwięzły się lekko.

- Według planów nie - mruknął. Wezwał gestem dwóch gliniarzy, którzy podbiegli do nas truchtem. - Podnieście to - polecił, wskazując linoleum.

Najpierw musieli przestawić szafki, a ponieważ wciąż pozostały w nich akta, wymagało to wysiłku. Mogłem pomóc, ale nie chciałem wdawać się w spory dotyczące demarkacji. Samo linoleum zwinęło się błyskawicznie jak kawał bibułki i Coldwood zaklął pod nosem na widok ukrytej pod nim kłapy. Najwyraźniej uważał, że jego chłopcy powinni zauważyć ją pierwsi.

Kłapa, licząca sobie około półtora metra kwadratowego, z trzech stron nawet odrobinę nie wystawała nad podłogę. Z czwartej ujrzałem zawiasy zagłębiające się jakiś centymetr w powierzchnię. Była to profesjonalna robota, świetnie spasowana, tak by w linoleum nie odcisnęły się żadne linie. Z lewej strony zobaczyłem dziurkę: miała kształt rombu bez rozszerzenia na dole, najpewniej zatem w grę wchodził zamek „Sargent & Greenleaf” - niełatwy orzech do zgryzienia.

Coldwood nawet nie zamierzał próbować: posłał dwóch mundurowych po łomy. Po licznych skomplikowanych manewrach, paru falstartach i eksplozji odłamków, gdy drewno pękło z trzaskiem, w końcu zdołali wyważyć zamek. Nawet wtedy jednak rygiel nie chciał się zgiąć. Zamek wystawał z kłapy pod kątem trzydziestu stopni, ze śrub w narożnikach wciąż sterczały połamane drzazgi: oto ranny wartownik, którego ominięto, miast pokonać. Teraz, kiedy ich chwila chwały minęła, mundurowi cofnęli się z szacunkiem, by sierżant mógł własnoręcznie otworzyć kłapę.

Tak też uczynił, sapiąc z wysiłku, bo okazało się, że drewno miało niemal trzy centymetry grubości.

Wewnątrz kryła się dziura, głęboka mniej więcej na trzydzieści centymetrów. Trzy pionowe kawałki sklejki dzieliły ją na cztery równe części. Trzy z nich wypełniały identyczne torebki z brązowego papieru, mniej więcej wielkości dwukilowych toreb z cukrem, dodatkowo owinięte w folię, czwarta była pełna czarnych pudełek z płytami DVD, a w kącie tkwiły dwa niewielkie wytłuszczone notatniki. Na okładce pierwszego widniały wypisane grubym czarnym markerem drukowane litery: dostawy. Nie widziałem, jak podpisano drugi.

Na skinienie głowy detektywa sierżanta chłopcy z laborki ostrożnie wyłowili jedną z toreb i oba notatniki, chwytając je dłońmi w cienkich rękawiczkach, i zanieśli na biurko. Wyglądali przy tym jak dzieci w wigilijny wieczór. Coldwood wciąż na mnie patrzył - spojrzenie to mówiło wyraźnie, że czas bajerów minął. Chciał usłyszeć całą historię.

Ale ja także. Nie prostytuuję swych zdolności dla każdego, zwłaszcza każdego obdarzonego stopniem i mundurem. Kiedy zatem wciąga się mnie w sytuację, o której głównie wiem, lubię zachować nieco rezerwy, dopóki nie stanę pewnie na nogach. Zamiast odpowiedzi rzuciłem mu pytanie.

- Czy wasz człowiek ma około metra osiemdziesięciu pięciu, jest dobrze zbudowany, rudy, ubrany w spodnie od Armaniego i jedną z tych pedalskich marynarek bez kołnierzyka, w brązowooliwkowym kolorze?

Coldwood wydał z siebie gardłowy dźwięk; to mógł być śmiech, gdyby śmiech należał do jego repertuaru.

- To on - rzekł. - A teraz przestań odgrywać Madame Magię i powiedz mi, gdzie jest.

- Najpierw ty powiedz mi, kim jest - odparowałem.

- Kurwa mać! Castor, jesteś cywilnym doradcą, robisz to, za co ci płacą, jasne? Nie będziesz zaglądał do moich podzielonych notatek!

Czekałem.

Już po raz piąty czy szósty miałem do czynienia z DS Coldwoodem i wytworzyliśmy sobie własną rutynę. Lecz jak mówiłem, w tym momencie nie był w najlepszym nastroju - stąd próba doprowadzenia mnie do wody i wepchnięcia do niej mojej głowy.

- Mógłbym cię aresztować za zatajenie dowodów i utrudnianie śledztwa - zauważył z mroczną miną.

- Mógłbyś - zgodziłem się. - I życzę szczęścia w dowiedzeniu tego.

Zapadła krótka cisza, Coldwood wypuścił ze świstem powietrze.

- Nazywa się Leslie Sheehan - oznajmił beznamiętnym tonem i z obojętną miną. - Handluje wszelkimi prochami, jakie wpadną mu w łapy, i ostrym porno na boku, to coś w rodzaju hobby. Pewnie to właśnie znajdziemy na płytach. Jest jakieś dwa stopnie nad zwykłymi mrówkami i ulicznymi dealerami i kompletnie nic nie znaczy. Ale podlega gościowi nazwiskiem Robin Pauley, którego bardzo chcielibyśmy dorwać. Przez ostatnie pół roku obserwowaliśmy Sheehana i zbieraliśmy przeciw niemu dowody, bo sądzymy, że zdołamy go przekabacić. Jakies dziesięć lat temu sypnął, żeby oczyścić się z zarzutu współudziału w zabójstwie. Kiedy już raz się udało, zazwyczaj mamy lepszy punkt zaczepienia. Tyle że teraz zniknął i obawiamy się, że Pauley mógł wywęszyć, co się święci.

- Tak czy inaczej, Sheehan już nic nie powie - odparłem ze spokojną, absolutną pewnością.

Coldwood spojrział na mnie z irytacją.

- Castor, nie masz kwalifikacji, by wypowiadać się w tej... - warknął. I nagle zrozumiał. - Och - mruknął. Sekundę później dodał z goryczą: - Kurwa!

Chciał powiedzieć coś jeszcze, pewnie z równym zaangażowaniem, gdy jeden ze szczurów laboratoryjnych zawołał do niego:

- Sierżancie?!

Obrócił się szybko, beznamiętnie. Zawsze załatwiał bieżące sprawy, wyobraźnię trzymaj na wodzy, tak samo jak broń. Porządne policyjne podejście.

- To heroina - oznajmił sztywnym oficjalnym tonem jeden z techników. - Praktycznie bez domieszek, czysta w około dziewięćdziesięciu pięciu, dziewięćdziesięciu sześciu procentach.

Coldwood przytaknął, po czym zwrócił się do mnie.

- Zakładam zatem, że Sheehan gdzieś tu jest? - spytał dla zachowania pozorów.

Skinąłem głową, ale uznałem, że muszę to wyjaśnić, żeby nie żywił nadziei.

- Jego duch jest tutaj - oznajmiłem. - To nie oznacza, że ciało też tu znajdziecie. Mówiłem ci już wcześniej, jak to działa.

- Muszę go zobaczyć - powiedział Coldwood.

Znów skinąłem głową. Oczywiście.

Wsunąłem dłoń za pazuchę szynela i wyciągnąłem swój flet. Zwykle był to model „Clarkes Original” w tonacji D, ale pewne ekscytujące wydarzenia na łodzi parę miesięcy wcześniej pozostawiły mnie na jakiś czas bez instrumentu. Wzmiankowaną łodzią był smukły, niewielki jacht ochrzczony „Mercedes”. Jeśli jednak myślicie o regatach w Henley, to grubo się mylicie: do wydarzeń zdecydowanie bardziej pasowałby wrak „Hesperusa”. Czy może „Latający Holender”. W każdym razie w wyniku owej drobnej eskapady kupiłem „Sweetone”, jadowicie zielony model, który stał się obecnie moim nowym domyślnym instrumentem. Nie wydawał mi się równie gotowy i sprawny w mej dłoni, reagował wolniej niż stary „Original” i wyglądał dość kretyńsko, ale wszystko się układało. Spędzimy jeszcze rok razem, a staniemy się nierozłączni.

Uniosłem flet do ust i zagrałem GAC, próbując się dostroić. Czuję na sobie spojrzenia wszystkich obecnych; oczy Coldwooda nie miały wyrazu, w większości pozostałych jaśniało niewinne zaniepokojenie, lecz jeden z mundurowych zdecydowanie sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

Problem z tym, co zamierzałem zrobić, jest prosty: nie zawsze się udaje. W najlepszym razie szanse są pół na pół. Światopogląd racjonalistyczny często nie pozwala ludziom zobaczyć czy usłyszeć niczego, co mogłoby mu zaprzeczyć - na przykład syren, latających świń czy duchów. Ogólnie rzecz biorąc, dwóch ludzi na trzech może zobaczyć przynajmniej część umarłych, lecz nawet to zależy w znacznym stopniu od nastroju i sytuacji; a w pewnych zawodach szanse spadają w okolice zera. Policjanci i naukowcy lokują się w najniższych strefach tabeli.

Nie miałem pojęcia, co zagram, dopóki nie zabrzmiały pierwsze nuty. Nie mogło to być nic wielkiego: zaledwie szkielec melodii, atonalna sekwencja, kryjąca w sobie ogólny zarys regularności. Po chwili okazała się numerem Micaha Hinsona: „Dzień, w którym Teksas zatonął w morzu”. Oglądałem występ Hinsona w jakiejś knajpce w Hammersmith i jego śpiewny, ochrypły głos i śmiała, nieunikniona powtarzalność tekstów wywarły na mnie spore wrażenie. Lecz nawet bez tego wszystkiego polubiłem piosenkę za sam jej tytuł.

Z początku nic się nie działo. Ale też z mojego punktu widzenia nic nie miało się wydarzyć. Miałem nadzieję, że z miejsca, w którym stał Coldwood, wygląda to inaczej. Nim dotarłem do drugiego refrenu, usłyszałem sapnięcie jednego z kryminalistyków, stojących przy biurku. Świetnie. Potem drugi krzyknął głośno, pokazał ręką i pojąłem, że głośna, jękliwa melodyjka zadziałała.

Policjanci pokazywali rękami mężczyznę stojącego na niczym, dokładnie pośrodku ukrytej pod klapą studni. Zawsze tam był; ja sam widziałem go od chwili, gdy przekroczyłem próg magazynu, ale chłopcy Coldwooda przechodzili obok niego, a czasem przez niego, i nie czuli nawet najslabszego dreszczu, ani ochoty odmówienia Zdrowaś Mario. Uznałem zatem, że mogę bezpiecznie przyjąć, iż tylko ja go widzę.

Ale muzyka wszystko zmieniała. Melodia ta - przynajmniej w tym miejscu i czasie, odgrywana w takim, a nie innym tempie i tak dalej - stanowiła dla mnie opis ducha. To mój talent: nie tylko widzę zmarłych, ale postrzegam ich dodatkowym zmysłem w dziewięciu dziesiątych opartym na słyszeniu, a w jednej dziesiątej na czymś, co mogę tylko nazwać „czymś innym”. Potrafię uchwycić esencję ducha w muzyce. A gdy go schwytam, mogę też robić inne rzeczy. Jedną z nich - co odkryłem niedawno w bardzo widowiskowych okolicznościach - było sprawianie, by inni też go zobaczyli.

Teraz zatem muzyka przenosiła nieboszczyka na orbitę percepcyjną Coldwooda i jego gliniarzy - co oznaczało, że ujrzeli, jak duch Sheehana materializuje się z przysłowiowego niczego. Mundurowi gapili się oszołomieni, a goście w białych fartuchach zjeżyli się wyraźnie i spięli na widok pojawiającego się przed oczami ucieleśnienia przesądów i czucia. Coldwood podszedł do sprawy bardziej pragmatycznie: podszedł do ducha i zaczął go oglądać. Zjawa patrzyła na niego pełnymi smutku, przerażonymi oczami.

Leslie Sheehan wyraźnie nie żył dopiero od niedawna i jeszcze nie przywykł do tej myśli. Przybył tu, ponieważ „tutaj” mocno z czymś mu się kojarzyło, a może po prostu tu właśnie umarł, lecz tak czy inaczej wyglądało na to, że materializacja to chwilowo górna granica jego możliwości. Nie mógł z powrotem włączyć się w życie, bo jego widmowe ciało nie było w stanie podnosić, przesuwać ani dotykać jakichkolwiek obiektów fizycznych. A co więcej, nie do końca słuchało poleceń widmowego umysłu. Niektóre duchy tkwią na ziemi uwięzione, nieustannie odtwarzając chwile swojej śmierci; inne po prostu stoją, tak jak teraz Sheehan, zagubione i przerażone - porażone niemożliwą do uniknięcia realnością własnej śmiertelności. Na jakimś poziomie był świadom naszej obecności i podązał wzrokiem za Coldwoodem, który przykucnął, by przyjrzeć się bliżej jakiemuś interesującemu szczegółowi. Wyglądało to jednak tak, jakby Sheehan zamarł w tym miejscu: nie mógł podjąć decyzji ani przywołać pragnienia, by się poruszyć.

Coldwood wskazał ślad po zadzierzgnięciu na nagim przedramieniu Sheehana.

- Dawał sobie w żyłę - oznajmił z niezadowoleniem. - Widocznie sukinsyn przedawkował. Musiał se, kurwa, wybrać akurat ten moment?

- Z początku też tak myślałem - zgodziłem się. - Ale jeśli popatrzysz od tyłu, pewnie nieco skorygujesz diagnozę.

Coldwood obdarzył mnie kolejnym wyrazistym spojrzeniem, wstał jednak i okrążył żalosną postać, po czym zapatrzył się ze zdumieniem na tył głowy Sheehana - czy też, ściślej biorąc, miejsce, w którym powinien on być. Większa część bowiem zniknęła. Cień Lesliego Sheehana przestał interesować się sierżantem, gdy tylko ten zniknął mu z oczu: uniósł dłonie, patrząc na nie przez chwilę, a potem zmarszczył brwi i rozejrzał się, jakby próbował sobie przypomnieć, gdzie zostawił kluczyki od wozu.

- Ty jesteś ekspertem - dodałem. - Zgaduję jednak, że to rana wylotowa; ktoś przyłożył mu spluwę do skroni tuż przed uchem. Gdyby strzelono z tyłu, zapewne nie miałby większe części twarzy.

- To nie była spluwa - wymamrotał Coldwood - tylko sprężynowy pistolet do zabijania bydła. - Wskazał palcem. - Cała lewa część czaszki zapadła się, większość kości pozostała w ranie. Rozpędzony pocisk nie zostawia takich śla... Hej, jeśli puścisz tu pawia, będziesz miał dyscyplinarkę!

Ostatnie słowa skierował nie do mnie, lecz pod adresem mundurowego, który już wcześniej wyglądał mocno niepewnie. Z miejsca, w którym stał, biedak miał świetny widok na część najbardziej prywatnych narządów Sheehana - tych, które niegdyś mieściły się w czaszce. Widok ów wyraźnie mu nie służył. Po szybkim skinieniu głowy Coldwooda pobiegł do drzwi.

Coldwood odwrócił się do mnie.

- Gdzie jest ciało? - spytał. - Prawdziwe, fizyczne ciało. Gdzie je znajdziemy?

- Nie mam najbliższego pojęcia - odparłem szczerze. - Jeśli chcesz, mogę go spytać. Ale równie dobrze mógłbyś to zrobić sam. On cię widzi. Widział cię nawet wtedy, gdy ty nie widziałeś jego.

- Ale to ty jesteś ekspertem - odparował z nieudolnym sarkazmem.

- Bycie egzorcystą to niedokładnie to samo co bycie detektywem - odparowałem beznamiętnie. - Nie mam odznaki, którą mógłbym mu machnąć przed nosem, a strasznie trudno porządnie skopać gościa, który już nie żyje. Spróbuję jednak, jeżeli zostawisz mnie z nim samego. Nie zrobię tego na oczach całej waszej bandy.

Coldwood długą chwilę przetrawiał moje słowa.

- Dobra - rzucił w końcu, podtykając mi pod nos pale w ostrzegawczym geście. - Ale tknij tylko dowody, a wypruję ci flaki, Castor. Zrozumiano?

- Nie potrzebuję prochów - odparłem - Mój odlot to śmierć.

Coldwood wymamrotał pod nosem coś wyjątkowo obelżywego i dał sygnał swojej ekipie, która wycofała się szybko. Po ich odejściu zrobiło się miło i cicho, i postanowiłem smakować nowy nastrój przez parę minut, nim zaczepię pana Sheehana. Wsunąłem flet do specjalnie wszytej kieszeni w podszewce płaszcza - preferuję wojskowe, rosyjskie szynele, bo potrafią ukryć mnóstwo grzechów - i w innej kieszeni znalazłem srebrną piersiówkę, pełną ostrej, greckiej brandy. Pociągnąłem łyk, który rozgorzał w mym wnętrzu niczym pożar w opuszczonym budynku. To kiepski trunek. Naprawdę kiepski. Ale w podobnych chwilach pozwala mi przekroczyć przepaść i działać dalej.

Przepłukując usta drugim łykiem, raz jeszcze przyjrzałem się kalendarzom. Zwykle softki z pisemek dla facetów: Abbie jak jej tam, Suzi z innej parafii. Coldwood jednak wspominał, że Sheehan miał nieco bardziej perwersyjny gust. Cóż, jedno jest pewne, teraz odrzucił już rozkosze ciała. Po dziesięciu latach tej pracy wciąż niewiele wiem o zaświatach, jestem jednak gotów sporo postawić na to, że zmarli raczej rzadko mogą sobie ulżyć.

Nie było sensu dłużej tego przeciągać: pamięć Sheehana była teraz zapewne równie szczątkowa, jak to co zostało z jego głowy. Z pewnością zapomniał już zatem o wesołej gromadce Coldwooda. Schowałem piersiówkę i podszedłem do miejsca, gdzie stał duch - zaledwie kilkanaście centymetrów dzieliło jego stopy od brązowych, papierowych torebek. Zawisł mniej więcej tam, gdzie wcześniej była podłoga. Podobnie jak terapia, śmierć ujawnia nasze najgłębsze instynkty: Sheehan strzegł swojej kryjówki.

- A zatem - zacząłem lekko - nie żyjesz. Jak się z tym czujesz?

Przemknął po mnie wzrokiem, przez chwilę patrzył, a potem uciekł w bok. Trudno mu było się skupić. Właściwie nic dziwnego.

- To musiał być wstrząs - podsunąłem. - W jednej chwili drepcesz sobie bez żadnych trosk, w następnej jakiś gość łapie cię za kark, wciąga w boczną uliczkę i łubudu: nagle słońce świeci ci w oczy z tyłu głowy.

Sheehan zmarszczył brwi i machnął lekko prawą ręką. Jego wargi się poruszyły.

- Trzeba nieco czasu, by zrozumieć, co cię spotkało - podjąłem współczująco. - Myślisz sobie: no cóż, było kiepsko, ale dzięki Bogu wciąż tu jestem. A potem godziny mijają i pojawiają się wątpliwości. Czemu właściwie ciągle tu stoję? Jak w ogóle się tu znalazłem? Co mam teraz robić? Prawda jest taka, bracie, że nic. Nie teraz. Robienie czegoś to luksus przynależny żywym. Umarli - oni zazwyczaj jedynie obserwują.

Oczy Sheehana się rozszerzyły. Nie wiedziałem, czy moje słowa docierają do niego, czy też w tym, co obecnie służyło mu za umysł pojawił się cień wspomnienia. Jego ręce znów drgnęły; tym razem, gdy przemówił, usłyszałem szept, suchy niczym szmer wiatru w trawie.

- Po... po... - wyszeptał z nieszczęśliwą miną.

Umarli często użalają się nad sobą i w gruncie rzeczy trudno ich za to winić. Ich perspektywy nie są zbyt zachwycające. Nawet niebo, jeśli uznać to, w co wierzy większość, to stan jedności z Bogiem i nieustannego wychwalania jego wspaniałości. Po paru godzinach musi się tam robić potwornie nudno, a co dopiero mówić o wieczności. Z drugiej strony, ten gość handlował prochami i pornografią i chuj wie czym jeszcze: nie zamierzałem marnować na niego współczucia, bo nigdy nie wiadomo, kiedy jego zasoby się wyczerpią.

- Tak - mruknąłem - już po wszystkim i to gówniana sprawa. Jakiś drań nieźle cię załatwił, Sheehan. Niemal warto uwierzyć w piekło, byle tylko móc sobie wyobrazić, jak się za to smaży.

- Po... po... po...

- Już to mówiłeś. Zgoda.

- Pauley! - wyszeptał.

- Pauley. - Odwróciłem się do niego plecami, by jak najmniej go rozpraszać, bo lada moment znów mógł się zdekoncentrować. - Czyli to Pauley cię załatwił? To ci dopiero przyjaciel. Bolało czy stało się tak szybko, że nic nie zauważyłeś?

Długa cisza, a potem ochrypły, niemal bezgłośny szept:

- B-b-bolało. Bolało mnie.

- A gdzie się to stało, u ciebie? - spytałem tonem tak nieustępliwie neutralnym, że musiałem sprawiać wrażenie śmiertelnie znudzonego całą tą rozmową. - Puk, puk do drzwi, łup i nie żyjesz, tak? Czy byłeś gdzieś na mieście?

Zapadła bardzo długa cisza. Pozwalałem jej trwać. Brzmiała jak cisza, na końcu której czeka skarb.

- Brząz - wyszeptał Sheehan. - Brząz - jęknął, rozciągając dźwięk i przechodząc w westchnienie - jęk pozbawiony niższych tonów, bo zmarli zwykle mają z nimi poważne kłopoty. - Bury.

Tym razem cisza brzmiała inaczej. Kiedy się obróciłem, wiedziałem co zobaczę: Sheehan zniknął. Jego postać fizyczna się rozplynęła, wyczerpana, pozostawiając losowe drobinki w powietrzu: nie materię, nie energię, nic, co moglibyśmy oddzielić bądź zmierzyć. Wróci tu; nie ma przecież dokąd pójść. Ale nieprędko.

Ruszyłem do drzwi i wyszedłem na wąską wstążkę asfaltu, oddzielającą magazyn od ulicy. Parkowały tam jedynie odliczana od podatku primera Coldwooda i trzy zwykłe świniowozy. Coldwood stał sam z boku; rozmawiał przez komórkę. Mundurowi i chłopcy z techniki tworzyli dwie odrębne grupki, reagujące atawistycznie na swoje feromony. Z północy wiał ostry wiatr, przynajmniej przestało padać. Słońce zachodziło za brutalnymi wieżowcami Colindeep Lane, a z nieba za nim nadciągała skłębiona masa stalowoszarych chmur, niczym woda spływająca do ścieku.

Coldwood skończył rozmawiać, schował telefon i podszedł do mnie.

- Masz coś? - spytał tonem człowieka, który oczekuje tak mało, że nic go nie zawiedzie.

- Wymienił Pauleya - odparłem. Brwi Coldwooda powędrowały wysoko. - Przynajmniej tak mi się zdaje. A gdy spytałem, gdzie zginął, powiedział „brząz”. A potem „bury”.

- Brondesbury - przetłumaczył Coldwood. - Części Samochodowe Brondesbury. Chryste, to byłby prawdziwy pocałunek Boga. Jeśli ciało wciąż tam jest... - Ruszył szybkim krokiem w stronę wozu, jednocześnie wybierając numer. Mundurowi podążyli za nim luzacko wzrokiem, co jest typowe dla chłopców z glinowa. Lecz Coldwood znów zaczął rozmawiać przez telefon. - Warsztat - warczał do mikrofonu. - Ten w Brondesbury Park. Zbierajcie się tam. Już. Tak. Tak, załatwcie nakaz. Ale nie czekajcie. Otoczcie to miejsce i nie wpuszczajcie ani nie wypuszczajcie nikogo.

- Zakładam, że to dobre wieści - powiedziałem do pleców Coldwooda, który szarpnięciem otworzył drzwiczki.

Siadając za kierownicą, zaszczyił mnie milisekundowym spojrzeniem.

- Warsztat jest na nazwisko Pauleya. - Uśmiechnął się paskudnie. - Mamy już prawdopodobny motyw. Jeśli zdołamy załatwić nakaz i jeśli ciało wciąż tam jest, możemy przeszukać wszystkie jego firmy i naprawdę zacząć działać. - Jego wzrok przeskoczył ode mnie na konstabla stojącego za moimi plecami, tego samego, który

wcześniej musiał wybiec na dwór. - MacKay, zapisz zeznania Castora i prześlij je faksem do DC Tennanta na Look Street.

Szyba samochodu już się podnosiła, pozbawiając jakąkolwiek odpowiedź sensu. A potem Coldwood dodał gazu i zniknął przy akompaniamencie jęku torturowanej gumy.

Zapisanie moich zeznań było jak drugi policzek, ale trudno odmówić podobnemu zaproszeniu. Opisałem dokładnie wydarzenia wieczoru, a konstabl MacKay zapisywał je starannie słowo po słowie, łącznie z tym, co powiedział mi duch Sheehana, gdy go przesłuchałem w oficjalnej roli duchołapa. Albo MacKay chciał zatrzeć wcześniejsze wrażenie braku profesjonalnej zimnej krwi, albo po prostu był bardzo powolny: w każdym razie, przesłuchiwał mnie z tak niewiarygodną dokładnością i w tak żółwym tempie, że zatłuczenie na śmierć notatnikiem sąd zapewne uznałby za usprawiedliwione. W dodatku pisał powoli i wymagał wielokrotnych powtórzeń nawet najkrótszych zdań. W efekcie uznałem, że świetnie się nadaje na oficera.

Nie brakowało mu jednak zdolności obserwacyjnych: po jakimś czasie zauważył, że wiercę się na krześle i że kiedy po raz trzeci czy czwarty powtarzam ten sam drobny szczegół, na przykład, gdzie stałem, gdy mówiłem x bądź y, w moim głosie pojawia się ton zniecierpliwienia.

- Jest pan gdzieś umówiony? - zapytał.

- Tak - odparłem. - Właśnie tak.

- Tak, jasne. Gorąca sztuka, co?

Obdarzył mnie lubieżnie sugestywnym uśmiechem, który gliniarze i wojskowi dostają razem z pierwszym przydziałowym mundurem.

Ja jednak nie byłem w nastroju.

- To facet - odparłem. - Opętany przez demona psychopata, którego temperatura zazwyczaj jest co najmniej osiem stopni wyższa niż przeciętne trzydzieści sześć i sześć. Więc owszem, myślę, że można bezpiecznie nazwać go gorącą sztuką.

MacKay odłożył notes, zmierzył mnie wzrokiem pełnym podejrzliwości: poczuł powiew czegoś przelatującego mu nad głową i wcale mu się to nie spodobało.

- Chyba w tej chwili niczego więcej od pana nie potrzebujemy - oświadczył surowo. - Sierżant zapewne odezwie się później, więc proszę pozostać w kontakcie.

- Nie ma sprawy - odparłem. - Połączę się z nim na płaszczyźnie astralnej.

- He? - Podejrzliwość zmieniła się w szczerzy niepokój.

- Nieważne - mruknąłem przez ramię już w drzwiach.

To nie wina MacKaya, że mój sobotni wieczór poszedł się jebać. Mogłem winić wyłącznie siebie, co w moim doświadczeniu nie stanowi jednak najmniejszej pociechy.

Weekend powinien być czasem, gdy odpoczywamy po stresach tygodnia i doładowujemy akumulatory, szykując się na kolejne zmagania. Ale nie dla mnie, nie tego wieczoru. W porównaniu z miejscem, do którego się wybierałem, ta zapomniana przez Boga dziura wyglądała ciepło i przytulnie.

2

W razie potrzeby umiem prowadzić, ale i tak nie mam samochodu. W Londynie posiadanie samochodu w niczym nie pomaga, chyba nie lubimy siedzieć i grzać się na słońku w korkach na obwodnicy. Toteż dotarcie do celu wymagało długiej jazdy metrem: do miasta jednym odgałęzieniem Linii Północnej, z powrotem drugim.

Londyn znajdował się w strefie zmierzchu, pomiędzy sobotnim popołudniem a wieczorem, gromadki kibiców już zniknęły, niczym złoto wrózek, a było jeszcze za wcześnie na stada klubowiczów i miłośników teatru. Przez większość trasy siedziałem, choć w wagonie unosiła się zbląkana smuga woni zjełczałego tłuszczu - ktoś potajemnie wsuwał big maca.

Gość obok mnie czytał „Guardiana”, toteż ja także czytałem go w serii szybkich spojrzeń przez jego ramię, gdy przewracał kolejne kartki. Torysi mieli właśnie ukrzyżować swego najnowszego przywódcę, co stanowiło mój ulubiony krwawy sport; minister spraw wewnętrznych zaprzeczał spekulacjom dotyczącym nadużycia uprawnień służbowych, jednocześnie odmawiając zniesienia klauzuli tajności, niepozwalającej mediom opisać dokładnie o co chodziło; a Ustawa o Prawach Pośmiertnych wracała do Izby Gmin na - jak sądzono - burzliwe trzecie czytanie.

Oczywiście nie tak ją nazywali. Z tego co pamiętam, prawdziwy projekt ustawy parlamentarnej nosił nazwę Ustawy o Redefinicji Statusu Prawnego w Przypadkach Nietypowych, lecz tabloidy wymyśliły najróżniejsze skróty i Ustawa o Prawach Pośmiertnych się przyjęła. Osobiście zazwyczaj myślałem o niej jako o ustawie „żywy, dopóki nie dowiodą inaczej”.

Ogólnie rzecz biorąc, rząd próbował klasycznego manewru Munnhausena: zmienić prawo, nie zmieniając prawa - chciał dorzucić ukradkiem fundamentalne post scriptum do wszystkich istniejących kodeksów. Nie chodziło o to, jak działa prawo, raczej o to, kogo dotyczy. Prawodawcy chcieli zapewnić zmarłym choćby częściową ochronę prawną - i tu zaczynała się zabawa, która mogła zapewnić

dostatnie życie milionom prawników aż do dnia Sądu Ostatecznego. Bo w dzisiejszych czasach istniało więcej różnych rodzajów umarłych i nieumarłych niż ryb w oceanie albo reality show w telewizji. Gdzie postawić granice? Jak wielkiej fizycznej manifestacji trzeba, by uznać kogoś za produktywnego obywatela?

W izbach Gmin i Lordów doszło do zacieklej dyskusji na wszystkie te tematy i wtajemniczeni twierdzili, że ustawa może nie przejść w głosowaniu ogólnym. Lecz nawet jeśli, wyglądało na to, że to tylko kwestia czasu: wcześniej czy później będziemy musieli niechętnie pogodzić się z faktem, że nasze dawne definicje życia i śmierci do niczego się już nie nadają, a ludzie, którzy odmawiają przyjęcia do wiadomości tego, że ich serce przestało bić, a doczesne szczątki spoczęły dwa metry pod ziemią, nadal wymagają co najmniej minimalnej ochrony prawnej.

Dla mnóstwa ludzi w moim zawodzie oznaczało to wyjątkowo złe wieści.

Przypuszczam, że zmarli zawsze nam towarzyszyli, ale przez długi czas robili to dość dyskretnie. Albo może nie aż tak wielu decydowało się wrócić.

W moich najwcześniejszych wspomnieniach nie ma rozróżnienia: niektórzy ludzie mieli kolana, na których można usiąść, ręce, które można uścisnąć, przez innych przelatywało się na wylot.

Rozpoznawałem ich jedynie metodą prób i błędów, a później nauczyłem się o tym nie wspominać, bo dorośli nie zawsze widzieli czy słyszeli milczącą kobietę przy zamrażarkach u Sainsbury'ego, ponurego chłopaka stojącego na środku drogi i niepomnego na przejeżdżające przez niego na wylot samochody, oszalałego, przeklinającego bezdomnego, przenikającego przez ścianę salonu.

W gruncie rzeczy nie było to brzemień, coś bardziej oszalamiającego niż traumatycznego. O tym, że duchy mają być straszne, dowiedziałem się, gdy usłyszałem inne dzieciaki opowiadające historie o nich. O ile dobrze pamiętam, zareagowałem następująco: „Ach, więc to tak się nazywają!”.

Pierwszym duchem, który naprawdę mną wstrząsnął, była moja siostra Katie, a to dlatego, że znałem ją, kiedy jeszcze żyła. Byłem nawet w domu, kiedy tato przyniósł jej strzaskane ciało, szlochając i odpychając ręce osób próbujących mu pomóc. Skakała na skakance na teoretycznym deptaku, ulicy zamkniętej dla ruchu (od ósmej rano do zachodu słońca, oprócz pojazdów uprzywilejowanych). Furgonetka

dostawcza, jadąca stanowczo zbyt szybko w wąskiej uliczce, uderzyła w nią w rozpędzie i wyrzuciła jakieś trzy metry w powietrze. Z tego, co dało się stwierdzić, Katie zginęła na miejscu. Furgonetka tymczasem pojechała dalej. Po wszystkim tato spędził mnóstwo czasu, krążąc po domach w sąsiedztwie i wypytując ludzi, czy widzieli, do jakiej firmy należała: miał nadzieję zidentyfikować kierowcę i dopaść go, nim zrobi to policja. Na szczęście dla nich obu uzyskał całą gamę odpowiedzi - Kuchnia Mamy, Ciasteczka Jacoba, Spółka Produkcji Opakowań Metalowych - i w końcu musiał zrezygnować.

Miałem wtedy sześć lat. W tym wieku człowiek tak naprawdę nie oplakuje zmarłych, jedynie siedzi w kącie, próbując zrozumieć, co się właściwie dzieje. W pewnym sensie dotarło do mnie, że Katie nie żyje, ale nie do końca jeszcze rozumiałem, czym jest śmierć: był to stan przejściowy, przemiana, lecz informacje, jaka jest trwała i co po niej następuje, zmieniały się, w zależności od tego, kogo pytałem.

Jedno jednak było pewne: Katie nie trafiła do nieba przed oblicze Boga.

W dniu, gdy ją pogrzebaliśmy, pięć minut po północy weszła do mojej sypialni i próbowała położyć się obok mnie w łóżku - zwykle tam właśnie spała, bo nasza trójka miała do dyspozycji tylko jeden pokój i dwa łóżka. Bardzo nie spodobał mi się widok szerokiej, krwawej szramy na jej czole, zmiążdżonego ramienia, naszpikowanego żwirem boku. Jej z kolei nie spodobały się moje krzyki. A potem wszystko potoczyło się jeszcze gorzej.

Na tym etapie mama i tato kompletnie się rozkleili, toteż nie zostało im zbyt wiele współczucia dla mnie. Zabrali mnie do lekarza, który oświadczył, że nocne koszmary po traumatycznych przeżyciach to coś zupełnie naturalnego - zwłaszcza jeśli chodzi o utratę rodzeństwa - i zapisał duże dawki słodkiego zapomnienia. Potem zaś zostawili mnie samemu sobie.

I tak właśnie dowiedziałem się, że jestem egzorcystą. Po dwóch tygodniach conocnych wizyt Katie usiłowałem ją przepłoszyć, stosując wszelkie dostępne sześciolatkom obrzydliwe i obraźliwe zachowania. Katie jedynie patrzyła bez słowa. Ale gdy zaśpiewałem „Rozpalcie ognisko, rozpalcie ognisko i wrzucie siostrę w płomienie”, pokorny mały duch jęknął cicho i zaczął migotać, niczym dogorywająca żarówka.

Widząc, że w końcu udało mi się coś osiągnąć, przerobiłem cały swój niewielki repertuar piosenek. Katie próbowała coś mówić, ale nie słyszałem jej słów,

zagłuszonych moim własnym donośnym nuceniem. Kiedy w końcu zjawili się doprowadzeni do ostateczności rodzice, zniknęła.

Zniknęła, a ja świętowałem. Moje łóżko znów należało do mnie. Byłem silniejszy od śmierci i wiedziałem, że czymkolwiek się okaże, dysponuję pałką, którą zawsze mogę ją pokonać: muzyką. Zafascynowała mnie mechanika całego zjawiska: metodą prób i błędów odkryłem, że gwizdanie jest lepsze niż śpiewanie, a granie na flecie bądź piszczałce działa najlepiej.

U każdego z nas wygląda to inaczej. Jeśli chodzi o mnie, kluczem jest muzyka.

Minęły lata, nim znów powróciłem myślami do nieśmiałej, chudej dziewczynki, która z kompletnie niewytłumaczalnych powodów zbierała gumki, owijając nimi paperek, aż w końcu stworzyły wielką, ciężką kulę, i częstowała mnie drugim śniadaniem, kiedy wymieniłem moje własne chrupki i kanapki na karty z gumy do żucia z obrazkami ze *Strefy zmroku*. Minęły lata, nim w końcu zadałem sobie pytanie, dokąd poszła, kiedy ją przepędziłem.

Dorosłem. Podobnie mój starszy brat, Matthew. Zawsze niewiele nas łączyło i dorastając, wybraliśmy zupełnie różne drogi. On prosto ze szkoły wstąpił do seminarium katolickiego w Upholland - tego samego, w którym uczył się Johnny Vegas. Tyle że Matthew wytrwał w powołaniu, a Vegas rzucił wszystko i z księdza został komikiem. Z drugiej strony Matthew miałby spore problemy z odniesieniem sukcesu w tym zawodzie, bo dysponował poczuciem humoru tak niedorozwiniętym, że wciąż jeszcze uważał za śmieszne stare skecze radiowe.

Poszedłem do Oxfordu studiować anglistykę, ale na drugim roku rzuciłem studia i pokrętne koleje losu doprowadziły mnie w końcu do egzorcyzmów. Przez sześć czy siedem lat zarabiałem na życie, robiąc z innymi duchami za pieniądze to, co uczyniłem z Katie wiedziony czystym, nieskalanym instynktem samozachowawczym.

W owym czasie pojawił się wielki popyt na egzorcystów. Kiedy stare tysiąclecie z trzaskiem, łomotem i hurgotem zmierzało ku stacji końcowej, na świecie coś się stało. Coraz więcej martwych budziło się po śmierci i w końcu nie dało się ich już dłużej ignorować. Większość była nieszkodliwa, czy przynajmniej pasywna. Lecz niektórzy najwyraźniej wstali z grobu lewą nogą, a nieliczni zachowywali się wybitnie aspołecznie. Niematerialni stanowili dostatecznie duży problem, ale niektórzy powracali w ciele, tak jak zombie, podczas gdy inne duchy - znane jako *loup-garou* albo łaki - potrafiły opętać zwierzęta i nadać im mniej więcej ludzkie kształty. A czasami, kiedy w jednym miejscu zgromadziło się dostatecznie dużo umarłych,

zaczynały pojawiać się też inne istoty, odpowiadające temu, co średniowieczne grimoiry nazywały demonami. Wyglądało to, jakby w piekle właśnie kończyła się zmiana i cała rozbrykana hałastrza wysypała się na ulice o tej samej porze. Coś jak o jedenastej wieczorem w dokach w Liverpoolu, tyle że z dodatkiem siarki.

I równie nagle pojawili się egzorcyciści. A może zawsze tam byliśmy, może to część naszego genomu, tyle że nie ujawniała się, dopóki nie pojawiło się coś wartego egzorcyzmowania. Dziwna z nas, nieprawdopodobna zgraja - każdy ma własne metody postępowania, choć wszystkie sprowadzają się do jednego: złapać ducha, zamotać go w coś, z czego nie zdoła się uwolnić, a potem usunąć.

Dla mnie oczywiście tym czymś jest muzyka. Odgrywam na flecie sekwencję nut, która idealnie opisuje - może lepszym określeniem będzie modeluje - ducha takiego, jakim go postrzegam. Ta muzyka w jakiś sposób przywiera do ducha, staje się jego częścią, tak że kiedy melodia znika, on znika razem z nią. Muszę przyznać, że nie jestem wyjątkiem: spotkałem co najmniej kilka osób używających bębnow, a jeden świr z Argentyny wystukuje rytm na własnym policzku. Inni egzorcyciści, których zdarzyło mi się poznać, używają zdjęć, słów, tańca, a nawet rytmicznych odmian własnego oddechu. Ci religijni rzecz jasna stosują modlitwy, lecz wszystko sprowadza się do tego samego. Większości nas trudno przybierać świętojebliwą pozę.

Przez jakiś czas dzięki prostym prawom popytu i podaży tarzałem się w forsie: żądałem najwyższych stawek i dostawałem to czego chciałem (w pozytywnym, nie ironicznym znaczeniu). A jeśli ktokolwiek zadawał pytanie, czy też ja sam pozwalałem sobie na chwilę zadumy, dokąd odchodzą odsyłane przeze mnie duchy, miałem zawsze na podorędziu lekką odpowiedź.

- Jedynie w tradycji zachodniej - mówiłem tonem kogoś, kto skończył studia - duchy uważa się za dusze prawdziwych zmarłych. Inne kultury traktują je inaczej. Navajo sądzą, że duch to coś utkanego z najgorszych części naszej natury. Tymczasem reszta nas odchodzi do następnego świata oczyszczona i odświeżona. Na Dalekim Wschodzie często traktuje się je jako emocjonalne zanieczyszczenia, których wygląd zależy od tego, kto na nie patrzy. I tak dalej.

Tak, wiem. Zważywszy na to, że przepędzając duchy, zarabiałem na chleb i że zacząłem od własnej siostry, nic dziwnego, że wmawiałem sobie i wszystkim innym, którzy zechcieli słuchać, że duchy to coś zupełnie innego niż ludzie, których przypominają. W ten sposób usypiałem jedynie własne sumienie, a kiedy spało, robiłem różne paskudne rzeczy.

Jedną z mych ofiar był Rafi Ditko.

Ośrodek Opieki Charlesa Stangera znajduje się niedaleko Obwodnicy Północnej, w Muswell Hill, na zakręcie Coppetts Road. Z zewnątrz i z daleka wygląda jak to, czym był kiedyś - rząd wiktoriańskich domków robotniczych: bieda z przełomu wieków, odnowiona w duchu gustownej nostalgii.

Z bliska dostrzegamy kraty w oknach, przykręcone wprost do oryginalnych ceglanych murów, i potężną sylwetkę nowego aneksu, sterczącego z tyłu pod ostrym kątem i przytłaczającego stare domki. A jeśli jesteśmy odpowiednio wyczuleni, możemy też dostrzec magiczne środki ochronne, umieszczone przy głównym wejściu, by zniechęcić umarłych: gałązkę mirtu w maju, nekromancki krąg ze słowami *hoc fugere* - uciekaj stąd - krucyfiks i ozdobną emaliowaną na niebiesko mezuzę. Złudzenie wiktoriańskiej idylli znika, zastąpione niewygodną rzeczywistością.

Wyszedłem z nocy ciężkiej od nowego ładunku deszczu, który tylko czekał, by spaść z pełną siłą na grubą wykładzinę, nad którą unosił się fachowo zapuszkowany zapach kapryfolium. Lecz Stangerowi trudno przychodzi przybieranie pięknej maski - kiedy otworzyłem pchnięciem drugą parę drzwi i przeciąłem hol, usłyszałem dobiegające z wnętrza odgłosy: krzyki, płacz kobiety, a może mężczyzny, łoskot otwieranych i zamykanych drzwi. Wszystko to niezbyt pasowało do kojącego Vivaldiego, sączącego się cicho z głośników. Pielęgniarka za biurkiem, Helen, patrzyła w głąb korytarza z taką miną, jakby miała ochotę uciec. Na mój widok gwałtownie obróciła głowę. Pozdrowiłem ją skinieniem.

- Pan Castor! - rzuciła, próbując opanować niepokój. - Feliksie, to on! Asmodeusz, jest... - Wskazała ręką, lecz najwyraźniej nie potrafiła znaleźć dalszych słów.

- Słyszałem - odparłem z napięciem. - Pójdę tam.

Przyspieszyłem kroku i truchtem ruszyłem w głąb głównego korytarza. Była to moja zwyczajowa, cotygodniowa wizyta: nadal je tak nazywałem, choć ostatnimi czasy odstęp pomiędzy nimi wydłużył się do jakiegoś miesiąca. Wciąż pozostawałem uwiązany do tego miejsca luźną gumą dawnej winy i od czasu do czasu zaczynała przyciągać mnie tak mocno, że nie mogłem dłużej tego ignorować. Dziś jednak najwyraźniej czekało mnie odstępstwo od rutyny. Coś się tam działo, coś gwałtownego, krzyczącego. Nie chciałem się nawet zbliżyć, ale odpowiadałam za Rafiego i musiałem to załatwić.

Pokój Rafiego mieści się w nowym aneksie. Czasami myślę z pewną goryczą, że jego pokój sfinansował nowy aneks, ponieważ kosztował sporą fortunę: ściany, podłogę i sufit wyłożono srebrem. Zostawiłem za sobą najlżej strzeżone oddziały, z każdego mijanego pomieszczenia dobiegały mnie szlochy, krzyki i przekleństwa: głośne dźwięki u Stangera nieodmiennie wzbudzają całą serię ech. Kiedy truchtem pokonałem zakręt, ujrzałem gromadę ludzi, zebraną jakieś trzy metry od drzwi Rafiego, najwyraźniej stojących otworem. Szukałem wzrokiem Pen, toteż zobaczyłem ją pierwszą: siłowała się z pielęgniarką i pielęgniarzem i klęła jak stary wozak. Kiedy patrzy się z bliska na Pen, człowiek zawsze odnosi wrażenie, że jest wyższa niż w istocie: intensywna barwa jej zielonych oczu i miedzianorudych włosów w jakiś sposób przekazuje sugestię imponującego wzrostu. W rzeczywistości jednak ma zaledwie odrobinę ponad metr pięćdziesiąt. Tamci dwoje tak naprawdę jej nie trzymali, jedynie blokowali drogę do drzwi i poruszali się razem z nią za każdym razem, gdy próbowała ich ochronić - niezwykle skuteczny żywy mur.

Reszta sceny przypominała bójkę w barze, odbywającą się wedle nieznanym mi zasad. Webb, dyrektor ośrodka Stangera, czerwony i zlany potem, próbował złapać Pen i odciągnąć ją od drzwi. Jednocześnie jednak pamiętał, by nie robić niczego, co można by uznać za napaść - a za każdym razem, gdy się zbliżał, ona go odpędzała. Powstały w efekcie balet trzepotliwych gestów dłoni i odruchowych wzdrygnięć był niezwykle osobliwy. Pół tuzina pielęgniarzy i pielęgniarek krążyło wokół, nikt z nich wyraźnie nie miał ochoty na być może karalną potyczkę z kimś, kto nie jest pacjentem i może mieć dość kasy, by ich zaskarżyć. Dwóch innych pracowników Stangera leżało na ziemi, wyglądało to jakby walczyli ze sobą.

Teraz słyszałem też głosy - a przynajmniej część z nich - podniesione poza poziom ogólnych szumów.

- Zabijecie go! Zabijecie! - To była Pen, zdenerwowana, piskliwa.

- Mam obowiązki wobec społeczeństwa i pozostałych pacjentów ośrodka i nie dam się zastraszyć komuś... - Webb i fragment zdania, które najwyraźniej ciągnęło się od pewnego czasu i jakoś nie mogło skończyć.

Gdy tylko jednak przecisnąłem się przez pierwszych zebranych, dyrektor umilkł, bo przez otwarte drzwi przeleciało ciało i z solidnym, głuchym plaśnięciem uderzyło o przeciwległą ścianę, po czym runęło na wyścielaną podłogę. Ponieważ ów osobnik leżał na wznak, rozpoznałem Paula, kolejnego pielęgniarza i faceta, którego lubiłem najbardziej z całego personelu Stangera. Był nieprzytomny, twarz miał

siniofioletową, a strzykawka, która wysliznęła mu się z palców, została przecięta jakby samurajskim mieczem: z plastikowej ampulki wypływała przejrzysta ciecz.

Wszyscy spojrzeli na niego. Na ich twarzach dostrzegłem różne stopnie oszołomienia i niepokoju. Nikt jednak nie próbował mu nawet pomóc czy też ocenić odniesionych obrażeń. Wykorzystałem sposobność, by precyzyjnie się przemieścić przez gapiów, zmierzając w stronę pustego korytarza wokół otwartych drzwi - ziemi niczyjej. Pielęgniarka, dotąd wraz z koleżanką zagrażająca drogę Pen, natychmiast skupił uwagę na mnie i położył mi na ramieniu ciężką łapę.

- Nikomu nie wolno tam wchodzić - oznajmił szorstko.

- Zostaw go! - warknął Webb. - To Castor.

- Och, dzięki Bogu. - Pen dopiero teraz mnie zauważyła. Rzuciła mi się w ramiona, a ja ją uściśnąłem. Jednocześnie spojrziałem w dół i pojąłem, że mężczyźni na ziemi wcale ze sobą nie walczą: przytomny odciągał ogłuszonego kolegę od drzwi, pozostawiając na wykładzinie pierzaste, rozmazane ślady krwi z rany, której nie zauważyłem. Pen spojrziała na mnie błagalnie oczami błyszczącymi od łez.

- Fix, nie pozwól im go skrzywdzić! To nie Rafi, to Asmodeusz. Nic nie może poradzić! Wiem o tym.

- Już dobrze, Pen. - Staralem się przelać w te słowa jak najwięcej otuchy. - Jestem tutaj. Wszystko załatwię.

- Jedna z moich pielęgniarek wciąż tam jest - oznajmił Webb, wchodząc w słowo Pen, która znów próbowała się odezwać. - Obawiamy się, że nie żyje, ale nie możemy tego sprawdzić. Ditko... wpadł w szal, w stan maniackalny. I jak widzisz, jest gwałtowny. Chyba będę musiał go zagazować.

Na to słowo Pen jęknęła i wcale mnie to nie zdziwiło. Gaz, o którym mówił Webb, to łagodna neurotoksyna - pochodna tabunu, zwana OPG, stworzona w Porton Down do celów wojskowych, lecz obecnie nielegalna na wszystkich polach walki świata. O ironio, okazało się, że stosowana w niewielkich dawkach ma działanie lecznicze u pacjentów cierpiących na Alzheimera: blokuje rozkład acetylocholin w mózgu, spowalniając utratę pamięci. A potem ktoś odkrył, że zombie mogą go stosować w znacznie większych dawkach, w zbliżonych celach - powstrzymanie nieuniknionej degeneracji umysłów, w miarę jak proces fermentacji masłowej zmienia złożone gradienty elektrochemiczne w cuchnącą maź. Obecnie zatem gaz mógł być stosowany legalnie w celach psychoterapeutycznych, zalecano go też umarłym i nieumarłym - połowa adwokatów całego świata wciąż wrzeszczała na siebie

nawzajem z powodu tej klauzuli. A fakt, że miał też działanie usypiające, zwiększał jedynie zamęt.

Jednak użycie gazu w przypadku Rafiego to w najgorszym razie ryzykowny pomysł. Rafi nie był zombi, jedynie zwykłym żyjącym człowiekiem z upartym pasażerem na pokładzie. A jeśli Asmodeusz przejął nad nim władzę, wymagałoby to naprawdę potężnych dawek, co mogło oznaczać, że efekty uboczne będą jeszcze bolesniejsze i groźniejsze niż zwykle. Niektóre mogły nawet okazać się trwałe.

- Najpierw mnie tam wpuście - zaproponowałem. - Może zdołam uspokoić go muzyką.

Webb sapał i chuchał, lecz w odróżnieniu od złego wilka z bajki o trzech świnkach, zupełnie nie zależało mu na zdmuchnięciu domu. Szukał wyjścia oznaczającego możliwie najmniejsze straty w ludziach i majątku - zwłaszcza majątku - i miał dość rozsądku, by dostrzec, że właśnie ja je zapewniam. Ostatecznie nie po raz pierwszy Rafi zaczynał szaleć. Już wcześniej wielokrotnie dowiodłem mojej użyteczności.

- Nie jestem za ciebie odpowiedzialny prawnie - przypomniał. - Podpisałeś oświadczenie, nadal mam je w aktach. Wejdiesz tam na własne ryzyko i jeśli zostaniesz ranny...

- Zaprzeczysz, jakobyś wiedział cokolwiek o mojej działalności - dokończyłem, kiwając głową. - I nie wrzucisz nawet grosza do skarbonki. Uznajmy, że odczytałeś mi to wszystko, dobra?

Odwrociłem się do niego plecami i postąpiłem krok w stronę celi Rafiego.

- Idę z tobą! - wrzasnęła Pen i precyzyjnie się między dwójką pielęgniarzy, którzy nie byli już pewni, jakie wyznaczono im zadanie. Wyciągnąłem rękę, by ją zatrzymać.

- Lepiej nie, Pen - powiedziałem. - Asmodeusz potrzebuje mnie żywego i tylko to przemawia na moją korzyść. Jak sama mówiłaś, to nie Rafi; twój widok go nie powstrzyma. Gorzej, może przypuścić atak na twą osobę z czystej złośliwości.

Zawahała się, wciąż nieprzekonana. Zostawiłem ją tam i ruszyłem naprzód, w nadziei że zachowa rozsądek - nie miałem czasu na dyskusje, bo widziałem, jak rozdygotany i wystraszony Webb powoli szykuje się do wydania polecenia rozpoczęcia ataku gazowego. Zapukałem, pchnąłem ramieniem drzwi i przekroczyłem próg. Bezpieczniej pewnie byłoby zajrzeć najpierw do środka przez szparę, ale i tak

musiałem tam wejść - w ten sposób przynajmniej zrobiłem to z pewną klasą, nawet jeśli opuszczę celę na tyłku, z głową leącą obok.

Przekroczenie progu oznaczało przejście z miękkiej wykładziny na nagi metal: stop stali i srebra w proporcjach dziesięć do jednego. Ten sam stop był także pod pokrywającym ściany tynkiem, przeświecając w paru miejscach, które Rafi z wściekłością zaatakował pięścią. Moje kroki zadudniły głucho na metalowej płycie, anonsując moje przybycie z jeszcze większą emfazą niż pukanie. Lecz Rafi jakby mnie nie dostrzegał: ujrzałem go w przeciwległym kącie celi, kopał z wściekłością coś leżące na podłodze. Dzięki Bogu nie pielęgniarkę, ta leżała bez ruchu tuż za drzwiami, z jej czoła ściekała pajęczna strużka krwi, oczy miała zamknięte. Rafi niszczył wózek z lekami. Pigułki w setkach wesołych odcieni rozsypały się po całej podłodze, przy następnym kroku zachrzęściły mi pod stopami.

Kątem oka zauważyłem, jak Pen klęka i sprawdza puls pielęgniarki. Wyjąłem z kieszeni flet i uniosłem do ust. Nim jednak zdołałem zagrać choćby jeden dźwięk, Rafi odchylił głowę i zawył. W jego głosie dźwięczał przejmujący ból. Uniósł ręce i przycisnął do czoła zaciśnięte pięści, kołysząc się spazmatycznie z boku na bok. A potem z niskim, gardłowym jękiem przesunął dłońmi po twarzy, od linii włosów aż po brodę, wbijając paznokcie tak głęboko, że z ośmiu równoległych zadrapań popłynęła krew.

Zamierzałem położyć temu kres. Wymacałem otwory i jak najciszej zagrałem otwierający akord. Ponieważ do tej pory Rafi kompletnie nie zwracał na mnie uwagi, miałem nadzieję, że zdołam nabrać rozpędu, nim się zorientuje, że tu jestem, ale na pierwszy dźwięk fletu obrócił się gwałtownie.

Zachłysnąłem się i wbrew zamiarom umilkłem. Błądą, ascetycznie przystojną twarz Rafiego wykrzywił grymas, gęste, czarne włosy zwisały w mokrych od potu pierścionkach, jego oczy - tęczówki, białka, wszystko - były tak czarne, że można było odnieść wrażenie, że wysysają całe światło z pokoju. Widywałem już wcześniej ów efekt, lecz tym razem wydał mi się gorszy niż kiedykolwiek przedtem. Zupełnie jakby tam, za oczami Rafiego wzbierała ciemność, gotowa wylać się i go zatopić.

- Castor! - zagrzemiał. Jego ochryply głos przypominał wycie silnika odrzutowego. Przez chwilę pod jego twarzą poruszyła się inna, niemal wynurzając się poprzez czaszkę, mięśnie i czerwoną, naciągniętą skórę. - Ale super! Ale super, kurwa!

Gdyby nie spał się przed skokiem, być może byłby to ostatni dźwięk, jaki zdarzyło mi się usłyszeć. Zyskałem jednak dość czasu, by runąć na podłogę i

przetoczyć się na bok, poza zasięg jego wykrzywionych palców. Jednocześnie zagrałem donośny, modulowany dysonans, który stosowałem wcześniej w starciach z Rafim. Zazwyczaj działał świetnie i bez zwłoki.

Tym razem równie dobrze mógłbym wypukać pod pachą „Boże, chroń królową”. Rafi obrócił się w powietrzu jak kot i rąbnął mnie zaciśniętą pięścią w bok głowy. Przez ułamek sekundy świat przed moimi oczami zniknął w rozbłyskach czerni i bieli; flet wyleciał mi z dłoni i z brzękiem poturlał się po podłodze. A potem Rafi zerwał się na nogi i ruszył ku mnie szybkim krokiem, szczerząc zęby niczym kot z Cheshire. Pen przywarła do ściany, starając się zniknąć mu z oczu i z umysłu, obserwowała jednak wszystko co się działo, czekając na szansę odciążenia pielęgniarki poza linię ognia. Świetny plan - ale i tak pewnie lepszy od mojego. Bez fletu potrzebowałem wszystkich sił, żeby utrzymać się przy życiu.

Wyprowadziłem cios, który Rafi sparował, nawet nie zwalniając. Jego odpowiedź była mordercza - otwarte dłonie o palcach sztywnych jak druty do robótek śmignęły naprzód tak szybko, że najpierw usłyszałem świst przecinanego powietrza, a dopiero potem poczułem koszmarny ból. Zachwiałem się i runąłem do tyłu, próbując się osłonić, przypominało to jednak walkę z czymś w rodzaju poziomej lawiny. Poleciałem na plecy na korytarz; Rafi leżał na mnie, zaciskając ręce na moim gardle.

Patrzyłem wprost w owe lśniące, czarne oczy i nie widziałem w nich nawet cienia litości. Osłabiłem jego uchwyt, uderzając go w przeguby, nie pomogło to jednak tak bardzo, jak na to liczyłem. Rafi poruszył się szybko jak błyskawica - jego kończyny były w wielu miejscach jednocześnie. I choć odtrącałem jego dłonie na prawo i lewo, ucisk na gardło już bardziej nie zelżał. Rozpaczliwie próbowałem łapać powietrze: dopóki mogę oddychać, mogę gwizdać nawet bez mechanicznej pomocy. Nic to jednak nie dawało. Ścisnął mocniej i w mojej głowie wezbrała ciemność, dorównująca tej wyzierającej z dwóch czarnych studni, w które się wpatrywałem.

Ponad ramieniem Rafiego zobaczyłem biegnącą ku mnie Pen. Złapała go za prawą rękę, próbując ją odciągnąć. Lecz ręka w jakiś sposób przeniknęła przez jej dłonie i zamigotała, znów w wielu miejscach jednocześnie. Rafi wzruszył ramionami i zeszywniał, jego głowa skoczyła nagle, uderzając mocno Pen w pierś, tak że poleciała do tyłu. A potem znów skupił się na poważnych próbach uduszenia mojej skromnej osoby.

Od utraty przytomności dzieliły mnie najwyżej jakieś dwie sekundy; potem moje szanse poszłyby w diabły, a ja razem z nimi. Nagle jednak za Rafim pojawiła się

większa, mocniejsza sylwetka i muskularna czarna ręka chwyciła go za gardło. To był Paul, słaby i zmęczony, co było raczej mało dziwne. Działał jednak metodycznie; wykorzystując swą większą wagę i punkt oparcia, zaczął odginać Rafiego w tył, aż ten w końcu puścił moje gardło. Rafi syknął i unióśł dłonie, by się uwolnić.

Słaby i oszołomiony, zmusiłem się jednak do ruchu, bo nie wyglądało na to, że będę miał jeszcze jedną szansę. Obróciłem się gwałtownie, przenosząc mój punkt ciężkości tak, by jeszcze bardziej pozbawić Rafiego równowagi, i jednocześnie rąbnąłem go ze wszystkich sił w sam środek szczęki. Zaskoczony, poleciał na bok, wyslizgując się z objęć Paula.

Czekałem z uniesionymi rękami, gotów się bronić przed kolejnym atakiem. Lecz cokolwiek działo się z Rafim, sprawiło, że zupełnie o mnie zapomniał. Nadal leżał na ziemi, tam gdzie upadł, a z jego otwartych ust bez chwili przerwy wylewał się kolejny zawodzący skowyt bólu i rozpacz. Zupełnie jakby w ogóle nie zarejestrował mojego ciosu - cokolwiek mu dolegało, nie miało nic wspólnego ze mną.

Paul ukląkł obok Rafiego i wymacał jego puls. Uniósł powieki i obejrzał źrenice, potem zaczął badać zęby i dziąsła - osobiście nie podjąłbym tego ryzyka. Rafi nadal był, prosto w twarz Paula, zupełnie jakby zapomniał o naszym istnieniu.

Nad nami pojawili się dwaj kolejni pielęgniarze - patrzyli na Rafiego, jakby się zastanawiali, czy mogą bezpiecznie go chwycić. Paul uniósł głowę, zobaczył ich i skinął w głąb celi.

- Karen! - huknął, przekrzykując nieludzkie zawodzenie Rafiego. - Wciąż jest w środku. Wyciągnijcie ją stamtąd.

Zerwali się na baczność jak żołnierze, odwrócili i pobiegli do celi.

Z mojego miejsca miałem świetny widok na drzwi. Zobaczyłem, jak tamci klękają obok powalonej pielęgniarki, jeden z nich przyłożył jej dłoń do czoła. Potem ujrzałem jak się porusza, próbując uniknąć dotknięcia. Była ranna, może ciężko ranna, ale wciąż żyła. Z mieszaniną ulgi i opóźnionego szoku poczułem, jak gdzieś wewnątrz mnie wzbiera nieznośna fala, wypełniając mnie niczym kwaśny gaz: zgiąłem się wpół i zwymiotowałem. Minęło parę chwil, nim znów uniosłem głowę, sprawdzając, co się dzieje.

Gdy to zrobiłem, uświadomiłem sobie, że syreni skowyt Rafiego umilkł. Zapadła nagle cisza. Pen tuliła go w ramionach, Paul klęczał obok niej, przykładając palec wskazujący do odsłoniętego przegubu Rafiego. Miał tajemniczy wyraz twarzy.

Doktor Webb podszedł do nas ostrożnie, przyglądając się plamie pozostawionej przeze mnie na wykładzinie. Potem jego wzrok powędrował ku Rafiemu, którego głowa spoczywała na kolanach Pen, mamroczącej do niego kojąco i odgarniającej z czoła lepkie od potu włosy. Rafi najwyraźniej zasnął - ciężkim, głębokim snem. Jego pierś unosiła się i opadała powoli w rytm długich, głębokich oddechów. Webb jednak cały czas zerkał na niego, wydając rozkazy personelowi, by ten uporządkował celę i korytarz.

Stałem na trzęsących się nogach i próbowałem nadać zmiażdżonemu kołnierzykowi koszuli coś w rodzaju kształtu, krzywiąc się z bólu promieniującego z równie zmiażdżonego gardła.

- Co go sprowokowało? - spytałem Webba.

Mój głos zabrzmiał ochryple i głucho. Doktor parsknął ponuro.

- Nic. Absolutnie nic. Karen i Paul poszli mu podać wieczorne leki i je zażył. W jednej chwili wszystko było świetnie, w następnej... sam widziałeś. Zaczął krzyczeć, a kiedy Karen próbowała go uspokoić, rzucił się na nią. Mamy szczęście, że jej nie zabił.

Skinąłem głową, nie wiedząc co powiedzieć. Na szczęście Webb nie oczekiwał odpowiedzi.

- Castor - powiedział - to dobry wstęp do rozmowy, którą i tak musimy przeprowadzić. Kiedy przyjęliśmy Ditko, uczyniliśmy to, wierząc, że zdołamy mu pomóc. Najwyraźniej jednak nie możemy. Potrzebne są mu specjalne warunki, których nie możemy zapewnić.

Spojrzałem, na Pen, na szczęście nie usłyszała.

- Nikt nie ma warunków odpowiednich do tego, na co cierpi Rafi - przypomniałem. Ale gadałem bzdury i doskonale to wiedział. Po prostu nie miał ich żaden ośrodek, do którego byłem skłonny go oddać.

- Jest jeszcze KOM - podsunął Webb.

- Rafi nie jest świnką doświadczalną.

- Nie jest też chory psychicznie. Nie powinno go tu być.

- Mamy kontrakt - przypomniałem, zagrywając asa.

Webb go przebił.

- Nieważny w sytuacji, gdy zagrożone jest zdrowie personelu bądź innych pacjentów - zacytował z pamięci. - Nie sądzę, by ktokolwiek wątpił w to zagrożenie.

Wzruszyłem ramionami.

- Porozmawiamy jeszcze.

Webb pokręcił głową.

- Nie, nie porozmawiamy. Zorganizuj coś dla niego, Castor. Masz dwadzieścia osiem dni.

- Cóż za szczodrość, Webb - wychrypiałem. - Musisz działać bardziej stanowczo, inaczej ludzie zaczną cię wykorzystywać.

Webb spojrzał na mnie surowo, z pogardą.

- Nikt nie może stwierdzić, że nie próbowałeś - odparł zimno.

Sierp księżyca jaśniał na niebie niczym sejmitar z białego ognia, zamieniając cały świat w srebrzystoszare, monochromatyczne zdjęcie. Skręciłem do ogrodu różanego, rozkoszując się ciszą i spokojem. Oczywiście oba były względne: z budynku nadal dobiegały krzyki i jęki, lecz po niekończącym się, przepełnionym cierpieniem wyciu Rafiego wtapiały się w odgłosy otoczenia. Teraz Rafi spał, lecz Pen na razie nie pozwoli nikomu go tknąć. Pomyślałem, że dam im pół godziny, a potem wrócę i sprawdzę, czy nie jestem potrzebny.

Oparłem się o zegar słoneczny, patrząc w głąb pergolowej alejki o sklepieniu ze słodko pachnących kwiatów. Za nią widniało wysokie ogrodzenie, zwieńczone nachyloną do wewnątrz koroną drutu kolczastego, a dalej sześć pasów Obwodnicy Północnej, po której nawet o tej porze płynęła rzeka reflektorów.

„Zorganizuj coś dla niego, Castor”. Łatwo Webbowi powiedzieć, zwłaszcza że miał po swej stronie bogów drobnego druku. Nie tak łatwo zrobić, chyba że chciałbym wybrać drogę, którą zasugerował, i przekazać Rafiego w czułe objęcia Kliniki Ontologii Metamorficznej w szpitalu Queen Mary w Paddington. To jednak ostatnia deska ratunku, rozpaczliwy manewr i uznałem, że nie muszę się jeszcze do niego uciekać. Choć wielce szanowałem moją partnerkę sparringową Jennę-Jane Mulbridge na poziomie intelektualnym, wiedziałem lepiej niż ktokolwiek, że jeśli chodzi o podejście do pacjentów, ma pewne braki. I że jej serce i ludzkie uczucia tkwią w jakiejś przechowalni daleko, daleko stąd.

Wciąż opierałem się ciężko o zegar słoneczny, stanowiąc dysonans w idyllicznym ogrodzie, gdy z roślinności jakieś pięćdziesiąt metrów dalej wybiegły trzy drobne postaci i w absolutnej ciszy przemknęły przez trawnik. Tworzyły trójkąt: największa na przodzie, pozostałe dwie z tyłu, po obu stronach. Za trawnikiem rosły

drzewa, nie spowolniły ich jednak - postaci biegły prosto przed siebie, ich smukłe ciała przenikały przez pnie jak przez powietrze. Kiedy dotarły do muru oddzielającego Stangera od lasu Coldfall, biegnąca na przodzie dziewczynka - na oko trzynastoletnia, a przynajmniej była w tym wieku w chwili śmierci - zatrzymała się i spojrzała na mnie. Odrzuciła bujne, jasne włosy i pomachała. Pomachałem w odpowiedzi. Potem odwróciła się i przeszła przez mur, za którym już wcześniej zniknęły jej dwie młodsze towarzyszki.

To były duchy trzech dziewczynek, które oryginalny Charles Stanger zamordował pod koniec lat czterdziestych - nim został zamknięty w szpitalu do końca życia i zapisał swój majątek ośrodkowi noszącemu jego imię. Następne sześćdziesiąt lat pozostawały uwiązane do kamieni starych domków, niczym psy na łańcuchu. Większość duchów jest związana z jakimś szczególnym miejscem, najczęściej miejscem ich śmierci: okrutna ironia sprawiła, że w tym przypadku dziewczynki musiały tkwić wśród obłąkanych zbrodniarzy przez resztę wieczności - albo przynajmniej tak długo, jak Stanger pozostawał otwarty. Lecz jakiś rok temu urządziłem dla nich prywatny koncert: w tym samym ogrodzie odegrałem na flecie fragment egzorcyzmów tak, że choć nie przegnałem duchów, mogły swobodnie opuszczać ośrodek. Od tej pory słyszałem pogłoski o tym, że widywano je aż na Trocadero i Shadwell, nadal jednak traktowały Stangera jako bazę wypadową. Przypuszczam, że po prostu do niego przywykły - po pół wieku stał się niemal ich domem. Wciąż spodziewałem się, że odejdą - to znaczy, do miejsca, które czeka na duchy, gdy męczy je już ten świat - lecz najwyraźniej nie podjęły jeszcze tego nieuniknionego kroku.

Ruszyłem spacerkiem przez ogrody, w końcu docierając na tyły budynku, gdzie zieleń ustąpiła miejsca asfaltowi parkingu. Minęła już północ, wokół panowała pustka. Na placu stało tylko parę wozów personelu i stare mondeo Pen. Paul opierał się o karetkę, wspaniały w swej samotności, paląc cuchnącą cygaretkę. Minę miał ponurą.

- Jak życie? - spytałem, zatrzymując się.

Wydmuchnął dym i pokręcił głową.

- Trzeba mnie było spytać, kiedy jeszcze je, kurna, miałem - odparł melancholijnie. - Moja stara mówi mi, żebym to rzucił, i ma, kurwa, rację. Po co mi to potrzebne? Plecy mnie bolą, jakbym odbębnił dziesięć rund z Tysonem, lewe oko

spuchło mi paskudnie. Karen prawie na pewno ma wstrząs mózgu. A mój brat, Rafi, ma totalnie przerąbane. Biedny skurwiel.

Zaimponował mi tym, że wciąż martwił się o Rafiego, choć jego złowieszczy pasażer o mało nie załatwił nas obu. Ponownie uświadomiłem sobie, jak wielka głębia ukrywa się pod ową powłoką rozmiarów czołgu.

- Cóż, przyznam, że cieszę się, że odłożyłeś swą emeryturę przynajmniej do dzisiejszego wieczoru - powiedziałem szczerze. - Najpewniej uratowałeś mi życie.

- Tak, bardzo proszę.

- Ale twój szef to dupek.

- Tu się zgadzamy.

Oparłem się o karetkę obok niego, ale po zawietrznej od cygara.

- A Rafiemu nic nie będzie. A przynajmniej nic gorszego niż dotąd.

Paul uniósł brwi, analizując moje słowa.

- Skaleczenia na całej twarzy - rozmyślał głośno. - Dwa złamane palce. Może złamana szczęka. Ten syf na piersi wyglądał jak pęcherze, jakby się palił od środka.

- Ale wiesz, że mam rację. Dziś w nocy palce same się zrosną. Szczęka też, o ile faktycznie ją złamałem. Zadrapania i oparzenia pewnie już się zagoiły. Gdybyś teraz spojrział, nie znalazłbyś żadnych śladów. Rafi ma bardzo sprawny układ odpornościowy. To pewnie kwestia ćwiczeń i odżywiania.

Paul zerknął na mnie podejrzliwie, sprawdzając, czy aby nie robię sobie z niego tanich żartów. Potem znów pokręcił głową z rezygnacją.

- Ta twoja pani - mruknął, po raz kolejny zaciągnąwszy się cygaretką - to prawdziwa klasa, Castor. Mała jak dziecko, ale skoczyła na Rafiego jak na kogoś równego. Na doktora Webba także. - Uśmiechnął się ironicznie. - To był przebój całego pieprzonego dnia. Poważnie.

- Tak, Pen jest wyjątkowa - zgodziłem się. - Ale nie moja. No wiesz, to tylko przyjaciółka. - Z rzadko odwiedzanych zakątków mojego umysłu napłynęła potężna fala wspomnień; natychmiast je odepchnąłem. - Ona... Ona i Rafi byli kiedyś... razem. Kiedy wszyscy studiowaliśmy, byli - szukałem słów, które właściwie definiowałyby związek Pen i Rafiego, lecz ich nie znalazłem - parą - dokończyłem niezgrabnie. - Ale to nie trwało długo. Rafi należał do tych, co skaczą z kwiatka na kwiatek.

Parę sekund staliśmy w ciszy.

- Był moim najlepszym przyjacielem - podjąłem, świadom, jak dziwacznie i niezdrowo to brzmi. - Także przyjacielem Pen, zarówno przed, jak i po epizodzie łózkowo-kwiatkowym. Wszyscy go lubili. Też byś go polubił, gdybyś go kiedyś spotkał.

- Gdybym go spotkał? - W głosie Paula zadźwięczała bolesna nuta.

- Wiesz, co mam na myśli.

- Tak - przyznał. - Chyba tak. Mniej więcej. Właściwie zawsze chciałem cię spytać, co w nim siedzi?

- Asmodeusz. To demon. I to kurewsko potężny. W literaturze często o nim wspominają i...

- W literaturze? - Paul ze zdumieniem pokręcił głową. - To znaczy gdzie? W „Lancecie”? W „Świecie nauki”?

- Niedokładnie. Mówię o książkach napisanych przez obłąkanych filozofów naturalnych pięćset lat temu. Grimoire'ach. Podręcznikach magicznych. Ich autorzy umieszczają Asmodeusza blisko wierzchołka piekielnej hierarchii dziobania. Nie jest to ktoś, z kim chciałbyś zadzierać. Ale Rafi to zrobił. Dwa lata temu próbował przywołać Asmodeusza. Myślę, że chciał zawrzeć z nim faustowski układ: zdobyć zakazaną wiedzę sprzed stworzenia świata. Ale wydarzenia potoczyły się inaczej. W jakiś sposób Asmodeusz wniknął w niego i zaczął go wypalać od środka.

Słowa te, banalne i beznamiętne, wywołały w moim umyśle serię oderwanych skojarzeń - fragmentów nocy, której wciąż nie mogłem zapomnieć. Ze względu na to, jak działał mój umysł, były to głównie dźwięki. Oddech Rafiego, ochrypli i płytki, z coraz dłuższymi przerwami między wdechami. Zgrzytliwy śmiech, dobiegający z jego gardła, wypływający niczym krew z czarnej jak noc otchłani, która się ukazywała, gdy otwierał usta. Niekończący się bulgot i syk wrzącej wody: wrzuciliśmy Rafiego do wanny pełnej lodu, bo fragmenty jego skóry z czerwonych stawały się czarne. Lecz po jakiejś minucie lód zamienił się w wodę, która bulgotała niczym zawartość kotła więdźmy.

- Byłeś tam? - Paul sprawiał wrażenie, delikatnie mówiąc sceptycznego.

Nie tylko gliniarze, każdy wcześniej czy później określa własne granice. I gdy już to zrobi, ciężko jest mu je przekroczyć.

- Jego dziewczyna zadzwoniła do mnie w środku nocy. Słyszała, jak wymieniał moje imię i brzmiało to jak jego własny głos, nie głos tkwiącego w nim stwora, toteż znalazła mój numer w jego kalendarzu. Gdy tam dotarłem, bałem się, że jest już za późno, ale i tak spróbowałem.

- Czego dokładnie spróbowałeś?

- Zagrałem mu melodię.

Paul skinął głową. Kiedyś przy paru piwach opowiedziałem mu, jak dokładnie zarabiam na życie.

- Widzisz - podjąłem niechętnie - zakładałem, że w Rafim tkwi ludzka dusza. Duch. W tym czasie nigdy jeszcze nie spotkałem demona. Nasłuchiwałem zatem, szukając ludzkiego ducha, i gdy go znalazłem, zacząłem grać, tak by go z niego przegnać. Dopiero po dziesięciu minutach uświadomiłem sobie, że złowiłem w swą sieć duszę Rafiego. Wyganiałem go z jego własnego ciała - kończąc to, co zaczął Asmodeusz. Próbowałem naprawić wyrządzone już szkody. W połowie melodii zmieniłem tonację, grając odwrotność tego, co podpowiadał mi instynkt, w nadziei że zdołam umieścić Rafiego z powrotem w jego ciele. I udało mi się, mniej więcej.

- Mniej więcej?

Skinąłem głową.

- Tak, mniej więcej. Doczepiłem Rafiego z powrotem do ciała, i jednocześnie doczepiłem Asmodeusza do Rafiego, co nie było częścią mojego planu. Od tej pory tkwią tam razem, uwięzieni. Dlatego właśnie Asmodeusz zwykle zostawia mnie w spokoju - wie, że wcześniej czy później będzie mnie potrzebował, jeśli w ogóle ma się uwolnić. Po prostu czeka, aż wymyślę, jak to zrobić. - Skrzywiłem się, obmacując siniak na ramieniu. - Nie mam pojęcia, co, do diabła, poszło dziś nie tak. Wiedział kim jestem, ale choć raz w ogóle go to nie obchodziło. Właściwie sprawiał wrażenie uszczęśliwionego, że może mnie dopaść. Jakby się tego nie spodziewał.

Zapadła długa cisza. Doskonale rozumiałem, że Paul może uznać większość tego, co powiedziałem, za kompletne bzdury, nawet po tym co widział. Dla mnie też brzmiałoby to idiotycznie, gdybym sam tego nie przeżył: gdybym od tego czasu nie przeżył gorszych rzeczy. Wszystkich rzeczy na niebie i ziemi, o których filozofowie starają się nie śnić.

W końcu otworzył usta, by coś powiedzieć, przerwał nam jednak stukot obcasów na asfalcie. Z cienia budynku wyłoniła się Pen i ruszyła w naszą stronę. Spojrzałem na nią pytająco, a ona zdołała się słabo uśmiechnąć.

- Śpi jak niemowlę - oznajmiła.

- To dobrze - odparłem. - Sądząc z doświadczenia, ocknie się dopiero późnym rankiem. Za każdym razem, kiedy Asmodeusz przejmuje stery, Rafi zużywa mnóstwo energii. Najlepsze, co możemy zrobić, to pozwolić mu to odespać.

Pen skinęła głową, lecz jej mina świadczyła o tym, że nie kupiła mojej gierki z cyklu „czas leczy wszystkie rany”.

- Nigdy dotąd tego nie zrobił - powiedziała. - Nie przejął władzy w ten sposób. Asmodeusz jest okrutny, złośliwy i nieco obłąkany, ale to... - Wzruszyła ramionami.

Oczywiście miała rację. Ów atak szału stanowił coś zupełnie nowego i nie pojmowałem, co mógłby zyskać dzięki niemu demon. W przeszłości Asmodeusz mówił mi, że siedzi i czeka, wiedząc, że wcześniej czy później zgadnę jak naprawić to co zrobiłem i uwolnić ich z Rafim od siebie. Dziś wyglądał jakby zabrakło mu cierpliwości i tego, co u demonów służy za zdrowy rozsądek.

Próbowałem odnaleźć jakieś choć w części pocieszające słowa, lecz Paul mnie wyprzedził: rzucił na ziemię niedopaloną cygaretkę, rozdeptał ją i uniósł ręce, jak zawodnik rozgrzewający się przed ćwiczeniami.

- Muszę się z wami pożegnać - oznajmił. - Mam dyżur do drugiej rano i właśnie skończyła mi się przerwa. Posłuchajcie mojej rady i prześpijcie się. Oboje wyglądacie na wykończonych. - Pozdrowił nas skinieniem głowy i odszedł do budynku.

- Raz jeszcze dzięki! - zawołałem do jego oddalających się pleców.

- Nie ma sprawy. Wyślę ci rachunek.

Odwrociłem się do Pen.

- Brzmi to całkiem sensownie - mruknąłem. - Chyba że masz ochotę na kurczaka vinaloo? Tuż za progiem czekają egzotyczne rozkosze East Finchley.

Pen pokręciła głową.

- Planuję dziś wyjście - oświadczyła. - Z Dylanem.

- Dylanem? A tak, Dylanem Forsterem - Doktorem Ojboli.

Zapomniałem o nim. Po prawdzie musiałem sobie go przypominać za każdym razem, gdy Pen o nim wspominała. Od dawna już porzuciłem wszelkie nadzieje na ożywienie tego, co kiedyś nas łączyło. Lecz na jakimś poziomie wciąż złościło mnie, że spotyka się z kimś innym. Stanowiła część trójkąta, którego dwoma pozostałymi wierzchołkami byliśmy Rafi i ja. Wiedziałem, że to niesprawiedliwe, i nienawidziłem się za to, że patrzę z niechęcią, gdy Pen usiłuje uzbierać sobie odrobinę szczęścia. Toteż za każdym razem, gdy wspominała o swym zamożnym, namiętym, uczącym się na druida, jeżdżącym lexusem chłopaku, doktorze z bożej łaski, starałem się usilnie reagować z większą radością i entuzjazmem, niż czułem w istocie.

- To nawet lepiej - powiedziałem teraz. - Przynajmniej przez parę godzin zapomnisz o tym wszystkim. Mam nadzieję, że zabierze cię do dobrej knajpy.

- Nie sędę, by miał na myśli jakąś szczególną. Powiedział tylko, że czeka go morderczy dzień i zdecydowanie musi spotkać się ze mną pod jego koniec, by jakoś zrównoważyć cały ten syf. Wyjaśniłam, że idę z wizytą do Rafiego, i odparł, że spotkamy się później.

Uścisnęła mnie - krótko, lecz bardzo mocno - po czym wsiadła do samochodu.

- Podrzucić cię gdzieś? - spytała, przytrzymując otwarte drzwiczki.

Zastanowiłem się szybko, ale łatwo podjąłem decyzję. Wciąż odczuwałem grozę, która ogarnęła mnie na widok pielęgniarki leżącej na podłodze w celi Rafiego, odrzuconej jak stary łach. W tym momencie chciałem jedynie pobyć na dworze, i to sam.

Pokręciłem głową.

- Dzięki, ale chyba muszę się przejść.

- W takim razie do zobaczenia jutro.

Zatrzasnęła drzwiczki, przekreśliła kluczyk i ruszyła. Mondeo zakołysał się lekko na resorach, bo wóz robił się już starawy i zawieszenie zaczynało się sypać.

Noc była moja. Ale super.

Jak się okazało, potrzebowałem czegoś więcej niż spaceru. Przez następne kilka godzin próbowałem się otrząsnąć, robiąc rajd po pubach i wodopojach dla nieszczęśników cierpiących na bezsenność, od Finchley po Kings Cross, i dalej. Gdzieś po drodze, chłepcząc piątą czy szóstą whisky z lodem w jakiejś dziurze w irlandzkim stylu przy Kentish Town Road, uświadomiłem sobie, że moje odczucia nie mają nic wspólnego z tym, co zdarzyło się u Stangera. To było coś w powietrzu, wiszącego nad całym nieświadomym miastem, niczym przeładowana fałda ektoplazmy, lada moment grożąca nieuniknioną lawiną.

Wróciłem do domu trochę po trzeciej nad ranem. Pen mieszka niedaleko Turnpike Lane, w starym, wielkim domu w bezimiennym findesieclowym stylu, cięższym nawet niż późnowiktoriański. Dom stoi na zboczu wzgórza, tak że piwnica, w której mieszka Pen z tyłu, staje się parterem, wychodząc wprost do ogrodu. Jak zawsze sprawdziłem światła.

Gdyby wciąż nie spała, zajrzałbym do niej i wypilibyśmy razem butelkę, albo chociaż kieliszek. Ale wszędzie panowała cisza i ciemność. Pewnie Pen została na noc

w mieszkaniu Dylana w Pinner - wyraźna oznaka tego, jak bardzo się zadurzyła, bo dom to dla niej coś znacznie więcej niż miejsce, w którym trzyma rzeczy: to także centrum jej własnej, bardzo osobistej religii, ośrodek mocy, jaskinia, w której staje się najwyższą kapłanką i dyżurną wieszczką.

Mój pokój mieści się na poddaszu, jak najdalej od wszystkich tych newage'owych śmieci. I to mi odpowiada. Poza wszystkim innym oznacza to mnóstwo schodów dla każdego, kto chciałby mnie znaleźć, a ja zazwyczaj słyszę jego nadejście.

Ledwie zdołałem zrzucić ciuchy. Potem padłem na łóżko i nim się od niego odbiłem, zasnąłem jak kamień.

Nie wiem, jak Rafi, ale ja nie obejrzałem zbyt wiele z niedzielnego poranka. Ocknąłem się o późnej porze lunchu, jasne słońce przebijało się przez szczelinę w zasłonach, niczym świr z piłą łańcuchową. Miałem trampek w gębie i kaca, w równym stopniu psychologicznego, jak i fizycznego. A może animistycznego: duchowy kac. Jak się go, do diabła, leczy? Metafizycznym klinem!

Wciąż ani śladu Pen. Zjadłem śniadanie w rozbielonej słońcem kuchni, czując się dziwnie nierzeczywiście. Noc wydawała się taka ciemna, ciężar przecucia tak rzeczywisty, że zdumiał mnie, a nawet nieco zirytował fakt, że nic się nie stało. Czulem się jakby rzeczywistość krytykowała mój instynkt.

Jeśli jednak nad Londynem faktycznie wisiał miecz, to na bardzo mocnym łańcuchu, spełniającym z nawiązką wszystkie normy bezpieczeństwa Unii Europejskiej. Cały dzień krążyłem po domu, niczym pustelnik cierpiący na hemoroidy, czekając, aż znów nawiedzi mnie przecucie nadciągającej katastrofy. Ale nie pojawiło się, a katastrofa nie nadeszła. W końcu zacząłem oglądać w kablówce stare odcinki *Hotelu Zacisze*, zapominając się śmiać.

Pen wróciła wczesnym wieczorem i zastała mnie w piwnicy. Karmiłem właśnie kawałkami świeżej baraniej wątroby jej dwa kruki, Edgara i Arthura. Była wzruszona.

- Nie musiałeś tego robić, Fix. - Uścisnęła mi dłoń. Spory błąd, wzięwszy pod uwagę, że była umazana krwią i lepkiemi kawałkami tkanki. - Nie przeszkadza im, kiedy trochę się spóźnię. Ale dzięki.

- Zawsze się boję, że jeśli ich nie nakarmię, sam stanę się zastępczym posiłkiem - poskarżyłem się. - Niedługo będą wielkości pieprzonych sępów.

Pen sprawiała wrażenie zmęczonej i niezbyt zadowolonej. Zazwyczaj z randek z Doktorem Ojboli wracała jak na skrzydłach, toteż zareagowałem współczuciem - i może lekką ciekawością.

- Jak tam twój wieczór? - spytałem, sugestywnie unosząc brwi.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- W porządku - odparła. - Był... tak. W porządku.

Czekałem na wyjaśnienie. Widząc, że jej się przyglądam, po chwili znów wzruszyła ramionami.

- Dylan był bardzo zmęczony. Miał paskudny dyżur, musiał posprzątać po innych. Dzisiaj w ogóle nie miał być w pracy, ale powiedział, że musiał podjechać na godzinkę, sprawdzić wczorajszych pacjentów. Nie do końca ufał lekarzowi, który przyszedł po nim. Toteż wybrałam się na zakupy na Camden Market, a on dołączył do mnie na późny lunch.

- Sprawdzałaś, co z Rafim?

- Tak, poszliśmy tam po południu. Ale wciąż spał.

- Mówiłem. Obudzi się rześki jak skowronek.

Pen przytaknęła ponuro, po czym wyraźnie się rozpromieniła, gdy przyszła jej do głowy kolejna myśl.

- Dylan mówi, że może zdoła przepisać mu coś, co na dłużej uśpi Asmodeusza. Chce, żebym pomówiła z Webbem, aby pozwolił mu przeprowadzić parę prób na Rafim.

Uniosłem brwi.

- Warto spróbować - mruknąłem. - Zdawało mi się, że wspominałaś, że zajmuje się skórą i kośćmi.

- Kośćmi i stawami - poprawiła, patrząc na mnie surowo. Ale miał praktyki z endokrynologii.

Pen podążyła za mną, gdy ruszyłem do jej ciasnej łazienki w kształcie kawałka tortu i umyłem zakrwawione ręce. Próbowałem wykręcić się od kolejnego wykładu, jaki to cudowny jest Dylan - ulubionego tematu Pen przez ostatnie tygodnie - ale wyglądało na to, że nie pójdzie mi łatwo.

- Jest naprawdę uroczy - podjęła. - Można by sądzić, że wolałby trzymać się z dala od Rafiego, biorąc pod uwagę, no wiesz, ile dla mnie znaczy. Ale on chce tylko mnie uszczęśliwić.

- Zanim mu przejdzie, poproś o plik czystych recept - podsunąłem.

Pacnęła mnie w ramię i przyjąłem to jak mężczyzna.

Już wcześniej przekonałem się na własnej skórze, że cierpkie uwagi na temat Doktora Ojboli spotykają się ze straszliwą zemstą. Pod pewnymi względami był

dziwnym partnerem dla Pen: nie przyciągały jej rzeczy materialne, a bogactwo uznawała zazwyczaj za znak niedorozwoju duchowego, nie coś, do czego warto dążyć. Lecz bogactwo, sukces i srebrzystoszarego lexusa Dylana równoważył fakt, że był owatem - czymś w rodzaju młodszego kandydata w hierarchii szkolenia druidów, pobierającego nauki umożliwiające zostanie jednym z najwyższych kapłanów natury. Tak właśnie go poznała - na jakiejś niasiadówie w noc przesilenia na wietrznym wzgórzu w hrabstwie Penbroke. Praktykowana, przez Pen odmiana religii pogańskiej nie uznawała stopni ani hierarchii. Bardzo jednak spodobało jej się, że ten zamożny, młody lekarz próbuje odnaleźć prawdę duchową, zamiast martwić się swoim backhendem. Rozumiał też sytuację z Rafim, w odróżnieniu od większości ludzi.

Jasne, gość był najwyraźniej świętym. Chyba dobrze, że nigdy go nie spotkałem: jeśli to prawda, że przeciwieństwa się przyciągają, pewnie zakochalibyśmy się w sobie od pierwszego wejrzenia, zostawiając Pen na lodzie.

- Czy czujesz może coś w rodzaju dławiącej grozy, której nie potrafisz powiązać z niczym szczególnym? - spytałem.

W pewnych kręgach uznano by to za dziwne pytanie, lecz Pen wiedziała, że w moich ustach to brzmi jak słowa lekarza, pytającego, czy nie straciła aby apetytu. Wejrzała w swój umysł. Jest jednocześnie pojemny i nieco osobliwie urządzony, więc chwilę to potrwało.

- Nie - odparła w końcu. - Tylko zwykłe dławiące grozy, a je jestem w stanie określić. Czemu, Fix?

Wytałem ręce i wróciłem do salonu. Arthur kłapał dziobem i rozwijał i składał skrzydła - w ten sposób prosił o więcej, ale nie miałem już ani skrawka mięsa. Okrążyłem go, utrzymując bezpieczny dystans na wypadek, gdyby postanowił mnie przeszukać, tak dla pewności. Pen oparła się o framugę, z rękami splecionymi na piersi, patrząc na mnie z troską.

- Nie wiem - przyznałem. - Odbieram coś na kanale śmierci. A może nic. Wiesz, jak to jest.

Po wyrazie jej twarzy widziałem, że postanowiła zmienić temat.

- Dzwonił Grambas - oznajmiła. - Wczoraj jacyś ludzie próbowali dostarczyć ci coś do biura, ale cię nie było. Ma to w magazynku za sklepem.

Skrzywiłem się. Pielgrzymka do Harlesden w poniedziałkowy ranek to niezbyt zachęcająca perspektywa. Z drugiej strony, w końcu teoretycznie tam pracowałem, a ponieważ jestem winien Pen tak wielką sumę za zaległy czynsz, że mogłaby zapewne

zgodnie z prawem odebrać mi nerki i sprzedać w Hongkongu, uważała - w odróżnieniu ode mnie - że powinienem tam spędzać więcej czasu.

Dostrzegła jednak mój marny nastrój i zareagowała współczuciem, a ono, jak zawsze, przyjęło namacalną postać. Sprzątnęła stół - zgarniając na podłogę wszystkie gazety, pisma, podkładki i nieprzeczytaną pocztę - i poszła po talię tarota.

- Pen - rzuciłem za nią, żałując, że cokolwiek wcześniej mówiłem. - Wiesz, że ja w to nie wierzę.

- Nigdy nie zaszkodzi wysłuchać drugiej opinii - odparowała.

- Ale czyjej? Czyja to niby opinia? Kawalki laminowanej tekturki nie mają pojęcia, co się dzieje na świecie, Pen. Nikt im nic nie mówi.

- To nie karty, Fix. To ty, ja i Weltgeist, duch świata.

Skrzywiłem się i machnąłem ręką. Duch świata. Jasne. Bo wszechświat ma własną świadomość i kocha wszystkie swoje dzieci - codziennie daje nam tego dowody w postaci głodu, epidemii i powodzi. Nie kupuję tarota z tego samego powodu, z jakiego nie kupuję religii - nadzieje i lęki zwyczajnych ludzi wystają z każdego cudu niczym kości z nogi łogawego konia. Mój wszechświat tak nie działa, a jedyne obecne w nim duchy to te, którymi zajmuję się zawodowo.

Pen wręczyła mi karty do przetasowania. Miałem ochotę schować Śmierć i podrzucić na samą górę, tak żeby nie zauważyła, ale nie cierpi, gdy to robię, więc zagrałem uczciwie.

Rozłożyła triskel - trzy karty w trójkącie, dwie kolejne skrzyżowane w środku. Zwykle wołała pełny układ z dziesięciu kart, ale zna moje granice, toteż uznała, że lepiej będzie załatwić to zgrabnie i szybko.

Odkryła prostą i krzyżową - dwie karty pośrodku. Był to odwrócony As Buław i Wisielec. Pen zamrużyła, wyraźnie zaskoczona i nieco zaniepokojona tym układem.

- To bardzo dziwne - mruknęła.

- Brunet wieczorową porą? - podsunąłem.

- Nie bądź niemądry, Fix. Chodzi o to, że te dwie karty razem... oznaczają dokładnie to, o czym wspominałeś. Energię duchową - negatywną energię duchową, pozostającą w zawieszeniu. Zablokowaną. Zastygłą. Zacieśnioną.

Nie skomentowałem, ale też wcale tego nie oczekiwała. Odśloniła korzeń, kartę u podstawy po lewej: Giermek Mieczy, znów odwrócony.

- Wiadomość - zinterpretowała Pen. - Wieści. Wszystkie Giermki oznaczają początek, ogłoszenie czegoś. Myślę... ponieważ jest odwrócony, że to problem, którego

nie da się rozwiązać bądź zostaje rozwiązany w niewłaściwy sposób. Fix, jeśli ktoś poprosi cię o pomoc, bądź bardzo ostrożny. Uważaj na każdy swój krok.

Kartą w paku, w prawym dolnym rogu, była poczciwa Śmierć we własnej osobie, która jak wszyscy wiemy, wcale nie oznacza śmierci. Pen zaczęła przemowę o przejściach i zmianach, a ja machnąłem ręką w geście „kończ już”, którego używają gospodarze programów telewizyjnych.

- To kolejne złe połączenie - oznajmiła z uporem. - Giermek, As i Śmierć. Zapomnij co mówiłam o ostrożności: potkniesz się i polecisz na twarz. Ale to tylko pak, nie kwiat.

Kwiat to górny wierzchołek trójkąta. Pen odsłoniła go i oboje spojrzeliśmy. Sprawiedliwość. Kiedy patrzę na szale jej wagi, zawsze myślę o Hamlecie. „Gdybyśmy się obchodzili z każdym wedle jego zasług, któż by uniknął chłosty?”*. Nie pragnę sprawiedliwości, wolę pójść na ugodę.

Pen spojrzała na mnie, a ja pokręciłem głową - lecz pytający nigdy nie ma ostatniego słowa, nawet jeśli to tylko niemy gest.

- Wszystko się zrównoważy - oznajmiła. - Z działań wynikną konsekwencje, które zawsze miały wyniknąć. Na dobre czy na złe.

- Ale które? - spytałem. - Dobre czy złe?

- Nie dowiemy się, póki do tego nie dojdzie.

- Chryste, nienawidzę tych małych sukinsynów.

Pen dała sobie spokój z duchowością i wyjęła whisky. Przynajmniej w niektórych sprawach wciąż myślimy podobnie.

* *Hamlet*, tł. Józef Paszkowski.

3

Harlesden jest jak Kilburn, pozbawiony urody - to tereny łowne jamajskich gangsterów, zawsze skorych do strzelania, drapieżnych kierowców minicabów, mieszkających w swoich samochodach, i potężnej nacji dzikich kotów. Ach, i zombie: z jakichś przyczyn ci, którzy powstałi w ciebie, lubią gromadzić się tłumnie na opuszczonych ulicach przeznaczonego do rozbiórki osiedla Stonehouse. W tym otoczeniu sami prezentują się całkiem nieźle.

Moje biuro mieści się przy Craven Park Road, obok kebabowni Grambasa - czy raczej moje drzwi są obok ich drzwi. Sam pokój, w którym prowadzę skromne, nieczęste interesy, znajduje się na pierwszym piętrze, dokładnie nad wiecznie bulgocącymi patelniami Grambasa. W kiepskie dni dostrzegam w tym obrazie imitację piekła.

Chwilowo szyld nad drzwiami nadal głosił: F. CASTOR, EKSTERMINACJA, lecz od dawna zdecydowanie nie odpowiadało to prawdzie. Nie podchodzę już tak swobodnie i lekko jak kiedyś do wypalania duchów, nie pamiętam nawet, kiedy ostatnio to zrobiłem, i w sumie to chyba dobrze. Ale każdy potrzebuje jakiejś specjalności, a Bóg nie obdarzył mnie barami ani usposobieniem predysponującym do ciężkiej harówki fizycznej. Podjąłem zatem w końcu kroki, które rozważałem od dłuższego czasu, i wyglądało na to, że dziś przypieczętuję wszystko oficjalnie. O dziesiątej, w deszczowy, majowy poranek, Grambas nie usmażył jeszcze nawet pierwszego donera. Zapukałem do jego drzwi i czekałem, zastanawiając się, czy już wstał. Dostałem odpowiedź, kiedy okno nade mną po prawej otworzyło się i wyłoniła się z niego błyszcząca łysina. Para wodnistych, piwnych oczu spojrzała na mnie mętnie. Do pasa - na szczęście dalej go nie widziałem - Grambas był nagi.

- Kurwa - powiedział niewyraźnie. - To się nigdy nie kończy. Wróc w południe, Castor.

- Rzuć mi klucze - poprosiłem. - Muszę tylko zabrać paczkę z twojego magazynu.

Westchnął ciężko, skinął głową i zniknął. Parę chwil później z okna wyleciały klucze i o mało nie zginąłem pod kołami furgonetki z lodami, cofając się, by je złapać. Skręciłem w uliczkę obok knajpy i dalej na podwórze, drzwiami, których zawiasy trzymała w kupie wyłącznie rdza. Magazyn natomiast miał solidne drzwi ze wzmocnionej stali i trzy kłódki - Grambas świetnie zna swych sąsiadów, i choć wybaczają im grzechy, nie uważa za stosowne ich finansować.

Zdjąłem kłódki i zostawiłem otwarte na skoblach. Ocenianie profesjonalizmu wszystkich napotkanych zamków to dla mnie coś naturalnego - ich otwierania uczyłem się od mistrza, a choć świat od tego czasu przeniósł się w krainę kluczy elektronicznych i podwójnie zabezpieczonych kodów cyfrowych, nadal świetnie sobie radzę z typowymi modelami używanymi przez większość ludzi. Jeden z tych zamków był generykiem, pozbawionym nawet nazwy producenta. Drugi to czcigodny squire, a trzeci seksowny drań z tytanowej serii firmy Masterlock. Numery jeden i dwa otworzyłem z łatwością w każdej chwili, lecz nad trzecim musiałem bardzo długo popracować. Nie twierdzę, że bym nie potrafił, ale trzeba by naprawdę porządnego powodu, bym zechciał się nim zająć.

W magazynie panowała obsesyjna, nieskazitelna czystość. Pod jedną ścianą niemal pod sufit piętrzyły się starannie ułożone pudła, pod drugą ustawiono w rzędzie trzy trumienne zamrażarki. Moja paczka leżała na podłodze pośrodku; widniało na niej jedno samotne słowo CASTOR, nabazgrane grubym, czarnym markerem. Miała półtora metra długości, pół szerokości i zaledwie trzy centymetry grubości. Podniosłem ją i po drodze pożyczylem też skrzynkę z narzędziami Grambasa. W mojej własnej mieszczą się trzy klucze i kłębek sznurka; ostatnio widziałem ją w 1998. Zatrzasnąłem za sobą wszystkie kłódki i wyszedłem na ulicę.

Nowy szyld miał dokładnie rozmiary starego, toteż jego zawieszenie mieściło się w granicach moich żalosnych umiejętności majsterkowania. Mogłem nawet wykorzystać te same śruby, gdyby nie przerdzewiały i nie połamały się podczas wyciągania. Mimo tej drobnej przeszkody i deszczu padającego coraz mocniej, po dziesięciu minutach F. CASTOR, EKSTERMINACJA zamienił się w: FELIX CASTOR, USŁUGI DUCHOWE. Spojrzałem na szyld z satysfakcją. Ukradłem ten eufemizm nieboszczykowi, ale hej, on w końcu zginął, próbując mnie zabić. Od czasu do czasu także mnie okradał, więc nie zamierzałem specjalnie się tym przejmować. Najważniejsze, że nie

łamałem już dłużej ustawy o właściwym nazewnictwie firm. Teraz pozostawało mi tylko usiąść i czekać na tłumy klientów.

Tym, czym dokładnie są usługi duchowe, postanowiłem martwić się kiedy indziej. Byłem pewien, że je rozpoznam, gdy już jakąś zobaczę.

Kiedy zaniósłem skrzynkę z narzędziami Grambasa na podwórze, właściciel wychodził właśnie z magazynu, dźwigając w obu rękach po bańce oleju do smażenia. Na mój widok zatrzymał się i je odstawił.

- Zapomniałem ci powiedzieć - rzekł. - Miałeś klienta. A dokładniej dwóch.

Uniosłem brwi. W dzisiejszych czasach to raczej rzadkie.

- Kiedy? - spytałem ostro.

- Dziś rano. Około siódmej. Kiedy Maya wróciła z hurtowni, stali na dworze na deszczu. Pożałowała ich. W istocie tak długo ich żałowała i nie zamykała jadaczki, że w końcu włożyłem spodnie i zszedłem do nich. Wciąż tam stali, czekali, aż się zjawisz. Powiedziałem, żeby zostawili numer i że zadzwonię kiedy przyjdiesz. - Sięgnął do kieszeni i wyłowił stołową serwetkę, którą mi wręczył. Widniał na niej numer telefonu, zapisany ukośnie pochyłym, krzywym pismem Grambasa.

- Jacy byli? - spytałem.

- Mokrzy.

W biurze jak zwykle przeprowadziłem bezwzględną selekcję rachunków i bezlitośnie obszedłem się z resztą poczty; w większości składały się na nią przesyłki, po których od razu było widać, że to oszustwo albo mandat za nadmiernie szybką jazdę, nie trzeba nawet otwierać koperty. Wiadomości telefoniczne zajęły niebo dłużej, bo na niektóre musiałem oddzwonić, lecz żadna nie dotyczyła niczego, co można by nazwać pracą, a przynajmniej nie płatną. Jedną zostawił Coldwood, prosił, bym oddzwonił, uznałem jednak, że zostawię to na później. Następną Pen z informacją, że Coldwood dzwonił do domu, jakieś pięć minut po moim wyjściu. Kolejną, Juliet.

- Witaj, Feliksie. - Grzebałem właśnie w szafce z aktami, lecz ów głos, grający na basowych strunach mego układu nerwowego, sprawił, że wyprostowałem się gwałtownie i odwróciłem do telefonu, jakby naprawdę tu była. - Chciałabym prosić cię o radę w pewnej sprawie. Jest dość nietypowa i wołałabym, żebyś zobaczył to sam. Musiałbyś jednak przyjechać do Acton, więc zrozumieć, jeśli odmówisz. Zadzwon do mnie.

Tak też zrobiłem. Powinienem tu wyjaśnić, że Juliet to jedynie znajomość zawodowa. To prawda, chętnie poczołgałbym się do Jerozolimy i z powrotem, by zmienić te relacje w coś ostrzejszego i bardziej namiętnego, ale podobnie postąpiłby każdy mężczyzna, który ją spotyka, i przypuszczam, że ponad połowa kobiet. Juliet jest sukubem (na emeryturze) - budzenie w ludziach podniecenia i odbieranie im rozumu to część tego, w jaki sposób jej gatunek poluje i się odżywia.

Oddzwanianie nie zadziało, mam jednak numer Juliet zapisany na wizytówce, którą noszę w portfelu. Jak już wspominałem wcześniej, właściwie nigdy z niego nie korzystam, bo też zwykle nie ma w tym cienia sensu. Juliet mieszkała - przynajmniej nominalnie - w schronisku dla kobiet w Paddington. (Na początku uznałem to za dziwne, ale po zastanowieniu dostrzegłem pewien szalony sens: mężczyźni wykorzystywali ją i kontrolowali, aż w końcu wyzwoliła się i pożarła ich ciała i dusze). W rzeczywistości jednak pokój był jedynie miejscem, w którym przechowywała swój skromny dobytek: nie musiała spać i lubiła świeże powietrze, toteż bardzo rzadko zatrzymywała się tam na dłużej.

Jej telefon dzwonił dość długo, bym niemal zrezygnował, ale rzadko się zdarza usłyszeć zwykły ton, nie zajęty, toteż czekałem dalej. Tak naprawdę to nie jej telefon: stoi we wspólnej kuchni ośrodka, z której korzystają wszystkie mieszkanki, w sumie ponad dwa tuziny. Po jakiejś minucie odebrała go wreszcie Juliet we własnej osobie. Znow dopisało mi szczęście. Od razu postanowiłem kupić los na loterię.

- Halo.

- To ja - odparłem. - O co chodzi?

- Och, witaj, Feliksie, dziękuję, że się odezwałeś.

- Przecież nadal jestem twoim sensei. Nie mogę pozwolić ci samej hasać na swobodzie.

Był to jeden z idiotyczniejszych aspektów naszych relacji. Juliet - naprawdę nazywa się Ajulutsikael - pierwotnie przywołano z piekła, by mnie zabiła i pożarła, bo zadawałem niewygodne pytania, których wolał uniknąć pewien alfons, niejaki Damjohn. Potem jednak uznała, że woli żyć na Ziemi niż w domu na zadupiu piekła, toteż rzuciła tę robotę i pozwoliła mi żyć - pod warunkiem, że nauczę ją odprawiać egzorcyzmy. I tak zostałem opiekunem stażu i doradcą podatkowym istoty liczącej sobie kilka tysięcy lat, która, gdyby kiedykolwiek zgłodniała podczas pracy, mogła wyssać moją duszę przez każdy otwór bądź wyrostek ciała. Było to bardzo interesujące

doświadczenie. Może kiedyś w przyszłości znów zdołam przespać spokojnie całą noc, nie śniąc o nim.

- Czy tu chodzi o pracę? - naciskałem, wpychając owe wspomnienia do cuchnącej samotni mojej podświadomości.

- Mam zlecenie - odparła wymijająco. - W kościele w zachodnim Londynie. To Święty Michał przy Du Cane Road, dokładnie naprzeciwko Wormwood Strubs.

- I...?

- I chciałabym wysłuchać twojej opinii w pewnej sprawie.

- Czy specjalnie zachowujesz się mętnie i tajemniczo?

- Tak.

- Dobra. Zjawię się, kiedy tu skończę. Może być koło szóstej?

- Idealnie. Dziękuję, Feliksie. Dawno się nie widzieliśmy. Już nie mogę się doczekać spotkania.

- Tak - mruknąłem. - Ja też. Do zobaczenia, Jules.

Rozłączyłem się. Niech to diabli, cały się spociłem. Wystarczył tylko jej głos, bym się spocił.

Musiałem zacząć myśleć o czymś innym. Przypomniawszy sobie serwetkę Grambasa, wyciągnąłem ją z kieszeni: cyfry były lekko rozmazane od deszczu, który zmoczył papier, kiedy Grambas podawał mi go na podwórzu, ale nadal czytelne. Pierwsze, 07968, świadczyły, że to numer komórki.

Zadzwoń.

- Halo? - Głos mężczyzny, pełen wahania, przesadnie ostrożny, jakby spodziewał się złych wieści.

- Mówi Felix Castor - oznajmiłem. - Dziś rano był pan w moim biurze.

- Pan Castor! - Nagłe podniecenie zabarwiło głos tamtego całą paletą kolorów. Żałuję, że nie działał podobnie na niektóre znane mi kobiety. - Dziękuję, że pan się odezwał. Bardzo, bardzo dziękuję. Jest pan teraz w biurze?

- Tak, jestem. Gdyby chciał się pan umówić...

- Zaraz tam będziemy. Przepraszam, to znaczy, czy możemy się z panem spotkać? Jesteśmy bardzo blisko. Czy to panu odpowiada?

Miałem ochotę skłamać, by ratować twarz: pozwolenie, by klient odkrył, że jesteś dostępny od ręki, to kiepski pomysł, bo natychmiast zaczyna wyciągać najróżniejsze wnioski na temat twojego obłożenia. Z drugiej strony nie wyglądało na to, że muszą się zbytnio starać, by ich do siebie przekonać.

- Jasne - powiedziałem. - Przychodźcie.

Przedstawili się jako Melanie i Stephen Torrington - Mel i Steve. Mili ludzie. Zrozumiałem, czemu narzeczona Grambasa Maya instynktownie poczuła do nich sympatię i współczucie. Na oko oboje przed czterdziestką, dobrze ubrani i utrzymani, bogaci, lecz nie demonstracyjnie. W istocie istniał jeszcze jeden powód owego natychmiastowego współczucia i zdziwiło mnie, że Grambas o nim nie wspomniał. Całą lewą stronę twarzy Melanie pokrywały fioletowe sińce i miała spuchnięte oko.

Stephen był wysoki i jasnowłosy, jego opalenizna mogła być naturalna, choć z pewnością nie nabył jej w Harlesden. Szare jak granit oczy nadawały twarzy pewną surowość, lecz jej wyraz - skromny i lekko zakłopotany - łagodził to wrażenie. Miał na sobie porządnie skrojony grafitowy garnitur - zbyt elegancki i zbyt dobrze dopasowany, by pochodził ze sklepowego wieszaka - i błękitny krawat z lakierowaną spinką w kształcie sędziowskiego młotka. Oburącz ścisnął czarny, wypełniony czymś worek na śmieci; musiał go odstawić, by uścisnąć mi dłoń. Worek nie do końca pasował do reszty stroju, ale uznałem, że dojdziemy i do tego. A uścisk, który, jak miałem nadzieję, mógł powiedzieć mi coś więcej o tym człowieku, nie zdradził niemal niczego. Czasami ów zmysł, pozwalający szpiegować umarłych, umożliwia mi także podsłuchiwanie uczuć żywych, poprzez bezpośredni kontakt cielesny. U Stephena Torringtona nie wyczułem niczego prócz palącej determinacji, zagłuszającej wszystko inne.

Melanie także była blondynką i również wysoką - piękna para, idealnie dobrana w niebie, czy przynajmniej w bardzo ekskluzywnym wiejskim klubie po drodze do nieba - a sądząc z jej nietkniętej części, miała pięknie rzeźbioną twarz o arystokratycznych kościach policzkowych i błękitnych oczach, przyprószonych jaśniejszymi drobinkami. Paskudna opuchlizna z lewej strony psuła jednak cały efekt. Wyglądała jakby brała udział w wypadku samochodowym - albo jakby ktoś ją pchnął na ścianę.

Podobnie jak Steve była nienagannie ubrana i roztaczała wokół aureę bogactwa i statusu. Tak jak on sprawiała wrażenie, że tkwi zamknięta w sarkofagu pełnych napięcia emocji; miałem wrażenie, że gdybym zastukał w nie palcem, zadźwięczałyby jak naprężona struna. Splatała sztywno ręce na piersi, jakby szukała w tym pociechy.

Tym razem uścisk dłoni ujawnił złożoną sieć nakładających się na siebie pozytywnych i negatywnych emocji: strach, duma, wstyd, żarliwa miłość, znów strach - kocia kołyska uczuć, które do siebie nie pasowały.

Steve wyjaśnił, że jest prawnikiem w firmie rodzinnej w Stoke Newington - jeszcze nie wspólnikiem, ale niemal. Melanie była adwokatką, tak właśnie się poznali. Byli małżeństwem od osiemnastu lat. Na standardowe, grzecznościowe pytania odpowiadali sztywno i niechętnie, zupełnie jakbym ich pytał, gdzie i jak zarazili się syfilisem.

Nie tylko dlatego atmosfera zrobiła się raczej niezręczna: przy trzech osobach w moim biurze było już dość ciasno. Dodajmy do tego fakt, że mleko, które zostawiłem w przenośnej lodówce, zdążyło od czasu mojej ostatniej wizyty skisnąć, zzielenieć i zmutować w nową formę życia, i że musiałem ukryć porośnięte grzybem kubki za szafką. Niestety, moja profesjonalna fasada wydawała się jeszcze mniej przekonująca niż zazwyczaj: kiedy usiedli, nie mogłem ich nawet poczęstować kawą.

Uznałem zatem, że od razu przejdę do rzeczy.

- Czym mogę służyć? - spytałem.

- Nasza córka - wymamrotała Mel. Opuchlizna z lewej strony szczęki sprawiła, że jej głos zabrzmiał głucho i niewyraźnie. Umilkła, zupełnie jakby zabrakło jej słów.

- Abbie - podjął wątek Steve. - Abigail. Zaginęła.

Podczas gdy głos Mel pozostawał starannie beznamiętny, jego do tego stopnia przepełniały emocje, że wydawał się niemal zdławiony. Wyłowił z kieszeni portfel i wyjął coś małego i prostokątnego, wręczył mi to. Odwróciłem ów prostokąt w swoją stronę: to było zdjęcie paszportowe, przedstawiające dziewczynkę. Sądząc po twarzy i budowie, miała jakieś trzynaście, czternaście lat, długie proste jasne włosy z rodzaju tych, które na butelkach z szamponem nazywają puszystymi, i niezgrabny, przepraszający uśmiech. Na szyi złoty wisiołek w kształcie serca. Miała coś w oczach: coś odrobinę smutnego i udręczonego. A może nie. Może, biorąc pod uwagę późniejsze wydarzenia, moja pamięć umieściła tam ten szczegół.

- Przykro mi to słyszeć - odparłem, tak szczerze jak to tylko możliwe w podobnych okolicznościach. W końcu ci ludzie byli dla mnie obcy, a Abigail pozostawała tylko imieniem. - Jak dawno temu?

Mam taki durny nawyk kiedy nic innego nie przychodzi mi do głowy, zaczynam od pytań, niczym lekarz próbujący postawić diagnozę.

Steve zerknął na Mel.

- W sobotę - odparła z wahaniem. Miałem wrażenie, że błąka się po myślowym polu minowym. - Dwa dni temu. Wtedy widzieliśmy ją po raz ostatni i wtedy też stało się coś jeszcze. Coś, co jak sądzymy, może mieć związek.

Zarejestrowałem słowo „może”, które uznałem za nieco dziwne, i już miałem je przyszpilić, gdy znów odezwał się Steve.

- Chcemy, żeby ją pan dla nas znalazł, panie Castor.

Zdażyłem już wyciągnąć zupełnie inne wnioski i otworzyłem usta, by wygłosić pierwsze słowo przemowy, którą częstowałem klientów setki razy wcześniej, więc nieco zbił mnie z pantałyku. Zamknąłem usta, wodząc wzrokiem od mężczyzny do kobiety i z powrotem, i próbując wymyślić, co powiedzieć.

Większość ludzi w sytuacji Torringtonów szukałaby zapewnienia, że Abigail wciąż nie przekroczyła granicy zaświatów: to usługa, którą przede wszystkim ofiarują egzorcycyści, choć nie zawsze potrafią spełnić dane obietnice. Zamierzałem powiedzieć: „Tak, poszukam ducha Abbie i spróbuję stwierdzić, czy wciąż przebywa w swym ciele”, ale przy całej serii zastrzeżeń i zabezpieczeń, bo nawet przy sprzyjającym wietrze i idealnym przedmiocie skupienia, mogę znaleźć ducha tylko, jeśli da się go znaleźć. Niektórzy po śmierci odchodzą bardzo szybko i nigdy nie wracają, i tylko największy frajer spośród naszych zakłada, że nieobecność ducha to dowód na to, że ktoś wciąż żyje.

Tak czy inaczej, wszystko teraz się posypało, miałem na talerzu zupełnie inną propozycję - i inny zestaw możliwości. Nadal mogłem przyjąć pracę, gdybym miał na to ochotę. Istnieją sposoby odnajdywania żywych ludzi, które (ujmę to tak neutralnie, jak tylko potrafię) pozostają dostępne jedynie przedstawicielom mojego fachu. Tyle że ja zazwyczaj ich nie stosuję. Pomijając Rafiego, nie zadaję się z demonami i nie wskrzeszam umarłych tak, by móc wyciągać z nich informacje. Ogólnie rzecz biorąc, jeśli ktoś śpi spokojnie w grobie, zostawiam go w spokoju. To moje szczątkowe standardy etyczne.

Pozostawało zatem drugie wyjście: odmówić Torringtonom, czyniąc to możliwie taktownie i bezboleśnie.

- Zazwyczaj nie zajmuję się sprawami zaginionych - oznajmiłem. Wiedziałem, że zabrzmiało to marnie i zimno, spróbowałem więc ponownie: - Z pewnością wezwaliście policję, która robi wszystko co w jej mocy. Mój wkład w najlepszym razie byłby minimalny i bardzo niepewny. Może nim zaczniecie działać sami, poczekajcie

na to, co znajdują. Albo przynajmniej pomówcie o tym z zajmującym się tą sprawą oficerem. Wiem, że to kiepska pociecha, ale oni naprawdę wiedzą co robią.

Mel otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Lukę zapełnił Steve.

- Nie ma żadnego dochodzenia policyjnego - oświadczył z taką miną, jakby ugryzł coś bardzo gorzkiego.

Zamrugalem, zdumiony.

- Nie ma? W takim razie uważam, że to pierwsze, co powinniście...

- Abbie już nie żyje.

Jak zawsze profesjonalista, nie pozwoliłem szczęce opaść na podłogę. Wymagało to jednak pewnego wysiłku i w pełnej napięcia ciszy słowa te zawisły w powietrzu, namacalne, poruszające.

- Moglibyście to rozwinąć? - rzekłem w końcu.

Melanie pokręciła głową, jakby jej umysł automatycznie odmawiał powracania w tamte miejsca.

- Zginęła podczas szkolnej wycieczki do Cumbrii, latem zeszłego roku - oznajmiła. Jej głos brzmiał jeszcze bardziej martwo i twardo niż wcześniej. - To był wypadek. Trzy dziewczynki wpadły do rzeki: Abbie i jej dwie koleżanki. Właśnie spadły deszcze i prąd był bardzo silny.

- Woda porwała je, nim ktokolwiek zdołał zareagować - podjął Steve. W jego głosie usłyszałem gniew, był to jednak stary gniew, już bardzo wyćwiczony i mający siebie powyżej uszu. - W ogóle nie powinny się znaleźć w pobliżu rzeki. Nie miały szans. Najmniejszych szans.

Oboje umilkli, odwracając wzrok ode mnie i od siebie nawzajem. Widziałem, że po niemal roku rana wciąż pozostaje świeża. Pewnie będzie świeża do końca życia.

- Ale wróciła - podsunąłem.

Powoli w mojej głowie pojawiał się obraz: ponury i smutny, odmalowany głównie odcieniami szarości - ale też rzadko widuję obrazy jaśniejące barwami podstawowymi.

Steve przytaknął.

- Tak, wróciła. Jakies trzy miesiące później. Byliśmy w jej pokoju.

- Uprzątałście rzeczy? - zaryzykowałem, on jednak gwałtownie pokręcił głową.

- Po prostu siedzieliśmy. W jej pokoju. I wtedy ja... nagle poczułem, że nie jesteśmy sami. Że ktoś tam wszedł i stoi obok nas. Niczego nie widziałem, ale po prostu wiedziałem. - Uśmiechnął się słabo, z ogromnym znużeniem. - Odwróciłem się

do Mel i powiedziałem „czujesz to?”. Coś w tym stylu. Myślała, że oszalałem, ale potem pokiwała głową. Bo też to poczuła. - Z początku tak to właśnie wyglądało. Trzeba było stanąć w pewnym miejscu i dawało się ją wyczuć. Zapach jej oddechu. Jakiś tydzień później zaczęliśmy ją widywać. Z początku zawsze kątem oka - nigdy gdy zwróciliśmy się wprost ku niej. Zupełnie jakby wracała do nas powoli, z bardzo, bardzo daleka. Czekaliśmy, a ona zbliżała się coraz bardziej. Potem zaczęliśmy słyszeć jej głos: czasami wieczorem wołała do nas „dobranoc” z jej pokoju, kiedy kładliśmy się do łóżka. My też odpowiadaliśmy „dobranoc”, jakby...

Urwał i Mel natychmiast przejęła pałeczkę. Przez moment miałem wrażenie, że opowiadali już wcześniej tę historię, i zastanowiłem się, ilu odwiedzili egzorcystów, nim w końcu dotarli do mnie.

- Zupełnie jakby nadal żyła. Jakby nic się nie stało.

- Uznaliśmy, że to najlepszy sposób zachęcenia jej, by została - dodał Steve. - Stałem wieczorem przy zlewie i zmywałem po kolacji, a ona gdzieś zza pleców zaczynała rozmowę. Nie oglądałem się. Po prostu z nią gawędziłem. Opowiadałem o tym, co się dzieje w pracy i z jej... przyjaciółmi. Powtarzałem dowcipy.

Na parę sekund przymknął oczy, po czym otworzył je i spojrzał na mnie, jakby się spodziewał wyzwania. Po chwili po jego policzku krętą ścieżką spłynęła samotna łza. Nie wyglądał mi na osobę płaczącą i przez moment poczułem wyrzuty sumienia mimowolnego podglądacza.

- Wiem, jak dziwnie to musi brzmieć, panie Castor - powiedział Steve Torrington. - Ale jej powrót pomógł nam przetrwać. Z powrotem staliśmy się rodziną.

Wzruszył ramionami - lekkim ruchem, znaczącym o wiele więcej niż słowa. Zrozumiałem dokładnie, jak to działało, a biorąc pod uwagę inne miejsca, do których często trafiają duchy, łono rodziny zdawało się tak bliskie rajowi, że właściwie jemu tożsame.

„I może w tym właśnie rzecz”, odpowiedział kliniczny, obojętny głos z tyłu mojej głowy. Dla duchów szczęście to broń obosieczna.

Ująłem to możliwie najłagodniej.

- Czasami, powiedziałbym nawet, że często, zmarłych utrzymuje na Ziemi uczucie, że mają jeszcze coś do zrobienia. Innymi razy to jedynie strach i ból towarzyszący śmierci, albo inne silne uczucia, na przykład gniew. - Próbowałem to przedstawić w odpowiedni sposób, tak by dostrzegli, co to w istocie oznacza: szczęśliwe zakończenie. - Tak czy inaczej, zazwyczaj to coś negatywnego. Większość

duchów na jakimś poziomie cierpi. Myślę, że skoro sprawiliście, że Abbie poczuła się bezpieczna, mile widziana i kochana, a tak pewnie było, możliwe, że przeszła dalej, gdziekolwiek to jest. - Woląłem nie wprowadzać do równania nieba. Pewnie już wspominałem, że jestem ateistą, głównie dlatego, że nie mogę się pogodzić ze sprzecznością wszechmocnego Boga tworzącego świat tak kiepski, jak ten, na którym żyjemy. Paru licencjonowanych monterów gazowych spisałoby się lepiej. - Możliwe, że teraz znalazła się gdzie indziej - gdzieś, gdzie powinna była odejść od razu po śmierci. Dodatkowy czas z nią był darem i, no wiecie, pociechą. Ale nie miał trwać wiecznie. Zazwyczaj zmarli nie są zbyt trwali.

Steve bardzo gwałtownie kręcił głową, niemal z gniewem, ale milczał. Zamiast tego odwrócił się i spojrzał wyczekująco na Mel, która wbijała wzrok w biurko. Najwyraźniej ta część historii stanowiła jej działkę.

- Jest coś jeszcze - oznajmiła, głośno przełykając ślinę. - Poznałam pewnego mężczyznę. Trzy lata temu. - Zerknęła na mnie szybko, sprawdzając, jak wiele wywnioskowałem z jej słów. Patrzyłem spokojnie przed siebie. Wolę, by ktoś inny stawiał kropkę nad i. - Był... klientem. Reprezentowałam go w sądzie.

- Pana kolega po fachu - dodał Steve.

- Egzorcysta?

- Tak, właśnie. Egzorcysta.

Mel patrzyła na Steve'a z osobliwą miną: na jej twarzy widziałem napięcie, błaganie, uległość. Zastanawiałem się, czy to on obdarzył ją siniakami w czasie sprzeczki małżeńskiej, która wymknęła się spod kontroli. Trzy lata temu... Czy w tym małżeństwie oznaczało to historię starożytną, czy też sprawy bieżące? Nie wyglądał na gościa bijącego żonę. Ale też większość facetów tak nie wygląda.

I wtedy, jakby chciał mnie zawstydzić za te podejrzenia, Steve objął ją i przyciągnął do siebie, całując w czubek głowy.

- Nie musisz tego rozdrapywać - powiedział tak cicho, że ledwie go słyszałem. - Nie winię cię. Wiesz, że cię nie winię, prawda?

Mel skinęła głową, z uporem patrząc w ziemię.

- Chciałabyś zaczekać w samochodzie?

Znów przytaknęła, toteż zabrał rękę. Jeszcze raz pocałował żonę. Wstała.

- Mam nadzieję... - zaczęła, zerkając na mnie błagalnie. - Mam nadzieję, że zdoła nam pan pomóc, panie Castor.

A potem wzdrygnęła się, odwróciła i wyszła z biura.

Zapadła ciężka cisza. Postanowiłem zaczekać, aż Torrington ją przerwie.

- Ten człowiek nazywał się Dennis Peace - rzekł w końcu łagodnym tonem, lecz w owej łagodności krył się ukryty podtekst. - Może go pan zna?

Pokręciłem głową. Usłyszałem coś jakby słabe echo, ale łowcy duchów nie są zwierzętami stadnymi. A nawet kiedy się spotykamy, nie zawsze przedstawiamy się sobie, nie obwąchujemy sobie tyłków. Echo jednak wyglądało ciekawie: coś na temat bójki, która źle się skończyła. Będę musiał przyszpilić je później, bo Steve nadal mówił.

- Zaskarżono go po egzorcyzmach, które poszły nie tak: duch nie został właściwie skrepowany i wyrządził spore szkody w domu, który nawiedzał. Peace oznajmił, że „zgeistował” i że czasami tak bywa, niezależnie od środków ostrożności.

Znów poczułem pod nogami pewniejszy grunt, powitałem go jak starego kumpla.

- Dlatego właśnie umieszcza się to w standardowych kontraktach - zgodziłem się. - Egzorcysta odpowiada za wszelkie szkody wyrządzone przez siebie bezpośrednio, ale nie za te wyrządzone przez ducha. Sprawa powinna być jasna, pod warunkiem, że w ogóle podpisał z nimi kontrakt.

I kto to mówił: osobiście nigdy nie przejmowałem się detalami prawnymi, choć wiedziałem aż za dobrze, że warto się zabezpieczyć, na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

- Gdyby istniał kontrakt, z pewnością wszystko poszłoby świetnie, jak pan mówi. Z tego co słyszałem, Peace wolał umawiać wszystko na gębę, toteż sprawa była znacznie trudniejsza, niż się zdaje. Tak czy inaczej, Mel zgodziła się go reprezentować i postanowiła powołać się na praktykę i tradycję: powód już wcześniej zatrudniał egzorcystę, znał standardowe warunki i tak dalej. Nie wygrała. Lecz, przygotowując się do rozprawy, spędzała sporo czasu z Peace'em. - W jego głosie pojawiła się twarda nuta. - Z tego, co później mówiła, wnioskuję, że lubiła z nim rozmawiać, bo należał do świata, którego dotąd nie znała. Był niemal jak bohater kina akcji z hollywoodzkiego przeboju. Pociągał ją i mieli romans. Krótki. To był jedyny raz. Jeden jedyny. Jestem tego absolutnie pewny. I wiedziała, nawet to robiąc, że nie powinna, że to niewłaściwe. Zakończyła to po dwóch miesiącach. Doszło do sceny, bardzo nieprzyjemnej, dramatycznej sceny, lecz w końcu Peace pogodził się z faktem, że Mel nie chce go więcej widzieć. A potem, kiedy skończyła ze wszystkim i przemyślała to co zrobiła... - Umilkła na długą chwilę. - Opowiedziała mi o tym i prosiła, bym jej

wybaczył. Zrobiłem to. Bez zastrzeżeń. Bo była ze mną absolutnie szczerą. Zgodziliśmy się, że nigdy więcej nie wrócimy do tego tematu.

Czekałem. Zapewne ta historia do czegoś prowadziła, ale jak dotąd nie wiedziałem do czego.

- Po śmierci Abbie... to znaczy po tym, jak wróciła... - Steve mówił coraz ciszej, tak że musiałem wyteńczyć słuch. - Mel popełniła błąd i zadzwoniła do Dennisa, pytając, co powinniśmy zrobić.

- Dlaczego to było błędem?

- Bo uznał to za sugestię, że chciałaby do niego wrócić. - Steve roześmiał się, kręcąc głową. - Nasza córka dopiero co zginęła, Mel była bliska załamania nerwowego, a on prosił, by się z nim spotkała. Zarezerwował pokój w hotelu w Paddington. Zasugerował Mel, by mi powiedziała, że urządzi seans dla Abbie, i spędziła z nim noc. Odparła, żeby się pierdolił. - Ostry, gardłowy ton pojawił się znienacka, ale wyraźnie pasował do nastroju chwili. Steve zamrugał kilka razy, bardzo szybko, jakby chciał powstrzymać napływające do oczu łzy. - Ale on nie chciał pogodzić się z odmową. Ciągle do niej wydzwaniał. Umawiał się z nią przez izbę adwokacką, musiała odwoływać spotkania. Potem czekał na nią parę wieczorów po pracy. Mówił, że muszą porozmawiać o ich związku, o tym, dokąd to zmierza. Odparła, że nie ma żadnego związku. Powiedziała, żeby zostawił ją w spokoju. Zagroził, że powie mi o wszystkim co ich łączyło, ale oczywiście ona zrobiła to już wcześniej. - Steve ponownie spojrzał mi prosto w oczy. - Z czasem Mel zaczęła się bać, że Peace przeżywa coś w rodzaju załamania psychicznego. - Usta Steve'a wygięły się w wyrazie niesmaku. - Bała się.

Nagle zrobił coś dziwnego. Wyciągnął rękę, otworzył czarny worek i zajrzał do środka, jakby jego zawartość miała mu dodać otuchy. Potem znów go zamknął i kontynuował opowieść jak gdyby nigdy nic.

- Mel nie ukrywała przede mną niczego, i kiedy wydarzenia osiągnęły wspomniany etap, poprosiłem jednego z kolegów, by wysłał Peace'owi list na papierze firmowym, informujący, że jeśli nie zostawi Mel w spokoju, podejmiemy stosowne kroki prawne. W dawnych czasach oznaczałoby to zakaz zbliżania się, ale byłem niemal pewien, że zdołałbym osiągnąć skazanie za nękanie i prześladowanie. Co, gdyby nie był grzeczny, oznaczałoby wyrok więzienia. Ale do niego wciąż nie docierała prawda. Kolejny raz zadzwonił do Mel, do pracy i do domu, i zrozumiałem, że będę musiał przekuć słowa w czyny. Już wcześniej złożyliśmy skargę na policji, co nic nie dało, ale przynajmniej oznaczało, że dysponowaliśmy numerem sprawy. Dzięki niemu

i rejestrowi wydarzeń można zwrócić się do sądu o wydanie zakazu zbliżania się. I tak właśnie uczyniliśmy. Potem jednak, w sobotę dwa dni temu, przyszedł do nas, do domu. Sprawiał wrażenie pijanego. Nieopanowanego. Lecz większość pijaków, których zdarza mi się widywać, jest raczej ospała, może zatem czymś się naćpał. Kiedy otworzyłem drzwi, przecisnął się obok - jest ode mnie znacznie wyższy i cięższy - i zażądał rozmowy z Mel. Złapałem telefon, żeby wezwać policję, on wyrwał kabel z gniazdka. Potem ruszył w stronę schodów. Nie tego się spodziewałem i zareagowałem z lekkim opóźnieniem. Ale pobiegłem za nim i skoczyłem na niego. Mel była na górze, w sypialni, usłyszała wszystko: krzyki Peace'a i moje, trzaski i łomoty. Wybiegła na podest i zobaczyła nas na schodach, walczących ze sobą. Zobaczyła, jak padam. Ja nie umiem walczyć, a nawet gdybym umiał, to on i tak nie był w tym lepszy. Walnął mnie w brzuch, a potem, kiedy upadłem, kopnął. Właściwie to kopał, długo, aż w końcu nie mogłem oddychać. A ból... chyba zemdlałem. Mel mówi, że wtedy zaczęła krzyczeć i Dennis spojrzał na nią. Możliwe, że uratowała mi życie, bo zapomniał o mnie i pobiegł ku niej. Przeskoczył nade mną, pędząc po schodach i... Wiem, że to relacja z drugiej ręki, panie Castor, ale wątpię, by ta sprawa kiedykolwiek trafiła do sądu. Powiedział: „Wracasz do mnie, suko. Będziesz błagała, żebyś mogła do mnie wrócić”. Mel uciekła do sypialni i zamknęła drzwi na klucz. Była tam jej torebka, a w niej komórka, zamierzała zadzwonić na policję. Ale nie zdążyła. Peace wyważył drzwi - zamek był niezbyt mocny, po prostu wyrwał go z drewna. On... on ją pobił...

Z każdym słowem Torrington stawał się coraz bardziej podenerwowany. Teraz zająknął się i zamilkł, dygocząc. Wstałem, myśląc o tym, żeby podać mu szklanekę wody, ale on machnął ręką: nie chciał mojego współczucia.

- Pobił ją. Widział pan jej twarz? Plecy, bok i lewa ręka wyglądają tak samo. A potem splądrował pokój. Zaczął wyciągać szuflady i wyrzucać zawartość na podłogę, wywlekać ubrania z szaf. Kiedy Mel znów próbowała sięgnąć po telefon, rozdeptał go, zmiażdżył. Gdyby nie cofnęła ręki, także by ją zdeptał. Wyraźnie czegoś szukał i nie mógł znaleźć. I coraz bardziej się denerwował, stawał się coraz groźniejszy. W końcu obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Mel pobiegła za nim i zobaczyła, jak wchodzi do sypialni Abbie. My nie... niczego tam nie zmieniliśmy. Kiedy zaczął grzebać w rzeczach Abbie, Mel skoczyła na niego, a on rzucił się na nią z wściekłością. Zaczął ją dusić. Potem cisnął na łóżko. Myślała, że chce ją zgwałcić. Ale nie. Wrócił do przeszukiwania. I tym razem musiał znaleźć to, o co mu chodziło, bo wyszedł. Mel

była zbyt przerażona, by trzeci raz próbować go zatrzymać, ale gdy tylko usłyszała trzaśnięcie drzwi, zadzwoniła po policję i zeszła na dół, żeby się mną zająć.

- Mówił pan, że nie informowaliście policji - przypomniałem. Steve parsknął z goryczą: być może w zamierzeniu miał to być śmiech. - Mówiłem, że policja nie szuka Abbie - poprawił. - Nie zdawaliśmy sobie sprawy... Opowiedzieliśmy im o napaści, szkodach i dodaliśmy, że potrafimy zidentyfikować sprawcę. Odparli, że wydadzą nakaz i w stosownym czasie się odezwą. Potem, kiedy sobie poszli i próbowaliśmy doprowadzić dom do porządku, zauważyliśmy... że Abbie nie ma. Ale pomyśleliśmy, że po prostu spłoszył ją hałas i przemoc i wróci później. Do wieczora zaczęliśmy naprawdę za nią tęsknić. Nie odpowiadała na nasze wołania i nie wyczuwaliśmy jej tak jak zwykle. Ponieważ zniknęła. To Abbie szukał Peace. I zabrał ją. W jakiś sposób zabrał ją ze sobą.

Steve Torrington umilkł, ściskając mocno koniec worka. Cisza przeciągała się, bo nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć.

Nigdy dotąd nie słyszałem o porwaniu ducha. Brzmiało to tak nieprawdopodobnie i groteskowo, że wciąż nie dopuszczałem do siebie tej myśli. Duchów nie da się spakować i wysłać jak zakupy, ani nosić ze sobą niczym dodatki i biżuterię. Zwykle w ogóle nie potrafią się wydostać poza określony obszar. Ktoś musiał odegrać rolę głosu rozsądku i wymagałbym zbyt wiele, spodziewając się tego od samego Torringtona.

- Zakładacie, że ją zabrał - odparłem możliwie neutralnym tonem. - Jak powiedziałem, możliwe że odeszła, bo nadszedł jej czas...

- Peace zadzwonił do Mel - w głosie Torringtona usłyszałem drżenie. Nadal wbijał wzrok w czarny worek, trzymając go niczym linę ratunkową. - Jakieś dwie godziny później. Nie mówił ze zbyt wielkim sensem, ale powiedział: „Teraz będziesz musiała do mnie wrócić, prawda? Bo nie możesz jej mieć beze mnie. Wszyscy będziemy razem”. Wówczas nie wiedziała, o czym mówił. Po prostu się rozłączyła. Ale potem zrozumieliśmy. Wiedzieliśmy.

No dobrze, to były dość solidne dowody poszlakowe. Mój umysł wyczuł przemożne przyciąganie ciekawego problemu. Czy to możliwe? Czy da się to zrobić tak gładko, szybko? Włamanie, napaść i kradzież duchowa? Duchy - większość duchów - nawiedzają jedno szczególne miejsce. Może to być miejsce, gdzie zginęły, albo gdzie je pogrzebano, albo po prostu coś, z czym czuły się bardzo związane za życia. To ich kotwica. Czasami mogą się od niej oddalać, w niektórych przypadkach

nawet paręset metrów. Lecz oprócz kilku szczególnych przypadków, jak duchy dziewczynek, które uwolniłem u Stangera, nigdy nie słyszałem o większym dystansie. Jak zatem ktoś mógłby zabrać ducha z dala od jego kotwicy i po prostu odejść? Może... Tak, może istniał pewien sposób. Ale wiedziałem z absolutną pewnością, że ja nie zdołałbym tego dokonać.

Sprawa zaczynała niebezpiecznie mnie ciekawić. Sama jej osobliwość przemawiała do moich najróżniejszych, niezdrowych zainteresowań. Zazwyczaj jednak pozostaję wierny zasadzie Brudnego Harry'ego, że każdy powinien znać swoje ograniczenia.

- Nadal uważam, że policja to najlepsze wyjście - oznajmiłem. - Mogą znaleźć Peace'a dużo łatwiej niż ja. I sądzę, że poważnie potraktują waszą skargę. W końcu włamał się do was i wam groził.

Torrington patrzył na mnie z dziwnie pustym, lekko oskarżycielskim wyrazem twarzy. Potrafił poznać, kiedy się go bajeruje.

- A jeśli nawet go znajdą? - spytał ostro. - Czy znajdą też Abbie? Czy mogą ją nam oddać?

Tu mnie miał. Mogłem jedynie wzruszyć ramionami, co nawet mnie samemu wydało się tchórzostwem. No dobra, miał rację. Nawet względnie dobry gliniarz, taki jak Coldwood, w obliczu podobnej sprawy byłby bezradny. Nie mógł zorganizować poszukiwania czegoś, czego nie jest w stanie zobaczyć, dotknąć ani usłyszeć: zwłaszcza gliniarz, bo wszystkich ich łączy ten sam ślepy, głuchy i niemy pragmatyzm, o którym już wspominałem. Ja natomiast, gdybym znalazł się gdzieś w pobliżu miejsca pobytu Abbie, przynajmniej mógłbym poznać, że jest blisko, i może nawet ją namierzyć. Istniała zatem szansa, że zdołam pomóc tym ludziom, szansa, że wytropię Peace'a i że zorientuję się czego szukam, kiedy to zobaczę. Nie była może wielka, ale istniała. A jeśli to nie równa się usługom duchowym, to co, do diabła, się równa? Z drugiej strony, sprowadzenie Abbie stanowiło znacznie trudniejsze zadanie niż jej odnalezienie: wątpiłem, bym zdołał zaapelować do lepszej części natury Peace'a, zakładając, że w ogóle ją miał. A ponieważ nie wiedziałem dokładnie, w jaki sposób zdołał porwać ducha, nie miałem też pojęcia, jak bezpiecznie sprowadzić go do domu. I pozostawały też kwestie poboczne - nim w ogóle się w to wplączę, będę musiał możliwie najdokładniej sprawdzić historię Torringtona. No i trzeba będzie ustalić, ile właściwie mam im policzyć, bo z całą pewnością wykraczało to poza nawet rozmytą logikę moich zwykłych stawek.

Kiedy zaczynam wymyślać zdroworozsądkowe przeszkody, zwykle oznacza to, że próbuję przekonać samego siebie, by nie robić czegoś, na co już się zdecydowałem. Lecz tym razem do głosu doszła rzeczywistość. Nie ma sensu przyjmować zlecenia, którego nie potrafię wypełnić, i powiększać jeszcze cierpień Torringtonów, rozbudzając ich nadzieje, a potem je tłamsząc.

Steve Torrington wciąż na mnie patrzył. Musiałem coś powiedzieć.

- No cóż. - Grałem na zwłokę. - Ma pan chyba rację. Ale gdyby do tego doszło, nie wiem, czy przydałbym wam się bardziej niż policja.

- Nie - zgodził się. - Skąd pan ma wiedzieć, dopóki nie spróbuje.

W ten sposób zdecydowanie przerzucił piłkę z powrotem na moją połowę. Próbowałem ją odbić.

- To nie takie proste, panie Torrington. Nie przypomina to zmiany koła w samochodzie albo... - zacząłem szukać przenośni i znalazłem ją bardzo blisko - zdejmowania miary na garnitur. Może gdybym miał jakieś jej rzeczy, to znaczy, gdybym obejrzał pokój albo...

Steve jakby czekał na ten moment - dźwignął czarny worek na śmieci i postawił między nami na biurku.

- Oto rzeczy, które najbardziej lubiła - oznajmił, patrząc na mnie z cieniem wyższości. Nie powinienem się dziwić. W końcu był prawnikiem. Metodyczny umysł, skupiony na tym, jakie prawa dotyczą danej sytuacji i jakie są precedensy. Dokładnie wszystko sprawdził.

Odpowiedziałem skinieniem głowy, połączeniem podziwu i rezygnacji. Starannie opróżnił worek, wysypując zawartość na biurko.

Rzeczy było całkiem sporo - dosyć, bym zaczął się zastanawiać, co jeszcze zostało w pokoju Abbie. Książki, płyty, gumki do włosów, podkoszulki, emaliowana spinka do włosów z celtyckim wzorem, pluszowe misie i lalki, para wypasionych adidasów, plakaty piosenkarzy i aktorów, których nie rozpoznałem, naddarte w narożnikach w miejscach, gdzie przytrzymujący je klej nie ustąpił dość szybko. Kłopotliwe bogactwo: przedmioty pożądania zbyt krótkiego dziewczęcego życia. Gdybym był w odpowiednim nastroju, zapewne zdołałbym wybrać przedmioty, które znaczyły dla Abbie najwięcej - te mające z nią najmocniejszą więź. Ale nastrój to rzecz płochliwa i ulotna i zawsze mam problemy z wejściem w niego w obecności innych.

Podniosłem zatem coś nie do końca przypadkowego: wiktoriańską lalkę z rodzaju tych, które mają głowę z porcelany, a tułów wypchany gałgankami, z

przyszytą do niej suknią. Ta lalka emanowała niepokojącą, delikatnie agresywną martwością, właściwą wielu starym lalkom, i była w niemal krańcowym stadium rozkładu. Głowę łączyło z ciałem zaledwie parę pętelek nici, większość szwów już dawno się przetała. Gdybym nie był ostrożny, zdekapitowałbym ją bez wysiłku.

Zabawka z dzieciństwa była najlepszym rekwizytem, bo w młodości emocje zawsze są najsilniejsze.

Zamknąłem oczy i zacząłem słuchać lalki. To jedyny sposób, w jaki mogę to opisać. Oczywiście nie spodziewałem się, że do mnie przemówi. Można to nazwać rodzajem synestezji: nie mam oczu umysłu, tylko uszy. Zwykle trochę to trwa, ale jeśli skupię myśli i wyłączę wszystko, co mnie rozprasza, okazuje się, że większość przedmiotów ma własną melodię, albo przynajmniej parę związanych z nimi nut.

Tym razem to nie trwało długo: w ogóle nie trwało. Surowe emocje uderzyły mnie jak mur. Musiałem sapnąć, bo Steve patrzył na mnie ze zdumieniem i troską - i może gdzieś pod tym wszystkim krył się niesmak.

Odczucia Abbie, gdy tuliła do siebie wypchaną szmatkami przyjaciółkę, musiały być niewiarygodnie potężne - dość mocne, by pozostać tu niczym nagraniem, które odbierałem. A może moc pochodziła z czystej prostoty, bo rejestrowałem tylko jedno: rozpaczliwy, bolesny smutek, tak głęboki, że przypominał uwięzienie na dnię studni, bez świadomości, jak się do niej wpadło.

Nadludzkim wysiłkiem powstrzymałem się od odrzucenia w tył głowy i zawycia. Gdybym był sam, zapewne tak właśnie bym zrobił, bo emocje tak silne, nawet jeśli należą do kogoś innego, na najróżniejsze, zaskakujące sposoby wytrącają nas z równowagi, jeśli jakoś ich nie uwolnimy.

Odłożenie lalki wymagało równie intensywnego wysiłku - sprawiała wrażenie przyspawanej do mych dłoni. Kiedy już to zrobiłem, potrzebowałem paru sekund, aby dojść do siebie. Dopiero potem mogłem coś powiedzieć.

Dzięki temu Torrington mnie uprzedził.

- Czy coś tam jest? - spytał.

Skinąłem głową.

- Jakiś... ślad, którym mógłby pan pójść?

- To tak nie działa - wyjaśniłem. Te słowa zabrzmiały bardziej szorstko niż zamierzałem. Zapewne był to opóźniony efekt odczuwanego nieszczęścia, wciąż przelewającego się w moim umyśle.

Tak czy inaczej, kiepsko sobie radzę z ludźmi: nienawidzę wyjaśniać co robię, nawet tym inteligentnym, z którymi łączy mnie nie porozumienia. Niemniej jednak spróbowałem.

- Odczytuje, dawne emocje, nie obecne. Nie sięgam do Abbie, gdziekolwiek jest teraz. Po prostu... próbuję ją wyczuć taką, jaką była za życia. Ale owszem, coś tam jest. Dostyc, bym ją rozpoznał, jeśli kiedykolwiek ją zobaczę albo się zbliżę. To jakiś początek.

- Początek? - powtórzył Steve. Prawnicy znają znaczenie umów, nawet ustnych.

- Czy mogę zatrzymać te rzeczy na noc? - spytałem.

- Oczywiście.

Skinąłem głową, czując przygniatający mnie nowy ciężar, odmienny od emocji Abbie.

- Zatem oto, co wam proponuję, jeśli wciąż jesteście zainteresowani. Nie wiem, czy zdołam sprowadzić do was Abbie. Jak mówiłem, to zależy od tego gdzie jest. Jeśli jej duch przejechał na następny przystanek linii, czy jak to tam nazwać, nikt nie zdoła jej znaleźć i nikt nie dotrze tam, gdzie się znalazła. Ale może potrafię odpowiedzieć na to pytanie - przynajmniej będziecie wiedzieć jakie są szanse. A jeśli wciąż tu jest, nadal pozostaje wśród nas, możemy spróbować kilku rzeczy. Jeśli nie... - Wzruszyłem ramionami. - Przynajmniej będziecie wiedzieć, na czym stoicie. Czy to się wam przyda, czy wolicie poszukać kogoś innego?

Torrington pokiwał głową i wspomniiał o honorarium - zwykle potencjalni klienci poruszają ten temat na znacznie wcześniejszym etapie rozmowy. Uznałem, że na razie pomnę tę kwestię, bo wciąż nie byłem pewien, jak daleko zajdę. Jeśli trafię w ślepy zaułek, wolę po prostu im powiedzieć i załatwić to czysto: zamęt związany ze zwracaniem zaliczki jeszcze bardziej utrudniłby sytuację, już i tak dość paskudną.

- Możecie mi zapłacić, jeśli zdecyduję się przyjąć sprawę - oznajmiłem.

Torrington spojrzał na mnie z niepokojem.

- Ale powiedział pan...

- Ta pierwsza część to jedynie wstęp. Coś jak selekcja. Na razie pozostaniemy na tym etapie. Nie ma sensu, żebyście mi płacili, bo może nic z tego nie wyjść. Ale jeżeli dostanę na noc te rzeczy, jutro możemy znów porozmawiać. Wcześniej muszę przejrzeć to wszystko nieco dokładniej.

Torrington zrozumiał aluzję i wstał.

- Czy mam zadzwonić rano? - spytał.

- Mam wasz numer - odparowałem. - Ja zadzwonię. - Patrząc w jego oczy, schwyty w reflektory rozpaczy, lekko ustąpiłem. - Dziś wieczór. Spróbuję zadzwonić dziś wieczór. Do tego czasu może będę miał więcej informacji.

Odprowadziłem go do drzwi i ruszył na dół. Nim dotarł na parter, obejrzał się, jakby wciąż czuł na sobie mój wzrok. Przyłapany, zamknąłem za sobą drzwi. Tragedia ma w sobie coś magnetycznego. Zachowałem się jak goście zwalnający na autostradzie, by obejrzeć wrak na przeciwległym pasie. Przez moment poczułem niepokój i odrazę do samego siebie.

Czułem też coś innego: zaskoczenie, którego nie potrafiłem określić. Torringtonowie właśnie ujawnili przede mną tak wiele brzydkich sekretów, odsłanili tak wiele ran - w przenośni i dosłownie - że pod pewnymi względami miałem wrażenie, że znam ich o wiele lepiej niżbym chciał. Lecz jednocześnie nie potrafiłem otrząsnąć się z wrażenia, że w ich związku jest coś, czego nie rozumiem: że w jakimś momencie dodałem dwa do dwóch i wyszło mi pięć. Może sprawił to ów kolczasty splot emocji, które odebrałem od Mel, i fakt, że u nich wszystkich najbardziej dominujący był strach. I to nie tylko jeden strach: najróżniejsze lęki, splatające się ze sobą. Czułem też miłość Mel do męża, bardzo silną, jasną i wyraźną, niemal przypominającą oddanie religijne. Lecz strach oplatał ją także, niczym bluszc.

Cóż, nawet jeśli przyjmę tę robotę, nie znaczy to, że muszę się zajmować ich terapią małżeńską. Nie ma się czym przejmować. Wróciłem do rozsypanych na biurku przedmiotów, kiedy jednak na nie spojrzałem, pojąłem, że nie jestem jeszcze gotów. Przed tą podróżą musiałem nieco się wzmocnić.

Kiedy wszedłem do knajpy, Grambas uniósł wzrok znad zbiorku sudoku.

- A zatem - zawołał, wsuwając długopis za ucho - masz robotę, Castor!

Wzruszyłem ramionami.

- Może. Powiedziałem im, że się nad tym zastanowię.

Wytań dłoń brudnym fartuchem.

- No tak - rzucił współczująco - to trudne, bo przecież masz pełny terminarz. Sam nie wiesz, czy dasz jeszcze radę kogokolwiek wcisnąć.

- Podwójną kawę - warknąłem. - Na wynos. Bez sarkazmu.

W chwili, gdy nalewał do styropianowego kubka gęstą, czarną grecką kawę, do środka weszła Maya z plastikową miską pełną pokrojonych ziemniaków.

- Castor jest w kiepskim nastroju - poinformował ją Grambas.

- Tak - odparła - wiem.

- Wiesz?

- Jasne.

- A skąd?

- Bo żyje.

Wyniosłem się stamtąd, nim zaczęli odgrywać stare numery komediowe. Deszcz nieco odpuścił, toteż zabrałem kawę wraz z kaczkiem po Abbie na most przy Acton Lane, na ulubioną ławkę, dającą widok zarówno na linię kolejową, jak i zarośnięty, otoczony budynkami przemysłowymi fragment kanału Grand Union. Możecie mnie nazwać beznadziejnym romantykiem, lecz ten obraz jakoś do mnie przemawia: oto stolica ze spuszczoneymi majtkami, wciąż próbująca zachować pozory godności.

Usiadłem, sącząc superkofeinową breję, i spróbowałem opanować mroczny nastrój, jednocześnie podkrecając wrażliwość nerwów na poziom, przy którym niebezpiecznie byłoby prowadzić. Te dwa cele zapewne wzajemnie się wykluczają, lecz z braku whisky uznałem, że muszę napić się kawy.

Bolesna intensywność pozostawionych przez Abbie śladowych emocji kompletnie mnie zaskoczyła. No dobrze, psychologicznie rzecz biorąc, nastolatkiwie to ucieleśnione burze: kiedy są smutni, są bardzo, bardzo smutni. Ale mimo wszystko... Ładna dziewczynka z zamożnej rodziny z klasy średniej? Rodzice wyraźnie ją uwielbiali i nie mogli poradzić sobie z jej stratą. Na czym polegała jej tragedia? Co sprawiało, że fala nieszczęścia wezbrała w niej tak bardzo, że przelała się na zabawki, pozostawiając ślad, który wciąż nie zniknął?

Chciałem to wiedzieć.

I przypuszczam, że właśnie dlatego powiedziałem „może” zamiast „nie”.

Skończyłem kawę, co niezbyt mi pomogło, i ruszyłem do biura. Mogłem to odłożyć na później, ale wciąż myślałem o problemie. Równie dobrze mogłem od razu sprawdzić, jak daleko zaprowadzą mnie osierocone skarby Abbie. Nawet jeśli to odłożę, i tak nie będę myślał o niczym innym.

Zamknąwszy drzwi na klucz i odłączywszy telefon, zrzuciłem płaszcz i usiadłem za biurkiem. Po prawej stronie położyłem flet; nie byłem jeszcze gotów zacząć grać. Najpierw musiałem sobie przypomnieć, co próbuję zławić.

Dotknąłem ostrożnie lalki koniuszkami palców i nadstawiłem uszu. Smutek martwej Abbie znów się pojawił. Niekończące się, zapętlone nagranie dawnej rozpaczki, uwięzione za malowanym uśmiechem i osobliwie płaskim kształtem, jaki czas i okoliczności nadały szmacianemu korpusowi. Tym razem dałem mu się ponieść nieco dłużej, przyglądając się dokładnie niuansom i wyrazom. Lewą dłonią podniosłem emaliowaną spinkę do włosów: wyglądała na nieco nowszej daty niż lalka. Rezonans był inny, ale ogólny ton niewyobrażalnego smutku ten sam.

Po jakichś pięciu minutach odłożyłem oba przedmioty, wziąłem flet i uniosłem do ust.

Pierwszy dźwięk był niski, przeciągałem go bardzo długo. Po nim nastąpił drugi, równie wydłużony. Gdy można było sądzić, że zgaśnie, wzniósł się w jęklivy tryl, który w końcu pociągnął za sobą melodię. Nie słyszałem jej nigdy wcześniej, nie układałem też świadomie, grając. Starłem się, by mój umysł pozostawał jak najbardziej pasywny, by odbijały się w nim jedynie echa smutku Abbie, wciąż dźwięczące w głowie. Zamieniałem ją w muzykę. Opisywałem ją w medium, które znałem najlepiej. Rozsyłałem duchowy list gończy: czy widzieliście tę dziewczynę?

U spirytualistów coś takiego zazwyczaj nazywa się przywołaniem, lecz ludzie w moim fachu nazywają to magicznym lasso. To pierwsza faza egzorcyzmów. Nim możemy odesłać ducha, musimy go skrępować, okręcić własną wolą niczym taśmą klejącą, choć to raczej nieprzyjemny obraz i wolałbym o nim nie myśleć. Tak czy inaczej, mówiłem Abbie, gdziekolwiek była, że teraz musi tańczyć jak jej zagram. Mówiłem, żeby przybiegła do nogi.

Istniały dwa dobre powody, dla których to mogło nie zadziałać. Po pierwsze, po prostu nie znałem jej aż tak dobrze. Nigdy jej nie spotkałem za życia ani po śmierci, toteż muzyka nie była kompletna - jedynie niedokończony dźwiękowy szkic na podstawie emocji, które wyczułem w niegdyś należących do niej przedmiotach. Emocje te były silne, ale stanowiły jedynie fragment olbrzymiej układanki. To, co robiłem, odpowiada mniej więcej próbie wywnioskowania całego obrazka z tego jednego kawałka, gdy nie mamy do dyspozycji wieczka pudełka.

Drugi powód był taki, że mogła znajdować się za daleko. Żadne przywołanie nie zadziała, jeśli duch nas nie słyszy, a ja nigdy nie robiłem tego z duchem nieprzebywającym w tym samym miejscu co ja.

Ale po śmierci, pod wieloma względami reguły się zmieniają. Czym jest przestrzeń? Czym odległość? Po paru chwilach poczułem deszcz odpowiedzi - coś jak wibracje jednej nici sieci, która snułem w powietrzu, niewidzialną, dookoła siebie. Próbowałem powstrzymać własne emocje, satysfakcję, podniecenie, niepokój - zamieniając ową reakcję w melodię, uzyskując kolejne przybliżenie Abbie, przyciągając ją, wzywając do mnie. Wibracji stały się odrobinę wyraźniejsze, bardziej uporczywe. A potem w jednym ułamku sekundy zniknęły.

Otoczało mnie martwe, puste, nieruchome powietrze, jak chwilę po tym, kiedy lodówka przestaje mruczeć i myślimy, że to nowy dźwięk.

Umilkłem, zakląłem pod nosem i znów zacząłem. Tym razem muzyka pojawiła się szybciej. Lepiej nad nią panowałem i dokładniej celowałem.

I znów poczułem leciutkie szarpnięcie nici dźwięków - spoza lewego ramienia, co oznaczało południowy zachód. Przypuszczam, że kierunek nie znaczy o wiele więcej niż odległość, lecz wrażenie przyciągania właśnie z tamtej fizycznej strony było bardzo silne. Lecz znów, gdy ku niemu sięgnąłem i spróbowałem przenieść umysł bądź duszę w tę część sieci, nastąpił nagły, natychmiastowy kolaps - a po nim absolutnie nic.

Gdzieś w głębi mego umysłu przebudziło się podejrzenie, niczym pogrążony w zimowym śnie niedźwiedź, który ocknął się zbyt wcześnie w parszywym nastroju. Niech Bóg jednak broni, bym zaczął pochopnie wyciągać jakieś wnioski. Na chwilę dałem spokój i zająłem się od dawna odkładaną papierkową robotą, by zmusić umysł do powrotu na tereny neutralne.

Pół godziny później znów spróbowałem, raz jeszcze od podstaw. Tak jak wcześniej, zacząłem od lalki, zbierając siły i szykując się do zanurzenia najpierw małego palca, a potem całego mnie w lodowaty ocean nieszczęścia - tyle że rozpoczął się odpływ. Tym razem, gdy ująłem w dłonie ową brzydką zabawkę, nie wyczułem niczego: żadnego śladu emocji. Zdumiony i poruszony, podniosłem pluszowego misia, parę adidasów, książkę. W końcu zanurzyłem dłonie w stercie skarbów nastolatki, rozcapierzając palce, dotykając jak najwięcej przedmiotów naraz. Wszystkie były zimne i obojętne.

Teraz to wnioski opadły mnie same.

Coś takiego po prostu nie mogło się wydarzyć. Śladowe emocje pozostawione na przedmiotach, których dotykamy, nie przypominają odcisków palców: mogą nałożyć się na nie silniejsze, późniejsze wrażenia, ale nie da się ich zetrzeć. A przynajmniej tak zawsze zakładałem. Tyle że ktoś właśnie to zrobił: zatarł psychiczny ślad, wyciągnął mi spod nóg dywan i pozostawił siedzącego na tyłku w samym środku niczego. I raz jeszcze musiałem przyznać, że nie mam pojęcia, jak to zrobił.

Porwanie ducha. Oślepienie pościgu. Miałem do czynienia z kimś, kto radził sobie w mojej własnej grze lepiej ode mnie. Poczulem ukłucie i moja zawodowa duma nieco skłęśla. Musiałem znów ją nadać. Owszem, zgadzam się, to bardzo płytkie. W kiepskie dni muszę przyznać, że zasługuję na wszystko, co mnie spotyka.

4

Drzwi frontowe kościoła Świętego Michała były olbrzymie, dwudzielne, z zamkami po obu stronach. Stare drewno, grube na dziesięć centymetrów, tkwiące ciasno w nieco zwężonym, niskim, łukowatym portalu. Z samego wyglądu widziałem, że z czasem stało się twarde jak kamień. Pod naporem moich dłoni przesunęło się centymetr i uznałem, że nic więcej nie zdziałam. Wyczułem, że drzwi były unieruchomione także od dołu: od środka zasunięto rygle.

Istnieją kościoły, które przyciągają ludzi z odległości tysięcy kilometrów. Święty Michał do nich nie należał. Nie zrozumcie mnie źle - był stary i na swój sposób dość imponujący. Wczesnogotycki: bardzo wczesny, o kształcie odpowiadającym pierwotnej recepturze Abbe Sugera, co oznaczało, że był prosty - góra, dół, zero ozdóbek: olbrzymia, eklezjastyczna buda, na której Duch Święty mógł drzemać niczym Snoopy aż do dnia Sądu Ostatecznego.

Niektórzy mogą twierdzić, że zasnął.

Tu właśnie Juliet chciała się ze mną spotkać, ale nigdzie jej nie dostrzegłem. Pozostawało mi tylko czekać - a czekając, wyczułem w pobliżu bardzo słabą obecność: coś niematerialnego i ulotnego, tak słabego, że sam akt skupienia uwagi sprawił, że umknęło poza mój zasięg, jakby mój umysł był reflektorem. Cokolwiek to było, miało dla mnie mocno negatywny wydźwięk: psychiczny odpowiednik gorzkiego lekarstwa, które zażyłem dawno temu.

Zaciekawiony, znów położyłem dłoń na drzwiach kościoła i zamknąłem oczy, nasłuchując dodatkowym zmysłem.

Z początku nic, prócz nieprzyjemnego dotyku zimnego drewna na skórze. Może od początku się myliłem i czułem jedynie resztki wcześniejszego psychicznego kaca. Zastanawiałem się, czy nie wyjąć fletu i nie spróbować doprecyzować poszukiwań. Wówczas jednak na kamieniach za moimi plecami usłyszałem rytmiczną symfonię ech kroków. Obróciłem się, uzbrojony w dowcipny, lekko obsceniczny żarcik, który jednak

skonał, nim zdołałem otworzyć usta, bo to nie Juliet szła ku mnie, tylko młoda kobieta w wielkich profesorskich okularach, o jasnych, prawie białych włosach, sięgających ramion. Była drobna i szczupła, bardzo blada. Szła zgarbiona, jakby chroniąc się przed ulewą. Tyle że deszcz odpłynął na zachód: był pogodny, wiosenny wieczór i gdyby nie chłód w cieniu kościoła, może nawet byłoby mi zbyt gorąco w moim ciężkim szynelu. Tak czy inaczej, jej było chyba chłodno w beżowym kostiumie, zbyt skąpym, choć miał długie rękawy i spódnicę sięgającą do połowy łydki. Splotła ręce na piersi, nerwowo pocierając ramiona, i podeszła do mnie.

Spoza okularów, dających wyraźny przekaz: „jestem osobą poważną”, mrugnęły pozbawione rzęs ciemne oczy.

- Pan Castor? - spytała z wahaniem kobieta.

- To ja - przyznałem.

- Jestem Susan Book, zakrystianka. Uhm... Panna Salazar czeka na tyłach, na cmentarzu. Prosiła, żebym wskazała panu drogę.

Przemawiała z intonacją wznoszącą, zmieniającą każde stwierdzenie w pytanie. Zazwyczaj nieco mnie to irytuje, lecz Susan Book wyraźnie tak bardzo zależało na zadowoleniu innych, że niechęć do niej nawet w zaciszu własnego umysłu przypominałaby potraktowanie szczeniaka rozpalonym pogrzebaczem. Nieśmiało wyciągnęła rękę, ująłem ją i uściśnąłem, przytrzymując dość długo, by posłuchać uczuć. Były mroczne i splątane - coś najwyraźniej ciążyło jej na sercu. Pospiesznie wypuściłem dłoń. Miałem zdecydowanie dosyć jak na jeden dzień.

- Cały należę do pani - oznajmiłem i machnąłem ręką, wskazując, by prowadziła.

Wzdrygnęła się i obróciła gwałtownie, jakby sądziła, że pokazuję coś za jej plecami. Potem doszła do siebie, zarumieniła się i zerknęła na mnie szybko, z lękiem.

- Przepraszam - mruknęła. - Jestem dziś naprawdę podenerwowana. To wszystko... - Wzruszyła ramionami i skrzywiła się.

Nie wiedząc o czym mowa, mogłem tylko przytaknąć współczująco. Obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę, z której przyszła. Przyspieszyłem lekko, maszerując obok niej.

- Jest niesamowita, prawda? - powiedziała z podziwem.

- Juliet?

- Tak, Jul... panna Salazar. Jest taka silna. Nie chodzi mi o siłę fizyczną, tylko duchową. Siłę wiary. Wystarczy na nią spojrzeć, by pojąć, że nic jej nie poruszy ani nie

sprawi, by zaczęła w siebie wątpić. - W jej głosie zabrzmiała nuta tęsknoty. - Naprawdę to podziwiam.

- Ja też - odrzekłem. - No, do pewnego stopnia. Odrobina niepewności czasem się jednak przydaje.

- Naprawdę?

- Zdecydowanie. Na przykład, nie pozwala nam rzucić się w przepaść, kiedy uznamy, że umiemy latać.

Susan zaśmiała się niepewnie, jakby nie do końca przekonana, czy żartuję, czy nie.

- Kanonik mówi, że wątpliwości są jak ćwiczenia - oznajmiła. - Jeśli ma rację, do tej pory powinnam już wycisnąć ze sto kilo. Cały czas nawiedzają mnie wątpliwości. Ale to... może... Może dzięki temu wszystkiemu stanę się silniejsza. Ze zła zawsze wynika jakieś dobro. To Jego plan.

Natychmiast wyłapałem duże J w słowie „Jego”. Mój brat Matthew też go używa. Lecz niemal równie wielki nacisk położyła na „to wszystko” i miałem ochotę spytać, co, do diabła, się tu stało. Założyłem jednak, że istnieje powód, dla którego Juliet mnie nie uprzedziła, toteż trzymałem gębę na kłódkę. Nie wspomniałem też ani słowem o Juliet, chociaż zastanawiałem się, co pomyślałaby Susan, gdyby wiedziała, jak naprawdę nazywa się panna Salazar albo skąd pochodzi. Lepiej nie pozbawiać jej złudzeń.

Kościół stał na bardzo wąskiej parceli przy Du Cane Road, niemal dokładnie naprzeciwko ponurej bryły więzienia Wormwood Scrubs, którego gniewna, ceglana czerwień przetykana bielą przywodziła na myśl kość sterczącą z otwartej rany. Po lewej stronie kościoła, tam gdzie poprowadziła mnie Susan Book, stała zwieńczona daszkiem furtka; po jej drugiej stronie dostrzegłem mały, wypielęgnowany cmentarz, idealną dekorację do musicalowej wersji *Elegii* Graya. Tę furtkę także zamknięto na łańcuch z kłódką. Susan wyjęła z kieszeni niewielkie kółko z kluczami, pogrzebała wśród nich i znalazła właściwy. Po krótkiej manipulacji i majstrowaniu przekręcił się w kłódce i moja towarzyszka zsunęła łańcuch, tak że furtka otworzyła się szeroko. Susan odstąpiła na bok, przepuszczając mnie.

- Otworzę wam drzwi zakrystii - oznajmiła. - Mieści się tam, przy zachodnim transepcie. Panna Salazar jest... - Wskazała, ale zdążyłem już zauważyć Juliet.

Cmentarz znajdował się na lekkim wzniesieniu, a ona siedziała ze skrzyżowanymi nogami na marmurowym pomniku, rysującym się ostro na tle nieba, którego połowę przesłaniał olbrzymi dąb, na oko liczący sobie co najmniej paręset lat.

- Dziękuję - rzekłem. - Dołączymy do pani za parę minut.

Susan Book stała przez chwilę bez ruchu, patrząc na wzgórze, na sylwetkę Juliet. Potem ruszyła pospiesznie, oglądając się na mnie przez ramię, oszołomiona, jakbym przyłapał ją na chwili zwątpienia. Pomachałem do niej - mam nadzieję, że gestem dodającym otuchy - i podszedłem do Juliet. Siedziała ze spuszczoną głową; gdy się zbliżyłem, nie uniosła wzroku. Zdawało się, że w ogóle mnie nie zauważyła, choć wiedziałem doskonale, że usłyszała szcęk klucza w zamku furtki, wyczuła w powietrzu zapach mojej wody po goleniu i skosztowała feromonów, sprawdzając, jaki miałem dzień. Gdy znalazłem się na tyle blisko, by nie musieć podnosić głosu, zadałem pierwsze pytanie, które mi się narzuciło:

- Dlaczego kościół? Zrobiłaś się religijna?

Jej głowa uniosła się gwałtownie. Juliet spojrzała na mnie, marszcząc brwi, oczy zwięzły się niebezpiecznie. Uniosłem ręce, w pantomimie oznaczającej „nie miałem żadnych złych zamiarów”. Czasami posuwam się za daleko, a ona nieodmiennie daje mi znać, gdy tak się stanie.

Jak zwykle, kiedy raz zacząłem już na nią patrzeć, najtrudniej było przestać. Juliet jest absurdalnie, niewiarygodnie piękna. Skórę ma pozbawioną melaniny, alabastrowo gładką, białą jak każde banalne porównanie, które zechcecie zacytować. Jeśli wybieriecie najbardziej pospolitą wersję, śnieg, pomyślcie o jej oczach jak o dwóch głębokich przerębłach, czarnych niczym niebo o północy. Tyle że tym razem wędkarz ukrywał się w nich i zdobycz nawet nie czuła, jak połyka haczyk, dopóki nie utknął głęboko w jej gardle. Włosy także ma czarne: wodospad czerni opadający niemal do pasa, lśniący i gładki. Jej ciało... Nie będę nawet próbował go opisywać. Patrząc na nie, można się zagubić. Zdarzyło się to zresztą wielu, i to ludziom silniejszym od was. Większość już nie wróciła.

Bo rzecz w tym - i wiem, że już o tym wspominałem - że Juliet nie jest człowiekiem. To demon, z rodzaju sukubów, których ulubioną metodą żerowania jest podniecanie ofiary do tego stopnia, że jej układ nerwowy zaczyna się przepalać, a potem wysysanie duszy z ciała. Nawet dziś wieczór, mimo skromnego ubrania - czarne spodnie, wysokie buty i luźna biała koszula z wyhaftowaną z lewej strony czerwoną różą - nikt nie wziąłby jej za cokolwiek innego. Pewność siebie, siła, które

dostrzegła w niej Susan Book, wiązały się z faktem bycia najwyższym mięsożercą w łańcuchu pokarmowym, którego nikt żywy nie potrafi sobie nawet wyobrazić. Tyle że mięsożerca to niewłaściwe określenie - trzeba by raczej rzec: „duszożerca” czy „istotożerca”. I jeszcze więcej, ale lepiej się w to nie zagłębiać.

Wystarczy podziękować Bogu, że Juliet jest po naszej stronie. I mówię to jako ateista.

Po kolejnym kroku znalazłem się w zasięgu jej zapachu. Uderzył mnie w dwóch falach, jak zawsze. Z pierwszym oddechem zaciągnąłem się ostrym smrodem lisa, dławiącym, piżmowym; z drugim, płytszym z powodu gwałtowności pierwszego wrażenia, zamienił się on w mieszaninę woni tak boleśnie słodkich i zmysłowych, że ciało natychmiast ogłosiło alarm na wszystkich stanowiskach. Przywykłem do niego i byłem na to przygotowany, lecz mimo wszystko zakręciło mi się w głowie, gdy cała krew spłynęła do krocza, na wypadek gdybym potrzebował jej do wzmocnienia mego nagłego, bolesnego wzrodu. Mężczyźni wokół Juliet kuleją: kuleją i ślepną, bo oderwanie od niej wzroku nagle wydaje się stratą bezcennego czasu.

I dlatego właśnie nigdy nie wolno zapominać, czym jest. W ten sposób nie pozwolimy zgasnąć solidnemu, staroświeckiemu, morderczemu przerażeniu, broniącemu nas przed pożądaniem. Już dawno stwierdziłem, że to zdrowa kombinacja, bo gdybym kiedykolwiek uprawiał seks z Juliet, moja nieśmiertelna dusza zastąpiłaby jej papierosa po wszystkim. Niełatwo jest jednak myśleć logicznie w jej obecności. W ogóle niełatwo jest myśleć.

Juliet wyprostowała nogi i z wrodzoną gracją zeskoczyła z marmurowej płyty. Uświadomiłem sobie, że to rodowa krypta Josepha i Caroline Rybandtów, a także całej gromadki pomniejszych Rybandtów wymienionych drobniejszymi literami. Śmierć nie jest wcale bardziej demokratyczna niż życie. Zorientowałem się też, że Juliet ma przy sobie szarą, plastikową miskę wypełnioną do połowy wodą. Spoczywała na jej kolanach i gdy ujrzałem ją po raz pierwszy, musiała do niej zaglądać.

- Jak tam życie? - spytałem.

- Dobrze - odparła obojętnym tonem. - W zasadzie.

- To znaczy...?

- Jest dobrze, dopóki nie myślę o głodzie. Minął już rok, odkąd naprawdę się posiliłam. Posiliłam w pełni, ludzką istotą, ciałem i duszą. Czasami trudno jest przegnać z umysłu wspomnienie tego smaku i radości.

Szukałem jakiegokolwiek odpowiedzi, ale nic nie przyszło mi do głowy.

- Tak - mruknąłem po nieco zbyt długiej ciszy. - Tak mi się zdawało, że szczupło wyglądasz. Potraktuj to jako dietę odtruwającą.

Juliet zmarszczyła czoło, nie pojmując aluzji. Uznałem, że to nie najlepszy moment, by ją tłumaczyć.

- Masz tu zjawę? - spytałem, przechodząc do rzeczy. - Cmentarnego zawalidrogę?

To jeden z najczęstszych scenariuszy w naszym fachu: duchy uwiązane mocno do miejsca, w którym wciąż spoczywają ich śmiertelne szczątki, złączone z własnym ciałem i niezdolne odejść. Niektóre potrafią wnikać w układ nerwowy i powstają jako zombie: większość pozostaje tam, gdzie jest, w miarę upływu lat coraz bledsza i bardziej żalosna.

Juliet spojrzała na mnie surowo.

- Na tym cmentarzu? Od stuleci nikogo tu nie pochowano, Castor. Spójrz na daty.

Uczyniłem to. Joseph kopnął w kalendarz w 1782, Caroline trzy lata później. Co więcej, wszystkie nagrobki pochylały się pod malowniczymi kątami, większość porastał zielony mech. Niektóre zaczęły nawet zapadać się w ziemię, tak że niższe części zwietrzałych napisów, wyrażających żal po śmierci i pobożne nadzieje na zmartwychwstanie, kryły się w wysokiej trawie.

- Nie ma tu żadnych duchów - dokończyła niepotrzebne Juliet.

- O co zatem chodzi? - naciskałem, lekko zawstydzony i zirytowany faktem, że moja własna uczennica wytknęła mi równie podstawowy fakt. Tylko nieliczne duchy pozostają na ziemi dłużej niż dziesięć lat, a niemal żadne nie dotrwały pięćdziesięciu, sześćdziesięciu. Znany jest jeden przypadek duszy, która przetrwała dłużej niż stulecie; aktualnie przebywała parę kilometrów na wschód od nas. Na imię miała Rosie, była czymś w rodzaju przyjaciółki.

- O coś większego - oznajmiła Juliet.

- W takim razie woda święcona pewnie tylko go wkurzy. - Skinieniem głowy wskazałem miskę.

Juliet obdarzyła mnie znaczącym spojrzeniem i podała naczynie. Wziąłem je odruchowo, a także po to, by uniknąć wylania się zawartości na mój płaszcz.

- Nie mówiłam, że jest święcona.

- To co, myślaś sobie włosy? Bo wiesz, większość ludzkich kobiet woli to robić w zaciszu własnej...

- Obróć się. - Wskazała kościół.

- Przez prawe czy lewe ramię?

- Po prostu się obróć. Położyła mi dłonie na ramionach i zrobiła to za mnie, okręcając mnie o sto osiemdziesiąt stopni bez najmniejszego wysiłku. Jej dotyk wzbudził we mnie przeszywający, zmysłowy dreszcz i raz jeszcze przypomniał - jakbym tego potrzebował - że Juliet dysponuje ogromną siłą fizyczną, a także duchową, o której wspominała Susan Book. Teraz patrzyłem na ciężką bryłę Świętego Michała, przesłaniającą zachodzące słońce, tak że cały kościół wyglądał jak jeden atramentowoczarny monolit.

- Moi pobratymcy mają dar kamuflażu - wymamrotała Juliet. Jej gardłowy głos nagle, miast podniecająco, zabrzmiał złowieszczo. - Wykorzystujemy go podczas polowania. Tworzymy dla siebie fałszywe twarze, ładne bądź z pozoru nieszkodliwe, i ukazujemy je tym, którzy na nas patrzą. - Postukała w krawędź miski i po powierzchni wody przebiegła zmarszczka, która odbiła się od przeciwległej ścianki i powróciła, wzbudzając faliste, nierówne kręgi. - Jeśli zatem chcesz nas zobaczyć, najlepiej w ogóle na nas nie patrzeć.

Wbiłem wzrok w miskę, tafla wody znów się wygładziła i ujrzałem odwrócony obraz kościoła Świętego Michała. W tej wersji wcale nie wyglądał lepiej, w istocie wyglądał znacznie gorzej: z całego budynku wznosiły się fale czarnego dymu bądź pary i ulatywały w dół, ku odwróconemu niebu. Wyglądał, jakby płonął - tyle że bez ognia.

Zaskoczony, uniosłem wzrok i przyjrzałem się budynkowi. Stał przede mną, ponury, milczący, bez śladu dymu czy ognia.

Lecz kiedy znów zajrzałem do miski, czarna para unosiła się i kłębiła wokół odbicia kościoła. Święty Michał stanowił serce piekła cieni.

Spojrzałem na Juliet, która wzruszyła ramionami.

- Jakiś znajomy? - spytałem. Miało to zabrzmieć lekko, żartobliwie, ale chybiłem mniej więcej o długość pasa startowego.

- Dobre pytanie - przyznała. - Ale zostawmy je na później. Chodź do środka. Musisz sam wszystko zobaczyć.

Pomyślałem, że to ostatnia rzecz, jaką chciałbym zrobić, poszedłem z nią jednak, gdy ruszyła w dół łagodnego zbocza, maszerując do kościoła tą samą trasą, jaką wcześniej przemierzyła Susan Book

Kobieta czekała na nas przy drzwiach zakrystii, małej, kamiennej psiej budy przyklepionej do tylnej ściany kościoła. Otworzyła już drzwi, ale nie weszła do środka. Sprawiała wrażenie jeszcze bardziej zdenerwowanej i nieszczęśliwej - i spojrzała na Juliet, oczekując poleceń z tą samą smutną tęsknotą, jaką zauważyłem wcześniej.

- Możesz tu poczekać - powiedziała niemal łagodnie Juliet. - To nam zajmie pięć minut. Uważam po prostu, że lepiej będzie, jeśli Castor zobaczy to na własne oczy.

Susan pokręciła głową.

- Pójdę z wami - odparła. - Na wypadek gdybyście mieli jakieś pytania. Kanonik kazał mi udzielić wszelkiej możliwej pomocy.

Wyraźnie zebrała się w sobie i pierwsza przekroczyła próg. Juliet skinęła głową, toteż ruszyłem za Susan. Moja towarzyszka zamykała pochód.

Zakrystia wielkości sporej toalety była pusta, prócz jednej szafy na stroje kościelne i pół tuzina haków przykręconych do ściany. Drugimi, szeroko otwartymi drzwiami, dostaliśmy się do transeptu kościoła, nisko sklepionego tunelu wiodącego ku majestatycznemu korytarzowi nawy. Wnętrze oświetlały jedynie ostatnie czerwone promienie, przesączające się przez witrażowe okna po naszej lewej. Wyglądało to nader złowieszczo: trudno mi było sobie wyobrazić, by kogokolwiek natchnęło do większej pobożności. Należy jednak pamiętać, że nie odmówiłbym „Ojcze nasz” nawet gdyby ktoś przystawił mi spluwę do głowy, więc raczej trudno mnie nazwać obiektywnym świadkiem.

Nim jeszcze postawiłem trzeci krok, poczułem to: chłód. Bardziej przypominał grudzień niż maj, i to raczej w wysokich Andach niż we wschodnim Acton. Przenikał ciało do kości. Nic dziwnego, że zrobiło mi się zimno, kiedy sprawdziłem drzwi: chłód musiał przenikać przez kamień. Z trudem powstrzymałem dreszcz i ruszyłem dalej.

Lecz kilka kolejnych kroków przyniosło ze sobą jeszcze większą niespodziankę. Obróciłem się i zerknąłem na Juliet, która spojrzała na mnie uważnie.

- Powiedz mi, co teraz czujesz - poleciła.

Najpierw chciałem to potwierdzić. Ruszyłem w lewo, w prawo, naprzód.

- To się zmienia - wymamrotałem. - A niech mnie. Zupełnie jakby... Jakby w powietrzu zawisły nieruchomo skupiska zimna

- Cokolwiek się tu stało, zdarzyło się bardzo szybko. Myślę, że to dlatego nie... - Zawahała się, szukając właściwego słowa.

- Nie co?

- Nie rozeszło się równomiernie.

W moim śmiechu zadźwięczało niedowierzanie i lekki ból.

Susan Book czekała na końcu tunelu. Patrzyła na nas, nie wyczekująco, lecz z niepokojem i napięciem. Najwyraźniej bez nas nie zamierzała postąpić nawet kroku dalej. Ruszyliśmy zatem, by do niej dołączyć.

W nawie cienie były głębsze, bo tylko okna na samym końcu wychwytywały jeszcze odrobinę światła. Reszta potężnego pomieszczenia była niczym bezwymiarowa czarna otchłań. Kamienne płyty pod naszymi stopami rozpływały się w mroki zaledwie trzy, cztery metry od nas, jakbyśmy stali na kamiennym występie na krawędzi przepaści.

Teraz, gdy żadne z nas się nie ruszało, usłyszałem nagle dźwięk. Był bardzo niski i bardzo różnił się od fal dźwięcznych ech, wzbudzonych przez nasze kroki. Wznosił się i opadał, wznosił i opadał po kilkunastu sekundach, gasnąc tak wolno, że zastanawiałem się, czy przypadkiem go sobie nie wyobraziłem.

Nim zdołałem rozstrzygnąć tę kwestię, Juliet znów się poruszyła. Przecięła nawę, zagłębiając się w gęstym mroku, i powróciła parę chwil później ze świecą w dłoni. Nie miałem bladego pojęcia, jak zdołała ją zobaczyć w tej ciemności.

Świeca była prosta i biała, wysoka na jakieś dwadzieścia centymetrów i lekko zwężająca się przy knocie. Susan spojrzała na nią z poważną, nieszczęśliwą miną. Juliet wyjęła z kieszeni zapalniczkę i przyłożyła do knota.

- To świeca wotywna - zaprotestowała nieśmiało Susan. - Zapala się je podczas odmawiania modlitwy.

- No to zmów jakąś - podsunęła Juliet.

Przytknęła knot do płomienia zapalniczki i po chwili zajarzył się ogniem.

Sądziłem, że poprowadzi nas nawę do ołtarza, ale ona jedynie czekała, osłaniając dłonią płomyk, by nie zdmuchnął go przeciąg z zostawionych za nami otwartych drzwi. Powietrze jednak było nieruchome jak w zamkniętej trumnie. Płomyk wznosił się prosto, nie migocząc, z jego szczytu wznosiła się smużka dymu.

A potem zachwiał się i o mało nie zgasł. Skurczył się, o ile płomień może się skurczyć, i jakby zapadł w sobie. Zupełnie jakby ciemność i chłód żywiły się nim, wysysając maleńki punkcik ciepła i światła i przy okazji go zabijając. W miarę, jak płomyk poddawał się i ustępował, cienie powracały, głębsze i jeszcze mniej przejrzyste niż wcześniej, a zimno wydawało się nieco bardziej przenikliwe. W martwej ciszy

znów usłyszałem ów dźwięk, podwójny gardłowy pomruk na samej granicy słyszalności.

- Spodziewałaś się tego? - spytałem Juliet, nie spuszczać wzroku z płomienia świecy.

- To było pierwsze, czego spróbowałam. A to drugie.

Wskazała ścianę po mojej prawej. Zerknąwszy w tę stronę, ujrzałem rząd sześciu płam, które po kolejnym kroku okazały czarnymi plastikowymi doniczkami.

W każdej doniczce tkwiło coś martwego. Pozbawione liści lodygi, opadające, poczerniałe od mrozu kwiaty, wysuszone bulwy.

- Do tego wystarczy samo zimno - zauważyłem. - Nie potrzeba żadnych mocy nadprzyrodzonych.

- Zgadza się - przytaknęła Juliet. - Ale nie w ciągu pięciu minut. Przyjrzyj się swojej dłoni. Skórce na przegubie.

Zrobiłem to. Zaczynała już się marszczyć i wysychać. Kiedy przesunąłem po niej palcem, poczułem tępy ból.

- Im dłużej tu jesteś, tym jest gorzej. Przypuszczam, że gdybyś został dość długo... - Juliet przebiegła wzrokiem po doniczkach z zamrożoną, zasuszoną, szarozieloną zawartością. Nie musiała kończyć zdania.

I znów w ciszy po jej słowach usłyszałem wzbierający w powietrzu albo kamieniu, czy może samej ciemności, basowy pomruk który wzniósł się i opadł, wzniósł i opadł, po czym rozplynął w ciszy.

- Co to jest, do diabła? - spytałem. - Ten dźwięk?

Juliet spojrzała na mnie ze zdumieniem.

- Chcesz powiedzieć, że go nie poznałeś?

- Jak dotąd nie.

- W końcu to do ciebie dotrze.

- Tak, na pewno - odparłem z lekkim rozdrażnieniem. - pewnie wcześniej zaczną ze mnie spadać liście.

Zdmuchnąłem płomyk tuż przed tym, nim sam zgasł, i poszedłem do wyjścia.

- Zdarzyło się to podczas nieszporów - oznajmiła Susan Book. - Dwa dni temu.

Święty Michał nie miał własnego proboszcza i w tygodniu nie odprawiano w nim mszy. Otwierano go tylko w soboty i niedziele, kiedy z Hammersmith przyjeżdżał kanonik Ben Coombes, by odprawić nabożeństwo dla kongregacji dwa razy mniejszej niż zaledwie dziesięć lat temu. Przez resztę czasu kościołem opiekowali się Susan i kościelny, niejaki Patricks, który głównie zajmował się grobami, lecz od czasu do czasu dawał się przekonać, by zmyć ze ścian graffiti.

Nieszpory były jej ulubionym nabożeństwem. Lubiała hymny, nieodmniennie zaczynające się od „Prowadź nas, Ojczye Niebieski, prowadź nas” i kantyczki tak piękne, że czasem płakała z zachwyty; lubiała też zapalanie świec - zwłaszcza o tej porze roku, kiedy przejmowały rolę słońca zachodzącego za horyzontem.

Zupełnie jak światło ducha, przejmujące pałeczkę od zawodnego, znękanego ciała. Znów siedzieliśmy pośród grobów, grzejąc się w ostatnich czerwonych promieniach słońca, po ziąbie panującym w kościele. Rozsiadłem się na Michaelu Macleanie, umiłowanym mężu i ojcu. Juliet przysiadła elegancko na nagrobku Elaine Farrah-Beaumont, odebranej nam zbyt wcześnie, a Susan siedziała na trawie między nami, nie chcąc zakłócać spoczynku drogich zmarłych. W tych okolicznościach nie uznałem tego za pusty gest. Nie wziąłem też do siebie faktu, że ani na moment nie odrywała wzroku od twarzy Juliet.

- W kościele było około osiemdziesięciu ludzi - podjęła. - Ładna trzódka, rzekł żartobliwie kanonik, gdy pomogła mu przywdziać ornat. Lepiej przygotujmy im coś wyjątkowego. Odczytał psalmy, intonując odpowiedzi, jak co tydzień. Dotarli właśnie do pierwszej z dwóch kantyczek, czyli Cantate Domino: „Zacznijcie nową możnemu pieśń monarsze niebieskiemu...”*. Susan wbiła wzrok w ziemię.

- Jest takie miejsce w kantyczce - wymamrotała - w którym chór zaprasza morze i ziemię, by się roześmiały i radowały...

Przypomniałem go sobie natychmiast, bez entuzjazmu wspominając mą własną, niechętną edukację religijną. Sprawy te nigdy nie miały dla mnie większego sensu. „Skaczcie, pola”. Nigdy, jak dokładnie? „Płaczcie, lasy”. Nawet gdyby to zrobiły, czy zauważylibyśmy różnicę? Lecz Susan wciąż mówiła i powstrzymałem pełne goryczy wspomnienia.

- Kiedy kanonik Coombes dotarł do słów „zagrzmi morze”, istotnie rozległ się hałas, dobiegający z zewnątrz, z ulicy: przeszywający pisk hamulców, bardzo głośny, a

* Wszystkie cytaty z Psalmu 96. w przekładzie Jana Kochanowskiego - przyp. tł.

po nim odgłos zderzenia - zgrzyt metalu o metal czy może coś innego. Nastrój prysnął. Nawet chór zająknął się i umilkł, wzrok wszystkich pobiegł ku drzwiom. Kanonik Coombes odchrząknął i zgromadzeni znów spojrzeli na niego. Skinął głową w stronę chóru, spodziewając się, że podejmie przerwany wątek. Lecz choć ludzie otworzyli usta do śpiewu, nie dobiegł z nich żaden dźwięk. Zrobiło się zimno. - Głos Susan lekko się łamał. - Zupełnie nagle, po prostu... strasznie, strasznie zimno: słyszałam, jak ludzie sapią, wszyscy patrzyli po sobie albo zrywali się z miejsc, wstrząśnięci, przerażeni. Nic nie rozumieliśmy, bo działo się to tak szybko. A potem stało się coś znacznie gorszego.

Wyraźnie nie miała ochoty mówić nic więcej. Spojrzała na Juliet, jakby oczekując polecenia kontynuowania historii. Juliet jednak odpowiedziała jedynie nieprzeniknionym spojrzeniem. Aż w końcu zawstydzona Susan spuściła głowę.

- Coś zaczęło się śmiać - oświadczyła.

Zabrzmiało to tak zaskakująco, że z początku nie rozumiałem.

- Śmiać się. Z...?

- Coś się zaśmiało - odparła z uporem Susan. - Śmiech dobiegał z góry, spod dachu, wysoko sponad naszych głów. I był bardzo głośny. Bardzo, bardzo głośny. Wypełnił cały kościół. - Zerknęła na mnie z zaciętą miną, jakby była święcie przekonana, że uznam, że kłamie. - Nie potrafię opisać tego dźwięku. Nie potrafię sprawić, by pan zrozumiał co wtedy czułam. Ludzie zaczęli uciekać. Albo po prostu... padali. Niektórzy mieli coś jakby ataki, ich ręce i nogi poruszały się konwulsyjnie, szeroko otwierali usta. To było straszne! Chciałam tylko uciec od tego okropnego dźwięku, ale nie mogłam myśleć. Zaczęłam biec, nie wiedząc dokąd zmierzam. Wpadłam na Bena - kanonika Coombesa - a on nawet mnie nie zauważył. Jest ode mnie znacznie wyższy i cięższy, więc poleciałam do tyłu. Złapałam się balustrady ołtarza, by nie upaść, a potem nie mogłam już jej puścić. Było tak zimno - zimno przenikało przeze mnie, odbierało mi siły. Wiecie jak to jest, kiedy widzicie łyżwiarzy na lodowisku, kręcących się przy bandzie, bo się boją wyjechać na środek. Tak właśnie musiałam wyglądać. Tuliłam się do balustrady, w głowie mi się kręciło, a wokół mnie krzyczeli i biegali ludzie. Potem, kiedy w końcu zdołałam się ruszyć, o mało nie potknęłam się o kobietę, która upadła w przejściu tuż przede mną. Zemdlała czy może uderzyła się w głowę. Nie mogłam jej tam zostawić. Ale była za ciężka, nie dałabym rady jej wynieść, toteż powlokłam ją do drzwi, odpoczywając między kolejnymi zrywami. Do tej pory śmiech ucichł, ale wciąż czułam, że coś... coś na nas patrzy. Za

bardzo się bałam, żeby spojrzeć w górę. Miałam wrażenie, jakby coś olbrzymiego - jakiś gigant czy ogr - zdjęło dach z kościoła i przyglądało się nam. - Głośno przełknęła ślinę i pokręciła głową. - Nie pamiętam, jak doszłam do drzwi i nagle znalazłam się na ulicy. Kobieta, którą taszczyłam, wciąż była nieprzytomna, leżała na chodniku przede mną i zorientowałam się, że jej biała bluzka lepi się od krwi. Pomyślałam, że jednak umarła, że ten śmiejący się stwór jakoś ją zabił. Ale potem uświadomiłam sobie...

Uniosła ręce i pokazała nam. Na obu dłoniach ujrzałam strupy, przecinające je szeroką, prostą linią.

- To była moja krew, nie jej. Musiało się to stać, kiedy dotknęłam balustrady. Metal był tak zimny, że moja skóra przywarła do niego. Dlatego nie mogłam go wypuścić.

Całkiem przekonująca demonstracja. Słuchałem dalej, jak kończyła swą opowieść. Wszyscy uszli z życiem, choć niektórzy czołgali się na czworakach. O dziwo, jedynie nieliczni odnieśli obrażenia, pomijając posiniaczone ręce i pokaleczone czoła. Ci, którzy mieli ataki, bardzo szybko doszli do siebie. Kanonik Coombes od razu zamknął kościół i kazał Susan odwołać niedzielą mszę. Potem uciekł, pozostawiając jej wezwanie karettek dla rannych i wstrząśniętych (poplamiała krwią całą komórkę) i rozmowy z innymi, bliskimi historii.

W niedzielę zadzwonił do niej do domu. Oświadczył, że rozmawiał z diecezją i pozwolili mu zaangażować egzorcystę, jeśli tylko wybierze kogoś zatwierdzonego przez Kościół. Kazał Susan znaleźć kandydata w książce telefonicznej.

Ale Susan nie miała książki telefonicznej, weszła więc do sieci a strona Juliet wyskoczyła jako pierwsza. Nie zdziwiło mnie to. Ta strona wyskakiwała czasami jako pierwsza nawet kiedy w wyszukiwarce wpisywało się „chińska restauracja” albo „hydraulik”.

Na stronie wymieniano uprawnienia Juliet, czekające na zatwierdzenie przez Kościoły katolicki i anglikański. Susan uznała, że to wystarczy, i zadzwoniła.

- I teraz tu jesteście - skończyła pogodnie. - Dwoje za cenę jednego. - Uśmiechnęła się do nas nieśmiało, kręcąc głową. Po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia opowieści uznała moją obecność.

- Jesteśmy - zgodziłem się i wstałem. - I chyba powinniśmy się naradzić. Zechcesz zostawić nas na chwilę?

- Oczywiście. - Susan się zarumieniła. - Zresztą i tak muszę pozamykać.

Wstała i odeszła szybko, pobrzękując kluczami. Wraz z Julie wycofaliśmy się na wzgórze, aż do krypty Rybandtów. Zapadała już noc.

- Uważasz zatem, że to demon, nie ludzka dusza? - spytałem gdy miałem pewność, że Susan nas nie słyszy.

Juliet przez chwilę nie odpowiadała. Kiedy w końcu się odezwała, miałem wrażenie, że starannie dobiera słowa.

- Piekielne pomioty - rzekła - umiem rozpoznać po ich zwyczajach i śladach. Mało prawdopodobne, by którykolwiek znalazł się tak blisko mnie bez mojej wiedzy. Trzeba jednak którejs z starszych mocy, by uczyniła coś takiego na poświęconej ziemi. Samo przyjście tutaj wymagało całej mojej siły. Muszę się przygotować, podjąć środki ochronne. A i tak nie mogę zostać zbyt długo.

- W takim razie co? Jak sądzisz, co to?

Odwróciła się ku mnie i ujrzałem, że coś ją gnębi. To oznaczało, że pozwoliła mi to zobaczyć, bo Juliet w pełni panuje nad mową swego ciała.

- Gdyby nie to zimno - oznajmiła - i inne znaki, przysięgłabym, że nic tu nie ma. Cokolwiek to jest, nie ma zapachu. Nie ma ciała. Punktu skupienia... - Skrzywiła się, nie znajdując odpowiednich słów. - Ciężar bez obecności.

- Czego próbowałaś? - spytałem, wciąż profesjonalnym tonem.

- Kilku rzeczy. Kilku zapytań i zaklęć, z których każde powinno sprawić, że cokolwiek tkwi w tych kamieniach, winno ukazać mi swą twarz. Żadne nic nie dało. Jakbym próbowała złapać dym.

Przypomniałem sobie kłębiące się cienie odbite w misce z wodą i pokiwałem głową. Trudno to nawet nazwać przenośnią.

- A jednak - mruknęła Juliet i się zawahała.

Nigdy dotąd nie widziałem jej tak niepewnej. Szczerze przyznam, że nieco mną to wstrząsnęło. To coś jakby zobaczyć lawinę, która skręca w swym biegu.

- Co?

- Od czasu do czasu czuję bardzo słabą obecność. Nie w samych kamieniach, lecz w pobliżu. Bliską i poruszającą się. Poruszającą się w sobie, we fragmentach, niczym rój meszek. Cokolwiek to jest, według mnie łączy się z tym czymś w kościele. Lecz gdy tylko na to patrzę, kryje się przede mną.

Przypomniałem sobie, co poczułem, czekając przy drzwiach frontowych kościoła.

- Tak - zgodziłem się. - Chyba też to odebrałem. No wiesz, zapach, ale nie dość silny, by dało się go określić.

Zerknąłem w stronę furtki: Susan Book czekała tam na nas, jej blada twarz jaśniała w gęstniejącym mroku.

- Chcesz, żebym spróbował? - spytałem.

Juliet mówiła zapewne o nekromancji - czarnej magii - większość której uważam za stertę bzdetów i bajerów, otaczających parę ziaren prawdy. Moje metody są zupełnie inne: to wyraz tkwiącego we mnie talentu, pozbawiony recytacji, rytuałów, steganograficznych tajemnic. Proponowałem szczerze, lecz Juliet pokręciła głową - nie prosiła, bym odważył się za nią robotę.

- Chcę, żebyś mi powiedział, czy czegoś nie przeoczyłam - oświadczyła. - Zajmujesz się tym znacznie dłużej ode mnie.

To prawda, przynajmniej w pewnym sensie. Z tego, co mówiła, Juliet ma kilka tysięcy lat, ale żyje na ziemi zaledwie półtora roku. Interakcje żywych, umarłych i nieumarłych na śmiertelnym padole wciąż mają wiele aspektów, których nie pojmuje albo po prostu nie dostrzega.

Jeżeli jednak faktycznie w grę wchodził demon, jej doświadczenie liczyło się znacznie bardziej niż moje. Co mogłem jej powiedzieć o piekielnych stworach, skoro znała piekło jak własną kieszeń?

Zastanawiałem się chwilę. Podobało mi się, że Juliet zadzwoniła do mnie, natrafiwszy na problem - bardzo mi się podobało - i nie chciałem po prostu wywrócić kieszeni, demonstrując, że są puste. Ale nie przypominało mi to niczego, z czym się dotąd zetknąłem.

- Pozwól, że się zastanowię - zagrałem na czas. - Popytam wśród znajomych. W tej chwili nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłaś przeoczyć.

- Dziękuję. Oczywiście podzielę się honorarium, jeśli się okaże, że potrzeba tu naszych wspólnych wysiłków.

- Błysk w twoim oku to dostateczna nagroda. Choć, prawdę mówiąc, skoro już tu jestem, też możesz coś dla mnie zrobić.

- Mów...

- W swoim, uhm, doświadczeniu zawodowym...

- Teraz to jest mój zawód.

- No tak. Oczywiście. Ale w dawnych czasach, kiedy... polowałeś, no wiesz, na kogoś szczególnego, a ten ktoś wiedział, że się zbliżasz i próbował ukryć. Czy... Jak ty...? - Trudno było znaleźć delikatny sposób wyrażenia tego, o co mi chodziło.

Ale Juliet uśmiechała się, rozbawiona. Demony mają osobliwe poczucie humoru.

- Chcesz powiedzieć, kiedy przywoływano mnie z piekła, bym się posiliła ludzką duszą - na przykład twoją - jak ją znajdowałam?

Skinąłem głową.

- Mniej więcej.

- Podążałam za zapachem.

- To wiem. Chciałem raczej spytać: jakim zapachem? Śledziłaś ciało czy duszę?

- Jedno i drugie. To już coś.

- Dobra - mruknąłem. - A czy kiedyś zdarzyło ci się, że, uhm...

- Ofiara?

- Chciałem powiedzieć „cel”, ale tak, że ofiara zorientowała się, że się zbliżasz i zdołała w jakiś sposób ukryć swój ślad? Tak, że nie mogłaś już jej wywęszyć?

Juliet zastanowiła się, wyraźnie obracając w głowie moje pytanie.

- Istnieją metody zamaskowania woni ciała - powiedziała. - Całkiem sporo. Co do duszy, kilka, a bieżąca woda ukrywa jedno i drugie.

Kiwnąłem głową, tyle sam wiedziałem.

- Ale czy kiedykolwiek zdarzyło ci się, że podążałaś czyimś tropem, bardzo silnym zapachem, po czym nagle wszystko zniknęło? Kompletnie i bez śladu?

Bez chwili wahania pokręciła głową.

- Nie, to niemożliwe.

- Ktoś mi to zrobił parę godzin temu.

- Nie - powtórzyła Juliet. - Może tak ci się wydawało, ale w istocie musiało stać się coś innego.

Niezła odpowiedź. Pożywka dla umysłu.

- Dzięki - mruknąłem. - Zajrzę tu jutro, zobaczę jak sobie radzisz.

- Przyjdź wieczorem - podsunęła. - Zjemy razem kolację.

Bardzo zachęcająca perspektywa.

- Stawiasz?

- Stawiam.

- Zgoda. Gdzie się spotkamy?

- Chyba tutaj, znajdziemy coś w pobliżu, może w White City. Do zobaczenia o wpół do dziewiątej.

Odwrociłem się do wyjścia, potem jednak przypomniałem sobie coś, co wcześniej mi umknęło. Ów podwójny dźwięk, wznoszący się i opadający, wznoszący i milknący, niczym fale na gęstej, zwarzonej cieczy, pełnące ku niewyobrażalnemu brzegowi. Obróciłem się ku niej.

- Nie dotarło do mnie - oznajmiłem.

- Co?

- Tamten dźwięk. Powiedziałaś, że to do mnie dotrze, ale nie. Uważasz, że wiesz, co to jest?

- Och. - Juliet spojrzała na mnie z lekkim zawodem, jakbym prosił ją o rozwiązanie zadania zbyt łatwego, by zawracać sobie nim głowę.

Wzruszyłem ramionami, częściowo w żartobliwym, przeproszającym geście, głównie po to, by przeszła do rzeczy.

- To serce - oznajmiła. - Bijące raz na minutę.

5

Wróciłem do samochodu, który zaparkowałem na tyłach hurtowni win, w poniedziałki zamykanej wcześniej. Był to mondeo Pen; pozwala mi z niego korzystać, kiedy sama go nie potrzebuje. Ponieważ obecnie większość jej potrzeb transportowych zaspokajał lexus Dylana, mogłem nim dysponować w miarę swobodnie.

Wszedłem do środka i zablokowałem drzwi - na wszelki wypadek, bo wiedziałem, że przez kilka minut pozostanę skupiony na czymś innym. W torbie od Sainsbury'ego, na fotelu pasażera leżała lalka Abbie. Wyjąłem ją, ująłem w obie dłonie i zamknąłem oczy. I zadrżałem. Znów to poczułem: niezmierny ból dawnego, długotrwałego smutku, wzbierający za kruchymi fortyfikacjami wypchanego gałgankami muślinu. Mam cię, ty draniu, pomyślałem z zimną satysfakcją. Możesz ukryć przede mną trop, ale tylko wtedy, gdy wiesz, że na nim jestem. Nie możesz cały pieprzony czas pracować na biegu jałowym.

Położywszy lalkę na kierownicy, niczym maleńkiego Iksjona, wyjąłem flet i zaintonowałem pierwsze takty wciąż dźwięczącej mi w myślach melodii Abbie. Po zaledwie kilku sekundach uzyskałem tę samą odpowiedź jak wcześniej: to samo poczucie kogoś dotykającego muzyki z zewnątrz, jakbym zasnuwał zachodni Londyn realnie istniejącą, delikatną przędzą. Tyle że tym razem odczucie było mocniejsze. Znajdowałem się zaledwie ćwierć kilometra na wschód od mojego biura w Harlesden, ale dobre dwa dalej na południe. I faktycznie, tym razem kierunek był inny - coś ciągnęło słabo sieć, nie poza moim lewym ramieniem, lecz prosto przede mną, z miejsca, gdzie niedawno zniknęło słońce. To ułatwiło mi skupienie uwagi na tym miejscu. Dotyk był słaby, ulotny, otworzyłem się jednak na niego, wyłączając wszystkie zakłócenia, nasłuchując z napięciem na tym jednym kanale, jednocześnie tworząc go, podtrzymując miękkimi, przeciągłymi, jęklivymi tonami fletu. Miałem wrażenie, że Abbie się cofa. Zagrałem samotny ton na granicy słyszalności - delikatne tchnienie w ustnik i powoli, niewyobrażalnie wolno...

Nagle w mój umysł wgrzył się rozzierający dysonans, jakby ktoś wwiercał się w niego wiertarką udarową „Black & Decker”. Dźwięk ów zjawiał się znikąd, przecinając mi nerwy, chlaszcząc myśli, uczucia i muzykę - ich wijące się, poszarpane końce zaczęły bryzgać wokół chaosem i bólem. Krzyknąłem głośno, gwałtownie wyginając plecy tak, że głowa uderzyła o zagłówek fotela kierowcy, a stopy naparły na pedały, jakbym próbował zatrzymać w miejscu już i tak stojący samochód.

Trwało to zaledwie sekundę, może nawet mniej. Już w chwili, gdy krzychałem, szaleńczy ból zaczął słabnąć i znów opadłem naprzód, marionetka o przeciętych sznurkach. Czołem uderzyłem wprost w ciało lalki, wciąż leżącej na kierownicy przede mną.

Pozostawałem w tej pozycji parę sekund, słaby, oszołomiony, a przez mój układ nerwowy przelatywał syczący, biały szum. Rozpaczliwie próbowałem sobie przypomnieć, gdzie jestem i dlaczego, z moich ust na wypchaną zabawkę wypływała krwawa ślina. Język pulsował mi w rytm uderzeń serca, wydawał się za wielki, nie pasował do ust: przygryzłem go głęboko i poczułem gorzki smak - to była moja krew. Otarłem ją grzbietem dłoni i pozbierałem się do kupy: musiałem do tego podchodzić etapami.

Wyłowilem z kieszeni piersiówkę pełną trunku z gatunku „sam nie wierzę, że to nie koniak” i drżącymi rękami odkręciłem. Pierwszy łyk był tak naprawdę lekarstwem: przeplukałem nim usta wokół przygryzionego języka, próbując się nie krzywić, po czym opuściłem szybę i splunąłem. Drugi miał ukoić skołatane nerwy. Podobnie trzeci i czwarty.

Nagle, patrząc między stopy, uświadomiłem sobie, że spogląda stamtąd na mnie para oczu. Z nieprzyjemnym dreszczem podniosłem z podłogi głowę lalki Abbie: musiała rozstać się z ciałem, kiedy uderzyłem w nią czołem; dziwne, że jej przy tym nie stłukłem. Bezgłowe ciało wrzuciłem z powrotem do torby od Sainsbury'ego, niczym miniaturową ofiarę seryjnego mordercy.

Myślę, że właśnie w tym momencie sprawa, przynajmniej dla mnie, stała się osobista. Rozpocząłem pojedynek umysłów i jak dotąd przegrywałem trzy do zera. Facet był dobry, bez dwóch zdań. Ale kota można oskórkować na różne sposoby. Wie o tym każdy, kto zajmuje się tym zawodowo.

Nie mogłem się doczekać spotkania z nim.

I wybicia mu wszystkich zębów.

Wciąż roztrzęsiony, przekręciłem kluczyk i ruszyłem bocznymi uliczkami z powrotem na Du Cane Road. Minąłem kościół, kierując się na wschód, i niemal natychmiast zauważyłem znajomą sylwetkę. To była Susan Book; teraz miała na sobie długi, płowy płaszcz, lecz rozpoznałem ją z łatwością, bo nie naciągnęła kaptura i co chwila oglądała się za siebie.

Zatrzymałem się parę metrów przed nią i opuściłem szybę. Już miała skręcić, gdy przekonała się, że to ja.

- Może cię podrzucić? - spytałem.

Spojrzała na mnie, zaskoczona i nieco podenerwowana.

- Mieszkam zaledwie półtora kilometra stąd - odparła. - W Royal Oak. Mam bezpośredni autobus.

- Albo mój samochód - odparłem. - Przejeżdżam tamtędy. Bez kłopotu mogę cię powieźć.

Susan stoczyła krótką, komiczną walkę ze sobą. Widziałem wyraźnie, że nie podoba jej się pomysł przyjęcia propozycji nieznajomego - i słusznie. Ale nie zachwycała jej też perspektywa czekania na przystanku, zwłaszcza że zrobiło się już ciemno.

- No dobrze - powiedziała w końcu. - Dziękuję.

Otworzyłem drzwi i wsiadła. Jakiś czas jechaliśmy w milczeniu - w pełnej napięcia ciszy. Była tak spięta, że miałem wrażenie, że zaraz zacznie wibrować.

- Długo znasz pannę Salazar? - spytała w końcu, bardzo cicho, tak że ledwie dosłyszałem jej głos w akompaniamencie warkotu silnika.

- Juliet? Nie - przyznałem. - Ona... mieszka w Londynie od niedawna. Ale z pewnością robi mocne pierwsze wrażenie.

Susan przytaknęła szybkim, zdecydowanym ruchem.

- Jesteście... czymś w rodzaju wspólników - podjęła, po czym dodała prędko: - W sensie zawodowym? Pracujecie razem?

- Nie do końca. - Miałem wrażenie, że z każdą odpowiedzią tracę kolejną część jej szacunku. - Przez jakiś czas pracowaliśmy, ale wówczas Juliet uczyła się jeszcze zawodu. Trochę mi pomagała, by się przekonać, jak to wygląda z bliska. Teraz poszła na swoje i dzisiejsze spotkanie miało bardziej naturę... konsultacji.

- Tak, rozumiem. - Susan znów skinęła głową. - To musi być miłe uczucie. No wiesz, móc poprosić kogoś o przysługę. Wiedzieć, że ktoś...

- Pilnuje ci pleców? - podsunąłem.

- Tak. Właśnie. Pilnuje ci pleców.

Dojechaliśmy już do Royal Oak. Skręciłem z West Way w dolną część Harrow Road. Susan jakby tego nie zauważała.

- Gdzie dokładnie mieszkasz? - spytałem.

Wzdrygnęła się i rozejrzała lekko zaskoczona.

- Przy Bourne Terrace. - Wskazała ręką. - To tędy, pierwsza w lewo i potem znów w lewo.

Zatrzymaliśmy się przed niewielkim, szeregowym domem, pogrążonym w ciemności, prócz samotnego światła na piętrze. Od ulicy oddzielał go ogród wielkości wycieraczki. Na furtce, pomalowanej na szpitalną zieleń, wisiała tabliczka z napisem: „Zakaz handlu obwoźnego”.

- Zaprosiłabym cię na herbatę - powiedziała Susan tak sztywno, że wydawała się niemal przerażona. - Albo kawę. Ale mieszkam z mamą, a ona uznałaby to za niestosowne. Jest bardzo staroświecka w takich sprawach. Nie spodobałoby jej się nawet, że pozwoliłam się podwieźć.

- W takim razie to będzie nasz sekret.

Czekałem aż wysiądzie, ona jednak siedziała, patrząc prosto przed siebie szeroko otwartymi oczami. A potem bardzo gwałtownie uniosła dłonie do twarzy i z jej ust uleciał ochryply skowyt, który trwał i trwał, aż w końcu rozsypał się w szereg rozpaczliwych szlochów.

Stało się to tak bardzo niespodziewanie, że przez sekundę czy dwie mogłem tylko patrzeć. Potem próbowałem powiedzieć coś uspokajającego, a nawet raz poklepałem ją po plecach, Susan jednak błąkała się po osobistej krainie rozpacz, w której w ogóle nie istniałem. Po mniej więcej minucie zacząłem rozumieć słowa, które wyrzucała z siebie bez tchu pomiędzy szlochami.

- Ja... Ja nie... Nie jestem...

- Czym nie jesteś, Susan? - spytałem możliwie najłagodniej. Nie znałem jej dość dobrze, by ryzykować domysł co ją gryzie. Lecz cokolwiek to było, wgryzło się głęboko.

- Nie... Nie jestem taka. Nie jestem, nie. Nie jestem lesb... lesb... - Słowa znów rozplynęły się w bezkształtnym bagnie płaczu, lecz ów krótki rozbłysk światła powiedział mi wszystko, czego potrzebowałem.

- Nie - odparłem. - Nie jesteś. - Sięgnąłem przed nią, otworzyłem schowek na rękawiczki, znalazłem parę chusteczek i wręczyłem jej jedną. - To nie tak. Juliet po

prostu... tak działa na ludzi. Nic nie możesz na to poradzić. Zakochujesz się w niej, czy tego chcesz, czy nie.

Susan ukryła twarz w chusteczce, gwałtownie kręcąc głową.

- Nie zakochujesz - wyszlochała. - To nie miłość. Mam nie... nieczyste... wyobrażam sobie... O Boże, co się dzieje? Co się ze mną dzieje?

- Jakkolwiek chcesz to nazwać - odparłem lekkim tonem - wystarczy spojrzeć na Juliet, by zarazić się tym, tak jak ludzie zarażają się grypą. Ja też to czuję. Czuje to większość ludzi, którzy się do niej zbliżą. Cokolwiek to jest, to nie grzech.

Nic więcej nie przyszło mi do głowy. Może Susan Book należała do chrześcijan uważających, że miłość homoseksualna to zawsze grzech. W takim przypadku będzie musiała sama dojść z tym do ładu. Nieważne jednak, czy jest się homo, hetero czy agnostykiem - to, co robi Juliet, dogłębnie wstrząsa każdym. Mogłem powiedzieć Susan, czym naprawdę jest panna Salazar - tak profilaktycznie - ale nie była to moja tajemnica, a poza tym w tych okolicznościach mogła jeszcze pogorszyć sytuację. Nieczyste myśli o demonie tej samej płci? Susan raczej by tego nie zniosła.

Staralem się ją uspokoić, jak tylko umiałem. W końcu wysiadła z samochodu, zostawiając na fotelu mokrą chusteczkę, wymamrotała coś, dziękując za podwózkę.

- Tylko jej nie mów. Proszę, proszę, nie mów jej! - powiedziała. A potem uciekła do domu.

Zapewne nie mogłem powiedzieć nic, co by jej pomogło. Miłość to narkotyk, jak powiadają, ale najokrutniejsza prawda to ewangelia według Steppenwolfa, nie Roxy Musie: dealera nie obchodzi, czy przeżyjesz, czy umrzesz.

Jadąc na wschód przez miasto, zadzwoniłem do Torringtonów. Oczywiście przez zestaw głośnomówiący - nie chciałem, żebyście sądzili, że zaniedbuję bezpieczeństwo. Stephen odebrał po pierwszym dzwonku; zastanawiałem się, czy siedział cały czas z komórką w dłoni.

- Pan Castor. - Sprawiał wrażenie lekko zdyszanego. - Ma pan jakieś wieści?

- Można je nazwać dobrymi - oznajmiłem. - Mieliście rację, a ja się myliłem.

- To znaczy...?

- Abbie nie ma w niebie. Jest w Londynie.

Głośno wypuścił powietrze. Czekałem, aż znów się odezwie.

- Mógłby mi pan dać chwilę?

- Oczywiście.

Może zasłonił telefon, a może głosy były zbyt ciche, bym je usłyszał pośród szumu silnika. Po bardzo długiej chwili znów się odezwał; jego głos załamywał się lekko, jak u kogoś na skraju łez.

- Nie potrafimy nawet wyrazić, jacy jesteśmy wdzięczni, panie Castor. Sądzi pan, że zdoła ją znaleźć?

- Jestem gotów spróbować.

Zaśmiał się z ulgą, ochryple, z napięciem, szybko jednak urwał, jakby rażony nagłym, psychologicznym piorunem.

- To wspaniałe wieści! Wspaniałe! Całkowicie ufamy panu w tej kwestii.

- Panie Torrington...

- Steve.

- Steve. Nie chcę niepotrzebnie budzić nadziei. Wciąż nie będzie łatwo, zakładając, że w ogóle zdołam to zrobić. Będę też potrzebował trochę pieniędzy, żeby powęszyć tu i ówdzie. Gdybyś mógł wpłacić dwieście, trzysta funtów zaliczki, zacząłbym...

Przerwał mi.

- Panie Castor, moja żona i ja wedle wszelkich standardów zaliczamy się do ludzi majątnych. Jeśli mogę się posłużyć brydżową przenośnią, niepotrzebnie pan przekombinowuje. Czegokolwiek pan potrzebuje, możemy to zapewnić. Być może uważa pan, że wykorzystuje naszą rozpacz, ale z naszego punktu widzenia to tak nie wygląda. Słyszeliśmy, że jest pan najlepszy i jesteśmy wdzięczni, że zgodził się pan nam pomóc. - Usłyszałem szelest, a potem „skrob, skrob, skrob” stalówki wiecznego pióra o papier. - Wypisuję czek - oznajmił. - Na tysiąc funtów. Dziś wieczorem go wyślę. Nie, jeszcze lepiej, podjadę do pańskiego biura i go podrzucę. Dołożę też trochę gotówki, by miał ją pan do dyspozycji, zanim bank zrealizuje czek. Jeśli to więcej, niż zamierzał pan policzyć i źle się pan z tym czuje, resztę proszę przekazać na dowolny cel dobroczynny.

W porządku, powinienem częściej miewać klientów, którzy nie chcą mnie urazić. Spytałem go o adres Peace'a. Okazało się, że mieszkał w East Sheen: nie znam zbyt dobrze tej części miasta i leży oddalona spory kawałek na południe.

- Będę w kontakcie - oznajmiłem i rozłączyłem się.

Jadąc na autopilocie, dotarłem już na West Way i przejechałem przez Marylebone, mijając gabinet Madame Tussaud i Planetarium - obecnie zajmujące się wyłącznie gwiazdami mydlankowymi. Właśnie miałem skręcić na północ, w Albany Street, czekała mnie jednak jeszcze jedna wizyta, we wschodniej części miasta, nie północnej. Jechałem więc dalej - cały czas na wschód, kierując się w stronę odległego masywu Walthamstow.

Byłem zmęczony i wciąż czułem ból głowy po owym psychicznym ataku. Uznałem jednak, że nie ma sensu odkładać tego do jutra. Noc to najlepsza pora na spotkanie z Nickym, jeśli chce się coś z niego wyciągnąć.

Zaparkowałem na końcu Hoe Street. Musiałem stąd przejść spory kawałek, ale istniała spora szansa, że kiedy wrócę, samochód wciąż tam będzie, może nawet do kompletu z silnikiem i kołami. To było warte odrobiny wysiłku.

Parę minut od dworca stoi budynek z frontonem Cecila Maseya, który wciąż wygląda pięknie, mimo syfiastej obłazącej farby i graffiti. Agresywnie mauretański w stylu, jak wszystkie jego najlepsze dzieła, rozrasta się wokół centralnego, olbrzymiego okna w owym wydłużonym, zaokrąglonym na końcu, nieco fallicznym kształcie, z dwiema mniejszymi wersjami po obu bokach. Te same kształty powtarzają się na szczycie murów, niczym blanki albo fale zastygłe w cegle. Wnętrza są urządzone w marmurach, lustrach i złożonych aniołkach, dziełach Sidneya Bernsteina bądź jednego z jego kiepsko opłacanych asystentów.

Budynek został otwarty w roku 1931, jako kino Gaumont. Miał swój szczyt popularności i powolny upadek, podobnie jak wszystkie inne przedwojenne superkina, aż w końcu cicho skonał dokładnie trzydzieści lat później. Potem jednak jakiś ghul ekshumował go w 1963 i przerobił na zamknięty klub o pysznej nazwie w stylu Majestic bądź Regal. Przez następne dwadzieścia trzy lata wyświetlano tu miękkie porno cynicznym kierownikom banków, za ceny dość wysokie, by nie dopuścić zwykłego pospólstwa. Teraz kino znów skonało, nieopłakiwane przez nikogo, a Nicky kupił je za grosze - zapewne trumienne obole.

Był to dla niego idealny dom: on także powrócił po śmierci.

Okrzyłem budynek i wspiałem się po rynnie, by przez otwarte okno dostać się do środka. Frontowe wejścia zabito deskami na stałe. Pierwsza uczyniła to rada dzielnicy, lecz Nicky dołożył własne, dodatkowe bariery - jeśli zna się cenę, można kupić jego usługi, ale nie zaprasza raczej przygodnych klientów.

Wewnątrz jest ciemno i zimno, bo ciepło to kolejna rzecz, za którą nie przepada. Kiedy szedłem szerokim, pustym korytarzem do kabiny operatora, mijając oblażące plakaty sprzed dwóch dziesięcioleci, wokół kostek czułem arktyczny powiew. Zastukałem do drzwi i po paru sekundach kamera na górze obróciła się, by mi się przyjrzeć. Oczywiście po drodze minąłem trzy inne, toteż wiedział dokładnie, że to ja. Ale Nicky lubi przypominać gościom, że Wielki Brat patrzy. To nie jest tylko kwestia bezpieczeństwa - choć traktuje swoje zabezpieczenia poważniej niż Imelda Marcos obuwie - raczej wyraz pewnej osobistej filozofii.

Kiedy ostrożnie pchnąłem drzwi, ujrzałem leciutką sugestię kłębiącej się pary na poziomie podłogi. Przypominało to efekt maszyny do puszczenia dymu, ustawionej na najslabszym biegu: albo to skutek uboczny niezwykle podkreślonej klimatyzacji Nicky'ego, albo też coś, co robi specjalnie.

Nie wszedłem do środka. Nie lubię wpadać bez jasnego zaproszenia, bo ten próg to twierdza otaczająca niewielki zamek Nicky'ego - a on naprawdę myśli w tych kategoriach. Zainstalował tu najróżniejsze zapadnie i pułapki, mające powstrzymać ludzi przed naruszeniem jego prywatności. Niektóre z nich są tak pomysłowe, że graniczą z sadyzmem. Wedle mojego doświadczenia nikt nie potrafi wymyślić bardziej zróżnicowanych i ciekawych metod uszkodzenia żywego ciała, niż zombie.

- Nicky?! - zawołałem, popychając drzwi noskiem buta.

Brak odpowiedzi. Cóż, ktoś musiał je otworzyć. Ktoś także obsługiwał kamery. Stawiając na szalę życie - a przynajmniej własne jaja - wszedłem do środka i poczułem chłód, który swobodnie można by nazwać grobowym.

Rozejrzałem się wokół, lecz nie dostrzegłem ani śladu Nicky'ego. Kabina jest większa niż sugeruje nazwa: to coś w rodzaju hangaru na pierwszym piętrze, z bardzo wysokim sklepieniem, co najwyraźniej ułatwia znacząco wymianę ciepła. Nicky trzyma tu swoje komputery i wszystko co jest bliskie jego zimnemu sercu w danej chwili. Obecnie oznaczało to ogród hydroponiczny, który radził sobie całkiem nieźle, mimo porażającego chłodu. W połowie pomieszczenie przecinał parawan z niedożywionych, trzcinowatych roślin, zasadzonych w wiadrach pełnych paskudnej brązowej brei. Najwyższa z owych roślin sięgała sufitu i rozkładała szeroko liście - sięgała ku niemu tylko po to, by się poddać, jak śpiewał kiedyś Leonard Cohen. Rośliny wyrosły tak bardzo, jak tylko mogły, nie łamiąc się i nie wypuszczając poziomych pędów. Wydawały się też kiepsko ukorzenione w stosunkowo niewielkich, plastikowych kubłach.

Zazwyczaj Nicky siedział przy terminalu komputerowym po drugiej stronie pomieszczenia - albo może opierał się na łokciach na skrzyni z planami, daleko po prawej, przeglądając mapy i wykresy Londynu, Anglii i świata, pokreślone raz po raz jego własnymi, hermetycznymi symbolami. Oba te miejsca były teraz puste.

- Hej, Nicky! - zawołałem z lekką irytacją. - Pospiesz się, bracie. Licznik stuka.

- Rozepnij płaszcz, Castor.

Głos Nicky'ego nie niesie się zbyt daleko, toteż nie był to krzyk, jedynie natrętny pomruk, który nie dobiegał z żadnego określonego kierunku, lecz pełzał przy ziemi wraz z ulotnymi smużkami pary wodnej. W końcu jednak go zlokalizowałem: stał za rzędem smukłych drzewek i wyglądał jak Davy Crockett w Alamo - tyle że pistolet, który trzymał w dłoniach, nie był okazem muzealnym, lecz ciężkim automatem; mimo długiego przebiegu nadal wyglądał bardzo poważnie i groźnie. Nicky też wyglądał poważnie - zazwyczaj sztuczna opalenizna, którą z uporem pielęgnuje, nadaje mu nieco błaznowaty wygląd, lecz spluwa w dłoniach każdemu dodaje powagi.

- Zupełnie ci odbiło? - spytałem.

- Nie. W tej chwili w mieście dzieje się coś kurewsko dziwnego i nie zamierzam stać się tego częścią. Po prostu rozepnij płaszcz. Chcę sprawdzić, czy nie masz przy sobie broni.

- Tylko tę co zwykle, Nicky. Chyba że to jakiś eufemizm na...

- Zrób to, Castor. Proszę po raz ostatni.

Tym razem nieco podkręcił głośność, co oznaczało, że na tę okazję odetchnął głęboko: kiedy nie mówi, zapomina to robić.

Przełykając kilka bardzo niemiłych słów, rozpiąłem szynel i rozchyliłem poły.

- Proszę bardzo - rzekłem. - Żadnych kabur. Żadnych pistoletów. Nie mam nawet maczety u pasa. Przykro mi, że sprawiam ci zawód.

- Jeśli sprawisz mi zawód, szybko się dowiesz. Wywróc kieszenie.

- Chryste Panie, Nicky!

- Powiedziałem już: to nic osobistego. Jesteśmy przyjaciółmi, o ile to cokolwiek znaczy. Jeśli miałbym komuś ufać, to tobie. Ale dziś wieczór znaleźliśmy się na niezbadanym gruncie i przysięgam na Boga, że nie będę podejmował ryzyka... - Jego dłonie przesunęły się nad pistoletem i rozległ się dźwięk, który słyszałem mnóstwo razy w filmach i może ze dwa w prawdziwym życiu: odgłos zwalnianego bezpiecznika.

Przestałem się spierać. W moich zewnętrznych kieszeniach i tak nie kryło się zbyt wiele, wyciągnąłem zatem to, co w nich było - klucze, portfel, scyzoryk z dynksem do wyciągania kamieni z końskich kopyt - i upuściłem na podłogę. W podszewkę płaszcza wszyłem jednak drugi zestaw kieszeni i z przedmiotami, które w nich trzymałem, obszedłem się dużo ostrożniej. Był tam antyczny nóż z intarsjowaną rękojeścią, niewielki kielich z poplamionego, mocno poczerniałego srebra oraz porcelanowa głowa lalki Abbie. Położyłem je kolejno ostrożnie na podłodze. Jako ostatni wyciągnąłem flet.

- Tylko jedną ręką - ostrzegł Nicky, gdy go wysunąłem i uniosłem. Dla niego to była broń, i to wycelowana w niego.

W tym momencie poczułem, że mam już tego absolutnie dosyć, i byłem w nastroju, by zrobić coś gwałtownego. Powoli, wystudiowanie i przesadnie niegroźnymi ruchami zgąłem się w pasie i położyłem flet na nagiej cementowej podłodze. W ostatniej chwili trąciłem go kciukiem tak, że się poturlał. Wiedziałem, że Nicky podąży za nim wzrokiem, tak jak my obserwowalibyśmy granat bez zawlecзки. Następnie przykucnąłem. Kubeł, w którym rosła najbliższa mnie wysoka roślina, znajdował się w zasięgu mojej wyciągniętej lewej ręki: chwyciłem jego brzeg. Jednym szybkim ruchem wstałem i kubeł się wywrócił. Ukorzenione w nim drzewo także runęło, trącając sąsiada i zapoczątkowując reakcję łańcuchową, brzmącą jak świst tysiąca trzcin. A Nicky stał na końcu, jakby czekał na lanie. Bez sapnięcia, świśnięcia ani gwałtownego zaczerpnięcia tchu poleciał na podłogę. Jego głowa uderzyła o ścianę z głuchym łupnięciem. Wiedziałem jednak, że to go nie zatrzyma. Z mojej prawej dobiegł jednak inny dźwięk: brzęk metalu o kamień, który ucichł bardzo szybko. Oцениwszy, że to lepszy kandydat, skoczyłem, zanim jeszcze odkryłem, że pistolet wylądował w rozszerzającej się szybko kałuży i mazi z wywróconych kubłów. Nicky zdołał wyplątać się spod poszycia i pełzł szybko na czworakach w tę samą stronę. Ponieważ znajdował się na poziomie podłogi, dotarł do celu pierwszy, lecz w chwili, gdy jego palce zacisnęły się na kolbie, moja stopa opadła na przegub Nicky'ego.

- Nie przygniatał ci ręki całym ciężarem - powiedziałem - bo jeśli to zrobię, coś się złamie.

Nicky cierpi na obsesyjny lęk przed uszkodzeniami fizycznymi - ponieważ jest martwy, w żaden sposób nie może ich naprawić. Wszystkie układy, które w żywym ciele scalilyby ciało i kości i przegnały zakażenie, u chodzących trupów w ogóle nie działają. Z wielkim pośpiechem wypuścił broń, a ja ją podniosłem. Spluwa była stara i

ciężka, ale wyglądało na to, że kto się nią opiekował, i nie wątpiłem, że zadziała, nawet pokryć gęstą, brązową paciają. Nie wiedząc, jak z powrotem zabezpieczyć broń ani jak wyjąć magazynek, zamiast tego wycelowałem w Nicky'ego. Natychmiast uniósł ręce, rozpaczliwie cofając się na tyłku po podłodze.

- Spokojnie! Spokojnie, Castor! Ja się nie zagoję! Nie zagoję!

- Spokojnie? Groziłeś mi bronią, ty pojechańcu!

- Chciałem się upewnić, że nie zamierzasz mnie zabić.

- Co? - Opuściłem spluwę, urażony i zirytowany. - Nicky, ty już nie żyjesz.

Zapomniałeś? Zabicie cię nie miałoby sensu.

- No to uszkodzić. - Próbował pozbierać nogi i wstać, nie używając rąk, które cały czas trzymał uniesione.

- Uszkodzić cię. Tak, jasne.

Podszedłem do okna i spróbowałem je otworzyć. Nic z tego - framugę zabito gwoździami. Zamiast tego wybiłem je, nie zważając na okrzyk oburzenia Nicky'ego, i wyrzuciłem spluwę na zarośnięty chaszczami asfaltowy plac, niegdyś kinowy parking - oto poręczna zabawka dla następnej zakochanej parki, która zechce się wybrać na spacer wśród trawy.

Potem znów odwróciłem się do Nicky'ego. Opuścił ręce i podszedł do mnie, żeby wyjrzeć przez okno, po czym obdarzył mnie wrogim spojrzeniem. Po raz pierwszy zauważyłem, że na swój zwykły garnitur od Zegny włożył rzeźnicki fartuch. Było to osobliwe, niepokojące połączenie, choć pokrywały go plamy zgniłej zieleni, a nie krwistej czerwieni.

Zazwyczaj wiadomo z góry, co kieruje Nickym: nawet przed śmiercią był paranoikiem, a zgon jedynie wzmocnił jego przekonanie, że wszechświat próbuje go dopaść. Właściwie jego dzisiejsze zachowanie mnie nie zdziwiło, jedynie pobudziło chorą ciekawość, co właściwie pchnęło go do działania.

- Czemu, do kurwy nędzy, miałbym chcieć cię uszkodzić? - spytałem.. - Nie, ujmę to inaczej. Cały czas mam ochotę cię uszkodzić, ale dlaczego sądziłeś, że wybiorę akurat dzisiejszy dzień, aby w końcu przestać ją tłumić?

- A czemu ktokolwiek wybiera daną chwilę, żeby dostać szalu? - bronił się nadąsany Nicky. - Wiem tylko, że akurat teraz wybiera ją mnóstwo ludzi. Niczego nie zauważyłeś? Sądziłem, że z Londynem łączy cię wielka pępowina. Że dostroiłeś się do... zeitgeistu. Ducha miasta. Jakkolwiek to nazwiesz. Jeśli zatem cała kupa londyńczyków zatrula się czymś i straciła rozum, uznałem, że istnieje spora szansa, że

ciebie też to dopadnie. Ale wygląda na to, że akurat dziś odbierałeś na innej częstotliwości. - Widział wyraźnie, że jego słowa nic dla mnie nie znaczą i że zaczynam się robić lekko wkurzony, toteż spróbował ponownie, tym razem mniej tajemniczo. - Wiesz, do ilu morderstw dochodzi średnio rocznie w Londynie, Castor?

- Nie, nie wiem. Na pewno jesteśmy za Nowym Jorkiem, ale próbujemy zmniejszyć dystans.

Uśmiechnął się wyniośle. Natychmiast poznałem tę minę - Nicky zawsze tak wygląda, kiedy posługuje się wiedzą tajemną, pochodzącą z nieokreślonych źródeł.

- Około stu pięćdziesięciu. W najgorszym znanym dotąd roku było ich sto dziewięćdziesiąt trzy. W zeszłym roku liczba także mocno wzrosła, zazwyczaj jednak utrzymuje się na równym poziomie dwa koma cztery per annum na sto tysięcy osób. Oznacza to, powiedzmy, mniej więcej jedno co dwa dni. Wiesz, do ilu doszło zeszłej nocy?

- Odpowiedź znowu brzmi: nie.

- Do siedmiu. Dodaj do tego dwa wątpliwe i sześć staroświeckich usiłowań. A nie liczę tu gwałtów, napaści, pobić. Porąbany syf dla całej rodziny w dziesięciu różnych smakach. Mówię ci, Castor, wlecieliśmy bardzo wysoko ponad zwykłą krzywą dzwonową. - Zerknął w kąt pomieszczenia i skinieniem głowy wskazał komputery. - Sam zobacz.

Posłałem mu podejrzliwe spojrzenie, ale przynajmniej nie miał już broni, a poza tym znaleźliśmy się na znanym terytorium - szaleńcze teorie spiskowe i naciągane statystyki. Podszedłem do komputera i spojrzałem na dwa monitory, które ustawił ukośnie w kącie pomieszczenia. Na pulpicie zobaczyłem mnóstwo otwartych plików, większość stanowiły newsy z najróżniejszych portali internetowych.

MEŹCZYŻNA Z UGSBRIDGE UDUSZONY WŁASNYM KRAWATEM.

POLICJA TWIERDZI, ŻE KOBIETA Z REGENTS CENAL ZOSTAŁA ZAMORDOWANA.

MAŻ I ŻONA ZASTRZELENI Z ZIMNĄ KRWIĄ.

STRZELANINA W TESCO.

Faktycznie to musiał być kiepski dzień, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że działo się to w niedzielę, gdy większość londyńczyków zazwyczaj odsypia kaca albo myje samochody. Wziąłem mysz, zmniejszyłem niektóre okna - za nimi kryły się

kolejne wiadomości, nakładające się na siebie niczym nieskończony szereg potworności.

- Widzisz? - rzucił Nicky. - Rozsądny człowiek podejmuje środki bezpieczeństwa.

- Skąd niby miałbyś to wiedzieć? - odparowałem. - Czyli co, uważasz, że wczoraj w nocy Londyn stracił swój zbiorowy rozum?

- Z całą pewnością spojrzał w otchłań. A otchłań także spojrzała. Wiesz, co mam na myśli.

- Jasne. I załatwiłeś sobie spluwę. Skąd wiesz, że jesteś częścią rozwiązania, a nie problemu, Nicky?

Zmarszczył brwi, wyraźnie wstrząśnięty.

- Co?

- Dochodzi do epidemii morderstw i aktów przemocy. Zaczynasz się bać, postanawiasz dopilnować, by nie znaleźć się po niewłaściwej stronie lufy i raz, dwa, trzy, wymachujesz spluwą przed oczami bliskich przyjaciół. Istnieje coś takiego jak przyjacielski ogień, kretynie.

- Przyjacielski? - Zastanawiał się chwilę, z taką miną, jakby ugryzł cytrynę i odkrył, że jego kubki smakowe wciąż działają. Nadał się jeszcze bardziej. - Hej, nie mieszaj mi w głowie, Castor, to nie jest zabawne. Cokolwiek się stało, te zabójstwa są ściśle powiązane z geografią, jasne? Mówimy tu zatem o czynniku chemicznym bądź bakteriologicznym, albo czymś podobnym - czymś rozproszonym w wodzie lub powietrzu. Ja nie piję wody. Nie wchłaniam tlenu. W żaden logiczny sposób nie mógłbym się zarazić.

Pokiwałem głową ze współczującą miną, głównie po to, by się zamknął.

- Nicky, siedem morderstw jednej nocy to faktycznie rekord, lecz tylko dopóki jakiś pomysłowy koleś nie zdecyduje się dokonać ósmego. To coś, jak co drugie kolejne lato staje się najgorętszym w dziejach.

- Z powodu globalnego ocieplenia.

- Jasne. Albo globalnej wścieklizny. Tak właśnie działa statystyka, Nicky: wskaźniki podnoszą się, bo nie mogą spadać. Zostawmy jednak na razie te bzdury. Będę potrzebował przysługi.

Nicky się nie poddał. Najwyraźniej moja wzmianka o części problemu uraziła go, jako pokaz jeszcze większej paranoi niż jego własna.

- Nie jestem w nastroju na jakiegokolwiek przysługi, Castor. Nadepnąłeś mi na przegub. Zdajesz sobie sprawę, przez co musiałbym przejść, by naprawić kość? Nie mam antyciał. Nie mam pierdzielonych białych krwinek. Zostały mi tylko moje ręce.

- Przyniosłem ci prezent.

- I to ma mnie niby pocieszyć?

Zamierzałem odliczać sekundy, ale cisza trwała zbyt krótko.

- Co to?

Mój związek z Nickim opiera się na kilku jasno określonych i bezwzględnie pragmatycznych zasadach. Jako umarły powstały w ciele (unikam tu obraźliwego określenia zombie: w dzisiejszych czasach rząd nazywa to słowną dyskryminacją) Nicky nie wychodzi z domu tak często, jak kiedyś. Woli ochładzać swe ciało tak, by do minimum spowolnić proces rozkładu organicznego. Nadal roztacza wokół siebie subtelny aromat formaliny i foie gros, ale osłabia go wodą po goleniu „Old Spice”. A biorąc pod uwagę, że większość znanych mi żywych umarłych śmierdzi jak zamrażarka pełna zepsutego mięsa, muszę przyznać, że to imponujące osiągnięcie.

Lecz ograniczona ruchliwość oznacza, że pod pewnymi względami musi polegać na uprzejmości nieznajomych - tych względnie rzadkich nieznajomych, których nie razi towarzystwo zmarłych. Toteż za każdym razem, kiedy czegoś od niego chcę, przynoszę mu prezencik na osłodę. Lubi dobre francuskie czerwone wina z rzadkich roczników (tylko wciąga ich zapach, jak jeden z duchów Yeatsa) i rzadkie jak kurze zęby wczesne nagrania jazzowe: ich zdobycie bez doprowadzenia się do bankructwa to prawdziwe, niekończące się wyzwanie. Dziś jednak miałem w rękawie prawdziwego asa. Podałem mu go bez słowa - ebonitowy dysk w sztywnej kartonowej kopercie. Po jednej stronie na kopertę nalepiono znaczki pocztowe wartości trzech centów. Nicky obrócił ją w dłoniach, odczytał drugą stronę i długą chwilę milczał.

- Kurwa mać, Castor - powiedział w końcu. - O jak dużej przysłudze tu mówimy?

To było coś sporo rzadszego niż kurze zęby: nagranie Buddy'ego Boldena, tragicznie szalonego trębacza, który - przynajmniej wedle pewnych źródeł - sam jeden zmienił nowoorleański ragtime w jazz. Na stronie A płyty nagrano „Make My a Pallet”, nie było strony B, co w tych okolicznościach nie miało znaczenia. Generalnie sądzi się, że Bolden nie zostawił po sobie żadnych nagrań, ale dysponuję źródłami, które nie znają znaczenia słowa „nie”.

- Dwie przysługi.

- Mów dalej.

- Numer jeden to łatwizna. Chcę, żebyś dowiedział się czegoś o przypadkowej śmierci. Dziewczynka, Abigail Torrington, czas: lato zeszłego roku. Utonęła podczas szkolnej wycieczki. Zginęły też inne dzieci.

Usiadł za biurkiem i wpisał kilka szczegółów do notatnika.

- Dobra. Jak dotąd to przysługa na poziomie Dwadzieścia Złotych Hitów Ronko. Skąd zatem Buddy Bolden? Kurde, chyba uszkodziłeś mi kość przegubu, ty pieprzony nerwusie.

- Numer dwa jest nieco słabiej określony. Szukam kogoś, kto nie pozwala się znaleźć. Faceta, który się nazywa Dennis Peace.

- Jak się pisze Peace?

- Jak pokój, ten, któremu musimy dać szansę. Gość to egzorcysta. Z tego co mi wiadomo, całkiem dobry. Cokolwiek znajdziesz, to może przechylić szalę na moją stronę - a wierz mi, w tej sprawie potrzebuję wszelkiej dostępnej pomocy.

- Możesz mi dać coś jeszcze? Ostatni znany adres? Numer ubezpieczenia? Znajomi?

Podał mu adres w East Shine, który Steve Torrington podyktował mi przez telefon.

- Tylko tyle mam. Poza faktem, że parę lat temu miał sprawę o błąd w sztuce i popłynął. - Zawahałem się, zastanawiając się, czy powinienem wspomnieć mu o tym, co się działo, kiedy próbowałem odnaleźć Peace'a poprzez zabawki Abbie. Ale to wiązałoby się z kolejnymi, skomplikowanymi wyjaśnieniami i na razie nie miałem ochoty się w nie wdawać. - Zajrzę jutro - oznajmiłem. - Albo opowiesz mi o poczynionych postępach, albo podetkniesz karabin pod nos. Jeśli wcześniej dokopiesz się czegoś smakowitego, zadzwoń. Dobra?

- Jasne. Zadzwonię.

- A, i jeszcze jedno, skoro już o tym mowa. Gdzie otworzyli teraz tę starą dziurę, Oriflamme?

- Bar dla egzorcystów? - Nicky parsknął wzgardliwie. - Wszedłbym tam po moim trupie. - To był kiepski dowcip i nie zareagowałem, by go nie zachęcać. - W East Endzie - oświadczył, widząc, że nie łyknałem przynęty. - W Soho. - Nabazgrał mi adres na kawałku wydruku i wsunął w dłoń. - Czy to nie ty opisałeś kiedyś Oriflamme jako duszenie się we własnym sosie?

- Zgadza się. Ale teraz próbuję złapać kucharza.

Zostawiłem go z tym. Zważywszy na okoliczności, uznałem, że wygrałem tę rundkę, wychodząc bez żadnych świeżych dziur w ciele.

Wróciłem do Pen i znalazłem na łóżku liścik informujący, że Coldwood znów dzwonił, i proszący o nakarmienie zwierząt: napisała, że zamierza odwiedzić Rafiego, a potem Dylana, by pomóc mu się odprężyć po kolejnej długiej zmianie. Cóż, pomyślałem z rezygnacją, jeśli chcesz się bawić z kimś w doktora, to trudno lepiej trafić niż chirurg ortopeda. Nakarmienie kruków wątróbką i szczurów Harlanem Tekladem zajęło mi jakieś pół godziny. Kiedy skończyłem i posprzątałem, zadzwoniłem do Coldwooda na numer komórki, który mi zostawił: to znacznie wygodniejsze niż przechodzenie przez centralę policyjną. Odebrał natychmiast i oszczędził nam obu zbędnych wstępów.

- Cały pieprzony dzień próbuję cię złapać - rzekł. - Części Samochodowe Brondesbury: w całym warsztacie było pełno krwi. Pasuje do Sheehana.

Części Samochodowe Brondesbury? Sheehan? Potrzebowałem paru chwil, by zrozumieć, o czym do mnie mówi, potem jednak przypomniałem sobie ponury, pusty magazyn przy Edgware Road i żalostnego ducha, pozbawionego połowy głowy.

- A - mruknąłem. - Jasne. Cóż, gratulacje.

- Przedwczesne. Aresztowaliśmy Pauleya, ale wyszedł za kaucją. Dlatego właśnie dzwoniłem. Nigdzie nie wspomnieliśmy o tobie z nazwiska, ale to twoje zeznania doprowadziły do wydania nakazu: Pauley ma bardzo długie ręce i przyjaciół w najprzeróżniejszych, pierdzielonych miejscach. Lepiej na siebie uważaj, dobra?

- Poważnie?

Zaskoczył mnie, i to nie przyjemnie. Parę razy już próbowano, lecz jak dotąd żaden sąd nie przyjął dowodów pochodzących z rozmów z duchami. A przynajmniej nie w Anglii. Nigdy nie przypuszczałem, że handlarz narkotykami mógłby cokolwiek zyskać, załatwiając mnie.

- Poważnie. Jeśli zdoła unieważnić nakaz, może nie dopuścić do rozprawy. Jeden ze sposobów to wyłączenie cię z gry i oskarżenie o spisek.

- Spisek?

- Mający wpłynąć na przebieg dochodzenia. To tylko słowa. Oświadczy, że siedziałeś nam w kieszeni, sędzia przyjrzy się uzasadnieniu nakazu i wyda werdykt. Jeśli wszystko pójdzie jak trzeba, wyjdzie śpiewająco, bo wszystkie nasze pierdzielone dowody zostaną unieważnione.

- No to super. To co, zamierzasz mi pożyczyć ochroniarzy?

- Tak, jasne, Castor. Z tego samego funduszu, z którego opłacam twój samochód służbowy i ubezpieczenie zdrowotne. Słuchaj, nie twierdzą, że tak się stanie. Mówię tylko, żebyś na siebie uważał. Równie możliwe, że po prostu spróbuje cię nastraszyć. Będziesz dostępny jutro?

- To zależy. Do czego?

- W którymś momencie chciałbym zabrać cię z powrotem do magazynu. Chcę odtworzyć to, jak zginął Sheehan, i zobaczyć, czy jego duch zareaguje.

- Jak bardzo to pilne?

- W tej chwili? Niespecjalnie. Wciąż czekamy na część wyników kryminalistycznych. A czemu? Chciałeś posiedzieć dłużej w domu i umyć głowę?

- Mam inną robotę.

Śmiech Coldwooda zabrzmiał mi w uszach ostro, urywanie.

- Najwyraźniej faktycznie dożyliśmy kresu czasu. Co to za sprawa?

- Szukam dziewczynki.

- Zajmujesz się teraz zaginionymi?

- Nie, ona nie żyje. Nazywa się Abigail Torrington. To długa historia.

- W takim razie oszczędź mi jej. Nie znoszę długich historii. Zadzwoń, kiedy będziesz wolny, dobra?

Rozłączył się równie szybko jak odebrał. Wygrzebałem z szuflady stary plan Londynu, należący do Pen, i rozłożyłem na kuchennym stole. Znalazłem też jasny marker, dokładnie taki, jakiego potrzebowałem. Wyszukałem stronę z Harlesden, bezlitośnie łamiąc grzbiet grubej książki, by leżała płasko na blacie. Zresztą i tak od pięciu lat była nieaktualna: kiedy odbiorę sympatyczną kopertę od Steve'a Torringtona, pełną czeków i gotówki, kupię jej nowy plan.

Narysowałem krzyżyk przy Craven Park Road, mniej więcej w miejscu, gdzie mieściło się moje biuro. To właśnie tam po raz pierwszy podniosłem lalkę Abbie. Siedziałem wtedy twarzą do okna, które wychodziło na... północ. Mniej więcej. Ślad-wrażenie czyjejś reakcji, gdy zagrałem melodię - pochodził zza moich pleców, z lewej. Nakreśliłem markerem szeroką, nierówną linię obejmującą Park Royal, długi fragment Western Avenue, Hanger Hill i Ealing... Gdzieś musiałem skończyć, więc uznałem, że estakady M4 to całkiem dobra granica.

Potem znalazłem Du Cane Road i krzyżyk oznaczający kościół Świętego Michała. Parking, na którym przeprowadziłem drugą próbę wczesnym wieczorem, znajdował się jakieś sto metrów dalej. Patrzyłem wprost w zachodzące słońce i

stamtąd też przyszła odpowiedź - dopóki nie uderzyła mnie psychiczna bomba rozpryskowa, która pozostawiła dziurę w mym języku i dźwięczenie w uszach podobne do huku dzwonów w Hadesie.

Prosto na zachód. Nakreśliłem drugą linię przecinającą Acton, Ealing i Drayton Green, aż na wzgórze pola golfowego Brent Valley. Nie ma mowy, by Peace ukrył tam Abbie - opłaty za korzystanie z pola były astronomiczne.

Dwie linie przecinały się na sporym kawałku w zachodnim Acton i północnym Ealing. Celowo narysowałem je szerokie, bo nie był to przecież eksperyment naukowy, w grę w ogóle nie wchodziła żadna nauka godna tego miana: to zaledwie ja sam, ekstrapolujący informacje z nieuporządkowanego, niepewnego zestawu danych.

Przenośnia ta sprawiła, że znów pomyślałem o Nickym.

Co z kolei przypomniało mi zmięty kawałek wydruku w kieszeni z zapisanym przez niego adresem. Oriflamma.

Zerknąłem na zegarek. Zaledwie jedenasta, więc wciąż powinno tam być sporo ludzi. Może też Peace myśli, że dokopał mi mocniej niż w istocie swą cwaną psychiczną pułapką. Nie ma to jak odebrać złudzenia przeciwnikowi.

6

Do wejścia prowadziły z ulicy szerokie kamienne stopnie, oddzielone od chodnika kutą żelazną balustradą z herbem miasta Camden - łącznie z bogobojnym motto *Non sibi sed toti*, co zwykle tłumaczyliśmy jako „Mam nadzieję, że kupiłeś dość dla wszystkich”. Przypuszczam, że w niedawnej przeszłości w budynku tym mieściła się jakaś instytucja rządowa.

Ale już nie teraz. Dwóch wykidajłów, którzy sprawdzili mnie na szczycie schodów, nie wyglądało ani nie ubierało się jak żaden znany mi funkcjonariusz służby cywilnej. I raczej nie czekała ich świetlana przyszłość we władzach lokalnych, chyba że w Camden któregoś dnia zdecydują się otworzyć wydział zapasów z goryłami.

Nie szukali broni ani ukrytej wódki, choć pobieżnie sprawdzili mi kieszenie i płaszcz - po prostu potwierdzali, czy na pewno żyję i jestem mniej więcej człowiekiem wedle stosowanej przez nich miary. Najpierw kazali mi przez parę minut ścisnąć w dłoni srebrną monetę i patrzyli, czy w jakikolwiek sposób reaguję na metal; potem w dość szorstki sposób zmierzili mi puls w przegubie i na gardle. Sytuacja, w której facet sporo wyższy ode mnie, zbudowany jak zapaśnik, przyciska do tchawicy kciuk, ma w sobie coś niepokojącego. To jeden z powodów, dla których nieczęsto odwiedzam kluby dla egzorcystów.

Istnieje też inny powód: jestem nietowarzyskim draniem, który nie znosi gadania o sprawach zawodowych jeszcze bardziej niż zabiegów dentystycznych.

Oriflamma, jeśli już wcześniej tego nie zgadliście, to klub egzorcystów par excellence, a przynajmniej była nim w swym pierwszym wcieleniu. Wówczas stała pośrodku ronda na Castlebar Hill - budynek, w którym wcześniej mieściło się muzeum, kilka razy wędrował z rąk do rąk, aż w końcu stał się własnością słynnego Peckhama Steinera, ojca wszystkich londyńskich egzorcystów, o ile rzecz jasna miało się pijanego, wybuchowego ojca, który, delikatnie mówiąc, balansował na granicy normalności.

Steiner podarował to miejsce swemu dobremu przyjacielowi, Billowi Bryantowi, lepiej znanemu pod czułym przydomkiem Burbon. Knajpa mieściła się daleko na uboczu, ale panowała w niej ciężka, mroczna atmosfera, cieszyła się też reputacją miejsca, w którym trzeba się pokazać, jeśli chce się zyskać sławę w naszym fachu, toteż jakoś sobie radziła z roku na rok, mimo kiepskiej lokalizacji. Potem jednak, jakieś trzy lata temu, ktoś ją spalił. To była bomba zapalająca, na szczęście podrzucona tam po zamknięciu. Spisała się doskonale. Kot barmana przeżył, lecz poza nim nie uratowano nawet popielniczki.

Nicky ma całą kupę teorii na temat tego, kto to zrobił i dlaczego, i od czasu do czasu próbuje mi je opisać. Zwykle udaje mi się urwać, nim dotrze do części, w której sataniści przejmują ster rządów, ale czasami bywa niebezpiecznie blisko rozwinięcia wątku.

Tymczasem jednym z owych zrzążeń ironii, które nękają nasz zawód, Oriflamma powstała z martwych - a przynajmniej jej nazwa. Pewien gość, niejaki McPhail, którego, z tego co mi wiadomo, nic nie łączyło z budą na Castlebar, miał własną wizję klubu dżentelmenów dla egzorcystów - z barem, salonikiem, punktem poste restante, miejscem gdzie można się zatrzymać, kiedy wpada się do miasta na parę dni, łaźnią i tak dalej.

McPhail nie dysponował lokalem - ani kasą - charakteryzował się jednak niezłomną determinacją, którą zwykle kojarzymy z seryjnymi zabójcami i skorumpowanymi politykami. Ukradł nazwę Burbonowi Bryantowi (Bryant groził procesem, ale nie miał kasy nawet na taryfę do sądu, a co dopiero adwokata) i otworzył podwoje w Soho Square. Plotka głosiła, że zajął budynek nielegalnie, nie płacąc, i nawet w to wierzyłem: w Soho w dzisiejszych czasach czynsze są tak wysokie, że nawet bezdomni sypiający w drzwiach muszą bulić kafla miesięcznie.

Uznany za ciepłe ciało bez żadnych niepożądanych pasażerów wspiałem się po schodach i przeszedłem drzwiami obwieszonymi symbolami i pieczęciami ochronnymi jak samochód nowożeńców wstążkami i starymi puszkami. Za nimi znajdował się duży bar, który mógł zapewne poszczycić się lepszą atmosferą w czasach, kiedy mieściły się tu biura czy coś w tym rodzaju. Oświetlenie zapewniał jakiś tuzin reflektorów zamontowanych na poziomie podłogi pod ścianami i celujących w sufit: niezły pomysł. Problem w tym, że większość obecnych stała bądź siedziała blisko nich i zasłaniała niemal całe światło - na suficie pojawiały się i znikwały olbrzymie

cenie, a poziom oświetlenia bez przerwy rósł i opadał, gdy ludzie poruszali się na krzesłach albo wstawali po następną kolejkę.

Sam bar tworzyła barykada z drewnianych skrzyń osłoniętych brezentem, ustawionych w kącie pokoju. Sprzedawano tu piwo w butelkach; wino i mocniejsze trunki odmierzano nieoznaczoną miarką - już samo to wystarczyło do zamknięcia knajpy, gdyby przypadkiem wpadł tu na kieliszek ktokolwiek z Wydziału Miar i Licencji. Oczywiście większość rządowych kontrolerów ma z natury słaby puls, więc pewnie nie przeszłaby przez ochroniarzy.

Klientela w środku stanowiła barwną zbieraninę. W skłębionym tłumie przy barze zauważyłem z pół tuzina ludzi, których znałem z widzenia. Kilku innych siedziało w cichych kątach, prowadząc intensywne rozmowy z nieznanymi, którzy mogli być klientami, wspólnikami bądź płatnymi informatorami. Ja jednak szukałem kogoś szczególnego i w końcu wypatrzyłem go opartego o filar po drugiej stronie pomieszczenia. Burbon Bill we własnej osobie, właściciel pierwszej Oriflammy, która zginęła w płomieniach i odrodziła się w wyjątkowo niefeniksowej postaci tej dziury. Miał na sobie skórzaną kurtkę, czerwoną koszulę i czarne dżinsy, wyglądające jakby pochodziły z czasów amerykańskiej wojny o niepodległość; martensy były w podobnym wieku.

W dłoni tulił niemal pustą szklaneczkę, od czasu do czasu pociągając łyk z ukrytej w kieszeni piersiówki. Po drodze zahaczyłem o bar, kupiłem dwie duże whisky i podszedłem do niego od tyłu. Wepchnąłem mu szklanekę w wolną dłoń i trąciłem moją.

- Zdrówko, Bill - powiedziałem, gdy się obejrzał.

- Felix Castor - w jego głosie dzwięczało zdumienie. - Cóż za niespodziewana przyjemność. Ostatnio raczej rzadko bywasz.

Uniósł szklaneczkę i opróżnił jednym łykiem. Bill pił whisky tak jak inni wodę. Z tego, co wiedziałem, wody używał tylko do mycia zębów. Tego wieczoru wytrąbił już co najmniej pół butelki, w zależności od tego, jak wcześniej zaczął, lecz nic w jego głosie ani zachowaniu tego nie zdradzało. U właściciela baru - powinienem rzec: byłego właściciela baru - upodobanie do wódki było raczej wadą, lecz niezrównana tolerancja na alkohol stanowiła niewątpliwą zaletę. Wielu frajerów, którzy próbowali go uchlać i posłać pod stół, lądowało bez przytomności na blacie.

- Bywam równie często jak kiedyś, Burbon. Po prostu nie lubię pić w towarzystwie łowców duchów. Mam wtedy wrażenie, że wciąż jestem w pracy.

- Tak też słyszałem, Fix. - Uśmiechnął się, ale jedynie przez moment, a potem jego twarz przybrała zwykły ponury wyraz: był kimś, kogo życie skopało po jajach, i wciąż wyglądał jak wówczas, gdy mija pierwsza fala bólu. Z twarzy zawsze przypominał basseta, teraz pokrywające ją bruzdy jeszcze się pogłębiły, a cera pasowała kolorem do czupryny siwoszarych włosów. - Ale przychodziłeś do prawdziwej Oriflammy. Parę razy w tygodniu, jeśli dobrze pamiętam.

Skinałem głowę.

- A potem sprawiłem sobie biuro. Największy błąd w moim życiu.

- Racja, bracie. - Burbon zaśmiał się ze smutkiem i pokręcił głową. - Moim największym błędem był wyjazd do Szkocji na ślub brata. Po powrocie zastałem kupę zgliszczy i rachunek od straży pożarnej. Minęły trzy lata, a ja wciąż nie mam pojęcia, kto to zrobił.

- Jakież postępy w tej kwestii?

- Parę miesięcy temu pojawił się pewien trop i może coś z niego wyjdzie. Choć najpewniej nie. Jestem cierpliwy, ostatnio przyjąłem filozofię zen. No wiesz, płynę z prądem.

- To nie zen. To tao.

- Nieważne. Nie pozwalam niczemu się dołować. Ale kiedy znajdę tych skurwieli, osobiście powyrywam im zęby obcęgami. - Twarz Burbona ożywiła się nagle w nieco niezdrowy sposób. - A czemu właściwie pytasz? Może coś słyszałeś? Wiesz chyba, że oferuję nagrodę za informacje.

- Jeśli cokolwiek usłyszysz, przekażę ci - zapewniłem szybko. - I pieprzyć nagrodę. Przyszedłem tu do kogoś innego. Może mógłbyś mi go wskazać, jeśli tutaj jest.

- Wal.

- Dennis Peace.

- Tak, znam Peace'a. - Dlatego właśnie poszedłem wprost do Burbona, gdy tylko go zobaczyłem: on zna wszystkich. - Wygląda na to, że nagle stał się bardzo popularny. Chcesz z nim ubić interes?

- Niezupełnie.

- W takim razie co?

- Muszę się z nim skontaktować w imieniu klienta. Możliwe, że zabrał coś, co do niego nie należy.

- Ha! - Burbona najwyraźniej nie zaskoczyły moje słowa. - Cóż, to możliwe, muszę przyznać, że nie zdarzyłoby mu się to po raz pierwszy. Zawsze był nieco szalonym chłopakiem. Pamiętam, jak pewnej nocy przyszedł do baru i zaczął gadać o walkach na noże. Stwierdziłem, że pieprzy, bo brzmiało to podejrzanie, a on podwinął koszulę i pokazał mi blizny. Jezu Chryste, ja pierdzielę! Wyglądał, jakby Boris Karloff go posiekał i zszedł do kupy.

- Wyzwał kogoś i przegrał? - spytałem, próbując przyszpilić dźwięczące w umyśle echo.

- Wdał się w bójkę ze Stigiem Matthewsem. Obaj przegrali. Obaj wyładowali w szpitalu.

Tak, to właśnie słyszałem. Dwóch gości, którzy tłukli się, aż w końcu obaj padli z połamanymi nosami i twarzami rozwalonymi na miazgę. Takie wyczyny przygnębiają nawet macho.

- Myślałem jednak, że ostatnio próbuje się sprawować lepiej - rzekł z namysłem Burbon. - Jakby się uspokoił. Tak przynajmniej gadają ludzie. Powiadają, że po powrocie z Ameryki stał się innym człowiekiem. Ale i tak nie mogę ci pomóc, Fix. Nie ma go tutaj.

- Wydajesz się tego pewny.

- No cóż, widziałem, jak wychodził stąd jakieś pół godziny temu. Muszę dodać, że wyglądał dość kiepsko: jakby długo nie spał. Kupił trochę dopów od Carli i parę od razu łyknął, a potem sobie poszedł. Nie został nawet na drinka.

Cholera, byłem tak blisko. Ale chybie nie to chybie, niezależnie od odległości.

- Czy Carla wciąż tu jest? - spytałem.

Burbon rozglądał się przez chwilę, po czym wskazał niezwykle groźną rudą kobietę, siedzącą niedaleko baru, pogrążoną w rozmowie z łysym gościem o odsłoniętych ramionach i skórze pokrytej tak gęsto tatuażami, że trudno było dostrzec wyraz jego twarzy. W innym towarzystwie może budziłby lekki niepokój, obok Carli niemal zlewał się z tłem.

- Dzięki, Burbon. Czyli Peace był regularnym gościem w dawnym klubie. Wiesz o nim coś jeszcze?

- Istnieje różnica między tym, co słyszę, a tym, co wiem, Fix. Peace to gość z rodzaju tych, o których ludzie uwielbiają opowiadać historyjki. Ale sam wiesz, jak to wygląda. Mnóstwo tych historyjek opowiadali wcześniej o innych i w przyszłości będą

znów opowiadać o jeszcze innych. Wiem tylko - wiem na pewno - że jakiś czas temu był gumową kaczką. Częścią Kolektywu. Ale już nie jest: znudziły mu się kłótnie. I chyba wspominał mi, że przyjaźni się z Rosie Crucis. Choć z tego, co mi wiadomo, nie był częścią ekipy, która ją wywołała.

- Masz rację, nie był.

- A tak, byłeś w niej ty i Jenna-Jane Mulbridge, prawda? Wskrzesiciele z Sussex Gardens. Tylko tyle przychodzi mi do głowy. Nigdy go nie widziałem w niczym towarzystwie. Jest niemal równie nietowarzystki jak ty.

- To może opowiedz kilka historyjek?

Skrzywił się.

- Wolałbym nie, Fix, jeśli nie masz nic przeciw temu. To nie w moim stylu.

- Przepraszam, że pytałem. Dzięki, jestem ci coś winien.

- Coś mi postawiłeś. Tylko nie rzucaj się na oślep na głęboką wodę. Peace pod pewnymi względami to paskudny gość, ale gra uczciwie z ludźmi, którzy grają uczciwie z nim. Z drugiej strony, jeśli go wkurzysz, potrafi być niezłym sukinsynem.

- Cholera, naprawdę jest do mnie podobny. Dobrej nocy, Burbon.

- Tobie też, Fix.

Ruszyłem spacerkiem w stronę końca baru, gdzie siedziała Carla, i obserwując ją kątem oka, zamówiłem kolejnego drinka. Nie lubię zagadywać ludzi, jeśli wcześniej czegoś o nich nie wiem: zasada niezamierzonych skutków ubocznych działa tu aż za dobrze. Mogłem poprosić Burbona, by nas przedstawił, ale po cholere miałem wciągać go w moje własne bagno, skoro miał dość swojego.

Grając na czas, zamówiłem kolejną szklaneczkę. Gdy ją dostałem, Carla skończyła już rozmowę z człowiekiem ilustrowanym. Pieniądze przeszły z rąk do rąk, podobnie mała papierowa torebka złożona po wielokroć i zalepiona taśmą. Facet wyszedł na ulicę szczęśliwy i podniecony - przynajmniej w stopniu, w jakim mogłem to ocenić pod pokrywającymi go malunkami.

„Dopy”, mówił Burbon. Zakładałem, że miał na myśli dopalacze, a nie, powiedzmy, „dopuszczenie” czy „dopadanie”. A zatem Peace brał amfetaminę. Cóż, nie byłby pierwszym egzorcystą, który podostrzał sobie zmysły wsparciem chemicznym. Ani ostatnim. Ciekawe jednak, że wyglądał na wykończonego: możliwe, że to było zmęczenie po odpieraniu moich kolejnych prób wywołania ducha Abbie, a także efekt wzbudzenia wrzasku, który o mało nie rozerwał mi głowy. Może jeśli nadal będę naciskał, jednak się przebiję.

A może następny rykoszet rozwali mi mózg tak, że wycieknie uszami.

Podszedłem do stolika Carli i usiadłem na dopiero co zwolnionym krześle. Właśnie wstawała: spojrzała na mnie z pewnym zaskoczeniem i wyraźnym brakiem zachwyty. Z bliska wyglądała jeszcze bardziej imponująco niż oglądana z drugiej strony baru. Niezbyt wysoka, lecz solidnie zbudowana: z daleka można było sądzić, że część jej masy to tłuszcz, lecz z tej odległości widziałem, że jest zrobiona z czegoś twardszego i mniej ustępliwego. Na oko miała koło czterdziestki, a jej płaska twarz, pod warstwami podkładu i makijażu, przypominała mur z czerwonej cegły. Zaskakująco łagodne piwne oczy, niczym kordon na miejscu zbrodni, okalały ostre linie tuszu, reszta rysów najwyraźniej zdecydowała się do nich nie przyznawać. Nie miała figury do noszenia koszulki odsłaniającej pępek, ale w taką właśnie się ubrała; strzępiasta spódniczka stanowiła kolejny dysonans. Uznałem jednak, że ciężkie buciory uczciwie wskazują jej zamiary.

- Mam zamknięte - oznajmiła jedynie.

Wzruszyłem ramionami, jakby mi to nie przeszkadzało.

- Nie kupuję - odparłem.

- W takim razie spierdalaj. - Zero złości, nic osobistego, ale też zero ustępstw.

- Po prostu szukam kogoś, kogo znasz. Dennisa...

- Powiedziałam: spierdalaj. - Pogroziła mi palcem. - Nie znam cię.

- Fakt, to prawda. Nazywam się Castor. Felix Castor. Przyjaciele mówią mi Fix.

Wyciągnąłem rękę, na którą nawet nie spojrzała. Zamiast tego wstała i zaczęła okrażać stół, mijając mnie w drodze do baru. Dowodząc raczej uporą niż rozsądkiem, także zerwałem się z miejsca i zagroziłem jej drogę. Faktycznie nie była wysoka: jej głowa sięgała mi zaledwie do czwartego zębra.

Carla się zatrzymała. Zapadła cisza, promieniująca od niej na cały bar.

Nie odwracając się, poczułem, że staliśmy się główną atrakcją wieczoru.

- Chłopcze - rzekła tym samym lodowatym tonem. - Naprawdę nie chcesz tego robić.

- Może i nie - ustąpiłem. - Ale naprawdę chcę się spotkać z Dennisem Peace'em. Może mogłabyś mu powtórzyć, że go szukam? Felix Castor. Burbon Bryant poda mu mój numer, może też zostawić tu dla mnie wiadomość.

- Lepiej się odsuń - odparła Carla.

Raz jeden zerknęła na mnie w górę: twardym, nieprzeniknionym spojrzeniem. Potem minęła mnie i usłyszałem chór pełnych ulgi oddechów w najróżniejszych

tonacjach. No dobrze, najwyraźniej mój atak wzmocniony urokiem na nią nie zadziałał. Przynajmniej w części dotyczącej uroku, a atak odparła z łatwością. Nieważne. Bourbon dał mi trochę do myślenia, a także parę tropów: dość, by na razie wystarczyło.

Deszcz znów lał i w gładkim, czarnym asfalcie Soho Square odbijały się rozszczepione plamy światła reflektorów kilku samochodów, przemykające po jezdni niczym spadające gwiazdy. Nie było jednak zimno - prawdę mówiąc po dusznym jak krypta barze chętnie odetchnąłem świeżym powietrzem. Nie podniosłem nawet kołnierza płaszcza.

Północ już dawno minęła i po ulicach nie kręciło się zbyt wielu ludzi. Dwóch mocno zbudowanych gości - jeden bardzo, bardzo wysoki - rozmawiało cicho na skraju chodnika. Rozstąpili się na boki, przepuszczając mnie między sobą, jeden z nich wyrzucił przez ramię niedopałek.

Zostawiłem wóz po drugiej stronie placu, najszybsza droga prowadziła przez maleńki skwerek pośrodku. Okrążyłem altankę w stylu Tudorów, w której sprzedawano lody, i ujrzałem w oddali bramę: była zamknięta. Marnie. Po paru krokach dotarłem do niej i szarpnąłem. Nic z tego. Zamknęli ją na noc.

Odwróciłem się i odkryłem, że dwaj mężczyźni, których minąłem chwilę wcześniej, zmierzają teraz wprost ku mnie.

- Brama jest zamknięta - powiedziałem spokojnie.

Nie szukałem kłopotów i nie założyłem z góry, że oni ich szukają - to prawda, wciąż szli ku mnie, choć wiedzieli, że nie przejdą dalej. Ale może nie dosłyszeli? Większość rzeczy ma niewinne wyjaśnienie, jeśli tylko zachowamy otwarty umysł.

- I dobrze - odparł ten z lewej, przemawiając z głębi gardła.

Gładkim, wyćwiczonym ruchem wyciągnął zza pasa nóż. Ten po prawej, wyższy, o brwiach tak krzaczastych, że wyglądały jak szczotki do butelek, uderzył pięścią w otwartą dłoń. No dobrze, pomyślałem jedynie „większość rzeczy” - najwyraźniej miałem do czynienia z wyjątkiem potwierdzającym zasadę.

Nadal się zbliżali, przez ramię widziałem ulicę, pustą jak okiem sięgnąć; nie mogłem liczyć na pomoc. Zebrałem się w sobie, szykując się do walki, okazali się jednak szybsi i zręczniejsi niż podejrzewałem. Zeszli ze ścieżki na boki, tak że bym nie

mógł obserwować ich obu jednocześnie. Cofnąłem się, by uniknąć pochwycenia w dwa ognie, ale tuż za plecami miałem zamkniętą bramę i wpadłem na nią po zaledwie dwóch krokach. Co rusz zerkałem na wyższego z facetów, bo wyglądał na groźniejszego, choć jak dotąd nie sięgnął po broń. To jednak wystarczyło drugiemu: skoczył z miejsca, wpadając na mnie i zbijając z nóg.

Rąbnąłem o bramę, z jego ramieniem wciąż wbitym pod żebra; przycisnął mnie całym ciężarem tak, że powietrze z bolesnym jękiem umknęło mi z płuc. Osunąłem się ciężko na fantazyjny chodnik i obaj napastnicy rzucili się na mnie, nim zdążyłem wstać. Próbowałem się wywinąć, z nadzieją że nóż zaplącze się w gruby materiał płaszcza albo trafi z ukosa, omijając wszystkie ważne narządy, które natura jakże szczerze rozrzuciła w jamach naszych ciał. Lecz z jakichś przyczyn cios nie padł. Wciąż się szamotałem i nożownik o mało nie upadł na kolegę, gdy tak podskakiwaliśmy i zwijaliśmy się razem na zimnych, mokrych kamieniach.

Nożownik zaklął. Coś, co zapewne wypadło mu z kieszeni, albo może z mojej, brzęknęło o ogrodzenie, po czym odturlało się po śliskich od deszczu kamieniach. Dźgnąłem go łokciem w gardło, ale bez przekonania - miał tam dość mięśni, by mój cios wzbudził w nim zaledwie lekką irytację. W odwecie parę razy walnął mnie w usta, tylko po to, by zwrócić moją uwagę, a potem jeszcze raz, dla czystej radości bicia. Potem tamten z brwiami podniósł mnie z ziemi, nie stawiałem oporu, gdy jego masywna dłoń zacisnęła mi się na gardle. Podnosząc się, natrafiłem ręką na gruby metalowy cylinder i zabrałem go.

Wysoki facet był jeszcze większy niż mi się zdawało. Podniósł mnie z ziemi tak, że sam mój ciężar zaczął mnie dusić jeszcze skuteczniej niż zaciśnięte palce. Twarz o grubo ciosanych rysach przysunęła się do mnie, wykrzywiona szyderczo. Miał bardzo szerokie usta i zdecydowanie za dużo zębów.

- Daj spokój, Po. Zabijasz go - warknął nożownik. Głos miał tak niski i szorstki, że brzmiał, jakby jego właściciel wypluwał żyletki.

- Zdawało mi się, że właśnie o to chodzi? - zagrzemiał wysoki.

Z zaciśniętym gardłem nie mogłem oddychać i gdy jego oddech omiół mnie gorącą, cuchnącą falą, pomyślałem, że sytuacja ma jednak pewne plusy.

- Opuść go. Ja ci powiem, kiedy masz go, kurwa, zabić. Wyższy opuścił nieznacznie rękę, pozwalając mi dotknąć palcami ziemi.

Marszcząc się w skupieniu, nożownik zaczął z zapalem kierować wyciągniętą ręką towarzysza - milimetr w tę, odrobinę w tę - tak, bym przestał się dusić, o ile nie

spróbuję się poruszyć. Skojarzyło mi się to z dentystą ustawiającym fotel i natychmiast tego pożałowałem.

Nie należę do ludzi oceniających książkę po okładce, z niego był jednak paskudny skurwiel. Nie otaczała go aura czystej, fizycznej przemocy, jak jego towarzysza o krzaczastych brwiach, ale miał coś nie tak z twarzą, z jej proporcjami. Szczęka była odrobinę za długa, oczy osadzone zbyt nisko. Wyglądało to jak twarz, która znudziła się komuś w połowie roboty i została porzucona, a potem obecny właściciel wyłowił ją z kubła i nałożył.

- Teraz sobie porozmawiamy - oznajmił w końcu tym samym zgrzytliwie warkotliwym tonem.

- Ty... pierwszy - wymamrotałem głucho. Skurwiel rozwalil mi wargę.

- Tak - zgodził się - ja pierwszy. Nazywam się Zucker. Mój przyjaciel to Po. I mam dla ciebie smutne wieści, Castor. Mój przyjaciel nie jest twoim przyjacielem. Mój przyjaciel chce ci przegryźć gardło.

- Przykro mi... to słyszeć - zdołałem wykrztusić.

- Założę się - syknął, przysuwając mi usta do ucha, jego oddech także cuchnął kwaśno. Czemu nie mogłem być zastraszany przez ludzi dbających o higienę osobistą?

- Wiesz, dlaczego Po chce ci zrobić krzywdę? - spytał Zucker.

- Nie mam... pojęcia - wychrypiałem.

- Nie - zgodził się. - Nie masz pojęcia. I właśnie dlatego zamierzam ci powiedzieć. Zadawałeś się z niewłaściwymi ludźmi. Dawales dupy każdemu, kto tylko poprosił. I napytales sobie biedy.

O ironio, mniej więcej w tym momencie doszedłem do wniosku, że mam jednak szansę. Z jakichś przyczyn ten świr nie chciał mnie zabić - a przynajmniej dopóki nie wygłosi mi surowego wykładu, być może wzmocnionego kilkoma klapsami. Jeśli owa niechęć sprawi, że zawaha się w chwili, gdy wraz z roslym kumplem będą musieli mnie wypuścić, istniała niewielka szansa, że może któregoś dnia będę mógł powrócić myślami do tego spotkania i się zaśmiać.

Tak czy inaczej, nie mogłem odpowiedzieć, dopóki łapa wyższego - Po? - ścisłała mi tchawicę. Zucker najwyraźniej też się zorientował, bo postukał wyniośle palcem w przegub towarzysza i Po nieco rozluźnił uchwyt.

- No cóż - odparłem, przelękając ślinę i krzywiąc się boleśnie. - Powiedz mi, kim są niewłaściwi ludzie, a może w przyszłości zacznę ich unikać.

Bełkotałem bardziej niż wymagała tego już puchnąca warga, pozwoliłem też, by z ust pociekła mi zakrwawiona ślina. Uznałem, że to dobry pomysł, by napastnicy pomyśleli, że uszkodzili mnie bardziej niż w rzeczywistości.

- Słyszę w twoim głosie coś, co brzmi jak sarkazm. - Zucker pomachał mi nożem przed oczami: jego krawędź lśniła jaśniej od reszty klingi, sugerując godziny ciężkiej pracy ostrzałą i metalowym zmywakiem. Pewnie nawet nie poczuje, gdy się wbije. - Nie wyobrażasz sobie nawet, jak bardzo może ci teraz zaszkodzić sarkazm. Powinieneś raczej zwrócić się w stronę pokory, skruchy i szczerzej woli współpracy. Nic poza tym nas nie zadowoli.

Uniosłem ręce wnętrzem dłoni do góry.

- Po prostu robię, co do mnie należy, tak jak ty - rzekłem. - Jasne? Nie musicie mi grozić.

- Jak ja? - To porównanie najwyraźniej wkurzyło Zuckera. - Jak ja? Powtórz to, a wytnę ci język.

Z początku sądziłem, że gniew to tylko sadystyczna dekoracja, lecz błysk w jego oczach był autentyczny: dotknąłem czulego punktu i był gotów w odwecie dotknąć mojego. Doskonale. Oto kolejny punkt dla mnie - jeśli się wścieknie, możliwe, że zgłupieje i w pośpiechu źle oceni mój ruch, gdy go w końcu wykonam. Niestety, całkiem możliwe też, że spełni groźbę i utnie mi język. Stąpałem po bardzo kruchym lodzie.

- Przepraszam. - Zmusiłem się do służalczego szeptu. - Przepraszam, stary. Bez urazy.

Do tej pory dodatkowy zmysł, którym mnie obdarzono i który bardziej przypomina słuch niż cokolwiek innego, wypełniły ogłuszające dysonanse. Obaj faceci, pomijając brwi, wyglądali bardzo ludzko, w istocie jednak byli *loup-garou*: duszami martwych ludzi, które wtargnęły, opętały i ukształtowały ciała zwierząt tak, że nie dało się już stwierdzić, czym były pierwotnie. W każdym razie aż do nowiu - wówczas znikały wszystkie ograniczenia. Kiedy uświadomiłem sobie, z czym mam do czynienia, spuściłem wzrok - niektóre łaki reagują na bezpośredni kontakt wzrokowy podobnie jak samce goryli srebrnogrzbitych. W gruncie rzeczy Po mógł być gorylem na pewnym etapie swej pośmiertnej historii. Z drugiej strony może to odrobinę zbyt egzotyczne jak na centrum Londynu - zmarli powstałi z grobu zazwyczaj szukają nosicieli w okolicy.

- Może chciałbyś nam zademonstrować, jak bardzo ci przykro - podsunął ironicznie Zucker. - Może zainteresuje cię zmiana stron? Jak to brzmi?

- Z rozkoszą, z rozkoszą. Po której stronie jestem teraz? To znaczy, po której stronie byłem, zanim przeszedłem na waszą? Bo przeskoczyłem, gdy tylko to zasugerowałaś. Natychmiast. Powiedz mi, kogo mam dźgnąć w plecy, a to zrobię. Wystarczy podać nazwisko, jasne?

Zucker się zawahał. Wiedziałem dlaczego - kiedy trzymasz w dłoni czyjeś jaja, jeśli można to tak określić, jakoś nieporęcznie jest odpowiedzieć wprost na zadane pytanie. Zupełnie jakby w ten sposób rezygnowało się ze swej przewagi. Nie potrafił się do tego zmusić.

- Przyjrzyj się swemu sumieniu - poradził, odsłaniając zęby. - Kto ostatnio prosił cię o przysługę?

Faktycznie, kto? Juliet. Torringtonowie. Londyńska policja. Jeśli tak ma wyglądać uciążliwe bogactwo, uznałem, że mogę żyć bez niego - było stanowczo zbyt ostre i szpiczaste. Ale bardzo chciałem się dowiedzieć, komu zawdzięczam ten pokaz nagłej troski, toteż postanowiłem jeszcze przez moment nie ustępować.

- Jestem bardzo popularny - oznajmiłem. Po podświadomie znów odrobinę rozluźnił uchwyt i zaczynałem normalnie oddychać. - Musisz mi dać jakąś wskazówkę. Nie pracujesz dla handlarza narkotykami, prawda? Gościa nazwiskiem Pauley? Nie? Bo mój kumpel z dochodzeniówki uważa, że mogę się spodziewać, jak to nazwał, zastraszania? Czy wy, panowie, kwalifikujecie się jako zastraszanie? Czy też raczej zmiękczenie przed prawdziwym zastraszaniem? Coś jak Jan Chrzciciel, jeśli chwytnie, co mam na myśli.

Obaj przyglądali mi się oszłomieni, potem jednak wzruszyli ramionami i wrócili do roboty. Ostrze noża dotknęło mojego policzka w nieprzyjemnie sugestywny sposób. W tym samym czasie jednak obracałem w dłoni przedmiot, który zgarnąłem, kiedy mnie podnosili. Z całą pewnością był zrobiony z metalu; zaokrąglony, cylindryczny, lecz pusty z jednej strony, z drugiej zwężający się i wydłużający.

Kielich. Podniosłem kielich, który noszę ze sobą na bardzo rzadkie okazje, kiedy odczuwam pokusę użycia czarnej magii.

- Musimy zdobyć informacje - oznajmił Zucker. - A ty musisz nas przekonać, że nie powinniśmy pokroić cię na kawałki. Słuchaj mnie, jasne? Po prostu słuchaj. Wiemy, jak daleko zaszli, i wiemy, czemu przerwali. Ktoś nie zamknął kręgu. Zgadza się? Ptaszek wyfrunął z gniazda? Jeśli jednak dojdzie do choćby częściowego wyłomu,

do pieprzonego wieczora będziemy brodzić we własnych flakach. Obiecali ci nietykalność? Jeśli tak, kłamali. Nie jesteś chyba tak głupi, by to kupić?

Wszystko to miało dla mnie mniej więcej tyle samo sensu, co zwoje znad Morza Martwego.

- Może jestem naiwniejszy niż przypuszczasz - rzekłem, uznawszy, że to bezpieczne i niezobowiązujące.

W tym momencie Po ponownie dołączył do rozmowy.

- Pozwól mi zjeść jedno z jego oczu - podsunął.

Zucker puścił jego słowa mimo uszu.

- Uważasz, że wciąż możesz coś zyskać na tej sytuacji - rzekł. - Tacy jak ty zawsze tak myślą. Mogę ci przyrzec, Castor, że nikt tu nic nie zyska. Jedynie śmierć, a potem coś gorszego od śmierci.

- Zamierzacie najpierw mnie zabić, a potem zgwałcić?

Po uniósł nad moje czoło wolną dłoń i zwinął w pięść, lecz Zucker tylko raz pokręcił głową i tamten zamarł.

- Zamkną krąg - warknął, przysuwając twarz bardzo blisko mojej. - I powtórzą wszystko od początku. A wtedy zrobi się naprawdę źle. Bardzo źle, bardzo szybko. I nie będą cię już potrzebowali. Myślisz, że jakiegokolwiek ich zapewnienia coś znaczą? Sądzisz, że zatrzymają cię jako maskotkę?

Uniósł łapę i przycisnął palec wskazujący do mej skroni - paznokiec miał ostry i zwężający się jak szpon - ale nie przebił skóry.

Ponieważ Po wciąż ścisnął mi gardło, nie mogłem się odsunąć. Paznokiec kreślił linie na mojej twarzy, aż w końcu zatrzymał się na lewym policzku, milimetr od oka.

- Jeśli zgodzisz się dla nas pracować - oznajmił z absolutnym spokojem, znacznie bardziej mrozącym krew w żyłach niż lekko obłąkańcza wściekłość Po - zachowanie cię przy życiu będzie miało sens. Jeżeli nie, tylko tracimy czas.

Zrobiłem potulną minę, jednocześnie jednak rozmyślałem gorączkowo. A oto, do jakich wniosków doszedłem: ponieważ nie miałem najbledszego pojęcia, o czym gada ta dwójka wariatów, istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że zdołam ich przekonać, by nie urwali mi głowy i nie wysali krwi przez słomkę. Nadszedł zatem czas, aby zagrać ukrytego w rękawie asa.

- No dobra - wymamrotałem, znów spuszczać wzrok. - Dobra. Przyznaję, złożyli mi ciekawą propozycję. Kurde, co ty byś zrobił na moim miejscu? - Mówiąc to,

rozłożyłem ręce w niemej prośbie. A potem machnąłem prawą i zginając ją, dźgnąłem kielichem wprost w twarz Po.

Szczerze przyznam, że wolałbym sztylet - ale kielich także zrobiono ze srebra, a podstawa miała ostrą krawędź. Wbiłem ją w policzek tamtego dość mocno, by poleciała krew, bo właśnie o to chodziło. Dostrzegając błysk białego metalu w mojej dłoni, drugi łak odskoczył, unosząc ręce, by ochronić twarz i pierś, nim jeszcze się przekonał, przed czym się chroni.

Loup-garou nie lubią srebra: to coś w rodzaju reakcji alergicznej, towarzyszącej ich przemianie - no wiecie, dusza-pirat, rozwijająca banderę nad statkiem cudzego ciała. Po wrzasnął rozdzierająco w chwili, gdy jego krew zetknęła się z dziewiczym metalem, i osłaniając dłońmi twarz, puścił mnie.

Zanurkowałem pod jego wyciągniętymi rękami i wstając, posłałem potężny cios w stronę szczęki Zuckera. Wolałbym inny cel - uderzając w szczękę można bardzo łatwo złamać rękę w nadgarstku, a w dziewięciu przypadkach na dziesięć solidny cios w brzuch działa znacznie lepiej - w ten sposób jednak wykorzystałem jak najlepiej kąt i fakt, że już się poruszałem. Nóż wysunął mu się z dłoni, gdy poleciał do tyłu, a ja chwyciłem go w locie. Na szczęście złapałem rękojeść: gdybym zacisnął rękę wokół klingi, jak nic straciłbym kilka palców.

A potem puściłem się biegiem, zostawiając za sobą oburzone ryki Po. Kierowałem się w stronę otwartej bramy, przez którą przyszedłem. Kiedy jednak okrążyłem altankę, tak że znalazła się między mną i dwoma *loup-garou*, zboczyłem ze ścieżki na poszycie, modląc się żarliwie do Boga, w którego nie wierzę, żeby nie potknąć się w ciemności o korzeń ani nie wpaść w jakąś norę.

Przed sobą widziałem ogrodzenie. Przerzuciłem nóż, oparłem dłonie pomiędzy ozdobnymi, płaskimi grotami na szczycie i przeskoczyłem. Bardziej szczęściu niż świetnemu osądowi zawdzięczam, że zdołałem trafić pomiędzy ostrza najpierw jedną stopą, a potem drugą.

Gdy tak balansowałem niepewnie, zastanawiając się, co zrobić, by na nic się nie nadziać, coś twardego i zimnego uderzyło mnie w lewe ramię. To rozstrzygnęło sprawę: straciłem równowagę i poleciałem na ulicę. Mój płaszcz zaczepił się o ogrodzenie i wytrzymał dość długo, by szarpnąć mnie na bok, a potem rozdarł się tak, że wylądowałem twarzą na ziemi.

Ból ramienia rozprzestrzenił się gorącymi promieniami, lewa ręka nadal działała, toteż na razie postanowiłem nie zwracać m niego uwagi. Zerwałem się na

równe nogi, znów chwyciłem nóż i rozejrzałem się wokół. Następna przeszkoda: nie miałem bladego pojęcia, gdzie się znajduję względem samochodu. Obejrzałem się za siebie i natychmiast pożałowałem. Dwie ciemne postaci po drugiej stronie ogrodzenia biegly na czworakach, pokonując ów dystans dwa razy szybciej ode mnie. Jedna z nich - założyłem, że to Po, bo rozmiarami przypominała nosorożca - napięła się do skoku i wiedziałem doskonale, że przeleci nad ogrodzeniem niczym zwycięzca zawodów hippicznych.

Biegłem ile sił w nogach. Już w locie zorientowałem się gdzie jestem i uświadomiłem sobie, że samochód stoi przede mną, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, po tej samej stronie ulicy. Z tyłu usłyszałem, jak coś ląduje ciężko; szpony bądź pazury, czy coś mniej więcej w tym guście, zazgrzytały na mokrym chodniku, kiedy Po zatrzymał się i puścił za mną biegiem.

Pogrzebałem w kieszeni, szukając kluczyków, a potem naciskałem przycisk na breloczku, i naciskałem, aż w końcu moich uszu dobiegło radosne piśnienie, świadczące o tym, że samochód jest otwarty. Jednocześnie reflektory mrugnęły trzy razy: wcześniej nigdy tego nie zauważyłem, teraz jednak zależało od tego moje życie.

Otworzyłem drzwi i wskoczyłem do środka, zatraskując je za sobą. Coś walnęło o nie w chwili, gdy nacisnąłem drugi guzik po prawej stronie breloczka, zamykając wóz. Nie ustąpił. Nóż, o którym zapomniałem, wyleciał mi z ręki. Zostawiłem go tam - próba jakiegokolwiek walki zakończyłaby się moją szybką, gwałtowną śmiercią.

Trzęsąc się jak kropelka potu w dekolcie tancerki brzucha, w jakiś sposób zdołałem wsunąć kluczyk w stacyjkę. Potem jednak za szybko puściłem sprzęgło i silnik zgasł. Coś uderzyło mocno w okno od strony kierowcy i szybę pokryły gwiazdziste pęknięcia. Odruchowo odwróciłem głowę.

To był Po. A przynajmniej tak przypuszczałem. W tej chwili przypominał istotę z sennego koszmaru, ruchome ciało w połowie uwięzione w kształcie pośrednim między człowiekiem i czymś jakby kocim. Musicie zrozumieć, że oceniałem go głównie po zębach, bo z jakichś przyczyn mój wzrok przyciągnęła otwarta paszcza.

Silnik zaskoczył w chwili, gdy stwór na zewnątrz cofnął szponiastą dłoń, szykując się do drugiego ciosu, który zapewne przebiłby szybę i trafił mnie prosto w twarz. Samochód skoczył naprzód z upiornym zgrzytem, zgniatając tylny błotnik parkującego przed nim BMW, a potem przeciął szybko jezdnię. Wpadłem na drugi chodnik, na szczęście jednak udało mi się uniknąć ściany Banku Szkocji - o włos

cieńszy niż rozkosz zakonnicy. Po pędził za mną ulicą, ja jednak dodałem gazu i zostawiłem go tam.

Dziękuję ci, nieistniejący Boże. Jestem ci coś winien.

7

W łazience Pen, oglądana w lustrze z boku, bo musiałem przekręcić głowę pod kątem, który sprawiłby problemy nawet Lindzie Blair, poszarpana rana na moim lewym ramieniu wyglądała naprawdę paskudnie.

- Na miłość boską, co znów sobie zrobiłeś? - spytała Pen z cieniem podziwu w głosie.

Już podczas jazdy ręka zaczęła mi sztywnieć, a z ramienia aż do palców przelatywała błyskawica bólu. Po jakimś czasie posługiwałem się już tylko prawą ręką. Lewą - kiedy nie mogłem tego uniknąć - zmieniałem jedynie biegi. Ściągnięcie płaszcza, kiedy w końcu zdołałem zaparkować, znalezienie kluczy w niewłaściwej kieszeni i otwarcie drzwi okazało się prawdziwą mordęgą. Na szczęście Pen była w domu, bo Dylan miał kolejny nocny dyżur; przy jej pomocy zdołałem zsunąć szynel z rany, krzycząc z bólu, gdy znów się otworzyła. Koszulę po prostu rozciąliśmy i wywaliliśmy do śmieci - nawet persil nie przywróciłby jej dawnej bieli. Potem usiadłem na krawędzi wanny, ściskając w dłoni dużą whisky i od czasu do czasu mieląc w ustach kolejne barwne przekleństwa, podczas gdy Pen oczyszczała krawędzie rany.

Teraz, przyglądając się efektom jej pracy w całej odbitej chwale, musiałem przyznać, że na swój ponury sposób rozcięcie wygląda imponująco. Było szerokie, długie na jakieś osiem centymetrów, na samym szczycie ramienia, dokładnie w połowie drogi między ręką i gardłem. Po obu stronach zwisały wąskie strzępy ciała, świadczące o tym, że ranę zadało ząbkowane ostrze bądź przedmiot mający mnóstwo odrębnych ostrzy i krawędzi. Może gwiazdka do rzucania, choć żaden z *loup-garou* nie skojarzył mi się z ninja. Choćby dlatego, że praca tamtych wymaga dyskrecji.

Właściwie to rana nie wyglądała nawet tak źle. Fakt, że była poszarpana, oznaczał, że zagoi się szybciej, a Pen dokładnie wszystko oczyściła. Teraz potrzebowałem jedynie opatrunku i mogłem wrócić do gry.

Pen nie sprawiała wrażenia przekonanej.

- Powinieneś pokazać to Dylanowi - oznajmiła. - Jeśli wda się zakażenie, Fix, będzie niefajnie.

- Od początku trudno ją nazwać najfajniejszą z fajnych - wymamrotałem niewdzięcznie, potem jednak przypomniałem sobie o dobrym wychowaniu. - Dzięki, że mnie załatałaś. Ale nie mieszajmy w to Dylana. Mógłby wyciągnąć niewłaściwe wnioski co do kręgów, w jakich się obracasz.

- Czy to tym cię zranili? - Pen uniosła nóż.

Odłożyłem go wcześniej na wannę, żeby nie przeszkadzał. Wcale nie miałem ochoty oglądać go w jej rękach: ostrze było zbyt doskonałe, a Pen zbyt mocno gestykułuje, kiedy się nakręci. Odebrałem go jej, szybko lecz łagodnie.

- Nie - rzekłem. - Ten nóż ciąłby gładko. Bardzo gładko. Widziałaś jego ostrze?

Obróciłem klingę tak, by mogła docenić jej złowrogie piękno. Oznaczało to, że patrzyłem teraz na płaską część i zauważyłem na niej motyw roślinny - liście w parach wytrawione bezpośrednio w stali, biegnące od rękojeści i kończące się dwa centymetry od czubka.

Pen obdarzyła nóż nieprzychylnym spojrzeniem, więc znów go odłożyłem, tym razem na umywalkę. Potem przyszedł mi do głowy lepszy pomysł: wziąłem pustą rolkę po papierze toaletowym, oceniając, że akurat się nada, i wsunąłem nóż do środka - szeroka klinga rozciągnęła tekturę tak, że utrzymywała ostrze wewnątrz. W ten sposób nie groziła mi już utrata palców.

- Nie cierpię, kiedy dzieje się coś takiego - wymamrotała Pen, wyrzucając do kosza zakrwawione kawałki waty. - Po co przyjmujesz zlecenia, przy których cię biją, ranią, zrzucają z dachów i tym podobne? Musisz być takim macho? Czy nie ma już innych robót?

- Innych?

- Wiesz, co mam na myśli. „Przepędź upiora z mojej szafy”. „Sprowadź tu babcię, by nam powiedziała, gdzie schowała książeczkę opłat”. „Powiedz mojemu Sidneyowi, że znów wyszłam za mąż i nie ma już dla niego miejsca w moim łóżku”.

Obróciła się do mnie plecami, myjąc ręce. Wyglądało to niepokojąco symbolicznie.

- Nie zawsze potrafię ocenić, co wyniknie ze zlecenia - broniłem się. - Takie rzeczy wcale nie sprawiają mi przyjemności.

- Nie - zgodziła się ponuro. - Pewnie nie.

- Jak się miewa Rafi? - spytałem, by zmienić temat.

- Nadal śpi. - Znów obróciła się do mnie, splatając na piersi mokre ręce. - Mówię serio, Fix. Powinieneś po prostu zrezygnować, dopóki jeszcze możesz.

Niepokojące: zazwyczaj kiedy wspominam o Rafim, udaje mi się sprowadzić rozmowę na boczny tor na dość długo, bym mógł dotrzeć do drzwi. Najwyraźniej znaleźliśmy się już aż za dobrze.

- Problem w tym, Pen, że pracuję teraz nad wieloma różnymi sprawami. Nie mogę rzucić ich wszystkich.

Choć raz mówiłem szczerą prawdę - uczciwie nie wiedziałem, w jakiej sprawie próbowali mnie wystraszyć Kot i But. Odpowiedź mogła się kryć w ich słowach, ale niech mnie szlag, jeśli cokolwiek z nich zrozumiałem. „Ktoś nie zamknął kręgu i ptaszek wyfrunął z gniazdka”. Nie brzmiało to jak narkotykowi baroni Coldwooda. Może wiązało się z wydarzeniami w kościele, ale w obecności, którą tam wyczułem, nie było niczego ptasiego. Ani małego, dodam. Abigail Torrington? Możliwe. Ale ona nigdzie nie wyfrunęła - została wykradziona.

Chodziło o to, że nie miałem dość informacji, by zgadnąć, co chce mnie załatwić, nie mówiąc już o tym, dlaczego. Lecz tak czy inaczej, nie miało to znaczenia - bo ta część mnie, która wyróżnia się uporem, niezłomnością i zdecydowaniem - i jest, dodam, niemała - nie zamierzała ustępować, dopóki nie dowiem się, o co biegnie. Pen odczytała to z mojej twarzy i wzruszyła ramionami, rezygnując z niesmakiem.

- Pamiętaj tylko, że ci mówiłam - oznajmiła. - Żeby nie musiała powtarzać tego później, kiedy spotka cię coś dziesięć razy gorszego.

- Prześlę się z tym - obiecałem.

Potem uściśnąłem ją i wycofałem się do swojego pokoju na samej górze. Zazwyczaj dzięki temu dostrzegam szerszą perspektywę.

Dziś jednak byłem zbyt wykończony, by myśleć. Nim jednak poddałem się przyciąganiu ziemskiemu i senności, zadzwoniłem do Nicky'ego. Nie sprawiał wrażenia uradowanego z faktu, że słyszy mój głos.

- Chryste, Castor, ile to, trzy godziny? Nawet Buddy Bolden nie daje ci prawa żądania pieprzonych cudów.

- Nie dzwonię w sprawie twoich postępów, Nicky. Zastanawiałem się tylko, czy wiesz może, gdzie w tej chwili cumuje „Kolektyw”.

- W Thamesmead - odparł bez chwili wahania. - Thamesmead West. Pomost siedemnasty, tuż obok Muzeum Artylerii.

Tak, podobne informacje zombie paranoik ma zawsze na wyciągnięcie doskonale zakonserwowanej ręki.

- Kto jest na pokładzie?

- Nie, kto jest gdzie indziej.

- Ha, ha, ha.

- Nie jestem rubryką towarzyską, Castor. Z tego co słyszałem, był tam Reggie Tang. Paru gości z południowego Londynu, o których nic nie wiem. W dziewięciu dziesiątych jest pusty, jak zawsze.

- Dzięki, Nicky.

- Tak, bardzo proszę. Żyję po to, by służyć. A skoro już tu jesteś, mogę ci powiedzieć parę rzeczy o twoim gościu, panu Dennisie.

Zastrzygłem uszami.

- Mów dalej.

- Kiedy próbuję dowiedzieć się czegoś o kimś, kogo nie znam, zawsze kieruję się zasadą cherchez le brud. W przypadku Peacea jest go tyle, że mógłbym założyć hodowlę świń.

- Mów dalej.

- Po pierwsze, siedział w pierdlu.

- Ach tak? - Poczulem lekki zawód, ale to już coś. Przynajmniej, jeśli zdarzyło się to niedawno, byli skazańcy mają swe własne kontakty w prawdziwym świecie i jeśli wie się, gdzie szukać, czasami można je wyłapać. - Jak długo dawał ciała Jej Wysokości?

- Uhm. Nie ten czas. Czy raczej nie to miejsce. To się działo w Burkina Faso, francuskiej Afryce Zachodniej. Zgarnęli go za posiadanie. Wkurzył sędziego i dowalili mu dwa lata. Potem zdołał dać komuś odpowiedniemu w łapę, co mógł zrobić przed wyrokiem za pół ceny, i wyszedł z powodów proceduralnych. Przesiedział zaledwie tydzień.

- A działo się to w...

- Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim. W roku, w którym Bez przebaczenia dostało Oscara za najlepszy film - ale ten sukinsyn Pacino zgarnął statuetkę dla najlepszego aktora. I to za co? Zapach kobiety, na miłość boską!

- Dzięki, Nicky - uciałem, nim zdążył wyrecytować całą listę najbardziej kasowych filmów, co z pewnością doprowadziłoby do jakiejś teorii spiskowej, nad którą akurat pracował.

Nic mi to nie dawało: zbyt daleka przeszłość. Nawet jeśli Peace zdążył się z kimś zaprzyjaźnić w więzieniu Ouagadougou i jeśli owi znajomi po wyjściu przenieśli się do Londynu, nie mogłem podążyć tropem mającym ponad dziesięć lat. Ślepy zaułek.

- Masz coś jeszcze?

- Mnóstwo. - W głosie Nicky'ego zadźwięczała uraza, jakbym powątpiewał w jakość jego dochodzenia. - Afryka Zachodnia to tylko wierzchołek góry lodowej. Gość w młodości był prawdziwym desperado: ładował się w najróżniejsze syfy i zawsze po uszy. Służył nawet w wojsku - w artylerii królewskiej - i wykupił się mniej więcej dzień przed dyscyplinarnym wywaleniem ze służby. Jakiś czas pracował na ulicy. Po drodze mocno wzbogacił swoje akta policyjne: kradzież z włamaniem, bójka w miejscu publicznym, napaść i oszustwo. Czasami zarzuty wycofywano, czasami nie.

- Żadnych więcej odsiadek?

- Nie. Za często się przenosił. Miotał się po świecie, wiesz. Wszystko na wyciągnięcie ręki. Trochę siedział w Stanach. Wtedy zadał się z ludźmi Antona Fanke.

- Anton Fanke? Kto to?

- Co ty? Nigdy nie słyszałeś o Amerykańskim Kościele Satanistycznym? - W głosie Nicky'ego dźwięczało niedowierzanie.

- Najwyraźniej nie.

- Fanke to jeden z oszustów religijnych, takich jak Bhagwan albo Sun Myung Mun. Tyle że tak się składa, że jego religia to oddawanie czci diabłu. Znasz ten typ: milion wyznawców sprzedaje kwiaty na lotniskach po to, by mógł wozić tyłek limuzynami i mieszkać w wielkiej posiadłości w stanie Nowy Jork.

- Kumam. Czyli Peace jest satanistą?

- Nie mam pojęcia. Może. Mówię tylko, że jego nazwisko łączono z Fankem. Obaj pojawili się nawet w jednej sprawie sądowej. Nie zdołałem jeszcze wyciągnąć szczegółów.

Niepokojąca myśl. Jeśli Torringtonowie mieli rację, Peace chciał się posłużyć duchem Abbie tylko po to, by ożywić martwy związek. Ale jeżeli bawił się w nekromancję, był zdolny do wszystkiego.

- Dzięki, Nicky - mruknąłem. - Tylko tak dalej.

- Jasne, jasne. Kupiłeś sobie sporo mojej życziwości. Tak dla odmiany.

Rozłączył się.

Naprawdę nie miałem w tym momencie ochoty myśleć o implikacjach tego, co mi powiedział, ani o nieokreślonych groźbach i ostrzeżeniach wilkołaków. Prawdę mówiąc, był to chyba najgorszy poniedziałek, jaki pamiętałem. Padłem na łóżko, już w locie półprzytomny, i przespałem wszystko.

Nawiedzały mnie paskudne sny, pełne ludzi miauczących jak koty i skaczących na mnie z najbardziej nieoczekiwanych miejsc. Widziałem też dziewczynkę, błakającą się w labiryncie z szarych kamieni w rytm dzwoniących w oddali kościelnych dzwonów. Na szczęście przebudzenie wymazało szczegóły.

Ale nie ból głowy. Zupełnie jakbym cierpiał na potężnego kaca, lecz powróciwszy myślami do poprzedniego wieczoru, uznałem, że raczej nie przesadziłem z alkoholem: pamiętałem tylko whisky wypitą po to, by złagodzić ból, podczas gdy Pen szorowała mi ranę jodyną i lawendowym mydłem.

Rana. Promieniowała gorącem, ale niezbyt mocno bolała. Ostrożnie trąciłem ją palcem, kręcąc ręką na różne strony i sprawdzając, jak poważne są uszkodzenia. Oprócz lekkiej sztywności nie wyglądała najgorzej, znacznie lepiej niż poprzedniej nocy. Gdybym zarabiał na życie jako pianista, pewnie bym się martwił. Ponieważ jednak jestem zwykłym ludzkim wrakiem, uznałem, że wszystko zejdzie w praniu.

Była szósta rano, Pen wciąż spała, a przynajmniej z piwnicy nie dobiegały żadne dźwięki, prócz cichego poskrzypywania i trzepotu, gdy Edgar bądź Arhtur podskoczył na grzędzie i wzruszył kościstymi ramionami. Podobnie jak policja, kruki nigdy nie śpiąją. Poszedłem do kuchni, zaparzyłem sobie kawę i wypilem trzy kubki, przeglądając plan miasta Pen i opracowując najlepszą trasę do Thamesmead. Nie było sensu brać wozu: musiałbym przejechać przez tunel Blackwall albo przeprowić się promem w Woolwich, a jednego i drugiego unikam, jeśli tylko mogę. Najrozsądniej było dojechać na dworzec Waterloo i dalej metrem do doków Woolwich. Stamtąd mogłem już pójść pieszo.

Nocą zerwał się rzeński wiatr i przegnał gdzieś deszczowe chmury, toteż na dworze świeciło słońce, nadal jednak panował lekki chłód. Ruszyłem spacerkiem na stację metra Turnpike Lane i po chwili zaczęło mi się przejaśniać w głowie. Zmiana pogody ucieszyła mnie też z innego powodu: rozdarty na szwie i ramieniu, pokryty brązowymi plamami krwi z lewej strony kołnierzyka, mój szynel chwilowo padł na

polu chwały. Miałem na sobie inny płaszcz, wyposażony w dość kieszeni, by pomieścić wszystkie moje drobiazgi - płowy trencz z zapinanym na guziki karczkiem, w którym czuję się jak okaz z instalacji muzealnej ilustrującej ewolucję prywatnego detektywa.

Ponieważ wyruszyłem tak wcześnie, nie mogłem kupić taniego biletu całodobowego, wziąłem zatem zwykły. Nie wiedziałem, dokąd się udam z „Kolektyw”. Może do Paddington i Rosie Crusis? Zależało to od tego, czego się dowiem, i tropów, którymi będę mógł podążać.

Burbon mówił, że Dennis Peace był kiedyś gumową kaczką. W naszym żargonie oznaczało to tylko jedno: egzorcystę, który z przyczyn zawodowych zdecydował się zamieszkać na wodzie, nie na suchym lądzie. Na pewnym etapie każdy z nas tego próbował, choćby po to, by porządnie się wyspać - żaden duch nie może się przeprawić przez bieżącą wodę i choć raz możemy uspokoić upiorną wrażliwość, która utrzymuje nas w tym fachu. Jednak tylko specyficzny typ ludzi może tak żyć na dłuższą metę - ja sam zawsze czuję się jak zawieszony w foliowym worku, w którym mój oddech skrapla się na mnie niczym zimne poty.

„Kolektyw” to pływająca wspólnota mieszkalna na Tamizie. Znają ją wszyscy w moim świecie, wszyscy tam byli, nie oznacza to jednak, że można ją znaleźć ot tak, na zawołanie - podobnie jak Oriflamma, „Kolektyw” to ruchome święto. Gdy się zastanowić, jest jeszcze coś, co je łączy, choć to jedynie przypadkowa, raczej luźna więź, w stylu „ile stopni oddalenia dzieli mnie od Kevina Bacona?”, tyle że zamiast Kevina Bacona należy podstawić „Peckhama Steinera”. Steiner to jedna z nielicznych, barwnych legend naszego dyskretnego, zamkniętego fachu. Był egzorcystą, nim jeszcze weszło to w modę, co oznacza czasy sprzed pojawienia się mnóstwa zjaw i widm w ciągu ostatniej dekady starego tysiąclecia, dzięki czemu fach takich jak ja stał się jednym z kluczowych zawodów. Steiner, specjalizujący się w przepędzaniu duchów na zlecenie ludzi sławnych i bogatych, zyskał sobie sporą sławę (a przynajmniej niesławę), a także cholernie dużo kasy. Miała w tym swój udział pewna amerykańska dziedziczka, jeśli dobrze pamiętam: jej zmarli byli mężowie strasznie jej się naprzykrzali, dopóki Steiner nie odesłał ich wszystkich przed oblicze Sądu Ostatecznego. Z wdzięczności, po śmierci zostawiła mu większą część swojej fortuny. Dzieci ze wszystkich trzech małżeństw zaskarżyły testament i sprawa ciągnęła się latami, lecz, z tego, co mi wiadomo, nikomu nie udało się podważyć jego ważności. W tym czasie Steiner wydał już trzy książki, podpisał umowę na film przedstawiający dzieje jego życia i wykupił pakiet kontrolny akcji ENSURE™, firmy produkującej

sprzęt do przepędzania duchów i artykuły konsumpcyjne. W wieku czterdziestu sześciu lat przeszedł na emeryturę, bogatszy od Boga.

Niestety, był też szalony jak całe stado Kapeluszników. Może owa niestabilność zawsze kryła się w jego umyśle, a może sprawiły to stresy związane z pracą i potężna depresja, gdy odkrył, że ma dość pieniędzy, by móc zmienić samego siebie i świat wedle własnych pragnień. Spójrzcie tylko, jak to wpłynęło na Michaela Jacksona.

Spotkałem go raz - oczywiście Steinera, nie Jacksona - i był to przerażający widok. Do tego czasu przeczytałem już parę jego książek i szanowałem (choć zdecydowanie nie polubiłem) chłodny, bystry umysł, który się w nich odzwierciedlał. Kiedy jednak z nim porozmawiałem, odniosłem wrażenie jakby ów umysł się rozplątał, a potem znów zastygł w zupełnie innym, niefunkcyjnym kształcie.

Działo się to na jakiejś dziwacznej imprezie w londyńskim hotelu, w którym odbywała się konferencja na temat „Perspektyw życia po śmierci”. Jenna-Jane Mulbridge, egzorcystka i academiczka, która nauczyła mnie wielu przydatnych sztuczek, gdy miałem jeszcze mleko pod nosem, wymędziła dla mnie bilet i uparła się, żebym przyszedł - szansa na spotkanie Steinera przekonała mnie ostatecznie.

Z tego, co wciąż pamiętam z naszej rozmowy, był już na dobrej drodze do zgorzkniałego, szalonego pustelnika, jako którego wszyscy go pamiętają. Mówił o żywych i martwych jak o dwóch armiach w polu; on sam pełnił rolę marszałka dowodzącego siłami ciepłokrwistych. Muszę też przyznać, że odpowiednio wyglądał: prosty jak strzała, nieugięty jak kamień, z krótko przystrzyżonymi siwymi włosami. A jeśli Steiner miał się za generała, uważał najwyraźniej, że egzorcyci to jego najwierniejsi żołnierze, elitarna jednostka wyszkolona do radzenia sobie ze wszystkim, co mógł przeciw nam posłać wróg. Wróg? Z początku krążyłem wokół tematu, pewien, że kryje się w nim jakaś subtelność, której nie dostrzegam. Ale nie.

- Umarli - oznajmił - i nieumarli. Ci, którzy chcą nas wytepić i odebrać nam świat.

Nawet wtedy, gdy bez cienia wątpliwości przeganiałem niespokojne duchy, wciąż nie postrzegałem sytuacji w taki sposób. Pomijając wszystko inne, wiodło to wyłącznie w jedną stronę, ku bramie z napisem „porzućcie wszelką nadzieję”. Próbując bez przekonania dalszych argumentów, spytałem Steinera, jak można toczyć wojnę, kiedy każda ofiara z naszej strony staje się rekrutem drugiej.

- Co masz na myśli? - spytał, patrząc na mnie spod zmarszczonych brwi ponad kieliszkiem szampana, który ścisnął dość mocno, by mnie zaniepokoić.

Staralem się zebrać myśli. Nie do końca mi się udało, bo głównie skupiałem się na poszukiwaniu drogi ucieczki - był to równie wielki zawód, jak odkrycie, że Święty Mikołaj śmierdzi Johnnym Walkerem, dlatego że to w istocie nasz tata ubrany w sztuczną brodę i czerwony płaszcz przeciwdeszczowy.

- Chodzi mi o to, że my wszyscy umrzemy, panie Steiner. Jeśli zmarli tak bardzo nienawidzą żywych, nie muszą z nami walczyć; wystarczy tylko poczekać. W końcu przecież wszyscy odchodzimy tą samą drogą, prawda? Jeśli życie to armia, każdy wcześniej czy później dezertuje...

Spojrzenie Steinera skutecznie mnie uciszyło. Patrząc w owe obłąkane, bezkompromisowe tęczołki, doskonale pojmowałem, że gdybyśmy faktycznie znaleźli się w strefie wojny, kazałby mnie zastrzelić na miejscu za wspomaganie wroga. Ponieważ jednak działo się to na przyjęciu, nie miał tej możliwości i wyraźnie rozważał w myślach alternatywy.

- W takim razie spierdalaj i sam się zabij - warknął w końcu.

Potem odwrócił się i odszedł, roztrącając na boki kilka wielkich, znanych osobistości, które zebrały się, by się z nim pokazać i sfotografować.

Od tego czasu społeczność łowców duchów z nieodmienną fascynacją obserwowała kolejne etapy staczenia się Steinera. Stopniowo przestał w sobie widzieć jedynie generała i głównodowodzącego i coraz święciej wierzył, że stanowi ważny cel. Jeśli duchy - a także ich słudzy i władcy, łaki, demony i zombie - brały udział w wojnie przeciw żywym, wcześniej czy później musiały spróbować uderzyć w ludzi kierujących kampanią po przeciwnej stronie: egzorzystów. Zaczął podejmować skomplikowane środki ostrożności, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Pierwszym z nich - mocno rozreklamowanym - był zakup jachtu. Ponieważ zmarli zazwyczaj nie mogą przekraczać bieżącej wody, Steiner postanowił dopilnować, by przez większość czasu otaczała go ze wszystkich stron, i odwiedzać suchy ląd tylko kiedy nie da się tego uniknąć. W paru wywiadach sugerował, że może to być rozwiązanie na przyszłość: wyobrażał sobie wędrowną populację, pływające miasta zbudowane ze zdemobilizowanych lotniskowców i tankowców.

Lecz mimo swego obłądu chyba w końcu uświadomił sobie, że pomysł przeniesienia wszystkich mieszkańców miast na łodzie i barki może się okazać trudny do wcielenia w życie. Trzeba było czegoś jeszcze - innej metody, osiągalnej i skutecznej - by, kiedy nadejdzie nieunikniony atak i złowieszcy umarli podbiją ziemię, żywi mogli gdzieś się wycofać. Jak zawsze wizjoner, Steiner zaproponował

stworzenie serii kryjówek, pomysłowo zaprojektowanych, stojących „z poświęcaną ziemią po wszystkich czterech stronach, za wałami obronnymi żywiołów: ziemi, powietrza i wody”. Twierdził, że domy zbudowane według tego planu oślepiłyby umarłych i oparły się ich siłom. W pierwszym projekcie wykorzystano fosy, w późniejszych podwójne ściany, między którymi przepływała niewidzialna woda w zamontowanych na stałe metalowych zbiornikach. Sam nie wiem, co wymyślił w kwestii powietrza i ziemi. W każdym razie rozesłał plany do wydziałów budownictwa wszystkich londyńskich dzielnic, oferując darmową pomoc i porady, jeśli tylko zdecydują się na ich wdrożenie.

Z tego co mi wiadomo, żadna z dzielnic nigdy nie odpowiedziała, najkrótszym „otrzymaliśmy pański list i rozważamy propozycję”. Steiner na próżno się wściekał - nawet z jego milionami w żaden sposób nie zdołałby samodzielnie zrealizować swego projektu.

Jego szaleństwo miało też jednak dobrą stronę, wciąż bowiem uważał egzorcystów - zwłaszcza tych londyńskich - za swoich chłopców, ulubionych podopiecznych. Podarował Burbonowi Bryantowi lokal, w którym powstała Oriflamma, bo zachwyił go pomysł łowców duchów, którzy spotykają się i wymieniają pomysłami (zapewne kierował się też zasadą, że w liczebności kryje się siła). A po śmierci pozostawił swój jacht zarządowi powierniczemu, któremu przewodził Bryant, i zmienił jego nazwę na „Kolektyw z Tamizy”. Pieniądze z majątku miały służyć do utrzymania jachtu na chodzie i w przynajmniej niezłym stanie, i każdy londyński egzorcysta miał prawo na nim zamieszkać wedle woli, tak długo, jak zechciał; w przypadku zbyt wielkiego zainteresowania miano wprowadzić ścisłą rotację.

Z początku faktycznie wyglądało na to, że zainteresowanie może stanowić problem, gdyż mnóstwu ludzi spodobał się pomysł zamieszkania za darmo na luksusowym jachcie. Ale „Kolektyw” nie był wcale taki luksusowy - aby zwiększyć liczbę koi, Steiner kazał podzielić przestronne kajuty gipsowymi ściankami, tak że pomieszczenia zrobiły się ciasne i raczej prymitywne. Pojawiły się też problemy z administracją zarządu powierniczego: z początku zakładano, że londyńscy egzorcyci będą zgłaszać się na ochotnika, na rok bądź dwa lata, do kierowania trąstem, by to brzemień nie spadło na barki nielicznych. Ale niewielu z nich, nawet tych, którzy chcieli zamieszkać w „Kolektywie” zachwyła idea poświęcenia własnego czasu administrowaniu łodzią. Z trudem też dawało się określić, kto byłby odpowiednim

kandydatem, bo każdy mógł twierdzić, że jest egzorcystą, na dowód przedstawiając firmowy papier listowy bądź wywieszkę. I tak w morzu wzajemnej niechęci, podsrywania i odpłacania pięknym za nadobne, fundusz powierniczy kompletnie się rozsypał. „Kolektyw” wciąż istniał, lecz fundusze, które powinny utrzymywać go na chodzie, pozostawały zablokowane i jacht rozpadał się w melancholijnie zwolnionym tempie. Przenosił się z jednej przystani na Tamizie do drugiej, dołączając wszystkich wokół, zawsze niemiło widziany, choć mógł pokryć wszystkie opłaty. Obecnie mieszkali na nim głównie ci, którzy odwiedzali miasto na krótko albo nie mieli innego wyjścia.

Co właściwie wiedziałem o Reggie Tangu? Zaledwie odrobinę więcej niż nic. Był wschodzącą gwiazdą, z rodzaju tych, które stare ogary takie jak ja obserwują podejrzliwie i raczej z daleka - podobno bardzo szybko się uczył, miał gorący temperament i świetnie sobie radził w walce. Jego ojciec pracował jako makler w Hongkongu przed przekazaniem go Chinom, był buddystą, tak przynajmniej słyszałem, i działał aktywnie w środowiskach gejowskich. Nie wiedziałem nic więcej. Spotkałem go tylko raz i większa część naszego spotkania ograniczyła się do szczerzej wymiany zdań: innymi słowy, porządnej kłótni na temat tego, czy którykolwiek ze średniowiecznych grimoire'ów jest cokolwiek wart, jeśli chodzi o określanie imion i natury demonów. Reggie uważał, że Liber Juratus Honorii to cud miód i orzeszki, a ja uważałem, że to stek wyjątkowo debilnych bzdur. Nie posunęliśmy się dużo dalej niż etap „a właśnie, że tak”, „a właśnie, że nie”, bo obaj byliśmy zalani w sztok. Miałem nadzieję, że mile wspomina ów wieczór, a przynajmniej ma choćby cień pojęcia o tym, kim jestem. W przeciwnym razie mogłem liczyć najwyżej na bardzo chłodne przyjęcie.

Znalazłem „Kolektyw” dokładnie w miejscu, które opisał Nicky: na końcu pomostu, tuż za Muzeum Artylerii - lecz wejście na pokład okazało się nieco bardziej problematyczne, bo drogę na pomost zagraadzała zamknięta brama, zwieńczona paskudnym kłębem drutu koleczastego. Przyjrzałem się zamkowi. Dziurka miała niezwykle charakterystyczny kształt: mniej więcej gwiazdki z siedmioma promieniami tej samej grubości i długości, prócz jednego, opadającego pionowo w dół, zarówno dłuższego, jak i nieco szerszego. Wyprodukowano go we Francji, a kiedy już raz zetknąłem się z tym zamkiem, zapamiętałem go na zawsze, bo produkująca go firma nazywała się Pollux - a Kastor i Pollux to bliźnięta, tworzące gwiazdozbiór o tej samej nazwie. Co więcej, potrafiłem go otworzyć w niecałą minutę.

Ale kiedy sięgnąłem do kieszeni płaszcza, niczego nie znalazłem. Oczywiście przełożyłem do niego flet i parę innych drobiazgów, które przeżyły wczorajsze bliskie spotkanie z dwoma *loup-garou*. Zapomniałem jednak wziąć wytrychy.

Mogłem zatem tylko tłuc w bramę i krzyczeć, i czekać aż ktoś mnie usłyszy. Cóż za paskudny cios zadany mojej zawodowej dumie.

W końcu jednak doczekałem się odpowiedzi. Usłyszałem zbliżające się kroki, a potem brama zagrzechotała, gdy ktoś otworzył ją z przeciwnej strony. Uchyliła się i w szczelinie pokazała się twarz, której nie znałem.

Z taką twarzą nie da się nic zrobić, może tylko współczuć jej właścicielowi. Była płaska i blada, z lekkim odcieniem szarości surowego ciasta. Wieńczyła ją rozczochrana czupryna nastroszonych włosów w odcieniu ciemnego koloru blond: przypominały kępę trawy na grzbiecie wydmy. Nie dało się określić, czy ciało doczepione do podobnej twarzy będzie młode, stare, czy może gdzieś pomiędzy; jedno, co potrafiłem oszacować - a i to kierując się wyłącznie prawdopodobieństwem - to płeć: męska.

- Dzień dobry - powiedziałem z promiennym uśmiechem. - Zastąpiłem Reggiego?

Twarz jedynie patrzyła na mnie bez słowa. Rozważyłem możliwość, że miał na szyi, tkwi na końcu tyczki. Ale potem facet uchylił nieco szerzej bramę i przekonałem się na własne oczy, że jest cały i zdrowy. Mniej więcej mojego wzrostu, ale chudy jak śmierć, ubrany w wytarte dżinsy i opartowską koszulkę. Na nogach miał kapce w kształcie psa Gromita.

- Reggiego? - powtórzył z lekkim zdumieniem, jakby po raz pierwszy w życiu słyszał to imię. W jego głosie dosłyszałem zaśpiew z Essex.

- Tak, Reggiego Tanga. Jesteś z „Kolektywu”, zgadza się? Słyszałem, że aktualnie tam mieszka.

Facet nawet nie skinął głową. Po długiej ciężkiej ciszy odezwał się w końcu.

- Kim jesteś?

- Felix Castor. - Wyciągnąłem rękę.

Uścisnął ją bez większego zainteresowania, lecz krótkotrwały błysk emocji, jaki odebrałem po zetknięciu naszych rąk, krył w sobie osobliwe harmonie: niepokój, niechęć i coś w rodzaju obawy.

W jego głosie, obojętnym, wręcz ponurym, nie usłyszałem żadnego z owych odczuć.

- Greg Lockyear - przedstawił się. - A więc ty jesteś Castor? Tu i tam słyszałem o tobie. Zna cię mnóstwo ludzi.

Gdy to mówił, jego wzrok powędrował do mych stóp, jakby sprawdzał, czy buty odpowiadają standardom zdrowia i bezpieczeństwa. Potem znów spojrzał mi w oczy.

- Reggie jest w środku - dodał z widoczną rezygnacją. - Chodź.

Obrócił się i poprowadził mnie pomostem do trapu „Kolektyw”. Kiedyś jacht ów był pływającą, luksusową rezydencją, obecnie stał się wrakiem. Nie widziałem go od sześciu lat i uznałem, że tyle mniej więcej liczy sobie warstwa brudu na burtach. Niżej ciągnął się oślizgły pierścień wodorostów, a jeszcze niżej, połyskując czerwienią w wodzie uderzającej o dziób, ślady rdzy. W tym tempie „Kolektyw” nie przetrwa wielu następnych zim.

Lockyear wszedł na pokład. Podążyłem za nim krótkim przesmykiem, a potem w lewo, schodami wiodącymi na niższy poziom kokpitu.

- Uwaga na stopnie! - zawołał, nie oglądając się za siebie. - Jeden jest obluzowany.

Ostrzeżenie przyszło ułamek sekundy za późno - deska pod moją piętą zachybotała się i ledwo uniknąłem upadku na twarz. Zaczynałem się czuć jak rabuś egipskich grobów.

Kokpit był chyba jedynym miejscem na pokładzie „Kolektyw” mającym wciąż ten sam kształt i rozmiar jak na początku. Dzielił się na dwa poziomy połączone spiralnymi schodami, zrobionymi ze starannie dopasowanych odcieniami kawałków ciemnego drewna, i nadal dostrzegało się w nim przygaszoną elegancję. Bardzo przygaszoną: oryginalna skóra, stoliki i kanapy niemal zniknęły, przytłoczone tanimi szafkami i komódkami z najtańszej hurtowni, a w powietrzu wisiał smród zjełczałego tłuszczu z kubryka w kącie; na suficie nad kuchnią ujrzałem poczerniały od dymu łuk, niczym ducha minionych smażonych posiłków. Jedyne drzwi zewnętrzne wisiały krzywo na zawiasach. Balustrady otaczające górny poziom jakieś dwa i pół metra nad nami częściowo się połamały, tak że zwykła przechadzka mogła grozić śmiercią bądź kalectwem, jeśli nie patrzyło się uważnie gdzie się idzie. W części kuchennej zbudowano coś w rodzaju śniadaniowego baru, z przyśrubowaną do ściany ladą i paroma wysokimi stołkami ustawionymi wzdłuż niej. Obszar dookoła wyłożono tą samą, gustowną kompozycją z orzecha i drzewa wiśniowego, oddzielając od reszty pomieszczenia. Przy barze, zajadając śniadanie z kiełbasek i jajek, siedział Reggie Tang. Tak naprawdę nie tyle zajadał, ile bawił się jedzeniem. Kiedy wszedłem, uniósł

głowę i pozdrowił mnie chłodnym skinieniem, odsuwając zdecydowanym gestem talerz. Świetnie sobie radził z wyrażaniem chłodu i wyglądał jak sobowtór Bruce'a Lee z czasów Wejścia smoka. Był ode mnie dziesięć lat młodszy, a że miał na sobie jedynie podkoszulek bez rękawów i bokserki, od razu stwierdziłem, że jest szczupły i umięśniony.

- Przepraszam - rzekł, podnosząc się z miejsca. - Znam twarz, więc zakładam, że gdzieś już się spotkaliśmy. Ale nie mogę sobie przypomnieć twojego nazwiska.

Dopóki się nie odezwał, nie pamiętałem, że głos ma niski i dźwięczny, niemal melodyjny.

- Nie miałeś powodu pamiętać - odparłem. - Spotkaliśmy się tylko raz. Jestem Felix Castor. Przepraszam, że przeszkodziłem w śniadaniu.

Reggie lekko wzruszył ramionami.

- „Kolektyw” jest zawsze otwarty dla naszych. Taki układ. Castor, tak, teraz zaczynam kojarzyć. Z Liverpoolu, zgadza się? Przepływ kadr z północy na południe i tak dalej. Dobrze cię znów widzieć.

Ujął dłoń, którą mu podałem, i uściśnął mocno. Niczego nie odebrałem, ale też niczego się nie spodziewałem - wyglądał jak gość, który potrafi ukryć emocje. Skinieniem głowy wskazał mi kanapę, na której piętrzyły się stare gazety, pisma i nieotwarte koperty.

- Siadaj, siadaj. Chcesz się zaciągnąć?

Usiadłem, odsuwając stertę kopert. Za moimi plecami Lockyear przeszedł do kubryku; patrzyłem kątem oka, jak bierze z popielniczki wciąż palącego się papierosa. Uniósł go do ust, lecz w połowie drogi jakby zmienił zdanie i zgasił, nie zaciągnąwszy się.

- Nie w tej chwili - oznajmiłem. - Prawdę mówiąc, miałem nadzieję na darmową poradę.

- Poradę?

- Tak. No wiesz, muszę zasięgnąć języka.

Reggie uśmiechnął się, słysząc te słowa.

- No to do dzieła. Jeśli tylko potrafimy, z radością pomożemy. Prawda, Greg?

- Jasne. Z radością. - Lockyear usiadł przy barze, daleko od niedokończonego śniadania.

- Dzięki. Chodzi o to, że kogoś szukam.

- Kogoś, kogo znam?

Skinąłem głową.

- Owszem, to możliwe. W każdym razie mieszkał tu kiedyś, ale może nie za twoich czasów. Nazywa się Dennis Peace.

Reggie zmarszczył czoło, jakby przepuszczał to nazwisko przez swoje archiwa pamięci.

- Peace. Nie, z niczym mi się to nie kojarzy. Znasz jakiegoś Dennisa Peace'a, Greg?

Na dźwięk swojego imienia Lockyear obejrzał się, jego twarz przybrała ten sam zdumiony wyraz, jaki widziałem już na zewnątrz. Skojarzył mi się z Flipem, choć może tylko z powodu włosów. Ponownie z roztargnieniem zgasił papierosa, mimo że się już nie palił.

- Tak - mruknął - znam Peace'a. No, raczej znałem. Mieszkał tu przez pół zeszłego roku. Sukinsyn ani razu nic nie ugotował. A czemu? Co takiego zrobił?

Słowa te skierował do Reggiego, lecz Reggie obrócił się ku mnie, bo najwyraźniej jeśli ktokolwiek mógł na to odpowiedzieć, to tylko ja. Postanowiłem mówić prawdę, przynajmniej częściowo.

Nie chodzi o to, że zawód egzorcyisty budzi automatycznie ciepłe uczucia pod adresem braci po fachu, ale nie chciałem próbować wyciągać z nich informacji, sprzedając im starą historyjkę o tym, że Peace jest mi winien kasę. Podobne numery zawsze w najgorszym momencie zaczajają się na nas i gryzą nas w tyłek.

- Ktoś mnie wynajął, żeby go znaleźć - oznajmiłem. - Podobno ma ze sobą dziecko. Dziewczynkę, która... no, nie jest jego. Została porwana z domu rodziców. Peace był tam w dniu, kiedy to się stało, a przynajmniej tak mi powiedziano. Jej rodzice myślą, że może to on ją zabrał. Chcę sprawdzić, czy tak właśnie było. A jeśli tak, płacą mi, żebym odzyskał małą.

Reggie milczał i przyglądał mi się z obojętnością hazardzisty.

- Osobiście nigdy go nie spotkałem - przyznałem, reagując na sceptycyzm w jego spojrzeniu. - To tylko robota, równie dobrze mogli mi sprzedać kupę bzdetów. Im szybciej go znajdę, tym szybciej się dowiem.

- Dla mnie to wygląda na zadanie dla policji - zauważył Reggie.

Stał nade mną, przyglądając mi się uważniej niż wymagała tego okazja - choć zaproponował, żebym usiadł, sam nie miał zamiaru pójść w moje ślady.

- Tak, pewnie tak, gdyby dziewczynka wciąż żyła. Ale nie żyje.

- Tym bardziej...

- To znaczy nie żyła już, kiedy ją zabrał.

Reggie pokiwał głową w geście mówiącym „niezła historia”.

- Na świecie żyją naprawdę okropni ludzie. To bardzo niebezpieczne dla damy.

Rozpoznałem aluzję i postanowiłem jej nie komentować.

- Czy kiedy ktoś z naszych opuszcza „Kolektyw”, zapisujecie gdzieś jego nowy adres? - spytałem, stukając lekko palcem w chwiejny stos kopert.

- Fundusz, owszem. Ale my nie jesteśmy z funduszu.

W głosie Reggiego dźwięczała wyraźna, ostra nuta. Wiedziałem, że szybkimi krokami zmierzamy do punktu, w którym ustąpi w nierównej walce pomiędzy nastrojem i dobrym wychowaniem i każe mi się odwalić. Ale mój nastrój także gwałtownie się pogorszył - być może z powodu bólu głowy, który powrócił, silniejszy niż przedtem - i nie byłem jeszcze gotów się wycofać. Spojrzałem na Grega Lockyera, który oparty na łokciu patrzył ponad Tamizą na marinę Gallions Point, jakby to był najbardziej fascynujący widok w jego życiu. Zacząłem coś przeczuwać.

- Greg. - Pochyliłem się obok Reggiego, by widzieć go lepiej. - Czy po tym, jak Peace stąd odszedł, miałeś z nim jakiś kontakt?

Reggiemu nie spodobało się, że go olałem. A Greg, kiedy zwrócił na mnie swój wzrok spłoszonego królika, nie wyglądał na zachwyconego ponownym wciągnięciem do rozmowy. Oto, jak zyskiwać przyjaciół i wywierać wpływ na ludzi metodą Feliksa Castora.

- Nie. - Gwałtownie pokręcił głową. - Nie, nigdy zbyt dobrze się nie dogadywaliśmy. Szczerze mówiąc, cieszyłem się, że się wyniósł.

- Masz może pomysł, dokąd mógł się przenieść? A może ktoś go odwiedzał, kiedy tu mieszkał? No wiesz, ktoś, kto mógł go później przyjąć do siebie.

Greg znowu wyjrzał przez okno, jakby szukając wskazówek. Spojrzał na mnie.

- Nie.

Z powrotem skupiłem uwagę na Tangu.

- Kto jeszcze tu mieszka, Reggie? No wiesz, oprócz was dwóch.

Reggie splótł ręce na piersi.

- Nikt.

- A ty mieszkasz tu od...?

- Castor, mówiłeś, że przyszedłeś po radę. Naprawdę sądzisz, że ją dostaniesz, zachowując się jak gliniarz?

- Cóż, mówiłeś, że z radością pomożesz. Po prostu wziąłem cię za słowo.

- W porządku, uważam, że dość już ci pomogliśmy, toteż moje nowe słowo brzmi: wypierdalaj stąd.

- To raczej zwrot - zauważyłem logicznie. - Nie jestem gliniarzem, Reggie.

- Masz mnie za kretyna? Powiedziałem, że tak się zachowujesz.

- Też nie. Gliniarz od razu wyłapałby wasze głodne gadki i wepchnął wam je prosto w gardło.

Przez chwilę - może pół chwili - w kokpicie panowała pełna napięcia cisza.

- Jakie gadki? - spytał ostro Reggie.

- Pomyślmy. Jesteś buddystą, ale kiedy tu wszedłem, siedziałeś przed talerzem pełnym kielbasek, jajek i bekonu. Nie mogłeś się zmusić, żeby je choć tknąć, ale udawałeś, że należą do ciebie. A pan Ziemniaczana Gęba ma ten sam problem z fajką, mogę zatem bezpiecznie założyć, że gdzieś w pobliżu ukrywa się wasz pałacy jak smok, mięsożerny kumpel, który z sobie tylko znanych powodów nie życzy sobie, by nas przedsta...

Na szczęście wzrok Reggiego powędrował w górę. Jak idiota obserwowałem drzwi za kuchnią; dostrzegając jednak owo spojrzenie, zsunąłem się z kanapy ułamek sekundy przed tym, jak ciężka postać zeskoczyła z góry stopami naprzód i dwa bucioro rozmiar dziesięć rąbnęły w miejsce, gdzie właśnie siedziałem.

Padłem na podłogę i przeturlałem się w stronę stóp Reggiego. Odskokczyłem pospiesznie, dowodząc, że wygląd Bruce'a Lee to tylko przykrywka, ale gość w przestronnych buciorach okazał większą agresję. Podszedł i uniósł mnie za kłapy ze zdumiewająco niewielkim wysiłkiem i przycisnął do ściany.

- Przytrzymajcie go! - huknął.

Reggie i Greg podbiegli posłusznie, łapiąc mnie za ręce. Mogłem walczyć, ale zarobiłbym jedynie kilka solidnych ciosów. Uznałem, że nadejdzie jeszcze właściwa chwila.

Facet stojący przede mną i pocierający prawą pięścią o lewą dłoń, wyglądał jakby solidne ciosy stanowiły dla niego chleb powszedni. Był dość wysoki, by dotyczyły go przepisy budowlane, a jego twardą, kanciastą twarz porastał parodniowy zarost. Włosy miał bardzo jasne, skórę szorstką jak papier ścierny. Pod oczami widniały ciemne worki, czarne niczym sińce. Kiedyś musiał być całkiem przystojny, na swój surowy, męski przerośnięty sposób. Teraz, w średnim wieku, wyglądał jak ktoś, kto zaczyna poddawać się sile grawitacji - jeśli nawet nie fizycznej, to psychicznej. Miał na sobie miejską kurtkę maskującą w odcieniach szarości, zielony

sweter z golfem i oliwkowe spodnie, wetknięte do imponujących roboczych buciorów. Moją uwagę przyciągnął kompletnie niepasujący błysk złota na przegubie - facet nosił bransoletkę. Nim jednak zdołałem zarejestrować wszystkie szczegóły, wyciągnął rękę i złapał mnie za policzki, przekrzywiając mi głowę i patrząc prosto w oczy.

W jego gniewnym wzroku dostrzegłem ostrzeżenie.

- Dostałem twoją wiadomość - oznajmił. - To byłeś ty, prawda? W Oriflammie? Chciałeś ze mną pogadać. Proszę, oto jestem. O czym chciałeś pomówić.

- O Abbie Torrington - podsunąłem.

Miało to być jedynie otwarcie, ale wywołało bardziej spektakularną reakcję niż przypuszczałem. Dennis Peace wydał z siebie nieartykułowany ryk i walnął mnie w brzuch. Widziałem, jak bierze zamach, i rzuciłem się do tyłu, na Reggiego i Grega, próbując osłabić cios. Mimo wszystko jednak poczułem się jak trafiony kulą armatnią. Ból był niewiarygodny. Z głuchym świstem wypuszczanego powietrza zgiąłem się wpół i opadłem bezwładnie, lecz Reggie i Greg mnie przytrzymali.

- Nie... nie waż się nawet o niej mówić! - huknął Peace. - Ani słowa! Ty draniu, myślisz, że ci pozwolę...? Kto ci płaci? Kto cię tu, kurwa, przysłał?

Złapał mnie mocno za włosy i szarpnięciem uniósł głowę. Ale wcześniej zdążyłem przyjrzeć się bransoletce i stwierdzić, że to wisiorek w kształcie serduszka na złotym łańcuszku, owinięty dwukrotnie dokoła muskularnego przegubu.

- Kto cię przysłał? - spytał ponownie.

- Jej... jej matka - wychrypiałem.

- Powiedz tej suce, że nigdy już nie zobaczy Abbie, ani na tym świecie, ani żadnym innym. To koniec, kurwa. Koniec! Ja... Ja... Prędzej zabiję, niż pozwolę temu zimnemu skurwielowi...

Zabrakło mu słów, twarz zaczerwieniła się tak mocno, że wyglądał, jakby lada moment miała mu pęknąć żyłka. Ponownie pogroził mi pięścią, ale nie uderzył. Odetchnął głośno, przeciągle, ewidentnie próbując choć trochę się uspokoić. Przypomniałem sobie, że łykał dopalacze, a one zwykle nie sprzyjają chwilom cichej refleksji.

A potem zrobiło się jeszcze groźniej. Peace odrzucił lewą połę kurtki i wyciągnął zza paska pistolet. Przycisnął lufę do mojego policzka.

- Tylko spokojnie, Den - wymamrotał nerwowo Reggie Tang.

- Zamknij się, Reggie - warknął Peace.

Patrzył na mnie ze zboląłą nienawiścią, zupełnie jakby się nakręcał. Otworzyłem już usta, by spróbować go uspokoić, ale nim się odezwałem, jego wolna ręka wyprysnęła naprzód zaciśnięta w pięść. Nie miałem czasu się ruszyć, jedynie zamknąłem oczy. Z lewej strony usłyszałem przeraźliwy, głuchy trzask. Uniosłem powieki, obróciłem lekko głowę i zobaczyłem dziurę, jaką Peace wybił właśnie w ozdobnej listwie nad barem. Trzy razy zacisnął i rozprostował palce; z tego, co widziałem, nawet nie otarł naskórka.

- Jeśli jeszcze kiedyś cię zobaczę - rzekł odrobinę spokojniej - to cię zabiję. Mówię serio, zabiję cię. Nie szukaj mnie, jeśli nie jesteś gotów poderżnąć mi gardła w śnie, bo tylko w ten sposób mnie dopadniesz. I nie zakładaj, że śpię, tylko dlatego, że mam zamknięte moje-pieprzone-oczy.

Ostatnie trzy słowa podkreślił trzema mocnymi dźgnięciami lufą. Obejrzał się na Reggiego, a potem na Grega.

- Dajcie mi pięć minut - polecił. - A potem go puście.

Reggie skinął głową, Greg jedynie mrugnął. Peace, nie czekając na odpowiedź, skierował się już w stronę wyjścia. Nie oglądając się, schylił głowę i przeszedł przez niskie drzwi.

Teraz szanse odpowiadały mi znacznie bardziej.

Osunąłem się nieco w uchwycie Reggiego i Grega, zmuszając ich, by przyjęli na siebie część mojego ciężaru. Z irytacją pociągnęli mnie w górę, co oznaczało, że nie stali zbyt pewnie, gdy podniosłem się wraz z nimi i pchnąłem do tyłu. Wszyscy poleciliśmy na ścianę. Wyrwałem rękę z objęć Grega i bardzo mocno rąbnąłem Reggiego w szyję. Ze zdławionym gulgotem runął na bok i zderzył się z barem, wypuszczając moją drugą rękę i unosząc dłonie do gardła. Ja jednak jej nie potrzebowałem: załatwiłem już Grega silnym uderzeniem głowy w grzbiet nosa.

Wypadłem za drzwi, nim którykolwiek z nich zdołał dojść do siebie na tyle, by przypuścić kontratak. Ale gdy zbiegałem po schodach na pokład, Peace schodził już po trapie. Na brzegu obrócił się i spojrzał na mnie.

Kopniakiem strącił trap w chwili, gdy na niego wchodziłem. Trap poleciał do Tamizy, uderzając po drodze o burtę „Kolektywu” z serią głuchych, metalicznych łośkotów. Brzmiało to jak zegar wybijający godzinę wewnątrz trumny. Od brzegu dzieliły mnie zaledwie trzy metry, ale musiałem się cofnąć parę kroków, by wziąć rozbieg, a tymczasem tamten zwiewał już ile sił w nogach.

Skoczyłem i wylądowałem na obie nogi, lecz chwilowy zawrót głowy, który pojawił się znikąd, sprawił, że się zachwiałem i o mało nie wpadłem do rzeki. Pozbierałem się do kupy i ruszyłem za moim przeciwnikiem, który dotarł już do bramy i właśnie ją otwierał.

Ku mojej zgrozie zobaczyłem, jak wyciąga klucz z zamka i rzuca go do wody. Potem przebiegł przez bramę i zatrzaskał ją za sobą na sekundę przed tym, nim do niej dotarłem. Szarpnąłem klamkę, ale cholerstwo nie ustąpiło.

Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa! Nie miałem wytrychów ani czasu, a drut kolczasty nad bramą wyglądał naprawdę nieprzyjemnie. Rozejrzałem się w poszukiwaniu czegoś, czym mógłbym strzaskać zamek, i zobaczyłem klucz: wylądował na samym skraju nabrzeża.

Złapałem go, wsadziłem w zamek i obróciłem. Wybiegając na ulicę, spojrzałem w lewo, akurat w chwili, gdy potężna sylwetka Peace'a zniknęła za rogiem pięćdziesiąt metrów dalej. Kiedy zacząłem pościg, obok mnie przemknął z rykiem samochód, zmierzający w tę samą stronę i przyspieszający - był to sfatygowany jeep grand cherokee, pokryty zaschniętym błotem i kojarzący się z wojskiem. Wzdrygnąłem się nagle, widząc dwóch mężczyzn na przednich siedzeniach. Ten w fotelu pasażera był tak wysoki, że musiał zgiąć się niemal wpół; przez szybę ujrzałem jego kolana. Wystarczył jeden rzut oka, żebym bez cienia wątpliwości rozpoznał Po.

Przyspieszyłem jeszcze, oni jednak dotarli do zakrętu na długo przede mną i zniknęli za nim z głośnym brzękiem, kiedy samochód podskoczył na resorach. Gdy tam dotarłem, zobaczyłem, jak Peace pędzi co tchu wąską uliczką, praktycznie pozbawioną chodnika. Z obu stron wznosiły się bezimienne, niskie budynki biurowe, między którymi nie dostrzegłem żadnych alejek ani przesmyków, w których mógłby się schronić. Dalej ulica z jednej strony wychodziła na szeroką asfaltową równinę parkingu. Przypominał on labirynt półmetrowych betonowych pachółków, niektórych połączonych łańcuchami.

Jeep był już zaledwie metr za Peace'em, gdy ten dotarł do pierwszego pachółka. Przeskoczył nad nim jak płotkarz i biegł dalej. Jeep natomiast musiał skrócić gwałtownie, z powrotem na ulicę, najpierw dotrzymując mu kroku, a potem go mijając. Kiedy osiągnął drugi koniec parkingu, zatrzymał się z piskiem opon w półobrocie. Drzwi od strony pasażera otwarły się gwałtownie.

Po wyprysnął z wozu, z początku w ludzkiej postaci, lecz w biegu zmienił się w coś, co wyglądało, jakby nigdy nie miało matki. Jego ręce wydłużyły się i pogrubiały,

zgiął się w pasie, tak że sięgnęły ziemi. Jego usta otwierały się coraz szerzej i szerzej i zmieniały w zębaty pysk podobny do paszczy rekina. Miałem jednak rację co do jego egzotycznego pochodzenia - tyle że nie był gorylem, tylko hieną, albo czymś co ją kiedyś przypominało; nawet na czworakach pozostawał wysoki jak rosły człowiek.

Peace odkrył, że zaszli go od przodu, zatrzymał się w poślizgu, zawrócił i popędził z powrotem, gwałtownie wymachując rękami i nogami. Po biegł za nim, z początku powoli, potem stopniowo nabierając szybkości. Tymczasem jeep zawrócił - drzwi od strony pasażera wciąż się zamykały i otwierały z trzaskiem - i ruszył z powrotem ulicą w moją stronę. Ponownie zrównał się z Peace'em i przyspieszył. Gdyby nie pachołki, mógłby skrócić i odciąć mu drogę. Teraz jednak kierowca musiał znów zahamować i także wyskoczyć. To był drugi gość, którego spotkałem poprzedniej nocy: Zucker, ten o niskim, ochrypłym głosie i upodobaniu do ostrych przedmiotów. Dzieliło mnie od niego zaledwie dwadzieścia metrów i biegłem w jego stronę, ale on skupiał się wyłącznie na ofierze. Ruszył biegiem w stronę Peace'a, zamykając kleszcze.

Lecz Peace skręcił szerokim łukiem, kierując się na tyły parkingu, gdzie wysokie, drewniane ogrodzenie oddzielało go od sklepu ze sprzętem wodniackim, do którego zapewne należał. Ogrodzenie wydawało się zbyt wysokie, by dało się na nie wspiąć, ale dwaj prześladowcy Peace'a, uznawszy, że ofiara może im się jednak wymknąć, jeszcze przyspieszyli, zmniejszając dzielącą ich odległość.

Dotarłem do jeepa; lekkie wibracje maski wskazywały, że silnik wciąż pracuje. Bez chwili namysłu wskoczyłem do środka i wycofałem się na ulicę.

Peace dotarł już niemal do płotu: dwa łąki pędziły kilka metrów za nim. Dodałem gazu, wrzuciłem drugi bieg i z rykiem silnika ruszyłem naprzód. Dwa pachołki przede mną spinał łańcuch. Uderzyłem go w rozpędzie i pękł ze zgrzytem, przerwane połówki niczym bicze świsnęły po obu stronach maski. Jechałem dalej, manewrując tak, by uniknąć barier, gdzie tylko się dało, przebijając się, jeśli nie miałem wyjścia. Coś wbiło się w jedno z przednich kół i jeepa zaczęło znosić w prawo; gorączkowo zakręciłem kierownicą, przywracając poprzedni kurs.

Przede mną Peace dotarł do ogrodzenia i spiął się przed skokiem, który miał mu pozwolić przynajmniej częściowo je pokonać. Nim jednak skoczył, Po przebiegł kilka ostatnich metrów i rzucił się na niego z błyskiem szponów. Obaj runęli na ziemię. Rozległy się dwa strzały, tak szybkie, że drugi przypominał echo pierwszego. Peace odrzucił Po kopniakiem - całkiem niezły wyczyn - i znów się podniósł. Łak był

ranny, krew na twarzy go oślepiła. I choć zamachnął się kilka razy nieprzyzwoicie długimi szponiastymi przednimi łapami, chybił o dobre dziesięć centymetrów.

Zucker zbliżał się bardzo szybko. Widząc, jak marne ma szanse, Peace odwrócił się i wyprysnął w górę, zawisł na ogrodzeniu metr nad ziemią i podciągnął się na rękach. Tuż za nim Po dźwignął się z ziemi, by zrobić to samo - lecz jego skok miał ściągnąć Peace'a z płotu, tak jak kot ściąga na ziemię nisko lecącego ptaka. Tymczasem Zucker grzebał w kieszeni, zapewne szukając noża. Tak czy inaczej, Peace nie miał najmniejszych szans wdrapania się na górę.

Nacisnąłem dłonią klakson: ostra, opadająca eksplozja dźwięku sprawiła, że *loup-garou* odwróciły się i ujrzały własny wóz pędzący wprost na nie - mniej więcej dwie tony metalu z rozpaczliwie zawodzącym silnikiem, który zmusiłem do jazdy osiemdziesiątką na drugim biegu.

Było już za późno, by Po skoczył na Peace'a. Zamiast tego wraz z Zuckerem umknęli na boki, gdy przyspieszyłem, mijając ich. W ostatniej chwili szarpnąłem mocno kierownicę. Uderzyłem w parkan czołowo, trzy metry w lewo od miejsca, gdzie Peace wciąż gramolił się na górę - uderzyłem i przebiłem się na drugą stronę, na brukowany plac przed budynkiem. Resztki ogrodzenia padały wokół mnie niczym drewniany deszcz.

Przednie opony pękły z hukiem i jeep osiadł, niczym ogłuszony byk; przedni błotnik rąbnął o ziemię w fontannie iskier. To wyhamowało niemal całą moją prędkość i w gruncie rzeczy dobrze, tyle że sekundę później wystrzeliła poduszka powietrzna, która wbiła mnie w fotel i przyszpiliła ręce. Kolejny, drugi wstrząs świadczył o tym, że wpadłem na coś, czego jeszcze nawet nie widziałem.

Na wpół leżałem, oszołomiony. Uszy wypełniło mi zawrodoenie i przez jedną, mrozącą krew w żyłach chwilę sądziłem, że musiałem kogoś potraścić - potem jednak uświadomiłem sobie, że to wyje alarm.

Zmuszając się do ruchu, mimo bólu i wstrząsu zderzenia, zdołałem wsunąć dłoń do kieszeni. Macała i macała, aż w końcu znalazła scyzoryk. Za trzecim razem udało mi się przebić poduszkę powietrzną, potem musiałem poczekać, aż oklapnie dostatecznie, bym zdołał się spod niej wysliznąć.

Wychodząc chwiejnie ze szczątków jeepa, przekonałem się, że na dziedzińcu przed sklepem sportowym istotnie wpadłem na inny samochód. Bardzo ładne, jaskrawoniebieskie BMW - nadal takie było, tyle że przednia jedna trzecia zamieniła się w złom.

O dziwo, nikt nie wychodził na dwór, żeby sprawdzić, skąd się bierze hałas. Sklep był jeszcze zamknięty, podobnie biura na ulicy za mną.

Nie widziałem ani śladu Peace'a, ani dwóch *loup-garou*. Uznałem to za dobry omen, gdyby bowiem go schwytały, w tej chwili wciąż by go wypytywały albo biły, albo też pożerały szczątki.

Nie mogłem zrobić nic więcej, prócz zniknięcia z tego miejsca, zanim zjawi się ktoś, by zbadać źródło hałasu i strzaskany parkan.

Ruszyłem z powrotem do „Kolektywu”. Byłem teraz w nastroju akurat na to, by przerobić kolejną rundkę z tym sukinsynem Reggie Tangiem i jego małym tępym przydupasem, i sprawdzić, czy nie zdołam wyciągnąć z nich siłą jakichś informacji.

Kiedy jednak dotarłem do przystani, wszystkie starannie dobrane sformułowania rozplynęły mi się na ustach, bo ujrzałem wzburzone odkosy, ciągnące się za oddalającą się rufą „Kolektywu”. Jacht dzieliło ode mnie dobre dziesięć metrów i wypływał na rzekę z powolną, dygoczącą prędkością dwóch węzłów. Reggie stał na pokładzie, ubrany w czarną jedwabną marynarkę narzuconą na podkoszulek. Ręce wepchnął głęboko w kieszenie spodni. Obdarzył mnie nieprzychylnym, szacującym spojrzeniem.

- Wracaj do domu, stary - rzekł surowo, ze smutkiem. - Okaż choć trochę pierdzielonej godności i wracaj do domu.

Przez jedną szaloną chwilę zastanawiałem się, czy przypadkiem nie skoczyć. Pojąłem jednak, że tkwiłbym uwięziony w lepkim mule Tamizy, dopóki nie zjawiłby się z pomocą ktoś wyposażony w żyłkę, kołowrotek i łom. Zamiast tego patrzyłem bez słowa, jak jacht znika mi z oczu za zakrętem. Reggie cały czas stał na pokładzie, obserwując mnie, jakby chciał się upewnić, że niczego nie spróbuję. Po jakimś czasie zjawił się Greg Lockyear i stanął obok niego, kładąc mu dłoń na ramieniu. A potem niewdzięczny zakręt podejścia promowego zrobił swoje, „Kolektyw” zniknął mi z oczu i zostałem sam na brzegu, wyglądając - by użyć technicznego określenia - jak skończony debil.

8

Ruszyłem z powrotem na zachód. Przesiadłem się na linię Jubilee i przejechałem rzut kamieniem od Paddington - no, gdyby ów kamień został wystrzelony z moździerza polowego. W pewnym momencie będę musiał wpaść na pogawędkę z Rosie Crucis, ale chwilowo to nie była najlepsza pora. Nadal czułem się nieco nieświeży i skacowany, a w starciu z Jenną-Jane Mulbridge potrzeba niezwykle sprawnego umysłu. Poza tym Rosie prowadzi jeszcze bardziej nocny tryb życia od Nicky'ego.

No dobra, może po prostu odwlekałem nieuniknione, ale na razie tak to działało.

Zajrzałem zatem do biura i wykopałem z dolnej szuflady szafki zapasy na czarną godzinę. Był to kawałek folii groszkowej, podklejonej sreberkiem z tkwiącymi w środku ośmioma nieco osobliwymi pigułkami - białymi kwadracikami o zaokrąglonych narożnikach, oznaczonymi pochyłą literą D. Pierwotnie mieściło się tam dwanaście pigułek, ale cztery już zużyłem. Pielęgniarka, od której je dostałem w czasie krótkiego, burzliwego związku, mówiła, że D oznacza diclofenac, choć tabletki miały w sobie kilka innych czynników aktywnych.

- Są naprawdę magiczne - oznajmiła, wsuwając mi je ze złośliwym uśmiechem do kieszonki na piersi. - Najsilniejszy lek przeciwbólowy, jaki zdarzyło ci się łyknąć, ale oczyszczają umysł, jak para speedów. Tylko po zażyciu nie pij zbyt dużo alkoholu.

Ani... uhm... nie wychodź na ostre słońce, bo z tym lekiem w krwiobiegu spalisz się jak kielbaska na grillu.

Był to zapewne najlepiej trafiony prezent jaki kiedykolwiek dostałem - o czym przekonałem się, gdy zażyłem pierwsze cztery. Teraz połknąłem dwie i ból i sztywność ramienia zniknęły niemal natychmiast. Wracalem do gry.

Wciąż myśląc o Nickym, sprawdziłem automatyczną sekretarkę w biurze i pocztę na komórce: nic, zero. Nadal musiałem radzić sobie sam. Miałem też jednak dobre wieści: pośród rachunków i innych listów miłosnych od miejscowych władz i

ogólnokrajowych dostawcy energii znalazła się dodająca otuchy gruba koperta bez znaczka, z moim nazwiskiem wypisanym zgrabnym pismem.

Otworzyłem ją i znalazłem krótki list od Stephena Torringtona, a także czek na tysiąc funtów i kolejne pięćset w gotówce. List głosił jedynie, że mam to uważać za zaliczkę i że mogę przysłać pokwitowanie kiedy zechcę. Pomyślałem sobie, że może to się okazać dość trudne, bo z danych kontaktowych Torringtonów dysponowałem jedynie numerem komórki Steve'a. Wybrałem go zatem i odebrał po pierwszym dzwonku. Albo miał niewiarygodnie szybki refleks, albo funkcjonował z telefonem przy uchu.

- Torrington.

- Castor - odparłem w ramach odpowiedzi. - Dostałem pieniądze. Dzięki.

- Pan Castor. To żaden problem. Jak już mówiłem, mamy więcej pieniędzy niż potrzebujemy, a trudno nam znaleźć lepszy cel, na który warto je wydać.

- Prosiłeś o pokwitowanie. Ale nie mam waszego adresu. Zaśmiał się z niedowierzaniem.

- W podobnych okolicznościach zwykle formy grzecznościowe znikają bez śladu. Przepraszam, powinienem był dać wizytówkę. Oczywiście Mel także, na wypadek gdybym miał spotkanie czy coś. Niech pan je prześle do domu. Mieszkamy przy Bishops Avenue. Numer sześćdziesiąt dwa.

Fajny adres: pierwsze ogrodzone osiedle w Londynie, w każdym razie w praktyce, jeśli nawet nie w teorii, dostępne wyłącznie dla milionerów i byłych ministrów. Jeśli nawet puścisz zbyt głośno muzykę, nikt się nie przejmie, bo masz co najmniej dwieście metrów ogrodu i twój sąsiad także. Są też wady: wycieczka do domu obok, by pożyczyć szklanki cukru, zamienia się w trzydniową wyprawę.

- Jeszcze dziś wyślę - przyrzekłem.

- Nie ma pośpiechu. Ma pan może coś nowego?

Zastanowiłem się, czy nie skłamać, ale sprzeciwiało się to moim zasadom: skoro gość mi płacił, mogłem zarobić na honorarium, mówiąc prawdę.

- Chyba dziś rano spotkałem waszego pana Peace'a - przyznałem.

- Spotkał pan? Ale...

- To było krótkie spotkanie. Biegł jak ścigany przez ogary piekiel, a ja nie zdołałem dotrzymać mu kroku.

Miałem wrażenie, że Torrington wypuścił z płuc całe powietrze.

- Mój Boże. Tak blisko! Gdzie? Gdzie się ukrywał?

- Na „Kolektywie z Tamizy”. To łódź mieszkalna na rzece, czasem zatrzymują się tam londyńscy egzorcyci. Nie sądzę jednak, by Peace tam mieszkał: to nieco zbyt publiczne miejsce. Najpewniej jedynie składał wizytę. Może pożyczał pieniądze, nie wiem. Widziano go też w innym lokalu egzorcystów w Soho, więc przypuszczam, że chce coś załatwić - coś dość ważnego, by warto było zaryzykować pokazanie się. Tak czy inaczej, nawet jeżeli mieszkał na „Kolektywie”, ten właśnie podniósł kotwicę. Dopóki znów nie zacumuje i nie dowiem się gdzie, nie sprawdzę ponownie.

- Ale faktycznie się pan z nim spotkał? Widział go pan?

- O mało też nie poczułem. W każdym razie noska jego buta. Naprawdę mi przykro. Następnym razem będę się bardziej...

- Nie, nie! - uciał ostro Torrington. - Jest pan tak dobry, jak nam mówiono. Znalazł go pan w niecałe czterdzieści osiem godzin, dysponując jedynie nazwiskiem. To przecież niewiarygodne. Przypuszczam, że wkrótce znów go pan znajdzie, i wiem, że tym razem nie da się pan zaskoczyć. Dziękuję. Dziękuję za wszystko, co pan dla nas robi. Jeśli mogę służyć czymś jeszcze, co ułatwiłoby panu zadanie, wystarczy zadzwonić. O każdej porze dnia i nocy.

Po kilku niezręcznych podziękowaniach rozłączyliśmy się. Bardzo nie chciałem zawieść wzruszającej wiary Torringtona w moją osobę, lecz w tym momencie czułem się jak jeden z biedaków w jaskini Platona, próbujących zrozumieć rzeczy, których nie widzą bezpośrednio, i wyciągać wnioski z cieni rzucanych przez ogień na kamienną ścianę. A co gorsza, ja stałem w samym środku ognia.

Pomyślałem o ostatnich słowach Reggiego Tanga i ukrytej w nich sugestii. Peace nie był grzecznym chłopcem, powiedział Burbon Bryant. Był szalony i nieprzewidywalny. A jednak wyglądało na to, że ma więcej przyjaciół wśród londyńskich ducholapów niż ja - dostatecznie wielu, by mnóstwo drzwi, do których zazwyczaj pukałem, nagle okazało się zamknięte. Nicky wciąż nie dostarczył mi niczego, prócz poruszających historyjek o przeszłości kryminalnej gościa, a Rosie otworzy swe podwoje dopiero po północy. Oczywiście miałem zjeść kolację z Juliet, ale od tej chwili dzieliło mnie jeszcze ponad osiem godzin. Patrzyłem zatem w lufę zmarnowanego dnia, chyba że tymczasem znajdę do sprawdzenia jakiś trop.

I znalazłem. Może nie miał bezpośredniego związku ze sprawą Torringtonów, ale dla mnie był bardzo ważny i uznałem, że równie dobrze mogę załatwić to teraz.

Pojechałem metrem do Kensington i zacząłem szukać specja od noży.

- Nie jest tak stary jak wygląda - oznajmiła Caldessa drżącym głosem, w którym dźwięczała hartowana stal.

Jakimś cudem udało jej się zamienić to banalne stwierdzenie w głęboko wzgardliwą opinię. Ale też w jej fachu stare oznacza dobre, a nowe rzeczy udające stare są czymś, na co nawet nie warto splunąć - jagnięciem przebrany za owcę. Kiedy jednak sięgnąłem po nóż, nie oddała mi go. Znów obróciła go w rękach i spojrzała ponad ostrzem, w sposób wybitnie niepokojący u tak szacownej, odzianej w tweedy starszej pani.

Mój spec od noży okazał się specką. Zupełnie mi to nie przeszkadzało; kiedy zjawiłem się przy Kenstington Church Street, miałem jedynie blade pojęcie, czego właściwie szukam, ale nie wątpiłem, że to najlepsze miejsce, by to znaleźć. Wystarczy pójść Knightsbridge, minąć Ogrody Kenstington i trzymać się prawej, a wkrótce znajdziecie się (właściwie nic dziwnego, biorąc pod uwagę ceny i pochodzenie okolicznych nieruchomości) w największym skupisku sklepów z antykami cywilizowanego świata. No dobra, część z nich służy jedynie bezlitosnemu dojeniu dolarowych turystów, co oznacza sprzedawanie wiktoriańskich maselnic po tysiąc funtów sztuka. Lecz pośród sprzedawców skandalicznie przeszacowanych, eleganckich pierdoł znajduje się też grupka ludzi, których warto poznać: fanatyków o wariacko wąskich specjalizacjach, takich jak belgijskie kapturki na imbryki z czasów dynastii Merowingów albo leworęczne ołtarze polowe z hiszpańskiej wojny domowej.

Jednym z największych sklepów, Antik Ost, kieruje daleki krewny Pen, którego nazwisko muszę za każdym razem na nowo sprawdzać i zapamiętywać, bo jest tak cholernie długie: Haviland Burgerman. Był moją pierwszą przystanią i natychmiast pogodnie przyznał, że jego wiedza na temat noży ogranicza się do tego, którym końcem przycinamy cygaro. Wskazał mi jednak sklep naprzeciwko, należący do Evelyn Caldessa i Caldessa okazała się strzałem w dziesiątkę. Ją samą także można zaliczyć do antyków. Jej skóra miała ową leciutką, perłowobiałą przejrzystość właściwą osobom bardzo starym. Pod skórą kryły się delikatnie rzeźbione rysy, a ciało było chudsze niż patyk. Patrząc na nią, odnosiło się przemożne wrażenie, że trącona kciukiem zadźwięczałaby niby kościana porcelana. Apaszka, którą owinęła długie siwe włosy, nadawała jej wschodnioeuropejski wygląd, ale akcent był czysto wschodnioangielski.

Zasugerowałem, że mam coś do sprzedania i że mieści się to w kręgu jej zainteresowań.

- Nóż. Znalazłem go wśród innych rzeczy należących kiedyś do wuja.

- Kiedyś?

- Wuj zmarł.

- Och, moje biedactwo. - Niemal niezauważalna przerwa. - Zobaczmy.

Wyjąłem tekturową rolkę, ostrożnie wysunąłem nóż na dłoń i podałem go jej rękojęścią naprzód. Na jego widok Caldessa zaczerpnęła tchu, potem przytrzymała nóż z daleka, by przyjrzeć się lepiej. Ostrze w świetle dziennym nie wyglądało ani trochę ładniej niż w Soho po północy - była to broń stworzona do prawdziwego cięcia i przebijania, i to bynajmniej nie niedzielnego pieczystego.

- Ostrze ma wklęsły szlif - oznajmiła. - Dlatego jest takie cienkie i ostre - i między innymi dlatego wygląda starzej niż powinno. Prawdziwy wklęsły szlif służy tylko jednemu celowi: uzyskaniu jak najlepszego ostrza. Zużywa się zatem szybko, o ile w ogóle się nie złamie. Drugi powód, dla którego wygląda staro, to brak bolstera, większość współczesnych noży je ma.

- Bolstera?

- To ta grubsza część tuż nad rękojęścią.

- Ale nie zrobiono go maszynowo - zauważyłem.

Uniosła głowę i obdarzyła mnie suchym, pytającym spojrzeniem.

- A dlaczego tak sądzisz?

Wskazałem palcem.

- Kiedy obraca się go do światła, widać ślady szlifowania na stali. Nie są równomierne.

Caldessa przytaknęła, niczym nauczycielka, zadowolona, że spisałem się jak mogłem najlepiej, mimo ograniczonej wiedzy.

- To prawda - rzekła. - Choć niektóre maszynowe ostrza wykańcza się potem ręcznie, z różnych przyczyn.

- Na przykład?

- Na przykład, w celu przekonania kupca, że dostaje przedmiot ręcznej roboty.

Pacnąłem się dłonią w czoło, w stylu Homera Simpsona, a ona uśmiechnęła się cierpko.

- Tak, to nieczysty interes. Trzymaj się od niego z daleka, mój słodziutki, jeśli chcesz zachować jakiegokolwiek złudzenia co do natury ludzkiej. - Bardzo ostrożnie

przesunęła kciukiem wzdłuż krawędzi. - Ten mógł być zrobiony ręcznie, chociaż wymagałoby to bardzo dobrego oka. Widzisz, chodzi o grubość, która wzdłuż całego ostrza ani trochę się nie zmienia. Można to osiągnąć ręcznie, ale znacznie łatwiej za pomocą elektrycznej szlifierki. A co do drewna... - Z uznaniem przesunęła palcami po rękojeści. - Ładne. Bardzo ładne. Czeczota padouka. Południowo-wschodnia Azja. Patrząc na żywe drzewo, nigdy byś nie zgadł, że drewno ma taki czerwony połysk. Korę ma równie siwą jak ja. Ale sprawę rozstrzyga to. - Caldessa postukała paznokciem we wzór na płazie klingi: delikatny motyw kwiatowy, który najbardziej mnie interesował. - Wytrawiony maszynowo. Roztwór elektrolitów pozostawia lekkie plamy na stali, w ciągu kilku lat stają się coraz wyraźniejsze, a potem się stabilizują, chyba że sama stal ma skazy lub niedokładnie je zneutralizowano. W tym przypadku wokół głównych linii wzoru widać delikatny zielonkawy połysk, o, tutaj. Zrobiono to standardowym sprzętem przemysłowym, z wykorzystaniem elektrolitu miedzi i brązu i zubożeniacza sodowego. Wielka szkoda, bo w sumie to piękna robota. Ale - położyła nóż na ladzie, odwróciła i przesunęła ku mnie - według mnie ma najwyżej pięćdziesiąt lat. I nie jest wart teraz tyle, ile kosztował wtedy.

Stuknąłem palcem tuż nad rękojeścią.

- Widziała pani kiedyś podobny wzór?

Zmarszczyła brwi. Być może pomyślała sobie, że to nietypowe pytanie pogrążonego w żalobie siostrzeńca.

- Nie - przyznała. - A w każdym razie nie na ostrzu noża. Oczywiście poznaję samą roślinę.

- Naprawdę? - Byłem pod wrażeniem. - Jakim cudem?

- Bo handluję antykami, mój drogi. Motywy kwiatowe zawsze charakteryzują się choćby cząstkową stylizacją, toteż łatwo je zapamiętać. I bardzo przydają się przy identyfikacji, więc warto zadać sobie trochę trudu. To jest belladonna - wilcza jagoda, by nazwać ją bardziej poetycko. Można to poznać po charakterystycznych asymetrycznych parach liści.

- Tak, oczywiście. Asymetryczne pary liści.

- I kwiecie wyrastające z większego liścia. Spójrz.

Teraz, gdy o tym wspomniała, wzór faktycznie okazał się bardzo charakterystyczny. I ładny.

- Ale czy to cokolwiek znaczy? - dopytywałem się, patrząc jej w twarz.

Caldessa odpowiedziała spojrzeniem pełnym głębokiego znużenia i lekkiej dezaprobaty.

- Nie jesteś chyba policjantem, młodzieńcze? Szczerze nie znoszę policjantów. To banda wściekłych szcurów, wszyscy bez wyjątku.

- Nie jestem policjantem, pani Caldesso.

- Caldessa wystarczy, piękne dzięki. Doskonale, przyniosę moją książkę.

Książka nosiła tytuł *Identyfikacja znaków na sztuccach i broni* Jackmana i Pollarda, została wydana w 1976 i była grubsza od książki telefonicznej. Caldessa zaczęła przerzucać strony jedną ręką, drugą trzymając nóż i cały czas mamroczać coś pod nosem. Najwyraźniej książka nie miała indeksu, choć na każdej stronie na górze dostrzegłem nagłówki składające się głównie ze słów takich jak „kwiatostan” i „lancetowate”, oraz liczb, być może oznaczających daty.

Po chwili puknęła palcem w jeden z wzorów, kilkanaście razy powiodła wzrokiem od kartki do noża i z powrotem, i w końcu uniosła głowę, patrząc na mnie ze szczerym zdumieniem.

- Opowiedz mi coś więcej o wuju - zaproponowała.

Z przepaszającą miną wrzuciłem ramionami.

- Nie było żadnego wuja - przyznałem, mówiąc coś, co zapewne sama już zgadła. - Zabrałem ten nóż gościom, którzy próbowali przeprowadzić nim na mnie operację. Bardzo chciałbym wiedzieć, kim byli.

- Anathemata Curialis.

- A nie wilcza jagoda? Zdawało mi się, że...

- Nie, nie, to organizacja używająca tego wzoru. Nazywa się Anathemata Curialis. Przyjrzałeś się może ludziom, którzy próbowali cię zabić?

- To nie byli ludzie - odparłem, przypominając sobie kociego stwora, ścigającego mnie przez Soho Square. Mimo woli zadrzałem.

- To bardzo surowa ocena - upomniała mnie Caldessa. - Choć sama nie zaliczam się do wyznawców, szanuję zdanie innych. Przez większość czasu. Chyba że jest idiotyczne, tak jak w przypadku obrzezania dziewczynek.

- Chwileczkę, jeden moment. Co chcesz mi powiedzieć? Że to...?

- Symbol religijny. Właściwie tak. Jeśli ten nóż należał do owych dwóch ludzi, to byli katolikami. Jackman i Pollard, na których opinię nieraz stawiałam moją reputację, twierdzą, że Anathemata Curialis to skrzydło Kościoła katolickiego.

Caldessa wezwała mnie do siebie za ladę, by móc mi pokazać właściwe hasło w książce, lecz nawet widziane czarno na białym, niewiele pomogło. Nieważne czy czytałem z góry, z dołu, czy na ukos, nie dostrzegalem w tym sensu. Kościół katolicki nienawidził nieumarłych i bał się ich, z tą samą namiętnością i entuzjazmem, które kiedyś zachowywał dla ludzi twierdzących, że Ziemia jest okrągła. Jedną z nielicznych rzeczy, jaką mogłem stwierdzić na pewno, był fakt, że oba *loup-garou* nie należały do grona wiernych, pobożnych wyznawców rzymskiej wspólnoty.

Ale zdjęcia nie kłamią. A jeśli nawet, nie robią tego tak otwarcie. Przebiegłem wzrokiem spis. Pośród kolegów oksfordzkich, regimentów nieistniejących armii kolonialnych i ambitnych arystokratów, których przodkowie nadstawiali ust i tyłka od dawna nieżyjącym królom, widniało hasło wypisane kursywą: *Anathemata Curialis, zakon katolicki, n/u 1882*.

- N/u? - spytałem.

- Nieużywany - wyjaśniła Caldessa. - Nikt nie robił noży z podobnym znakiem od tysiąc osiemset osiemdziesiątego drugiego roku.

- Cóż, teraz wiemy coś, o czym nie mają pojęcia Jackman i Pollard - zauważyłem ponuro.

Caldessa uniosła brwi i skinęła głową, przyznając mi punkt.

Przypomniawszy sobie o dobrym wychowaniu, podziękowałem jej i spytałem, czy mogę zapłacić za poświęcony mi czas. Ona jednak machnęła lekceważąco ręką.

- Szczerze wątpię, byś mógł zaproponować sumę dość wysoką, by uniknąć obrazy, mój drogi. Jestem towarem luksusowym. Gdybyś kiedykolwiek miał do sprzedania coś naprawdę cennego, wiesz, gdzie mnie szukać. A tymczasem możesz zabrać tę wulgarną błyskotkę sprzed moich oczu.

Wsunąłem nóż z powrotem do tekturowej rolki i wyszedłem na ulicę. Było już popołudnie i wokół zrobiło się gęsto od turystów. Maszerując w stronę Notting Hill Gate, planowałem następne logiczne posunięcie - rozmowę ze starszym bratem, Matthew - i próbowałem znaleźć jakiś powód pozwalający go uniknąć. Jeśli ktokolwiek może narysować mi dokładnie opisany diagram struktury hierarchii katolickiej, to właśnie on: w końcu jest księdzem i uwielbia swoją robotę.

Niestety, znacznie mniej uwielbia mnie i nasze rozmowy zazwyczaj zamieniają się w przerzucanie się wyzwiskami, nim jeszcze zakończymy pierwsze zwyczajowe uprzejmości.

Ponieważ myślałem o Matthew, a wspomnienie Matthew przywołuje w mojej głowie mnóstwo innych, mroczniejszych myśli, niespecjalnie zwracałem uwagę na otoczenie, toteż dopiero po jakimś czasie zauważyłem, że ktoś mnie śledzi. Sam nie byłem pewien, jak się zorientowałem: po prostu kątem oka wyłapałem ruch i na jakimś poziomie, niemal podświadomości, odnalazłem odpowiedni wzór. Z trudem zwalczyłem pragnienie obejrzenia się. Zamiast tego podszedłem do wystawy, korzystając z niej jak z lustra - stara, wyświechtana sztuczka, która działa najwyżej raz na trzy podejścia.

Tym razem w połowie się sprawdziła: zobaczyłem wysokiego mężczyznę w grubym czarnym płaszczu, idącego dwadzieścia metrów za mną. Widziałem go tylko przez sekundę, gdy tłum się rozstał. Potem znów zniknął. Ponieważ jednak się garbił i spuszczał głowę, nie potrafiłem określić kto to, a ostry, odwrócony kąt odbicia sprawił, że po ułamku sekundy gość znalazł się poza moim polem widzenia.

Wszedłem do sklepu i rozejrzałem się szybko. Mniej więcej te same towary co w innych, przynajmniej na moje niezbyt wprawne oko: mnóstwo końskich uprzęży, a także ciężkie, drewniane meble, niezasługujące nawet na miano sfatygowanych, starych pubowych szyldów i skrobaczek do butów z kutego żelaza. Innych klientów nie było: sprzedawca, gość po dwudziestce, dziwne połączenie gangsterskiego języka i jedwabnej marynarki w stylu Nehru, czytał dla rozrywki *Przewodnik po cenach* Judith Miller. Nozdrza wypełniła mi woń kurzu i pleśni, uszy - niemal kościelna cisza. Czas na starą sztuczkę numer dwa. Podszedłem do lady i sprzedawca spojrzał na mnie z zawodowym uśmiechem, przyjaznym, lecz lekko niecierpliwym.

- Czy ten lokal ma tylne wyjście? - spytałem.

Uśmiech zniknął, zastąpiony urażoną obojętnością.

- Obawiam się, że pracownie nie są otwarte dla klientów.

- Śledzą mnie. - Postanowiłem nieco rozbudować historyjkę i natychmiast znalazłem coś, co powinno przemówić do palanta z drogiego sklepu. - Goryle pewnego lichwiarza. Chcą mi dołożyć, i to nieźle. Wolałbym, żeby w ogóle tego nie robili, a pan pewnie by wolał, żeby nie robili tego tutaj. Ale jak pan uważa.

Sprzedawca sprawiał wrażenie wstrząśniętego i zniesmaczonego. Przygważdżając mnie twardym spojrzeniem, wyciągnął zza lady komórkę i ścisnął mocno, jakby stanowiła lek na wszelkie zło tego świata.

- Tak - zgodziłem się - może pan wezwać policję. A podczas czekania pokaże mi pan, na co nie powinienem krwawić.

Pracownie były imponujące, śmierdziały ostro mieszaniną wosku i rozpuszczalnika, ale nie miałem czasu na wycieczkę z przewodnikiem. Sprzedawca pokazywał drogę, oglądając się na mnie co drugi krok i sprawdzając czy wciąż tam jestem. Przeszliśmy korytarzem, zastawionym pod ścianami drewnianymi skrzyniami, do pomieszczenia z wielkim, masywnym stołem roboczym. Nad nim, na metalowych drążkach wisiały krzesła i stoliki - w sumie przypominało to komnatę tortur dla grzesznych mebli. Następnie znaleźliśmy się w magazynie pełnym puszek lakieru, bel metalowych ścinków szlifierskich i wanien ze środkiem do polerowania.

Na drugim końcu magazynu ujrzałem drzwi; sprzedawca musiał otworzyć je kluczem, który wyjął z kieszeni, a potem odsunąć rygle na górze i dole. Pchnął skrzydło i przytrzymał, patrząc na mnie groźnie, jakby nadal spodziewał się złowieszczygo podstęp. Przekraczając próg, obejrzałem amulet wiszący na framudze drzwi: leszczyna.

- Jest przeterminowany - poinformowałem, trącając gałązkę czubkiem palca wskazującego. - Mamy już niemal czerwiec. Jeśli nie chcecie odwiedzin poltergeista, zainwestujcie w gałązkę mirtu.

Nie odpowiedział. Drzwi trzasnęły za mną i znalazłem się sam w uliczce, dość szerokiej, by mogła w nią wjechać furgonetka dostawcza. Zero kryjówek, w dodatku wychodziła na tę samą ulicę. No nic, zobaczymy.

Podszedłem ostrożnie do rogu i wyjrzałem. W obie strony maszerowało dość ludzi, bym miał pewność, że o ile ktoś nie oczekiwał, że pokażę się dokładnie w tym momencie, potrzebowałby chwili, by mnie zauważyć. Miałem zatem luksus swobodnego rozglądania się po ulicy bez potrzeby jednoczesnego pilnowania pleców.

Nikt nie czaił się w drzwiach sklepu, do którego wszedłem. Nikt nie oglądał wystaw po obu stronach. Wystaw obok. Spojrzałem na drugą stronę ulicy, świadom faktu, że jeśli gość był choć trochę fachowcem, z pewnością wybrał miejsce, w którym nie wyłapałoby go przelotne spojrzenie.

I przelotne spojrzenie faktycznie nie wyłapało. Lecz za drugim razem bingo, był tam. Naprzeciwko sklepu, w którym zniknąłem, stał kram sprzedający pieczone orzechy - z rodzaju tych, przy których amerykańscy turyści robią sobie zdjęcia, uważając je za element bogatego londyńskiego dziedzictwa kulturowego, bo mają do czynienia z pozbawionym smaku żarciem i barwnym, cocknejowskim zaśpiewem. Facet w czarnym płaszczu stanął z tyłu kramu, w miejscu osłoniętym z dwóch stron; z pozostałych dwóch można było wziąć go za klienta cierpliwie czekającego na

upieczenie orzeszków. Stał pod kątem do mnie, widziałem zatem zaledwie jego kark i wciąż nie potrafiłem stwierdzić, czy spotkaliśmy się już wcześniej.

W tym momencie, właśnie gdy mu się przyglądałem, prosząc w duchu, by się obejrzał, telefon zaczął szamotać mi się w kieszeni niczym żywe stworzenie. Nie hałasował: jakiś czas temu przestawiłem go na wibrowanie, bo wówczas z jakiejś przyczyny zależało mi na zachowaniu ciszy, a później kompletnie pogubiłem się w menu, próbując z powrotem uruchomić dźwięk. Lecz mimo ciszy, zaskoczył mnie i sprawił, że się wzdrygnąłem. Zupełnie jakby ów lekki ruch zaalarmował mego prześladowcę, choć przecież patrzył gdzie indziej: jego głowa uniosła się i obróciła gwałtownie, namierzając coś, czego nie potrafiłem odkryć. A potem reszta ciała także się odwróciła, tak że patrzył dokładnie w moją stronę.

Była to niesamowita, niepokojąca reakcja. Podobnie jak twarz, teraz, gdy przyjrzałem jej się bliżej, ponieważ należała do Zuckera.

Sukinsyn. Ci goście śledzili mnie po Londynie z bezczelną łatwością. Mógłbym to zrozumieć, gdybym nosił na sobie tablicę, jak pieprznity wegetarianin kręcący się po Oxford Circus („Mniejsza żądza dzięki mniejszemu spożyciu białka!”). Ale „nierzucający się w oczy” to moje drugie imię i szczytę się wrażliwością mego zawodowego radaru. Czyżby obserwowali biuro? Albo „Kolektyw”? Gdzie mnie złapali i jakim cudem dwa razy - trzy, jeśli liczyć Oriflamme - podeszli tak blisko bez mojej wiedzy? Zostawiłem jednak tę zagadkę na spokojniejszy moment. W tej chwili Zucker patrzył wprost na mnie z drugiej strony ulicy, a choć rosnący tłum zamieniał to w zabawę w chowanego, z całą pewnością mnie zauważył. Odwróciłem się plecami i uciekłem.

Podczas zabawy w kotka i myszkę, w, jak to nazywa wojsko, terenie urozmaiconym kot ma zawsze przewagę, jeśli tylko nie straci głowy. Klucząc w tłumie, ze spuszczoną głową maszerowałem szybko naprzód, aż dotarłem do kolejnej uliczki, potem skręciłem i puściłem się pędem, wybiegając do Brunswick Gardens. Tutejsze tłumy były jeszcze większe, bo urządzono jarmark uliczny i zamknięto drogę dla ruchu. Brzęcząca muzyka z czyjegoś pozbawionego niskich tonów magnetofonu atakowała powietrze wraz z zapachami olejku migdałowego i strączków wanilii. Kramy, sprzedające głównie antyki i drobiazgi kolekcjonerskie, ale też podkoszulki, słodczyce, przyprawy i pirackie DVD, z obu stron napierały na krawężniki, dając przechodniom nader kiepski wybór pomiędzy wąskim, zasłanym przeszkodami chodnikiem i skłębioną masą rozgorączkowanych kupujących pośrodku drogi.

Idealnie.

Manewrując między dwoma straganami, przeciąłem ulicę, idąc dalej drugą stroną. Potem, pięćdziesiąt metrów dalej znów to zrobiłem - uginając nogi w kolanach i spuszczać głowę - przepychałem się zreźnie przez tłum, gdy tylko pojawił się w nim cień wolnego miejsca. W ten sposób dotarłem na róg, gdzie po przerwie znów zaczyna się Kensington Church Road. Tu dołączyłem do bardziej uporządkowanego tłumu miłośników antyków. No dobra, zawróciłem o sto osiemdziesiąt stopni i będę musiał wrócić do domu inną drogą, lecz uznałem, że nikt na całym bożym świecie nie zdołałby utrzymać się za mną po takim manewrze.

Przeżyłem zatem ciężki zawód, gdy wsiałem do jadącego na zachód pociągu na stacji High Street Kensington i ujrzałem po drugiej stronie barierki schodzącą po schodach znajomą, przygarbioną postać w czarnym płaszczu zwieńczonym spuszczonej głową. Pociąg czekał jeszcze z otwartymi drzwiami na zmianę sygnału, czy może inną, bardziej tajemną wskazówkę zarządu londyńskiego metra. Wciśnięty w stado uwieszonych poręczy pasażerów i ich nader interesujący zbiór pach, mogłem tylko stać i patrzeć. Zucker minął mnie, nie unosząc głowy, bez żadnego widocznego pośpiechu. A potem, zupełnie jak na ulicy, uniósł wzrok - patrząc najpierw w lewo, potem w prawo, a w końcu prosto na mnie. Dokładnie w tej samej chwili drzwi zaczęły zamykać się z sykiem.

Nasze spojrzenia się zetknęły. Mógł być zły, skrępowany bądź poruszony, ale nie. Uśmiechnął się tylko, odsłaniając zęby ze zdecydowanie nadmierną liczbą kłów. Odpowiedziałem ironicznym uśmiechem, a potem drzwi znów się otworzyły i uśmiech zsunął się z mojej twarzy niczym grudka kisielu.

Zucker postąpił krok w moją stronę. Drugiego nie zdążył, bo panika dodała mi sił. Chwyciłem za ramiona gościa stojącego obok mnie - sądząc po wspaniałym stroju, młodego Turka z City - i wypchnąłem z pociągu. Zderzył się z Zuckerem, który próbował się uchylić, a potem, kiedy młodzieniec się zachwiał, wymachując rękami, po prostu od niechcienia odtrącił go na bok. Trwało to zaledwie sekundę, potem wspaniały samodziół Alfieriego wylądował w pyle, a Zucker bez przeszkód ruszył ku mnie.

Lecz warto było kupić tę sekundę. Drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem i pociąg ruszył. Sekundę później łuk tunelu przesłonił całą scenę niczym płaszcz magika i zniknęła jak zaczarowana.

Byłem myśliwym i ofiarą. Wyraźnie czegoś tu nie rozumiałem. A jeśli ci goście pracowali dla Kościoła, byłem gotów zjeść własny flet i wypierdzieć chór z Alleluja. Prawdę mówiąc, cała ta sprawa zaczynała poważnie mnie drażnić.

Podobnie jak stanie w pociągu - najpierw linii Circle, potem Piccadilly - aż do Turnpike Lane. Kiedy dotarłem do celu, byłem wykończony, a za uszami czułem swędzące ciepło, które zazwyczaj kojarzy mi się z początkiem gorączki. Lewe ramię znów zaczęło boleć, toteż musiałem całą drogę ścisnąć poręcz prawą dłonią. Przy Caledonian Road zaczęła drętwieć. Bez cienia wątpliwości trudno mnie nazwać okazem zdrowia. Powinienem położyć się w ciemnym pokoju i zaczekać, aż moje ciało przestanie się odgrywać za wszystko, co kazałem mu znieść przez ostatnie dwa dni. Zamiast tego jednak czekała mnie kolacja z Juliet, a potem herbata i ciasteczka z Rosie Crucis. Nie miałem ochoty ani na jedno, ani na drugie.

Jak się okazało, martwiłem się bez potrzeby, bo tak czy inaczej, wieczorne wydarzenia miały przybrać nieoczekiwany obrót. Wróciłem do Pen, dom zastałem pusty, co wcale mnie nic zdziwiło - pewnie gdzieś wyszła, żeby trochę pożyć. Wziąłem prysznic, by się pozbyć potu i bólu i przebrać w stój lepiej pasujący do spotkania towarzyskiego z najseksowniejszym, najelegantszym piekielnym pomiotem w mieście. Zdecydowałem się na prostą białą koszulę, bordowy krawat i parę czarnych płóciennych spodni. A, i nowy opatrunek na ramieniu, bo stary zaczynał przeciekać, a połączenie żółtej ropy z ciemnym szkarłatem nie pasuje do mojej cery.

Dopiero wtedy przypomniałem sobie o wcześniejszym telefonie i sprawdziłem wiadomości. Nie było żadnej, ale na liście nieodebranych połączeń znalazłem numer komórki Pen. Oddzwoniłem i nie uzyskawszy odpowiedzi, zostawiłem wiadomość, mówiąc, że dzwoniłem i że będę dostępny przez następną godzinę. Dziesięć sekund później telefon zadzwonił.

- Fix, to ja. - Usłyszałem głos Pen balansujący na granicy hysterii. - Jestem u Stangera. Musisz tu przyjechać. To Rafi, Fix. To Rafi!

- Co się dzieje z Rafim? - Serce zaciążyło mi gwałtownie.

- Nic! - odparła. - Nic! - Na dobre dwie minuty łyż odebrały jej głos.

9

Rafi płakał bardzo długo i nie był to przyjemny widok. Lecz jego obecny spokój w pewnym sensie wydawał się jeszcze gorszy. Miał w sobie coś z szoku pourazowego.

- Dwa lata! Dwa pieprzone lata! Nie, to nie... to nie jest nawet zabawne.

Pokręcił głową, ponownie zderzając się z solidnym murem niezrozumienia; wyraźnie nie mógł się zmusić, by uwierzyć.

Pen siedziała obok niego na wyblakłej kanapie - wtulona, przywierająca do niego jak do koła ratunkowego na wzburzonym morzu. Ona także płakała i kiedy tylko zdołała złapać oddech między kolejnymi szlochami, powtarzała jego imię. Spojrzał na mnie ponad jej głową, w jego oczach dostrzegłem niemą grozę i prośbę.

- Czuję się, jakbym po prostu zasnął, a potem się obudził - wymamrotał. - Byłem w tym obleśnym mieszkaniu przy Seven Sisters Road. Ty też tam byłeś, Fix. Rozmawiałem z tobą i z jakiegoś powodu chyba... leżałem czy coś. W każdym razie stałeś nade mną i patrzyłeś w dół. Potem zamknąłem oczy i... miałem naprawdę okropne sny. Z tych, z których na filmie budzimy się z krzykiem, ale tak naprawdę próbujemy i próbujemy, i odkrywamy, że nie możemy. - Nagle przyszło mu do głowy coś jeszcze. - Ginny. Czy Ginny to widziała? Gdzie ona jest? Czeka na zewnątrz?

- To ta dziewczyna? - spytałem i Rafi skinął głową.

Przypomniałem sobie białowłosą, chudą jak patyk zjawę, która krzątała się obok mnie przez ową długą noc, wrzucając paczki lodu z monopolowego do wanny, w której leżał Rafi, i nie pozwalając, by znów zagotowała się woda obniżająca temperaturę jego ciała. Rafi miał rację, nieco przypominało to sen - a ona była jednym z tych obrazów, które znikają wraz z nastaniem poranka. Nigdy więcej jej nie widziałem, a że mieszkanie okazało się wynajęte na nazwisko Rafiego, w żaden sposób nie mogłem się z nią skontaktować.

- Jakoś straciłem ją z oczu - wymamrotałem ogólnikowo, tak, by mówiąc prawdę, nie dokopać mu jednocześnie informacją, jak szybko jego panna się zmyła.

Rafi umiał jednak czytać między wierszami, a dwa lata bycia kukiełką Asmodeusza odebrało mu nieco zdolności ukrywania uczuć. Musiałem odwrócić wzrok, by nie patrzeć na ból w jego oczach.

Dziękowałem niebiosom, że ta scena nie rozgrywała się w jego celi. Doktor Webb - mimo ciągłych pretensji po sobotniej przepychance - pozwolił nam skorzystać z jednego z pokoiów rozmów, upierając się tylko, by towarzyszył nam pielęgniarz i byśmy pozostali zamknięci, dopóki nie damy sygnału, że wizyta dobiegła końca. Pielęgniarz - pozbawiony poczucia humoru Walijczyk, Kenneth, o rozmiarach i sile buldożera - stał w kącie i oglądał w ściennym telewizorze mydłankę bez dźwięku. Oto największa prywatność, jaką oferuje Stanger.

- Byłem opętany - oznajmił Rafi, jakby raz jeszcze przymierzał ten koncept i odkrywał, że nie przejdzie nawet przez ramiona. - Asmodeusz mnie opanował. Żył w moim ciele.

- Rafi, kochany. - Pen otarła zapuchnięte oczy. - Nie musisz do tego wracać. Najpierw wydobrzej. Potem, kiedy już... - Urwała, bo Rafi zaczął kręcić głową.

- Nie - rzekł. - Muszę wiedzieć, co się ze mną działo. Nie można tak po prostu usiąść na łóżku, ziewnąć, przeciągnąć się i żyć dalej. Nie po dwóch latach.

- Poza tym i tak nie będzie łatwo - dodałem. Uznałem, że jako etatowy sukinsyn mam obowiązek sprowadzić ich na ziemię, nim wzlecą zbyt wysoko na skrzydłach nadziei i zrobią sobie krzywdę. - Chodzi mi o dalsze życie. Nie jesteś tu z własnej woli, Rafi. Zostałeś przymusowo zamknięty w szpitalu i wyciągnięcie cię potrwa jakiś czas. Będziesz musiał przekonać kupę ludzi, że znów jesteś sobą.

Pen przygwoździła mnie wzrokiem, jakby decyzja należała do mnie.

- On nie oszalał, Fix. - Głos ją zawiódł, bo po płaczu był piskliwy i roztrzęsiony. - Wiesz przecież.

- Tak - zgodziłem się. - Wiem. Ale to, co wiem, nie ma żadnego cholernego znaczenia, Pen. Rafi nie trafił tu dlatego, że ktoś uważał, że jest chory psychicznie. Jest tu, bo prawo oficjalnie nie uznaje opętania przez demony, a Asmodeusza nie można było wypuścić na ulicę, by zabawiał się tradycyjnymi rozrywkami demonów, torturując, raniąc i mordując ludzi. Zrobiliśmy to, co musieliśmy. I niestety, nie da się tego szybko i łatwo odkręcić.

Pen wstała, zaciskając pięści i patrząc na mnie nieprzychylnie. W tym momencie najwyraźniej stałem się wrogiem - głosem tępego, pełnego hipokryzji tłumu, który umieścił tu Rafiego i chętnie zostawiłby go tu na zawsze, by zgnił.

- Myślę, że wolelibyśmy przez jakiś czas zostać sami - oznajmiła z naciskiem.

Rozłożyłem ręce w pokojowym geście i ruszyłem do drzwi.

- Zaczekaj, Fix.

Kiedy się odwróciłem, Rafi patrzył w podłogę - czy może raczej skupił na niej wzrok, podczas gdy sam szukał wewnątrz siebie scenariusza tego, co zamierzał powiedzieć. Poszukiwania te najwyraźniej bez reszty pochłaniały jego uwagę.

- Co? - spytałem nieco szorstko, bo tu akurat zgadzałem się z Pen: chciałem wyjść.

Chciałem zostawić ich samych, by mogli spotkać się na swych drogach po dwóch latach, podczas których Pen żyła, a Rafi tkwił zamknięty w pokoju bez klamek. A zwłaszcza chciałem - rozpaczliwie potrzebowałem - znaleźć się jak najdalej kiedy rozmowa zejdzie na Dylana...

- To jeszcze nie... skończone - rzekł. Zapadła długa, straszna cisza. Wreszcie, właśnie gdy otwierałem usta, by poprosić o wyjaśnienie, uniósł głowę, patrząc na mnie z napięciem, które sprawiło, że słowa uwięzły mi w gardle. - To znaczy Asmodeusz wciąż tu jest. Jakaś część jego. To nie jest tak, że zebrał się i wyszedł, bardziej... - jego wargi przez moment poruszały się bezdźwięcznie - jakby zdjął ze mnie swój ciężar, żeby zająć się czymś innym. Ale nadal go czuję, a on nadal czuje mnie. Wciąż jesteśmy połączeni.

- Nie! - zaprotestowała Pen tonem niemal przypominającym jęk.

Ani Rafi, ani ja nie odpowiedzieliśmy na tę jedną, nieszczęsną, osieroconą sylabę.

- Może to daje ci okienko? - podsunąłem. - Może ktoś mógłby teraz przeprowadzić pełną operację usunięcia demona? Jeżeli poluźnił uchwyt...

- Ktoś - powtórzył Rafi. - Nie ty?

- Nie pamiętasz - odparłem ponuro. - Gdybyś pamiętał, nie prosiłbyś mnie. Raz już próbowałem, Rafi, i spieprzyłem sprawę. Solidnie spieprzyłem. Dlatego właśnie twoja i jego dusza splotły się ze sobą niczym kochankowie w uścisku.

- To nie jedyny powód. W końcu ja sam go zaprosiłem.

Wbrew sobie poczułem ukłucie mdlącej ciekawości. Zawsze zastanawiałem się, co właściwie, do diabła, myślał sobie Rafi.

- Czyli to Asmodeusza próbowałaś wywołać? To nie był wypadek?

Rafi roześmiał się, w jego głosie dzwięczało szaleństwo.

- Wypadek? Owszem, wypadek zrządził, że przestałem się pilnować. Ale nie można powiedzieć, że doszło do wypadku, jeśli przypalasz papierosa palnikiem i tracisz brwi. To o Asmodeusza mi chodziło, Fix. W księgach pisano, że to jeden z najpotężniejszych piekielnych demonów. I jeden z najstarszych. Uznałem, że nie ma sensu wspinać się w hierarchii z samego dołu. Chciałem dostać wszystko, i to jak najprędzej. Nie winię cię więc za to, co się stało, Fix. Winę siebie. I jestem gotów przyjąć każdą możliwą pomoc.

Pokręciłem głową.

- Nie. Potrzebny ci ktoś o delikatniejszym dotyku. Albo pewniejszej ręce.

Możecie to nazwać tchórzostwem, skrupułami czy jak tam do diabła chcecie, ale wolałem, by zabrano ode mnie ten kielich. Raz już zniszczyłem przyszłość Rafiemu; gdybym znów to zrobił, chyba nie mógłbym żyć ze sobą.

- Masz kogoś na myśli?

Przypomniałem sobie Juliet.

- Może. A przynajmniej znam kogoś, kto może przyjść i podzielić się z nami swoją opinią.

Rafi uśmiechnął się, wybitnie nieprzekonująco.

- Dzięki, Fix. Jesteś opoką.

- Raczej na opak - zripostowałem jeszcze słabiej.

Pen wciąż słała w moją stronę wzrokowe sztylety, bicze i piły łańcuchowe. Nadal mieli we dwoje wiele do omówienia, moja kolej nadejdzie później. Wyszedłem na korytarz, gdzie Webb krążył niespokojnie, czekając, aż się zjawię. Z tyłu stał kolejny pielęgniarz, najpewniej na wypadek, gdybym wpadł w szal i trzeba mnie było uspokoić.

- Wydaje się pan nieco spięty - rzuciłem. - Coś pana dręczy?

- Muszę wiedzieć, z czym mam do czynienia, Castor - warknął. Mój ustępliwy ton najwyraźniej nie poprawił mu humoru.

- Cudownym ozdrowieniem?

- Tak uważasz?

- Nie wiem - lawirowałem. - A pan jak sądzi?

- Sądzę, że Ditko - czy raczej stwór wewnątrz niego - gra w jakąś nową grę. Nie byłby to pierwszy raz. Zadzwoiłem do profesor Mulbridge.

Te słowa zadziały na mnie jak kroplówka z kostek lodu.

- Nie ma pan prawa... - zacząłem, ale Webb nie zamierzał pozwolić sobie przerwać. W końcu dopiero zaczął.

- Mam wszelkie prawa do konsultacji z kolegami - uciął. - Profesor Mulbridge jest uznanym ekspertem w tej dziedzinie.

- Jakiej dokładnie? - zażądałem, przyszpilając go.

Zawahał się, próbując wywęszyć pułapkę, nim w nią wpadnie.

- Jakiej dziedzinie? - powtórzyłem. - Ontologii metamorficznej? Bo według pańskiej diagnozy Rafi cierpi na schizofrenię. Zmienił pan zdanie?

- Obaj wiemy...

- Obaj wiemy jedynie - huknąłem, przekrzykując jego podniesiony głos - że tak rozpaczliwie chce się pan pozbyć Rafiego, że spróbuje pan wszystkiego! A w tej chwili stwierdzenie, że on potrzebuje specjalnej opieki gdzie indziej, wydaje się opcją szybszą niż przejście przez pełen proces oficjalnej selekcji i zwrócenie się o niezależną opinię.

- On potrzebuje specjalnej opieki! - wrzasnął Webb. - Zagroza każdemu, z kim się styka!

- To było tydzień temu - niemal warknąłem. - I wierz mi, Webb, jeśli zaczniesz flirtować z Jenna-Jane, będziesz musiał wyjaśnić w sądzie, dlaczego dokładnie zmieniłeś swą zawodową opinię na temat stanu Rafaela Ditko i czemu nie uznałeś za stosowne poinformować o tym jego krewnych i przyjaciół.

Policzki Webba pokryły się bardzo twarzowym odcieniem ceglastej czerwieni, znakomicie podkreślającym jasnożółty odcień koszuli.

- Castor, twoje argumenty nie trzymają się logiki - syknął. - I nie dam się ci zastraszyć. Muszę robić to, co najlepsze dla całego ośrodka, i uważam, że moje działania wytrzymają próbę...

Odszedłem, zostawiając go wrzeszczącego apoplektycznie z tyłu. Musiałem, bo lada moment bym go uderzył, tym samym oddając mu na tacy zwycięstwo moralne i prawne.

Do tego potrzebowałem odpowiedzi i nie byłem w nastroju, by czekać, aż dokładnie uda mi się sformułować pytania.

- Dobrze cię znów widzieć, Feliksie - powiedział mój brat Matt, gdy wcisnąłem się za kawiarniany stolik naprzeciw niego. - Często pojawiaasz się w moich modlitwach.

- Poczuliśmy się z tym znacznie lepiej, gdybym wiedział, o co dokładnie się modlisz - odparowałem z chłodnym uśmiechem. Puszczenie mimo uszu podobnego tekstu stanowiłoby kiepski początek rozmowy.

Siedzieliśmy w kawiarence przy Muswell Hill Broadway. Dekorator projektujący wnętrze celował w secesję, ale nie do końca trafił. Ściany ozdabiała obrazy Muchy i Hodlera, a nad stolikami, niebezpiecznie nisko, wisiały kwadratowe klosze lamp w stylu Tiffany'ego. W tle przygrywał cicho pogodny jazz z lat dwudziestych, sugerujący, że cały ten wystrój to tylko cytaty, lecz na wysokiej półce za barem grał także kompletnie niepasujący do reszty telewizor z przykręconym dźwiękiem - obecnie ekran wypełniał obraz reportera o szczerej twarzy, stojącego przed rzędem sklepów i mówiącego coś bezdźwięcznie. Z miejsca, w którym siedziałem, reporter wystawał znad prawego ramienia Matta, niczym jego sumienie.

Mój brat już zamówił i dobrze - tego, na co miałem ochotę, nie uwzględniano tu w karcie. Gdy odwiedzałem tę okolicę, wolałem pić w pubie O'Neilla przy Broadway, mieszczącym się w budynku dawnego kościoła. Lecz Matt nie podziela mojego poczucia humoru, a że zależało mi na przyjaznej atmosferze, zdecydowaliśmy się na kawiarnię.

Zadzwoiłem do Matta od Stangera i poprosiłem o spotkanie. Kiedy spytał, po co, odparłem, że dla dobra mojej duszy, i rozłączyłem się. Wiedział, że najpewniej żartuję, ale nigdy do końca nie zrezygnował z nadziei, że pewnego dnia ujrzę światło. Niespecjalnie nawet zależało mu na tym, jakie.

Był w stroju cywilnym, to znaczy nie nosił koloratki: patrząc na niego, widziało się szczupłego mężczyznę o wyglądzie intelektualisty, balansującego na granicy czterdziestki, ubranego w ciemny sweter i dżinsy, które, choć niezniszczone, wyglądały staro. Miał rzednące, ciemne włosy i bardzo surowe, niebieskoszare oczy. Wszystko w nim jest surowe - Matt ma słabość do moralnych pewników. A także świetne oko do szczegółów i teraz zmierzył mnie uważnym spojrzeniem.

- Nie wyglądasz dobrze - zauważył. - Cerę masz dość niefajną i spuchniętą wargę. Wypadek?

- Napadnięto mnie - wyjaśniłem.

- W ramach obowiązków służbowych? - Matt zacisnął wargi. Zdecydowanie nie podoba mu się to, jak zarabiam na życie.

- Można tak powiedzieć. Co u mamy?

- W porządku. Parę tygodni temu przeszła paskudną infekcję płuc. Dostała też inhalator. - Zmarszczył brwi. - Mimo odmy nie chce rzucić palenia, toteż przede wszystkim starają się nie dopuścić do zamknięcia dróg oddechowych. Zdawało mi się, że wspominałeś coś o wizycie?

- Owszem - potwierdziłem. - Po prostu najpierw muszę załatwić parę rzeczy.

- Jasne.

Pociągnął łyk kawy, spuszczać wzrok. Wyglądał z tym jak ktoś, kto bardzo stara się niczego nie powiedzieć.

By zapęlić ciszę, sięgnąłem do kieszeni po nóż Zuckera i położyłem go na stoliku między nami.

- Widziałeś kiedyś coś takiego?

Matt spojrział na nóż i jego oczy rozszerzyły się lekko.

- To element twojego życia, nie mojego - odparł cicho, zbyt cicho. Nigdy nie nauczył się kłamać ani ukrywać emocji.

- Zabawne, że to mówisz - mruknąłem. - Bo gość, który próbował mnie nim poczęstować, zdecydowanie należał do twojego.

- To był ksiądz? - W głosie Matta dzwięczała wżgarda.

- Tak, w pewnym sensie. Może. Funkcjonariusz Kościoła.

- Mój Kościół nie zatrudnia zbrojnych.

- Naprawdę? Rozumiem zatem, że rycerze podczas krucjat wykorzystywali wasz zarejestrowany znak handlowy bez pozwolenia?

Matt westchnął ciężko.

- Ostatnia krucjata zakończyła się w trzynastym wieku, Feliksie. Użyłem czasu terażniejszego.

Postukałem palcem w rękojęć noża.

- To też terażniejszość, Matt. I sprawia, że denerwuję się za nas dwóch. Opowiedz mi o Anathemata.

Milczał.

- Próbują mnie zabić - dodałem. - Bardzo by mi pomogło, gdybym wiedział dlaczego.

Dalej cisza, lecz tym razem posłuchałem instynktu i pozwoliłem jej trwać.

- Oni nie... zabijają... bez powodu - powiedział w końcu Matt. - I nie są agentami Kościoła.

- Czemu zatem wymienia się ich w spisie organizacji kościelnych?

- Nie wymienia. Chyba że używasz starej książki.

I znów czekałem. W końcu Matt niechętnie zapełnił ciszę.

- To bardzo stara sekta - oznajmił. - Lecz ich historia jest dość mało znana. Pod niektórymi papieżami ledwo istnieli. W innych czasach byli, na swój sposób, równie potężni jak Towarzystwo Jezusowe bądź Inkwizycja. Mieli za zadanie zajmować się rzeczami, które nasz Kościół uważa za wyklęte - po grecku *anathema*. Anathemata to po prostu liczba mnoga. W ostatnich czasach - to znaczy przez ostatnie dziesięć lat - słowo to zaczęło oznaczać umarłych, którzy powrócili.

Gdzieś w mojej głowie zapaliło się słabe światełko, przypominające bioluminescencję rozdętego trupa.

- Co dokładnie znaczy w tym kontekście „zajmowali się”?

- Nie wiem - przyznał Matt. - Nigdy nie byłem członkiem, choć jako student historii Kościoła wiedziałem o ich istnieniu.

- I twierdzisz, że nie plotkowałeś o nich w konfesjonałach w sobotnie wieczory? Zmarszczył czoło.

- Oczywiście krążyły pogłoski: sprzeczne i oparte jedynie na domysłach. Feliksie, wbrew temu co myślisz, Kościół katolicki nie jest olbrzymią tajną organizacją spiskową. Jeśli chodzi o swobodę informacji, wypada lepiej niż większość rządów.

- Ustaw poprzeczkę nieco wyżej - zaproponowałem cierpko. - Matt, ja nie mówię tu o pokornych siostrzyczkach od Marii Asumpty, tylko o grupie w twoim Kościele, która używa na posyłki wilkołaków. Czyżby chcieli nawrócić naszych włochatych braci? Czy „zajmują się” to eufemizm oznaczający „rekrutują”? Do kurwy nędzy, mają własne sztylety robione na zamówienie. Myślisz, że otwierają nimi mnóstwo poczty? Albo kroją torty? Czy co?

- Nie wiem, co robią - powtórzył cierpliwie Matt, jak zawsze w rozmowach ze mną zachowując opanowanie. - Skoro cię to jednak interesuje, mogę wyjaśnić, czemu każdy aktualny spis grup kościelnych pomija Anathemata.

- Proszę - rzuciłem.

Obrazy w telewizorze nad jego ramieniem przyciągnęły moją uwagę. Słuczone okna, policjanci w strojach do rozpędzania tłumów, atakujący w równym szeregu.

- Ponieważ ich rozwiązano - oznajmił Matt z lekką wyższością. - Nowy papież podważył ich metody i użyteczność. Rozkazał przełożonym zakonu, by złożyli urzędy, odesławszy wcześniej swych członków do innych grup i zadań. Działo się to bardzo niedawno, zaledwie rok temu.

- I zrobili to? - spytałem z naciskiem. Zerknąłem na nóż. - Bo tym sztyłem próbowano mnie poczęstować dużo później.

Znów usłyszałem w jego głosie niechęć.

- Prałaci zakonu sprzeciwili się Jego Świątobliwości. Z tego, co wiem, spierali się... - Zawahał się i umilkł, jakby nie wiedział, od czego znów zacząć.

- Spierali się...? - podsunąłem.

Matt skinął głową.

- Nie próbuj na mnie naciskać, Feliksie, proszę. Staram się sformułować to tak, by nie zabrzmiało niepotrzebnie sensacyjnie. Spierali się, twierdząc, że powstanie umarłych i pojawienie się na ziemi piekielnych stworów wraz z nimi to znaki nadejścia Dni Ostatnich. Uważali - wielu z nich - że rozwiązanie ich zakonu da swobodę działania piekłu i nie dopełniliby swoich duchowych obowiązków, gdyby na to przyzwolili.

Wpatrywał się w nóż. Teraz uniósł głowę i spojrzał mi w oczy. Wyraźnie dotarł do czegoś, czego nie miał ochoty mówić. Zaimponowało mi, jak łatwo przełknął gorzką pigułkę.

- Toteż odmówili. Masowo. I zostali ekskomunikowani.

Zagwizdałem nisko, przeciągle.

- Mocna rzecz - mruknąłem.

- Tak, Feliksie, to bardzo mocna rzecz. Wykluczyła ich dusze i ciała ze wspólnoty kościelnej. Odmówiła im miejsca w niebie.

- I sprawiła, że nie mają już nic do stracenia - podsumowałem.

Matt otworzył usta, by coś powiedzieć, ale powstrzymałem go, unosząc dłoń.

- Matt, czy wiesz, gdzie jest ich centrum operacyjne?

- Nie.

Rozważyłem tę gołą monosylabę i uznałem, że kryje w sobie całkiem spory wachlarz grzechów.

- Czy w razie potrzeby umiałbyś się z nimi skontaktować?

Matt głośno wypuścił powietrze przez nos.

- Anathemata mieli historyczne powiązania z Fundacją Badań Biblijnych Douglasa Ignatieffa w Woolwich - oznajmił. - Mówię historyczne, bo od bardzo dawna nikt z tego zakonu niczego nie opublikował ani nie brał udziału w debatach religijnych. Bardzo wątpię, by powiązania te nadal istniały.

- Ale czy jest tam ktoś, kto...?

Urwałem nagle, bo mózg w końcu skojarzył, co widzą oczy. Odchyliłem się w prawo, by lepiej przyjrzeć się telewizorowi na ścianie za bratem. Pokazywał sceny chaosu na nocnych ulicach miasta: biegających ludzi, żółty blask odległych płomieni, a na pierwszym planie narożnik jakiegoś budynku - jedną ścianę z czerwonej cegły, drugą ze szkła, z wielką dziurą pośrodku, szczyzącą się niczym zębata paszcza. Trzymana w ręku kamera podskakiwała, oświetlenie było kiepskie, wyglądało to jednak na jakiś biurowiec - niski, jedynie trzy piętra nad poziomem sklepów.

- Zaczekaj. - Wstałem i podszedłem do odbiornika. - Mógłby pan zgłosić?! - zawołałem do kelnera. Obraz nadal był mętny i niewyraźny, ale bez trudu odczytałem napis na pasku biegnącym dołem ekranu: Oblężenie White City.

- Wyłączamy dźwięk, żeby nie przeszkadzać klientom - oznajmił z lekkim oburzeniem kelner.

- Tak, wiem. Tylko na chwilę. To ważne.

Jeszcze moment opierał się, ale ja wpatrywałem się w niego nieugięcie i w końcu się złamał. Znalazł gdzieś pilota i wycelował w telewizor: cichy szept stał się ledwie słyszalnym mamrotaniem:

- ...obawiają się, że nie żyją, choć w tej chwili największe niebezpieczeństwo grozi zakładnikom. Policja otoczyła dzielnicę handlową Whiteleaf i zamknęła Bloemfontein Road od strony północnej i południowej. Obecnie czekają na przedstawienie żądań. Ponieważ jednak nie wiedzą nawet z kim mają do czynienia, czy zamachowcy kierują się motywami politycznymi, czy też zupełnie innymi, jest za wcześnie, by stwierdzić, czy możemy oczekiwać...

Resztę straciłem, bo nagle zobaczyłem coś, co już wcześniej zdawało mi się, że widzę: bladą, znajomą twarz w poszarpanej dziurze w szybie, wychylającą się z anonimowego, pogrążonego w mroku pomieszczenia. Za nią dwie kolejne męskie twarze i rękę trzymającą coś, co wyglądało jak kuchenny nóż.

To była Susan Book, zakrystianka z kościoła Świętego Michała.

Obróciłem się do Matta.

- Potrzebny mi wóz - oznajmiłem. - Przyjechałeś może swoim?

Ku memu zdumieniu sięgnął do kieszeni i wręczył mi kluczyki. Widział moją twarz, gdy patrzyłem na ekran, i najwyraźniej nie miał żadnych pytań.

- To honda civic - rzekł. - Granatowa. Na Princes Avenue.

- Dzięki. - Pozdrowiłem go skinieniem głowy, wdzięczny, że nie marnuje czasu, domagając się wyjaśnień. - Za pożyczkę i za informacje. Mam przyprowadzić samochód tutaj czy...?

- W Hadley Wood jest zakon karmelitanek. Możesz go tam zostawić. Siostry mnie znają.

Przewidywalny dowcip co do biblijnego znaczenia tego słowa zamarł mi na ustach, gdy ujrzałem troskę i powagę na twarzy brata.

- Albo, jeśli będziesz musiał, zostaw go gdziekolwiek indziej - dodał. - Wyjaśnisz mi to później, Feliksie. Jeżeli zależy od tego coś ważnego, lepiej już idź.

Poszedłem.

10

Przejechałem Colney Hatch Lane, jakby ścigały mnie na motocyklach wszystkie moce piekieł. Skręciłem z piskiem opon w obwodnicę północną i przyspieszyłem do stu dwudziestu. Przejeżdżając obok Stangera, pomyślałem przelotnie o niewiarygodnej zmianie, jaka zaszła w Rafim.

Dlaczego teraz? Co się stało? Co ją spowodowało? Czy moce, które najwyraźniej wzbudziły w tak wielu przeciętnych londyńczykach morderczy szal, stanowiły jedynie połowę jakiejś kosmicznej huśtawki, która jednocześnie wydzwignęła Rafiego ku normalności? I czy wiązało się to jakoś z nagłym zainteresowaniem, jakie okazywała mi Anathemata? Łącznikiem był Peace. Szukałem go, oni także. Czy zatem śledzili mnie tylko po to, by do niego dotrzeć, czy też istniał inny powód, dla którego nie mogłem nawet splunąć, żeby na nich nie trafić? A zważywszy na to, co Matt mówił o ich stosunku do nieumarłych, czemu w ogóle powierzali ważne zadania gościom takim jak Po i Zucker?

Z powrotem skupiłem myśli na najbliższym zadaniu. Jednego byłem pewien: cokolwiek się działo w White City, musiałem zdobyć więcej informacji, nim w to wejść. W przeciwnym razie coś, o czym nie miałem pojęcia, mogło solidnie mi dokopać. Nie wiedziałem nawet, co zamierzam zrobić, gdy już tam dotrę; miałem jedynie przecucie, może wywołane widokiem Susan Book w samym środku tego oblędu, że w jakiś sposób wiąże się to z wydarzeniami opisanymi przez Nicky'ego - falą morderstw i chaosu, która przelała się przez zachodni Londyn w sobotnią noc. Ta część miasta stanowiła epicentrum czegoś naprawdę paskudnego, czegoś podziemnego, co tu i tam przebijało się na powierzchnię, już to jako morderstwo, już jako gwałt, a teraz zamieszki. Nie wierzyłem, by nie wiązały się ze sobą.

Jedną ręką włączyłem radio i po paru próbach na ślepo znalazłem przycisk strojenia. Moje uszy zalały fragmenty popu, reggae, dżingli reklamowych i urywki poważnych głosów BBC. Nagle uświadomiłem sobie, że nie wiem nawet, dokąd

właściwie jadę. Bloemfontein Road. W ogóle nie znam tej ulicy, lecz spiker wiadomości telewizyjnych mówił, że ma koniec północny i południowy, toteż zapewne mowa albo o zjeździe z Westway, albo z jednej z labiryntu ulic wokół stadionu. Pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że kiedy się zbliżę, znajdę drogę, podążając za łuną ognia i wyciem syren.

Z początku ruch nie był zbyt wielki i jechało mi się całkiem nieźle. Ale wiedziałem, że kiedy wjadę w Hanger Lane zrobi się gorzej. A poza tym istniała szybsza droga przez Willesden na Scrubs Lane. Skręcając w Harrow Road, uświadomiłem sobie, że jestem jakieś sto metrów od biura. Nie ma sprawy, Pen zawsze mi powtarza, że powinienem tam spędzać więcej czasu.

- ...Która bardzo szybko zamieniła się w oblężenie. - Wreszcie! Tak ton, jak i słowa świadczyły o tym, że znalazłem to czego szukałem. Przerwałem strojenie i zgłosiłem. Włączyłem także tylne wycieraczki i światła awaryjne, ale nie była to pora, by się przejmować detalami. Męski głos, poważny i uroczysty, lecz z odcieniem podniecenia, ryczał z głośników, a kiepski system nagłaśniający obdarzał go metalicznym pogłosem. - Uważa się, że w centrum handlowym mogło zostać jeszcze nawet dwadzieścia osób, ale nie mamy pojęcia, jak wiele z nich jest przetrzymywanych wbrew woli, ani nawet kim są napastnicy. Pożary w większości już ugaszono i pierwsze niebezpieczeństwo minęło, lecz grupa uzbrojonych mężczyzn i kobiet nie przedstawiła żądań i nie poinformowała o swych zamiarach. Wcześniejsze akty zniszczenia wydają się niemal przypadkowe i z tego, co słyszymy, w środku nadal do nich dochodzi. Zaledwie pięć minut temu przez okno niższego poziomu wyleciała maszyna do ćwiczeń i spadła na zaparkowany na ulicy radiowóz. Na szczęście nikomu nic się nie stało, ale sytuacja jest bardzo napięta i nie ma raczej szans na jej szybkie rozwiązanie.

Nagły brak gwaru ulicznego w tle dowodził wyraźnie, że wróciliśmy do studia, gdzie drugi głos, tym razem kobiecy, lecz przemawiający z równie podekscytowaną powagą, podjął historię - czy raczej porwał się na wyrafinowane wyżyny spekulacji i domysłów na temat komórek terrorystycznych i celów gospodarczych. Wyłączyłem się. Czuję, że tu nie chodzi o terroryzm, lecz o wykres Nicky'ego. Krzywa dzwonowa. I nie pytajcie, do kurwy nędzy, komu bije dzwon, bo z całą pewnością nie spodoba się wam odpowiedź.

Zadzwoiła komórka. Odebrałem, na wypadek gdyby to Pen chciała wiedzieć, gdzie się, do diabła, podziałem, ulatniając się w takim pośpiechu. Ale nie.

- Cześć - rzucił Nicky. - Złapałem cię w złym momencie?

Honda miała automatyczną skrzynię biegów - mogłem sobie poradzić jedną ręką, ale miałem dość na głowie i bez pogaduszek z Nickym.

- Tak - odparłem. - Mogę oddzwonić?

- Jasne. Oglądasz telewizję?

- Oglądałem. Teraz słucham radia.

- Ciekawe czasy nastały, co? Zadzwoń, kiedy będziesz miał chwilę. Ale pospiesz się. Musisz to usłyszeć. Chociaż nie, nie dzwoń, bo idę do Lodowni. Możemy się tam spotkać.

- W Peckham? Nicky, miałem ciężki dzień...

- Jasne. Zaczekaj do jutra. Twoja wola. Ale na twoim miejscu akurat to danie wolałbym zjeść na gorąco.

- Zobaczę, co da się zrobić.

Rzuciłem komórkę na siedzenie obok. Prawie dotarłem już do Westway, co oznaczało, że zbliżam się do centrum wydarzeń. Zwolniłem odrobinę, okrążając tunel, na wypadek gdybym natknął się na policyjne blokady.

Niczego nie zauważyłem, ale mijając stadion White City, dostrzegłem paręset metrów dalej błyskające światła radiowozów. No dobra, iks zapewne oznacza właściwe miejsce. Skręciłem w pierwszą ulicę w lewo, potem w prawo - mijając zamknięte przedszkole. Potężny blask moich reflektorów padł na opuszczone huśtawki i drabinki: w ostrym świetle wydawały się w niemal złowieszczy sposób oderwane od swych funkcji i bardziej przypominały wyposażenie izby tortur.

Usiłowałem wyliczyć w głowie odległości, lecz na długo przed dotarciem do następnego skrzyżowania zobaczyłem, gdzie dokładnie zmierzam. Przed sobą widziałem ścianę z czerwonej cegły, znaną z wiadomości telewizyjnych: wszelkie wątpliwości rozwiewała długa tablica, wisząca nad drogą, z napisem kursywą Centrum Handlowe Whitelife, ozdobionym licznymi zakrętami. Wokół niej snuły się ciężkie smugi dymu, rozplywające się niechętnie w nieruchomym wiosennym powietrzu.

Wyłączyłem światła i zjechałem na bok. Przedemną na ulicy roilo się od ludzi: gliniarzy w mundurach, ekip z karet, przechodniów, którzy zatrzymali się, patrząc na rozgrywający się przed nimi dramat. Szukałem sposobu podejścia nieco bliżej bez zwracania na siebie uwagi. Nie miałem żadnych dalszych planów, po prostu chciałem dostać się do budynku i zobaczyć na własne oczy, co się tam dzieje. Chciałem też

wyciągnąć stamtąd zakrystiankę Susan, nietkniętą, z całym kompletem wahań i wątpliwości. Całkiem skromny cel, pomyślałem. Resztą zajmie się policja; w końcu za to im płacą.

Ale tłum stanowił zbity klin, a nawet gdybym zdołał go wyminąć, wzdłuż fasady budynku ciągnął się policyjny kordon. Po prawej biegł wzdłuż ulicy i ginął mi z oczu - zapewne kończył się dopiero przy blokadzie na Westway. Z drugiej strony do ściany centrum podchodziły domy - ostatni stał przed nią pod ostrym kątem, jak ponton, który zderzył się z liniowcem oceanicznym i odbił na bok. Będę musiał spróbować gdzie indziej.

Ostatni dom dawał jednak pewne możliwości. Wąski ogród z boku sąsiedował z murem centrum handlowego. Wśliznąłem się przez bramę, starając się wyglądać jak właściciel, i pobiegłem truchtem na bok. Niskie ogrodzenie, które z łatwością dałoby się przekroczyć, kolejny pas ogrodu, wielce pomocnie zasłonięty przed domem, do którego należał, przez sznury pełne prania. Niestety, pomiędzy nimi stała przysadzista brunetka o groźnej, ostrej twarzy, najwyraźniej ewakuująca je w obliczu niebezpieczeństwa. Trzymała w ustach dwie czy trzy klamerki, lecz na mój widok otworzyła gębę i poleciały na ziemię. Jej wrzask zdumienia i protestu ścigał mnie wąskim trawnikiem do wysokiego ceglanego muru po drugiej stronie. Skoczyłem z rozbiegu i wspiąłem się na górę, używając łokci i stóp.

Odkryłem, że patrzę na parking służbowy, na którym stał jakiś tuzin ciężarówek pomalowanych na czerwono i srebrno. Ani śladu radiowozów ani terrorystów. Przed sobą widziałem wjazd dla wozów dostawczych, opuszczane drzwi z blachy falistej były zamknięte jedynie w trzech czwartych. Wyraźne zaproszenie dla złodzieja. Zeskoczyłem lekko na drugą stronę, wciąż słysząc za sobą wrzask kobiety.

- Był tu człowiek, Arthurze! Mężczyzna na podwórku.

- Jaki, kurna, człowiek? Nikogo nie widzę - odparł mężczyzna. Rozejrzałem się, sprawdzając, czy nikogo nie ma w pobliżu, po czym podszedłem szybko do drzwi. Stała przy nich ciężarówka z otwartą paką i opuszczoną rampą. Parę kroków dalej brązowe kartonowe pudełka z przewróconej palety rozsypały się po betonowym podejździe przed drzwiami. Ktokolwiek tu pracował, bardzo szybko odrzucił narzędzia: jeśli miał szczęście, może udało mu się uciec, kiedy doszło do zamieszek. Możliwe też, że znalazł się wśród zamkniętych w środku zakładników. Dopiero wtedy zastanowiłem się przelotnie, w co się, do diabła, pakuję. Uznałem jednak, że już za

późno na wątpliwości. Cała sztuka polega na tym, by w podobnych sprawach dać się ponieść fali pierwszych myśli.

Drzwi zapewne uniosłyby się, gdybym wsunął pod nie ręce i dźwignął, ale trudno było przewidzieć, ile by narobiły hałasu. Zamiast tego opadłem na czworaki i przeczołgałem się pod nimi.

Gdyby ktoś czekał po drugiej stronie, stanowiłbym łatwy cel, pełzną na czworakach i podnosząc się niezgrabnie. Trudno to nazwać fachową infiltracją. Lecz pomieszczenie, w którym się znalazłem, długie i wąskie, od podłogi po sufit pełne skrzyń i pudeł, było na szczęście wolne od krwiożerczych szaleńców uzbrojonych w połamane kawałki mebli. Chwilę stałem nieruchomo, nasłuchując, ale ciszy nie zakłócał żaden dźwięk. Najwyraźniej wydarzenia toczyły się gdzie indziej.

Kiedy jednak ruszyłem w głąb pomieszczenia, zacząłem uświadamiać sobie obecność całej gamy dźwięków, niemal na granicy słyszalności: głuchych łoskotów, stłumionych krzyków złagodzonych przez odległość tak, że kiedy zamknęło się oczy, można było niemal sobie wmówić, że słucha się meczu krykieta na wioskowym błoni.

Na końcu pomieszczenia nie było drzwi - jedynie kwadratowe przejście, wiodące do większego magazynu. Ostrożnie przesuwałem się naprzód, włoski na karku jeżyły mi się za każdym razem, gdy mijałem ciemniejsze przejście. Po drodze natknąłem się na szyb windy, dość wielkiej, by zabrać mnie i hondę civic, którą przyjechałem. Ale sama winda była gdzie indziej: drzwi otwierały się na pionowy szyb z szarych pustaków, nie widziałem jego dna. Szedłem dalej, aż w końcu para wahadłowych drzwi z gumowymi fartuchami wypuściła mnie na wykładany kafelkami korytarz. Plakaty na ścianie, reklamujące designerskie džinsy za pół ceny i trzysta darmowych minut z każdym nowym telefonem, świadczyły jasno, że nie jestem już za kulisami: znalazłem się w samym centrum handlowym.

Sądziłem, że korytarz zaprowadzi mnie do centralnej hali, lecz w jakiś sposób skręciłem i wylądowałem w ślepych zaułku, naprzeciw toalet i maszyny podającej głośno wagę klientów. Tu dźwięki były słabsze, lecz gdy zawróciłem, mój dodatkowy zmysł - ten, którego używam do celów zawodowych - oszalał. Coś nadchodziło korytarzem, podążając moim śladem, i nie potrzebowałem świerzbienia palców, by stwierdzić, że to jakiś potwór - stwór umarły, nieumarły bądź coś jeszcze gorszego. A cokolwiek to było, zmierzało wprost ku mnie. Po sekundzie dotrze do zakrętu i zobaczymy się nawzajem.

Ponieważ nie miałem dokąd pójść, cofnąłem się bezszelestnie, otworzyłem pchnięciem drzwi damskiej toalety i wśliznąłem się do środka. Jeśli stwór znalazł już mój ślad, z pewnością pójdzie za mną - ale teraz przynajmniej miałem parę sekund i mogłem godnie go powitać.

Mój srebrny sztylet jest niewiele większy od nożyka do owoców: podobnie jak kielich, noszę go głównie do celów rytualnych. Lecz w kieszeni wciąż miałem nóż upuszczony poprzedniej nocy przez *loup-garou*. Wyjąłem go i zsunąłem kartonik ze złowieszczego ostrej klingi. Potem zająłem pozycję za drzwiami i czekałem.

Na kaflach zadźwięczały głucho kroki, zbliżające się ku mnie. Nagle przystanąły. Zapadła cisza, ciągnąca się boleśnie: wyobraziłem sobie owego stwora, czymkolwiek był, stojącego w korytarzu po drugiej stronie drzwi i wyęzającego zmysły, gdy próbował zdecydować, czy kryje się za wejściem z kółeczkiem, czy za tym z trójkątem.

A potem drzwi się otwarły i spałem się do skoku, czekając na to, co zobaczę, kiedy znów się zatrzasną. Powstrzymało mnie tylko westchnienie, w którym dźwięczał zarówno odległy ból, jak i lekki zawód.

- Castor.

Zaskoczony opuściłem rękę z nożem. Juliet pchnęła lekko drzwi ku pozycji zamkniętej, patrząc na mnie spoza ich krawędzi. Pod sięgającym ziemi płaszczem z czarnej skóry była ubrana w krwistoczerwony jedwab: róża w dłoni w rękawiczce. W średniowiecznym Romansie o róży kwiatowe przenośnie pozwalały przemycić nieprzyzwoitą treść pod czujnym okiem Kościoła. Pomyślałem o otwierających się różach i musiałem pospieszyć zawrócić umysł ze ścieżek, które zabiorą zbyt wiele czasu i zanedbają moją równowagę.

- Tak myślałam - mruknęła.

Jak zawsze, gdy czuję się jak idiota, przeszedłem do ofensywy.

- Tak myślałaś? A co z twoim niezawodnym zmysłem powonienia? Powinnaś mnie zauważyć z odległości kilometra.

- Zbyt wiele różnych zapachów - wymamrotała Juliet, przymykając oczy i oddychając głęboko, jakby chciała podkreślić te słowa. - Coś jeszcze krąży po tym budynku, znacznie większego i bardziej cuchnącego od ciebie.

- Chyba powinienem to potraktować jak komplement.

- Potraktuj to jak chcesz.

Nagle uświadomiłem sobie, jak bardzo jest spięta - pod alabastrową skórą szyi wyraźnie widziałem mięśnie naciągnięte jak filigranowe postronki, a jej ciało zeszywniało w gotowości. Kiedy ostatnio widziałem ją w takim stanie, polowała na mnie; i choć nie wiedziałem, na co poluje teraz, pożałowałem zarówno tego, jak i każdego, kto stanie jej na drodze.

- Gdzie oni są? - spytałem. Zerknęła na mnie, jakby zaskoczona tym, że wciąż tam jestem. - Zakładnicy - wyjaśniłem. - I napastnicy?

Juliet zerknęła na sufit.

- Na górze - oznajmiła. - Niemal dokładnie nad nami.

- Jak zamierzasz to rozegrać? I co w ogóle tu robisz? Widziałaś Susan Book w wiadomościach telewizyjnych?

Pokręciła głową, na moment marszcząc brwi, jakbym oskarżył ją o coś niezbyt przyzwoitego.

- Nie - odparła z napięciem. - Ale gdyby nawet, stanowiłoby to jedynie dodatkowe potwierdzenie. To wszystko wiąże się z wydarzeniami w kościele Świętego Michała. Jestem tego pewna. Odbieram tutaj to samo uczucie co tam - zapach, który zniknął, gdy próbowałam się na nim skupić. To coś wyrwało się na swobodę. Jeśli się zbliżę, będę mogła stwierdzić, co to jest.

Z pewnymi kłopotami przetrwałem te słowa, ale nie zamierzałem się z nią spierać. Prowadzenie ważnych rozmów w toalecie to zdecydowanie dziewczynski pomysł.

- Posłuchaj - powiedziałem. - Nie mamy bladego pojęcia, co się tu dzieje... - Chciała mi przerwać, ale jej na to nie pozwoliłem. - Wiemy tylko, że jacyś ludzie na piętrze rozwalają miejsce, a inni im w tym przeszkadzają. Może masz rację, może coś nimi kieruje, może to jest to samo coś, co zagnieździło się w kościele. Tak czy inaczej, to już nie ma znaczenia. Teraz, gdy tu jesteśmy, najlepsze co możemy zrobić, to zabrać naszą małą koleżankę z linii ognia i wynosić się stąd, nim policja zacznie strzelać gazem łzawiącym.

Juliet pokręciła z irytacją głową.

- Mnie interesuje jedynie znalezienie tego, co mnie tu ściągnęło. Istoty, którą wywęszyłam. Jeśli chcesz, bardzo proszę, ratuj sobie Book. Osobiście nie widzę, po co nam ona.

- Ona cię kocha - oznajmiłem.

- Co?

- No, pożąda. Dostała sporą dawkę tego, co z siebie wydzielasz, a jako osoba pobożna i hetero, nie ma bladego pojęcia, jak sobie z tym poradzić. Chcesz powiedzieć, że nie zauważyłaś jak na ciebie patrzy?

- Wyłączam tę informację - odparła Juliet, sprawiała jednak wrażenie nieco poruszonej. - Nie domagasz cię chyba, żebym czuła, jak to wy nazywacie, wyrzuty sumienia?

- Nie. - Teraz to ja nie ukrywałem zniecierpliwienia. - Ale zastanów się. Może nie wplątała by się w to wszystko, gdyby nie włóczyła się zadurzona, fantazjując o tobie nieprzyzwoicie. Nie czułbym się dobrze, zostawiając ją tutaj.

- Jej emocje to nie twoja sprawa. Ani moja.

- Dobra. Nie proszę, żebyś czuła się winna. Po prostu mówię, że ja czuję się za nią nieco odpowiedzialny.

Juliet nie odpowiedziała, co niezbitie dowodziło, że dałem jej do myślenia. Bardzo poważnie traktuje kwestie bycia człowiekiem - bardzo wielu spraw nadal kompletnie nie pojmuje, ale zależy jej na właściwym dobraniu szczegółów, no i ma na to całą wieczność.

- Posłuchaj - dodałem. - Mam pomysł, dzięki któremu oboje możemy dostać to, po co przyszliśmy. Chodź, pokażę ci coś.

Minąłem ją, otworzyłem drzwi i wyszedłem z powrotem na korytarz. Podążyła za mną, gdy cofałem się do magazynu. Pokazałem otwarty szyb windy.

- Mnie się nie przyda - oznajmiłem. - Ale pomyślałem, że ty mogłabyś...

- Tak - odparła Juliet. - Mogłabym. Ale po co?

- Chcesz szukać swojego demona, a nie cały czas pilnować własnych pleców, na wypadek gdyby jeden z tych świrów wbił w nie nóż. Zwłaszcza że lada moment obłąkanie może zamienić się w strzelaninę. Logika nakazuje zatem najpierw posprzątać, a potem szukać.

- Po prostu powiedz, czego ode mnie chcesz, Castor.

- Ty pójdziesz górą, a ja doliną. Podczas gdy tamci skupią się na mnie, zakradniesz się na ich tyły i wyeliminujesz gości z właściwym sobie połączeniem brutalności i elegancji. Potem rozejrzemy się i zobaczymy, co znajdziemy.

Muszę przyznać, że zaimponowałem sam sobie - mój głos nawet na moment nie zadrżał. Można by pomyśleć, że co dzień miałem do czynienia z zamieszkami i bandami szaleńców, choć w istocie od czasów studenckich zerwałem już z tym nałogiem.

Spodziewałem się większego sprzeciwu, Juliet jednak machnęła tylko ręką na znak, że ma dosyć tej dyskusji. Zdjęła płaszcz, pozwalając, by osunął się na ziemię. Otwierająca się róża.

- Dobra - rzuciła. - Wdrapię się szybem windy. A ty...?

- Pojadę schodami. Chcę zajrzeć do Bossa.

Nim zdążyła zmienić zdanie, odszedłem, wciąż próbując nie myśleć o różach.

Drugi koniec korytarza wychodził wprost na główne przejście, wyglądające, jakby uderzył w nie huragan akurat w chwili, gdy próbowało pozbierać się po trzęsieniu ziemi. Podłogę zaściewał dywan szklanych odłamków z witryn, na których manekiny leżały porozrzucane niczym statysci zajmujący miejsca dla nieboszczyków. Ktoś nadepnął na głowę jednego z nich, miażdżąc ją na drobniutkie odłamki - z jakiejś przyczyny pomyślałem o porcelanowej lalce Abbie i zadrzałem, tknięty przecuciem. Wieszaki z sukienkami, użyte jako tarany, wystawały do połowy z okien, którymi je stłuczono, a pod jedną ze ścian, ze strzaskanej kasy sączyły się miedziaki, niczym zakrzepła krew. Nie wyglądało to na ślady plądrowania, i to nie dlatego że napastnicy okazywali szacunek placówkom handlowym - wśród śmieci pod stopami dostrzegłem zegarki i błyszczące złote bransolety z wieszaka u jubilera, nad którym zdążyłem już przeskoczyć. W pewnym momencie czysta radość niszczenia przewyciężyła wszelkie, bardziej przyziemne odruchy. To powiedziało mi co nieco na temat tego, z czym miałem do czynienia - w tym momencie było to więcej, niż chciałem wiedzieć.

Schody ruchome znajdowały się na samym środku głównego patio, co oznaczało, że podchodząc do nich, miałem dość czasu, by się przyjrzeć galeriom na pierwszym i drugim piętrze. Pierwsze piętro wyglądało na bezludne, lecz na najwyższym trzej mężczyźni szamotali się z czwartym. Z początku wziąłem to za dobroduszną przepychankę, potem jednak uświadomiłem sobie, że źle zinterpretowałem informacje: miłe wrażenie wzięło się stąd, że trzej z nich się śmiali. Czwarty nie wydawał z siebie żadnych dźwięków, ponieważ go zakneblowali, a potem zarzucili mu na szyję stryczek. Teraz przywiązywali drugi koniec liny do poręczy: nietrudno było zgadnąć, co planują.

No dobra, najwyższy czas zrobić wejście. Wszedłem na schody, które się nie ruszały, i uniosłem do ust flet. Wspinając się powoli i niemal potykając z powodu nierównych stopni, zagrałem piskliwy ton, przypominający zawodzenie wytęsknionych dud. Centrum miało całkiem niezłą akustykę, przynajmniej teraz, gdy

było względnie puste. Na górze wariaci porzucili swą rozrywkę, rozglądając się i szukając wzrokiem kogoś, kto morduje kota.

Rozłączyli się i wstali, pozwalając mi lepiej im się przyjrzeć, wyglądali przerażająco zwyczajnie: jeden w bardzo średnim wieku, w okularach i z łysiną, ubrany w koszulę i spodnie od garnituru. Pozostali dwaj znacznie młodszy - jeden na oko student - w swobodniejszych strojach. Trudno sobie wyobrazić, by razem dokonali morderstwa. Trudno sobie nawet wyobrazić, by stali razem w tej samej kolejce do autobusu.

Ale nie był to najszcześniejszy moment na rozważania, jak się spotkali i odkryli wspólne zainteresowanie śmiercią przez powieszenie. Nie, nadeszła pora przedstawienia. Teatr odgrywał tu kluczową rolę: chciałem, by patrzyli na mnie, a nie zajęli się z powrotem przerwana zabawą. Zacząłem szurać stopami na każdym stopniu w stylu irlandzkiego Riverdance, uzyskując rytm przeplatający się z piskliwymi tonami fletu. Lewa stopa, potem prawa, unosiłem przy tym wysoko kolana i kołysałem tułowiem z boku na bok jak oszalały zaklinacz węży, próbujący robić to sam po tym, jak rzuciła go kobra.

Wszystko to w sumie dało oczekiwany efekt: trzech mężczyźni porzucili związaną ofiarę i zebrawi się przy balustradzie, patrząc jak idę ku nim. Potem za nimi pojawiło się mnóstwo twarzy, mężczyzn i kobiet napierających na poręcz z najróżniejszymi minami: wyrażającymi strach, zapał i niezrozumienie. Wcześniej ich nie widziałem, bo stali nieco dalej na górnym poziomie, zapewne tworząc ciasny, skupiony tłumek.

Po plecach przebiegł mi dreszcz. W jakiś sposób niedoszła egzekucja wydała mi się nieskończenie gorsza po tym, jak odkryłem, że miałyby widownię. Gdybym wcześniej żywił jakiegokolwiek wątpliwości, czy jestem w Kansas, czy w radosnej krainie Oz, teraz już je porzuciłem - cokolwiek się tu działo, nie było naturalne.

Zszedłem z pierwszych schodów, obróciłem się i przeciąłem krótki, wyłożony terakotą podest, dzielący mnie od drugich. Oznaczało to odwrócenie się plecami do świrów, co zupełnie mi się nie podobało, ale miało też plusy: drugie schody doprowadzą mnie na przeciwległy koniec górnej galerii, daleko od tamtych. Coś dużego i ciężkiego rąbnęło o ziemię tuż przede mną, zasypując mnie odłamkami szkła i plastiku. Był to jakiś sprzęt grający bez głośników, na jednym z kawałków obok stopy dostrzegłem napis „Olu”, fragment loga Bang & Olufsen: nieczęsto widuje się podobne pociski. Przekroczyłem go i szedłem dalej.

Z galerii na górze dobiegały teraz wrzaski i gwizdy, którym towarzyszył deszcz mniejszych przedmiotów. Nie uznałem za stosowne pokazać po sobie, że w ogóle go zauważam. Jeden z nich trafił mnie w plecy, ale nie był ostry ani dość ciężki, by złamać kość. Może zafalshowałem, lecz w końcu nie grałem Dziewiątej Symfonii Beethovena. To był tylko hałas, wystarczająco głośny i przenikliwy, by nie dało się go zignorować.

Kiedy zacząłem wspinaczkę na górny poziom, szaleńcy puścili się biegiem na spotkanie. Było to dobre o tyle, że odciągało ich od faceta, którego chcieli zabić, ale i złe, bo nadal nie widziałem ani śladu Juliet, a szczerze wątpiłem, by pędzili ku mnie po to, by zdobyć mój autograf. Dotarłem na górę w chwili, gdy pokonali ostatni zakręt i runęli ku mnie ścianą. Próbowałem przełknąć ślinę, lecz odkryłem, że w ustach mi zaschło: oto chwila prawdy, ja zaś zazwyczaj preferuję eleganckie matactwa. Raz jeszcze powiodłem tęsknym wzrokiem po galerii, w nadziei że moja seksowna, demoniczna kawaleria pojawi się w ostatniej chwili. Nic z tego. Zmełłem więc w ustach przekleństwo, wsunąłem flet do wewnętrznej kieszeni, żeby nie ucierpiał, i zacisnąłem pięści, szykując się do zderzenia.

Pierwszym z napastników okazała się kobieta, odziana w biurowy, pastelowy kostium i buty na słupku. Jedynym elementem psującym wrażenie był rozdwojony młotek, którym wymachiwała nad głową. Uskoczyłem niezgrabnie w bok, kiedy opadł. A potem, ponieważ włożyła w to całą swoją siłę, zginając się wół, by cios był jeszcze mocniejszy, zdołałem uderzyć ją w tył głowy. Runęła ciężko na ziemię, młotek poleciał na kafle. Nie czułem się z tego powodu szczególnie dobrze, ale to nie był czas na rycerskość.

W istocie nadszedł zapewne czas na ucieczkę, ale nie zachwyciła mnie perspektywa ścigania i zdeptania. W chwili, gdy dwóch rosłych facetów skoczyło na mnie jednocześnie, zanurkowałem i przykucnąłem. Siła rozpędu poniosła jednego z nich obok, a drugiego nad moją głową, w niezgrabnym salcie.

To tyle, jeśli chodzi o taktykę. Mnóstwo rąk złapało mnie jednocześnie, mnóstwo pięści zaczęło tłuc po ramionach i karku. Podniesiono mnie z ziemi, a potem znów powalono, kiedy świry zaczęły się przepychać, próbując dopaść chociaż część mnie.

W tym momencie witryna za nimi - jedna z nielicznych wciąż nietkniętych - eksplodowała na zewnątrz w błyskawicznie otwierającym się kwiecie szklanych odłamków, z którego jakimś cudem narodziła się Juliet. Zanurkowała przez okno,

obróciła się w powietrzu i wylądowała na nogach, ledwie uginając kolana. A potem, po wspnianym wejściu, ruszyła naprzód, idealnie opanowana; szklane odłamki ściekały z niej jak woda.

Banda świrów odwróciła się na ten dźwięk, na chwilę zapominając o ataku na mnie i przez moment próbując zrozumieć, co się stało. A potem przez kolejny moment wszyscy wpatrywali się w Juliet, uderzeni jej przerażająco idealną urodą.

Najbliższy facet zamachnął się metalowym prętem, celując w jej głowę. Nie był to zbyt gruby pręt, wyglądał na oderwany od stojaka na ubrania i pewnie pusty w środku, możliwe zatem, że tak czy inaczej nic by Juliet nie zrobił. Ona jednak nie czekała na cios - uskoczyła wdzięcznie, chwyciła faceta za rękę w przegubie i łokciu i przerzuciła sobie przez ramię, ciskając prosto w witrynę, którą właśnie rozbiła. Kolejnemu udało się wyprowadzić cios gołą pięścią w bok jej szczęki. Przyjęła go bez słowa i odpowiedziała kopniakiem w brzuch, po którym facet zgiął się wpół, z nieprzyjemnym, bulgotliwym jękiem.

Nie zwalniając kroku, weszła w sam środek grupy, niczym kotka w stado pokręconych gołębi. Napastnicy zacieśnili wokół niej pierścień, unosząc ręce i broń, co jedynie dowodziło, że nie obserwowali uważnie, jak przelatowała przez witrynę. Trzeba wiele, by zranić Juliet, i znacznie, znacznie więcej, by ją powstrzymać. Uszy wypełniały mi odgłosy uderzeń, urywane sapnięcia i pomruki, a potem głuchy łoskot padających ciał, gdy ludzie wokół niej zaczęli ślać się jak ścięte kłosa.

Wszystko to miało w sobie coś fascynująco hipnotycznego, sprawiającego, że trudno było odwrócić wzrok. Ponieważ jednak znalazłem się poza centrum uwagi, uznałem, że lepiej będzie, gdy bardziej produktywnie wykorzystam dany mi czas. Odwróciwszy się plecami do sceny szybko słabnącej przemocy, pobiegłem wzdłuż galerii do miejsca, które zamieniono w prowizoryczną szubienicę. Niedoszły kandydat na wisielca leżał na brzuchu na podłodze, z ciasno związanymi rękami i nogami; przez więzy dodatkowo przeciągnięto sznur, co sprawiało, że nogi wygięły się do tyłu, a stopy sterczały w powietrzu. Przeciąłem go nożem *loup-garou*, lecz klinga była zbyt ostra, by ryzykować manipulowanie przy przegubach i kostkach. Przewróciłem mężczyznę na wznak i wyciągnąłem z ust knebel. Gość był blady i zlany potem, ciemne włosy lepiły się do czaszki, wybałuszone oczy wychodziły z orbit. Fakt, że na szyi wciąż miał krawat, uderzył mnie jako pikantnie groteskowy - kto wybiera się na zamieszki w krawacie?

- Zakładnicy - rzuciłem. - Gdzie są?

Splunął mi w twarz.

- Ty pierdzielony chuju! - wrzasnął. - Szatan rozpruje ci gardło, ty zdegenerowany skurwielu! Wsadzi ci pięść w...

Takie tyrady brzmią lepiej w wersji skróconej. Wepchnąłem knebel z powrotem na miejsce i starłem z twarzy ślinę, podczas gdy on patrzył na mnie wściekle i coś mruczał.

- Nie na pierwszej randce, koleś - odparłem.

Zakładnicy, zakładnicy... Kto ma zakładników? Rozejrzałem się w poszukiwaniu natchnienia. Materiał z wiadomości nakręcono od frontu budynku, na ulicy. Tam właśnie zobaczyłem twarz Susan Book, wyglądającej przez wybite okno. Próbowałem zorientować się gdzie jestem, przypomnieć, z której strony przyszedłem i dokąd biegnie główna alejka centrum. Wyglądało na to, że front powinien znaleźć się po mojej lewej, tam gdzie duże, czerwone drukowane litery głosiły światu wiadomość: „T.K. Maxx”.

- Dokąd teraz? - spytała Juliet, pojawiając się bezszelestnie i niepokojąco tuż za mną.

Wstałem i wskazałem ręką. Ruszyła przez galerię i weszła do sklepu. Raz jeden obejrzałem się za siebie, na scenę wcześniejszej walki: podłogę zaścielały ciała, nikt nie utrzymał się na nogach.

Podbiegłem, by ją dogonić.

- Zabiłaś kogoś? - spytałem ostro.

- Nie. Jedna może zginąć od ran. Jej towarzysz rozciął jej gardło i ramię nożem, próbując się do mnie przebić. Reszta przeżyje.

- Dzięki za to Bogu - odparłem cierpko. - Myślałem, że po prostu podkreścisz ogień pod ich libido i roztopisz mózgi na papkę. To było nieco bardziej... bezpośrednio, niż oczekiwałem.

- Próbowałam - warknęła Juliet. - Powinni być niezdolni do jakiegokolwiek agresji, gdy tylko mnie ujrzeni. Powinni być niezdolni do wszystkiego, prócz mimowolnego orgazmu.

- Ach. W takim razie co poszło nie tak?

- Może tracę wyczucie?

O nie. Nawet na nią nie patrząc, czułem, jak jej zmysłowość zalewa mnie niczym ciepła, pieszcząca fala. I z własnego, bolesnego doświadczenia wiedziałem, jak silny jest prąd w tych wodach. Ale chyba oboje znaleźliśmy odpowiedź: otaczały nas

demoniczne miazmaty, czułem to od chwili wejścia na najwyższy poziom. Ci biedni frajerzy byli opętani.

Ponieważ nie musieliśmy już omawiać taktyki, oboje się zamknęliśmy. Maszerowaliśmy przez sklep, w którym panowała niesamowita cisza, przerywana jedynie żalobnymi echemi policyjnych syren na ulicy; odgłos naszych kroków bardzo skutecznie tłumili ciuchy, pościągane z wieszaków i rozrzucone na ziemi. Żaden z wieszaków czy regałów nie miał więcej niż metr wysokości, toteż widzieliśmy doskonale wielką, otwartą galerię. Lecz sklep przed nami urządzono na planie litery L i nie mogliśmy zajrzeć na koniec, dopóki do niego nie dotarliśmy. Nie próbowaliśmy się skradać - Juliet raczej rzadko to robi - ale nie chcieliśmy, by odgłosy naszej rozmowy zagłuszyły jakiegokolwiek ostrzeżenie przed możliwą zasadzką.

Skrećwszy za róg, trafiliśmy w sam środek imprezy. Ściana przed nami stanowiła fasadę centrum handlowego - okna od sufitu do podłogi i poszarpana dziura pośrodku, którą oglądałem z drugiej strony w wiadomościach i przez którą do środka wlewała się noc. Po obu stronach trzech, czterech mężczyzn klęczało nisko bądź przywarło do ściany, wyglądając na kordon w dole, jakby nigdy nie słyszeli o policyjnych snajperach. Nieco dalej od nas mieściła się niewielka, kolista niecka, tuż nad ziemią otoczona niskimi lustrami, najwyraźniej przeznaczonymi do mierzenia butów. W tym ciasnym amfiteatrze kolejni dwaj mężczyźni, jeden uzbrojony w kij bejsbolowy, pilnowali niewielkiej, przerażonej grupki, zapewne niewinnych klientów, którzy wybrali się na zakupy. To wszystko - i szanse wyglądałyby całkiem nieźle, gdyby nie fakt, że jeden z gości przy oknie miał karabin. Długowłosy brodac, kiedy obrócił się i odbezpieczył karabin, wprowadzając pierwszy pocisk do lufy, wyglądał jak ktoś, kto omyłkowo zszedł z planu *Dostawy* i trafił do odcinka mydlanki.

Wszystkie głowy zwróciły się ku nam, wśród zakładników dostrzegłem Susan Book. Ujrzałem też mężczyznę, leżącego bezwładnie na ziemi, z krwawą dziurą w miejscu twarzy. Susan siedziała obok nieszczęśnika. Na mój widok jej oczy rozszerzyły się, otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć.

Ja jednak odezwałem się pierwszy.

- Hej, chłopaki - rzuciłem. - Widziałem was w wiadomościach. Gdzie możemy się zapisać?

Cały czas szliśmy naprzód, teraz jednak facet z karabinem wycelował w nas broń.

- Nie możecie - warknął zimno. - Dołączcie do tych dupków i zamknijcie jadaczki.

Szliśmy dalej.

- Co to za broń? - wymamrotała do mnie Juliet.

- Karabinek sportowy - odwarknąłem. Zabrzmiało to znacznie pewniej niż moja faktyczna wiedza. - Półautomatyczny, co oznacza jeden pocisk na raz.

Tak po prawdzie ni cholery nie znam się na broni, mimo że przemieszkalem rok z uroczą dziewczyną, która subskrybowała pismo „Arms and Ammo”. Ale ta spluwa była superbajerancka, z ciemnoczerwonego drewna, z eleganckimi krzywiznami. Żadnej tak wybajerzonej broni nie zaprasza się do prawdziwej walki. Poza tym jej magazynek miał rozmiar telefonu komórkowego. Po ustawieniu na automat pociski skończyłyby się, nim strzelający krzyknąłby „Zdychaj, sku...”. Z drugiej strony, i zakładając, że gość miał pewną rękę, to wystarczyłoby do solidnego przewentylowania mnie i Juliet. Juliet zapewne by przeżyła, chyba że użyłby srebrnych pocisków. Co do mnie, miałem nieco mniejsze szanse.

Na szczęście ci faceci nie śpiewali z tych samych nut. Trzej inni, uzbrojeni w zaimprovizowane pałki i maczugi, wybrali sobie właśnie tę chwilę, by nas zaatakować, przy okazji uczynnie zasłaniając pole strzału koledze. Juliet przyspieszyła, by pierwsi dotarli do niej. Dwóch wyeliminowała uderzeniami, które chętnie nazwę chirurgicznymi, bo po większości zabiegów chirurgicznych pacjent jakiś czas nie jest w stanie chodzić, a czasem pozbywa się też paru części ciała.

Trzeciego udało mi się powalić szczupakiem: zważywszy na okoliczności, i tak miał największe szczęście. Razem runęliśmy na ziemię, ale ja byłem na górze, i choć zamachnął się na mnie kawałkiem poszarpanego metalu służącym mu za nóż, cios łokciem w twarz sprawił, że chybił, a jego głowa rąbnęła ciężko o podłogę. Wciąż jednak się ruszał, a gdyby przypadkiem trafił, pewnie wykrwawiłbym się na podłogę, toteż kopnąłem go kolanem między nogi i moja wersja świadomego ojcostwa zadziałała błyskawicznie i morderczo. Pozostawiwszy go skulonego z bólu, podniosłem się w chwili, gdy karabin wystrzelił.

Oczywiście nie celował we mnie. Facet może był świrem, ale jedynie kompletny debil celowałby w cokolwiek innego, kiedy Juliet zmierzała ku niemu z mordem wypisanym na twarzy. Plecy jej marynarki pękły na poziomie piersi, gdy pocisk przebił ciało na wylot; moją twarz i tułów zwilżyła gęsta, czerwona mżawka.

Karabinek faktycznie był półautomatyczny - musiał, bo facet wystrzelił po raz drugi w chwili, gdy Juliet wyrzuciła go kopniakiem za okno. Poleciał z krzykiem, w którym brzmiała jedynie wściekłość. Gdy wylądował na ziemi, usłyszałem głuchy łoskot.

- Juliet! - krzyknąłem. - Do kurwy nędzy, oni są opętani! Ktoś nimi kieruje!

Jakby mnie nie słyszała. Odwróciła się na lekko ugiętych kolanach, poruszając się zbyt wolno w chwili, gdy dwaj faceci dotąd strzegący zakładników zaatakowali z boku.

Jeden miał nóż i ciał ją w brzuch. Drugi zamachnął się bejsbolem, trafiając Juliet prosto w twarz. Zachwiała się od ciosu, po czym jej lewa ręka wystrzeliła naprzód, a kciuk i palec środkowy wbiły się w oczy drugiego napastnika.

Pozostał jeszcze nożownik. Gdy uniósł rękę do drugiego ciosu, w końcu z opóźnieniem zmusiłem się do działania. Skoczyłem wprost na rękę z nożem, chwytając ją oburącz i z brutalną, rozpaczliwą siłą wykręcając za plecy. Upuścił broń, a Juliet, obejrawszy się przez ramię i jakby zauważywszy go po raz pierwszy, walnęła go pięścią hakiem, który o mało nie urwał mu głowy. Osunął się między nami na ziemię, nieprzytomny.

- Nic ci nie jest? - spytałem Juliet.

Moja pierś unosiła się i opadała ciężko, z trudem chwytalem powietrze. Walczyłem z mdłościami, które się pojawiły, gdy adrenalina w moim żołądku skwaśniała.

- W porządku - wymamrotała, lecz w jej głosie usłyszałem bulgotliwy poświst, który śmiertelnie mnie przeraził.

Zgarbiona, przyglądała się krwawej miazdze pośrodku koszuli, jej stopy cały czas się poruszały, jakby miała problem z utrzymaniem równowagi.

Wniosek nasunął się sam. Całe pokolenie przedsiębiorców zbijało pierwsze majątki, wykorzystując strach żywych przed żywymi trupami. Srebrzona amunicja stanowiła tylko jeden z owoców owej mody.

- Juliet, czy kula była...

Ledwie usłyszałem jej odpowiedź.

- Posrebrzana. Tak. Ale przebiła mi tylko płuco. Chyba dam sobie... radę... z... - Jej głos ucichł, ale nie upadła. Całą uwagę skierowała do wewnątrz i gdziekolwiek teraz była, wiedziałem, że jakiś czas pozostanie nieświadoma otoczenia.

Z ulicy dobiegały wykrzykiwane rozkazy i wycie syreny. Policjanci nie zamierzali czekać z atakiem - nie, kiedy przez okna zaczęły wypadać ciała.

Odwrociłem się, patrząc na zakładników. Susan Book szła ku mnie, pozostali nadal kulili się pod ścianą; część dzieci płakała i zawodziła, nikt nie śmiał się poruszyć. Otworzyłem usta, by coś powiedzieć, pewnie coś w stylu: jesteście już bezpieczni. Ręka Susan wystrzeliła naprzód, a gdy odruchowo odparowałem cios, coś czerwonego wypadło z jej palców, odbijając mi się od piersi i lądując na podłodze u moich stóp. Nie zauważyłem, nawet kiedy uniosła drugą rękę, a paznokcie boleśnie rozdarły mi policzek. Cofnąłem się chwiejnie, ogłuszony i zdumiony. Skoczyła za mną, drapiąc, tłukąc pięściami i obsypując mnie wyzwiskami, głównie tymi samymi, jakie usłyszałem od niedoszłego wisielca na zewnątrz, koncentrującymi się wokół moich kontaktów seksualnych z rodzicami i fiutów, które będę obciążał w piekle. Zupełnie jakby zaraził ich ten sam wirus.

Powstrzymałem szaleńcze, nieskoordynowane ataki Susan, wykorzystując mój większy wzrost i długość rąk. Nie chciałem jej zrobić krzywdy, toteż cofałem się cały czas, powtarzając jej imię i próbując obudzić z transu, w którym się pogrążyła. Potem natrafiłem plecami na półkę i musiałem się zatrzymać, co oznaczało, że w końcu zdołała podejść bliżej. Pozbawiony innych opcji, odtrąciłem jej zakrzywione dłonie i uderzyłem mocno pięścią w szczękę. Poleciała do tyłu i usłyszałem niepokojący trzask, gdy uderzyła głową o posadzkę.

Chwilę później uszy wypełnił mi huk wybuchu, kolejne okno eksplodowało, gdy coś twardego i metalicznego przebiło je łukiem, wirując w powietrzu i ciągnąc za sobą smugę pierzastego dymu. W chwili gdy wylądowało i zaczęło odbijać się od podłogi, popękały kolejne okna, krzyki zakładników zagłuszyły wszystkie dźwięki - nawet syk granatów z gazem łzawiącym, wypuszczających niezwykle demokratyczną zawartość.

Cofnąłem się chwiejnie w miejsce, gdzie stała Juliet, i niemal upadłem, natrafiając stopą na coś gładkiego i twardego. Zerknąłem w dół: to był scyzoryk „Victorinox”, z rozłożonymi na obu końcach wielofunkcyjnymi ostrzami. Broń Susan: o mało nie odkorkowała mnie na śmierć.

Juliet klęczała nad ciałem jednego z powalonych przeciwników, przyciskając mu dłoń do piersi. Z początku sądziłem, że sprawdza puls, potem jednak uświadomiłem sobie, że przeszukuje mu kieszenie. Złapałem ją za rękę i uniosła głowę. Jej ciemne oczy spojrzały wprost w moje, do których zaczynały już napływać łzy, bo w całym sklepie unosiły się smużki gazu.

- Musimy się stąd wynosić! - wrzasnąłem, przekrzykując piskliwe krzyki. - To ma rozmiękczyć przeciwnika. Lada moment przypuszczą szturm.

Juliet wstała z trudem.

- Będę musiała się na tobie oprzeć - wychrypiała i o mało nie padła mi w ramiona, gdy poprowadziłem ją w stronę, z której przyszedliśmy.

Zakładnikom nic nie będzie, powtarzałem sobie. Owszem, odczują działanie gazu, ale za parę minut zjawi się policja i zamieszki dobiegną końca. W tej chwili nie mogliśmy dla nich zrobić niczego, z czym lepiej nie poradziliby sobie pogotowie.

Nie czułem się bynajmniej bohatersko, schodząc chwiejnie po zatrzymanych ruchomych schodach, z Juliet opartą o mnie ciężko, i słysząc szorstki gulgot jej oddechu. Miała rację, coś tu było i wiedziało o naszej obecności - jednym magicznym skinieniem niewidzialnych rąk zmieniało ofiary w napastników, chwyciło nas w dłonie i oplatało niczym duchowy koc z ospą, zakażający w chwili dotknięcia.

Teraz, gdy musiałem kierować dwiema osobami, wymijanie śmieci i odłamków na parterze było znacznie trudniejsze. Niedaleko korytarza z toaletami usłyszałem głośny trzask głównych drzwi daleko po lewej i chrzęst ciężkich buciorów na szklanych odłamkach. Przyspieszyłem nieco, ryzykując, że źle postawię nogę i oboje polecimy na twarz. Skręciliśmy w korytarz; odgłos kroków minął nas i zaczął się oddalać. W każdej chwili spodziewałem się, że usłyszę, jak ktoś krzyczy: „Ani kroku dalej! Odłóż sukuba, powoli!”.

Ale nie. Magazyn wciąż był pusty. Podprowadziłem Juliet na skraj platformy, posadziłem, potem zeskoczyłem na ziemię i ściągnąłem ją. O dziwo, mimo wszystkiego, co właśnie się zdarzyło, i mdlącej grozy pulsującej w czaszce, nadal reagowałem fizycznie na jej bliskość - wciąż oddychałem ciężko i czułem fiuta sztywniejącego w spodniach, kiedy wciągałem w płuca jej prymitywny zapach. Nie mogła wdrapać się na ogrodzenie, ledwie była w stanie chodzić. Ale na końcu podwórka była brama, nie zamknięta na klucz, lecz jedynie zaryglowana. Odsunąłem zasuwę i wyszliśmy, kuśtykając, wykończeni, zmarnowani i zbryzgani krwią, niczym ostatni uczestnicy tanecznego maratonu w piekle.

Po wyjściu na ulicę musiałem zwolnić. Było ciemno, toteż dopóki trzymaliśmy z dala od latarni, nikt raczej nie zauważyłby naszych ran i obrażeń, ale chwiejny krok musiał zwracać uwagę. Przyciągnąłem Juliet do siebie, próbując udawać, że jesteśmy kochankami odurzonymi własnymi hormonami. I tak - zanim spytacie - owszem, łatwo mi było to zagrać. Byłem boleśnie świadom każdego centymetra naszych stykających się ciał.

Ulica zataczała łuk i wychodziła na tę, na której zaparkowałem, dzięki czemu mogliśmy uniknąć tłumu gapiów. Teraz działo się znacznie więcej i nikt na nas nie zwracał uwagi. Policjanci odpychali ciekawskich, funkcjonariusze, z tarczami do rozpędzania zamieszek i w pancerzach, biegli przez drogę do frontowego wejścia centrum handlowego. Pochód zamykały załogi karet w białych fartuchach. Szturm zaczął się na dobre, wyszliśmy w ostatniej sekundzie.

Oparłem Juliet o samochód, żeby otworzyć drzwi od strony pasażera. Zaczynała dochodzić do siebie, a przynajmniej odzyskiwać choćby częściowo panowanie nad własnymi ruchami i zdołała bez zbytej pomocy usiąść w fotelu. Zamknąłem cicho drzwi, przeszedłem na moją stronę, wśliznąłem się do środka i zapaliłem silnik.

Ponieważ drogę przed nami zamykała blokada, musiałem zawrócić. Na szczęście, dalej działo się dość, by nikt nie zaszczycił nas nawet spojrzeniem. Pojechaliśmy z powrotem w stronę stadionu White City. Tam zatrzymałem się, bo ręce trzęsły mi się tak bardzo, że nie mogłem prowadzić.

Juliet oddychała płytko, lecz patrzyła na mnie i w jej wzroku dostrzegłem cień dawnej lodowatej arogancji.

Owo spojrzenie sprawiło, że większość możliwych słów uwięzła mi w gardle.

- Przykro mi, że cię w to wciągnąłem - rzekłem w końcu.

- Nie szkodzi - odparła. Wciąż miała zachrypnięty głos. - To było... ciekawe.

- Nie, naprawdę mi przykro, że tam byłaś. Zabiłaś człowieka, najpewniej oślepiłaś kolejnego. Gdybym wiedział, że spuścisz ze smyczy swego wewnętrznego demona...

Przerwała mi bezlitośnie.

- Jeden człowiek już nie żył. Jak myślisz, ilu jeszcze by zginęło, gdybym nie zaczęła działać?

- Nie możemy tego wiedzieć.

- Nie - zgodziła się, niemal ze wzgardą. - Nie możemy.

- Było warto? - spytałem. - Zorientowałaś się, z czym mamy do czynienia?

- O tak. A ty nie?

- Nie - przyznałem. - Choć... - Umilkłem.

W tym, jak mój szósty zmysł odbierał owo bezkształtne zło, kryło się coś znajomego, ale połączone z tak wieloma obcymi wrażeniami, że nie mogłem zbyt długo skupić myśli na znajomych elementach. Przypominało to nieco próby

połączenia kropek, wirujących każda osobno w kipieli. Nie dokończyłem zdania, w żaden sposób nie potrafiłem wyrazić tego, co czuję.

- Mów dalej - rzekłem. - Podaj cenę.

- Wkrótce - odparła Juliet. - Jeszcze nie teraz. I nie tutaj. - Zapadła długa cisza. Potem odwróciła się i spojrzała na mnie. - Castor... - W jej głosie słyszałem świst, sugerujący, że wciąż nie naprawiła uszkodzonego płuca.

- Co?

- To tak się ubierasz na kolację?

11

Przy Old Oak Common mieści się tajaska restauracja, w której jadałem już kilka razy. Idealne miejsce na przekąskę i koktajl po pracy - albo po przeprowadzeniu masowej egzekucji obłąkanych strzelców w zrujnowanym centrum handlowym - a ponieważ nie wymaga się w nim strojów wieczorowych, nikt się nie przejmie, jeśli nawet przestrelono ci pierś i wielka rana wylotowa kompletnie zepsuła linię marynarki.

Trzeba jednak uczciwie przyznać, że kiedy tam dotarliśmy, Juliet wyglądała niemal tak świeżo i pachnąco, jakby właśnie wyszła spod prysznic - którą to wizję musiałem przegnać natychmiast, nim moja wyobraźnia dała się jej ponieść. Krew, którą przesiąkła jej koszula, zniknęła, a linia sińców na szczęce zbladła niemal bez śladu. Widziałem kilka razy, jak Asmodeusz robił coś podobnego z ciałem Rafiego, uszkodzonym po którymś z ataków szau. Ale to było bardziej ekstremalne i znacznie szybsze - pewnie dlatego, że Rafi jest jednak zbudowany z prawdziwego ciała i krwi, a Juliet z... czegoś innego. Nigdy nie wiedziałem, jak zapytać, z czego.

Szef sali, którego opanowaniem zachwiała nieco spojrzenie ciemnych oczu Juliet, posadził nas przy oknie, bez wątpienia świadom tego, jaki efekt jej obecność wywrze na przechodniach. Gdy tylko odszedł, sięgnęła do kieszeni i wyjęła gruby plik papierów, które rozłożyła na stole między nami.

- Patterson, Alfred - odczytała, rozsuwając papiery w wachlarzyk. - Heffer, Laurence. Heffer, John. Johns, Kenneth. Montgomery, Lilly.

Był to plik fotokopii identycznego formatu. Na każdej w prawym górnym rogu widniało zdjęcie paszportowe, głównie mężczyzn, paru kobiet, tak przeciętnych, że aż banalnych. Twarze patrzyły na mnie z przerażeniem i powagą, jakich można oczekiwać od ludzi, których życia właśnie zboczyły gwałtownie na tory wiodące ku rozpacz i obłędowi.

- To raporty policyjne.

Juliet przytaknęła, zaglądając do karty.

- Jak je zdobyłaś?

- Pewien młody, miły konstabl z Oldfield Lane wydrukował je dla mnie.

Bardzo ostrożnie sformułowałem moje następne pytanie.

- Przekupiłaś go czy...?

- Pozwoliłam mu wziąć się za rękę.

Zjawił się kelner i stanął nad nami: jeszcze dzieciak o rudych włosach i pulchnych, piegowatych policzkach. Nie mógł oderwać oczu od Juliet. Oczywiście lepsi ode mnie potykali się na tej przeszkodzie. Uniosłem wzrok i postukałem w blat palcem. Po chwili chłopak odwrócił się z lekkim wysiłkiem, patrząc na mnie tak, jakby nie miał ochoty rejestrować mojej obecności.

- Czy mogę podać państwu jakieś drinki? - spytał sztucznie pogodnym tonem.

- Poproszę whisky - powiedziałem. - Albo burbona, jeśli macie.

- Mamy Jacka Danielsa i Blantona.

- Blantona. Dzięki. Z lodem.

- Krwawą Mary - rzekła przewidywalnie Juliet.

Kelner z trudem oderwał się od nas i odszedł, parę razy oglądając się na nią przez ramię, po czym zniknął nam z oczu.

Wróciłem do raportów. Niektóre z nich skojarzyły mi się mętnie z artykułami, jakie poprzedniego wieczoru widziałem w komputerze Nicky'ego. Alfreda Pattersona oskarżono o uduszenie zupełnie obcego człowieka jego własnym krawatem, w biurze przy Uxbridge Road, gdzie pracował. Dwóch Hefferów, ojciec i syn, najwyraźniej zgwałciło i zamordowało osiemdziesięcioletkę, po czym wrzuciło jej ciało do Regents Canal. Niektóre raporty były jednak nowsze. Lilly Montgomery aresztowano i oskarżono po rym, jak sąsiedzi wezwali policję do głośnej kłótni: funkcjonariusze zastali ją siedzącą na kanapie i spokojnie robiącą na drutach, obok martwego męża, który zadławił się własną krwią po tym, jak gardło przebiły mu pod różnymi kątami dwa ostre przedmioty. Z drutów Lilly kapła gęstniejąca krew na buciczki, które robiła dla swej siostrzenicy, Samanty (jedenaście miesięcy), ona jednak jakby niczego nie zauważała.

Było ich więcej. Co najmniej pół tuzina. Po jakimś czasie zacząłem jedynie przebiegać je wzrokiem, starannie unikając paskudnych, rozpaczliwych szczegółów w polu „opis zdarzenia”.

Kelner wrócił z drinkami. O mało nie wylał mi burbona na kolana, bo miał problem ze wzrokiem, co chwila powracającym do ciała i twarzy Juliet. Zamówiliśmy

jedzenie, był to jednak tryumf nadziei nad doświadczeniem: dzieciak niczego nie zapisywał, a jego umysł rejestrował wyłącznie łagodną stromizną piersi Juliet, widoczną przez rozdarcie koszuli.

Odszedł, znów podskakując, a ja pokręciłem głową.

- Nie mogłabyś mu odpuścić?

Z lekką urazą uniosła brew.

- Ma osiemnaście lat - rzekła. - Ja nic nie robię, to wszystko jest naturalne.

- Ach, tak. A może mogłabyś wrzucić bieg wsteczny czy coś w tym stylu? Oblać go psychiczną lodowatą wodą? Z całą pewnością poprawiłoby to obsługę.

- Wrzucić bieg wsteczny? - Głos Juliet ociekał sarkazmem. - Chcesz powiedzieć: tłumić pożądanie, zamiast je wzbudzać?

- Dokładnie to mam na myśli.

- To zostawiam tobie.

- Au. - Złożyłem palce prawej dłoni, udając pistolet, i strzeliłem sobie w serce. Ta brutalna bezpośredniość, którą błędnie można wziąć za sadyzm, jest jedną z rzeczy, które uwielbiam u Juliet. Stanowi znakomite antidotum na moją własną, romantyczną i ufną naturę.

Z powrotem skupiłem się na odbitkach, tym razem przeglądając je nieco dokładniej.

- Dobra - mruknąłem. - Rozumiem. Wszystkie są miejscowe, a szanse tak wielu aktów przemocy w tak niewielkim... - Urwałem, widząc, jak stanowczo kręci głową.

- W takim razie co?

- To.

Postukała w kartkę na spodzie, którą jakimś cudem przeoczyłem, miała bowiem inny format i wyglądała jak zwykły spis nazwisk. Założyłem chyba, że to indeks, ponieważ część nazwisk z raportów powtarzała się i tam. Teraz spojrzałem ponownie i bomba wybuchła. Gdyby burbon sam w sobie nie był już rozkosznie cierpki, zsiadłby mi się w żołądku.

Lista wypisana na ręcznej maszynie, z pomocą niewielkiego jeziora korektora, nosiła prosty nagłówek: Parafianie.

- Święci patroni - wymamrotałem.

- Nie, Castor. Nie święci. Właśnie w tym rzecz.

- Ci wszyscy ludzie chodzą do kościoła Świętego Michała.

Juliet skinęła głową.

- A teraz zamienili się w obłąkanych morderców.

- To kwestia semantyki.

- Czyżby?

- Nazywając coś obłędem, zakładasz, że stracili zdolność dokonywania osądów moralnych.

- Gwałty na emerytkach? Oczko, słupek, przebicie tchawicy? Co według ciebie stracili?

- Sumienie. Zło, które kryło się w nich już wcześniej, teraz dostało wolną rękę. Jakikolwiek pragnienia odczuwają, zaspokajają je w najprostszy i najbardziej bezpośredni sposób. Jeśli to jest pożądanie, gwałcą. Jeśli gniew, mordują. Jeśli chciwość, plądrują centrum handlowe.

- Sądysz zatem, że ci ludzie w Whitelife...?

- Ja nie sędzę. Sprawdziłam.

Juliet sięgnęła do tej samej kieszeni bez dna, wydobyła niewielki plik portfeli i portmonetek i wysypała na stół. Nagle przypomniałem sobie, jak klęczała obok jednego z powalonych napastników - sądziłem, że sprawdzała mu puls, a tymczasem najwyraźniej go obszukiwała.

- Jason Mills - odczytała. - Howard Loughbridge. Ellen Roederer.

Sprawdziłem listę, ale wiedziałem już, co tam znajdę.

- I Susan Book - dodałem, by pokazać, że nie zostaję w tyle.

- I Susan Book. Oczywiście.

Zjawiły się nasze dania. Kelner przeciągał cały proces ile tylko mógł, przyglądając się Juliet pod każdym możliwym, przyzwoitym kątem.

Opanowałem niecierpliwość, czekając aż odejdzie.

- Co zatem chcesz powiedzieć? - spytałem. - Wszyscy ci ludzie byli w kościele w sobotę, kiedy... Kiedy stało się to, co się stało? I to w jakiś sposób wyłączyło ich zahamowania? Wszystkie cywilizowane skrupuły? Zmieniło ich w marionetki reagujące jedynie na własne pragnienia?

Częstując się mee goreng, którego nie zamówiła, Juliet przytaknęła szybko.

- Są opętani - oznajmiła.

- Co, wszyscy?

- Wszyscy. Często czytujesz Biblię, Castor?

- Nie, kiedy jest coś ciekawego w telewizji.

- Komentarze i konkordancje? Egzegezy?

- Jak dotąd nigdy.

- A wiesz, jakie jest stanowisko żydów w kwestii Chrystusa?

Niecierpliwie wzruszyłem ramionami. Zupełnie nie miałem ochoty wysłuchiwać według mnie bardzo okrężnych analogii.

- Nie mam pojęcia - przyznałem. - Pewnie uważają, że zadał się z niewłaściwymi ludźmi.

- Chodzi mi o to, za kogo dokładnie go mają? Jaką istotę?

- Poddaję się, powiedz.

- Uważają, że był prorokiem, takim jak Eliasz czy Mojżesz. Ni mniej, ni więcej. Jednym z długiej serii. Kimś, kogo Bóg dotknął, kto mógł przemawiać z boską mocą, ale nie był boskim synem.

- No i?

- Lecz chrześcijanie uważają, że Chrystus miał w sobie Boga w innym sensie niż prorocy.

Zamiast zadać pytanie, pociągnąłem długi łyk whisky. Uznałem, że Juliet przejdzie do rzeczy bez mojej pomocy.

- Jako w niebie, tak i w piekle - oznajmiła. - Kiedy demony wdzierają się do ludzkich dusz, mogą to robić na wiele różnych sposobów.

Zapadła cisza, podczas której jadła z zapałem i niemal drapieżnym entuzjazmem. Potem starannie oblizwała kącik ust długim, giętkim, rozdwojonym językiem. Kiedy ujrzałem go po raz pierwszy, o mało nie narobiłem w gacie. Obecnie zastanawiam się głównie, co jeszcze umie nim zrobić oprócz higieny osobistej.

Juliet uniosła elegancką dłoń i zaczęła odliczać na palcach. Jej paznokcie połyskiwały miedzianoczerwonym lakierem - albo może tego wieczoru naprawdę były z miedzi.

- Po pierwsze i najłatwiejsze, mamy pełne opętanie, w którym duch ludzkiego nosiciela zostaje pokonany i pożarty, a ciało staje się jedynie naczyniem dla demona, tak długo, jak ten zechce go użyć. Zdarza się to częściej niż myślisz, lecz zazwyczaj jedynie za zgodą człowieka.

- Chcesz powiedzieć, że ludzie proszą, by pochłonięto ich dusze?

- W zasadzie tak. Zgadzą się na jakąś umowę. Przyjmują warunki, a te zakładają oddanie duszy. Oczywiście ludzie mogą nie rozumieć tego jak należy. Uważać, że to wieczne cierpienia w piekle, oderwanie od Boga, czy cokolwiek głosi obecna ortodoksja. Ale dla nas zawsze znaczy to tylko jedno: otwarty sezon łowiecki. Możemy ich pożreć.

Mimo że mam nie najślaby żołądek, obawiałem się, że stracę apetyt. Według mnie Juliet stanowczo za dobrze się bawiła.

- Kto ustala zasady? - spytałem ostro. - Otwarty sezon łowiecki sugeruje, że ktoś przydziela licencje. Czy to...?

- Są rzeczy, których nie jestem gotowa ci powiedzieć - przerwała, machając w powietrzu ręką jak ktoś odpychający aparaty paparazzich. - To jedna z nich. Ale jeśli zamierzałeś spytać, czy to Bóg, odpowiedź brzmi: nie. To bardziej... złożone.

- Złożone?

- Skomplikowane. Sprawy toczą się własnym rytmem. Przypadkowy układ terenu rodzi zasady walki. Lecz tak czy inaczej, to jedna z możliwych form opętania, najbardziej ekstremalna. Demon pożera ludzkiego gospodarza i żyje w jego skorupie.

- Dobra - ustąpiłem. - Mów dalej.

- Numer dwa to areszt domowy. Może się zdarzyć, że demon pokona duszę bez jej zgody i ją uwięzi. I znów, to pozwala mu korzystać z ciała gospodarza jak z własnego, lecz ludzka dusza nadal tkwi w środku i ogląda własne czyny, a nawet ich doświadcza, lecz jako pasażer, nie kierowca.

- Kurwa. - Odłożyłem pałeczki na pad thai.

To właśnie Asmodeusz zrobił Rafiemu: porwał autobus i kazał mu patrzeć, jak sam wyrusza na przejażdżkę, która dwa lata później wciąż trwała.

- Numer jeden i dwa mają wiele wspólnego - ciągnęła Juliet, nie zwracając uwagi na mój dyskomfort. - W obu demon dosłownie wdziera się do ludzkiego gospodarza. Istnieją jednak inne sposoby, dzięki którym demon i człowiek mogą się połączyć. Można by rzec, inne stopnie i odcienie. Drugie ekstremum to demon, który obdarowuje mężczyznę lub kobietę maleńką cząstką własnej esencji.

- Obdarowuje?

- Zakaża, jeśli wolisz. Zanieczyszcza. Narzuca. Nie kłóćmy się o semantykę, Castor. Nie możesz oczekiwać, że będę na to patrzyła z takiej perspektywy jak ty.

- Chyba nie - przyznałem. - A jednak jesteś tutaj.

Juliet uniosła brwi.

- To tylko praca.

- Tak, zupełnie jakby dzuma stała się kobietą i zatrudniła się w szpitalu jako siostra przełożona.

Roześmiała się.

- Tak. Właśnie. W każdym razie obdarowanie wyróżnia się tym, że możemy to robić, ile razy zechcemy. Pomniejsza nas odrobinę i tylko to stanowi limit. Silny demon mógłby obdarować paręset osób jednocześnie, ale potem stałby się bardzo słaby. By odzyskać moc, musiałby w końcu przywołać wszystkie fragmenty siebie.

- Ale tymczasem...?

- Tymczasem wyglądałoby to, jakby każdy z owych ludzi miał wewnątrz siebie własnego, maleńkiego demona - niepanującego nad nimi, lecz zachęcającego na spójnienie z bardziej piekielnej perspektywy. I znów, im silniejszy demon, tym bardziej przekonująca perswazja. Może to być po prostu lekka zmiana percepcji - tak że nagle, widząc gliniarza z drogówki, który chce cię zatrzymać, uświadamiasz sobie, że mógłbyś odrobinę skrócić, uderzyć go lusterkiem, żeby martwił się czymś innym. Albo jeśli dziewczyna nie zechce cię pocałować na pierwszej randce, uznajesz, że odurzenie jej prochami i zgwałcenie to całkiem rozsądne wyjście.

- Życzą sobie państwo coś jeszcze?

Gorliwy kelner znów się zmaterializował, niczym pies, któremu co pewien czas trzeba rzucić patyk, aby przestał posuwać nam nogę. Poprosiłem o kolejną whisky. Juliet spasowała.

- Dobra - mruknąłem, kiedy odszedł. - Przekonałaś mnie. Świętego Michała nawiedził demon i jego drobne cząstki wniknęły w obecnych tam wówczas ludzi. Ale demon nie opętał ich w pełni: nadal jest tam, w kościele, w takiej czy innej postaci, co wyjaśnia zimno, powolne bicie serca i całą resztę syfu.

- Tego nie powiedziałam - odparła Juliet.

- Tylko wyciągam wnioski. A nie to miałaś na myśli?

Juliet jednym haustem wychyliła swoją Krwawą Mary.

- To możliwe. Ale dawałam przykład, nie wyjaśnienie. Owszem, coś opętało zgromadzenie od Świętego Michała. Coś dość silnego, by pozostawić cząstkę siebie w każdym z nich. To może być demon, ale niekoniecznie. Ludzkie duchy też potrafią opętywać żywe istoty. Znasz w końcu łaki.

Niechętnie skinąłem głową, ale nie kupowałem tego.

- Tak - zgodziłem się - znam. I jeśli wiem coś o *loup-garou*, to to, że nie bez powodu decydują się na zwierzęcych nosicieli. Ludzkie umysły są dla nich zbyt trudne, stanowczo zbyt trudne. Słyszysz się historie o podobnych opętaniach, ale nigdy nie natknąłem się na naprawdę dowiedziony przypadek.

- W takim razie może przejdę do historii.

Ton jej głosu mnie zaniepokoił.

- Zdawało mi się, że mamy przedyskutować strategię. Wygląda na to, że sama opracowałaś plan.

- Zamierzam tam wejść - oświadczyła.

Przy moim łokciu pojawiła się whisky, wziąłem szklankę nie patrząc. W tym momencie widok pełnej zapału, usługowej twarzy kelnera jeszcze bardziej skwasiłby mi humor.

- Gdzie dokładnie? - spytałem, choć miałem całkiem niezłe pojęcie.

- Zamierzam potraktować kościół Świętego Michała jak żywą istotę - oświadczyła Juliet - i spróbować go opętać. Jeśli jest tam jakiś duch - nieważne, ludzki czy demon - moje przybycie powinno go przegnać.

- Mogłabyś to zrobić?

- Tak. Zwykle nie tak działałam, ale urodziłam się i wychowałam w piekle, Castor. Oczywiście, że mogę to zrobić.

Z nieszczęśliwą miną przetrawiałem ten pomysł. Coś w nim budziło we mnie ponure przeczucia, ale potrzebowałem paru chwil, by je określić. Wówczas ujrzałem skazę.

- Mówiłaś, że, aby coś takiego zrobić, potrzebny jest bardzo poważny gracz - przypomniałem. - Tylko on mógłby opętać tyle osób jednocześnie. Nieważne, czy to duch, demon, czy jakiegokolwiek inne diabelstwo. Co zrobisz, jeśli się okaże silniejszy? Założmy, że wejdiesz w trans, czy co tam, pošlesz swego ducha do kościoła... Czy demony w ogóle mają duchy?

- Nie, demony to duchy. Jeśli będzie ode mnie silniejszy, po prostu mnie nie wpuści: spróbuję wniknąć, ale kościół mi nie pozwoli. Nie będzie porowaty, tylko solidny i twardy. Tak czy inaczej, nic mi nie zagrazi. Albo mi się uda, albo nie. A jeśli się uda, może też pomoże rozwiązać problem dietetyczny, o którym rozmawialiśmy.

- Mogłabyś się tym posilić?

- Mogłabym to wchłonąć. Nie byłoby to dla mnie posiłkiem, bo żywię się, kiedy się pieprzę. Raczej przyjęciem substancji odżywczych przez kroplówkę.

- A to lepsze niż śmierć z głodu - odpowiedziałem bez zbytniego entuzjazmu. Próbowałem przyciągnąć wzrok kelnera, ale mi się nie udało. Zamiast tego zdołałem zwabić szefa sali. - Ale wciąż pozostaje to samo pytanie: jeśli zetrzesz się z tym czymś i okaże się większe i silniejsze od ciebie, może to ty staniesz się posiłkiem?

- Tak - przytaknęła Juliet. - Możliwe. Czy to cię martwi, Castor?

Starannie dobierałem słowa.

- To w końcu praca - przypomniałem. - Zaproponowałaś mi część honorarium. Jeśli kościół cię zeżre, zbiednieję.

Spojrzała na mnie ze złośliwym rozbawieniem.

- Myślisz, że byłoby to stratą? - spytała. - Pozarcie mnie? A może sam chciałbyś mnie zjeść?

Podparłem się na łokciu, udając, że się zastanawiam.

- Złożyłem przysięgę - rzekłem w końcu. - Żadna inna kobieta nie przejdzie mi przez usta.

- Człowiek z zasadami. Nie znoszę tego. To kiepsko wpływa na interesy.

- Kiedy zamierzasz to zrobić? - spytałem, kończąc przekomarzanie. Nie czułem się swobodnie, bo fizyczne pożądanie, które budzi Juliet, jest bardzo rzeczywiste i bardzo silne, a także dlatego, że biorąc pod uwagę jej naturę, wiem dokładnie, do czego prowadzi. Fakt ów sprawia, że dowcipy na temat seksu oralnego brzmią dość blado.

- Jutro - oświadczyła. - Pięć minut przed północą.

- Czemu akurat wtedy? Co się stanie?

- Wschód księżyca. Tyle że jutro mamy nów. To bardzo sprzyjająca pora.

- Chciałbym tam wtedy być. Jako wsparcie, na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

Juliet spojrzała na mnie ze zdumieniem.

- Jak mógłbyś pomóc, gdyby coś poszło nie tak? - spytała ostro.

- Może nijak - przyznałem - ale po imprezie w centrum handlowym zostało mi pewne wycucie tego czegoś. Może mógłbym jakoś cię wesprzeć. - Lekko wysunąłem z kieszonki flet i schowałem z powrotem.

Oczy Juliet zwęziły się lekko; doskonale to rozumiałem. Pokazanie jej fletu było trochę jak poczęstowanie Supermana kanapką z kryptonitem. Lecz ton jej głosu pozostał chłodny, lekko znudzony.

- Wiesz, gdzie mnie znaleźć - oświadczyła. - I kiedy. Jeśli chcesz przyjść popatrzeć, zapraszam. Ale nie przynoś fletu. Albo jeśli przyniesiesz, trzymaj go w kieszeni. Nie celujesz tak dokładnie, jak sądzisz.

Trudno mi było się spierać, zważywszy, że gdzieś na skraju świadomości wciąż tkwił obraz Rafiego, stanowiący idealny dowód tego, jak niebezpieczny może być

ostrzał własnej strony. Wiedziałem, że teraz jestem lepszy niż wtedy, ale rozumiałem, czemu Juliet nie podoba się ten pomysł.

Wstałem, zostawiając gotówkę na stole.

- Ja stawiam - oznajmiłem. - Zarobiłem trochę grosza.

- Mackie - zacytowała Juliet - nerwy masz jak stal.

- Zabawne. Zawsze wiedziałem, że w piekle słuchają Bobby'ego Darina.

- Kurta Weilla - poprawiła Juliet.

- Nie kichaj - zażartowałem.

Kelner z rozpaczą odprowadził nas wzrokiem. Jeśli Juliet zrezygnuje kiedyś z diety, z pewnością znajdzie tu dobry posiłek.

Pożegnaliśmy się na ulicy, bez zbędnych formalności, i Juliet odeszła swym zwykłym, długim krokiem, nie oglądając się za siebie. Pokazanie fletu najwyraźniej zepsuło nastrój, pewnie dlatego, że przypomniało jej, że w pewnym sensie byłem najbliższym odpowiednikiem antyciała na jej pobratymców, jakim dysponuje ludzka rasa. Będę musiał zapamiętać to na przyszłość i zachowywać się bardziej taktownie.

Byłem śmiertelnie zmęczony, ale Nicky mówił, że ma dla mnie ważne wieści, i zgodziłem się spotkać z nim u Lodowni, na południe od rzeki. To spory kawałek, ale przynajmniej o tej porze ulice będą już przejezdne. Zastanowiłem się przez moment, czy nie zostawić wozu Matta i nie pojechać metrem - w razie czego nie mógłbym się już powołać na pilną sprawę - ale oznaczałoby to, że musiałbym tu wrócić, zapewne o północy i znów pojechać na wschód. Nie mogłem znieść tej perspektywy.

Ruszyłem na południe Wood Lane z zamiarem przecięcia Hammersmith i Fulham, i przejechania w Battersea na drugą stronę rzeki. Lecz w tym nastroju, gdy w głowie kłębiły mi się myśli o najróżniejszych rzeczach, jakich jeszcze nie załatwiłem, wkrótce zatoczyły one wielki krąg i powróciły do Torringtonów i Dennisa Peace'a.

Prawie go dorwałem na pokładzie „Kolektywu”, pomyślałem z ponurą irytacją - ale to tylko uprzejmy eufemizm kryjący to, co naprawdę się stało. Uczciwie byłoby rzec, że to on prawie dorwał mnie: z całą pewnością miałem wiele szczęścia, że zdołałem uniknąć jego skoku w stylu kamikadze. A potem zjawili się Zdrapek i Pocharatek i gra zupełnie się zmieniła: tym razem puchar stanowiły jaja Peace'a. Czemu? Co takiego miał, czego ta banda fanatycznych, katolickich odszczepieńców pragnęła tak bardzo, że wynajęła wilkołaki, by to znalazły? Wiedziałem tylko o jednym - o duchu Abbie Torrington, a jakoś nie pasował mi do tej łamigłówki. Nie, choć przyznaję to z bólem, wciąż błąkałem się totalnie po omacku. No dobrze, miałem

jeszcze asa w rękawie w postaci Rosie Crucis, ale biorąc pod uwagę jej legendarną niepewność i niezbyt zachwycającą perspektywę przejścia przez Jennet-Jane Mulbridge, by do niej dotrzeć, może czas wrócić do planu A: nawiązać bezpośredni kontakt z duszą Abbie. Wciąż miałem przy sobie głowę lalki i doskonale pamiętałem melodię, którą zainspirowała. A co tam, warto spróbować. Zjechałem na szeroką wstęgę świeżo wylanego asfaltu na stromo ściętych wzgórzach estakady Hammersmith i wysiadłem. Nie chodziło o to, że poza wozem odbiór miał być lepszy - po prostu musiałem odetchnąć chłodnym, nocnym powietrzem.

Podszedłem do balustrady, znad której roztaczał się malowniczy widok na zachodni pas szosy, i oparłem się, przez moment chłonąc widoki i wprowadzając się w nastrój. Dzień okazał się naprawdę zwariowany, wieczór jeszcze bardziej szalony. W tej chwili powinienem leżeć zwinięty w kłębek wokół na wpół opróżnionej flaszki whisky, ale miałem jeszcze przed sobą zbyt wiele dróg. Tępy ból głowy i szyi powrócił, a za oczami czułem palące swędzenie. Niewątpliwie coś złapałem, chciałem tylko wiedzieć co.

Wiatr niósł ze sobą lekką woń drzewnego dymu, jakby w jednym z pobliskich ogrodów ktoś rozpałił ognisko - dziwny pomysł w maju - i przez chwilę miałem oszałamiające, dezorientujące wrażenie, jakbym nagle skoczył naprzód w czasie. Jakby stał tam zaledwie pięć minut, a w tym czasie nadeszła jesień.

Wyłowilem z kieszeni głowę lalki. Powoli, z wahaniem przesunąłem małym palcem wzdłuż linii policzka, wyczuwając maleńkie, szorstkie skazy w miejscach, gdzie porcelana zaczynała pękać. To cud, że nadal była w jednym kawałku, wzięwszy pod uwagę mój dzień. Gdy tylko jej dotknąłem, smutek Abbie wezbrał w niej i przelał się na mnie, płynąc wzdłuż dłoni i ręki, wiedziony mocą psychicznego ssania, aż w końcu wypełnił mi głowę. Tego właśnie potrzebowałem, dodatkowego pchnięcia, pokazującego dokładnie, w co mam celować.

Schowałem porcelanową głowę i wyjąłem flet. Kontrapunkty w postaci białych reflektorów i czerwonych świateł stopu nieco mnie rozpraszały, toteż zamknąłem oczy, namacałem odpowiednie otwory i wypuściłem w noc pierwszą nutę.

Przez długą chwilę nic, jedynie powolna, smutna sekwencja dźwięków opadających bez końca, niczym schody na rycinie M.C. Eschera, które prowadzą donikąd.

A potem Abbie odpowiedziała. Tak jak przy dwóch poprzednich okazjach, poczułem jej odległą obecność na granicy percepcji - tropizm, zwrócenie się ku

muzyce, która była nią. Może dlatego że zamknąłem oczy, tym razem poczułem to mocniej. A może duchy są także posłuszne pewnym wpływom, tak jak morze księżycowi. Była tam: bardzo daleko, w mroku, lecz nie oddzielało jej ode mnie nic prócz odległości. Niemal czułem, że mógłbym wyciągnąć rękę, odsunąć miasto na boki jak zasłonę i ją sprowadzić.

Ingerencja, gdy nadeszła, była natychmiastowa. Tym razem jednak przygotowałem się i posłuszny instynktowi, którego nie umiałbym wytłumaczyć, w chwili gdy kontakt się urwał, podbiłem muzykę w gwałtownym crescendo. Nie potrafię stwierdzić, czy cokolwiek to dało, miałem jednak takie wrażenie, jakbym cisnął włócznią w chwili, gdy ryba zerwała się z haczyka. Poczucie kierunku, już wcześniej skryształizowane, stało się czymś boleśnie dokładnym. Abbie i ja, myśliwy i ofiara, uchwyceni na przeciwległych końcach tej samej drzazgi dźwięku.

Długi czas po tym, jak przestałem grać, nie otwierałem oczu, wsłuchany w echa swego umysłu. Wciąż dźwięczały głośno. Tym razem dotarłem bardzo blisko i nie miałem wątpliwości, że Abbie nie tylko mnie usłyszała, ale i zobaczyła. Przez noc, przez miasto patrzyliśmy sobie w oczy.

- Idę po ciebie - wymamrotałem. - Nie bój się. Cokolwiek przeszłaś, dziewczynko, to już prawie koniec. Wkrótce cię znajdę.

- Urocze - usłyszałem męski głos obok mnie. - Mógłbym to zacytować?

Obróciłem głowę tak szybko, że o mało nie spadła mi z szyi - a przynajmniej tak się poczułem. Ból stał się głębszy i ostrzejszy.

Facet oparty o barierkę obok mnie miał wąską, pociągłą twarz z orlim nosem, czarne włosy, gładkie jak tyłek wydry, i kwaśną minę w stylu „co za cuchnące śmiecie podtykacie mi pod nos?”, kojarzącą mi się z bezwzględnym sędzią, zajmującym się sprawą pijanego kibola w sobotni wieczór w sądzie grodzkim. Podobne sylwetki ludzie nazywają żylastymi - chude, lecz sprawiające ogólne wrażenie celowo zaostrego kija, nie rośliny więdnącej z braku pożywienia.

Miał na sobie idealnie czysty, biały płaszcz, tak ostro kontrastujący z czarnym garniturem, że odruchowo skojarzył mi się z szatą księdza. Właśnie: nie sędzia - ksiądz, odmawiający rozgrzeszenia po kiepskiej spowiedzi. Twoje grzechy zostaną zapisane i mogą zostać wykorzystane przeciw tobie.

- Felix Castor - powiedział. Głos miał miękki, łagodny, i tak pozbawiony emocji, że przez moment skojarzył mi się z programowanym wokoderem Stephena Hawkinga.

- Hej, ja też - odparłem, wyciągając rękę. - To ci dopiero przypadek.

Przez moment patrzył na moją dłoń, potem demonstracyjnie odwrócił wzrok. Szkoda. Dotyk mógł mi wiele powiedzieć, a w tej chwili przydałyby mi się dodatkowe dane.

- Próbujesz obrócić to w żart - zauważył. - Czemuż by nie? Dar śmiechu wzbogaca życie. Nie, możesz mi mówić Gwillam, jeśli chcesz w ogóle do mnie mówić. A moje poczucie humoru zwykle dotyczy rzeczy, które większość ludzi doprowadziłyby do płaczu.

Sądząc po owej bezkrwistej twarzy i głosie, trudno było uwierzyć, że w ogóle miał jakiegokolwiek poczucie humoru, ale postanowiłem grać na czas, toteż pokiwałem głową, jakbym rozumiał i doceniał. W pewnym sensie faktycznie to doceniałem: kiedy ktoś zaczyna rozmowę od tego, jaki jest twardy, według mojego doświadczenia zwykle mocno przesadza, bo tak naprawdę ma kręgosłup moralny porcyjki budyniu i nie chce, żebyśmy od razu wykopali go za próg. To już zawsze coś.

- No to opowiedz mi dowcip - zaproponowałem.

- Może tak zrobię.

Jego wzrok powędrował ponad moje ramię i nie patrząc, pojąłem, że nie jest sam. Sekundę później ten domysł potwierdził chrzęst butów na żwirze, metr za mną.

- W ciągu ostatnich dwóch dni wiele się o tobie dowiedziałem - zauważył niemal z roztargnieniem Gwillam. Ponownie spojrzął ponad rzeką samochodów, mrużąc oczy, gdy niosący dym wietrzyk omiółł mu twarz. - Zyskałeś sobie pewną reputację i z tego, co słyszałem, nie jest to reputacja głupca. Zastanawiam się zatem, czemu właściwie to robisz.

Jego słowa przywołały echa wcześniejszej rozmowy. Nagle pojąłem, kogo mógłbym zobaczyć, gdybym się obejrzał.

- Co właściwie robisz? - spytałem, idealnie odgrywając rolę niewinnego kwiatuszka.

Gwillam zmarszczył brwi i głośno wypuścił powietrze przez nos. Lecz ton jego głosu nie zmienił się nawet odrobinę.

- Ja też nie jestem głupcem, Castor. I jeśli spróbujesz mnie tak potraktować, nie poprawisz mi humoru.

- Dobra - mruknąłem - zapamiętam sobie. - Nawet w najlepszych chwilach nie mam cierpliwości do łowienia ryb. Nie potrafiłbym siedzieć godzinami przy przerebli, skoro mógłbym w nią wrzucić granat i od razu wygarnąć zdobycz. - Chcesz wiedzieć,

co robię w kościele i czyje serce tam bije. Zastanawiasz się, czy owo bicie serca ma cokolwiek wspólnego z syfem, który dzieje się w tej chwili w zachodnim Londynie, łącznie z dzisiejszymi zamieszkami. Może chciałbyś też wiedzieć, kim jest Juliet Salazar i jaką gra rolę w tym wszystkim. Zgadza się?

Gwillam obdarzył mnie zbolałym, zdumionym spojrzeniem, które zwykle rezerwujemy dla starszych krewnych, gdy znieścacka próbują włożyć bieliznę przez głowę.

- Chodziło mi o dziewczynkę - rzekł bardzo cicho. - Dziewczynkę, której właśnie złożyłeś wzruszającą obietnicę. Chyba że miałeś na myśli inne dziecko? Może to takie hobby.

Przez sekundę miałem wrażenie, jakby wydarzenia zaczęły uciekać przede mną w zupełnie niespodziewanym kierunku - jakbym rymsnął na twarz, tracąc mizerne resztki godności. Naprawdę nie czułem się dobrze, kręciło mi się w głowie, a nozdrza wypełniał zapach kojarzący się z gnijącym mięsem.

- Dziewczynkę? - powtórzyłem.

Gwillam zareagował z lekką irytacją, jakby zaczynał tracić cierpliwość. W porównaniu z wcześniejszym, godnym roboty spokojem, przyjąłem to niemal z ulgą.

- Abigail Torrington - oznajmił. - Czy może Abigail Jeffers. Którą wersję wolisz.

- Ach, tę dziewczynkę. - Staralem się, by zabrzmiało to tak, jakby wszystkie kawałki wskoczyły na miejsce, choć tak naprawdę czułem się, jakbym brodził w wodzie w butach z ołowianymi podeszwami. Zanotowałem w pamięci drugie nazwisko, które wymienił; to przynajmniej coś nowego. - Ale to tylko sprawa zaginięcia. Chyba że masz jakiś inny powód, żeby szukać Dennisa Peace'a? Czy o to chodzi? Czy Abbie stanowi jedynie środek, nie cel?

Gwillam surowo zmarszczył czoło, pośrodku którego pojawiły się dwie pionowe bruzdy.

- Peace kompletnie nie ma znaczenia - rzekł. - Oczywiście doceniamy to, co zrobił, ale biorąc pod uwagę kierujące nim motywy, nie możemy zaufać, że dokończy dzieła. Nie, to Abigail musimy znaleźć. I musimy być pierwsi. Nie jesteśmy gotowi rozważać jakiegokolwiek innej możliwości. Po wszystkim, co widziałeś od soboty, powinieneś wiedzieć dokładnie, o jaką stawkę toczy się gra.

Odtworzyłem to w głowie z różnymi prędkościami, bez powodzenia.

- Zabawne - rzekłem, poddając się. - Wszystkie słowa, które wypowiadasz, osobno mają sens, ale złożone w całość kompletnie nie trzymają się kupy. Dlaczego

Abbie miałyby interesować kogokolwiek prócz jej rodziców? A może to coś jak wróbel, który spada na ziemię? Czyżbyście szukali każdej zagubionej duszy? Owszem, to nader chwalebne, ale też nieco trudne do...

Urwałem, bo ciężka łapa opadła na moje ramię i obróciła mnie o dziewięćdziesiąt stopni w lewo. Odkryłem nagle, że patrzę na wrogą twarz pod masywną barykadą brwi.

- Więcej szacunku - rzekł surowo *loup-garou*, demonstrując zęby.

- Po. - Głos Gwillama był łagodny, lecz bardzo stanowczy. Olbrzymi *loup-garou* puścił moje ramię i cofnął się, niemal jak żołnierz stający na baczność. Teraz widziałem też Zuckera - stał obok hondy, jakby sądził, że w każdej chwili mógłbym rzucić się do ucieczki, i przygotował się na tę ewentualność. Ich własny wóz - kolejna terenówka, jeszcze większa od jeepa - stał przy krawężniku sto metrów dalej. Resztę drogi przeszli pieszo pod osłoną mojego grania.

Nie wyglądało na to, że Gwillam obawia się o moje samopoczucie albo o to, że mógłbym zwiać. Zapewne chciał mi powiedzieć to, co miał do powiedzenia, i zależało mu na tym bardziej niż na patrzeniu, jak rozszarpują mi gardło.

Skinął z aprobatą głową do *loup-garou* u mego boku, w uznaniu szybkiego posłuszeństwa, po czym z powrotem skupił uwagę na mnie.

- Ponoć Pitagoras wygłosił pewną mądrą maksymę na temat dźwigni - wymamrotał. - Dźwigni i poruszania świata. Nigdy do końca w to nie wierzyłem, na moje ucho brzmi nieco zanadto pooświeceniowo. Ale z pewnością wiesz o co mi chodzi. - Przez moment wpatrywał się we mnie wyczekująco. Ponieważ jednak nie miałem nastroju na gierki, odpowiedziałem beznamiętnym spojrzeniem. - Cóż - podjął Gwillam. - Tym właśnie jest ta mała, martwa dziewczynka. Dźwignią dość dużą, by poruszyć świat. A to niepokojąca myśl, przynajmniej dla mnie. Ponieważ, jeśli mogę żywić jakieś preferencje, wolałbym, żeby świat pozostał tu gdzie jest.

Wciąż było to mniej więcej jasne i przejrzyste, jak muł w Mississipi. Uznałem, że czas na kolejny granat.

- Mówisz wyłącznie w swoim imieniu? - spytałem. - Czy całego Kościoła katolickiego? Który, tak przy okazji, musi być znacznie bardziej otwarty niż sądziłem, zważywszy na to, kogo zatrudnia.

Przez chwilę panowała cisza. Gwillam wpatrywał się we mnie niewzruszony. Potem skinął głową, nie do mnie, lecz do Po. Nagła eksplozja bólu w lewym boku sprawiła, że zgiąłem się wpół i runąłem na ziemię, po drodze uderzając o barierkę. To

był cios w nerkę, zadany z dokładnie odmierzoną siłą, mający spowodować potworny ból, ale niczego poważnie nie uszkodzić.

Minęło dużo czasu, nim znów zacząłem dostrzegać otoczenie - może pół minuty, ale nie mniej oceniać. Biorąc pod uwagę fakt, że przez większość tego czasu walczyłem o to, by chwycić powietrze, nie poruszając ani jednym mięśniem z lewej strony, mnie wydawał się znacznie dłuższy.

- Raz już cię ostrzeżono. - Głos Gwillama brzmiał odległe. - Lecz z tego, co mówili Zucker i Po, obawiam się, że nie potraktowałeś tych ostrzeżeń poważnie.

Nadal brakowało mi oddechu, żeby odpowiedzieć - może i dobrze, bo miałem w głowie tylko dwa słowa: „pierdol się”. Gdy tak klęczałem, skulony z bólu, coś zimnego i twardego dotknęło mojego karku.

- A my jesteśmy bardzo poważni - oznajmił Gwillam, cicho lecz z bardzo precyzyjnym, niemal sztucznym naciskiem. - Nie odbieramy życia lekko, ale mamy prawo to robić w razie konieczności. W tej chwili zabicie cię wydaje mi się zdecydowanie mniejszym złem.

- A jednak - wychrypiałem, krzywiąc się, gdy wysiłek związany z mówieniem poruszył niegotowymi jeszcze do tego mięśniami. - Nie mogę nie zauważyć... że wciąż żyję.

Nacisk na kark zniknął. Chwilę później usłyszałem charakterystyczny dźwięk bezpiecznika zaskakującego z powrotem na miejsce. Sukinsyn miał odbezpieczoną spluwę. Gdyby w nieodpowiedniej chwili kichnął, zdmuchnąłby mi głowę z karku. Uniosłem wzrok, poruszając się możliwie jak najdelikatniej i ujrzałem, jak Gwillam chowa pistolet do kabury pod pachą. Widząc moje spojrzenie, pokręcił głową.

- Obserwowaliśmy cię w centrum handlowym - rzekł. - Na tamtym etapie zabicie ciebie stanowiło kolejny punkt mego programu. Ale potem zobaczyłem, jak wraz z kobietą - czy to naprawdę kobieta? - rozprawiliście się z opętanymi i uratowaliście zakładników. Przyznaję, że nie tego oczekiwałem i poczułem lekki niepokój. Widzisz, jeśli mam wypuścić na ciebie Zuckera i Po, wolałbym to uczynić z czystym sumieniem.

- Zeszłej nocy nie byli raczej na smyczy - wykrztusiłem.

- Wówczas mieli rozkaz, by cię nie zabijać. Nie zakazałem im natomiast zadawania bólu. Castor, spytam raz jeszcze i zapewne po raz ostatni: po czyjej stronie stoisz w tym wszystkim?

Gdybym miał więcej czasu, może przemyślałbym odpowiedź, tak by zabrzmiała zabawnie i dwuznacznie. Teraz jednak nie zawahałem się.

- Po stronie Abbie Torrington.

Z ust Gwillama uleciał dziwny dźwięk - ni to prychnięcie, ni chichot.

- To nawet możliwe - przyznał. - Jeśli tak, historie o tym, że nie jesteś głupcem, mogą faktycznie odpowiadać prawdzie. Choć nadal uważam, że najprawdopodobniej ktoś się tobą posługuje, tak jak ty posługujesz się fletem.

Milczał dość długo, bym pomyślał, że już skończył.

- Jeśli wstanę - spytałem, ryzykując bardzo wolne i stopniowe spojrzenie przez ramię - czy ten skurwiel znów mnie powali?

Gwillam podjął wątek, jakby nie dosłyszał moich słów.

- Wyprzedziłeś nas przy „Kolektywie”. To było... imponujące. Masz jeszcze jakieś tropy co do możliwego miejsca ukrycia dziewczynki?

Cóż, miałem pół tropu, ale wolałem zachować go dla siebie. Położyłem dłoń na barierce i zacząłem powoli dźwigać się na nogi. Zaciskałem zęby z wysiłku, toteż rzecz jasna nie mogłem odpowiedzieć na pytanie.

Gwillam westchnął, jak człowiek, na którego barkach spoczywa ciężar całego świata.

- Jeśli każę ci wrzucić wsteczny bieg i wycofać się z tego - powiedzmy aż do Chin - czy istnieje jakakolwiek szansa, że to zrobisz?

Okłamanie księdza to zapewne grzech, a miałem już dość grzechów na sumieniu, by szukać kolejnych. Jeden raz pokręciłem głową: dalsze przeczenia stanowiłyby przegięcie, bo w końcu dopiero co uniosłem się do pozycji pionowej.

- Tak też sądziłem - rzekł ze smutkiem Gwillam. - Ale i tak ci to mówię. W uznaniu tego, co dziś zrobiłeś. Potraktuj to jako zawodową uprzejmość. Ostatnią, na jaką możesz liczyć. Dobranoc, Castor. I żegnaj.

Nakreślił nade mną znak krzyża - nie miała to być groźba bądź ironia, lecz śmiertelnie poważny gest. Potem dał znak wilkołakom, które ruszyły za nim do samochodu.

Odjeżdżając, Zucker źle ocenił kąt - a może właśnie dobrze - i otarł się o honde Matta od strony pasażera z odgłosem przypominającym wrzask kastrowanego słonia. Potem dodał gazu i dołączył do strumienia wozów jadących na wschód. Po paru sekundach ich światła zlały się z resztą rzeki.

Imelda Probets, lepiej znana jako Lodownia, mieszka w nędznym mieszkanku na trzecim piętrze w Peckham, w bloku, którego ściany pomalowano na czarno, w ramach nieudanego eksperymentu z technologią stealth. Drzwi od strony ulicy zabito deskami; aby dostać się do środka, trzeba okrążyć budynek, przechodząc przed podwórze przypominające miejskie cmentarzysko słoni, zasłane przerdzewiałymi, pozbawionymi kół wrakami przeterminowanych samochodów. To dość zagadkowe, zważywszy jak wiele gotówki musi zgarniać co tydzień Lodownia - oferowane przez nią usługi są bardzo specjalistyczne i poszukiwane. Z drugiej strony jednak w ten sposób unika przypadkowych klientów, bo ludzie, którzy jej potrzebują, i tak ją znajdują.

Nim wszedłem do środka, sprawdziłem dodatkowy sprzęt, który zebrałem po drodze. Była to gałązka mirtu wypożyczona z cmentarza. Mirt w maju. Gdybym był na czasie, już bym go miał - a wówczas nie musiałbym wdrapywać się na cmentarne mury po północy. Wyszepiałem nad nim błogosławieństwo, czując się jak oszust, jak zawsze, gdy babrzę się w rzeczach, które laicy nazywają magią.

Klatka schodowa cuchnęła szczynami i zwietrzałym piwem - dwa elementy trójcy, którą zazwyczaj zamyka „urzętny w trupa koleś leżący twarzą we własnych rzygowinach”. Ale w drodze na górę nikogo nie spotkałem, a kiedy zastukałem do drzwi na trzecim piętrze - jedynych niepokrytych dyktą i niezabitych gwoździami - dźwięk powrócił do mnie charakterystycznym, głuchym echem.

Po paru sekundach drzwi otworzyła chuda, czarnoskóra dziewczyna, na oko szesnastoletnia. Każde jej oko z osobna było większe niż cała twarz. Poznałem jej płęć po warkoczykach - twarde, surowe rysy pasowały do obu, a czarne dżinsy i koszulka z mangową panienką były w stu procentach uniseks.

- Tak? - rzuciła.

- Przyjaciół Nicky'ego - oznajmiłem.

Zmarszczyła brwi, patrząc na mnie z wyraźną podejrzliwością.

- Masz puls?

Sprawdziłem.

- Owszem, chociaż trochę słaby. To jakaś przeszkoda?

Spojrzała za siebie w głąb mieszkania.

- Mamo! - zawołała. - Przyszedł żywy.

- Z policji? - dobiegł z wnętrza znacznie niższy głos. - Jeśli to policjant, Liso, każ mu wypierdalać, bo już zapłaciłam.

Smarkuła znów spojrzała na mnie.

- Mama mówi, że jeśli jesteś z policji, możesz...

- Tak - przerwałem. - Słyszałem. Nie jestem z policji. Nazywam się Castor. Jeżeli jest tu Nicky Headi, mam się z nim spotkać i podrzucić do domu.

Lisa zawołała przez ramię, tym razem wbijając we mnie wzrok, na wypadek gdybym spróbował coś ukraść, tyle że to by musiały być drzwi bądź jedna ze ścian, bo na podeście nie było niczego innego, nawet wykładziny pokrywającej wypaczone deski:

- Mówi, że nazywa się Castor i ma podwieźć Nicky'ego!

- A, Castor. - W głosie dźwięczała wyraźna dezaprobata i wiedziałem dokładnie dlaczego. - Dobrze, wprowadź go do salonu, Liso. Niech wstrzyma konie, dopóki nie skończę.

Wywracając oczami, na znak, co myśli o tych instrukcjach, Lisa otworzyła pchnięciem drzwi. Zaprowadzenie do salonu oznaczało pokazanie drzwi prowadzących na lewo z ciasnego przedpokoju. Sama ruszyła w przeciwną stronę. Naprzeciwko ujrzałem przejście, a dalej plecy Imeldy zajmującej się najnowszym pacjentem. Nucila pod nosem, najpewniej pieśń gospel, ale robiła to tak cicho, że z daleka nie usłyszałem słów ani melodii. Byłem tu już dwa lata wcześniej, toteż wiedziałem co robić. Wiedziałem też, że Imelda za mną nie przepada: egzorcyci szkodzili jej w interesach. Wysłanie mnie do salonu stanowiło czyn wybitnie sadystyczny, ale niewiele mogłem poradzić, odetchnąłem więc głęboko, wstrzymałem oddech i wszedłem do środka.

Lodownia to uzdrowicielka, przyjmująca bardzo wyspecjalizowanych klientów, takich, których nie chce leczyć żaden inny lekarz, czy to zwyczajny, czy zajmujący się medycyną alternatywną. Przyjmuje wyłącznie zombie i twierdzi, że kładąc na nich ręce, potrafi niemal całkowicie spowolnić proces rozkładu. Zawsze uważałem, że to bzdura, ale Nicky odwiedza ją dwa razy w miesiącu - a że nie żyje już dość długo, szanuję jego zdanie w kwestiach rozkładu materii organicznej. Jej przezwisko - Lodownia - wywodzi się z przechwałek, że samymi rękami potrafi zachowywać martwe mięso równie sprawnie jak najlepsza zamrażarka.

Lecz muszę dodać, że jej salon jest przesiąknięty wonią słodko-kwaśnej zgnilizny. Jak mówiłem, nie była to moja pierwsza wizyta, toteż wiedziałem, czego się

spodziewać, ale smród nadal uderzył mnie niczym ściana i o mało nie powalił. Przekroczyłem próg i głowy szóstki bądź siódemki chodzących trupów uniosły się, mierząc wzrokiem nowego przybysza - a dokładniej: siedzących trupów, bo pokój urządzono jak poczekalnię lekarską, z krzesłami wzdłuż trzech ścian. Większość siedzisk była zajęta. Nie brakowało nawet kolorowych pism. Błada jak kreda kobieta w kącie, z niewielką dziurką w policzku, przerzucała stary egzemplarz „Cosmopolitan”.

Zombie nie oddychają, toteż nikt nie zachłysnął się głośno, nie było też pianina, które mogło brzęknąć i umilknąć gwałtownie, kiedy wszedłem do środka. Natychmiast jednak wyczułem napięcie. Zombie, które już uniosły głowy, wciąż się na mnie gapiły. Pozostałe, wyczuwając nastrój, spoglądały i sprawdzały, co się dzieje.

Usiadłem tuż przy drzwiach i wziąłem ze stolika „Readers Digest”. Przerzucając kartki, znalazłem artykuł na temat możliwej pomocniczej roli orzechów włoskich w leczeniu raka okrężnicy i zacząłem czytać. Najlepsze w „Readers Digest” jest to, że istnieje poza znanymi nam czasem i przestrzenią: mistycy i ekstatycy czytają go, by osiągnąć trans głębszy, niż pozwalają na to zwykłe techniki medytacyjne.

Niestety jednak, dziś wieczór nie było mi dane osiągnąć niższego stopnia świadomości. Nad magazynem ujrzałem nagle górujący nade mną, szeroki męski tors.

- Jesteś żywy - rozległ się szorstki głos, głuchy i dudniący na skutek braku oddechu.

- Tak - zgodziłem się, nie spuszczać wzroku. - Ale pracuję nad tym. Wiesz, jak to jest.

- Co tu robi taki pieprzony kawał ciepłokrwistego miecha? - zapytał agresywnym tonem, a twarz omiótł mi słaby powiew cuchnącego powietrza.

- Czekam na przyjaciela - odparłem łagodnie.

Zapadła ciężka cisza.

- Zaczekaj na zewnątrz.

Uniosłem głowę. Kiedy jeszcze zaliczał się w szeregi żywych, gość musiał być prawdziwym postrachem; a teraz, po śmierci, wyglądał jeszcze groźniej. Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, zbudowany głównie z mięśni - wyraźnie zdefiniowanych mięśni, które nabywa się na siłowni. Miał na sobie obcisły podkoszulek bez rękawów, toteż widziałem, jak przy każdym ruchu owe mięśnie ocierają się o siebie, niczym płyty tektoniczne. Jego łysa głowa połyskiwała - oczywiście nie potem, domyśliłem się zatem, że to musi być jakiś olejek. Klasyczny tanatonarczyk, zakochany we własnym,

martwym ciele i pielęgnujący je niczym okaz muzealny. Ale tego wieczoru popychano mnie już tak często, że wyraźnie widziałem przed sobą granicę z napisem dosyć.

- Tu mi dobrze - odparłem, powracając do dobrych wieści na temat orzechów włoskich.

Wytrącił mi pismo z rąk.

- Nie - warknął - wcale nie. Bo jeśli tu zostaniesz, wyrwę ci język.

Rozejrzałem się po pokoju, zapisując w pamięci reakcje reszty martwych klientów Imeldy. Obserwowali nas z lekkim niepokojem. Usługi Imeldy nie są tanie, zatem większość tych osobników wyglądała znacznie zamożniej niż to żalosne truchło i prawdopodobnie widziałem właśnie oznaki wrodzonej obawy klasy średniej przed robieniem sceny. To dla mnie dobre wieści: oznaczały, że jeśli coś pójdzie nie tak, mało prawdopodobne, by rzucili się na mnie, odrywając mi ręce i nogi.

- Dobra, koleś - wymamrotałem.

Wstałem, a on napiął się, czekając, aż zadam pierwszy cios. Był dość pewien własnej siły, by wiedzieć, że w żaden sposób nie zdołam go powalić i że, pozwoleńszy mi na nieskuteczne puknięcie w brodę, potem spokojnie rozłoży mnie na czynniki pierwsze.

Ja jednak owinąłem dwukrotnie wokół dłoni gałązkę mirtu. Pacnąłem go nią w czoło, wypluwając słowa hoc fugere. Gość odskoczył w tył tak szybko, jakbym wsadził mu w usta lufę dubeltówki i pociągnął za spust.

Nie były to egzorcyzmy, nic z tych rzeczy. Jedynie podstawy magii natury: amulet ochronny, działający mniej więcej trzy tygodnie w roku, jeśli tylko zostanie właściwie wycięty i pobłogosławiony. Dla umarłych, nieważne, w ciele czy poza, zbliżenie się do amuletu przypomina dotknięcie przewodu z prądem: kurewsko boli.

Zombie runął ciężko na podłogę i leżał tam, wstrząsany konwulsjami, z szeroko otwartymi oczami. Jedna z jego rąk wystrzeliła w bok, trącając nogę kobiety czytającej „Cosmopolitan”; odskoczyła, by uniknąć kontaktu.

- Nie chcę żadnych kłopotów - poinformowałem zebranych.

- Tak - rzucił stojący w drzwiach Nicky. - Właśnie, kurwa, widzę.

Za jego plecami Imelda wydała pełen oburzenia okrzyk i wpadła do środka, odtrącając Nicky'ego. To potężna kobieta, o pięściach jak szynki; by ją pokonać, potrzebowałbym czegoś znacznie większego niż gałązka mirtu.

- Castor! - ryknęła. - Nie masz prawa! Nie masz prawa! Wynoś się z mojego domu, albo przysięgam, że wezwę policję.

- Hej, to on chciał się bić - zaprotestowałem. - Ja czytałem spokojnie „Readers Digest”.

Uzdrowicielka uklękła obok wciąż dygoczącego zombie, położyła mu dłoń na czole i posłała mi spojrzenie przepojone wzdargą. Pod jej dotykiem uspokoił się natychmiast.

- W takim razie trzeba było rozprawić się z nim jak mężczyzna - rzuciła - a nie jak karaluch.

- Użyłem tylko... - zacząłem.

- Wiem, czego użyłeś - warknęła Imelda. - Pacnąłeś go czarem ochronnym, jak robaka, bo nie umiałbyś wygrać inaczej. Jesteś zwykłym, pieprzonym tchórzem. A teraz wynoś się z mojego domu, zanim cię wyrzucę.

Była to znacznie poważniejsza groźba niż wezwanie policji. Imelda nigdy nie zażądałaby od kogoś, by stoczył za nią jej bitwę, ale naprawdę mogła mnie złapać za grzbiet i wyrzucić. A biorąc pod uwagę, jak się czułem, mógłbym tego nie przeżyć. Uniosłem dłonie w geście poddania i wyszedłem z pokoju. Za sobą słyszałem Nicky'ego, przeproszającego w moim imieniu i zapewniającego, że już nigdy do niej nie przyjdę.

Mała Lisa czekała w przedpokoju, oparta o ścianę. Uśmiechnęła się do mnie szeroko, rozbawiona.

- Co cię tak śmieszy? - spytałem.

- Wygrałeś z tym wielkoludem - rzekła wzgardliwie. - Ale nie mogłeś wygrać z moją mamą.

- A ty byś mogła? - spytałem.

Gwałtownie pokręciła głową.

- Nie, kurwa.

- No widzisz.

Zaczekałem na Nicky'ego na podwórzu. Jednakże, kiedy wyszedł, minął mnie bez słowa.

- Samochód stoi na ulicy - oznajmiłem, ruszając za nim.

- Pierdol się, Castor - warknął i przyspieszył. - Pojadę pieprzoną taksówką.

- Posłuchaj, facet chciał mnie złożyć jak papierowy samolocik, Nicky. Przykro mi, ale zrobiłem to co musiałem.

- Wiesz, co by dla mnie znaczyło, gdyby Imelda uznała, że jestem tu niemile widziany? Jedyne inne goście, który potrafi zrobić to, co ona, mieszka w Glasgow. Jeśli

się na mnie wścieknie, mam, kurwa, przejebane. Rany, jak bardzo żałuję, że nie kazałem ci poczekać do jutra.

- Dobra - mruknąłem - przepraszam. Powiedziałem już, że przepraszam. Co właściwie miałeś mi do powiedzenia? Co tak pilnego, że nie mogło poczekać?

Do tej pory znaleźliśmy się już na ulicy. Nicky zatrzasnął bramę z hukiem, który rozszedł się echem dokoła - w tej okolicy to nie był najlepszy pomysł.

- Co nie mogło poczekać? - powtórzył ironicznie. - Nakarmili cię kłamstwami, to wszystko. Chciałem ci powiedzieć, że to wszystko czyste, stuprocentowe bzdury. Ta mała, Abbie Torrington, mówiłaś, że jej rodzice cię wynajęli, żebyś ją znalazł?

- Owszem - zgodziłem się nieco poruszony jego wściekłością. - Przejdź do rzeczy, Nicky.

Obrócił się do mnie i przysunął blisko.

- Rzecz w tym, że uganiałem się za pieprzonym ogonem, przeglądając rejestry kostnic, raporty z sekcji i chuj jeden wie, co jeszcze. A to wyłącznie strata czasu, bo mała nie zginęła.

Z ponurą satysfakcją przeszedł do pointy.

- Dzieciak jedynie zaginął. To rodzice nie żyją.

12

Kiedy miałem jedenaście lat i zbliżały się moje dwunaste urodziny, zacząłem czynić rozmaite aluzje co do roweru. Był to bardzo poważny prezent, nawet używany, bo ojca właśnie zwolniono z pracy w fabryce opakowań metalowych w Breeze Hill i dotarliśmy do etapu, kiedy albo musieliśmy żreć piach dosłownie, albo iść do jednego z miejscowych lichwiarzy i zrobić to w przenośni. Kiedy zbliżał się ów najważniejszy dzień, zorientowałem się, że wszyscy w domu mają sekret, do którego mnie nie dopuszczono. Rozmowy między mamą i tatą urywały się, kiedy wchodziłem do pokoju, w domu panowała atmosfera ciszy i napięcia. Gdy spytałem starszego brata, Matta, co się dzieje i czy ma to cokolwiek wspólnego ze mną, kazał mi spieprzać, bo miał zadanie do zrobienia. Uznałem zatem, że rower został kupiony i pewnie zwiększył finansowe kłopoty naszej rodziny. A jako samolubny mały dupek, uznałem to za dobre wieści.

Potem, trzy dni przed moimi urodzinami, mama odeszła: mój tato, John, w końcu ją wykopał, po tym jak przyłapał ją w łóżku z kolegą z pracy, Wielkim Terrym (nazwanym tak, by uniknąć pomyłki z zaledwie średnim Terrym Seddonem). Zniknęła w środku nocy i kiedy obudziliśmy się następnego ranka, już jej nie było. Tato wyjaśnił, że wróciła do Skelmersdale, gdzie miała zamieszkać z babcią. Stanowiło to tylko część prawdy: jej matka też ją wyrzuciła, bo mama nie miała pracy i nic mogła dorzucić się do kosztów utrzymania. W końcu trafiła do Londynu, w poszukiwaniu posady, i nie widzieliśmy jej następne trzy lata.

Muszę zatem przyznać, że czasami nie dostrzegam tego, co mam pod samym nosem: moje intuicyjne skojarzenia i wnioski nieraz zawodzą. Nie będzie chyba przesadą stwierdzenie, że mimo mej niewątpliwej przebiegłości, bywa, że gubię się w lesie, bo za bardzo się skupiam na drzewach.

Ale tym razem to była wina świata. Tym razem rzeczywistość posłała mi nieczystą piłkę, której nie przewidziałem.

Najpierw próbowałem dopasować parszywe odkrycie Nicky'ego do tego, co już wiedziałem.

- Kiedy? - spytałem. - Kiedy zginęli?

- W zeszłą sobotę. Szóstego maja. Gdzieś między południem i szóstą po południu, według szacunków patologa. Facetowi - Stephenowi - strzelono w twarz z bardzo bliska; w tym momencie klęczał. Żadnych śladów walki. Widział, co się dzieje, i przyjął to całkiem mężnie. Najwyraźniej odważny gość. Z kobietą nie wyglądało to już tak ładnie: związano ją i pobito nogą od krzesła, a potem postrzelono w brzuch. Zabójca się nie spieszył, bo podczas sekcji oceniono, że umarła dobre trzy godziny po mężu.

- Ale... - zacząłem. - Ja ich spotkałem, dwa dni potem, w poniedziałek. To nie ma cienia sensu. Chcesz powiedzieć...?

Urwałem. Uświadomiłem sobie, że w oknach naprzeciwko zapłonęło kilka świateł. Wyraźnie nie było to najlepsze miejsce na rozmowę. Ruszyłem w stronę rogu ulicy.

- Samochód jest tam - oznajmiłem. - Opowiesz mi po drodze.

Nicky nawet nie drgnął.

- Już ci mówiłem, Castor, pojedę taksówką. W tej chwili im krócej będę przebywał w twoim towarzystwie, tym lepiej. Jeśli chcesz tego wysłuchać, to tutaj.

Odwróciłem się do niego.

- Moglibyśmy chociaż zejść z ulicy? - spytałem, wzruszając demonstracyjnie ramionami.

Nicky się zawahał.

- Dam ci pięć minut - rzekł po sekundzie. - W Troy Town jest taki bar. Przyjmują tam zimnych i ciepłych, a przynajmniej tak było ostatnio, kiedy tam zaglądałem. Chodź.

Poprowadził mnie, nadąsany i milczący. Uznałem, że pozwolę mu nieco się poddusić, nim znów poruszę temat, i w ten sposób więcej z niego wyciągnę. Lecz trybiki w mojej głowie wirowały szaleńczo, przekładnie skrzypiały tak głośno, że omal nie ogłuchłem. Mel i Steve zginęli dwa dni przed naszym spotkaniem. Zatem albo miałem do czynienia ze świetnymi mistyfikatorami, albo ciała błędnie zidentyfikowano.

Ale dziś mieliśmy wtorek, czy raczej środę rano. Gdyby gliniarze błędnie zidentyfikowali ciała w sobotni wieczór, mieli dość czasu do poniedziałku, by spotkać

się z Torringtonami, wyjaśnić drobne zamieszanie, uchylić kapelusza i pójść w swoją drogę. I wszystko to znalazłoby się w aktach. W których zobaczyłby to Nicky.

To pozostawiało drugą możliwość - że ludzie, których poznałem, nazywający siebie Mel i Stevem Torringtonem, byli kimś zupełnie innym. W takim razie po co udawali? Po co przedstawiali się jako para, która zginęła i morderstwo której mogło następnego dnia trafić na pierwsze strony gazet?

Ponieważ nikomu innemu nie powiedziałbym „tak”. Potrzebowali mnie, żebym znalazł ducha Abbie, i tylko w ten sposób mogli mieć pewność, że przyjmę tę robotę.

Skreśliśmy za róg i znaleźliśmy się w Troy Town - niemającym w sobie niczego epickiego bądź ciekawego prócz nazwy. Nicky przeszedł na drugą stronę, ja za nim. Stał tam krótki rząd szeregowych kamienic z epoki przedwiktoriańskiej. Co drugi dom miał schodki ukryte za balustradą z kutego żelaza, wiodące na poziom suterenu. Nicky zszedł jednymi z nich; idąc za nim, usłyszałem głosy i muzykę, choć nadal widziałem tylko ciemność. Potem otworzył drzwi, z których wylało się światło. Owszem, przyznaję, niewiele i niezbyt silne: może „wyciekło” to lepsze słowo.

Bar mieścił się w suterenu budynku. Nazywał się „Poziom” i istotnie był dla zimnych i ciepłych, jak powiedział Nicky. To oznaczało, że żywi i martwi klienci są tam równie mile widziani. Woń martwych czuło się już wchodząc z ulicy: lepki, cierpki smród gnijących liści zmieszany z ostrą, chirurgiczną wonią formaliny. Zobaczyć ich było znacznie trudniej - jedyne źródło światła w pomieszczeniu stanowiły świece w szybkach butelek, strategicznie ustawionych na stolikach i półkach na ścianach. Wśród cieni przycisnął się spory tłumek - i wciśnięty w kąt niewielki bar. Zamówiłem whisky, Nicky spasował. Zazwyczaj unika wprowadzania do ciała obcych związków organicznych; „jeśli jesteś martwy, twój układ odpornościowy praktycznie zamyka interes”, mówił mi nieraz. Krew nie płynie, jasne? Nie przenosi antybiotyków, fagocytów i całego tego gówna. Kiedy zatem zaczniesz wpuszczać czynniki mogące prowadzić do infekcji, masz przejebane i kropka. Gdybyśmy znajdowali się w droższym lokalu, zamówiłby czerwone wino i napawał się jego zapachem, ale nie zniżyłby się do win podawanych w takim miejscu.

Usiedliśmy przy najdalszym wolnym stoliku, lecz tak czy inaczej, toczące się wokół inne rozmowy zapewniały nam prywatność. Cokolwiek mówiliśmy, rozplywało się w ogólnym szumie. Jadowicie czerwona tapeta wyglądała jak materiał. Wyciągnąłem rękę i przesunąłem po niej palcem: faktycznie, może wcześniej mieściła się tu restauracyjka z curry.

- Kiedy tylko zechcesz - rzekłem, pociągając łyk whisky, by przygotować się na to, co usłyszę.

Nicky trochę się już uspokoił. Nadal był na mnie potwornie wkurzony, ale uwielbia bycie fontanną tajemnej mądrości niemal tak bardzo jak jazz.

- Zauważyłbym to szybciej - rzekł - tyle że, jak mówiłem, jeśli chodzi o morderstwa, mieliśmy ich ostatnio niepokojący nadmiar.

- Oczywiście. Najwyższy punkt krzywej dzwonowej.

Nagle przypomniałem sobie jeden z nagłówków przeczytanych przez ramię Nicky'ego na monitorze komputera: MAŻ I ŻONA ZASTRZELENI Z ZIMNĄ KRWIĄ. A niech mnie! Miałem to przed oczyma i zupełnie olałem.

- Zostali znaleźieni w ich własnym domu - podjął Nicky. - Gdzieś w okolicach Maida Vale.

- Maida Vale? - wtrąciłem. - Steve Torrington, którego ja poznałem, podał mi adres przy Bishops Avenue.

- Jaki numer?

Zapuściłem sieć w pamięci.

- Sześćdziesiąt coś. Sześćdziesiąt dwa.

- To squat, ty debilu. A po co w ogóle dał ci ten adres? Zaprosił cię na koktajle?

- Żebym mógł mu posłać pokwitowanie - przyznałem. - Jasne, zupełnie jakby, kurwa, interesowało go, gdzie trafi.

- W każdym razie prawdziwy Stephen Torrington mieszkał w Maida Vale - już tam, kurwa, nie mieszka. Mam adres, jeśli chcesz, ale radziłbym trzymać się z daleka od tamtego domu. Zabito go w salonie: część mebli odsunięto, żeby zrobić miejsce. Zabójca w stylu teatralnym. Cały dom splądrowano. Każdą szufladę, szafkę, wszystko wyciągnięto i wywalono na podłogę. Jak po rewizji, głosił raport, ale tylko zgadywali. W całym tym bałaganie nie potrafili stwierdzić, czy czegośkolwiek brakuje. I nie mieli pojęcia, co się stało z dziewczynką.

- Abbie - szepnąłem.

- Tak, z nią. Wiedzieli, że mieszka tam dzieciak, nawet bez sprawdzania akt Torringtonów, bo jeden z pokoiów niewątpliwie należał do niej. Jego także przetrzepano, tak jak całą resztę.

Oczywiście, że tak. I pewne rzeczy zabrano. Wiedziałem to, bo oprócz głowy lalki tkwiącej w mojej pieprzonej kieszeni leżały w dużym czarnym worku w moim biurze - prezent od gościa, który nazywał się Stevem Torringtonem. Wyobraziłem

sobie, jak grzebie w rzeczach Abbie, podczas gdy jej prawdziwi rodzice leżą zamordowani na dole, i poczułem bezsensowną wściekłość na swoją własną naiwność. Nic dziwnego, że odesłał kobietę do wozu. Kimkolwiek, kurwa, był, wiedział, że ma dość talentu aktorskiego, by odegrać swoją rolę, ale wolał nie polegać na jej zdolnościach. I miał rację. Doskonale odgrywał rozpacz, choć rozpacz zazwyczaj nie jest tak wygadana. Powinienem był się zorientować. Powinienem był coś wyczuć.

Ale gdyby nawet, co mógłbym zrobić? Odmówić przyjęcia sprawy? Abbie nie żyła - to wiedziałem na pewno, bo dotknąłem jej ducha poprzez londyńską noc. I czułem przejmujący smutek i żal, które przepelniały ją za życia.

Bez względu na kłamstwa, tak naprawdę przyjąłem sprawę z jej powodu. I dla niej doprowadzę ją do końca. W tym momencie miałem nadzieję, że oznacza to, że gdzieś po drodze znów wpadnę na *soi-disant* Steve'a Torringtona, by móc przywrócić sobie nieco szacunku dla własnej osoby dzięki odpowiedniemu zastosowaniu łyżki do opon.

Wizja ta sprawiła, że przypomniałem sobie siniaki „Mel”. I nagle pojąłem, że służyły wyłącznie zrobieniu właściwego wrażenia: dekoracja mająca wzbudzić moje współczucie i może wyjaśnić jej niezręczność i brak emocji w głosie. Sukinsyn niczego nie przeoczył - i nie obchodziło go, komu zadaje ból.

- Co właściwie myślą gliny? - spytałem, z lekkim niepokojem porzucając ten wątek.

Nicky wzruszył jednym ramieniem.

- Nic nie wiedzą - oznajmił. - Przynajmniej nic, co znalazłoby się w aktach. Zanalizowali pociski, toteż kiedy znajdą spluwę, od razu ją rozpoznają. Przepraszam, spluwy, bo były dwie. Ale nic w bazie danych balistycznych nie sugeruje, by którejkolwiek użyto wcześniej, więc na razie to ślepy zaulek. Sprawdzili dokładnie cały dom, szukając odcisków. Nie znaleźli niczego, prócz tych, które powinni znaleźć. Nawet zamazanych. Zabezpieczyli parę odcisków stóp, ale znów mogą jedynie pomóc przygwoździć sprawców, kiedy już ich znajdą.

- Świadkowie z sąsiedztwa?

- Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Tu i ówdzie krążyły jednak pewne plotki. Niektórzy uważali, że to tylko kwestia czasu. Najwyraźniej Torringtonowie obniżali klasę tego miejsca. Mnóstwo nieciekawych typów odwiedzało ich dom o wszystkich porach dnia i nocy. Zwłaszcza jeden bywał tam często: wysoki, dobrze zbudowany, w długim skórzanym płaszczu, z dwoma przydupasami tańczącymi

wokół, jakby był bogiem. Sąsiedzi uważali, że to albo gangster, albo producent z firmy płytowej. Może jedno i drugie. Do służb socjalnych zgłoszono oficjalną skargę. Jednego z sąsiadów tak bardzo zaniepokoiły wszystkie te wizyty, że zaczął się obawiać, czy Torringtonowie nie są pedofilami, sprzedającymi małą Abbie.

Zamarłem ze szklanką w połowie drogi do ust. To z pewnością tłumaczyłoby jej smutek,

- I? - Nacisnąłem, jednocześnie chcąc i nie chcąc usłyszeć odpowiedzi.

- Jeden z pracowników złożył im wizytę, raport dołączono do akt. Nie dotarłem do wszystkiego, ale z tego, co zrozumiałem, Abbie wyglądała na normalną, zdrową dziewczynkę. Nieco poważną i zamkniętą w sobie, ale dobrze odżywioną i zadbaną. Ładny pokój, porządne, czyste ciuchy, rozmowa nie zdradziła niczego, sam wiesz. „Nie ujawniła nadmiernej wiedzy i zainteresowania sprawami seksualnymi”. Ani śladu dymiącej spluwy, czy nawet cienia prochu. Przepraszamy za kłopot, proszę podpisać i w drogę.

- Ale tam jednak coś się działo - mruknąłem ponuro. - Mnóstwo gości. Niektórzy regularni. Zjawiający się tak często, że sąsiedzi zaczęli ich zauważać. Co kombinowali Torringtonowie?

- Sprzedawali prochy? - podsunął Nicky. - Robili operacje plastyczne? Zajmuję się danymi, Castor, nie wróżeniem z pieprzonych fusów. To, co wiedziałem, ty także wiesz. Chwilowo to wszystko, czego policji udało się dowiedzieć od sobotniego wieczoru. Abbie oficjalnie pozostaje zaginiona, jej rodzice bez wątplenia są martwi. Wiem, że w swym fachu widzisz mnóstwo duchów, ale czy kiedyś wcześniej jakiś cię zatrudnił?

Choć raz Nicky nie zaśmiał się z własnego dowcipu. Jakby się zaraził moim ponurym nastrojem, a poza tym wciąż był na mnie wściekły za to, że popsulem mu stosunki z Imeldą.

Pociągnąłem łyk whisky, nawet nie czując smaku.

- A co z Peace'em? - spytałem. - Dokopałeś się czegoś jeszcze?

Nicky przybrał kokieteryjną minę - jak zawsze, kiedy ma coś naprawdę wystrzałowego.

- Tak - przyznał. - Odrobinę. Nie wiem jednak, czy cokolwiek wiąże się z tą sprawą.

- To znaczy?

- To znaczy, że w większości to stare dane. Głównie o jego trybie życia. Nic, co mogłoby ci pomóc go odnaleźć.

- I tak mi powiedz - zaproponowałem.

Nicky najeżył się, kokieteria ustąpiła miejsca irytacji, wciąż tłącej się pod powierzchnią.

- Castor, w tej chwili nie jestem członkiem twojego fanklubu. Wpienia mnie, kiedy gadasz do mnie jak do jakiegoś sługusa, którego możesz...

- Proszę - poprawiłem się. - Bardzo proszę. Bardzo ślicznie proszę.

- Już lepiej. To taki przypadek, że im więcej kopiesz, tym ciekawszych rzeczy się dokopujesz. Lista jego zarzutów jest bardzo długa. Gdziekolwiek Peace zatrzymuje się na dłużej, wpada w tarapaty. Po krótkiej służbie w armii, o której wspominałem, znalazł sposób, by wykorzystać swoje szkolenie, i został najemnikiem. Zatrudnił się w prywatnej firmie ochroniarskiej na Bliskim Wschodzie, cieszącej się bardzo nieciekawą sławą. Ale potem połowę zarządu zamknięto za próbę zorganizowania przewrotu w Libii i znów wylądował na bruku.

Coś w oczach Nicky'ego mówiło mi, że najlepsze zachował na koniec. W innych okolicznościach zniecierpliwienie kazałoby mi na niego nawrzeszczyć, dziś uznałem, że lepiej spróbuję go ugłaskać.

- Coś jeszcze? - spytałem, podrzucając wyczekiwany tekst.

- Tak. Skoro pytasz, owszem.

- Mów dalej.

- W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym w stanie Nowy Jork Peace złożył pozew sądowy. Przeciwko Antonowi Fanke - pamiętasz, to ten satanista, o którym ci wspominałem - i kobiecie wymienionej w pozwie jako Melanie Carla Jeffers vel Melanie Carla Silver, vel Melanie Carla Torrington.

Zakląłem głośno, Nicky pokiwał głową.

- Słodkie, prawda? - Ale dopiero następna informacja sprawiła, że nadstawiłem ucha. - Słuchaj dalej: to sprawa o opiekę nad dzieckiem. Powód twierdził, że pozwani nie nadają się do pełnienia roli rodziców i prosił sąd o przyznanie opieki nad... wiesz chyba, co będzie dalej, więc nie ma sensu tego przeciągać.

Uszy wypełnił mi głośny szum: nie potrafiłem stwierdzić, ile z niego to gorączka, a ile gwałtowny napływ adrenaliny, gdy mój umysł popędził w miejsce, do którego zmierzał Nicky.

- Dziewczynką imieniem Abigail? - zaryzykowałem.

Nawet dla mnie mój głos zabrzmiał głucho i niewyraźnie.

- Punkt dla ciebie. Tu akurat nazywają ją Abigail Fanke.

- To córka Peace'a.

- Przynajmniej według niego. A akta sądowe zgadzają się z nim, bo mimo nazwiska, dołączono do nich akt urodzenia w Buriana Faso, trzynastego maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt trzy. Matka: Melanie Carla Jeffers. Ojciec: Dennis Peace.

- Niedługo po tym, jak wyszedł z więzienia - zauważyłem.

- Miło, że słuchałeś. Owszem. Uzbrojony w ten drobny fakt, wróciłem do rejestrów sądowych. Pieprzona robota, bo nie muszę ci chyba mówić, że wszystkie wypisano ręcznie. Musiałem pociągnąć za parę sznurków, ale w końcu znalazłem co trzeba. Melanie jak jej tam wpłaciła kaucję i wykupiła Peace'a z więzienia, zapewne dzięki serii łapówek. W sumie to ma sens. Jak wspominałem, gdyby sam miał kasę, mógłby przed wydaniem wyroku opłacić sędziego za połowę stawki. Ale może nie miał forsy? Może potrzebował anioła?

- Anioła. Jasne.

- Po nocy świętowania i namiętności, dziewięć miesięcy później rodzi się mała Abbie. W gruncie rzeczy to ma sens. A teraz z nią uciekł - nie wiemy oficjalnie, żywa czy martwa.

- Ja wiem.

- Jasne, że tak. Nie wiedziałeś tylko, że po drodze zatrzymał się, by zabić jej matkę i obecnego chłopaka matki. I że ktoś chce go dopaść tak bardzo, że wcisnął ci te wszystkie bzdety, żeby wciągnąć cię w sprawę.

Pokręciłem głową, która tak bardzo bolała, że bałem się, że zaraz odpadnie. Nicky spojrział na mnie urażony.

- Co, zraniłem twoją zawodową dumę?

- Nie. Ale powiedziałeś, że zależy im na Peasie. To nie o Peacea chodzi w tym wszystkim, Nicky, tylko o Abbie.

- No jasne, z jego punktu widzenia, oczywiście. Wygląda na to, że zabił dwoje ludzi, żeby ją zdobyć. Ale goście, którzy go szukają...

- Jeśli szukają Peace'a, czemu nie wynajęli prawdziwego detektywa? Po co zwrócili się do mnie?

Nicky otworzył usta, by coś powiedzieć, zamrugął, zamknął je.

- Widzisz? Mnóstwo ludzi potrafiłoby lepiej ode mnie wytropić kogoś, kto nie chce zostać znaleziony. Ale znalezienie jego nie oznacza koniecznie znalezienia Abbie. Żeby odnaleźć ducha, potrzebujesz egzorcysty. I do niego właśnie się zwrócili.

Wstałem lekko chwiejnie.

- Jesteś pijany? - spytał Nicky z pogardą abstynenta.

- Nie, chyba coś złapałem.

- Ani trochę mnie to nie dziwi, biorąc pod uwagę, jakie paskudztwa w siebie wlewasz. Twoje ciało może nie jest świątynią, Castor, ale nie jest też śmietnikiem. Uwierz mi, jeśli chcesz dożyć starości, to lepiej...

- Oszczędź mi tego, Nicky i wyślij pocztą. Nie jestem w nastroju. Mówiłeś poważnie o tej taksówce?

- Śmiertelnie poważnie.

- Dobrze powiedziane.

- Zabawne.

- Mniejsza z tym. Dzięki za pomoc. Ja stawiam. Rzuciłem na stół parę dziesiątek i ruszyłem chwiejnie do drzwi.

Musiałem wyglądać jak jeden ze zzombifikowanych bywalców „Poziomu”, a z całą pewnością tak się czułem.

Podchodząc do wozu Matta z niewłaściwej strony, przekonałem się, jak bardzo uszkodziły karoserię katolickie wilkołaki. Nie czułem się z tym najlepiej - to była kiepska zapłata za zaufanie brata. Możliwe nawet, że będzie miał problemy z wypłatą odszkodowania, w końcu nie on prowadził. Pocieszała mnie tylko świadomość, że u osób religijnych przeciwności wzmacniają ducha.

Wsiadłem i ruszyłem, próbując skupić się na drodze przede mną. Przed oczami przelatywały mi czarne pasma. Cokolwiek się ze mną działo, z każdą chwilą pogarszało się, miast polepszać. Z drugiej strony, to była parszywa noc - nie musiałem szukać zbyt daleko powodów, dla których funkcjonuję na mniej niż stu procentach.

Naprawdę musiałem skupić uwagę na drodze, ale odkryłem, że moje myśli powracają do tego, co powiedział Nicky. Mała Abbie za życia nie zaznała zbyt wiele szczęścia, ale miała cholernie wielu rodziców. Dwoje, którzy zginęli w sobotę, dwoje kolejnych, którzy zjawili się w moim biurze w poniedziałek rano - i piątego, Dennisa Peace'a, nieprzynależnego do żadnej z tych par. Do tego jeszcze katolicy: Anathemata także chcieli ją zdobyć, i to bardzo. Wyczuwałem tryby obracające się wewnątrz trybów, małe ognie rozpalające większe. Cokolwiek się działo, Abbie stanowiła klucz

do czegoś ważnego; wiedziałem, że mam rację. Niestety, w żaden sposób nie zbliżała mnie ona do odgadnięcia, o co dokładnie chodzi. „Ktoś nie zamknął kręgu”, powiedział wilkołak Zucker, uroczo mieszając przenośnie, „i ptaszek wyfrunął z gniazdka”. Nadal brzmiało to kretyńsko, nieważne jak na to spojrzeć, ale nagle uznałem, że ptaszek musiał oznaczać Abbie Torrington. Przed czymkolwiek uciekła, musiało chodzić o coś tak złego, że nie wyzwała od tego nawet śmierć.

Minęło w pół do drugiej, gdy zajechałem na podjazd Pen. W domu było ciemno, co nic nie znaczyło, bo okna sutereny Pen wychodzą na ogród, nie na ulicę. Miałem nadzieję, że nie śpi i że będziemy mogli się pogodzić, wypić szklanek albo dwie, może też pogadać o rzeczach, którymi zaskoczył mnie Nicky - sprawdzić, czy ona okaże się równie łatwowierna.

Nie dostałem jednak szansy, by się przekonać. Postąpiłem trzy kroki w stronę domu, gdy ulicę oświetliły reflektory, przyszpilając mnie niczym motyla do tablicy. Trzasnęły drzwiczki, z lewej i prawej jednocześnie usłyszałem kroki. Zacisnąłem pięści, szykując się, by polec w walce.

- Spokojnie, Castor, wyluzuj.

Wyluzowałem, lecz tylko odrobinę. To był głos Gary'ego Coldwooda. Chwilę później on sam pojawił się w smudze światła, niczym Nosferatu w negatywie, i położył mi dłoń na ramieniu, nieco zbyt blisko szyi. Wzdrygnąłem się. Głowa pulsowała mi tak potwornie, że nawet przesadnie przyjazny dotyk wywołał kolejne fale bólu.

- Harujesz po nocach, co? - rzucił Coldwood. - Wyglądasz do dupy.

- I tak się czuję - odparłem. - To komplet.

Przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu. Wyraźnie chciał coś powiedzieć i było to coś wymagającego dłuższego wstępu.

- Chodzi o Pauleya? - nacisnąłem.

Popatrzył na mnie dziwnie.

- Kogo?

- Robina Pauleya? Barona narkotykowego i mordercę? Mam być świadkiem na jego procesie, pamiętasz? Kazalesz mi się pilnować.

Coldwood skinął głową i machnął lekceważąco ręką.

- Pauley nie żyje - oświadczył. - Trzech jego poruczników także. Dziś rano wyłowiliśmy ich z Tamizy. Uważamy teraz, że morderstwo Sheehana stanowiło pierwsze posunięcie w wojnie gangów. Przepraszam, Fix, powinienem był ci powiedzieć.

- Tak - zgodziłem się obojętnie. - Powinieneś. A teraz powiedziałaś. Lecz następnym razem możesz po prostu wysłać mi mejla. Radiowozy pod domem w środku nocy to idealna pożywka dla sąsiedzkich plotek.

Nawet nie drgnął. Zupełnie jakby nie słuchał.

- Wiele nas łączy, Fix - rzekł.

- Nic - uciąłem. - Niewiele.

Zaśmiał się nieprzekonująco.

- No cóż, masz rację, niewiele nas łączy, fakt. Ale nauczyłem się ci ufać. To znaczy do pewnego stopnia. Pomijając bajery - a bez wątpienia lubisz bajerować - nie sądzę, byś kiedykolwiek mnie okłamał.

Znów zapadła cisza.

- I co z tego? - spytałem. - Przyjechałeś tu tylko po to, żeby mnie uściskać?

Coldwood pokręcił głową. Podczas naszej rozmowy z obu stron podeszli do mnie kobieta i mężczyzna, teraz zerknął na nich kolejno. Nawet się nie obejrzałem, bo w blasku reflektorów i tak niewiele bym zobaczył.

- Fix, to jest detektyw sierżant Basquiat i detektyw konstabl Fields. Jadą na miejsce zbrodni i chcieliby, żebyś obejrzał je z nimi. Ponieważ wyznaczono mnie na twojego łącznika, przeszli przeze mnie. Powiedziałem, że na pewno się zgodzisz, ale, biorąc pod uwagę późną porę, możemy poprosić cię rano.

Jego głos stał się suchy i oficjalny - starannie dobrane słowa do protokołu. I właśnie ten ton bardziej niż cokolwiek sprawił, że skinąłem głową - ostrożnie, by zminimalizować ryzyko, że wybuchnie bądź odpadnie. Brzmiało to jak solidne bagno wiążące się z niezłymi reperkusjami i wołałem wiedzieć, o co biega.

Pojechaliśmy na zachód, co uznałem za nieuniknione - przez Muswell Hill i Finchley do Hendon. Oba wozy - Coldwood wsadził mnie na tylne siedzenie jednego i wsiadł obok - prowadzili mundurowi. Fields i Basquiat jechali za nami drugim.

- Opowiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi? - spytałem po paru minutach kamiennej ciszy.

Coldwood spojrzał na mnie.

- Na razie nie - odparł.

Nie była to długa podróż, ale zdawało się, że trwała wieki. Oczy same zamykały mi się ze zmęczenia, a ból w głowie w jakiś sposób przełożył się na ryczący szum w uszach. To musiała być grypa i nie mogła mnie dopaść w gorszej chwili. Pen od czasu do czasu odczytuje przyszłość w herbacianych fusach i nie przychodzi jej to łatwo, lecz mowa ciała gliniarza potrafi być znakomitym wskaźnikiem tego, co przyniesie nasza najbliższa przyszłość. O ile się nie myliłem, siedziałem po uszy w gównie.

Zatrzymaliśmy się w końcu gdzieś przy Hendon Lane. Coldwood wysiadł, przytrzymał mi drzwiczki. Ja również wysiadłem i dopiero, gdy nocne powietrze dotknęło potu na mej twarzy, pojąłem, jak bardzo przegrzany był wóz.

- Tutaj. - Mój towarzysz wskazał ręką.

Staliśmy przed budynkiem z żółtej cegły, przypominającym salkę kościelną. Samochód zjechał z drogi na wąski podjazd, także wyłożony cegłami, najwyraźniej mający służyć za parking, ale trzy czwarte odgradzały taśmy policyjne, na jednej z nich wisiała duża tabliczka z napisem wstęp wzbroniony. W samym budynku także nie przyjmowano interesantów, o czym świadczyły pozamykane okiennice i wysokie chaszczki rosnące pod ścianami. Z boku stał znak z tabliczką. W chwili, gdy na niego spojrzałem, światła reflektorów drugiego samochodu zjeżdżającego z drogi i zatrzymującego się ze stłumionym westchnieniem hydraulicznego zawieszenia, oświetliły go wyraźnie: dom spotkań przyjaciół. Super, zawsze miło jest trafić między przyjaciół. Dalej, przy ulicy stały fabryki i magazyny - wszystkie ciemne, świeciły tylko latarnie, a i z nich część nie działała, bez wątpienia rozbita przez dzieciaki mające dobre oko, spory zapas półceglówek i zbyt wiele wolnego czasu.

Po obu stronach otwartych drzwi czuwali konstable; gdy przechodziliśmy, pozdrowili Coldwooda, on jednak ich zignorował.

Na korytarzu w środku było ciemno, lecz w jednym z pomieszczeń dostrzegłem blask przenośnych lamp. Weszliśmy tam, osłaniając oczy przed nagłą jasnością. Echo naszych kroków natychmiast zasugerowało, że znaleźliśmy się w dużym pomieszczeniu, nim jeszcze moje oczy przywykły do światła i mogłem cokolwiek zobaczyć. Ciemne postaci krążyły tam i z powrotem po pustej podłodze. Ich krokom towarzyszył szelest grubej folii, po której chodzili.

- Mamy jeszcze jedną kulę, Len! - zawołał ktoś.

- W podłodze?! - odkrzyknął ktoś inny. Jego głos świadczył, że gość albo za dużo pali, albo cierpi na najgorszy przypadek chronicznego zapalenia oskrzeli, z jakim się zetknąłem.

- Nie, w tej belce, mocno z boku. Strzelec musiał odbić na bok, nim znów wycelował.

- Dobra. Zmierzcie kąty i zaznaczcie.

Kawałki pomieszczenia powoli ułożyły się przed moimi oczami w jedną całość. Zmęczenie sprawiło, że zwykły proces akomodacji trwał dwa razy dłużej. Pomieszczenie było większe niż sądziłem, bo najpierw widziałem jedynie obszar oświetlony reflektorami, teraz czaiły się za nimi rozległe obszary cieni skrywających głębię.

Była to typowa kościelna sala w nowoczesnym stylu: pozbawiona przytłaczającego majestatu, typowego dla starych kościołów, ale na swój sposób ładna. Dużo jasnego drewna, głównie w postaci belek i framug, symetryczny plan z zatokami, i choć ogólnie miała kształt kwadratu, odnosiło się wrażenie skomplikowanego origami, rozkładającego się wokół sporej, otwartej przestrzeni. Podmiejska transcendencja epoki Ikei. Tyle że obecnie rozgrywały się tu sceny z zupełnie innej bajki: kryminalistyka sądowa, tryumf racjonalizmu. Mężczyźni i kobiety w białych fartuchach dreptali tam i z powrotem z wacikami i miarkami, notując coś w swoich PDA i porozumiewając się zwięzłym, surowym żargonem.

Za moimi plecami trzasnęły drzwi, sprawiając, że odwróciłem głowę. Detektywi Basquiat i Fields wyłonili się z nocy w powiewie zimnego powietrza, niczym złe wieści. Po raz pierwszy ujrzałem ich wyraźnie. Basquiat była blondynką o ostrych rysach twarzy, ubraną w odcienie niebieskiego - od szpitalnego aż po konserwatywny. Proste włosy miała spięte, co podkreślało ostrość jej rysów. Fields wkroczył już w wiek średni i zaczynał tyć, lecz w jego ciemnych oczach i kręconych czarnych włosach pozostały smutne ślady śródziemnomorskiej urody. Fakt, że w jego wieku nadal był jedynie detektywem konstabłem, sugerował coś monumentalnie przejebanego w przeszłości, albo też równie monumentalny brak ambicji.

- Wprowadzicie go w to? - spytał Coldwood.

Fields spojrział na Basquiat, czekając na rozkazy.

- Może ty to zrobisz? - Odwróciła się do Coldwooda. - To twój człowiek.

Coldwood pokręcił głową.

- Nie, nie, nie, wasza scena - przypomniał beznamiętnie. - Bez takich numerów, proszę.

Basquiat westchnęła i wywróciła oczami: posłała Coldwoodowi zbolale spojrzenie, mówiące wyraźniej niż słowa „czy naprawdę musimy robić wszystko

zgodnie z podzielonymi przepisami?”. Coldwood spojrział jej w oczy, nie ustępując nawet na centymetr. Dobra, wiedziałem już do czego to zmierza, a przynajmniej częściowo. Ktoś tu miał poważne problemy z jurysdykcją. Odgrywałem jednak głupka, gdyż gliniarze najbardziej na świecie nienawidzą wyszczekanych cywilów.

- Tutaj. - Basquiat skinęła na mnie wyniośle, jakby wołała do nogi psa.

- Dzięki, że mnie broniłeś, Gary - wymamrotałem do Coldwooda, starając się przegnać z głosu wszelkie ślady sarkazmu.

- Hej, nie masz pojęcia, co dla ciebie zrobiłem, a czego nie - wymamrotał gniewnie Coldwood. - Próbowałem zadzwonić wcześniej, ale cały dzień cię nie było, a komórkę miałeś zajęta. Nie wiem, czy zauważyłeś, Fix, ale mieliśmy dziś urwanie głowy. W White City doszło do pieprzonych zamieszek.

- Słyszałem.

- Niewinni nie mają się czego obawiać. No dalej, zaskocz mnie.

Podszedłem do miejsca, w którym stała Basquiat, mniej więcej pośrodku sali i zaścielającej podłogę folii. Obserwowała mnie uważnie. Mimo profesjonalnej fryzury i stroju była bardzo atrakcyjna i wyraźnie bardzo mnie nie lubiła. Zerknąwszy w dół, przekonałem się, że deptę po trupach, czy raczej po plastikowych numerkach, używanych przez kryminalistów do oznaczania miejsc, w których ktoś zginął. Jeden. Dwa. Trzy. Ktoś był tu bardzo zajęty. I niespecjalnie wybredny.

Kiedy zrównałem się z Basquiat, wskazała palcem podłogę pod stopami. Pod folią narysowano na niej grubą, ziarnistą białą kredą krąg, mający około półtora metra średnicy. Wewnątrz kręgu widniał drugi, mniejszy, a pomiędzy nimi, dookoła, starannie wypisane równo rozmieszczonymi literami słowa VERHIEL SERAGON IRDE SABAOTH REDOCTIN. W środku koła nakreślono pentagram: pięcioramienną gwiazdę, wykorzystywaną w niektórych odmianach czarnej magii, ponieważ - podobno - łączy w sobie cztery żywioły materii z jedyną, nadrzędną rzeczywistością duchów. Świetnie się też nadaje na biżuterię dla małych miłośniczek gotyku, ale to jedynie miły zbieg okoliczności. W każdej z części kręgu, pomiędzy pięcioma ramionami pentagramu, widniały misternie wypisane zawijasy: bazowały na literach greckich, ale z wieloma dodatkowymi ogonkami.

Najbardziej jednak rzucało się w oczy to, że mimo starannego wykonania, krąg był solidnie skopany. Deski podłogi przecinała długa linia drzazg i otworów, pośrodku kręgu wylało się coś brązowego, co sięgnęło niemal jego krawędzi, rozmazując część

pentagramu. Widniał tam kolejny plastikowy znaczek. Czerwony z idealnie białą cyfrą jeden.

Ktoś nie zamknął kręgu...

- Sobotnia noc - powiedziała za mną Basquiat. - Po ósmej wieczór i przed, powiedzmy, drugą nad ranem. Była tu spora grupa ludzi. Mamy ślady opon na zewnątrz, ślady stóp i tak dalej. Oceniamy, że w sumie było ich ze dwa tuziny, ale wciąż nie wiemy na pewno. Wiemy natomiast, że nie przyszli tu ot tak, z ulicy. Niektórzy jakiś czas tu mieszkali. Na tyłach - wskazała ręką w mrok - jest sześć śpiworów, przenośna latryna, mnóstwo puszek i dziesięć czarnych worków, pełnych najróżniejszych śmieci. Powiedzmy zatem, że mamy podstawową grupę opiekującą się tym miejscem - utrzymującą je w porządku i pilnującą, by nikt nie zwracał na nie uwagi. Następnie druga grupa, większa, zjawia się w sobotni wieczór na imprezę.

Uklękła na jednym kolanie i wymanikiowaną dłonią nakreśliła w powietrzu kształt kręgu.

- Domyślamy się też, jaka to była impreza. To pseudoparacelsjański krąg magiczny, oryginał można znaleźć w *Archidoxis magicae*. Nekromancja. Ktoś odprawiał tu czarną magię i - jej palce zawisły nad brązową plamą pośrodku kręgu - wymagała ona złożenia ofiary.

Basquiat znów wstała.

- Tu właśnie robi się ciekawie - oznajmiła, choć ton jej głosu pozostawał tak chłodny, że niemal obojętny. Skinieniem głowy wskazała część pomieszczenia, na którą nawet nie spojrzałem, jedną z bocznych alków, ciemną jak te pozostające poza zasięgiem reflektorów. - Nieproszony gość - wyjaśniła. - Przyszedł stamtąd. Albo był tam od początku i czekał na właściwy moment. Jest tam okno zabite deskami, ale ktoś je podważył i zostawił oparte o ścianę. Wszedł bardzo cicho, nie usłyszeli go. A może śpiewali? Tak czy inaczej, podszedł blisko nie zwracając niczyjej uwagi. Wiemy to, bo ludzie stojący tutaj, tutaj i tutaj - odliczyła, marszcząc czoło, jakby wysilała pamięć, choć ciemne plamy pod folią doskonale oznaczały te miejsca - zostali postrzeleni w plecy.

Odwróciła się, patrząc na mnie zimno, uważnie. Po sekundzie wskazała tyły sali za moimi plecami.

- Reszta magików zaczęła biec. Nie uciekali przed człowiekiem z bronią, biegli ku niemu. Sami nie mieli broni, a przynajmniej, z tego co nam wiadomo, z żadnej nie wystrzelili. Wszystkie zebrane pociski pochodzą z tej samej broni - izraelskiego

wojskowego karabinka szturmowego IMI Tavor. To broń, którą można przełączyć na pełen automat, ale magazynek, tak przynajmniej słyszałam, mieści zaledwie trzydzieści pocisków. Nieważne. Facet ich nie marnował i nie chybiał.

Basquiat minęła mnie, zmuszając, bym się odwrócił za nią, gdy kontynuowała wykład. Takie zasypywanie faktami, liczbami i figurami tanecznymi to typowa procedura policyjna. Słuchałem, lecz na poziomie niżej kryło się pytanie, które wciąż obracałem w myślach, czując mdlącą grozę, mniej więcej w rytm pulsowania w czaszce: kto - bądź co - stał pośrodku kręgu?

- W żaden sposób nie mógł przeładować - podjęła Basquiat, niczym wykładowca matematyki mówiący „proszę wyliczyć kąt”.

Jej ton nadal pozostawał obojętny, lecz na twarzy pojawiło się podniecenie, a przynajmniej lekkie ożywienie. Widziałem wyraźnie, że uwielbia swoją pracę, i zastanawiałem się, czy podobna sprawa nie stanowi przełomu w karierze młodej, ambitnej detektyw sierżant.

- Sześć kul zużył, przedstawiając się - ciągnęła. - Zakładając zatem, że wyjściowo dysponował pełnym magazynkiem, pozostały mu dwa tuziny naboju. Gdyby rzucili się na niego, a to właśnie zrobili, miałby kłopot. Ogień automatyczny rozproszyłby tłum, ale on nie miał czasu przełączyć broń. Poza tym, każdy, kto nie padłby po pierwszym kroku, i tak dobiegłby do niego. A jemu nie zostałoby nic do obrony, oprócz gołych rąk.

Przebiegła wzrokiem po podłodze, jakby odczytywała stamtąd historię.

- Może spodziewał się, że uciekną. Może zdumiał się, że nie zrozumieli. Nie bał się jednak, to pewne, bo ruszył im na spotkanie. Raz, dwa, trzy. - Wskazała rozmazane ślady na podłodze, między dwiema płachtami folii. - Zatrzymał się tutaj. A potem zrobił coś bardzo dziwnego.

- Strzelił w podłogę - wtrąciłem. Gardło zaschło mi nieprzyjemnie i słowa zabrzmiały skrzekliwie.

Basquiat spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

- Zgadza się. - Pokiwała głową. - Tak właśnie zrobił. Ale dlaczego, panie Castor? Niezbyt przekonująco wzruszyłem ramionami. Znałem odpowiedź, ale wciąż miałem nadzieję, że się mylę.

- Strzał ostrzegawczy?

- Po tym jak posłał kulki w plecy trzem osobom? Poważnie wątpię.

A co tam, kurwa. Skoro koniecznie chciała wciągnąć mnie do tańca...

- Krąg - powiedziałem ze znużeniem. - Rozwalił krąg.

- Nadal pytam, dlaczego? - odparła Basquiat. - To raczej dziwne. Mógłbyś rzucić na to nieco światła?

- Może. - Przyjąłem jej spojrzenie możliwie najobojętniej. - Ale może najpierw zechciałabyś mi powiedzieć, czemu w ogóle tu jestem. To by mi pomogło.

Basquiat zacisnęła zęby tak mocno, że przez sekundę widziałem zaznaczone wszystkie mięśnie jej szyi.

- Dziwię się, że musisz pytać. - W tych słowach dźwięczała mieszanina gniewu i pogardy. - Jesteś jednym z informatorów detektywa Coldwooda, tak przynajmniej twierdzi, i prosi cię o pomoc w wielu podobnych sytuacjach. Zgadza się? Mówisz mu, gdzie ktoś zginął, jak zginął i co porabia od tej pory.

- Owszem - przytaknąłem. - I tyle. Życzy pani sobie, bym odczytał miejsce zbrodni, detektywie?

- Na razie nie, panie Castor. Może później. W tej chwili chcę poznać odpowiedź. Skąd wiedziałeś, że Abbie Torrington nie żyje?

A więc jednak. Poczulem ssanie w żołądku, jak otchłań czekającą na jeszcze jedno słowo Basquiat, by się wypełnić.

- Jestem egzorcystą.

- To coś jak wróbel, który spada? - prychnęła, nieświadomie powtarzając moje własne słowa skierowane do Gwillama. - Słyszysz o każdym kto zginie? Jak się miewa mój dziadek? Kiedy ostatnio sprawdzałam, wszystko było w porządku, ale może wiesz coś nowego. - Znów spojrzała na mnie gniewnie.

Nadal próbowałem wymyślić co powiedzieć, kiedy zjawił się D.C. Fields i wręczył jej notatkę, nawet nie patrząc w moją stronę. Wzięła ją, odczytała i oddała mu z szybkim skinieniem głowy. Odszedł.

- Dwa dni temu w moim biurze zjawili się mężczyzna i kobieta - poinformowałem Basquiat, gdy znów skupiła na mnie wzrok. - Twierdzili, że są rodzicami Abbie. I poprosili, żebym ją znalazł.

- Znalazł jej ciało? - W głosie detektyw brzmiało niedowierzanie.

- Nie. Znalazł jej ducha.

Nie zabrzmiało to o wiele lepiej. Nim Basquiat zdołała odpowiedzieć, uniosłem dłoń w geście pojednania.

- Proszę mi powiedzieć, pani sierżant, czy Abbie Torrington zginęła w tym kręgu?

- Tak - odrzekła zimno Basquiat. - Zginęła. Dźgnięta w serce przez jakichś popierdzielińców bawiących się w czarownice i czarowników. - Podeszła do mnie bardzo blisko, zniżając głos, tak by jej następne słowa nie dotarły do niczyich innych uszu. - W tej chwili badamy jej ciało w kostnicy i możesz być pewny, że przeczyszemy je dokładnie. I jeśli się dowiem, że byłeś jednym z tych ludzi, którzy ją zabili, Castor, żadna moc na tej ziemi nie powstrzyma mnie przed urwaniem ci jaj. A potem odczytaniem szczegółowo praw, gdy będziesz się wykrwawiał.

Otchłań się wypełniła. Sądziłem, że wypełni ją smutek - żal po małej Abbie, rozprutej niczym kawał mięsa podczas rytuału satanistów - okazało się jednak, że miejsce żalu zajął gniew.

- Pozwól mi odczytać scenę - powiedziałem, tłumiąc w sobie wiele innych słów, które zebrały się w gardle.

- Śniesz, koleś - warknęła Basquiat, kręcąc głową. - Nie wiem, jakie wcześniej odniosłeś wrażenie, ale jesteś tu podejrzany. Prosiłam Coldwooda, by cię ściągnął, na wypadek gdybyś należał do typów, którzy rozsypują się i wyznają wszystko na miejscu zbrodni. To mogło oszczędzić nam czasu. Ale ponieważ nie należysz, będę musiała sprawdzić co wykażą dowody. Nie zgarniam cię od razu i nie przesłuchuję tylko dlatego, że Gary za ciebie ręczy, czy też dokładnie: ponieważ ma cię w papierach jako informatora. To oznacza, że nim każę Fieldsowi wykopać ci zęby, muszę wypełnić sporo papierków.

- Pozwalasz, by Fields odwał za ciebie czarną robotę? - rzuciłem. - Cóż za zawód. Kiedyś, gdy prosiło się gliniarza o pokaz surowej dyscypliny, można było przynajmniej liczyć na usługi osobiste.

Basquiat właśnie zamierzała odejść; zdążyła już się odwrócić do mnie plecami. Teraz obróciła się na pięcie i rąbnęła mnie hakiem w skroń. Ponieważ głowa była bliska eksplozji, a ja i tak chwiałem się na nogach, poleciałem na ziemię. Usłyszałem dobiegający z boku pełen uznania gwizd, z drugiej tupot nóg. Unosząc mętny wzrok, ujrzałem stojącego nade mną Gary'ego Coldwooda.

- Pan Castor potknął się na folii ochronnej - poinformowała go Basquiat.

- Tak. Widziałem. Myślę jednak, że stanie pewnie na nogach. Nie widzę, by się ślaniał.

- To zależy, czy zostanie w pobliżu - rzuciła Basquiat. Ukłękła i spojrzała mi prosto w twarz. - Fields tylko rozmiękcza klientów - oznajmiła. - Szczegółami zajmuję się sama.

Odeszła, a Coldwood pomógł mi podnieść się do pionu.

- Chodź, odetchnij świeżym powietrzem - wymamrotał. Przemierzyliśmy hol i wyszliśmy na ulicę. Oparłem się o front budynku, czując, jak świat wiruje wokół.

- Basquiat ma hopla na punkcie dzieciaków - wyjaśnił Coldwood. - Kiedy coś im się dzieje, traktuje to osobiście. W Kingston był jeden pedofil - odsiedział wyrok za gwałt na małym chłopcu i wyglądało na to, że wraca do dawnych nawyków. Spadł ze schodów w swym domu, kiedy Basquiat odwiedziła go, żeby zadać parę pytań. Złamał rękę i mocno uszkodził kręgosłup, możliwe, że nigdy nie dojdzie do siebie. Oskarżyła go o napaść. Powiedziała, że ją zaatakował i spadł ze schodów, gdy w samoobronie użyła chwytu judo. Historyjka śmierdziała pod niebiosa, ale kogo to obchodzi. Odsiedział jeszcze pół roku. Szczęśliwe zakończenie dla wszystkich.

Nie odpowiedziałem. Ja też traktowałem to osobiście, ale nie zamierzałem składać zapowiedzi zemsty w obecności policjanta. Jeśli chodzi o publikę, gliniarze stosują inne zasady.

- Załatw sobie prawnika, Fix - powiedział ze smutkiem Coldwood. - I to dobrego. Wcześniej czy później zgarniemy cię oficjalnie i, nieważne co się stanie, kiepski prawnik tylko cię wkopie.

- Potrzebuję... podwózki do domu - wybełkotałem.

Coldwood przyglądał mi się krytycznie parę sekund, po czym odwrócił się do jednego z mundurowych stojących przy drzwiach i udających, że nie słuchają.

- Odwieź go - polecił.

- Tak jest.

- I zapisz numery wozu, którym przyjechał. Na wszelki wypadek.

Wrócił do środka bez słowa pożegnania. Chyba uznał, że zrobił mi dość przysług jak na jedną noc.

13

Nie pamiętam, czy śniłem tej nocy, czy nie. Sen był niczym wykładana ołowiem skrzynia, do której runąłem i usłyszałem, jak wieko zatrzaskuje mi się nad głową. Wewnątrz było zimno jak w grobie i cudownie cicho.

Lecz w pewnym momencie tej nocy ktoś musiał oderwać ścianki skrzyni, bo pod moje powieki zaczęło wnikać światło - z początku niewiele, lecz te pierwsze drzazgi rozrastały się i zmieniały w łomy wciskające się do środka, otwierające mnie na dzień, z którym nie chciałem mieć nic do czynienia. Słyszałem także stukanie, jakby dłuta próbowały przebić się przez szczeliny i pęknięcia w głąb mojej świadomości.

Próbowałem się odwrócić od światła i natrętnego hałasu, ale te dobiegały ze wszystkich stron. A poza tym i tak ledwie się ruszałem, bo przykurczone mięśnie wrzeszczały z bólu.

Otworzyłem oczy - z trudem, bo miałem wrażenie, jakby zaklejono je silikonem. Byłem w samochodzie - samochodzie Matta, pojąłem, widząc odświeżającą powietrze choinkę, dyndającą nad moją głową niczym jemiola. Co ja tu robiłem, do diabła? Zaparkowałem u Pen, a potem Coldwood i jego kumple zgarnęli mnie i wywieźli do Hendon. A ponieważ policja odeskortowała mnie do domu... Nie, szczegóły nie chciały złożyć się w jedną całość. Do tej pory gorączka rozgorzała na dobre - zapewne doczołgałem się do samochodu kierowany mętnym przekonaniem, że nadal muszę pojechać do domu, a potem zasnąłem na kierownicy. Przynajmniej tyle dobrego, bo gdybym naprawdę wyjechał na ulicę, obudziłbym się w kostnicy, sprawdzając osobiście, jak się czuje duch poza ciałem.

Stukot się powtórzył, był teraz głośniejszy i dobiegał z prawej strony. Z trudem obróciłem się w fotelu, nie przekręcając głowy, bo miałem wrażenie, że szyja lada moment trzaśnie i pęknie. Obok wozu stała Pen, patrząc na mnie z wyrazem zdumienia i troski na twarzy.

Otworzyłem drzwi i wysiadłem, o mało nie tracąc równowagi. Pen skoczyła naprzód, by mnie złapać i przytrzymać.

- Dzięki - wymamrotałem. - Szczerze mówiąc, nie czuję się najlepiej.

Skrzywiła się, gdy woń mego oddechu zaatakowała jej nieprzygotowaną na to tchawicę. Sądząc po smaku, jaki czułem w ustach, było czego współczuć.

- Fix - upomniała, choć znacznie łagodniej niżbym przypuszczał. - Czy ty wczoraj piłeś?

Doskonale zrozumiałem to pytanie - próbowałem zamknąć samochód, ale nie udawało mi się trafić kluczem w dziurkę. Pen odebrała mi kluczyki i zamknęła wóz przyciskiem na breloczku.

- Nie - odparłem. - Nie więcej niż zwykle. To... coś innego. Dopadło mnie jakieś choróbsko.

Pen poprowadziła mnie do domu.

- Co zrobiłeś z samochodem? - spytała zatroskana. - I czyj on w ogóle jest?

- Samochód? - powtórzyłem niemądrze. Mój umysł przypominał rozłożone miękkie palce, niemogące zacisnąć się w pięść. Potem przypomniałem sobie otarcie na estakadzie w Hammersmith. - A to. To nie ja. To były katolickie wilkołaki.

Do drzwi frontowych Pen wiedzie zaledwie pięć schodków. Z jakichś powodów pokonanie ich zabrało nam bardzo dużo czasu, a na górze niemal doszło do katastrofy, bo straciłem równowagę i Pen musiała popchnąć mnie w głąb holu, żebym nie zleciał na tyłek.

- Wzywam lekarza - wymamrotała, ciągnąc mnie do salonu i bezceremonialnie sadzając na kanapie.

- Chyba po prostu muszę się położyć - odparłem. - Wczoraj miałem potwornie ciężki dzień. Najpierw wdałem się w walkę w White City, potem gliniarze zgarnęli mnie do pomocy w śledztwie.

- Jezu, Fix. - Pen patrzyła na mnie wyraźnie zmartwiona. - Co według nich zrobiłeś?

- Popełniłem morderstwo. - Wbiłem wzrok w ziemię, próbując przegnać wspomnienie zaschniętej plamy krwi i surowego plastikowego numerka - przypominającego te z szatni - oznaczającego miejsce, gdzie zginęła Abbie Torrington. Nic z tego, wspomnienie nie chciało odejść. - Uważają, że kogoś zamordowałem.

Zapadła cisza, która się rozrastała niczym białe światło, aż w końcu wypełniła cały pokój. Oszołomiony, o mało nie odpłynąłem na owej białej fali z powrotem w

nieświadomość. Nadal jednak miałem zbyt wiele do zrobienia: walczyłem z własnym ciałem i pokój znów się wyostrzył. Nie sądziłem, że to milczące starcie zabrało zbyt wiele czasu, ale kiedy ponownie uniosłem głowę, Pen zniknęła.

Sobota. Sobotni wieczór. Stało się wtedy coś znaczącego - coś, czego zarys zaledwie postrzegalem, dzięki wielu poszczególnym elementom. W sobotę Stephen i Melanie Torrington zostają pobici, a potem zastrzeleni w swym własnym domu. Nie walczą. Nie uciekają. Po prostu umierają. Później to samo spotyka Abbie - owieczkę ofiarną w satanistycznej zabawie. Potem, gdy ona już nie żyje, ktoś inny wchodzi do sali i rozgania imprezę za pomocą karabinka, nie celując w satanistów - a przynajmniej nie po kilku pierwszych porywających chwilach - lecz w magiczny krąg, w którym nadal leży ciało Abbie. Czy ów ktoś to Dennis Peace? Czy tak właśnie zdobył ducha Abbie? Zakładając, że naprawdę go miał. A jeśli tak, to było to porwanie, czy ratunek?

Tymczasem, pięć kilometrów dalej w Scrubs, kościół Świętego Michała nawiedziła istota tak potężna, że sama jej bliskość zatrzała umysły i dusze wszystkich w pieprzonym budynku, posyłając ich na mordercze trajektorie, które przecięły miasto niczym napięte druty kawał dojrzalego sera.

I było coś jeszcze. Coś, czego nie dostrzegalem.

Z holu dobiegł głos Pen, niski, napięty. Nie słyszałem nikogo innego, tylko ją. Odwróciłem się i zobaczyłem ją przez drzwi: stała u stóp schodów, sama, i gadała jak najęta. Oczywiście przez komórkę, ale w tym momencie odniosłem wrażenie, że obok niej musi unosić się widmowa postać, milcząca i niewidzialna. Pen wyglądała tak, jakby składała meldunek niebu, bo jej głowę otaczała plama światła, niczym aureola. Ale nie, to tylko słońce wlewające się przez świetlik nad frontowymi drzwiami. Był piękny dzień. Najwyższy czas. Zdecydowanie najwyższy. Ale gdyby słońce wiedziało co, kurwa, oświetla, czy w ogóle chciałoby mu się ruszyć dupę?

Pen wróciła do pokoju i podeszła do mnie, wyraźnie rozdarta.

- Muszę iść, Fix - oznajmiła. - Dziś rano Rafi spotyka się z psychiatrą na wstępnej rozmowie w sprawie zmiany swojego statusu. Nie chcę, żeby przechodził przez to sam. Zadzwońłam do Dylana, prosiłam, żeby podjechał i cię zbadał, ale jest na dyżurze i nie może. Przyśle tu kogoś innego, przyjaciela. Po prostu... po prostu zostań tutaj, dopóki się nie zjawi, dobrze?

- Tak - wymamrotałem. - Nigdzie się nie wybieram. Nic mi nie będzie.

- Dobrze. - Uklękła i uścisnęła mnie szybko, niepewnie. - Trzymaj się. Pozdrowię od ciebie Rafiego.

Gdy się wyprostowała, nowa myśl zaczęła miotać się zygzakiem po moim mózgu, próbując znaleźć nietknięty neuron, z którym mogłaby się połączyć. Pen wciąż mówiła, ale nie słyszałem ani słowa, zanadto dzwoniło mi w uszach.

Coś związanego z Pen? A może z Rafim? Powinienem tam z nim być. Byłem tam z nim. W tym właśnie problem. Dlatego właśnie miał tak przejebane.

Drzwi trzasnęły, wyrrywając mnie z półdrzemki. Próbowałem wstać, ale nie zdołałem. Otworzyłem usta, żeby powiedzieć „jadę z tobą”, ale Pen już nie było. Oczywiście. Dlatego przecież trzasnęły drzwi, już wyszła.

Ale nie w tym rzecz, prawda? Z Pen nic się nie działo, wybierała się w odwiedziny do Rafiego, a Asmodeusz - przynajmniej większa jego część - przebywał gdzie indziej. W czym zatem problem? Czemu czułem się, jakbym czegoś nie załatwił i jakbym musiał to zrobić natychmiast, nie tracąc czasu? A zważywszy na owo nagłące poczucie, dlaczego nadal pół siedziałem, pół leżałem na kanapie, z głową ciężącą mi na ramionach jak kamień, i wbijałem wzrok w podłogę?

Tym razem zdołałem wstać, choć podłoga kołysała się na wszystkie strony, próbując mnie wyrzucić. Pogrzebałem w kieszeni, szukając kluczyków Matta. Nie było ich tam. Może zostawiłem je w wozie? A gdzie zostawiłem samochód? Musiałem się z kimś spotkać. Z Juliet. Musiałem się spotkać z Juliet i powiedzieć, gdzie znajdzie Rafiego w sobotni wieczór.

Do przedpokoju. Którędy teraz? Albo w lewo, albo w prawo, nie było innych możliwości. Tyle że zapomniałem o jednej, w dół: w tej chwili dół z niewiadomych przyczyn wyraźnie zwyciężał. Dół mnie zachwycił. Kiedy się spróbowało, ciężko było się podnieść.

Leżałem na schodach, ukrzyżowany ukośnie na zakurzonej wykładzinie, która nie miała już żadnego wzoru, bo w promieniu słońca wszystkie włókna wyblakły, przybierając jednolity jasnozłoty kolor. Pachniała pleśnią i bardzo słabo estragonem - osobiście nie skorzystałbym z podobnego przepisu. Nie pamiętałem, żebym zdecydował się pójść na górę, toteż podparłem się, dźwignąłem, odchyliłem jak najdalej w tył i znów upadłem. W chwilach kryzysu trzeba pozostać zdecydowanym, inaczej ludzie będą nam chodzić po głowie.

Leżąc na plecach w holu, zobaczyłem, jak otwierają się drzwi. Para lśniących czarnych butów ruszyła ku mnie, najwyraźniej wędrując po suficie. Usłyszałem

wypowiedziane męskim głosem jedno słowo. Woli? Roli? Soli? A potem w moim polu widzenia pojawiła się wielka twarz, niczym księżyc wschodzący w południe. Owszem, miła twarz, ale w ogóle mi nieznana.

- Czy coś cię boli? - spytały wargi.

Sekundę później dźwięk zalał mnie niczym leniwa fala. Niemal niedostrzegalnie pokręciłem głową.

- Czy jest jakaś część ciała, którą nie możesz ruszyć?

Na te słowa roześmiałbym się, gdybym tylko pamiętał, jak to się robi. W tym momencie w ogóle nie mogłem się ruszyć. No, może palcem, gdybym bardzo się postarał.

Facet przeszedł do całej serii niestosownych dotyków: obmacał mi szyję i policzki, odciągnął powieki, by móc zajrzeć w oczy, w końcu rozchylił usta i w świetle latarki obejrzał gardło. Nie była to latareczka lekarska, lecz solidna „Mag-Lite”, którą musiał znaleźć pod zlewem Pen, lub w jakimś innym, równie niezdrowym miejscu.

- Pierdol się - powiedziałem.

Czy raczej spróbowałem powiedzieć. Może nie zdołałem wypowiedzieć tych słów, bo w żaden sposób nie zareagował, nawet mnie nie usłyszał. Wyszedł i znów wrócił, raz, może parę razy. Potem na wykładzinie obok mnie postawił torbę i pochylił się bardzo nisko.

- Masz jakieś świeże obrażenia? - spytał. - To znaczy rany? Rany, które wciąż mogą być otwarte?

Cóż, to przynajmniej należało do tematów dozwolonych dla lekarzy i mogłem o tym porozmawiać. Lecz zęby zaciskały mi się tak mocno, że nie chciały się rozłączyć. Przechodzi, przechodzi, pomyślałem, spójne zdanie, już przechodzi. Ale nie dały się nabrać i nic się nie stało. Zdołałem wywrócić oczami w stronę ramienia - to była minimalistyczna wskazówka, lecz najwyraźniej zrozumiał. Rozchylił mój płaszcz, rozpiął trzy górne guziki koszuli i ją odsunął. Pokiwał głową, widząc, co się pod nią kryje.

- To zakażenie - oświadczył. Świszczące echo jego głosu brzmiało niczym tani efekt gitarowy. - Będę musiał...

Jego głos stał się wstążką w powietrzu, drobnym skupiskiem ruchu, przenoszącym się z jednego końca na drugi, niczym trzask z bicia oglądany w fascynującym, zwolnionym tempie. Kiedy dotarł na koniec, rozpląnął się w absolutnej ciszy.

Gdy na wpół się przecknąłem, w ustach miałem tak sucho, że czułem się, jakby nasypano mi do nich pinezek. Próbowałem się odezwać. Coś zimnego i mokrego przywarło mi do twarzy. Zdołałem przyłożyć do tego język i poczuć nieco wilgoci. Ból nieco odpłynął, a ja wraz z nim.

Następną rzeczą, jaką usłyszałem, był Marsz Pułkownika Bogie z Mostu na rzece Kwai, wygrywany przez czyjś klakson. Oczywiście natychmiast przypomniałem sobie nieprzyzwoitą wersję z czasów wojny. Kto wymyślił tę historyjkę na temat jaj Hitlera? zastanawiałem się sennie. Albo inaczej. Kto podszedł dość blisko, by je policzyć?

Wspomnienia zalały mnie ze wszystkich stron jednocześnie. Usiadłem gwałtownie, jak pchnięty sprężyną. Byłem w moim własnym pokoju, leżałem we własnym łóżku, okno stało otworem. Co gorsza, i zaskakujące, na dworze zapadał wieczór.

- Kurwa - wychrypiałem. - Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa!

Odrzuciłem kołdrę, odkrywając po drodze, że jestem nagi i zlany potem. Kiedy spałem, gorączka minęła, teraz byłem słaby, lecz myślałem całkiem jasno. Dość jasno, by pamiętać... coś. Jakieś objawienie, które wyłoniło się z mgły mego nawalającego umysłu i pochwyciło w swe reflektory tuż przedtem, nim padłem. Ale nie dość jasno, bym pamiętał co to.

Juliet. Miało to coś wspólnego z Juliet i jej planami na dzisiejszy wieczór. Z jakiejś przyczyny dręczyło mnie przecucie - nie, mordercza, zimna pewność - że posłanie ducha w głąb kamieni kościoła Świętego Michała to nie najlepszy pomysł. Nie byłem pewien dlaczego, ale musiałem się tam znaleźć i ją powstrzymać.

Znalazłem ubranie, starannie złożone na komodzie tuż za drzwiami. Mój płaszcz wisiał na oparciu krzesła. W kieszeni tkwiła komórka, ale kiedy spróbowałem ją włączyć, pojąłem, że wyczerpała się bateria. Ryzyko zawodowe: nawróciłem się na ten wynalazek późno i bez przekonania. Wywróciłem wszystkie kieszenie - ani śladu kluczyków Matta.

Włożyłem ubranie w kolejności, w jakiej wpadało mi pod rękę. Rozpaczliwie pragnąłem wziąć prysznic, ale nie miałem czasu. Potykając się, zszedłem po schodach, nogi wciąż drżały mi lekko.

Telefon był w kuchni, podobnie niski, przysadzisty mężczyzna ze sporym piwnym brzuskiem. Siedział przy stole, przeglądając bardzo stary egzemplarz „Cosmopolitan”. Kiedy się zjawiłem, zamknął go i wstał. Miał na sobie brązową sztruksową marynarkę, lekko wystrzępioną, a tanie okulary na receptę nie tylko nie dodawały urody zarumienionej, dziobatej twarzy, ale co gorsza, powiększały jeden z najmniej ciekawych jej obszarów. Czubek jego głowy był łysy, lecz wokół uszu pozostały kępki włosów, niczym wątle trawki na zdradzieckim rumowisku. Pozdrowiłem go szybko, miałem jednak zbyt wiele na głowie, by zamienić choć słowo, sięgnąłem po telefon wiszący na ścianie. Niski mężczyzna patrzył, jak wybieram numer.

- Jak się czujesz? - spytał.

Miał bardzo słaby szkocki akcent.

- W porządku - odparłem. - Proszę dać mi chwilkę.

Wspólny telefon w schronisku zadzwonił paręnaście razy bez odpowiedzi. Już miałem się poddać, gdy ktoś w końcu podniósł słuchawkę.

- Halo, tu Emma. Kto mówi? - Głos dziewczynki, odbierającej z ową niezgrabnie oficjalną, telefoniczną manierą, jakiej niektóre dzieci uczą się od dorosłych, nie wiedząc dokładnie, o co w niej chodzi.

- Nazywam się Castor - odparłem. - Czy mogę mówić z Juliet? Jest tam?

Po drugiej strony linii usłyszałem niewyraźne mamrotanie.

- Wyszła - oznajmiła po chwili Emma. - Jeśli pan chce, może pan zostawić wiadomość.

- Dziękuję. Wiadomość jest taka, żeby do mnie zadzwoniła. - Przemyślałem to, nic z tego, zaraz będę w drodze. - Tak naprawdę - dodałem - wiadomość jest taka, że nie powinna iść do kościoła. Wyjaśnię jej, kiedy się zobaczymy.

- Przekażę wiadomość - obiecała piskliwie Emma. Rozłączyłem się i z opóźnieniem powitałem mężczyznę, który wciąż obserwował mnie w ciszy.

- Cokolwiek pan zrobił, zadziałało - powiedziałem. - Dzięki.

Wzruszył ramionami - bardzo szlachetnie, biorąc pod uwagę, że właśnie go olałem, po tym jak ściągnął mnie z krawędzi czegoś. Musiałem wyjść, ale musiałem też wiedzieć.

- Co to było? - spytałem. - Co się ze mną działo?

- Głównie *Clostridium tetani* - odparł.

- *Clostridium..?*

- Ciężki przypadek tężca. Nie powinien pan zapominać o szczepionkach. Czy ostatnio bawił się pan może z wilkołakami?

Zawahałem się, po czym skinąłem głową.

- A czemu?

- Tak też sądziłem. - Podrapał się po szczęce, patrząc na mnie, jakby miał ochotę znów mnie zbadać, a może nawet napisać monografię do „Lanceta”. - Raz już widziałem coś podobnego i tak bardzo mnie uderzyło, że próbowałem poczytać coś więcej. Ranę na pańskim ramieniu zadało coś w rodzaju kulki z kolcami albo gwiazdki do rzucania. Ktokolwiek ją rzucił, był *loup-garou* i najpierw polizał ostrze, solidnie zwilżając je swoją śliną. Wie pan, jak w powieściach szpiegowskich, wrogowie doczepiają pluskwę do samochodu bohatera albo podeszwy jego buta i dzięki niej go śledzą. To coś w rodzaju nietechnicznej wersji tego samego: wilkołaki potrafią wywęszyć feromony zawarte we własnej ślinie. Według pewnych badań, z odległości wielu kilometrów. Mogły śledzić pana przez pół Londynu. Oczywiście, przy okazji mogły też zarazić wścieklizną albo HIV. W sumie można uznać, że łatwo się pan wywinął.

To wiele wyjaśniało - i moje odczucia musiały odbić się na twarzy, bo niski facecik pospieszył z wyjaśnieniami.

- Och, proszę się nie martwić. Naszpikowałem pana vancomycyną. Teraz nie żyje już w panu nic, co nie powinno. A opatrunki z povidonem i jodyną powinny wyeliminować resztki feromonów, wciąż pozostające w pana ciele. Nie będzie pan musiał oglądać się przez ramię. Oczywiście, powinien pan zrobić badanie krwi, by wykluczyć wszelkie wolniej rozwijające się infekcje, ale z tego, co widzę, wszystko będzie dobrze.

Bardziej martwiły mnie już poczynione szkody. Tak właśnie dwa *loup-garou*, Po i Zucker, znalazły mnie przy „Kolektywie z Tamizy” i ponownie na Kenstington Church Street. A także na estakadzie w Hammersmith. Dranie, przez dwa dni siedzieli mi na ogonie. Na szczęście przez większość tego czasu ja sam uganiałem się za własnym ogonem, toteż mogli się nabawić wyłącznie zawrotów głowy.

- Dzięki - odparłem raz jeszcze niezręcznie. - Jestem bardzo wdzięczny.

Machnął lekceważąco ręką.

- Zrobiłem tylko przysługę przyjacielowi.

- Doktorowi Forsterowi?

- Zgadza się. Sam by się zjawił, gdyby mógł. Ale jego czas nie należy do niego.

Nagle zachowanie nieznanego zmieniło się - wyczułem w nim wahanie i niepewność.

- A co do dziewczynki... czy w jakiś sposób mógłbym pomóc? To znaczy zawodowo, jako lekarz.

Pytanie to kompletnie mnie zaskoczyło.

- Jakiej dziewczynki?

- Kiedy pracowałem nad raną, mówił pan coś o dziewczynce. I plamie krwi. Niewiele zrozumiałem, ale nie brzmiało to najlepiej.

Tak, pomyślałem, czując nagły ucisk w żołądku. A w sądzie wyglądałoby jeszcze gorzej.

- Nie - odparłem szorstko. - Nie może pan pomóc. Jeśli kogoś teraz potrzebuje, to nie lekarza.

Okrzyknął stół i stanął zaledwie metr ode mnie, marszcząc czoło w ponurym namyśle. Wiedziałem, że nie taką odpowiedź chciał usłyszeć. Najwyraźniej zadawał sobie pytanie, czy przypadkiem nie udzielił pomocy zabójcy dziecka.

- Proszę posłuchać - powiedziałem. - Ta dziewczynka to coś w rodzaju klientki. Wie pan, jak zarabiam na życie?

- Nie, przykro mi. Nie mam pojęcia.

- Jestem egzorcystą. Dziewczynka nie żyje i wynajęto mnie - wiem, że to zabrzmiało szalenie, ale taka jest prawda - bym odnalazł jej ducha.

Mężczyzna przytaknął wyrozumiale, jakby to miało doskonały sens. Potem jednak wyraźnie przetrwał moje słowa i wyczuł gorzki smak.

- Wynajęto? Kto mógłby ukraść ducha? Kto próbuje go odzyskać?

- Kto ją ukradł? Zapewne jej prawdziwy ojciec. Kto próbuje ją odzyskać? Nie wiem, bo nakarmili mnie stekiem bzdur. Może jacyś popieprzeni sataniści. Ale nadal muszę ją znaleźć, bo myślę, że ma kłopoty.

Niski mężczyzna zaśmiał się bez cienia rozbawienia.

- Gorsze niż to, że umarła?

- Tak. - Zabrzmiało to dziwnie, ale wiedziałem, że to prawda. Uświadomiłem sobie, że wiem o tym od jakiegoś czasu, nim jeszcze Basquiat pokazała mi jak zginęła Abbie. - Gorsze niż to, że umarła.

Doktor przez chwilę rozważał moje słowa w ponurej ciszy.

- Cóż, mam nadzieję, że wszystko się ułoży - rzekł w końcu z miną człowieka, który powraca zdecydowanym krokiem na bezpieczny, znany sobie teren. - Jakiś czas

nie powinien pan obciążać lewej ręki. Zapalenie może prowadzić do naderwania mięśnia.

- Tak zrobię - obiecałem i zabrałem kluczyki Matta z miski z owocami, do której wrzuciła je Pen.

- Wciąż może pan być nieco roztrzęsiony. - Doktorek zmarszczył brwi. - Gdyby poczuł pan, że ma kłopoty z panowaniem nad pojazdem, proszę zjechać na bok i wziąć taksówkę.

Zaczynał już trochę przeginać z tą troskliwością. Owszem, byłem mu sporo winien, ale nigdy nie przepadałem za wykładami, kazaniami ani wskazaniem lekarskimi.

- Proszę się nie martwić - wymamrotałem, zmierzając do drzwi. - To samochód mojego brata.

Niebo szybko ciemniało: za szybko jak na wiosnę. Zupełnie jakby noc, która powinna odpłynąć dawno temu, zatkała odpływ wieczności i teraz wybijała ją z powrotem w krainę dnia. Albo może spałem dłużej niż przypuszczałem.

Frontowe drzwi Świętego Michała nadal były zamknięte i zaryglowane. Podobnie furka. To mnie spowolniło na jakieś dwadzieścia sekund, bramka bowiem stanowiła bardziej element dekoracyjny niż prawdziwą przeszkodę i mimo mej słabości dawała mnóstwo możliwych uchwytów. Lądowanie na cmentarzu po drugiej stronie było jednak nieco chwiejne i poleciałem na ręce, ocierając je lekko.

Zatoczyłem łuk na cmentarzu i wkrótce ujrzałem przed sobą tylne wejście zakrystii. Drzwi były uchylone. Wszedłem na otwartą przestrzeń, zmierzając ku nim, ale po zaledwie dziesięciu krokach zatrzymał mnie głuchy chichot. Zamarłem, rozglądając się w poszukiwaniu jego źródła.

O przeciwległy mur opierał się mężczyzna, głowa opadła mu na pierś. Miał długie tłuste włosy i poplamiony płaszcz przeciwdeszczowy. Wyglądał jak pijak szukający zaimprovizowanego pisuaru po drodze do domu z mordowni. Ale drugie, mniej przelotne spojrzenie wykluczyło tę ewentualność. Plamy na jego płaszczu były ciemne, nieregularne; słabe światło nie pozwalało ich dokładnie zidentyfikować, ale przypominały krew. Czaszkę z jednej strony miał wgniecioną, jedna z rąk zwiślała

bezużytecznie, niczym wahadło, kołysząc się lekko z prawej na lewą, gdy przestępował z nogi na nogę.

Zombie. I to dbający o swe śmiertelne szczątki znacznie mniej niż Nicky.

Jakieś podejrzenie, którego nie potrafiłem wyjaśnić, sprawiło, że skrzyłem w jego stronę. Może skądś go znałem. Może po prostu nie chciałem mieć go za plecami, kiedy wejdę do kościoła.

- Wszystko w porządku, koleś? - spytałem, podchodząc bliżej. Cały czas grzebałem w kieszeni w poszukiwaniu gałązki mirtu, ale jej nie znalazłem. Musiałem ją zostawić na podłodze u Imeldy, gdzie zapewne została potraktowana jak zdechły szczur: zmiotka i szufelka, żadnego bezpośredniego kontaktu, po wszystkim wysterylizować.

Mężczyzna uniósł głowę, patrząc na mnie jedynym okiem jakie mu zostało. On także się uśmiechnął, choć trudno to było stwierdzić w gąszczu jego brody.

- Tak.

Już zlokalizowałem go w pamięci: to on strzelił Juliet w pierś w centrum handlowym i to jego wyrzuciła na dupę przez wielkie okno. Sądząc z wyglądu, niezbyt dobrze mu to zrobiło.

- Kiedy przyjdzie? - spytał. Głos miał niski i upiornie bulgotliwy. Wygiął usta, odsłaniając zęby potraskane niczym bambusowa pułapka. - Kiedy tu dotrze?

- Powiedz mi co, a podam ci szacowaną porę przybycia - podsunąłem. - Na co dokładnie czekasz?

Wstrząsnął nim dreszcz.

- Na to, co mnie pożarło - wymamrotał i głowa znów mu opadła. Po długiej ciszy dodał: - Musi dokończyć... Musi dokończyć dzieło. Nie może tak... po prostu mnie zjeść i wypluć.

Rozdarty pomiędzy litością i mdłościami odwróciłem się z powrotem do kościelnych drzwi. I wtedy właśnie rzucił się na mnie.

Był wysoki i rosy, i miał nade mną przewagę masy. Zaatakował, niezgrabny, nawet niezbyt rozpędzony, ale niemożliwy do powstrzymania. Kiedy upadłem, runął na mnie, drapiąc jedyną zdrową ręką i zaśmiewając się w głębi gardła, jakby to wszystko stanowiło jeden wielki dowcip.

Uniosłem szybko rękę, wbijając ją w podstawę nosa, i usłyszałem trzask kości pękającej z głuchym trzaskiem, niczym spróchniała gałązka. Nie popłynęła krew: nie miał serca, które by ją pompowało, a poza tym pewnie i tak nie była już płynna.

Oplótno moje gardło palcami i zaczął je zaciskać. Jego głowa pochyliła się ku mnie, usta poruszały się szybko, jakby chciał mnie nie tylko zabić, ale i pożreć: kwaśna woń gnijącego mięsa zalała mnie i zakręciło mi się w głowie. Już w panice, przeturlałem się na bok i z całej siły rąbnąłem go pięścią w brzuch. Był za ciężki, by go podnieść, i w ogóle nie zareagował; nerwy też nie funkcjonowały.

Pozostała mu jednak tylko jedna działająca ręka, a moje obie były wolne. Czując się jak sukinsyn, zacząłem macać w poszukiwaniu twarzy i gdy świat wokół pociemniał, wydlubałem mu kciukiem drugie oko.

Szarpnął gwałtownie głową, wymachując rękami, by mnie odepchnąć. Było już jednak za późno. Uniosłem kolana do piersi i kopnąłem obiema nogami, odrzucając go na nagrobek, na który runął niezgrabnie. Drapał słabo twarz, miaucząc jak kot. Jego ciałem wstrząsały powolne spazmy, nogi poruszały się na przemian, jakby sądził, że wciąż pozostaje w pionie i idzie naprzód. Skojarzył mi się z robotem zabawką, którego miałem w dzieciństwie: nakręcanym, wyprodukowanym w Hongkongu. Robot maszerował, dopóki sprężyna się nie rozkręciła, nawet jeśli wywróciło się go kopniakiem.

Wstałem i ruszyłem chwiejnie w stronę zombie, opierając się całym ciężarem o nagrobek, tak by móc mu się przyjrzeć. Jeśli uszkodzenia okażą się dość poważne, jego duch opuści zrujnowane ciało. Może to jednak potrwać bardzo długo, a tymczasem pozostawał tam uwięziony - ślepy, przerażony, nieśmiertelna dusza wciąż uwiązana do rozkładającego się mózgu i próbująca zmusić go do pracy.

Nie miałem wyboru. Wyjąłem flet i trzęsącymi się rękami uniosłem go do ust. Nasze krótkie zapasy pośród nagrobków pozwoliły mi dostatecznie wyczuć jego esencję, jego „byt”, bym mógł zacząć. Dźwięki posypały się w ciemniejące niebo, słabe i niepewne, lecz ożywione niezamierzonym vibrato. Nieboszczyk patrzył na mnie ślepych dziurami, w których niegdyś tkwiły oczy. Jego wargi poruszyły się wokół serii niezrozumiałych dźwięków, które wibrowały pod mą melodią, jakby próbował śpiewać do wtóru. A potem umilkł i iskra, która go ożywiła, zgasła na dobre.

Już miałem schować flet, ale zmieniłem zdanie. Ściskając go w dłoni, gotów do gry, przeszedłem przez trawnik w stronę drzwi zakrystii.

Wisiały na jednym zawiasie - bez Susan Book i jej klucza, Juliet po prostu je wykopała. Wszedłem do środka i gryzący chłód opadł na mnie niczym ciężka zasłona, niewidzialna, lecz namacalna.

W kościele panował mrok. Nie zabrałem latarki, ale nie byłem pewien czy i tak na cokolwiek by się przydała. Teraz wyraźnie słyszałem bicie serca: spowolniony, zapętlony dźwięk, rytmicznie i podstępnie liżący mi uszy, niczym fale skalny brzeg. Ruszyłem naprzód, bardzo ostrożnie, powoli, powoli, przesuając stopy po podłodze, by nie wylądować na tyłku w ciemności. Mroźne powietrze trwało w absolutnym bezruchu; zorientowałem się, że dotarłem do końca transeptu i znalazłem się w większej przestrzeni nawy głównej, tylko po zmianie timbru echa moich kroków. Nagle uderzyłem w coś ramieniem, usłyszałem wibrujący łoskot, gdy coś się przewróciło i niewidoczne przedmioty poturlały się po posadzce. Stół, na którym ustawiono świece wotywnie. Nie przejąłem się tym i poszedłem dalej.

Po jakichś dziesięciu krokach koniuszek mojej stopy dotknął czegoś na podłodze. Ukląknęłem ostrożnie, delikatnie badając kształt znaleziska. To było ludzkie ciało, absolutnie nieruchome.

Teraz musiałem już schować flet, choć ścisnąłem go dotąd, jak nurek linę ratunkową. Wsunąłem ręce pod ciało na wysokości ramion i kolan i dźwignąłem je. Chyba przypuszczałem, że Juliet będzie ciężka, bo wywiera tak potężne wrażenie: jej fizyczność jest gęstsza i żywsza od innych co najmniej o rząd wielkości. Ale też jej ciało jest zbudowane z czegoś innego niż mięso. W tym momencie wydawało mi się, że niemal nic nie waży.

Gdy ją podniosłem, poczułem, jak obecność żyjąca w kamieniach kościoła zwraca na mnie swą olbrzymią uwagę. Nie towarzyszył temu żaden dźwięk, nawet najmniejsze wibracje nieruchomego powietrza. Pozdrowiła mnie, nie wydając żadnego dźwięku i z ogromnym, mściwym rozbawieniem.

Ruszyłem chwiejnie tam, skąd przyszedłem, tuląc w ramionach Juliet. Zabłądziłem jednak po ciemku i wpadłem na ścianę. Musiałem podążyć wzdłuż niej, co parę kroków objając się o nią ramieniem, by się nie zgubić. W końcu znalazłem transept, odchodzący od nawy pod kątem prostym. Nadepnałem na jedną ze świec i stopa przekręciła mi się tak, że o mało nie upadłem. Budynek atakował mnie wszystkim co miał, próbował zatrzymać wewnątrz, by wykończyło mnie zimno. Zaczynałem już szcząkać zębami, pierś bolała, jakbym wciągał w płuca sople lodu.

Dotarłem do drzwi i wyszedłem chwiejnie w gęstniejącą noc. Wcześniej wydawała mi się chłodna, teraz miałem wrażenie, jakbym wyszedł na dwór w słoneczny letni dzień i poczuł na policzku ciepły wietrzyk.

Nadal nie czułem się do końca bezpieczny. Podreptałem wąską, żwirową ścieżką i złożyłem Juliet ostrożnie w trawie, między dwoma grobami. Stałem tam oparty o nagrobek, z pochyloną głową, dysząc ciężko, dopóki chłód nie opuścił moich kości.

We śnie Juliet wyglądała inaczej. Wciąż była piękna, ale nie niebezpieczna. W obliczu jej piękna ja sam wydałem się sobie wydrażony, pusty - było jak światło podkreślające me własne, rozliczne niedoskonałości.

- Cholera - wymamrotałem ponuro, zwracając się do nocy.

W końcu dodałem do siebie wszystko, tyle że za późno, kiedy moja wiedza nie mogła się już na nic przydać. Wiedziałem, czemu wydało mi się, że rozpoznałem ową ulotną obecność, którą wyczułem, gdy przyszedłem tu po raz pierwszy, a potem ponownie, przy spotkaniu z opętanymi biedakami w centrum handlowym Whiteleaf. Zdumiewające, że wcześniej się nie zorientowałem, kiedy rozmawiałem z Susan Book wyraźnie, równie ciężko zakażoną jak wszyscy zebrani w kościele w zeszłą sobotę.

To był Asmodeusz. To dlatego nagle niemal w całości opuścił Rafiego. To tutaj stanęła jego druga noga.

Juliet rzuciła wyzwanie jednemu z najstarszych i najgorszych skurwieli z piekła. I przegrała. Co teraz?

14

Zabrałem Juliet do Pen i położyłem w moim łóżku - ostatecznie wątpiłem poważnie, żebym w najbliższym czasie miał okazję z niego skorzystać. Ale Pen nie była zachwycona, zdecydowanie nie była.

Wróciła z rozmowy wstępnej Rafiego tak przepelniona pozytywnymi uczuciami, że o mało nie pękła - praktycznie tańczyła w powietrzu, bo Rafi cały czas zachowywał się racjonalnie i wywarł naprawdę dobre wrażenie na obu niezależnych lekarzach. Nagadali nawet nieco Webbowi za próby opóźnienia procedury.

Kiedy jednak ujrzała Juliet leżącą na moim łóżku, śmiertelnie bladą, niczym posąg wykradziony z kostnicy, jej nastrój pogorszył się natychmiast.

- To ten stwór, który próbował cię zabić.

- Tak - przyznałem.

Nie sądziłem, że Pen zdążyła dobrze się przyjrzeć twarzy Juliet, bo w owym czasie patrzyła przez muszkę wiatrówki i strzelała do niej spiłowanymi paciorkami z różańca. Przypuszczam jednak, że kiedy raz zobaczy się Juliet, niezależnie od kąta, to wspomnienie pozostaje na zawsze wytrawione w mózgu.

- Fix, ona jest zła. - W głosie Pen dosłyszałem lekkie drżenie. Doskonale je rozumiałem. - Jest taka piękna, ale... Ale ona... Wszystko w niej... Jest jak jadowity wąż, który cię hipnotyzuje, żebyś pozostał bez ruchu, czekając na ukąszenie.

- Taka dokładnie jest - zgodziłem się. - Ale już nie gryzie, Pen. Ustaliliśmy pewne zasady współżycia.

Pen nie dała się przekonać, ale też nie martwiła się o swoje fizyczne bezpieczeństwo.

- Nie powinno jej tu być. Ten dom to świątynia, Fix. Wiesz o tym. Bardzo ciężko pracowałam, aby zamienić go w miejsce, które przyciągałoby moce chtoniczne. Moce natury i światła. Jeśli ona tu zostanie, wyczują skazę. Odejdą i może już nigdy nie zdołam sprowadzić ich z powrotem.

Była bliska łez.

- Mnie moce znoszą całkiem nieźle - zauważyłem z lekką desperacją. - Nie mogą być aż tak grymaśne.

- Zważyły cię - odparła Pen. - Uznały, że jesteś w porządku.

- A nie mogłyby zważyć Juliet?

Zawahała się. Pen nie znosi surowo osądzać ludzi, widziałem jak walczy z własnym instynktem, i poczułem nagłe obrzydzenie do siebie za to, że zmuszam ją do tego.

- Nic nie szkodzi - oznajmiłem dźwigając w ramionach ów niewielki ciężar. - Zabiorę ją gdzie indziej.

Ale sikałem pod wiatr. Z powrotem w wozie, jadąc do centrum, wysiliłem umysł, szukając innego dogodnego miejsca. Juliet leżała na tylnym siedzeniu: nawet nieprzytomna roztaczała wokół słodką, ostrą woń, próbującą wcisnąć się pomiędzy moje podwzgórze i bardziej wyrafinowane obszary szarych komórek, wypełniając umysł rozkosznie cielesnym wizjami. Śpiąca czy nie, była nadal żywą pułapką. Nigdzie nie byłaby bezpieczna.

Mój mózg działał na autopilocie, gdy walczyłem z ową wonią i samym sobą. Znów skręciłem na zachód: nie w stronę Acton, lecz Paddington. To, co miałem tu do załatwienia, nie powinno potrwać zbyt długo. Może gdybym przykrył Juliet płaszczem, pozostałaby tu niezauważona aż do mego powrotu. Zresztą i tak nie miałem wyboru. Otaczało mnie tak wiele tykających zegarów, że z trudem słyszałem własne myśli. Istota w kościele Świętego Michała rosła w siłę, parafianie wciąż krążyli po świecie z głowami pełnymi trującego syfu, Basquiat grzebała w papierkach, by móc aresztować mnie za morderstwo, a Anathemata udzielili mi ostatniego ostrzeżenia - mogłem wyrwać się z tej przepaści jedynie prąc naprzód, podczas gdy ściany z obu stron zaciskały się coraz bardziej. Jeśli znajdę Dennisa Peace'a i ducha Abbie Torrington, może wszystko się ułoży. Może. W przeciwnym razie wszyscy bez wyjątku trafimy do piekła, i to w trybie ekspresowym.

Zaparkowałem możliwie najbliżej stacji Lancaster Gate, nie wjeżdżając na podwójną linię - nie chciałem, by podczas mojej nieobecności ktoś zwracał uwagę na samochód, uznałem zatem, że lepiej trzymać się przepisów. Resztę drogi na Praed Street pokonałem pieszo. Przekroczyłem zawsze otwarte bramy i znalazłem się w niegdysiejszej klinice skórno-urologicznej - czytaj: od chorób wenerycznych. Przez

ostatnie siedem lat jednak zajmowano się tu bardziej ezoteryczną formą medycyny: ontologią metamorficzną.

Nazwę tę wymyśliła Jenna-Jane Mulbridge, a potem spopularyzowała, waląc w ten sam bęben w kilkunastu monografiach i trzech obszernych raportach - jednym na temat łaków, jednym o zombie i jednym o zwykłych, klasycznych duchach. W końcu wytworzyła klimat, którego potrzebowała, by rozkwitać, zmuszając szpitale uniwersyteckie w całym kraju do otwarcia umysłów na zjawiska, które w żaden sposób nie wydawały się medyczne, dopóki nie dorwała ich w swoje ręce. Ostatecznie, jak można wyleczyć zmarłych?

- Jak można wyleczyć zmarłych? - powtórzyła Jenna-Jane. - Oczywiście nie można. Ale jeśli martwa dusza opętuje żywego nosiciela, mamy do czynienia ze stanem, który można obserwować i leczyć. A jeśli dusza powraca do swego ciała, każąc mu znów się poruszać, przemawiać i myśleć, jakiej właściwie definicji śmierci używacie i w jaki sposób chcecie, by wciąż pasowała?

Ten akurat karierowy blitzkrieg opłacił się z nawiązką. Większość dużych szpitali otworzyła oddziały OM, a największy i najlepszy przy Praed Street prawem zwycięzcy przypadł Jennie-Jane. W dodatku wiedziała, co z nim zrobić. Od początku ściąga do siebie na konsultacje wszystkich londyńskich egzorcystów. Przekonała ich, by nauczyli ją wszystkiego co wiedzieli, a potem rozebrała to na części i złożyła ponownie z tak bezwzględna, przenikliwą inteligencją, że wkrótce to my uczyliśmy się od niej. Były to niesamowite czasy: czasy, w których tworzono podstawowe koncepty nowej dziedziny nauki, z szybkością niepozwalającą nikomu kwestionować przyjętych planów, a nawet zeskoczyć bezpiecznie z rozpędzonego wozu.

Większość nas już w pierwszym roku zaczęło mieć wątpliwości co do J-J, ale zostaliśmy na pokładzie. Wciąż zdawało nam się, że robimy coś ważnego i użytecznego, nawet jeśli robiliśmy to dla ogarniętej obsesją, próżnej faszystki. Potem kolejno zaczęliśmy robić rachunki sumienia i dochodzić do tego, że mamy solidne debety. Nieważne, czy celem był rozwój nauki, czy też kariera Jenny-Jane Mulbridge, niektóre rzeczy dziejące się przy Praed Street podpadały pod kategorię okrucieństwa nie do przyjęcia i budziły skrupuły nawet u najtwardszych i pozbawionych wyobraźni łowców duchów.

Dla mnie kroplą, która przepełniła moją osobistą czarę, była Rosie Crucis. Z początku brzmiało to zupełnie nieszkodliwie. „Czemu wszyscy powstali zmarli odeszli niedawno?” - spytała Jenna-Jane. Jej własne badania wskazywały, że nigdzie nie

pojawił się duch, który zmarł przed rokiem tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym. Oświadczenia innych egzorcystów cofały tę datę o niemal dwadzieścia lat, do połowy pierwszej wojny światowej. A co z milionami milionów duchów z dawnych epok, które powinny zapełniać ulice Londynu niczym niewidzialny ocean?

Kiedy zacznie się zadawać podobne pytania, człowiek odnosi wrażenie, że musi poznać choćby część odpowiedzi, by móc z powrotem spokojnie przespać noc. A co do Jenny-Jane, jej ulubioną metodą nauki zawsze pozostawało doświadczenie. Ściągnęła tuzin naszych: mnie, Elaine Vincent, Nemo Praxidesa i inne sławy z Edynburga, Paryża, Locarno, Bóg jeden wie skąd jeszcze. Umieściła nas razem w pokoju, w którym stało wyłącznie dwanaście krzeseł i stół z wielkim kartonowym pudłem. Gdy wszyscy się zjawili, zamknęła drzwi na klucz i otworzyła pudło.

Spodziewałem się ujrzeć obciętą głowę, lecz rzeczywistość okazała się znacznie mniej dramatyczna. W pudełku kryło się mnóstwo rzeczy bardzo starych i niespecjalnie pięknych: haftowany wachlarz, którego barwy wyblakły z wiekiem do żółci i szarości; ręcznie zapisany modlitewnik; buteleczka z barwionego szkła, niegdyś zapewne zawierająca perfumy; chustka z inicjałem „A” wyszytym misternym ścięciem; pojedyncza kartka z listu, bez nagłówka ani podpisu.

- Zobaczcie, co zdołacie zrobić - powiedziała Jenna-Jane.

I zabraliśmy się do pracy.

Praxides czynił to wyłącznie w transie, toteż natychmiast zamknął oczy i zniknął z mapy. Elaine Vincent wykorzystywała pisanie automatyczne: wyjęła szkicownik i zaczęła bazgrać. Ja wyciągnąłem flet, inny gość zaczął bębnić palcami jednej ręki w dłoń drugiej, wystukując słaby, złożony rytm. Wszyscy robiliśmy to co zazwyczaj, gdy chcieliśmy wywołać i skrepować ducha.

I rzeczywiście, był tam duch, ale miał w sobie coś osobliwego. Ślad był silny i zarazem niewiarygodnie słaby. Zupełnie jak wtedy, gdy przechodząc obok restauracji z curry, wyczuwamy lekką woń świeżego kardamonu: wiemy, że kiedy otworzymy drzwi, zapach zaleje nam wszystkie zmysły i że to tylko cień smrodu surowej przyprawy, który dociera do nas poprzez podwójne filtry cegieł i węchowy szum ulicy.

Pracowaliśmy nad tym parę godzin, złożywszy na szali swoją zawodową dumę. Z początku nie potrafiliśmy skupić sygnału, potem jednak naradziliśmy się i stwierdziliśmy, że nasze metody nigdy nie zadziałają, jeśli nie będziemy współpracować. Facet z roztańczonymi palcami zaczął stukać do rytmu mojej melodii, a Elaine rysowała wzory tworzonych przez nas dźwięków. Chłoniliśmy i podsycaliśmy

nawzajem swoje talenty, tworząc kocią kołyskę złowieszczego skupienia, promieniującego z pokoju w kierunkach, których nawet nie potrafiliśmy sobie wyobrazić, a co dopiero nazwać.

I to zadziało. Duch zaczął powstawać ku nam - leniwie, bezcelowo, niczym balonik wypuszczony przypadkiem przez małe dziecko błąkające się po Hadesie. Chwyciliśmy ją, obróciliśmy, przyszpiliśmy i rozłożyliśmy niczym motyla na tablicy z naładowanego elektrycznie powierza.

Z początku nie mogła mówić, nauczyła się tego później. Nie żyła od tak dawna, tak długo spała w wybebeszonym domu własnych kości, że zapomniała, kim była. Bełkotała do nas bezsensownie, mniej więcej na równi przerażona i wściekła. Próbowała się wyrwać, zaciskając wokół siebie sznury naszej woli tak, że każdy ruch wplątywał ją jeszcze bardziej.

Była taka mała. Dorosła kobieta - dojrzała, nosząca blizny po chorobach i całym życiu - wzrostu dziesięcioletniej dziewczynki. Wiem, to idiotyczne - już z materiałów wyjściowych dostarczonych przez J-J wynikało, że będziemy mieli do czynienia z bardzo starą duszą, lecz w jakiś sposób dopiero jej widok sprawił, że dotarło to do mnie jeszcze ostrzej i boleśniej. Nie należę do wielbicieli religii i nie słyszałem o bogu, którego towarzystwo mógłbym znieść dłużej niż pół godziny koktajlowej w niebie. Ale mimo to czułem się, jakbym popełniał bluźnierstwo. A fakt, że była taka mała i krucha, sprawiał, że miałem wrażenie, jakbyśmy torturowali dziecko.

Nie mogłem jednak po prostu przestać grać. Urwanie w połowie melodii przypomina wyjście z samochodu pędzącego setką: można uznać za pewnik, że będzie się wiązało z całą serią niebezpiecznych konsekwencji. Zacząłem zatem wygaszać melodię tak gładko, jak potrafiłem. Wszyscy inni robili to samo: ściągali wściekłą, przerażoną, walczącą rybę, w którą każdy z nas wbił swój własny, odrębny haczyk.

Jenna-Jane była w ekstazie. Nie spodziewała się tak spektakularnych wyników już przy pierwszej próbie. Nim zdążyliśmy ustalić, jak się z tym czujemy, i przedyskutować co właśnie zrobiliśmy, weszła z drugą ekipą: nie egzorcystów, lecz jasnowidzów i telepatów, tworzących równie eklektyczne i zróżnicowane grono jak nasza grupa. Zostaliśmy zastąpieni, bo odegraliśmy już swoją rolę.

Wkrótce potem zerwałem moje związki z kliniką przy Praed Street i odmawiałem Jennie-Jane, gdy próbowała skusić mnie na repetę. Czytając między wierszami, wiedziałem, że sporo innych egzorcystów, którzy byli tam tego dnia,

podzielało mój niepokój, wyrzuty sumienia i wstyd. Nigdy nie zdołała zgromadzić znów w jednym miejscu tak wielu talentów i Rosie Crucis pozostawała wyjątkiem.

Jej imię i nazwisko stanowi prywatny dowcip J-J. W jakiś sposób wiązało się z prawdziwą tożsamością wywołanego przez nas ducha, a jednocześnie ukrywało ją przed ujawnieniem w przypadkowej rozmowie. Było to ważne, ponieważ - by pozostać przy wędkarskiej metaforze - teraz, kiedy Rosie została złowiona, J-J nie miała najmniejszego zamiaru wypuszczać jej z powrotem.

Plan miała następujący: pozwolić - czy może zachęcić - Rosie do opętania jednego z telepatów, tak by jej duch pozostał zakotwiczony w świecie żywych. J-J przygotowała dla niej możliwie najbogatszy bufet: obie płci, w każdym możliwym wieku, wszystkie rasy, szkoły i wyznania, od klasycznego spirytualizmu po wariackie sekty millenijne, od ascetycznych wyznawców Swedenborga po zapluty i spienionych Blavatskiego.

Rosie zupełnie nieoczekiwanie wybrała jednak samą J-J i żyła (z braku lepszego określenia) w niej dwadzieścia dni i dwadzieścia jeden nocy, podczas których J-J zdychała z migreny i psychosomatycznych bólów mięśniowych. Byłaby to słodka zemsta: tyle że Rosie nie wiedziała wówczas, komu ma dziękować za swe opóźnione i nieoczekiwane zmartwychwstanie, więc zapewne wybór stanowił czysty przypadek.

Tak czy inaczej, dwudziestego pierwszego dnia Rosie pozwoliła się przenieść w młodzińca z Cambridge nazwiskiem Donnie Collett i to był początek zaimprovizowanej sztafety, która trwa do dziś. Ochotnicy z oddziałów OM w całym kraju, a także z uniwersyteckich wydziałów filozofii i teologii, którzy wciąż nie poznali się na J-J, wpisują się na listę, ofiarując swoje ciała na okres do tygodnia, przyjmując w sobie Rosie i dostarczając jej doczesnej powłoki tak, by ontolodzy z Praed Street mogli nadal przesuwać granice naszej wiedzy na temat życia, śmierci i etapu, na którym podają sobie ręce.

Istnieje też druga, zupełnie inna grupa wsparcia: ludzie, którzy przychodzą rozmawiać z Rosie i zajmują jej umysł. Ponieważ Rosie nie żyje, nie może spać, a osoba, która ją gości, śpi i zazwyczaj budzi się wypoczęta i odświeżona jak po tygodniu w spa. Sama Rosie potrzebuje ciągłej stymulacji umysłowej. A ponieważ J-J kategorycznie odmówiła wypuszczenia jej z oddziału, tej stymulacji należy dostarczać na miejscu. Ogląda mnóstwo filmów DVD (J-J wydała embargo na telewizję), czyta mnóstwo książek i rozmawia bez końca z każdym, kto zechce słuchać - z nieustannie włączonym w tle cyfrowym dyktafonem.

Już od dobrych kilku lat stanowiłem część owej grupy wsparcia. Może uważałem, że winien jej jestem przeprosiny za moją rolę w sprowadzeniu Rosie bez pytania z mroku. Ale też lubiłem jej towarzystwo, a czasami stanowiła użyteczną słuchaczkę do sprawdzania teorii. Nie wiem, kim była za życia (twierdzi, że nie pamięta), ale umysł ma ostry jak brzytwa. Śmierć jedynie zniszczyła otaczającą ją powłokę.

Zawsze jednak planowałem swe wizyty tak, by Jenny-Jane nie było akurat na oddziale - podczas jej wyjazdów na wykłady czy wymuszania funduszy od organizacji charytatywnych z nieprecyzyjnymi regulaminami. Dziś od swych wtyczek wewnątrz wiedziałem, że jest na miejscu. Dziś zatem mogłem dostać się do Rosie jedynie poprzez J-J.

A samo dotarcie do J-J już stanowiło problem. Klinika bardziej niż kiedykolwiek przypominała fortecę. Teraz drzwi frontowych strzegli strażnicy: musiałem wyjaśnić z czym przychodzę i poczekać na autoryzację z góry. Potem, wędrując korytarzami znajomo cuchnącymi zastarzałym moczem, zauważyłem przyciski alarmowe opisane krótkimi kodami alfanumerycznymi. Tabliczka obok każdego przypominała przechodzącym, że jakiegokolwiek naruszenie procedur zamknięcia będzie się wiązać z natychmiastowym zwolnieniem i że w razie naruszenia izolacji pracownicy ochrony zbiorą się w miejscu, z którego ogłoszono alarm, a tymczasem cała reszta personelu uda się natychmiast na wyznaczone miejsca zbiórki. Przypominało to moje najgorsze wspomnienia z wakacyjnych ośrodków kolonijnych, tyle że tu było nieco mniej drutu kolczastego.

Jennę-Jane zastałem w mniejszym z jej dwóch gabinetów - tym wychodzącym na otwartą przestrzeń roboczą oddziału, tak jak budka dróżnika wychodzi na torowisko.

Idąc tam, zastanawiałem się gorączkowo, jak sformułować prośbę. Nie tak dawno mogłem po prostu wpaść i przywitać się z Rosie bez żadnych bajerów. Potem jednak J-J przyłapała jednego z gości wnoszącego wiadomości dla Rosie i przykręciła ochronę o parę oczek. Miała teraz w swym cyrku sporo innych pierwszorzędnych okazji, ale Rosie była pierwsza i nadal stanowiła klejnot w koronie - duch wciąż pozostający na ziemi po ponad pięciuset latach. Toteż J-J obserwowała wszystko, co się z nią wiązało, zazdrosnym okiem, które, podobnie jak oczy Rosie, nigdy się nie zamyka.

Zastukałem do drzwi. J-J uniosła głowę znad grubego pliku papierów, nad którymi się pochylała, posłała mi uśmiech - szeroki, pozbawiony znaczenia uśmiech mający mówić, że nie posiada się z radości na mój widok. I faktycznie, mówił to, ale kłamał przez aż nadto widoczne zęby.

- Feliksie - rzekła ciepło, wstając i okrążając biurko.

Próbowałem uniknąć kontaktu cielesnego, ale mi nie pozwoliła. Ucałowała mnie w prawy policzek, a potem doprawiła w lewy, w stylu europejskim. To oznaczało, że szóstym zmysłem na moment wniknąłem w kłębowisko zmij tworzące jej umysł. Było to coś, bez czego w tym momencie świetnie bym się obszedł.

Ktoś mówił mi kiedyś, że J-J naprawdę nie nazywa się Mulbridge, tylko Muller i że urodziła się w ruinach Essen, gdy Trzecia Rzesza wciąż dogorywała w śmiertelnych drgawkach. Jeśli to prawda, to dysponowała najlepszą imitacją pogodnego, nieszkodliwego angielskiego akcentu z możliwie wyższych klas podupadłej-arystokracji-ale-lepiej-o-tym-nie-mówmy, jaki kiedykolwiek słyszałem. Podobnie jak większość tego, co wiązało się z Jenną-Jane, stanowił on podstęp mający zwabić rozmówcę dość blisko, by mogła zadać mu cios w serce.

Nie zmieniła się ani o mikrometr: nadal była drobna, schludna i nieodmiennie słodka. Musiała dobić już sześćdziesiątki, lecz jej ciało najwyraźniej uznało, że czterdziestka z hakiem to dobry wiek, i trzymało się go. Włosy miała siwe, ale też zawsze takie były. U niej stanowiły nie tyle oznakę wieku, ile raczej to, co widzimy, kiedy zdrapiemy farbę z burty krążownika. I podobnie jak w przypadku krążownika, z wierzchu była bezbarwna, gładka i nieprzenikniona. Nosila białe fartuch lekarski, ale pod nim dostrzegłem dżinsy i kraciastą koszulę. W razie konieczności i gdy mogła coś na tym zyskać, J-J wiedziała jak się odstawić. Przez resztę czasu wybierała prostotę.

- Już od dawna nas nie odwiedzasz - rzekła teraz z łagodnym wyrzutem. - Musiały minąć ze dwa lata!

Posadziła mnie i wróciła na swą stronę biurka. Operowała niuansami niczym ninja: powitanie było przyjacielskie i osobiste, kiedy jednak mnie usadziła, wizyta zmieniła charakter na oficjalny i J-J, kiedy tylko chciała, mogła z żalem i przeprosinami odwołać się do przepisów.

- Zaglądałem kilka razy - odparłem - ale nigdy cię nie było.

Skinęła głową, wciąż z uśmiechem.

- Tak, słyszałam. Zaczęłam się już zastanawiać, czy nie unikasz mnie celowo, ale oto jesteś.

Tak, oto byłem.

- Co u was słyhać? - spytałem, uznawszy, że „muszę pogadać z Rosie, więc witam i żegnam” mogłoby zabrzmieć trochę zbyt arogancko.

Jenna-Jane skromnie wzruszyła ramionami.

- Oddział wciąż się rozwija - oznajmiła. - Dysponujemy wspaniałym zespołem. Sporo umysłów najwyższej klasy, kończących wszystkie szkoły europejskie, przyjeżdża do nas, by się przekonać, jak naprawdę się to robi. Nie sędzę, żeby ich nazwiska cokolwiek ci powiedziały, bo nigdy nie interesowałeś się zbytnio literaturą przedmiotu, ale wierz mi, że rektorzy uniwersyteccy w Niemczech i Ameryce spluwają na dźwięk mojego nazwiska.

- Wierzę ci, J-J - odparłem szczerze.

Skrzywiła się cierpko.

- Proszę, nie używaj tego przydomka, Feliksie. Wiesz, co o nim myślę. A zatem, wszystko układa się znakomicie. Mamy tak silny zespół, że powoli osiągamy etap, kiedy nie będą mnie już potrzebować. - Gdy to mówiła, oczy jej rozbłysły. Nawet w żartach nie potrafiła wypowiedzieć tych słów bez niebezpiecznego nacisku. Nigdy nie porzuciłaby swego małego imperium, nie pozostawiwszy na ścianach licznych śladów włosów i krwi.

- Co do naszych zdobyczy - podjęła gładko - mamy tu trzy *loup-garou* - łącznie z jednym umiejącym opętywać i przekształcać owady. Bliźniaki zombie z Edynburga są teraz u nas. Wymagało to niezłej bitwy, ale w końcu zdołałam przekonać zarząd szpitala, że zapewnimy im wyższy standard opieki. Możemy także rejestrować ich rozkład co do cząsteczki, dzięki obrazom tomograficznym, i sprawdzić, czy postępuje równolegle w dwóch różnych zwłokach.

- Chyba że ustawa o prawach zmarłych przejdzie trzecie czytanie - wtrąciłem. Nie mogłem się oprzeć: za bardzo się podłożyła.

J-J nie chwyciła jednak przynęty, machnęła dłonią w powietrzu przed twarzą, odrzucając na bok niepożądany temat.

- Znam sporo ludzi w Westminsterze, Feliksie - oznajmiła. - Nie ma mowy, by ta ustawa przeszła. Nie w tej postaci i nie podczas tej sesji. Zapanowałby chaos. Owszem, w końcu trzeba będzie wypracować prawny status zmarłych. Politycy wspominają już o tym, by zatrudnić mnie do konsultacji podczas prac nad następną ustawą, gdy ta zostanie odrzucona.

O mało nie wybuchnąłem śmiechem. Czy moglibyśmy poradzić się pani w sprawie tych owiec, profesor Wilk?

- Myślisz zatem, że jej nie przegłosują?

- Raczej przeterminują. - W głosie J-J usłyszałem cień złośliwej satysfakcji. - Na debatę przeznaczyci zaledwie dwa dni, a Izba Lordów przedstawiła czterdzieści siedem poprawek. Rząd nie wyda aktu parlamentarnego w tak spornej sprawie, zabraknie im więc czasu i będą musieli odłożyć wszystko do sesji zimowej. A wtedy cały proces zacznie się od nowa, z jeszcze mniejszym rozpędem. Zaufaj mi, to będzie trwać i trwać. A kiedy w końcu zgodzą się na jakąś legislację, przybierze ona postać, która pozwoli nam kontynuować naszą pracę bez obaw o problemy prawne. W istocie będzie to jedno z podstawowych wymagań: rząd nie życzy sobie, by na tym etapie cokolwiek wiązało mu ręce.

- Na jakim etapie, Jenno-Jane?

- Etapie, na którym martwi zaczęli powstawać niemal masowo i wygląda na to, że kierują nimi demony piekielne.

Wzruszyłem ramionami. Była to teoria jak każda inna. W swoim życiu słyszałem je już wszystkie.

- Sądziłem, że demony udają się, gdzie tylko przyciągnie je świeże pożywienie.

- Wiem co myślisz, Feliksie, rozmawialiśmy o tym przy kilku okazjach. Przejawiasz niebezpieczną - przynajmniej według mnie - tendencję do niedoceniań potencjalnego zagrożenia, jakie stwarzają umarli. W przeszłości tendencję tę rekompensował twój profesjonalizm, zdolność do ignorowania wszelkich nieistotnych tropów, kiedy pracowałeś nad jedną sprawą. Jednak, z tego co słyszałam, w ostatnich miesiącach doszło do pewnego... osłabienia tej cechy.

Przyglądała mi się z bliska, uważnie. Urwała, jakby oczekiwała, że odpowiem na ten zarzut.

- Dobrze wiedzieć, że wciąż się mną interesujesz - odparłem obojętnie.

- Zawsze, Feliksie. Zawsze.

- Posłuchaj, Jenno-Jane - i tak nie dotrzymałem jej kroku w banalnej rozmowie, uznałem zatem, że równie dobrze mogę przejść do rzeczy - muszę porozmawiać z Rosie. Chcę ją o coś zapytać.

Brwi J-J uniosły się. Wiem, że tak się stało, bo ujrzałem, jak na jej czole pojawia się i znika zmarszczka. Same brwi były siwe, podobnie jak włosy na głowie, i cienkie jak grafit z ołówka, toteż nie dało się ich zobaczyć, chyba że z bardzo bliska.

- Dopiszę cię do listy - powiedziała łagodnie.

- Jeszcze dzisiaj.

J-J uśmiechnęła się ze zbolaną miną.

- To byłoby już trudniejsze. Mamy teraz oficjalny system rejestracji i dzisiejsze terminy są zajęte. Najwcześniej zdołam cię wcisnąć za trzy, cztery dni.

- Nie mogłabyś wpuścić mnie na parę minut po kimś innym?

Pokręciła głową z wyrazem twarzy nieodróżnialnym od szczerego żalu.

- Nie, obawiam się, że nie, Feliksie. Wszystko przechodzi przez radę nadzorczą i nie mogę podważać jej decyzji, nawet dla przyjaciela. - Urwała na moment. Marszczyła czoło w namyśle, a ja czekałem, aż odpali bombę. - W przypadku kolegi z pracy - podjęła - wyglądałoby to inaczej. Gdybyś nadal pozostawał czynnie związany z oddziałem, mogłabym trochę nagiąć przepisy i mieć raczej pewność, że po wszystkim rada nie da mi po łapach.

Była to gorzka pigułka do przełknięcia, ale jeśli pragnęła jedynie obietnicy, umiałem być równie promiennie nieszczerzy jak ona.

- Cóż, w tej chwili jestem dość zajęty - oznajmiłem. - Ale kiedy coś mi się zwolni, mógłbym może wpaść i popracować dla ciebie.

Jenna-Jane z entuzjazmem pokiwała głową.

- Znakomicie - rzekła. - Jest jedna rzecz, na której bardzo mi zależy.

- Jakaż to? - Już wstawałem, próbując ją ponaglić, by przeszła do następnego etapu procedury. Kiedy jednak mowa o niewzruszonych obiektach i nieodpartyach siłach, J-J potrafi doskonale odgrywać obie te role.

- Mógłbyś przekonać twojego przyjaciela, Rafaela Ditko, żeby oddał się pod naszą opiekę.

Moja twarz zastygła, podobnie ja sam, w połowie drogi między krzesłem a pozycją stojącą. W końcu wybrałem stanie, bo zapewniało nieco większy dystans.

- Przykro mi - oznajmiłem. - To nie wchodzi w rachubę.

- Nie? - Doskonale udawała niewinne zaciekawienie. - Parę dni temu dzwonił do mnie doktor Webb. Zdaje się, że uważa, że byłoby lepiej, gdyby pan Ditko znalazł się w otoczeniu bardziej przystosowanym do problemów, z którymi ma do czynienia.

- J-J, bez urazy, ale tutaj to Rafi stanowiłby problem. Nie odróżniasz nośnika od sygnału.

Jenna-Jane sprawiała wrażenie urażonej.

- To dość zawiła przerośnia, Feliksie i daleka od prawdy. Jestem doskonale świadoma faktu, że Ditko i demon wewnątrz niego to dwie odrębne istoty. Zapewne lepiej pojmuję, co to znaczy, niż ty i lepiej potrafię zrozumieć mechanizm ich działania. Nigdy nie pomyliłabym twojego przyjaciela z pasażerem, którego ma nieszczęście nosić.

- Nie? Nie czułabyś zatem pokusy - mówimy czysto teoretycznie - przebić Rafiego widłami, żeby sprawdzić, czy Asmodeusz będzie krwawił?

Maska Jenny-Jane jest niemal doskonała, toteż na jej twarzy nie dostrzegłem ani śladu gniewu bądź frustracji. Jedyne pokręciła głową, jakby te surowe słowa stanowiły ostatni dowód, że nie nadaje się do życia w tak okrutnym świecie.

- Przede wszystkim kierowałabym się dobrem pana Ditko - oświadczyła uroczyście.

- To nie podlega dyskusji, Jenno-Jane.

- W takim razie Rosie też nie, Feliksie. Dopiszę cię do listy i za kilka dni możesz spodziewać się telefonu. Chyba że ktoś z rady nadzorczej będzie żywił wątpliwości co do twojej kandydatury.

- A czy ty zasiadasz w radzie, Jenno-Jane? - spytałem.

- Tak. Oczywiście. Jestem jedną z czwórki pracowników, równoważonej przez trzech...

Uniosłem rękę, by powstrzymać potok słów.

- Dzięki - rzuciłem. - Już rozumiem. Pozdrów tych ze starej ekipy, których jeszcze widzisz.

- Oczywiście.

- A przy okazji, jeśli możesz, zleć ze schodów i skręć sobie kark. Kiedy wpadnę tu następnym razem, chętnie obejrzałbym cię w trwałym stanie wegetatywnym.

- Feliksie!

Wyszedłem, żegnany owym pełnym wyrzutu głosem, identycznym jak ten, który mnie powitał. Nie chciałem oglądać towarzyszącej mu miny.

Zamiast tego w drodze do wyjścia zobaczyłem jeden z punktów alarmowych z surową tabliczką obok. Podsunęło mi to pomysł, któremu nie zdołałem się oprzeć. Stukłem szybką łokciem i nacisnąłem przycisk. Ze wszystkich stron jednocześnie rozbrzmiało głębokie, dwutonowe wycie. Szedłem dalej, przywołując zapisany we wspomnieniach plan tego piętra. Gdzieś przede mną po prawej powinien być korytarz.

I rzeczywiście, skręciwszy w niego, ujrzałem mnóstwo biegnących ku mnie ludzi; część miała na sobie granatowe mundury ochrony. Już szykowałem się na spotkanie, ale przebiegli obok, nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem. Jakieś sto metrów dalej podążała druga fala. A potem skręciłem w krótki, boczny korytarzyk, z samotnymi drzwiami na końcu. Były zamknięte na klucz. Zacząłem dobijać się, wołając: „Otwórzcie! i przekrzykując obłąkańcze muczenie alarmu. Usłyszałem szcęk rygla i w szczelinie między drzwiami a framugą pokazała się zdumiona twarz. Należała do kolejnego mężczyzny w mundurze, pięć centymetrów wyższego ode mnie i znacznie cięższego.

- Musimy ją przenieść! - krzyknąłem, wskazując w głąb oddziału.

- Przenieść? - Sprawiał wrażenie zaskoczonego i zaniepokojonego. Nie odsunął się jednak; nie zamierzał kupować mostu, nie obejrzawszy wcześniej planów. - Ale gdzie? Co się dzieje?

- Na oddział. Mamy pożar.

Strażnik sprawiał wrażenie jeszcze mniej przekonanego.

- Pożar? To alarm ogólny, nie przeciw...

Miałem dosyć. Rąbnąłem go kolanem w brzuch, a potem, kiedy ukląkł, obróciłem się na pięcie i walnąłem go hakiem za ucho, tak że wyładował na ziemi. We wnęce po prawej stronie drzwi zauważyłem gaśnicę. Wyciągnąłem ją i uniosłem na wypadek, gdyby wstał, ale chwilowo przebywał w krainie snów. Czuję się trochę głupio, bo robił tylko to co do niego należało. Ale z drugiej strony, każdy kto z tego powodu trzyma się Jenny-Jane, stąpa po lodzie tak kruchym, że można go stopić oddechem.

Wciągnąłem go do środka i zamknąłem drzwi, zerknąwszy najpierw na korytarz i stwierdziwszy z ulgą, że jest pusty. Wiedziałem, że długo tak nie będzie.

Na mój widok Rosie uśmiechnęła się - leniwie i złośliwie.

- Felix Castor - powiedziała. - Śniło mi się, że byliśmy małżeństwem.

- Marnie by ci się ze mną żyło, Rosie. Nie jestem udomowiony.

- Ach, ale w tym śnie ja byłam mężczyzną, a ty kobietą.

- Wciąż nic by z tego nie wyszło, ciągle bym się puszczał.

Znam swoje słabości.

Przysunąłem krzesło do jej łóżka. Ciało, które nosiła teraz, było dla mnie nowe i nic dziwnego - jak mówiłem, minęło sporo czasu. Należało do młodego chłopaka o ciemnych kręconych włosach i wulkanicznej erupcji trądziku na lewym policzku.

Całkowicie ubrany, leżał na zasłanym łóżku. Może na jakimś poziomie słuchał naszej rozmowy, ale za kierownicą siedziała Rosie. Zazwyczaj tak jest.

W zwykłych okolicznościach duchy - w odróżnieniu od demonów - w żaden sposób nie mogą opętać ludzkich nosicieli, dlatego właśnie *loup-garou* wybierają zwierzęta, mimo związanych z tym społecznych niedogodności. Rosie się udaje, bo ludzie, w których wnika, są jednocześnie otwarci i niezwykle skłonni do współpracy. A nawet wtedy czasem miewa poważne trudności, bo nie do końca do nich pasuje.

Odwrociłem krzesło tak, by móc położyć ręce na oparciu.

- Pewnie stąd wziął się ten sen. - Skinieniem głowy wskazałem ciało. - Znów się bawisz w transwestytę, ty nieprzyzwoita klaczko.

Rosie wciąż szczyrzyła zęby, moja wizyta szczerze ją ucieszyła. A może sprawiły to wyjące alarmy i fragment bójki oglądane przez drzwi. Po siedmiu latach w tym miejscu radowało ją wszystko, co naruszało codzienną rutynę.

- Najbardziej lubię chłopców - wyznała mi. - Głaszczę ich czasami, żeby sprawdzić, czy potrafię pobudzić ich męskość. - Westchnęła tęsknie. - Ale to jak próbować łaskotać siebie własnymi palcami, w jakiś sposób nigdy do końca nie działa.

- Żałuję, że cię nie poznałem, kiedy jeszcze miałaś ciało, Rosie.

- Ja też, mój miły, ja też. Krył się w nim wielki skarb i dałabym ci prawo do zatrzymania wszystkiego, co byś znalazł.

- Rosie, włączyłem alarmy, by móc zamienić z tobą parę słów. Jenna-Jane nie chciała mnie tu wpuścić.

- Ta wścibska suka!

- Sam bym lepiej tego nie ujął. Zegar już tyka. Kiedy się połapie, że to ja, co nastąpi za jakieś pół minuty, wpadnie tu z całą armią.

- W takim razie lepiej się streszczaj, Feliksie.

- Tak też zrobię. Szukam innego twojego przyjaciela, Dennisa Peace'a.

Zmarszczyła brwi.

- Ach, Dennis - mruknęła. - Najbardziej zwariowany z moich chłopców. Kiedyś zrobi sobie krzywdę, jeśli już się tak nie stało.

- Kiedy był tu ostatnio, Rosie?

- Parę dni temu. Może w niedzielę albo poniedziałek. Wspominał, że może minąć dużo czasu, nim znów go zobaczę, ale że nie powinnam się martwić. Musiał po prostu coś załatwić. Długi, które należy spłacić, dodał. Część z nich z rodzaju tych, których nie spłaca się pieniędzmi, lecz krwią. Ale wiedział co robi i był bezpieczny.

- Bezpieczny? Gdzie?

Rosie spojrziała na mnie osobiście oczami młodego mężczyzny.

- Czemu właściwie cię to interesuje, Fix? Nie należysz chyba do ludzi, którym pragnie się odplacić? Nie chciałabym, żebyście wdali się w bójkę.

- Nie zamierzam z nim walczyć - zapewniłem. - Ale muszę z nim porozmawiać. Mam niemal równie poważne kłopoty jak on i moje wiążą się z nim na wiele skomplikowanych sposobów. Może zdołamy sobie pomóc. Może jedynie wymienimy się informacjami i pójdziemy każdy swoją drogą.

Długą chwilę milczała.

- Nie wiem, gdzie jest.

Serce mi się ścisnęło. Potem uniosła palec, jakby prosząc, bym zaczekał.

- Nie tak dokładnie. Ale powiedział...

Za sobą usłyszałem donośny trzask. Odwróciwszy głowę, ujrzałem Jennę-Jane i trzech strażników stojących za progiem.

- Usuniecie go stąd - warknęła Jenna-Jane i strażnicy pochyłili się, ruszając ku mnie.

Nie było sensu walczyć - każdy z nich przewyższał mnie wagą i wzrostem i mógł mnie złożyć na pół jak leżak. Rosie przysunęła twarz do mojego ucha.

- Powiedział, że zatrzymał się u pana Steinera - wyszeptała szybko, w chwili, gdy ich dłonie opadły na moje ramiona i ściągnęły mnie z krzesła.

Obrócili mnie ku J-J, która patrzyła na mnie z miną pełną przemożnego smutku.

- Naprawdę mnie zawiodłeś, Feliksie - powiedziała.

- J-J - odparłem - mówisz tak tylko po to, żebym poczuł się lepiej.

Jeden ze strażników uderzył mnie w brzuch, by pokazać kto tu rządzi. A gdy zgiąłem się wpół z bolesnym sapnięciem, J-J upomniała go równie łagodnie jak mnie wcześniej.

- Żadnej przemocy - rzekła. - To miejsce cywilizowanych dyskusji. Wyprowadźcie go tylko i po zmianie taśm przynieście mi nagrania z tej sesji. Chcę wiedzieć, o czym rozmawiali. Przykro mi, że ci przeszkodziliśmy, Rosie.

- To było nawet ekscytujące - odparła Rosie. - Odwiedź mnie wkrótce, Fix.

- Obawiam się, że pan Castor nie jest tu już mile widziany. Mało prawdopodobne, by wrócił.

- Możesz na to liczyć, Rosie - wychrypiałem.

W drodze do wyjścia strażnicy poczęstowali mnie jeszcze odrobiną cywilizowanej dyskusji, ale nie zostawili żadnych trwalszych śladów.

Kiedy szedłem chwiejnie do samochodu, odtwarzałem w umyśle słowa Rosie. „Zatrzymał się u pana Steinera”. Ponieważ Peckham Steiner nie żył i leżał pogrzebany, podczas gdy gość, którego spotkałem przelotnie na pokładzie „Kolektywu”, żył z całą pewnością, zostawiało to tylko jedną, intrygującą możliwość. Tu jednak potrzebowałem pomocy Nicky'ego.

I może - wybaczenie mi to stwierdzenie - zdołam upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

15

- Na co ja niby wyglądam? - spytał ostro Nicky, z oburzeniem unosząc rękę. - Na pieprzoną noclegownię? Łóżka dla wszystkich i dodatkowe koce na życzenie?

- To tylko dzień lub dwa, Nicky. Może nawet mniej. W każdej chwili może obudzić się sama i stąd wyjść.

- Zabierz swoją demoniczną dziwkę gdzie indziej, Castor. W tym tygodniu i tak już dostatecznie spierdzieliłeś mi życie.

Byliśmy w głównej sali kinowej, gdzie Nicky przechowuje pompę i generator zasilający układ klimatyzacji. Nigdy nie zdołałem zrozumieć dokładnie jego metod wymiany mocy i prania voltów, lecz w jakiś sposób udaje mu się utrzymać około tysiąca metrów sześciennych w dobrze schłodzonej temperaturze czterech stopni Celsjusza tak, że w całej krajowej sieci energetycznej nie drgnie nawet wskaźnik. Podejrzewam, że gdzieś tam kryje się chomik biegnący w swoim kółku ile sił w małym serduszku.

Ale dziś w systemie doszło do niewielkiej czkawki i Nicky leżał na plecach pod mechanizmem pompy, pielęgnując jego wnętrzności za pomocą klucza i palnika acetylenowo-tlenowego. Palnik wyglądał jak elegancka jaszczurka, bo Nicky zamontował na jego szyjce kołnierz minimalizujący ilość gorącego powietrza docierającego do jego ciała podczas pracy. Dopiero co wyszedł spod uzdrowicielskich dłoni Imeldy, ale mimo wszystko, tu stopień, tam stopień i w sumie jego życie nieco się skracało. Czy raczej życie po śmierci.

Spróbowałem innego podejścia.

- Posłuchaj, myślę, że stać ją, by ci zapłaciła. Powiedzmy setkę dziennie. Ureguluje wszystko, gdy tylko się obudzi.

- Tak? Taniej byłoby powiesić mnie na moście za własne flaki. Zapominasz, że badałem ją dla ciebie. Wiem lepiej niż ty jak niebezpieczna jest Ajulutsikael. Podaj mi taśmę.

Kopnąłem ją i przesunęła się po podłodze, tuż pod jego rękę. Chwycił ją bez słowa podziękowania.

- Sto pięćdziesiąt za noc? - zaproponowałem.

- Do ciebie to nie dociera, prawda Castor? Ja jej nie ufam i nie życzę sobie, by tu była. Bardzo poważnie traktuję moje fizyczne bezpieczeństwo. Myślisz, że chcę, by świrnięty demon obudził mi się wkurzony w pokoju gościnnym?

- A masz w ogóle pokój gościnny?

- Nie. Słuszna uwaga.

- Może mogłaby zapłacić ci informacjami?

- O czym, Castor?

Natchnienie przepłynęło obok, niczym drobinka kurzu w lodowatym powietrzu, a ja chwyciłem je w locie.

- Na temat tego, co będzie dalej - rzekłem.

Owszem, była to groteskowa manipulacja, ale powoli zaczynali mnie męczyć ludzie, którzy mi odmawiali.

Nicky wyturlał się spod pompy i spojrzał na mnie z głębokim zainteresowaniem i jeszcze głębszą podejrzliwością.

- Co takiego?

Wydałem policzek i wzruszyłem ramionami.

- Chcę powiedzieć, no wiesz, świetnie sobie radzisz z odwlekaniami nieuniknionego, Nicky, nie znam nikogo lepszego. Ale w końcu wcześniej czy później przekroczysz granicę. Nie chciałbyś wiedzieć, gdzie najpewniej wylądujesz?

Znalazł rolkę papierowych ręczników, urwał kawałek i zaczął wycierać poplamione sadzą palce. Cały czas unikał mojego wzroku, świadom, że jego pokerowa mina nie jest najlepsza.

- Wciąż bym się bał, że urwie mi jaja i założy sobie zamiast kolczyków - mruknął cierpko.

- Masz może magazyn z dobrymi, mocnymi drzwiami i kłódką?

- Tak. A co?

- To że Juliet nie potrzebuje jeść ani pić, czy korzystać z łazienki. Możesz po prostu ją tam zamknąć, dopóki nie wrócę.

Zapadła długa cisza. Nicky nie przerywał ablucji.

- Tak - powiedział w końcu, używając możliwie nonszalanckiego tonu. - No dobra. Pod tym warunkiem. Zabierzesz ją do piwnicy i zamkniesz w magazynie taśm.

Odbierzesz ją, kiedy będziesz gotowy. Ja nie będę musiał jej dotykać ani się do niej zbliżać. Potem, gdy się obudzi, porozmawiamy, ty będziesz pośredniczył. Dostanę... Powiedzmy pięć pytań. I jasne odpowiedzi. Sam określe, co oznacza jasna odpowiedź. Uczciwie?

Skinąłem głową.

- Uczciwie. Stoi. Pójdę po nią - oznajmiłem i obróciwszy się na pięcie, ruszyłem do wyjścia.

- Hej, czytałem, gdzie znaleźli ciało małej! - zawołał za mną Nicky. - Jednak miałaś rację, od początku nie żyła. Powinienem był wiedzieć, że nie ma się co z tobą sprzeczać w sprawie ducha. Ale możliwe, że jednego nie wiedziałeś, bo to znajdowało się w zamkniętych aktach, do których się włamałem, kiedy byłem w okolicy.

Zatrzymałem się i obejrzałem. Wszystkie fotele usunięto dawno temu, toteż za sobą widziałem równe rzędy trzpieni, niczym pole obsiane złomem zamiast ziarna.

- W jakiej okolicy? - spytałem.

- W okolicy Mapstacku - wewnętrznej policyjnej wersji wielkiego systemu wymiany danych Interpolu. Zwykle warto tam zajrzeć, choćby po to, żeby się pośmiać. Ci ludzie nie mają pojęcia, jak działa świat - jak różne małe szczegóły łączą się ze sobą. Próbują wykrywać połączenia między zbrodniami, ale ponieważ pracują tylko w liniach prostych, większość przeocząją. Nie widzą niczego poza pierdzieloną metodologią. Jakby prawdziwi przestępcy - to znaczy ci tak wielcy, że nigdy się ich nie widuje - nie mogli zmieniać repertuaru.

- Abbie Torrington - przypomniałem, wykolejając paranoiczną gadkę, nim jeszcze rozpędziła się na swych torach.

Nicky wyjrzał spod pompy, nieco zjeżony tym, że mu przerwałem.

- Ciało poruszono po śmierci. Jakaś minutę po, kiedy wciąż krwawiło. Ktoś zadrapał jej kark tak mocno, że uszkodził skórę.

Obróciłem w myślach tę wizję, choć mój umysł przepelniało w tym momencie tak wiele śmieci, że trudno było mi się skupić.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś przesunął czymś po jej karku? Czymś o szorstkiej powierzchni?

- Coś w tym stylu, owszem. Przez cały kark i z lewej strony. Ślad urywa się tuż pod brodą.

Długie cięcie nożem? Odcięcie głowy po przebiciu serca? Możliwe. Ale wówczas do środka wpadł wielki kolesz z pistoletem maszynowym i na podłogę posypały się

trupy. Może zatem ktoś nie zdążył dokończyć dzieła i pozostała mu tylko przerywana linia z napisem ciąć tutaj.

Pokręciłem głową. Nie. Nie tak. Jedno, co można powiedzieć na pewno o świrniętych satanistach, to to, że zawsze mają ostre narzędzia. Kiedy składają ofiary z ludzi, nie wyciągają po prostu z szuflady noża do chleba, z nadzieją że wystarczy do przecięcia kości. Noże to część sakramentu: całują je, tulą do siebie i gładzą ostrzałką, aż w końcu klinga zaczyna śpiewać.

- Coś jej zerwano z szyi - poinformowałem Nicky'ego. - Coś, co na niej nosiła.

- Jakie coś?

- Wisiorek na łańcuszku.

- To też pasuje. Ale musieli go zerwać z wielką siłą.

Przypomniałem sobie pięść Dennisa Peace'a przebijającą deski na pokładzie „Kolektywu” z Tamizy tuż obok mojej twarzy.

- Owszem - rzekłem. - Tak było.

Zabrałem Juliet z samochodu, po drodze przetrawiając nowe informacje. Wymagało to ryzykownego założenia - kilku równoległych logicznych założeń - ale odnosiłem wrażenie, że przynajmniej częściowo wiem już, co się stało. Peace wpadł do sali spotkań z misją ratunkową. W jakiś sposób dowiedział się, co się tam stanie i kto weźmie w tym udział. Być może biciem wymusił informacje od Melanie Torrington, nim ją zabił. Ale zjawił się za późno. Abbie już nie żyła.

Za późno? Czy może w samą porę.

Peace celuje z broni w kredowy krąg na podłodze, rozwała jedną trzecią w drzazgi. Potem, gdy kultyści wrzeszczą i miotają się, czy co tam robią, podbiega i zrywa wisiorek z szyi Abbie.

Skoro nie może ocalić jej ciała, uratuje przynajmniej ducha. Ale potrzebuje czegoś fizycznego, czego mógłby się uchwycić.

Może zbyt długo gram już w tę grę, bo wszystko to zaczynało brzmieć całkiem sensownie. Dla egzorcyisty, przywykłego do traktowania kwestii ducha jak zimnych, twardych faktów, tkwiła w tym naga, nieubłagana logika. Większość duchów ma jakąś kotwicę - mogą bez niej przetrwać, jak dowiodłem uwalniając martwe dzieci z kliniki Charlesa Stangera i wypuszczając swobodnie w noc. Ale w szaleńczej panice chwili - chwili śmierci - w obcym miejscu, w otoczeniu nieznanym dusza Abbie zapewne przywarła do czegoś, co znała. Peace był dobry w swoim fachu. Albo umiał to zidentyfikować, albo wpłynąć na ów proces.

Reszta to tylko mechanika, bo decyzja zajęła mu jedynie ułamek sekundy. Nie chciał, by dusza jego dziecka pozostała w towarzystwie drani, którzy właśnie ją zabili. Możliwe też, że zachowali ją sobie na coś jeszcze gorszego.

Ponieważ sataniści nadal szukali Abbie, mimo że już nie żyła, bez wątpienia coś nie poszło zgodnie z ich planami. Coś, co zapoczątkowali i musieli dokończyć - a cokolwiek to było, stanowiło tak ważną sprawę, że Kościół katolicki wypuścił na nich swą potężną, ekskomunikowaną broń.

W tym momencie więcej nie potrafiłem zgadnąć. Nadal czułem, że nie dostrzegam czegoś, co tkwi pod samym moim nosem, i że to coś to zapewne brakujące ogniwo, łączące z tym wszystkim Rafiego, Asmodeusza i kościół Świętego Michała. Ale na razie miałem na głowie pilniejszą sprawę. Zniosłem Juliet do piwnicy Nicky'ego, i kierując się jego wskazówkami, wszedłem do magazynu wielkości hangaru. Wypełniały go najróżniejsze przedmioty, które Nicky zgromadził przez lata - rzeźby i obrazy, bezcenna kolekcja płyt i, z przyczyn, których nigdy nie rozumiałem (bo zombie nie jadają), ogromne zapasy puszek. Może planował użyć ich na wymianę po nadciągającym holokauście?

Rozłożył na podłodze parę koców, jeden na drugim, a ja ułożyłem ją na nich najdelikatniej jak mogłem. Nicky patrzył na nią niewzruszony.

- Nie mam już hormonów, Castor - oznajmił tonem nieco napiętym i nerwowym. - Adrenaliny, testosteronu, dopaminy... niczego. Odpowiednie narządy przestały działać. Nie mówiąc o fakcie, że moja krew zamieniła się w galaretowatą masę.

- Wiem. I co z tego?

- To jakim cudem, kiedy na nią patrzę, staje mi?

- Pewnie przez magię. To jej moc demona.

Rzucił mi klucze, po czym cofnął się, osłaniając dłońmi krocze.

- Zamknij ją - wymamrotał, odwrócił się i wyszedł. Ukląkłem obok Juliet i zniżyłem głowę, aż moje usta znalazły się przy jej uchu.

- Trzymaj się, Jules - wyszeptałem.

Wstałem i zamknąłem drzwi. Musiałem pchnąć je mocno ramieniem: w tym magazynie przechowywano filmy, a ponieważ stare taśmy filmowe są jedynie nieco mniej wybuchowe niż nitrogliceryna, ściany i drzwi były ognio- i wybuchoodporne. Dobre miejsce do ukrycia fizycznego ciała Juliet na czas pozwalający reszcie powrócić do niego.

Zajmę się tym, kiedy tylko zdołam.

Znalazłem Nicky'ego na górze, w kabinie operatorskiej. Odczytywał poziom kwaśności pożywki swoich roślin. Nie zważając na niego, podszedłem do skrzyni, w której trzyma mapy i książki: jako wyznawca teorii spiskowych dysponuje lepszym księgozbiorem podręcznym niż Biblioteka Brytyjska, i wiedziałem, że ma tam zestaw map Londynu w skali 1:1000. Wyjąłem część Ealing-Acton i rozłożyłem na skrzyni, zgarniając na podłogę parę książek i zabawkę w kształcie kołyski Newtona.

Nicky zerwał się z klęczek obok jednego z pojemników i przebiegł przez pomieszczenie.

- Hej, Castor! - zaprotestował. - Zostaw w spokój u moje rzeczy.

- Pomyślałem, że może sobie w coś zagramy, Nicky - oznajmiłem, układając mapę nieco lepiej, tak że fragment, o który mi chodziło, znajdował się na środku skrzyni.

- Nie jestem w nastroju do gier. Właśnie pierwszy raz po śmierci doświadczyłem pewnej reakcji fizjologicznej. Mojego fiuta nawiedziło kurestwo z drugiej strony grobu - twojej strony - i próbuję dojść po tym do siebie. Wolałbym, żebyś już poszedł.

Puściłem jego słowa mimo uszu. Wiedziałem, że kiedy powiem, co robię, wejdzie w to: po prostu musiałem sprzedać mu pomysł.

- Peckham Steiner - oznajmiłem - miał marzenie o sieci kryjówek. Miniaturowych, samowystarczalnych fortec w sercach miast, w których żywi mogliby się ukryć, gdyby martwi kiedykolwiek zebrali się do kupy i spróbowali urządzić przewrót.

Nicky nie wydawał się zainteresowany.

- Steiner miał pojebane w głowie - warknął.

Chwycił mapę i zaczął ją zwijać lekko trzęsącymi się rękami. Juliet najwyraźniej przemówiła do niego na poziomie, który śmiertelnie go przeraził.

- „Podstawowy żywioł powstrzymujący umarłych to woda” - zacytowałem. - Pamiętasz? To z listu, który rozesłał do wszystkich rad dzielnic. „Ale przydadzą się także wały z ziemi i powietrza, bla, bla, bla, by oślepić ich oczy i osłabić moce”.

- Czemu mi to mówisz? - Nicky wepchnął mapę do szuflady i ją zatrzaskał. Był teraz groźniejszy niż wówczas, kiedy celował do mnie z broni, bo w mniejszym stopniu panował nad sobą.

- Bo to jeden wielki żart? Zgadza się. Wszyscy się śmieją z tego, jak wyjątkowo Steinerowi odbiło. A najzabawniejsze są właśnie kryjówki. Tyle że jest jeszcze pointa: jedną z nich zbudował. Tutaj, w Londynie.

Nicky zareagował natychmiast i gwałtownie.

- Chuja tam - rzucił z oburzeniem. - Nie ma, kurwa, mowy.

- Skąd ta pewność?

- Bo wiedziałbym o tym. Wiem o wszystkim, co się dzieje w Londynie. I jeśli któryś z wróbli pierdnie, natychmiast się dowiaduję. Twierdzisz, że mogłem przeoczyć coś tak wielkiego?

- Zamaskowano ją - wyjaśniłem.

Nicky długą chwilę przyglądał mi się gniewnie, potem otworzył szufladę i wyciągnął mapę. Rozłożył ją na stole szorstkim gestem, a potem machnął ręką, wskazując płataninę cienkich brązowych linii na żółknącym papierze.

- Gdzie? - spytał ostro. Pokręciłem głową.

- Uhm. Jak mówiłem, to gra. Musisz ją dla mnie znaleźć.

- Czyli to stek bzdur. Nie wiesz, czy ta kryjówka istnieje.

- Dennis Peace zabrał ducha Abbie Torrington, zapewne zamkniętego w złotym wisiorku, który nosiła w chwili śmierci. A kiedy próbowałem wywołać Abbie melodią, kontakt nagle się zerwał. W jednej chwili tam była, w następnej - bum! - zniknęła. Nigdy dotąd nie zetknąłem się z czymś podobnym. Istnieje mnóstwo powodów, dla których nie mógłbym znaleźć ducha, ale kiedy już jakiegoś wyczułem, żaden nigdy mi się nie wyśliznął. Dziś wieczór, przed wizytą u ciebie poszedłem do Rosie Crucis i usłyszałem, że Dennis Peace powiedział jej, że „zatrzymał się u pana Steinera”. To według mnie może znaczyć tylko jedno: znalazł kryjówkę Steinera. Steiner twierdził, że dom może oślepić oczy umarłych. Możliwe, że tak samo działa na żywych, którzy szukają umarłych.

- Cała kupa może - zauważył Nicky.

- Zrób mi tę grzeczność i nie przerywaj.

Wywrócił oczami i wzruszył ramionami. Najmniej przekonywujący pokaz znudzonej nonszalancji, jaki od dawna oglądałem.

- Dobra, nieważne. Wal dalej. Co prawda, nie jestem nigdzie umówiony, ale dobra, co wiemy?

Pochyliłem się nad mapą.

- Trzy razy grałem na flecie dla Abbie - oznajmiłem. - W trzech różnych miejscach. Za każdym razem odbierałem słabe wskazanie kierunku. - Pierwszy raz tutaj. - Znalazłem na mapie Harlesden i pokazałem. - Stąd miałem wrażenie, że znajduje się na południe i zachód ode mnie. Gdzieś w tę stronę. Potem spróbowałem znów, przy Scrubs Lane, jej obecność wyczułem na zachodzie. Niemal prosto ku zachodzącemu słońcu.

- Z lekkim odchyleniem na południe - poprawił belferskim tonem Nicky.

- A potem z estakady w Hammersmith odrobinę na północny zachód.

- Ealing. Ealing Broadway. Albo Hanger Mili. Albo Scotch Common. Albo gdzieś od West Acton do chuj wie gdzie.

- Poświęcana ziemia ze wszystkich czterech stron - zacytowałem z pamięci.

- Wiesz, ile mamy kościołów w Londynie, Castor? Zupełnie jakbyś powiedział, że łatwo tam dojechać autobusem.

- Słuszna uwaga. Ale pamiętaj o wałach wody. Przypuszczam, że w tym miejscu musi być wysoki poziom gruntowy, tak że piwnica chociaż w części znajduje się pod nim.

- Równie dobrze może być otoczone fosą.

- Fosę trudniej ukryć, Nicky.

- Może zbudował kryjówkę pośrodku zbiornika Brent?

- Możliwe. Myślę jednak, że Steiner chciał, by kryjówki wyglądały z zewnątrz zupełnie zwyczajnie. Miały znosić obłączenie, a nie do niego zachęcały.

- Dobra. - Wzrok Nicky'ego wędrował po mapie. - Na pewno musi mieć własną działkę. Nie wyobrażam sobie wałów z ziemi i powietrza na ulicy pełnej szeregowców.

- Znakomicie. I nie może być zbyt daleko. Steiner uważał to za coś w rodzaju Linii Tamizy - usługę dla Londynu i londyńczyków.

- Kiedy przesuwamy się za daleko, teren i tak się podnosi - wymamrotał Nicky.

- Trzeba by kopać głębiej, żeby dotrzeć do poziomu wody. Steiner sam pochodził z zachodniego Londynu, prawda? Z Perivale? I zawsze powtarzał, że tam właśnie zamierza osiąść na starość.

Umilkł, kreśląc dłońmi linie na mapie. Wyraz jego twarzy ze zwykłej koncentracji zmienił się w coś bardziej zaciętego i upartego.

- Myśl elastycznie, Nicky. To musi być coś, co masz przed nosem.

Jego prawy wskazujący palec opadł ciężko na Castlebar Hill.

- Masz rację - rzekł. - I jest. To pierdolona Oriflamma.

Przez chwilę nie rozumiałem.

- Ale Oriflamma jest... - zacząłem mówić.

- Nie ta główniana dziura dla Gotów w Soho Square, Castor. Pierwotna Oriflamma. Ta, która się spaliła.

16

Pierwotnie w siedzibie Oriflammy mieściło się muzeum, stojące w najbardziej nieprawdopodobnym miejscu, jakie można sobie wyobrazić: pośrodku ronda na B466, tuż przy Castlebar Hill. Kierunki, które wyczuwałem, trzymając głowę lalki, okazały się całkiem precyzyjne. Na południowy zachód od Harlesden, na wschód, mniej więcej, od Du Cane Road. Ale muzeum zamknięto z powodu bezlitosnych praw podaży i popytu, a dokładniej, ponieważ popyt na muzeum, do którego dostęp wymagał przeprawy przez trzy linie rozpedzonego londyńskiego ruchu, był niewielki - tym bardziej że specjalizowało się w historii miejscowego przemysłu, co oznaczało, że większość eksponatów stanowiły kiepsko zamaskowane reklamy Hoovera i Hawker-Siddeley.

Toteż Peckham Steiner kupił budynek za grosze i przekazał Burbonowi Bryantowi, który dał nam - na krótko - Oriflammę. A potem spaliła się do fundamentów. To już cała historia, którą znałem, oprócz zwariowanych, spiskowych teorii Nicky'ego. Teraz jednak, kiedy szedłem przez Cleveland Park o drugiej nad ranem, w towarzystwie wyłącznie ciemności, pożałowałem, że nie spróbowałem dowiedzieć się więcej.

Kiedy wspiąłem się na wzgórze, dokładnie przed sobą ujrzałem Oriflammę - czy raczej małą wysepkę sterczącą z ziemi pośrodku ronda. Sam budynek z tej strony zasłaniała kępa drzew na skraju wysepki. Gdy się zbliżyłem, ujrzałem znak na początku ścieżki, wśród drzew. Głosił on: muzeum miejscowego przemysłu sir NORMANA TEBBITTA. Bryant go nie zmienił, bo uważał, że to świetny dowcip, choć nigdy nie wyjaśnił mi dlaczego, a ja sam tego nie rozumiałem.

Przeszedłem przez drogę, o tej porze niemal pustą, i ruszyłem ścieżką. Liczyła zaledwie jakieś dziesięć metrów: po paru krokach znalazłem się na polanie pośrodku wysepki, gdzie stała zrujnowana skorupa Oriflammy. Nie odwiedzałem tego miejsca od lat, teraz jednak wspomnienia nagle powróciły. Budynek otaczał pierścień ziemi,

wysoki na metr, stworzony dzięki wykopaniu rowu wewnątrz niego. Bryant, czy może sam Steiner, kazał wybrukować jego dno i obsadzić mały sztuczny wzgórek kwiatami. Wówczas uważałem, że to całkiem sprytny i zręczny pomysł wytłumienia hałasu ulicznego. Teraz pojąłem, czym był naprawdę: wałami z ziemi i powietrza. Nicky trafił w dziesiątkę. Ale fortyfikacje nie ocaliły Oriflammy przed gniewem czwartego żywiołu: podobnie jak zła wróżka niezaproszona na chrzciny, ogień zniszczył to miejsce.

Budynek spowijała ciemność. Nie spodziewałem się zresztą czegoś innego. Jeśli Peace był w środku, z całą pewnością nie zamierzał reklamować tego faktu. Podeszedłem do drzwi, których nie widziałem, bo cały front skrywał głęboki cień. Latarnie uliczne zostały po drugiej stronie drzew i na polanę przenikał tylko słaby pomarańczowy poblask.

Drzwi nie było - jedynie pusta dziura pośród cegieł. Kiedy jednak ruszyłem naprzód, ostrożnie stawiając kroki i zagłębiając się w ciemność, moja ręka dotknęła czegoś na wysokości piersi - czegoś zimnego, gładkiego i lekko wilgotnego. Zbadałem to ostrożnie i odkryłem, że ciągnie się w górę i w dół, a także na boki. To była foliowa zasłona, zawieszona nad drzwiami, by chronić przed wiatrem. Mokra od nocnej rosy, nieprzyjemnie lepiała się do palców.

Gdybym ją odsunął, zaanonsowałbym swoje przybycie każdemu, kto krył się w środku. Biorąc pod uwagę reakcję Peace'a na moją obecność na pokładzie „Kolektywu” i jego obietnice, co się stanie, jeśli spotkamy się następnym razem, uznałem, że to nie najlepszy pomysł.

Zamiast tego okrążyłem budynek, szukając innej drogi do środka. Musiałem bardzo się pilnować: po pożarze wszystko co zostało z wewnętrznych instalacji i wyposażenia wyciągnięto na dwór i rozrzucono gdzie się dało. Od tej pory śmieciarze znacznie wzbogacili kolekcję, toteż skorupę Oriflammy otaczały obecnie dodatkowe wały rdzewiejącego metalu i gnijących materaców.

To jednak działało na moją korzyść, bo gdy dotarłem na tyły budynku, ujrzałem możliwą drogę do środka. Tu śmieci było najwięcej, piętrzyły się pod ścianą na wysokość trzech metrów, a góra sterty zbliżała się niebezpiecznie do okna na piętrze, które podobnie jak drzwi frontowe eksplodowało i obecnie otwierało się niczym ziewające usta. Pozostawało tylko pytanie: czy stos czarnych śmieciowych worków, starych lodówek i rowerowych ram bez kół utrzyma mój ciężar?

Ostrożnie wspiąłem się na pierwsze pokłady śmieci, żałując, że nie zabrałem latarki, by widzieć, na co wchodzić. Worki ustąpiły, uginając mi się z piskiem pod nogami. Ale nie ześliznęły się i zdołałem utrzymać równowagę. Krok za krokiem, bardzo wolno i pod kątem, by móc opierać się na drugiej nodze, wspinałem się coraz wyżej. W połowie drogi nastąpiła nieprzyjemna chwila, gdy cała sterta osiadła lekko pod moim ciężarem i o mało nie upadłem. Lecz do tego czasu znalazłem się tak blisko ściany budynku, że mogłem się o nią oprzeć i na parę sekund przycisnąć do niej dłonie, a potem góra śmieci odnalazła nowy punkt ciężkości.

Potem bez dalszych incydentów dotarłem na górę, usiadłem na parapecie i przełożyłem przezeń nogi. Byłem w środku. Już miałem zejść z parapetu w nieprzeniknioną ciemność, lecz wrodzona ostrożność kazała mi spuścić najpierw jedną nogę i zbadać podłogę. Okazało się to rozsądnym pomysłem, bo go nie było. Podłoga w pomieszczeniu musiała się zawalić podczas pożaru, miałem więc pod sobą kilkumetrową przepaść aż do parteru i perspektywę skrzyżowanej kostki. Albo dwóch.

Siedząc na parapecie, czekałem, aż oczy przywykną mi do ciemności. Oczywiście nie była nieprzenikniona - tu, na wysokości, przez listowie przenikało więcej światła latarni i po jakiejś minucie wewnątrz pomieszczenia rozjaśniła słaba, pomarańczowa poświata. Wystarczyła jednak, by pokazać, że w odróżnieniu od desek belki przetrwały: mogłem przejść, balansując na jednej aż do drzwi, i sprawdzić, czy za nimi nie zostały może schody.

Ta perspektywa wciąż mnie nie zachwycała, ale nie miałem lepszych pomysłów. Opuszczając ciężar na belkę wiodącą wprost do drzwi, niechętnie puściłem się parapetu i odnalazłem równowagę. Ekspedycja z każdą chwilą zamieniała się w pośmiewisko.

Pokój nie był duży: wystarczyły trzy kroki, żebym dotarł do otwartych drzwi i zalegającej za nimi głębszej ciemności. Pierwszy nie sprawił mi problemów, podobnie drugi. Z trzecim już było gorzej, bo belka pode mną zatrzeszczała głośno i odrobinę się przesunęła. Porzuciłem plan A i skoczyłem szczupakiem do drzwi, chwytając je w objęcia w chwili, gdy belka opadła i pękła, posyłając w otchłań deszcz zwęglonych odłamków.

Po drugiej stronie drzwi także nie było podłogi, wisiałem zatem uczepiony grubej belki, zwęglonej pośrodku, ale nadal solidnej, a moje nogi dyndały w pustce.

- Możesz puścić - dobiegł szorstki głos z dołu. - Dwa i pół metra pod tobą jest cementowa podłoga. Jeśli dobrze wylądujesz, nic ci nie będzie. Jeżeli się zachwiejesz, najwyżej złamiesz nogę. To uczciwa cena za włamanie z wtargnięciem.

- Myślisz... że mógłbyś coś mi... podścielić - wydyszałem. Mój rozmówca wydał z siebie coś pomiędzy rozbawionym parsknięciem i gardłowym charknięciem.

- Lepiej zrób co mówię - rzekł. - Jeśli będziesz tam dyndał jak chiński lampion, zrobię w tobie parę dziurek, żeby wpuścić nieco światła.

- Jakiego światła? - wychrypiałem, wciąż trzymając się mocno. Nieznajomy westchnął głęboko, przeciągle i lekko ochryple.

A potem usłyszałem nowy głos, na dźwięk którego zjeżyły mi się włoski na karku.

- Poświeć mu, tato. - To był głos małej dziewczynki, odległy i słaby, lecz idealnie wyraźny. Głos Abbie.

Przekrzywiłem głowę, patrząc przez ramię, ale nadal było za ciemno, by cokolwiek dostrzec w dole.

Coś zgrzytnęło i neonowa plama światła rozkwitła w mroku, zmieniając się szybko w płomień zapalniczki. Światło pochyliło się, zamigotało i na moment rozszczepiło w dwoje żółtobiałych oczu. Potem, gdy świeca zapłonęła, oświetlając słabo pokój, Peace odrzucił zapalniczkę. Zgasła spadając.

Leżał na ziemi metr po mojej lewej, przykryty kocem. Trzymał w ręce pieprzoną spluwę i celował wprost we mnie. Może świeca oświetliła jeszcze inne szczegóły wystroju pomieszczenia w dole, ale z jakichś przyczyn to głównie pistolet przyciągał moją uwagę.

- Skacz - zasugerował ponownie Peace. - Moja cierpliwość się kończy.

Zeskoczyłem mniej więcej prosto i lądując, zdołałem zachować równowagę. Broń towarzyszyła mi cały czas, a przynajmniej tak zakładam. W każdym razie celowała mi w pierś, gdy się wyprostowałem i odwróciłem, by znów spojrzeć na Peace'a.

Wyglądał, jakby nie powodziło mu się najlepiej od czasu naszego spotkania na pokładzie „Kolektyw”. Jego twarz przecinała poszarpana rana, ciągnąca się od lewej skroni, przez grzbiet nosa aż na prawy policzek: heraldyczna wstęga, nakreślona czerwienią tak mocną, że w tym świetle równie dobrze mogła być czarna. Reszta twarzy wokół owej ciemnej linii była biała jak mleko. Dłoń trzymająca pistolet drżała lekko, jakby z najwyższym trudem go utrzymywała.

Abbie stała za nim, niemal zagubiona wśród cieni. Ona także była jedynie cieniem siebie: blask świecy przenikał przez nią i oświetlał szorstki, ceglany mur w ziarnistych liniach bieli i głębokiej czerni. Patrzyła na mnie z ciekawością, ale spokojnie, bez śladu strachu. Imponujące, biorąc pod uwagę to, jak umarła: mnóstwo duchów nigdy nie jest w stanie uwolnić się od emocji odczuwanych, kiedy przechodziły na drugą stronę. Chwila śmierci staje się ich przeznaczeniem i wiecznym spoczynkiem. Albo jego brakiem.

Ponieważ go szukałem, natychmiast dostrzegłem błysk złota na przegubie Peace'a. I choć nie widziałem dokładnie kształtu, wiedziałem co to: na prawej ręce jako bransoletkę nosił złoty wisiołek Abbie, tak jak wcześniej. Nie ryzykował, że cokolwiek mogłoby ich rozdzielić.

Sam pokój przypominał wypatroszoną powłokę, o poczerniałych ścianach i podłodze. Był pusty, prócz prymitywnego obozowiska urządzonego przez Peace'a - prymusa gazowego, walizki, kubła zamiast latryny. W powietrzu unosiła się kwaśna woń zastałego potu i niedawnego bólu. Nad nią rozpościerała skrzydła słodsza woń kadzidelka o zapachu drzewa sandałowego.

Uniosłem ręce, rozcapierzając palce i pokazując, że są puste.

- Wiesz, kto mnie wynajął?

- Pewnie lepiej od ciebie - odparł ostro Peace.

Tu mnie miał.

- Już dla nich nie pracuję.

Pistolet i trzymająca go dłoń nadal drżały, niemal niedostrzegalnie, niczym mocna gałąź w wietrzny dzień, ale wciąż celowały mi prosto w serce.

- Ja pewnie też bym to powiedział - zauważył Peace - gdybym stał na twoim miejscu. A skoro o tym mowa, chyba powinieneś usiąść. Na rękach. Z drugiej strony... Zdejmij najpierw płaszcz i rzuć pod ścianę. Nie chcę, żebyś podczas rozmowy wyciągnął z niego jakąś niespodziankę.

Powoli, niegroźnymi ruchami, zsunąłem płaszcz: do tej pory słyszałem dość na temat Peace'a, by uwierzyć, że mówi serio. Abbie nadal oglądała to wszystko w absolutnej ciszy - ciszy, do której zdolni są tylko umarli, bo nie oddychają i nie wiercą się. Jej ciemne oczy były poważne i czujne. Bardzo nietypowy duch. Miałem nadzieję, że pożyję dość długo, by poznać ją lepiej.

- Gdybym wciąż próbował cię zgarnąć - powiedziałem, kładąc płaszcz na ziemi i odsuwając na bok stopą - myślisz, że przyszedłbym tu sam? To by nie miało sensu. Po prostu bym im powiedział, że cię znalazłem, odebrał kasę i zniknął.

- Może. - Twarz Peace'a na moment wykrzywił grymas bólu, który jednak postarał się ukryć. - Gdybyś miał pewność, że nas znalazłeś. I gdybyś wierzył, że dotrzymają swojej części umowy, którą zawarliście.

- Nie zawieram umów z demonami. Ani ich wspólnikami.

Peace uśmiechnął się ponuro.

- Przykro mi, bracie. Dowody wskazują, że to właśnie zrobiłeś. Siadaj.

I znów bardzo uważałem, by robić dokładnie to, co mi kazał. Byłem niemal pewien, że koc ukrywa coś znacznie gorszego niż uszkodzenia twarzy Peace'a, i zaczynałem się martwić co zrobi, jeśli poczuje, że traci przytomność. Z całą pewnością nie chciałby zostawić mnie tutaj, stanowiącego wciąż trwające zagrożenie. To sprawiało, że szczerza rozmowa stała się jeszcze pilniejsza.

- Kiedy poprosiłem twoją znajomą z drugiej Oriflammy, by przekazała ci wiadomość, mówiłem szczerze. Cały czas chciałem tylko z tobą pogadać.

- Carłę? Tak, to było urocze. Ale nim zadzwoniła, wiedziałem już, że węszy za mną egzorzysta. Wyczułem cię przecież, pamiętasz? Próbowałeś namierzyć Abbie, a ja cię wyłączyłem.

- Trzy razy - przyznałem. - Niezła robota. Za drugim razem o mało nie wypchnąłeś mi mózgu tyłem czaszki. Jak to zrobiłeś?

- Nie wymieniamy się tu przepisami - oznajmił ponuro Peace. - Z tego, co rozumiem, próbujesz znaleźć powody, dla których nie powinienem cię zabijać. Tak dla wiadomości, na razie twój wynik wciąż wynosi zero.

- Dobra - mruknąłem. - Daj mi znać, jeśli cokolwiek z tego, co powiem, go zmieni. Po pierwsze, jesteś ciężko ranny - pewnie po walce z dwoma wilkołakami - i potrzebujesz pomocy. W dodatku nie spałeś od sobotniej nocy, utrzymując psychiczny mur, tak by nikt inny nie spróbował znaleźć Abbie, jak ja to zrobiłem: do tego właśnie potrzebowałeś dopalaczy od Carli. Wcześniej czy później padniesz. Osobiście stawiam na wcześniej. Jeśli mi nie ufasz, wciąż musisz znaleźć kogoś zaufanego, i to szybko. Po drugie, po tym, jak próbowałeś zrobić sobie ze mnie poduszkę do lądowania na pokładzie „Kolektywu”, widziałeś, jak przeszkadzam *loup-garou*. Jeep, który przebił ogrodzenie i zwałił większego z nóg, to byłem ja. Jak to pasuje do tego, że jestem

wrogiem? Tak naprawdę, gdy tylko przyjąłem tę robotę, zacząłem węszyć niezły smród i od początku próbowałem się dowiedzieć, o co naprawdę biega.

Urwałem, by odetchnąć. Peace zachowywał pokerową twarz w trakcie całego recitalu. Nie trafiałem do niego.

- Jest jakieś po trzecie? - spytał.

- Tak - odparłem. - Jest po trzecie. Masz niezłą reputację, Dennis. Wszyscy twierdzą, że jesteś twardzielem, który zrobił sporo złych rzeczy. Nawet Burbon Bryant ostrzegał, żebym cię nie wkurwiał, a on nigdy o nikim nie mówi nic złego. - Peace wbijał we mnie wzrok, a ja spojrzałem mu prosto w oczy. - Ale powiedz mi - dodałem cicho - czy naprawdę jesteś gotów zabić nieuzbrojonego człowieka na oczach Abbie i pozwolić, by patrzyła, jak się wykrwawia? Bo jeśli tak, to nie mam już więcej kart w ręku.

Jeszcze parę chwil graliśmy w to, kto odwróci wzrok, ale nie miałem nic więcej do powiedzenia, więc pozwoliłem mu wygrać.

Teraz wszystko zależało od Peace'a. Spojrzałem w czerń poza mizernym kręgiem światła świecy, czekając aż podejmie decyzję. Po długiej ciszy opuścił rękę i położył pistolet na podłodze. Znow na niego zerknąłem. Jego twarz powoli wykrzywiła się w uśmiechu: ponurym, napiętym uśmiechu, samo patrzenie na niego sprawiało mi ból.

- Masz jaja, Castor - mruknął.

Pchnął pistolet, który przesunął się po podłodze w moją stronę. Nie dotarł zbyt daleko - osmalony beton był zbyt szorstki i nierówny - ale przekroczył magiczną połowę drogi. Teraz dopadłbym go szybciej od niego. Zakładając, że Peace w ogóle mógł się ruszyć.

Wstałem i przeszedłem nad pistoletem. Przykucnąłem obok Peace'a, po przeciwnej stronie od Abbie, która nadal obserwowała nas w milczeniu. Czuję na karku niemal fizyczny nacisk jej poważnego, spokojnego spojrzenia: lekkie muśnięcie lodowatych palców.

Peace patrzył mi w twarz, która, oświetlona z dołu płomieniem świecy, musiała wyglądać dość złowieszczo.

- Sam też masz niezłą reputację - oznajmił, pozwalając głowie opaść na zrolowaną kurtkę, służącą za poduszkę. - Zobaczmy, czy jesteś jej godzien.

Z bliska jego twarz wyglądała znacznie bladziej i mizerniej. A może po prostu skończył udawać. Czoło i policzki pokrywała warstewka potu, połyskującego w blasku płomyka.

- Co ci się stało? - spytałem.

- To co mówiłeś, pierdołaki dogoniły mnie parę kilometrów dalej - przepraszam za mój język, Abbie. Jednego załatwiłem nożem: to cwana sztuczka, kupiłem go w Algierze, ostrze ma srebrzone. Skurwiel jakiś czas nie będzie mógł tańczyć. Ale, żeby to zrobić, musiałem się zbliżyć, a on... - Wskazał gestem poharataną twarz.

- To najgorsza rana? - spytałem.

- Nie - wymamrotał. - Ta jest najgorsza. Odwróć się, Abbie.

Duch Abbie Torrington pokręcił głową, ale nie była to odmowa, raczej protest. Obróciła się do nas plecami i, ponownie, jej ruchom nie towarzyszył nawet najslabszy dźwięk. Gdy tylko wbiła wzrok w ścianę, Peace odrzucił koc. Z początku z trudem rozumiałem, co właściwie widzę - przypominało to podkoszulek z lat siedemdziesiątych ze skomplikowanym wzorem. Potem uświadomiłem sobie, że to nagie ciało, no, może nie całkiem nagie, bo jego tors pokrywały na wpeł zaleczone skaleczenia i obłazące strupy. Dominował wściekle czerwony kolor, ale dostrzegłem też żółć - z części zakażonych ran sączyła się ropa.

- Chryste - wymamrotałem odruchowo.

- Tak, bardzo proszę, pobłogosław je. Może to nawet pomoże.

Próżne marzenia. Religijne nostra mają pewną moc nad demonami i nieumarłymi, ale tylko wtedy, gdy posługuje się nimi ktoś, kto naprawdę w nie wierzy. Moja modlitwa pomogłaby równie mocno jak jeden ze znaczków z Jezusem, rozdawanych w szkółce niedzielnej - poczta ich nie przyjmuje, toteż list nigdy nie trafia do adresata.

- Nie potrzebujesz błogosławieństwa - poinformowałem Peace'a - tylko lekarza.

Obrócił głowę, patrząc na ducha swojej córki.

- Abbie - powiedział surowym tonem - tylko nie próbuj podglądać. To nie jest żadna gra.

Spojrzał na mnie.

- Żadnych lekarzy - warknął gwałtownie, próbując usiąść. Niestety, bez powodzenia. - Nie wiesz nawet, z kim masz do czynienia. Każdy telefon na pogotowie jest rejestrowany, podobnie wezwanie prywatne. Nawet gdybyś zdołał tu kogoś ściągnąć bez zadawania pytań, on nadal by o tym wiedział i dopadłby mnie, nim

zdołałbyś wykupić pierdzieloną receptę. - Po krótkiej chwili ciszy, pozwolił głowie opaść ciężko na zrolowaną kurtkę i dodał: - Przepraszam za mój język, Abbie.

Naciągnął z powrotem koc, ukrywając przerażający krajobraz swoich ran.

- Możesz się już odwrócić, skarbie - mruknął.

Abbie najwyraźniej nie usłyszała. Jej niematerialna postać, ledwie rysująca się w ciemności, nadal była zwrócona przodem do kąta pokoju, gdzie zalegały najgłębsze cienie. Nie chciałem się nawet zastanawiać, co tam widzi.

Pomyślałem o moim zakażeniu. Wywołała je jedna, jedyna rana i rozłożyło mnie niczym skarpetka pełna dziesięciu funtów drobnymi. To cud, że Peace wciąż pozostawał przytomny. Zastanawiałem się także, dlaczego *loup-garou* nie zdołały podążyć jego śladem, tak jak robiły to ze mną. Może miał z tym coś wspólnego słaby zapach kadzidła, ale byłem gotów się założyć, że Peace zna sposób oślepienia ich tak samo skutecznie jak mnie. Był prawdziwie podstępny draniem, ale teraz jego noga tkwiła w pułapce i zabrakło mu dalszych sztuczek.

- Peace - powiedziałem - masz rację co do rejestracji rozmów. Ale uwierz mi, że twój stan się nie polepszy, tylko pogorszy. Jeśli nie pozwolisz sobie pomóc, najpewniej umrzesz.

Przyjął to w milczeniu, przetrawiając moje słowa.

- Carla - wymamrotał w końcu. - Idź, poszukaj Carli. Załatw mi jeszcze trochę spidów. Przetrzymam drania. - Zamknął oczy i przez chwilę wyglądało na to, że osuwa się w drzemkę. Ale potem obnażył zęby i odetchnął przeciągle, ochryple. - Nie - mruknął - nie przetrzymam, prawda? - Jego oczy się otworzyły, przygważdżając mnie ostrym spojrzeniem. - Ja nie mogę umrzeć, Castor. Nie mogę. Jeśli umrę, oni... - Zawahał się, zerkając na Abbie i znów na mnie. - Nie mogę zostawić jej samej.

Skinąłem głową.

- Dobra - mruknąłem. - Może zdołam załatwić co trzeba, nie przechodząc przez szpital ani gabinet. Mogę skorzystać z komórki?

- Do kogo chcesz dzwonić? - spytał, zaciskając pięści. Nawet bez broni i w tym ciężkim stanie wciąż pozostawał groźnym przeciwnikiem. Woląłem się z nim nie spierać.

- Do przyjaciółki - wyjaśniłem. - Bardzo starej przyjaciółki. W istocie to moja gospodyni, która szczęśliwym zrzędzeniem losu obecnie zabawia się z lekarzem. Sama też nieźle zna się na uzdrawianiu. Medycyna holistyczna i takie różne. Dostaniesz

dwóch w cenie jednego. - Ten zwrot przypomniał mi Susan Book, która powiedziała coś podobnego o Juliet i o mnie, i na chwilę ogarnęło mnie niedobre przeczucie.

Peace natomiast odprężył się lekko, dostrzegając możliwość kwadratury koła.

- I można jej zaufać?

- Bez zastrzeżeń. Nie może nawet kłamać. To wbrew jej religii.

- Pobożnisia? - Wargi Peace'a wygięły się z niesmakiem. Machnął ręką nad brzuchem, obecnie skrywanym przez koc. - To jebani katolicy mi to zrobili.

- Nie, Pen w dzisiejszych czasach ma swoją własną religię. Wierz mi, nie wyda cię Anathemata.

Peace lekko skinął głową, przyznając mi punkt, bo był za słaby, żeby się dalej kłócić.

- Dobra - rzekł. - Zadzwoń do niej. Ale powiedz, by dopilnowała, żeby nikt nie przyjechał za nią. Jeśli jest tak blisko ciebie, ją też mogą obserwować.

Zadzwoń do Pen na domowy. Telefon zadzwonił sześć razy, a potem włączyła się automatyczna sekretarka: „Cześć, tu Pamela Bruckner, nie mogę teraz odebrać...”. Ku mojej wielkiej uldze, Pen podniosła słuchawkę, gdy wiadomość wciąż się odtwarzała.

- Halo? - rzuciła sennym, leniwym głosem.

- Pen, to ja. Przepraszam, że cię budzę, ale mam sytuację alarmową.

- Fix? Gdzie jesteś? Jest...

- Druga rano. Wiem, wiem. Posłuchaj, pamiętasz stan, w jakim byłem, kiedy znalazłaś mnie na progu? Jestem z kimś innym, kto zarobił większą dawkę tego samego i naprawdę jest z nim źle. Czy ten szkocki doktorek nie zostawił może w domu jakichś antybiotyków?

- Nie sądzę. Ale mogę zadzwonić do Dylana. Gdzie jesteś?

- W zachodniej dzielnicy. Zadzwoń do niego, a potem oddzwoń, dobrze?

- Dobrze.

Na całe szczęście Pen szybko chwytła o co biega i nie traci czasu na próżną gadaninę. Odwróciłem się do Peace'a.

- Chcesz, żebym spotkał się z nią gdzie indziej? - spytałem. - Może przekazać mi leki, nie dowiadując się, gdzie ukrywasz się z Abbie.

- Mówiłeś, że sama też mogłaby pomóc.

- Owszem, mówiłem.

- W takim razie niech przyjdzie.

Peace znów zamknął oczy. Oddychał szybko, płytko, trzymał się wyłącznie siłą woli, która teraz, gdy oddał się w moje ręce, zaczynała słabnąć. Niedobrze. Bardzo niedobrze.

Nagle poczułem nieprzyjemne mrowienie skóry i unosząc głowę, ujrzałem obok siebie widmową postać Abbie.

- Czy tacie nic nie będzie? - spytała. Jej głos docierał do mego ucha, nie poruszając powietrza.

- Nie wiem - przyznałem. - Jest w bardzo złym stanie. Nie chodzi o rany, tylko o zakażenie.

- Zrób, żeby poczuł się lepiej - wyszeptała Abbie. Sprawiała wrażenie młodszej niż jej czternaście lat. Nigdy już nie będzie starsza.

- Zrobię co w mojej mocy - odparłem niewiele głośniejszym głosem od niej.

Telefon zadzwonił, przeganiając nieprzyjemne myśli. To była Pen. Odwróciłem się od Abbie i Peace'a, żeby odebrać.

- Dylan powiedział, że sam przyjedzie - oznajmiła. - Jest w domu. Mówi, że ma tam trochę vancomycyny, ale nie poda jej nikomu, nie zbadawszy wcześniej pacjenta. Jeśli zatem powiesz mi, gdzie jesteś, przekażę mu.

Głuchy telefon to kiepska gra, nawet w najlepszych okolicznościach. Peace mówił, że mogę powiedzieć Pen, ale nie dał mi pozwolenia na sprowadzenie kogoś jeszcze.

Obejrzałem się i stwierdziłem, że wciąż ma zamknięte oczy.

- Peace! - zawołałem.

Nie odpowiedział. Zawołałem ponownie, ale najwyraźniej spał. W każdym razie oczy miał zamknięte.

Zastanowiłem się i uznałem, że nie mam wyboru. Bez antybiotyków nie dożyje rana. Przyłożyłem komórkę do ucha.

- Dobra - rzuciłem. - Wiesz, gdzie jest Castlebar Hill?

- Nie.

- Może Dylan wie.

- Jeśli nie, może sprawdzić na planie. Gdzie na Castlebar Hill?

- Jest tam rondo. Tam mnie znajdzie.

- Na rondzie?

- Tak. Bardzo dużym rondzie. Trzeba zaparkować w jednej z bocznych ulic i przyjść pieszo. Jest tam budynek, resztki budynku, spalił się parę lat temu.

- I tam właśnie jesteś? O drugiej rano?
- Nie zaczynaj.
- Dobra. Powiedziałałam mu, że to sytuacja alarmowa. Przyjedzie jak najszybciej.
- Nigdzie się nie wybieramy. Dzięki, Pen.
- Możesz mi odpłacić, opowiadając całą historię.
- Jeśli przeżyję, zrobię to.

Rozłączyła się, a ja schowałem komórkę do kieszeni. Usiadłem na podłodze obok Peace'a. Teraz mogłem już tylko czekać. Martwa dziewczynka podeszła i stanęła nade mną, nie dotykając stopami podłogi. Większość zachowań duchów to wspomnienia i rutyna. Zachowują się jakby nadal miały ciało, ale w istocie pozostają im tylko nawyki. Patrzyła na ojca, bardziej martwego niż żywego, z trudnym do zniesienia wyrazem twarzy.

- Pomoc jest w drodze - oznajmiłem.

Abbie przytaknęła.

- Nie chcę, żeby umarł - wyszeptała. - Nie chcę, żeby cokolwiek mu się stało.

W odpowiedzi mogłem tylko pokiwać głową.

Peace poruszył się, ocknął z krótkiego snu i spojrzał na mnie, przez chwilę zdezorientowany. O mało nie sięgnął po broń. Potem jednak przypomniał sobie, kim jestem i co się dzieje.

- Mam tu kawę - wymamrotał niewyraźnie, wskazując niewielką stertę słoików i paczuszek pod ścianą obok palnika. - I wodę w butelkach.

Zaparzyłem kawę tylko po to, żeby mieć jakieś zajęcie. Podczas gdy woda gotowała się powoli, podniosłem z podłogi mój płaszcz. Noc nie była zimna, ale zawsze wolę mieć pod ręką flet. Z roztargnieniem sprawdziłem zawartość kieszeni, znajdując wszystko na swoim miejscu - i jeden obcy przedmiot, którego nie poznałem, dopóki nie przysunąłem go do światła: porcelanową głowę lalki Abbie, lekko obtłuczoną, lecz o dziwo wciąż w jednym kawałku. Pospieszenie schowałem ją z powrotem, nie wiedziałem bowiem, jakie może przywołać u niej wspomnienia, i wolałem na razie tego nie sprawdzać.

Kawa oczywiście była rozpuszczalna, ale do każdego z kubków wlałem hojną porcyjkę z piersiówki, by osłodzić gorzką pigułkę. Jeden zaniósłem Peace'owi i postawiłem na podłodze obok niego. Podziękował skinieniem głowy.

- Opowiedz mi tę historię - poprosiłem, siadając na walizce, najbliższym odpowiedniku krzesła w tym pokoju.

Peace westchnął i pokręcił głową.

- To nie historia. Historie mają jakiś pierdzielony sens. Moje życie to tylko... rzeczy... różne zdarzenia. Nigdy nie wiedziałem, dokąd zmierzam. - Wyglądał na starego i zmęczonego, choć oceniałem, że jest najwyżej parę lat starszy ode mnie.

- Chodzi mi o Abbie - odparłem bez ogródek. - Nazywa cię tatą. To tylko przenośnia czy naprawdę miałeś swój udział w jej przyjściu na świat?

Obdarzył mnie pustym spojrzeniem.

- A jak myślisz? - spytał w końcu.

- Wiem, że w Burkina Faso istnieje akt urodzenia, według którego spłodziłeś tam dziecko. Ale według akt policyjnych, dziewczynka, która zginęła w ostatnią sobotę w Hendon, była córką niejakiego Stephena Torringtona.

- Tak? Powinieneś spytać o to Stephena Torringtona. Tyle że będziesz potrzebował fletu: nim się odezwie, trzeba go będzie nieco zachęcić. Jej matka miała na imię Melanie, a dalej to już twój wybór, bo najwyraźniej zmieniała nazwisko równie często, jak inni bieliznę. Kiedy ją poznałem, nazywała się Melanie Jeffers.

Zamierzałem zostawić ten temat, ale uznałem, że rozmowa może dobrze zrobić Peace'owi. A ja sam chętnie posłucham.

- Peace - powiedziałem łagodnie. - Przez ostatnie trzy dni żyłem jak w teatralnej farsie, gdzie w każdej szafie kryje się gliniarz, katolik albo świrnięty kultysta. Mogę dostać dziesięć lat za to, że wiedziałem, że Abbie nie żyje, gdy policja wciąż uważała inaczej. Mógłbyś zatem w swoim sercu poszukać zachęty do odrobiny szczerości?

- To moje życie, Castor.

- Moje też.

Znów na siebie patrzyliśmy, i tym razem on pierwszy odwrócił wzrok.

- Tak - mruknął. - Czemu nie? Ale daj najpierw jeszcze łyka. Nie cierpię wracać do tego wszystkiego. Nienawidzę skurwiela, którym wtedy byłem.

Peace najwyraźniej stracił zahamowania co do przeklinania w obecności Abbie, a ona zupełnie nie reagowała, więc może nie był to pierwszy raz. Podąłem mu piersiówkę, myśląc, że podleje sobie kawę. Zamiast tego obrócił ją i opróżnił, po czym oddał mi z grymasem pełnym uznania.

- Ostra - rzucił.

- Jakoś ci to nie przeszkadzało.

- W tej chwili potrzebuję ostrej. Abbie?

- Tak, tato.

- To także twoja historia i masz prawo jej wysłuchać. Ale nie całej. W środku jest kawałek, na który cię uśpię, bo... bo to coś, z czym nie powinna się zetknąć dziewczynka w twoim wieku. Dobrze?

Duch bezszelestnie skinął głową. Uśpić? Zamierzałem patrzeć na to z żywym zainteresowaniem - jeśli Peace potrafił nie tylko przyzywać, ale i odsyłać duchy, bez ryzyka pełnych egzorcyzmów, panował nad swym darem znacznie lepiej niż ja. Przypomniałem sobie psychiczne manto, jakie mi spuścił za drugim razem, gdy próbowałem namierzyć Abbie. Może czegoś się tu nauczę - zakładając, że on pożyje dość długo, by mi to przekazać.

- Pewnie sporo już o mnie słyszałeś - zaczął Peace - i możesz uznać za pewnik, że większość z tego to prawda. Są też gorsze rzeczy, takie, które nigdy nie stały się częścią legendy, bo bardzo uważałem, z kim rozmawiam. Nie zamierzam wchodzić w szczegóły, ale wiesz co mam na myśli: jak na swój wiek byłem duży - w wieku piętnastu lat wyższy od dorosłych facetów - toteż zacząłem wcześniej i nabrałem wielu złych nawyków. Nie chcę się tłumaczyć. Robiłem złe rzeczy, bo byłem głupi i niedojrzały i zupełnie mnie to nie obchodziło. W mojej opinii mówienie, że byłem za młody, by wiedzieć lepiej, niczego nie zmienia i nie widzę, czemu miałyby w twojej.

Peace zawahał się, jakby dotarł na skraj wyznania, na które nie był jeszcze gotów.

- Sam nie jestem świętym - poinformowałem, by przyspieszyć sprawę - ani twoim spowiednikiem.

Skinął głową, ale cisza się przeciągnęła, nim w końcu przemówił.

- Po prostu... wchodziłem we wszystko tylko po to, żeby sprawdzić, czy uda mi się wyjść. Wykorzystywałem i nabierałem ludzi na najróżniejsze sposoby i nigdy się nad tym nie zastanawiałem, bo każdy, kto nie umie zadbać o siebie, zasługuje na to, by go wyruchać. Tak już działa ten świat. Miałem chyba dwanaście lat, kiedy odkryłem swój dar. No wiesz, do egzorcyzmów. Zawsze lubiłem hazard: konie, psy, automaty, ale moją ulubioną grą pozostawał poker i nikt nie był w stanie mnie ograć. Siedziałem przy stole z czterema czy pięcioma chłopakami, patrzyłem na każdego z kolei i myślałem: tak, to właśnie masz, chowasz parę ósemek, i co, liczysz na to, że

dobierzesz kolejną? Ten ma króle, ten walety na trójkach, a pan twardziel ma totalne gówno, więc mogę wygrać. Ale po jakimś czasie odkryłem, że potrafię znacznie więcej. Zamiast zgadywać karty w rękach ludzi, zacząłem widzieć ich samych jako karty: wachlarzyki kart. Nieważne, żywi czy umarli, w mojej głowie każdego z nich przedstawiało jedno szczególne rozdanie. Tak właśnie krępuję duchy - rozdaję właściwe karty, a potem wtasowuję je z powrotem w talię. Bum. Już ich nie ma. Jak mówiłem, dla mnie wszystko stanowiło środek w drodze do celu. Jasne, wypalałem duchy dla kasy, tak jak grałem dla kasy. A czasami, kiedy znalazłem ducha wciąż świeżego i poukładanego, wyciskałem z niego wszystko, co po sobie zostawił, a co mnie mogłoby się przydać. Na przykład, ile miał na wszystkich kontach i czy nie przechowywał w domu ukrytego zapasu gotówki na czarną godzinę, o którym nie wiedziała nawet żoneczka.

Peace patrzył na mnie hardo, zapewne tak samo ja patrzyłem na niego.

- W tamtych czasach nie oszczędzałem nikogo - podjął. - Nie dawałem falca, czy to mężczyzna, kobieta, czy dziecko. Robiłem to dla kasy, bo wydawałem ją garściami i dla czystej zabawy. Bo mogłem.

Najwyraźniej oczekiwał odpowiedzi - może oburzenia albo oskarżeń - ale po relacji Nicky'ego niewiele mogło mnie już zaskoczyć. Wzruszyłem ramionami.

- No dobra - mruknąłem - byłeś złym facetem. Może najgorszym. Uznajmy to za załatwione.

Peace zaśmiał się gorzko i pokręcił głową.

- Odpuść mi, Castor. Nie byłem najgorszy. Nie ma, kurwa, mowy. Może sam sobie wmawiałem, ale w porównaniu z niektórymi ludźmi, których spotkałem, byłem naiwny jak pierdzielone niemowlę. W każdym razie zacząłem podróżować. Najpierw z trzydziestym piątym regimentem, a potem własnym sumptem. Chciałem zwiedzić świat. Nie miałem jeszcze dwudziestu lat i Watford było dla mnie za ciasne. Zwiedziłem Europę, południowo-wschodnią Azję, Bliski Wschód... Włóczyłem się z miejsca na miejsce z paroma rzeczami w plecaku, naciągając spotykanych ludzi i robiąc wszystko, za co mi płacili. Po odejściu z wojska pracowałem jako najemnik, ale niezbyt długo. Odkryłem, że nie jestem dość brudny do tej gry. Potem zadałem się z gangsterami i jakiś czas przewoziłem dla nich prochy, zwykle jako muł, od czasu do czasu sprzedawałem. Tak właśnie wylądowałem w Ouagadougou. Oszukali mnie podczas dostawy. Gość twierdził, że już zapłacił, a kiedy odmówiłem oddania prochów, ściągnął bandę kumpli, by mi dokopali. Wylądowałem na ulicy, bez grosza

przy duszy i nie mogłem się wychylać, bo facetów, którzy mnie wynajęli, nie interesowało, jak straciłem towar. Chcieli odzyskać pieniądze, a ja nie mogłem im nic dać, bo sam nie miałem. Ale prawdę mówiąc, mogło być gorzej. W tamtych czasach Burkina Faso robiła za pieprzony koniec świata, ostatnią granicę. Właśnie wykopali tego pojebańca Sankarę i nikt nie wiedział, czy jutro nie dojdzie do kolejnego przewrotu, wojny domowej czy czegoś w tym stylu. Toteż ludzie podejmowali kretyńskie ryzyko, wydawali kasę, nim do końca straci wartość, i ogólnie mocno poluzowali. Miejsce w sam raz dla mnie, jeśli pominiesz fakt, że wszyscy byli biedni jak myszy kościelne i kiedy machnąłeś dolarówką, ktoś mógł po prostu poderżnąć ci gardło. Ouagadougou było stolicą, ale w życiu byś nie powiedział. Parę przecnic bajejanckich budynków w centrum, a potem skręcasz za róg i znów widzisz przed sobą nędzne slumsy. Bardzo dziwne. Pewnego wieczoru w barze trzech pijanych skurwieli zaczęło przystawiać się do białej kobiety, która siedziała sama. Miała w sobie coś dziwnego: wystrojona jak ta lala, nawet jak na centrum, a działo się to na przedmieściach. Sukienka koktajlowa, mnóstwo makijażu, choć go nie potrzebowała. Upięte włosy i naszyjnik, wart pewnie ich paroletnie zarobki. Goście próbowali ją poderwać, powiedziała im, żeby spierdalali, więc zrobili się nieprzyjemni. Wstałem i podszedłem, żeby jej pomóc. Nie byli tak twardzi, jak im się zdawało, a każdy widział, że babka jest raczej dziana i bardzo miła dla oka - wysoka, zbudowana, pełna klasa. Może trochę zimne oczy, a błękitnookie blondynki to zdecydowanie nie mój typ, ale mimo wszystko uznałem, że trafił mi się niezły towar. Kolejne otwarte drzwi. Może przynajmniej załatwię sobie nocleg i szybki numer, a może znacznie więcej. Okazało się jednak, że nie potrzebowała wcale mojej pomocy. Nim jeszcze dotarłem do stołu, powiedziała jednemu z gości, żeby trzymał łapy przy sobie, a on, jak to dowcipniś, odpowiedział, łapiąc ją za cycki. Kumpie ryknęli śmiechem, a on napawał się tym, zachwycony - przez mniej więcej trzy sekundy. Potem pańcia wyjęła z torebki spluwę i wywaliła mu dziurę w gardle.

Peace na moment jakby lekko się rozmarzył, jego oczy spoglądały w inną ciemność, w inną noc sprzed piętnastu lat. Potem pozbierał się do kupy i otrząsnął, kręcąc głową z ponurym zadziwieniem.

- To była twoja matka, Abbie - rzekł, patrząc przeproszająco na ulotny cień swojej córki. - To była Mel.

17

Zapadła kolejna długa cisza. Peace odetchnął głośno, z wyraźnym bólem wypuszczając powietrze. Martwa Abbie patrzyła na niego ciemnymi oczami, przepelnionymi żalem i troską.

- Może resztę historii zostaw na później - zaproponowałem. Ostro pokręcił głową. Tylko raz.

- Cięży mi na sercu - wymamrotał. - Chyba poczuję się lepiej, kiedy się wygadam. - Nadal patrzył na Abbie. - Skarbie - rzekł - na następny kawałek muszę cię uśpić. Są tam sprawy, których... których nie chciałbym... - Umilkł, ale Abbie już kiwała głową.

- Niech to nie trwa zbyt długo - poprosiła. - Chcę tu być z tobą. Na wypadek gdyby coś się stało.

Peace sięgnął pod koc. Po jego twarzy przebiegały fale napięcia i bólu, poruszał się powoli, niezgrabnie. Kiedy wyjął rękę, trzymał w dłoni talię kart obwiązaną elastyczną gumką. Ściągnął ją kciukiem, jedną ręką i położył talię na podłodze obok głowy.

- To może chwilę potrwać - wymamrotał.

Patrzyłem zafascynowany. Tak wielu egzorcyistów wykorzystuje rytm do pracy, że zawsze zdumiewa mnie widok kogoś, kto opiera swą technikę na innych wzorcach. Nigdy wcześniej nie widziałem, by ktoś stosował karty.

Peace zaczął je przebierać, wciąż tylko lewą ręką. Talia wyglądała na zupełnie normalną, tyle że karty były poznaczone - mocno poznaczone różnokolorowymi tuszami, a nawet w paru miejscach farbą. Na większości widniały nabazgrane słowa i frazy, a także linie i krzyżyki, wykreślające niektóre symbole. Twarz królowej kier po prostu wydarto, pozostawiając okrągłą dziurę, przez którą można było przełożyć czubek małego palca.

Ale to trójkę pik wyłowił Peace i położył na górze talii - z początku odsłoniętą, potem jednak odwrócił ją, postukał i zmierzył przeciągłym spojrzeniem. Kiedy znów ją obrócił, był to as, a Abbie zgasła, niczym uliczna latarnia o wschodzie słońca.

Peace znów ukrył talię pod kocem.

- Co do Mel - rzekł - to ona jest naprawdę zła, głęboko, do szpiku kości. Nigdy wcześniej nie znałem nikogo podobnego. Później owszem, ale, jak mówiłem, w tamtych czasach byłem zaledwie dzieciakiem. Dopóki jej nie spotkałem, sądziłem, że nie mam sobie równych. - Uśmiechnął się szeroko, a może jedynie wyszczerzył zęby. - Suka odwalala cały ten numer z *femme fatale*. Większość facetów uwielbia niegrzeczne panienki. Dopóki nie są niegrzeczne wobec nich.

Kiedyś mógłbym się z tym spierać, teraz pomyślałem tylko o Juliet i milczałem.

- Faceci odskoczyli natychmiast. O dziwo, gość, którego postrzeliła, nie umarł. Przyciskał ręce do gardła, próbując powstrzymać krwawienie, a przynajmniej je spowolnić. Nadal jednak mógł oddychać, więc chyba nie trafiła w tchawicę, czy jak to nazywają. Ale stopy zaczynały mu się ślizgać. Wyraźnie było widać, że zaraz upadnie, więc kumple złapali go za ręce i pociągnęli do drzwi. Rzucili parę przekleństw pod adresem Mel, ale stracili ochotę do walki. I wtedy zauważyłem, że barman ma w ręce policyjną pałkę - nie taką zwykłą, lecz wielkie kurestwo, które nie bierze jeńców. Wyciągnął ją z dziury pod barem i podchodził do Mel od tyłu, trzymając ją pod pachą, gotów walnąć z góry i roztrzaskać jej czaszkę. Złapałem butelkę z piwem i rzuciłem. Trafiłem go w usta i o mało nie wyłączyłem na dobre. Potem Mel odwróciła się, zobaczyła go i wycelowała, nim zdołał się podnieść i użyć pałki. Wstała, przyciskając mu spluwę do głowy, i kazała uklęknąć. Lewą ręką zabrała mu pałkę, wciąż przystawiając spluwę do skroni. „Zamierzałeś mnie tym uderzyć?”, spytała. „Bo twoi kumple próbowali mnie zgwałcić, a ja na to nie poszłam?”. Gość bełkotał coś pod nosem, mówił, że mu przykro i że nie chciał kłopotów, czy coś. Mel pokręciła głową. Żadnych tłumaczeń. Żadnej litości. Uniosła spluwę, odsuwając ją od czaszki i pomachała mu przed twarzą, jak dyrektorka szkoły grożąca palcem. Potem uniosła drugą rękę i się zamachnęła. Walnęła go pałką w usta, bardzo mocno. Łup! - Peace machnął ręką. - Wszędzie krew i odłamki zębów. Poleciał na ziemię, płacząc jak dziecko, przyciskając łapy do twarzy i turlając się po podłodze. Ale ona już się zabawiła. Rzuciła pałkę za bar i odwróciła się w moją stronę, jakby dopiero co mnie zauważyła. „Lepiej się stąd wynośmy”, powiedziała. „Policja pewnie weźmie jego stronę”. Ale nie wyszła od razu. Jeszcze raz spojrzała na barmana, który jęczał i

skomlił u jej stóp. Wyraźnie jej się to spodobało. Kopnęła go solidnie w jaja, zamachnąwszy się z boku, więc trafiła go obcasem. Myślę, że inaczej nie mogła tego zrobić, bo miała pantofle bez palców. Potem ruszyła do wyjścia, a ja za nią.

- To właśnie tamtej nocy została spłodzona Abbie? - spytałem, przerywając kolejną, pełną namysłu ciszę.

Peace pokręcił głową, wyraźnie odrywając się od barwnej przeszłości i powracając z trudem do bolesnej teraźniejszości.

- Nie. Spędziliśmy tę noc razem, ale Abbie... to było później. Wszystko było później. Mel zatrzymała się w Independence. Zabrała mnie tam, choć portier na widok mojego stroju wykrzywił się, jakby zeżarł garść cytryn. W łóżku była niesamowita, nawet trochę straszna. Nie po prostu bez zahamowań, ale całkiem pierdzielnięta. Uwielbiała bondage - poniżanie, uległość, pojebaństwa z panami i niewolnikami, a także gierki, o których nawet mi się nie śniło. Lubiała też prochy i gdy się pieprzyliśmy, mieliśmy odlot jak jebany boeing. Nie ma mowy, żebym zapomniał tę noc, a bardzo bym chciał, z różnych powodów. Zostałem u niej jakiś czas. Ściślej, piętnaście dni i kilka godzin. Dowiedziałem się sporo o różnych pojebaństwach, które ją kręciły. Nie ograniczały się wyłącznie do zabaw łózkowych. W gruncie rzeczy mam wrażenie, że gierki seksualne stanowiły jedynie efekt uboczny innych.

- Innych? - Sądziłem, że wiem, co ma na myśli. Wołałem jednak sprawdzić, bo brzmiało to, jakby w końcu przechodził do rzeczy.

- Czarnej magii. Była nekromantką. A kiedy się dowiedziała, że potrafię krępować i uwalniać duchy, nie mogła się mną nasycić. Kazała mi wywoływać duchy, tak by patrzyły kiedy my... No wiesz. Kiedy byliśmy w łóżku, czy gdziekolwiek zachciało jej się to robić. Miała naturalny talent i zawsze je widziała. To ją potwornie kręciło. Zawsze. Takie orgazmy przechodzą do legendy.

Peace na moment przymknął oczy i potarł je mocno grzbietami dłoni. Głowa opadła mu na zaimprovizowaną poduszkę, wydawał się jeszcze bledszy i bardziej zmęczony niż wcześniej.

- Zrobiło się trochę zbyt ostro. - Słowom tym, które uznałem za niedopowiedzenie roku, towarzyszyło ciche westchnienie. - Owszem, było fajnie. Przynajmniej przez większość czasu. Ale biorąc pod uwagę wszystko, jak dla mnie była trochę przegięta i nie podobali mi się niektórzy ludzie, z którymi się zadawała. Zwłaszcza jeden koleś mocno mnie niepokoił. Wielki blondas o dziwacznych,

fioletowych oczach. Nazywał się Anton. Anton Fanke. - Urwał, widząc moją reakcję. Przez chwilę na jego twarzy odbił się cień podejrzliwości. - Znasz go? - spytał ostro.

- Nie - odparłem. - Ale o nim słyszałem. Niedawno. Mój przyjaciel szukał informacji na twój temat i natknął się na jego nazwisko.

- Ta - przytaknął ponuro Peace. - Wcale mnie to nie dziwi. Fanke był kimś bardzo ważnym i wyjątkowym w kręgach, w których obracała się Mel. I tak się zachowywał: pierdzielony, arogancki skurwiel. Owszem, czarujący, ale wiesz, że to urok, który jedynie pozwala mu rznąć innych w dupę. To gość, który zawsze chce być na górze i jeśli nie uda mu się w jeden sposób, zrobi to w drugi. Wolisz też nie chcieć tam być, kiedy urok minie, bo wiesz, że skończy się krwawo. Ale nie dało się tego uniknąć: bycie blisko Mel oznaczało także bycie blisko Fankego. Z początku myślałem, że jego też pieprzy, ale trudno mi było uwierzyć, by miała aż tak normalne upodobania: był jej kapłanem, nie facetem, a z tym znacznie trudniej konkurować. Po dwóch tygodniach miałem dosyć.

Peace znów uniósł głowę i spojrzał mi prosto w oczy, po raz kolejny rzucając wyzwanie - a może broniąc się przed osądem.

- Świadom zatem tego, co już ci opowiadałem o moich nawykach - rzekł z sarkastycznym uśmiechem - jak myślisz, co wtedy zrobiłem?

Wzruszyłem ramionami i pociągnąłem łyk kawy, zastanawiając się przelotnie. Pytanie nie wymagało długiego namysłu. Kawa już prawie wystygła, ale burbon wciąż dawał niezłego kopa.

- Obudziłeś się przed nią - powiedziałem - i wyczyściłeś wszystko. Zabrałeś naszyjnik, o którym wspominałeś, całą kasę, jaka wpadła ci w ręce, i zwinąłeś się.

Peace skinął głową.

- Punkt dla ciebie - przyznał nieco ponurym tonem. - Miała prawie dwa tysiące dolarów i biżuterię wartą drugie tyle, nawet u pasera przy Banfora Street. Zgarnąłem też jej zapasy. Spylilem wszystko i zniknąłem, myśląc sobie, jaki ze mnie paskudny, sprytny skurwiel. Dostałem laskę i kaskę, zupełnie jak James Bond. Wróciłem do parszywego hotelu, w którym się zatrzymałem, i padłem do wyra. W łóżku Mel raczej mało sypiałem. Następną rzeczą, jaką pamiętam, była policja. Wyważyli drzwi i aresztowali mnie za handel prochami. Nigdy do końca się nie połąpałem, o co w tym biegło. Najpewniej był to zbieg okoliczności - albo goście, dla których pracowałem zemścili się w nieco subtelniejszy sposób, niżbym przypuszczał. Może czekali, aż w końcu wrócę do domu, i gdybym zjawił się wcześniej, też wpadłbym w pułapkę. W

każdym razie w owym czasie miałem wątpliwości. Idealnie pasowało: dopiekłem jej i mnie dopiekli dwa razy mocniej. Gliniarze zabrali mi całą gotówkę, więc nie zostało nic, czym mógłbym przekupić sędziego. Wrzepił mi dwa lata. Mogło być gorzej: gdybym był miejscowy, pewnie bym zadyndał. Tak czy inaczej, w gruncie rzeczy nie miało to znaczenia. Mel się zjawiała i wykupiła mnie, nim zdążyłem odsiedzieć tydzień. Może i dobrze, bo już miałem kłopoty. Jedyne białe na oddziale, zbyt głupi, by nie wdawać się w bójki. Każdego dnia co najmniej raz porządnie obrywałem i kiedy po mnie przysła, ledwie trzymałem się na nogach.

- Każdy potrzebuje anioła stróża - zauważyłem, wysączając resztkę letniej kawy. Peace się roześmiał.

- Tak, każdy. Niech Bóg broni, żebyś kiedyś wylądował z moim.

- Napijesz się jeszcze? - spytałem, bo znów umilkł. Po jego twarzy przemykały cienie, ślady serii nieprzyjemnych wspomnień.

- Nie masz już wódki?

- Nie.

- To nie ma czego. Na czym skończyłem?

- Właśnie zagrałeś kartę wyjścia na wolność.

- Nie wolność, Castor. Zupełnie nie wolność. Już raz urwałem się Mel i nie zamierzała znów mi na to pozwolić. A może to Fanke wszystko zaaranżował, sam nie wiem. W każdym razie wyszło na to, że nie dostałem amnestii, bardziej odroczenie, jakby mnie sobie wypożyczyli, i Mel dała jasno do zrozumienia, że jeśli nie będę się pilnował i odmawiał paciorka przed snem, odeślą mnie z powrotem. Mówiłem już, że lubiła zabawy w niewolników. Za pierwszym razem to ona była niewolnicą. Teraz nadeszła moja kolej i naprawdę zaszalała. Jeśli kiedykolwiek ktoś musiał żreć gówna, to właśnie ja.

Otworzyłem usta, by wtrącić pytanie, ale natychmiast je zamknąłem: lepiej założyć, że to tylko przenośnia. Zerknąłem na zegarek. Od telefonu do Pen minęło dwadzieścia minut, uznałem, że trzeba jeszcze dwudziestu - co najmniej - by Dylan tu dotarł.

- Opowiedz mi o Abbie - zaproponowałem.

Zaczynało robić mi się niedobrze od słuchania o jego doświadczeniach seksualnych. Ale z wyrazu twarzy wywnioskowałem, że nie przeciągał tego z powodu bezsensownego poczucia dramatyzmu. W jego przeszłości było miejsce, którego wolał nie odwiedzać i właśnie do niego docieraliśmy. - Sądziłem, że Mel to po prostu dziwna

forma życia, żywiąca się seksem i bólem - wymamrotał. - Nigdy nie przypuszczałem, że zmierza do czegoś więcej niż chwila obecna. Ale jej nie doceniłem. Naprawdę. Peace znów zaczerpnął głęboko tchu. Jego głos słabł coraz bardziej, pojawiła się w nim głucha, ochrypla nuta, która bardzo mi się nie spodobała.

- Fanke opowiadał często o czymś, co nazywał hodowlą ofiar - oznajmił. - Był to pomysł, na który sam wpadł, czytając między wierszami w średniowiecznych grimoire'ach. Najpierw przeczytał je w przekładach, potem wrócił do języków oryginalnych - głównie łaciny i starowysokoniemieckiego - a jeśli coś go naprawdę podjaralo, to pomysł ofiary. Wiem, bo musiałem tego słuchać za każdym razem, kiedy Mel ściągala go i jego świrniętych kumpli na zabawy. „Jeśli chcesz złożyć ofiarę bogu”, mówił Fanke, „nieważne jakiemu bogu - musi ona zostać wybrana z dużym wyprzedzeniem i traktowana inaczej. Ma wyjątkowy status i wyjątkowe traktowanie. Żyje osobno. Aż nadejdzie czas”. Gadał tak i gadał, ale ja nie słuchałem. Po prostu, kurwa, nie słuchałem.

O dziwo, Peace się rozplakał. Wciąż nie widziałem jego oczu: samotna świeca rzucała głębokie cienie, większość jego twarzy znalazła się w jednym z nich. Lecz blask padał na policzek i ujrzałem łzy, spływające krętą ścieżką po dziobatej skórze.

- Pewnej nocy Mel oznajmiła, że teraz znów moja kolej być na górze. I że będzie to coś bardzo wyjątkowego. Bo tym razem spłodzimy dziecko i zrobimy to w zupełnie nowy sposób. Bardzo często używała słowa transgresja. Mieliśmy dokonać transgresji, złamać prawa natury. Myśl ta podniecała ją jeszcze bardziej niż robienie tego przy innych, ale kiedy spytałem, co dokładnie ma na myśli, umilkła. Zaczęło się od mnóstwa bzdetów. Mistycznych gadżetów, długich śpiewów. Wszystko to narastało i narastało, i narastało, i najwyraźniej prowadziło donikąd. Gdzieś po drodze zupełnie mi opadł i o mało nie przysnąłem, ale obudziła mnie, policzkując. W naszych zabawach łóżkowych był to stały element gry wstępnej. Potem kompletnie jej odbiło. Dźgnęła się w brzuch pedalskim srebrnym sztylecikiem, o ostrzu zapisanym runami i kazała mi użyć tej rany zamiast... normalnej dziury. Powiedziałem jej, że w ten sposób nie zajdzie w ciążę. To nie była transgresja, tylko chora głupota. W dodatku niewiarygodnie obrzydliwa. Nie obchodziło jej to. Chciała tego. Chciała tego bardziej niż czegokolwiek w życiu. A gdy tylko skończyłem, podeszła chwiejnie do drzwi i otworzyła je. Do środka wszedł Fanke razem z paroma gośćmi w lekarskich fartuchach. Zabrali Mel, a Fanke oznajmił, że mogę odejść. Tak po prostu. Bardziej brzmiało to jak: „na miejsca, gotowi, start”. Oświadczył, że zdjął ze mnie ochronę,

gliny będą mnie szukać za złamanie warunków zwolnienia i lepiej, żebym spierdalał z kraju, bo inaczej odsiedzę resztę wyroku w Maison D'Arret bez opcji wcześniejszego zwolnienia.

Peace uniósł rękę, na której słabo błysnął złoty wisiołek. Sprawdził zapięcie. Nerwowo tik. Nagle uświadomiłem sobie, że widziałem go już parę razy. Po chwili znów przemówił.

- No i wyjechałem - oznajmił głucho. - Jak stoimy z czasem, Castor?

- Wciąż trochę mamy. Peace, twierdzisz, że Abbie tak właśnie...

Nie dokończyłem. Powoli pokiwał głową.

- Wówczas nic o tym nie wiedziałem. Wystrzelili z pistoletu startowego i ruszyłem. Nie oszukujmy się jednak, zwałbym nawet gdybym wiedział, że Mel jest w ciąży. Nie jestem typem opiekuńczym.

W głosie Peace'a pojawiła się gorączkowa energia, jego twarz napięła się niczym płótno na ramie. Niepokojący widok, zupełnie jakby zaczynał się sypać, zużywać w owym katharsis informacji, tak że z chwilą dokończenia historii umrze. Próbowałem go powstrzymać - po raz ostatni.

- Peace - powiedziałem - resztę sam mogę złożyć do kupy. Prześpij się teraz, a ja cię obudzę, kiedy będziesz musiał wziąć leki.

- Nie pochlebiaj sobie, Castor - wymamrotał Peace z gorączkowym napięciem. - Gównu wiesz. Wysłuchaj mnie, a potem możesz gadać. Dobra?

Uniosłem ręce w geście symbolizującym poddanie.

- Dobra. Ale wiesz chyba, że nie siedziałem na dupie. Pozwól mi chociaż powiedzieć, co już wiem. W ten sposób oszczędzisz trochę sił na później.

Niecierpliwie wywrócił oczami, ale ja już zacząłem.

- Gdzieś po drodze dowiedziałeś się, że masz dziecko. I może zrobiłeś się ciekawy. Odnalazłeś Melanie w Nowym Jorku i pojechałeś z wizytą. Abbie miała wtedy jakieś osiem lat. Spotkałeś ją, poznałeś i... - Zabrakło mi pary, ale uznałem, że to bezpieczny domysł. - Dałeś jej prezent. Ten wisiołek.

Peace sapnął.

- Niesamowite, Holmesie, kurwa. Co miałem na sobie?

- Domyślałem się, że była to pierwsza rzecz, w jaką się wplątałeś i od której trudno ci było odejść - podjąłem. - Zacząłeś walczyć o Abbie w sądach. Chciałeś zostać jej ojcem, nie tylko nazwiskiem na akcie urodzenia.

Urwałem, bo zaczął machać rękami w niecierpliwym geście „stój, stój!”.

- Mówiłem ci, że gówno wiesz - wychrypiał. - Sprawa sądowa to był kolejny numer. Mel wciąż żyła z Fankem, a Fanke do tego czasu zrobił się niezłym waźniakiem. Pierdolonym multimilionerem. Założył pierwszy amerykański Kościół satanistyczny, stał się guru, jak Maharishi, ze zwolnieniami podatkowymi i całym tym syfem. On i Mel mieszkali razem, jak mąż i żona, i wychowywali Abbie jakby była ich. Gdzieś w Rio wpadłem na starego kumpla i usłyszałem całą historię. Pomyślałem, że może warto wyciągnąć od nich trochę gotówki. Tylko tym była dla mnie Abbie, Castor - pierdolonym losem na loterię.

- Dopóki jej nie spotkałeś.

- Dopóki jej nie spotkałem. Tak. Nie miałem pojęcia, że wytoczenie sprawy wiąże się z najróżniejszymi rzeczami, od których nie mogłem się wykręcić. Zeznaniami, proceduralnymi oświadczeniami, chuj wie czym jeszcze. Gdybym miał pojęcie, ile czasu to pochłonie, nigdy bym nie zaczął. Tak się złożyło, że częścią procedury były spotkania. Udokumentowane spotkania, bo zanim pójdzie się do sądu, trzeba przejść próby ugody. I tam ją zobaczyłem. Wiesz, Mel tylko gadała, jak zwykle, a Abbie siedziała, smutna i zagubiona. Jakby czekała na autobus na ciemnej ulicy i tkwiła tam całe swoje pierdzielone życie.

Peace patrzył na mnie znękanym wzrokiem. Nic dziwnego, że tak lekko mówił o grzechach młodości: to ta sprawa naprawdę ciążyła mu na sumieniu i niemal zżerała żywcem.

- Zacząłem z nią rozmawiać. Częściowo dlatego, bo chciałem sprawdzić czy nie zdołam jej rozweselić, częściowo, bo strasznie wkurzało to Mel. Kupiłem jej wisiołek i parę innych rzeczy i opowiedziałem bzdurne historyjki o tym, jak zarabiam na życie. I zacząłem się zastanawiać: skoro Mel traktowała ją tak kurewsko zimno, a Abbie nie była nawet dzieckiem Fankego, czemu ją zatrzymali? Czy znów chodziło o tę transgresję? O to, że Mel zdołała zmienić płodzenie dziecka w coś obscenicznego i chorego? Czy Abbie była... nagrodą? To nie miało sensu. Siedziałem tak w obcym mieście, uwięzany z powodu durnej sprawy sądowej, której nawet nie chciałem wygrać, którą wytoczyłem tylko po to, by Fanke zapłacił mi za odejście. Miałem cały czas tego świata i nic do roboty. Zacząłem zatem węszyć. Za oceanem Kościół satanistyczny to wielka organizacja. Mają własną stronę, własne księgarnie, pieprzone koszulki, nalepki na zderzaki i tak dalej, zatrąb, jeśli widziałeś niosącego światło. Pierdoleni debile. Znalazłem tego mnóstwo, i to całkiem łatwo. Na stronie zamieszczali linki do artykułów napisanych przez Fankego. Jego przemówień.

Wszystko dostępne publicznie: nie ukrywał się. Nadal gadał o hodowli ofiar, tradycji grimoire'ów i o tym, dlaczego średniowiecznym alchemikom się nie udało. Jasne, mówił, zdołali otworzyć linię łączności z demonami. Demony dawały im wszystko, czego potrzebowali, by zamienić pierwszy kontakt w stałą poważną wymianę handlową. Tyle że namieszali w szczegółach. Według Fankego nie było to porozumienie, tylko brak porozumienia. Demony władają wszystkimi językami, jakimi kiedykolwiek posługiwali się bądź posłużą w przyszłości ludzie, ale nie, no wiesz, płynnie. Wygłaszały zatem swoją stałą gadkę: możecie ściągnąć wielkich graczy z piekła, sami możecie zostać władcami nowego światowego porządku i tak dalej. Na miłość boską, praktycznie im to dyktowali. Ale ci średniowieczni twardziele - banda Faustów - nie rozumieli w czym rzecz. Wszystko pokręcili, twierdził Fanke. A w każdym razie to, co naprawdę się liczyło. A najbardziej spierdolili najważniejsze, motor napędzający wszystko - ofiarę. Albert Wielki bredził o barankach bez skazy, a Bruno wysmażył cały pierdzielony rozdział o tym, czy zwierzę należy zanieść, czy poprowadzić na sznurze. Jakiego koloru powinno mieć runo, czy powinno wcześniej coś zjeść, co zrobić z jego łajnem, jeśli sfajda się podczas ceremonii, i tak dalej, i tak dalej. Zupełnie jak pierdolona instrukcja obsługi, tłumaczona z japońskiego na łacinę przez Holendra. A całe znaczenie - całe mięcho - uciekło w tłumaczeniu. Oto zatem ewangelia według Fankego, którą zamieścił w Internecie, bo góra Ararat leży kurewsko daleko. By wywołać poważnego demona, potrzeba ofiary poświęconej od urodzenia mocom ciemności. Jeszcze przed urodzeniem. Ona - ta ofiara - musi być związana z piekłem nawet poprzez sposób spłodzenia. Duchowo i fizycznie przygotowana, przeznaczona... - Szukał właściwych słów.

- Abbie.

- A jak, kurwa, myślisz? - Głos Peace'a zmienił się w gniewny warkot i zaraz potem w kaszel. Facet złożył się wpół, próbując przeczekać spazmy gardła, nie poruszając przeponą. - Tak, Abbie - rzekł, patrząc ze ślełą nienawiścią gdzieś poza mnie. - Skurwiele sprowadzili ją na ten świat tylko po to, by ją zabić - w odpowiedniej chwili i miejscu, odpowiednią, pierdzieloną bronią, nad którą Fanke i jego kumple wygłoszą pierdzielone błogosławieństwa, namaszczą wodą święconą i końskimi szczynami. - Znów zakasłał, tym razem musiał przycisnąć dłoń do ust, by zatrzymać coś w środku.

- No dobrze - powiedziałem łagodnie, choć gniew wypływający z niego niczym smoła z potu palacza sprawiał, że czułem dreszcze. - To też mogę uzupełnić za ciebie. Przegrałeś w sądzie.

Skinął głową, wciąż ukrywając twarz w dłoniach.

- I straciłeś kupę szmalu, bo Fanke odpowiedział pozwem.

- Tylko po to, żebym się wycofał - wychrypiał Peace, ocierając usta grzbietem dłoni. Z brody zwisała mu strużka śliny, ale on jakby jej nie zauważył. - Mówił mi, żebym się odwalił. Za kulisami jego adwokaci zaproponowali mi sto kafli, gdybym podpisał dokument, że zrzekam się wszelkich praw ojcowskich do Abbie. Zastanawiałem się nawet, czy tego nie zrobić, a potem nie użyć części tej kasy, by go sprzątnąć. Ale multimilionerzy to trudne cele. A dając odpór, zyskiwałem jedną wielką przewagę, której nie mogli mi odebrać bez kolejnej, długiej, ciężkiej walki. Prawa do odwiedzin, Castor. Miałem prawo do odwiedzin. Teraz czułem się inaczej. Chciałem spędzać więcej czasu z Abbie, chciałem jej wszystko wynagrodzić, bo to przeze mnie znalazła się w tym syfie. Zasiałem ziarno i odjechałem w zachodzące słońce jak pierdolony samotny kowboj, zostawiając ją tam. Nie powinno tak być. I nawet jeśli było już za późno, musiałem choć spróbować. Spróbować to naprawić, jak tylko umiałem. Prawie dwa lata siedziałem w Nowym Jorku i widywałem się z nią co drugi weekend, dzięki drugiemu okręgowemu sądowi apelacyjnemu pod przewodnictwem sędzi Harmony Gilpin. Nie mogli mnie powstrzymać. Doprowadzili mnie do bankructwa - to akurat nie było trudne - dwa razy w miesiącu ciągnęli po sądach pod najróżniejszymi zarzutami, wezwali gliny, które zgarnęły mnie pod fałszywym zarzutem o napastowanie i przeszukały mi mieszkanie. Ale nie mogli mnie powstrzymać. Poznałem Abbie i... była dobrym dzieckiem. Naprawdę dobrym. Dorastała jak zwierzę w klatce. Nigdy nie chodziła do szkoły. Miała mieć prywatnych nauczycieli, ale nigdy do tego nie doszło, widniało wyłącznie na piśmie. W Kościele satanistycznym było dość nauczycieli, chętnie podpisywali papierki podsuwane przez Fankego. „Tak, spotykam się z dziewczynką trzy razy w tygodniu i uczę ją historii, neurochirurgii i prac domowych”. „Tak, uczę ją grać w siatkówkę plażową”. Próbowałem wymusić kontrolę, ale mój adwokat nie był zbyt dobry. Najlepszy, na jakiego mogłem sobie pozwolić, ale pozwolić sobie mogłem na niewiele. Zarabiałem na życie szybkimi egzorcyzmami na czarnym rynku. Fanke miał tylu prawników, że musiał wynająć autobus. Mógł mnie blokować zawsze. Albo załatwić sprawę tak, by paru kumpli zamieniło mnie w sieczkę. Ale chyba nie spodobała mu się reklama. W

każdym razie pewnego dnia podniósł stawkę i zmył się do Europy. W żaden sposób nie mogłem go powstrzymać. Abbie nie była pod opieką sądu ani nic takiego. Teoretycznie wciąż miałem prawo do odwiedzin, ale niewiele warte, skoro nie wiedziałem, gdzie jej szukać. Wróciłem do Londynu bez grosza przy duszy. „Kolektyw z Tamizy” przyjął mnie na pokład, toteż miałem dach nad głową i zacząłem się odkuwać. Wynająłem detektywa, by odnalazł Fankego i dostarczył mi adres. Mieszkali w Lichtensteinie. Wynajął tam zamek i przeniósł się z limuzynami, przydupasami i całym swoim cyrkiem. Pojechałem tam, ale nie wpuścili mnie za próg, a nim zdołałem uruchomić sądy, znów się przenieśli. Wkrótce zaczęło się to powtarzać regularnie. Nigdzie nie osiadali dość długo, bym mógł się zaczepić, a po jakimś czasie zaczęli radzić sobie lepiej z niewychylaniem się, toteż coraz trudniej przychodziło mi odszukiwanie ich. Utrzymywałem jednak otwarte kanały łączności. Wystawiałem czujki. Aż w końcu, tuż po Nowym Roku - jakieś cztery miesiące temu - przyjechali do Londynu. Ja tymczasem odrobiłem zadanie domowe, Castor. Wiedziałem, czemu nie zabili Abbie. I wiedziałem, dlaczego przyjechali tutaj. Wszystko składało się do kupy i skurwysyńsko się bałem, że nie zdołam się powstrzymać. Musieli poczekać do jej pierwszego okresu. To część przepisu Fankego, znów rodem z grimoire'ów. „Będzie czysta, będzie splamiona. Będzie cała, będzie zraniona. Będzie kobietą, będzie dzieckiem”. Według niego to właśnie znaczyły te słowa.

- A Londyn? - Już w chwili kiedy zadałem pytanie, uderzyła mnie odpowiedź. Wcześniej nie zauważyłem jej, bo po prostu siedziałem zbyt blisko.

- W Londynie był on. Demon, którego chcieli wywołać. Tyle że został już w połowie wywołany, bo jakiś inny pojeb próbował dwa lata wcześniej i spierdolił sprawę, jak każdy amator, według Fankego.

Asmodeusz. Peace nie musiał nawet mi mówić. Ostatnie kawałki układanki wskoczyły na miejsce i w końcu dostrzegłem to, co moja podświadomość wyczuła dwa dni wcześniej.

Owszem, coś jeszcze się stało owej sobotniej nocy. Rafi miał atak, bo Asmodeusz wygramolił się z samotni, przeciągnął i ziewnął.

W mojej głowie pojawił się obraz: Rafi wrzeszczący w męce, z odrzuconą głową, nieświadom wszystkiego, poza tym, co go dręczyło.

- Przeszkodziłeś im - powiedziałem. - Przerwałeś rytuał, nim go dokończyli.

- Ledwo ledwo - warknął z goryczą Peace. - Dużo czasu zabrało mi ustalenie, gdzie trzymali Abbie. Nim dotarłem na miejsce, było już za późno, zdążyli ją zabrać. Ale zastałem tam Mel i jakiegoś dupka, udającego jej męża. I dopadłem ich.

- Stephen Torrington - mruknąłem. - Prawdziwy Stephen Torrington. To do niego należał dom, prawda? Był angielskim satanistą, którego Fanke użył jako przykrywki.

- Kluczowe słowo to „był” - niemal wypluł Peace. - Głowę ma teraz w tylu kawałkach, co pierdzielony Humpty-Dumpty.

- Zabiłeś dwoje ludzi, Peace. To nie żart.

Skrzywił się, patrząc na mnie wrogo.

- O czym ty gadasz? Jego owszem, zabiłem. Mel... uderzyłem ją. Pamiętam, że ją uderzyłem. Bo musiałem ją zmusić, żeby mi powiedziała, gdzie jest Abbie. Musiałem powstrzymać to wszystko, zanim sprawy zajdą za daleko. Może sądziła, że ją zabiję, bo pewnie wyglądałem jak świr. Ale nie mogłem...

- Ale... Znaleźli zwłoki kobiety. Związanej, pobitej i postrzelonej w brzuch...

Tyle że z innej broni. Nagle przypomniałem sobie ten dziwny szczegół z relacji Nicky'ego. Z innej broni i do trzech godzin później. To nie miało sensu. Chyba że...

- Powiedziała ci? To co musiałeś wiedzieć? - spytałem Peace'a.

- Tak. Znaleźli starą salę spotkań kwaków w Hendon, zamkniętą na głucho. Dokładnie tego potrzebowali: miejsca, w którym ludzie się modlili i śpiewali hymny, czy co tam robią kwakrzy, kiedy sobie poluzują. W każdym razie miejsca, w którym oddawali cześć, bo to jeden ze składników ich własnych bzdetów. Zostawiłem ją przywiązaną do krzesła. Gdybym mógł ją zabić, zrobiłbym to. Nienawidziłem jej dość mocno. Ale kiedy przyszło co do czego, nie mogłem nacisnąć spustu. Wciąż na mnie patrzyła, a ja myślałem o Abbie. Abbie, rosnącej wewnątrz niej. To mnie osłabiło.

- Nie zadręczaj się - powiedziałem ponuro. - Fanke dokończył to, co zaczęłeś. Kiedy gliniarze dotarli do domu, znaleźli dwa ciała, mężczyznę i kobietę. Kobietę zidentyfikowali jako Melanie Torrington. Pewnie domyślił się, skąd wzięłeś adres, Peace i nie bardzo mu się to spodobało. To było dla niego bardzo wygodne, że zostawiłeś ją związaną. To oznaczało, że nie musiał wdawać się w niepotrzebną utarczkę ani nic takiego.

Oznaczało też, że jasnowłosa kobieta, którą przyprowadził do mego biura, po czym jakże troskliwie odesłał, by nie musiała na nowo przeżywać swej traumy, nie

zarobiła siniaków od Peace'a. Pobito ją po to, by posłużyła za rekwizyt i przygotowała grunt, pozwalając Fankemu popracować nad wrażliwą częścią mojej duszy.

Peace przyjął te wieści w oszołomionym milczeniu. Może i dobrze: w tym momencie przepełniał mnie gniew nie tylko na Fankego, ale i na niego. Owszem, chronił swą córkę, ale obydwaj dostatecznie długo tańczyli wokół siebie ów powolny, namiętny taniec, by po drodze ucierpiało wielu ludzi, tylko dlatego, że znaleźli się między nimi.

- Zasłużyła na śmierć - powiedział Peace, bardziej do siebie niż do mnie. - Po wszystkim, co zrobiła...

- Może i tak - rzekłem ze znużeniem. - A może była tylko pojechaną maniaczką bondage'u, którą Fanke zwabił tak samo jak ciebie - bo potrzebował czegoś, co miała. W jej przypadku była to macica i otwartość na akty seksualne z ranieniem do krwi. W twoim pełnowartościowa sperma. Na miłość boską, Peace, naprawdę nic z tego nie zrozumiałeś? Myślałeś, że ona była twoim wrogiem? Bo według mnie zostaliście oboje wykorzystani przez fachowca.

Podobnie jak ja, przypomniałem sobie w duchu. Nie ma powodów się nadymać. Złapałem patyk, wykonałem komendę „siad” i warowałem tak jak inni.

Peace rozżościł się i był to błąd, bo znów zaczął kasłać, a ból wyłączył go na dobrą minutę z rozmowy. Świszczał tylko i syczał, jak przepełniony czajnik. Tyle że bez pary.

- Była wredną, samolubną suką - oznajmił. - Dostała dokładnie to, na co zasłużyła. Nie osądzaj mnie, Castor, i nie próbuj budzić we mnie wyrzutów sumienia, bo to się nie uda. Żałuję tylko, że nie zdołałem dopaść Fankego.

- Fanke był w domu?

- W sali spotkań, kretynie.

To doprowadzało nas do punktu wyjścia. A ponieważ nadal nie miał ochoty się zamknąć, równie dobrze mogłem sprawdzić, czy tu też miałem rację.

- Dotarłeś tam za późno - zacząłem. - Ceremonia, rytuał czy jak to nazwać, już się toczyła.

- Już się skończyła. Wszystko oprócz krzyków. Trzydzieści sekund wcześniej - trzydzieści jebanych sekund... i może bym ich powstrzymał. Gdyby Mel po prostu powiedziała mi, gdzie jest Abbie, zamiast kłamać. A ty chcesz, żebym żałował tego, że przeze mnie zginęła? Pierdolić to. Żałuję tylko, że jej nie zabiłem pierwszego dnia, gdy ją poznałem. Wszyscy mieli na sobie kostiumy. Całe czarne, oprócz Fankego, który był

ubrany w czerwień i miał coś w rodzaju korony na głowie. Dzięki temu stanowił świetny cel, tyle że... że zobaczyłem Abbie leżącą tam w kręgu i mi odbiło. Wrzasnąłem i zacząłem strzelać. Wszedłem w sam ich środek. Bum, bum, bum. Gdyby któryś z nich miał dość rozumu, by walnąć mnie w kark kielichem albo innym jebanym gadzetem, to byłby koniec. Ale zamiast tego stłoczyli się wokół Fankego, jakbym ja strzelał karnego, a on był bramką. Chronili go. Pilnowali, żebym nie zwichrzył mu włosków kulą z czterdziestki piątki. Potem druga banda zaatakowała z boku: musieli pilnować drzwi frontowych czy czegoś takiego. Odwróciłem się zatem i poczęstowałem ich kulkami. Nie spodziewałem się, że stamtąd wyjdę, Castor. Abbie nie żyła i nie obchodziło mnie, co będzie dalej. Chciałem tylko załatwić ich jak najwięcej. Wtedy jednak zdarzyło się coś jeszcze i zaskoczyło mnie równie mocno jak ich. Coś zaczęło pojawiać się wewnątrz kręgu. To... nie miało kształtu, przynajmniej z początku. Było jak cień, tyle że nic go nie rzucało. Jak... No, nie wiem, cień w zimie, gdy słońce wisi nisko na niebie, olbrzymi, rozciągnięty i zniekształcony. Potem poruszył się i zobaczyłem, że ma dłonie, ręce - zaczął robić się ciemniejszy. Materialny. Sataniści padli na kolana, jakby ktoś podciął im ścięgna. Pokłonili się z wyciągniętymi rękami, wrzeszcząc bzdury po łacinie czy grecku, może nawet śpiewali piosenki z Disneya. Uczciwie przyznam, że nie słuchałem. Zamarłem. Wiedziałem, co chcieli zrobić, ale co innego wiedzieć, a co innego zobaczyć na własne oczy. To był demon: Asmodeusz, jeden z żołnierzy piekieł. Jeden z ich pierdolonych generałów. Tak naprawdę jeszcze go tam nic było - nie w sensie materialnym. Nadal widziałem ścianę za nim. Prądy powietrza też przez niego przenikały, pozbawiając go kształtu. Ale pochylał się nad Abbie z taką miną, z jaką dzieciak sięga pod choinkę. I wtedy mnie olśniło, Castor. Słowa Fankego zamrugały przede mną jak w szkole, kiedy uczymy się pisowni i pokazujemy na kartkach. Była przygotowana duchowo i fizycznie. Potrzebował nie tylko jej ciała, ale i duszy. Zamierzał ją... pożreć, pochłonać, tam, na moich oczach. Musiałem go powstrzymać. Musiałem. To, co zrobiłem potem, zrobiłem dlatego, że uznałem, że tak trzeba. Demon bardziej przypominał dym niż cokolwiek innego: nie można postrzelić dymu. A poza tym powinno się celować w podstawę ogniska. Przełączyłem zatem na automat i strzeliłem w pentagram. Rozwaliłem ich pieprzony magiczny krąg. Tavor na automatycznym to prawdziwy drań. Podskoczył mi w rękach, musiałem mocno się zaprzeć, by nie polecieć do tyłu. Ale byłem już tak blisko, że zadziało jak wskaźnik na tablicy. Zamachnąłem się najmniejszym łukiem, biorąc pod uwagę kąt, i rozwaliłem parę ramion pentagramu.

Trafiłem też kilku innych koleś, w nogi, bo celowałem nisko. I - nim zapytasz - nie, zupełnie się tym, kurwa, nie przejąłem. Ponieważ się udało. Rozpętało się piekło. I to nie jest dowcip. Demon otworzył paszczę i wydał z siebie dźwięk, którego mam nadzieję już nigdy, kurwa, nie usłyszeć. No, nie do końca dźwięk, to znaczy on nie krzyczał, nie był nawet głośny, ale czułem nacisk na bębunki, na swoją pieprzoną skórę, jak wtedy gdy samolot trafia na turbulencje i opada kilkadziesiąt metrów w najbardziej nieoczekiwanej chwili. To bolało. Bolało, jakby coś rozdzierało się wewnątrz mnie. Ale byłem na nogach, a sataniści na kolanach. I wiedziałem, co muszę zrobić. Pobiegłem naprzód - musiałem przeskoczyć nad gościem, który leżał na podłodze i trzymał się za to, co zostało z jego lewego kolana - i dotarłem do kręgu. Abbie wciąż tam leżała, z piersią zalaną krwią i szeroko otwartymi oczami. Demon czy cień demona, jak go tam nazwiesz, wił się wokół jak szlauch z wodą, miotając się tu i tam i cały czas wrzeszcząc bezdźwięcznie. Nie miałem przy sobie talii, a zresztą i tak nie zdążyłbym rozdać odpowiednich kart. Mogłem tylko zawołać Abbie i liczyć na to, że się zjawi. Złapałem jej wisiorek, wykrzyknąłem imię najgłośniej jak mogłem, dodałem „Chodź ze mną!”, czy coś w tym stylu, i szarpnąłem. Nie, po prostu krzyknąłem, wezwałem ją, tak jak to robimy podczas pracy. Wzywałem ją do wisiorka, a dokładniej kosmyka jej włosów zamkniętego w środku. Robiłem z niego kotwicę, do której uczepi się duch.

Peace spojrzał na mnie, jakby chciał się upewnić, że zrozumiałem. Skinąłem głową, zupełnie jakbym w podobnych okolicznościach miał zrobić dokładnie to samo. Prawda jest jednak taka, że z trudem wierzyłem, że to w ogóle możliwe. Przywołanie ducha w fizyczny obiekt? Skierowanie - jakby był wodą, a on wybierał, w którą stronę skieruje ją siła ciężenia? Owszem, włosy były częścią Abbie, czymś, z czym pozostawała związana, ale jednak... W innych okolicznościach wypytałbym go o szczegóły i porobił notatki. Teraz jednak pozwoliłem mu mówić dalej, nieświadomemu mego niechętnego podziwu.

- Bez kart nie miałem pojęcia, czy to się uda, a cholerny łańcuszek okazał się znacznie grubszy niż sądziłem. Musiałem owinąć go wokół ręki i porządnie szarpnąć. To zadziało. Pękł, a ja popędziłem do drzwi, ściskając w dłoni wisiorek. W drugiej nadal trzymałem spluwę, choć wywaliłem już cały magazynek. I dobrze, że jej nie wyrzuciłem, bo jeden z gości, myślący nieco trzeźwiej niż koleś, próbował skoczyć na mnie z boku i ogłuszyć. Oberwał kolbą tavora w twarz, a ja biegłem dalej. Mój samochód stał daleko na ulicy. Ich były tuż na zewnątrz, a nie miałem czasu rozwalić

opon. Po prostu biegłem, wsiadłem do wozu i wystartowałem jak kot, któremu ktoś nasypał pieprzu pod ogon. Z początku nie wiedziałem nawet czy mnie ścigają. Potem zobaczyłem za sobą reflektory, nie znikaly mi z lusterka, choć kilka razy skręcałem bardzo niebezpiecznie. Zrozumiałem, że się mnie uczepili i muszę ich zgubić. Problem był taki, że wóz tracił rozpęd. Naciskałem gaz do dechy, a jednak zwalniałem. Zupełnie jakbym ciągnął za sobą przyczepę pełną cegieł. Albo martwego wieloryba czy coś w tym stylu. Już się bałem, że silnik wysiadzie i zostawi nas na środku jezdni, z której dranie nas zgarną. Zrobiłem jedyne, co przyszło mi do głowy. Zgasilem światła i zacząłem skręcać w każdą napotkaną ulicę, próbując zniknąć im z oczu. Byłem zdesperowany, prowadziłem jak kretyn. Skręciłem w prawo przy Scrubs Lane, tuż obok więzienia, wiesz gdzie? Zakręt był za ostry, przyszorowałem bokiem o rząd zaparkowanych samochodów, oberwałem błotnik i o mało nie zabiłem przechodzącego przez jezdnię staruszka. Hałas był niewiarygodny i już pomyślałem, że mam przerabane. Ale z jakichś przyczyn po tym silnik ożył. Rozpędziłem się do dziewięćdziesiątki i pojechaliśmy na zachód. Dotarłem tutaj, od początku celowałem w to miejsce. W całym Londynie nie ma lepszego, w którym można ukryć ducha, Castor. Sam zresztą powinieneś świetnie o tym wiedzieć.

Nie odpowiedziałem Peace'owi. Układałem resztę historii z tego, co już wiedziałem. Sobotni wieczór. Początek Scrubs Lane. Pięćdziesiąt metrów od drzwi kościoła Świętego Michała, właśnie gdy rozkręcało się nabożeństwo wieczorne. Brzmiało to wariacko, ale też cała ta sprawa od początku miała w sobie coś z obłąd. Peace przeszkodził w rytuale przywołania demona. Asmodeusza. Wyznawcy diabła zamierzali oddać mu na pożarcie ciało i duszę Abbie, ale nie wzięli pod uwagę, że jej ojciec może wkroczyć do gry z karabinkiem szturmowym i wrzucić go jak klucz w trybiki. Ciało i dusza: ale dostali tylko jedno.

A Asmodeusz?

Asmodeusz pozostał uwięziony w połowie drogi między tu i tam. Jedną nogą w duszy Rafiego, drugą w Abbie. To właśnie był ciężar, który włókł za sobą Peace, uciekając do domu. W błyskotce nie krył się jeden duch, ale dwa - jedna płotka i jeden gigantyczny kaszalot. A potem skręcił i przejechał Du Cane Road. I co wtedy? Chyba się domyślałem.

Jeśli jakaś część Asmodeusza towarzyszyła im podczas ucieczki - uwiązana do Abbie bądź lecąca za nią przez londyńską noc, niczym niewidzialny latawiec bez wstążek i sznurka - kiedy skręcili ostro, demon też to zrobił. Tyle że może nieco

wolniej - i nieco szerzej. Co oznaczało, że przeniknął przez południowo-zachodni narożnik kościoła Świętego Michała. Peace przeciągnął Asmodeusza po poświęconej ziemi, dokładnie w chwili, gdy odbywało się tam nabożeństwo. „Pieśń świętą zaśpiewam Panu, Bogu mojemu”. Dla demona musiało to być jak przeciągnięcie przez kłęb kolczastego drutu. Nic dziwnego, że Rafi krzyczał. Nic dziwnego, że rzucił się na ludzi. Cierpiał coś, co można śmiało nazwać piekłem na ziemi.

Aż w końcu Asmodeusz utknął na dobre - uwięziony w kamieniach kościoła i sieciach modlitw wznoszących się wokół. Więź łącząca go z Abbie zerwała się i Peace odjechał w noc, przyspieszając, pozostawiając niewidzialnego, bezkształtnego potwora z piekieł uwięzionego w materii Świętego Michała jak komara w bryłce bursztynu.

Tyle że Asmodeusz wcale nie zginął. Jego złowieszcza woła opadła na parafian od Świętego Michała niczym czarny deszcz, zabarwiając ich dusze.

Kolejni niewinni, kolejne przypadkowe ofiary. Tak jak Abbie. Tak jak Rafi.

Wróciłem myślami do chwili obecnej, próbując przypomnieć sobie, co Peace właśnie powiedział.

- Dlaczego? - spytałem. - Czemu przyszedłeś akurat tutaj? Co wyróżnia to miejsce?

- Wały - odparł Peace. Mimo bólu wydawał się dumny z siebie. - Powietrze i ziemię widziałeś, prawda? Na zewnątrz? Ale najlepsza jest woda. Te ściany są podwójne. Między dwiema warstwami cegieł zostawiono puste miejsce, wyłożone ołowiem. Napełnia się je wodą z rur, pompa utrzymuje ją w ruchu, ale po pożarze zostało sporo dziur i szybko się wylewa. Kiedy czułem, że próbujesz wezwać Abbie, odkręcałem zawory i odgradzałem was od siebie ścianą bieżącej wody. A raz, przy okazji, podsypałem ci trochę soli pod ogon.

- Pamiętam - rzekłem z ponurą miną. Peace zdołał się zaśmiać.

- Trzeba złodzieja, by znaleźć złodzieja, co? Ale, żeby to zadziałało, drugi złodziej musi być lepszy od tego, którego szukasz.

- A jednak - przypomniałem mu - jestem tu.

- Tylko dlatego, że ktoś mnie zdradził. Nie znalazłeś mnie, szukając.

Odpuściłem mu. Jeśli Peace miał ochotę na zabawę w „kto lepszy”, może grać po obu stronach. Zresztą wydało mi się, że gdzieś na zewnątrz usłyszałem trzaśnięcie drzwiczek samochodu - dość daleko, by wychwycić je niemal na granicy słuchu. Peace najwyraźniej niczego nie zauważył, więc może się myliłem.

- Teraz obudzę Abbie - oznajmił. - Chyba że chcesz mnie jeszcze o coś spytać.

- Nie - odparłem - wszystko gra. Moja tęsknota za bajkami została zaspokojona.

Odwrociłem się do niego plecami, podszedłem do drzwi i wyjrzałem. W smutnym blasku księżyca nic się nie poruszało. Za sobą słyszałem jedynie Peace'a, rozkładającego karty na nagiej podłodze. Kiedy znów tam zerknąłem, Abbie wróciła, stała u jego boku jakby nigdy nie odeszła. Musiałem niechętnie przyznać, że był tak dobry, jak uważałem. Rozmawiali cicho i nie miałem wcale ochoty naruszać ich prywatności.

Zamiast tego wyszedłem w mrok. Gdybym palił, zapaliłbym papierosa. Gdyby zostało mi trochę brandy, napiłbym się. Teraz jednak pozostawało mi tylko czekanie. Musiałem się mylić co do samochodu, bo nic się nie poruszało.

Doktorek Ojboli powinien już dotrzeć na miejsce. Podenerwowany i zirytowany, wyłowilem z kieszeni komórkę, by zadzwonić do Pen i poprosić, żeby go pogoniła. Tym razem zauważyłem coś, co umknęło mi wcześniej: wiadomość o czterech nieodebranych rozmowach, wszystkich spod tego samego numeru. Numeru Nicky'ego Heatha.

Za pierwszym i drugim razem nie zostawił wiadomości, za trzecim owszem. Odtworzyłem ją.

- Coś jest nie tak, Castor. - Głos Nicky'ego był potwornie napięty, w tle słyszałem drapanie, jakby przeciągał po podłodze coś ciężkiego. - Na zewnątrz jest kupa ludzi. Przyjechali czterema samochodami, teraz stoją, jakby na kogoś czekali. To mi się, kurwa, nie podoba. Jeśli ma to coś wspólnego z syfem, w którym się babrzesz, to może zjawisz się tu i załatwisz to osobiście? Zadzwon do mnie. Zadzwon, kurwa, dobrze? I to już!

Czując nagłą suchość w gardle, włączyłem ostatnią wiadomość.

- Mam tu oblężenie, Castor! - Teraz Nicky krzyczał, co oznaczało, że musiał pracować ciężko, nadymając niedziałające płuca. - Rozwalili strzałami kamery. Pierdzielone kamery! Jestem ślepy, rozumiesz? Mogą być tuż za drzwiami, a ja nie... O, kurwa!

Usłyszałem głośny szcęk, a potem wysoki pisk, oznaczający koniec wiadomości. Trzęsącymi się rękami wybrałem numer Nicky'ego. Nic, przez dziesięć, dwadzieścia sekund. Tylko cisza. Ze stłumionym przekleństwem przerwałem połączenie i zacząłem znów wybierać. Nim jednak skończyłem pierwszy kod, usłyszałem kroki na krótkiej ścieżce wśród drzew. Odwróciłem się w tamtą stronę.

Sekundę później, spomiędzy cieni, w wąskim przejściu między ziemnymi wałami pojawiła się postać.

- Doktorze Forster, tutaj! - zawołałem. Postać odwróciła się i padło na nią światło.

Kiedy przyjrzałem się tej twarzy, poczułem chwilową dezorientację. A potem serce szarpnęło mi się w piersi jak ciało pilota w pasach awaryjnych. Nigdy nie spotkałem Dylana Forstera, ale doskonale znałem tę twarz. Kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy, zaledwie trzy dni wcześniej w moim biurze, przedstawił się jako Stephen Torrington. Teraz, w nagłym rozbłysku podstawowej logiki zrozumiałem, że oba te nazwiska nic nie znaczyły, bo tak naprawdę musiał nazywać się inaczej. Pojąłem też, czemu musiał przysłać kogoś innego, by się mną zajął po ataku w domu Pen - nie mógł sobie wtedy pozwolić, bym oglądał jego twarz.

Pomyślałem o glocku Peace'a, nadal leżącym na podłodze w Oriflammie. Ale nic by nie pomógł, nawet gdybym go zabrał. Drań urządził to wszystko bezbłędnie. Miał już w ręce spluwę i celował mi w pierś.

- Uważaj, jeszcze wypali - rzekłem, bo musiałem coś powiedzieć. Musiałem zapoczątkować jakąś interakcję, która da mi czas na zastanowienie, jak go zdekoncentrować, zdemobilizować i zdekapitować.

Pokręcił głową.

- Jeszcze nie teraz - odparł niemal leniwym tonem. Zabawne, że Pen nigdy nie wspomniała o jego miękkim, lekko wyczuwalnym amerykańskim akcencie. Uśmiezek tańczący na jego wargach potwierdził to, co już sam wiedziałem.

- Ty jesteś Anton Fanke.

Skłonił się drwiąco, w uznaniu mego wyjątkowo spóźnionego pokazu logiki intuicyjnej.

- Gdybyś domyślił się tego trzy dni wcześniej - rzekł szyderczym tonem - może byś mi zaimponował. Sprawdźcie, czy nie ma broni.

Ostatnie słowa nie były adresowane do mnie, lecz nieco dalej, w cień z boku budynku. Trzej mężczyźni, do tej pory stojący w absolutnym bezruchu, wyłonili się z ciemności, otoczyli mnie i przeszukali z niezwykłą dokładnością. Nie przypominali mego myślowego obrazu satanistów, znacznie bardziej myślowy obraz agentów FBI. Jeden miał pistolet z tępą lufą, którą przycisnął mi do karku.

Pozostali dwaj, sprawdzający mnie z lewej i prawej strony, z brutalną wprawą i synchronizacją, znaleźli odpowiednio mój sztylet i flet. Zademonstrowali je Fankemu.

- Teraz pójdziemy do środka - oświadczył.

Postąpiłem krok ku niemu, lecz mężczyźni po obu stronach natychmiast mnie zablokowali, a pistolet nieco mocniej wbił się w kark. Wiedziałem, że nie zdołam go dopaść.

- Dlaczego Pen? - rzuciłem, zaciskając zęby. - Po co ci ona?

- Rafael Ditko był naczyniem. - Fanke zwrócił się ku drzwiom Oriflammy i rozłożył ręce w oficjalnie zapraszającym geście. - Musiałem się do niego zbliżyć. Mieliśmy już gotowy plan, ale gdyby zawiódł, mogłoby się okazać, że musielibyśmy zabrać Ditko z kliniki Stangera i go zabić, by uwolnić ducha Asmodeusza. W takim przypadku Pamela bardzo by się przydała. Jak się jednak okazuje, poradzimy sobie sami. Wilkes, pójdiesz pierwszy. Na tym etapie jesteś nieco mniej potrzebny niż pan Castor.

Robiło się coraz gorzej; w desperacji napiąłem mięśnie, by skoczyć na Fankego, który podszedł do mnie. Obdarzył mnie spojrzeniem pełnym wzdrygnięcia i rozbawienia.

- To byłby błąd - rzekł krótko. - Wolalbym, żebyś chwilowo pozostał żywy, bo stanowisz całkiem dobrego kozła ofiarnego, ale nie przeginaj.

Tkwiąc pomiędzy nim i facetem za mną, zastanawiałem się, czy nie spróbować rzucić się na ziemię i sprawdzić, czy nie strzelą jednocześnie i nie załatwią się nawzajem. Ale to nie zadziałałoby nawet w kreskówce o króliku Bugsie. Fanke obserwował mnie uważnie i dostrzegł moment, kiedy cofnąłem się znad przepaści walki.

- Do środka - powtórzył.

Facet za mną trącił mnie w kark lufą i posłusznie podążyłem za gościem, którego Fanke nazywał Wilkes, z powrotem do Oriflammy. Miałem nadzieję, że Peace usłyszał odgłosy z zewnątrz i przygotował jakąś zasadzkę. Niestety. Słyszając kroki kilku osób, obrócił gwałtownie głowę i gdy Wilkes oraz drab ze spluwą rozstąpili się, by łatwiej w niego wycelować, Peace przebiegł wzrokiem od jednego do drugiego i wreszcie do mnie. Jakiś nieświadomy odruch sprawił, że jego ręka wystrzeliła naprzód, by chwycić Abbie, i przeleciała przez jej niematerialne ciało. Abbie nawet tego nie zauważyła. Z milczącą, bezgłośnie grozą wpatrywała się w obce twarze. A może dla niej nie aż tak obce: może rozpoznała oprawców sprzed pięciu dni. Mogła zapamiętać Fankego, w końcu to on wbił jej nóż w serce

- Castor, ty skurwielu - szepnęła Peace.

Jego drugi odruch był już lepszy - sięgnął w dół i rozrzucił po i podłódze talię kart. Abbie zamigotała i zniknęła, otwierając usta, by go zawołać.

- Nie pogarszaj sytuacji - rzekłem i nim ktokolwiek zdążył mnie powstrzymać, ruszyłem naprzód.

Moje oczy zdążyły przywyknąć do głębszej ciemności wewnątrz Oriflammy, ale wiedziałem mniej więcej, gdzie leży glock Peace'a. Nie musiałem nawet zwalniać, jedynie przesunąć stopę nieco w lewo, jakbym przechwytywał podanie przez pole karne. Dotknąłem noskiem buta osłony spustu.

Wyrzuciłem kopniakiem pistolet w powietrze, zdumiewająco celnie: zmarnowane popołudnia w starej sali gimnastycznej szkoły dla chłopców Alsop, podczas których bez końca kopałem piłką w ścianę, przyniosły spóźnione, nieoczekiwane owoce.

Peace złapał lecącego ku niemu glocka i wypalił, nie celując. Moje ucho wypełnił grzmot, ciało po prawej rąbnęło o ścianę.

Właśnie zsuwało się na podłogę, gdy znów huknęło. Dźwięk w wypalonym pomieszczeniu zabrzmiał ogłuszająco, brakowało w nim bowiem jakichkolwiek miękkich powierzchni, które mogłyby go wytłumić. Po mej lewej Fanke podskoczył jak użądłony, po czym uniósł własną broń, by odpowiedzieć ogniem. Wytrąciłem mu ją z ręki ostrym, dwuręcznym ciosem.

I wtedy, właśnie kiedy zaczynało robić się lepiej, coś twardego, ciężkiego i morderczo solidnego walnęło mnie w bok głowy i moje nogi się ugięły.

Próbowałem wstać i w efekcie zarobiłem tylko drugi cios w kark, pozbawiający mnie reszty woli walki. Usłyszałem kolejne grzmoty oraz przenikliwy, rozdzierający krzyk, który nie dotarł do mnie przez ogłuszone uszy, ale zabrzmiał bezpośrednio w mózgu, a może w mojej duszy, jeśli egzorcyści w ogóle je mają.

Brzmiało to jak „tato”. Słowo, które Abbie próbowała wypowiedzieć, znikając. Świat umarłych charakteryzuje się bardzo osobliwą akustyką.

Z wściekłością szamotałem się w nieprzeniknionym mroku. Szarpałem się i macałem w poszukiwaniu punktu zaczepienia, czegoś, na czym mógłby się skupić mój otępiały rozum.

Powoli dochodziłem do siebie. Dochodziłem dosłownie: miałem wrażenie, że mój umysł zakrada się ku mnie ostrożnie z przodu, tyłu i boków, by w końcu zebrać się w czaszce, bez wątpienia pogiętej i uszkodzonej.

Spróbowałem wstać i ktoś bezceremonialnie dźwignął mnie z ziemi, nim zaczęły funkcjonować oczy. Pośród niewyraźnych plam ujrzałem twarz kobiety, która zerknęła na mnie z pogardą i się odwróciła.

Chwilę później, kiedy odkryłem na nowo cud głębi ostrości, w moim polu widzenia pojawił się Gary Coldwood. Otworzyłem usta, by coś powiedzieć, i zamknąłem je z sapnięciem, bo czoło kręgosłup rozjarzyły się całą gamą odcieni bólu. Zachwiałem ale mnie przytrzymali.

- Jest tu... - spróbowałem ponownie, machając słabo ręką stronę, gdzie powinien leżeć Peace - ...ranny. Potrzebuje... lekarza.

- Martwisz się o tego drugiego, Fix? - W głosie Coldwooda brzmiały znużenie i niesmak. Obok niego pojawił się konstabl parą kajdanek dyndającą w dłoni. Coldwood odebrał je, dziękując skinieniem głowy. - Nie musisz. Wygląda na to, że wygrałeś. Facet nie żyje.

18

Zabrali mnie do szpitala Wittingtona, na Highgate Hill, gdzie w razie gdyby moje przygnębienie wydało mi się zbyt małe, mogłem wyrzeć przez okno i kontemplować słońce zachodzące nad grobem Karola Marksa. Jest tam bezpieczne skrzydło, w którym policja umieszcza terrorystów postrzelonych podczas aresztowania - kraty w oknach, gliniarze przy drzwiach i do woli grudkowego budynku.

Z początku sądzili, że jestem w znacznie gorszym stanie, bo cios w bok głowy pozostawił spektakularną ranę - a że w skórze na czaszce jest mnóstwo płytko biegnących naczyń krwionośnych, krwawiłem jak zarzynana świnia. Ale kiedy posadzili mnie w fotelu na kółkach i przepuścili przez oddział radiologii, okazało się, że nie mam nawet wstrząsu mózgu, żadnego krwawienia śródczaszkowego. Niektórzy po prostu rodzą się szczęściarzami.

Z powrotem na bezpiecznym oddziale pielęgniarki przewieźli mnie obok drzwi do mojego pokoju i zostali w korytarzu, przekazując pod opiekę dwóch mundurowych. Nie próbowałem nawet zagajać rozmowy: mieli rozkaz nie bratać się z więźniami, a zresztą i tak nie wyciągnąłbym z nich nic użytecznego.

Siedząc tam w szpitalnej koszuli, odsłaniającej goły tyłek, z ponurą nienawiścią dla własnej głupoty odtwarzałem w pamięci wydarzenia ostatnich kilku dni. Fanke zagrał na mnie jak na skrzypcach. Oczywiście już wcześniej zajął pozycję - zaskarbił sobie zaufanie Pen, by mieć oko na Rafiego, nie na mnie. Ale kiedy głównie eksplodowało i druga połówka ich ludzkiej ofiary ulotniła się wraz ze słodką poranną rosą, genialnie zaimprovizował. A może to, że nigdy nie poznałem go jako Dylana Forstera, było czymś więcej niż przypadkiem? Czyżby nawet wtedy działał według planu i trzymał mnie w rezerwie na wypadek, gdyby na późniejszym etapie potrzebował frajera? Tak czy inaczej, wynajął mnie do odnalezienia Peace'a z dwóch powodów, nie jednego. Po pierwsze, potrzebował kogoś, kto zna Londyn, a w jego ekipie nie było nikogo takiego. Mogli być twardzi jak skała, ale nie orientowali się w

terenie. Odnalezienie Peace'a zabrałoby im tygodnie, a Fanke musiał załatwić to znacznie szybciej.

A po drugie, miał na głowie dość trupów, by stały się problemem logistycznym. Sataniści, których Peace rozwalil podczas rytuału, byli już dostatecznym kłopotem, ale dodajmy do tego także Torringtonów, utłuczonych na przedmieściach. Nieważne czy, jak podejrzewałem, sam własnoręcznie zabił Melanie, czy też zaaranżował jej zgon w inny sposób, cała operacja zaczynała robić się stanowczo zbyt głośna. Czemu zatem nie ściągnąć kogoś trzeciego - kogoś, kogo mógłby dyskretnie pilnować poprzez Pen, nie nawiązując nawet kontaktu - i zwalić na niego wszystko, gdyby sytuacja jeszcze się pogorszyła?

Wrobienie mnie było częścią planu od samego początku: nim go jeszcze poznałem.

Odgłos kroków z głębi z korytarza wyrwał mnie z bolesnych rozmyślań o przeszłości, sprowadzając do jeszcze boleśniejszej terażniejszości. D.S. Basquiat i jej radosny chłopak na posyłki, D.C. Fields, maszerowali ku mnie rześko. Basquiat miała na ramieniu torebkę wyglądającą jak od Prady, w ręce trzymała brązową teczkę z białą naklejką, której nie mogłem przeczytać. Skinieniem głowy pozdrowiła bliższego z dwóch mundurowych, który otworzył drzwi i je przytrzymał. Drugi tymczasem wwiózł mnie do środka.

Pokój był mały i pusty: zaledwie stół, parę krzeseł i przykręcona do ściany półka, na której ustawiono sfatygowany magnetofon. Natychmiast rozpoznałem ten układ, bo już wcześniej bywałem w policyjnych pokojach przesłuchań. Co prawda nigdy w takim, który był częścią szpitalnego oddziału, ale w tym kontekście miało to sens.

Basquiat rzuciła na stół teczkę, powiesiła marynarkę - czarną, krótką, bardzo stylową - na oparciu krzesła i usiadła. Z torebki wyjęła długopis, który położyła obok teczki. Fields oparł się o ścianę, jakiś metr ode mnie. Gliniarze wycofali się, zamykając za sobą drzwi.

- No już - rzuciła niecierpliwie do Fieldsa. - Światła, kamera, akcja.

Fields wyciągnął rękę i nacisnął guzik magnetofonu.

- Oddział bezpieczny w szpitalu Wittingtona. Przesłuchanie Feliksa Castora - wydeklamował. - Prowadzący detektyw sierżant Basquiat i detektyw konstabl Fields. - Zerknął na zegarek i dodał datę i godzinę.

- Żądam adwokata - oznajmiłem. - Nie powiem niczego wartego uwagi, dopóki go nie dostanę.

Basquiat uniosła brwi.

- Jeszcze cię o nic nie oskarżono - odparła. - Nie sądzisz, że to zbyt szybki pośpiech?

- A oskarżacie mnie o coś?

- Oczywiście, że tak, Castor. O morderstwo.

- Czyje morderstwo? - Przyznam, że to było głupie pytanie, ale w tym momencie moja żądza wiedzy przeważała nad instynktem samozachowawczym.

- A co? - parsknął Fields. - Tracisz rachubę?

Basquiat odwróciła się do niego. Patrzyła nań nie ze złością, lecz tak długo, aż w końcu odwrócił wzrok. Przekaz był jasny, to jej przesłuchanie i nie życzy sobie żadnego wkładu ze strony partnera.

- Znalaziono cię w wypalonym budynku - oznajmiła, z powrotem skupiając wzrok na mnie. - W tym samym pomieszczeniu co zwłoki. Zwłoki należały do mężczyzny, niejakiego Dennisa Peace'a, który najwyraźniej uprawiał ten sam zawód co ty. Był egzorcyście. Postrzelono go w pierś i brzuch. Miał też rany po wcześniejszej napaści, ale to strzał w pierś go zabił, nim zdążyła to zrobić rana brzucha. Uduślił się własną krwią.

Pochyliłem głowę. Miałem nadzieję, że jednak Peace'owi jakoś się udało, ale od początku nie wydawało mi się to prawdopodobne. Poczulem cierpki, rozwodniony smutek, ale prawdziwy żal zachowałem dla Abbie. Co Fanke z nią zrobił? Czy znalazł wisiołek? Oczywiście, że tak, kurwa. Nie po to przejechał pół Londynu i z zimną krwią zamordował człowieka, by odejść, nie dokończywszy prawdziwej roboty. Miał ją. Miał jej duszę. Dzięki mnie miał wszystko, czego potrzebował, by dokończyć to, co wcześniej zaczął.

- Od tego czasu rozmawialiśmy z kilkoma osobami - podjęła żwawo Basquiat. - Dawnymi znajomymi, znanymi kontaktami. Reginald Tang i Gregory Lockyear, także egzorcyści, niegdyś współlokatorzy Peace'a, chętnie potwierdzili, że szukałeś go przez kilka ostatnich dni. Brałeś też udział w bójce z Peace'em na pokładzie łodzi mieszkalnej, „Kolektywu z Tamizy”. Kobieta, Carla Rees twierdzi, że próbowała zaaranżować spotkanie z Peace'em za jej pośrednictwem. - Nazwiska odczytywała z teczki na stole, teraz jednak odsunęła ją i odchyliła się na krześle. Najwyraźniej do następnej części nie potrzebowała podpowiedzi. - Oczywiście - podjęła - to jedynie

poszlaki. Pomagają zbudować oskarżenie, to wszystko. Podstawę stanowią twoje odciski na pistolecie i wielu innych przedmiotach w pomieszczeniu. Na czajniku. Kubkach. Pustej piersiówce. Wygląda na to, że poszedłeś tam z jakąś historyjką, uchlałeś go i uspiłeś jego czujność, a potem go zabiłeś. Czy tak właśnie było, Castor? Szukałeś okazji do łatwego strzału w plecy, ale zabrakło ci cierpliwości i rozwaliłeś go, stojąc twarzą w twarz, jak prawdziwy twardziel, co?

Wiedziałem, że nie powinienem odpowiadać na to pytanie. Bywałem już w podobnych sytuacjach - choć przyznam, że nie oskarżony o morderstwo - i doskonale rozumiałem zasady tej gry. Basquiat czekała na jakąkolwiek reakcję. Im bardziej by mnie podpuściła, tym większe szanse, że powiedziałbym coś głupiego i mocniej się pogrążył. Ale mój pierwszy odruch - graj bezpiecznie, nic nie mów - zderzył się z jednym prostym, straszliwym faktem: czas był moim wrogiem. Musiałem przekonać Basquiat, a przynajmniej sprawić, by potraktowała mnie serio. Nie było mnie stać na luksus milczenia.

- Nie - odparłem. - Nie tak to było. Basquiat, jak twoja wersja tłumaczy ciosy, które zarobiłem? Ktoś parę razy walnął mnie od tyłu, zgadza się? Wtedy, gdy strzelałem Peace'owi w pierś? Od przodu? Coś jest chyba nie tak z tym obrazkiem?

Basquiat przyjrzała mi się, jakby dopiero teraz zauważyła sińce na mojej twarzy. Wzruszyła ramionami.

- Z tego, co widzę, nic - odparła zimno. - Nie twierdzę, że załatwiłeś Peace'a od pierwszego kopa. Zakładam, że walczyliście, obaj nieźle oberwaliście, ty strzeliłeś. To był spory gość. Z łatwością mógł cię obdarzyć tymi kolorkami.

- Przyjrzyj się im - zachęciłem, próbując przegnać z głosu napięcie. Gdybym zaczął myśleć o Abbie i o tym, co może się z nią dziać zaledwie parę kilometrów dalej, nie zdołałbym rozumować trzeźwo i wyplątać się z tego wszystkiego. - Tych śladów nie pozostawiły gołe ręce: oberwałem kolbą pistoletu.

- I co?

- I to, że ktokolwiek mnie załatwił, też był uzbrojony. Nie zaskoczyłem Peace'a. Byli tam inni ludzie. Założę się, że znalazłaś ślady obok Oriflammy. Wiesz, że był tam ktoś jeszcze.

Basquiat wyprostowała się na krześle, przez sekundę obracała długopis na stole czubkiem palca. Potem pstryknęła i zapisała coś szybko na protokole.

- Odciski Peace'a też były na broni - przyznała, odkładając długopis. - Chyba nawet wiemy, gdzie i kiedy ją kupił. Niedawno, jeśli cię to interesuje. W tym samym

czasie, kiedy kupił tawora użytego w kwakierskim domu spotkań w Hendon. Odkąd ostatnio oglądałam twoją paskudną gębę, sporo pracowałam. Budując oskarżenie. Chcesz usłyszeć krótką wersję? Uważamy, że obaj tkwiliście po uszy w tym, co się stało w tamtej sali. Nie interesuje mnie, czy był to rytuał satanistów, czy jakieś oszustwo. Biorąc pod uwagę przeszłość twoją i jego, wszystko jest możliwe. Ale nie poszło tak jak powinno i zginęła kupa ludzi. Łącznie z Abbie Torrington, która, jak obecnie uważamy, była córką Peace'a. Peace uciekł w jedną stronę, ty w drugą. Straciliście kontakt i przez następne kilka dni próbowałeś go wyśledzić. Byłeś dość głupi, by zadawać mnóstwu ludzi mnóstwo pytań i przedstawiać się własnym nazwiskiem. Nawet gdybyś próbował, nie zdołałbyś zostawić wyraźniejszego śladu, i za to ci dzięki. Ale jeśli mnie pytasz, czy przeszkadza mi to, że zastrzeliłeś Peace'a z jego własnej broni, to nie. Wcale nie. Na podłodze, metr od ciebie, znaleźliśmy nóż. Na nim też były twoje odciski, więc zakładamy, że zamierzałeś go użyć, ale pojawiła się lepsza sposobność i ją wykorzystałeś. - Basquiat uniosła brwi. - A może to on pierwszy sięgnął po spluwę? Działałeś w samoobronie? Może potargujemy się co do motywu?

Rąbnąłem ręką w stół tak mocno, że Fields zareagował i stanął nade mną w aurze niewypowiedzianej groźby.

- Kurwa - rzuciłem głośniejszym niż zamierzałem. - Czy Reggie Tang nie powiedział ci, jak pomogłem Peace'owi, kiedy go zaatakowano na przystani Thamesmead? Chciałem z nim porozmawiać, a nie zabić!

Po raz pierwszy na twarzy Basquiat dostrzegłem ślad zainteresowania, choć jeszcze nie wątpliwości. Spojrzała na Fieldsa.

- Czy Tang wspominał coś o tym?

- Ani słowa - odparł wzgardliwie Fields.

- Posłuchajcie - rzuciłem. - Zwróciło się do mnie dwoje ludzi. Twierdzili, że są rodzicami Abbie Torrington. Chcieli, żebym...

- Kiedy to było? - przerwała Basquiat.

- W poniedziałek. Trzy dni temu. Chcieli, żebym znalazł Abbie. Powiedzieli, że już nie żyje, ale że Peace w jakiś sposób odebrał im jej duszę i chcą ją odzyskać. Mam na to świadków. Niejaki Grambas: prowadzi kebabownię przy Craven Park Road. Widział tę dwójkę jeszcze przede mną. Dał mi ich numer.

- W poniedziałek Torringtonowie już nie żyli. Zamordowano ich dwa dni wcześniej, tego samego dnia co Abbie.

- Wiem o tym. Myślę, że ta dwójka to byli zabójcy.

- Zabawne. Ja sądziłam, że to też zrobiliście z Peace'em.

- Na miłość boską, Basquiat! - Zaczynałem tracić cierpliwość. - Chcesz mnie oskarżyć także o morderstwa Keitha Blakelocka i Suzie Lamplugh? Nie miałem powodu, by zabić Torringtonów, nie możesz mnie nawet powiązać z miejscem zbrodni.

- Pracujemy nad tym - odparła pogodnie Basquiat. - A przy okazji, możemy powiązać z nim Peace'a. Mamy jego odciski. Na samych ciałach, a także na mnóstwie porozrzucanych i porozwalanych rzeczy.

- Szukał Abbie - wycodziłem przez zaciśnięte zęby. Musiałem sprawić, by Basquiat mi uwierzyła, a nie wiedziałem jak. - Ale dowiedział się, że już jej tam nie ma. Została zabrana do domu spotkań, gdzie mieli ją złożyć w ofierze. Peace wydobył adres od Melanie Torrington i pognał tam ile sił. Albo miał już ze sobą karabinek, albo zabrał go po drodze.

- A niby po co? - wtrącił sponad mego ramienia Fields, by pokazać, że nadal słucha.

- A jak myślisz? - warknąłem, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem. - Bo wiedział, że tamci będą mieli skurwysyńską przewagę liczebną, trzydzieści do jednego. Oto dlaczego. I zostawił Melanie Torrington żywą - dodałem, szukając faktów, które mogłyby sprawić, by Basquiat choć rozważyła inny możliwy scenariusz. - Zabito ją później, zgadza się? To znaczy później niż Steve'a. Zabił ją gość nazwiskiem Fanke. Anton Fanke. Zrobił to, bo się złamała i powiedziała Peace'owi, gdzie może znaleźć Abbie. To on stoi za tym wszystkim.

Basquiat wydeła policzek.

- I to ten Fanke zabił Abbie?

- Tak.

- I Peace'a.

- Tak.

- I Suzie Lamplugh?

Otworzyłem usta, by odpowiedzieć, ale zrezygnowałem. Nagle dostrzegłem beznadzieję sytuacji. Nie chodziło nawet o zwykłą Policijną ślepotę. Basquiat prowadziła krucjatę moralną. Chciała, by ktoś zapłacił za morderstwo Abbie Torrington, i z góry założyła, że tym kimś będę ja. Ale może tu właśnie powinienem próbować weisnąć łom. Gdybym zdołał ją zachęcić do rozważenia możliwości, że ktoś

inny zabił Abbie, może z tym samym bezwzględny fanatyzmem zajęłaby się czymś pozytywnym.

- Drugi pistolet. - Wycelowałem palec w Basquiat. Nie spodobało jej się to i skinęła na Fieldsa, który wziął mnie za rękę i położył ją stanowczo - może nieco zbyt stanowczo - na stole. - Ten, z którego zabito Melanie Torrington. - Pochyliłem się tak, by stracić z oczu nieatrakcyjną masę Fieldsa i utrzymać kontakt wzrokowy z panią sierżant.

- Co z nim?

- Do tej pory na pewno macie wyniki balistyczne. Sprawdźcie je. Porównajcie z pociskami zebranymi w Oriflammie.

- Czego to dowiedzie? - spytała chłodno Basquiat.

- Zupełnie niczego. Ale pistolet Peace'a będzie pasował do broni, z której zginął Steve Torrington. Założę się, że druga splota była w Oriflammie i że znajdziecie kule w ścianie za Peace'em. Albo może w podłodze. Chcę tylko, żebyś... pomyślała nad tym. To wszystko. Pomyśl nad moją wersją wydarzeń. No dobra, nieważne co powiem, i tak mnie oskarżysz, ale sprawdź wyniki balistyki i jeśli się okaże, że miałem rację, zadaj sobie pytanie: czy strzelałem do Peace'a z dwóch splotów, jak pierdolony kowboj? Czy może jednak brał w tym udział ktoś inny, zarówno w domu Torringtona, jak i w miejscu, gdzie zginął Peace? A potem, jeśli będziesz w nastroju, sprawdź Antona Fanke. Dowiedz się, czy wjechał do kraju na amerykańskim paszporcie. On ma ducha Abbie Torrington i jeśli nie zrobisz tego, co do ciebie należy, znów ją zabije. Tyle że tym razem jeszcze bardziej. Zabije jej duszę. Oto, o co toczy się gra, pani detektyw sierżant. Po prostu pomyśl nad tym.

Basquiat przyglądała mi się w milczeniu długą chwilę. Czekałem. Nie mogłem dodać nic więcej.

- Detektywie Fields - rzuciła w końcu.

- Tak, sierżancie.

- Oficjalnie oskarżam tego człowieka, Feliksa Castora, o zabójstwo Dennisa Peace'a. Proszę odczytać mu prawa.

- Tak jest.

No cóż, przynajmniej spróbowałem. Właściwie nawet się nie zdziwiłem, ogarnęło mnie jednak przejmujące poczucie klęski i bezradności. Basquiat wstała i zakrzętnęła się wokół swoich rzeczy. Długopis schowała do torebki.

- Co z moim telefonem? - spytałem, zwracając się do ich pleców.

Zerknęła na mnie przelotnie.

- To jest szpital, Castor. Mają tu automat telefoniczny na kółkach, wożą go po oddziałach. Powiem jednemu z policjantów na służbie, by popatrzyli kiedy się zjawi. Wtedy dostaniesz swoją przepisową rozmowę telefoniczną.

- Pomyśl o tym - powtórzyłem.

I to był o jeden most za daleko. Basquiat upuściła teczkę i obróciła się na pięcie, chwytając oburącz cienki materiał mojej szpitalnej koszuli. Jej twarz znalazła się centymetr od mojej - w pewnych okolicznościach mogło to być przyjemne, ale w tym momencie wyglądało zdecydowanie groźnie.

- Nie będziesz mi mówił, co mam robić, sukinsynu - wypluła. - W idealnym świecie już byś nie żył. Albo mielibyśmy w Anglii więzienia tak jak w Stanach, gdzie zerznąłoby cię w dupę parędziesiąt razy podczas pierwszej nocy. Zasłużyłeś sobie na wszystko, co może cię spotkać. Wszystko. Więc nie waź się, nie waź się, kurwa, popychać mnie jeszcze mocniej niż dotąd. Inaczej każę Fieldsowi przytrzymać ci głowę na ziemi, a sama wkopię zęby do gardła.

Detektyw sierżant Basquiat wyszła, nim zdążyłem wymyślić dowcipną odpowiedź. Prawdę mówiąc, wciąż nad nią pracuję.

Z powrotem na bezpiecznym oddziale rozważyłem różne opcje i osiągnąłem okrągłe zero.

Byłem na trzecim piętrze, okna przesłaniały kraty. Zamek w drzwiach to błahostka, gdybym tylko zdołał zaimprovizować z czegoś wytrych. Ale dwóch niebieskich chłopców na zewnątrz stanowiło większy problem. A nawet gdybym w jakiś sposób zdołał przejść obok nich, nie pomogłoby mi to w niczym, gdyby rozesłali list gończy. Uciekałbym ile sił w nogach w białej szpitalnej koszuli, bez butów, bielizny, pieniędzy i nikogo, do kogo mógłbym zwrócić się o pomoc, nawet gdybym zdołał dotrzeć tam pieszo.

Musiał istnieć inny sposób. I musiałem go znaleźć.

Po południu zacząłem walić w drzwi i znów domagać się telefonu. Gliniarz, z którym rozmawiałem, wyglądał na tak otepiałego i znudzonego, że nie miałem pojęcia, jakim cudem jeszcze nie śpi. Oznajmił, że zobaczy, co się da zrobić. Pół godziny później powtórzyłem przedstawienie, z podobnym efektem.

Po kolejnej półgodzinie Basquiat wróciła. Bez Fieldsa. Jeden z mundurowych otworzył drzwi i przytrzymał je, kiedy przekraczała próg, kiwając do niego głową. Szybko zamknął je za nią.

Siedziałem na jedynym krześle, czytając egzemplarz pisma „What Car” sprzed dwóch lat. Teraz zamknąłem je i rzuciłem na łóżko.

- Ford wprowadza z powrotem na rynek escorta - skomentowałem. - To dobre wieści dla rodzin mających dokładnie dwa koma cztery dziecka.

- Zamknij się - warknęła Basquiat. - No dobra, miałeś rację co do drugiego pistoletu. I przyznaję, że to dziwny szczegół. Ten twój Fanke? Podobno przebywa w Belgii, ale nie możemy go tam znaleźć. Zdołaliśmy tylko dopaść mnóstwo miłych z głosu ludzi, którzy mówili, że właśnie wyjechał albo że zaraz ma się zjawić. Potwierdziliśmy także, że wczoraj w wypalonym klubie były jeszcze co najmniej cztery inne osoby. Nadal przyjmuję założenie, że to twoi przyjaciele, ale czysto teoretycznie opowiedz mi o Antonie Fanke. W pięćdziesięciu słowach bądź krócej.

- To satanista - zacząłem. - W Ameryce założył Kościół satanistyczny. Wychował Abbie Torrington na ludzką ofiarę, ale to Peace był jej ojcem i kiedy się dowiedział, co się święci, zaprotestował. Wszystko inne wynika właśnie z tego.

- Fanke był w... jak to nazwał? Miejscu, gdzie cię znaleźliśmy?

- Tak.

- Umówiliście się tam z nim ty i Peace?

- Nie. Użył mnie jako psa gończego.

Basquiat patrzyła na mnie nic niepojmującym wzrokiem, toteż zrezygnowałem z przenośni.

- Moja gospodyni, Pen Bruckner go przysłała. Zadzwoiłem, żeby spytać, czy mogłaby załatwić antybiotyki na rany Peace'a. Ona zadzwoniła do Fankego, bo udawał lekarza. A może faktycznie jest lekarzem. Z całą pewnością jego przyjaciele mają łatwy dostęp do leków na receptę. Tak czy inaczej, powiedział Pen, że przyjedzie i pomoże, a ona to kupiła. Doprowadziła Fankego prosto do nas. Albo prosto do Peace'a, bo na tym mu właśnie zależało.

- Rany Peace'a.

- Co?

- Powiedziałeś, że potrzebowaleś leków na rany Peace'a. Jak został ranny?

Zawahałem się. Teraz traktowała mnie poważnie, przynajmniej dostatecznie, by wysłuchać, i wolałem nie narażać zbyt swojej wiarygodności gadką o katolickich wilkołakach.

- Jacyś goście zasadzili się na niego przy zejściu z „Kolektywu” - wyjaśniłem, zręcznie wymijając kwestię kto, dlaczego i za pomocą jakich narzędzi. - Możesz spytać Reggiego Tanga. Z pewnością widział z pokładu przynajmniej część tego co się działo.

- Dobra. Powiedzmy, że to kupiłam, przynajmniej na chwilę. Gdzie jest teraz Fanke?

Szeroko rozłożyłem ręce.

- Nie mam pojęcia - przyznałem. - Ściągnij do pomocy jakiegoś egzorcystę, Basquiat. Oczywiście nie mnie, ale kogoś, kogo jeszcze wzywa policja w sprawach zabójstw. Znajdź coś, co należało do Abbie, i każ im węszyć. Peace zdołał mnie oślepić, bo Oriflamma ma wbudowane maskowanie. Ale Abbie nie ma już w Oriflammie, więc powinni ją łatwo znaleźć. Chyba że...

Nie dokończyłem. Chciałem powiedzieć: „chyba że jest już za późno”. Chyba że Abbie została poświęcona w powtórcie sobotniego rytuału.

Teraz to Basquiat mówiła; musiałem oderwać myśli od niepokojących wizji i się skupić.

- Czy wiesz, jak mamy znaleźć coś, co należało do Abbie? - pytała.

- Tak - przyznałem. - Wiem. I zakonotuj sobie, że gdybym był winny, w życiu bym ci nie powiedział, bo przez to wyglądam jeszcze gorzej. W moim biurze, przy Craven Park Road, obok kebabowni, o której wspominałem, znajdziesz czarny foliowy worek, pełen zabawek i ciuchów. To wszystko...

- Już sprawdziliśmy twoje biuro. - Basquiat uciszyła mnie gestem. - Drzwi zostały wylamane, a wewnątrz dokładnie przetrzepane. Nic tam nie było.

- Cholera. - Rozpaczliwie szukałem natchnienia. - Mój płaszcz - rzuciłem. - W kieszeni miałem głowę lalki.

Basquiat pokręciła głową. Wyglądało na to, że Fanke jednak mnie przechytrył. A może i nie. Przypomniałem sobie złoty łańcuszek okręcony wokół przegubu Peace'a. Ciasno okręcony i zaciśnięty w mięsistej łapie. Zaciśnięty, bo był już zerwany, po tym, jak Peace zdarł go z szyi martwej dziewczynki w domu spotkań.

- Kiedy twoi ludzie przeszukali Oriflammę - powiedziałem - czy znaleźli ogniwa złotego łańcuszka?

Oczy Basquiat zwięziły się odrobinę, pokręciła głową.

- Niech sprawdzą ponownie. Musiały być tak małe, że je przeoczyli. Może wpadły w szczelinę w podłodze albo szwy ubrania Peace'a. Ten łańcuszek należał do niej. Do Abbie. Nosila go całe życie. I był zerwany, więc z pewnością w walce parę ogniów odleciało.

Detektyw sierżant wstała energicznie, podeszła do drzwi i zastukała głośno.

- Nie twierdzę, że ci wierzę - rzuciła przez ramię. - Mówię tylko, że to sprawdzę.

- Byle szybko - odparłem. - Zrób to szybko. Wiem, że według ciebie Abbie już liczy się jako martwa, ale to, co przeznaczył dla niej Fanke, jest gorsze.

- Powiedziałam, że to sprawdzę.

Drzwi się otwały; bez słowa przekroczyła próg.

- Mój telefon! - krzyknąłem za nią. - Basquiat, załatw mi mój pieprzony telefon!

Drzwi się zatrzasnęły.

Ale tym razem posłuchała - i ustąpiła. Zaledwie dziesięć minut później znów się otwały i pielęgniarz w białym fartuchu wprowadził do środka automat na wózku. Natychmiast wyszedł, a gliniarz, który otworzył drzwi, spojrział na mnie wyczekująco.

- Nie mam pieniędzy - przypomniałem.

Spojrzał na mnie gniewnie.

- Żaden przepis nie mówi, że muszę ci pożyczać, bezczelny skurwielu - warknął.

- Detektyw sierżant Basquiat ci odda - zapewniłem. - I odwrotnie, pewnie urwie ci jaja, jeśli sprawa upadnie, bo nie zapewniłeś mi moich praw.

Gliniarz sięgnął do kieszeni i wyciągnął garść drobniaków, które rzucił na podłogę.

- Masz - warknął i odszedł. Klucz zazgrzytał w zamku.

Na drucianej półce pod wózkiem leżała książka telefoniczna. Sprawdziłem pod hasłem Kościół rzymskokatolicki, nie znalazłem niczego. Ale pod Organizacjami Religijnymi wymieniano sporo całkiem obiecujących nazw. W końcu zdecydowałem się na seminarium w Vauxhall. Wybrałem numer i natychmiast odpowiedział mi mężczyzna.

- Ojciec Braithewaite - przedstawił się wyniosłym tonem.

- Dobry wieczór, ojciec - powiedziałem. - Mam nadzieję, że mógłby mi ojciec pomóc. Szukam telefonu organizacji badań biblijnych, która jak sądzę ma siedzibę w Woolwich. Czy to się z czymś ojcu kojarzy?

- O, tak - odparł natychmiast ojciec Braithewaite. - Fundacja Douglasa Ignatieffa. Powiniennem znaleźć ich numer, mam na półkach kilka ich wydawnictw. Chwileczkę.

Usłyszałem stuknięcie położonej na stół słuchawki, a potem najróżniejsze inne łoskoty, szelesty i zgrzyty. W końcu, w chwili gdy miałem się rozłączyć i spróbować gdzie indziej, ksiądz wrócił.

- Proszę - oznajmił i wyrecytował numer. Ponieważ nie miałem nic do pisania, poprosiłem, by powtórzył, i zapamiętałem.

Podziękowawszy ojcu Braithewaite'owi za pomoc, rozłączyłem się i wybrałem nowy numer. Było to właściwe miejsce, ale odpowiedział mi tylko nagrany głos i zachęta do zostawienia wiadomości na sekretarce.

Skoro się powiedziało „A”...

- Mówi Castor - oznajmiłem. - Mam wiadomość przeznaczoną dla ojca Gwillama z Anathemata Curialis. Poproście, by zadzwonił do mnie pod ten numer. Jak najszybciej, bo zegar tyka. Jeśli wciąż szuka Dennisa Peace'a, możecie mu powiedzieć, że to martwy ślad. Dosłownie. Teraz może dotrzeć do Abbie Torrington wyłącznie przeze mnie.

Rozłączyłem się i rozsiadłem, gotów czekać. Miałem nadzieję, że policjant nie przyjdzie i nie zabierze telefonu, nim dostanę odpowiedź. A także, że nie jest to jeden z tych sprytnych automatów, które blokują rozmowy przychodzące.

Ale nie. Telefon zadzwonił po jakimś kwadransie. Odebrałem po pierwszym dzwonku. Jeśli nawet gliniarze na zewnątrz coś usłyszeli, nie zareagowali.

- Halo? - rzuciłem.

- Pan Castor?

Pamiętałem ów suchy głos, zapomniałem jednak dźwięczący w nim nieludzki, purytański spokój.

- Tak.

- Tu Gwillam. Co mogę dla pana zrobić?

Powiedziałem mu, a on zaśmiał się bez cienia rozbawienia, zupełnie jakbym słyszał śmiejącego się trupa.

- Chciałby pan może coś jeszcze? - spytał, lecz ironia zawarta w słowach nie przeniknęła do owego bezlitośnie obojętnego głosu. - Może mamy wstawić się za jakimiś martwymi krewnymi? Albo po drodze kupić panu pizzę?

- Później porozmawiamy o warunkach, Gwillam - uciąłem. Nie byłem w nastroju na lekkie pogaduszki. - Na razie bierz się do roboty i spuść ze smyczy psy. Odwiesiłem słuchawkę dość mocno, by rozwalić plastikową obudowę.

19

Niezbyt dobrze sobie radzę z czekaniem. Nigdy sobie nie radziłem. Zdarzało mi się spotykać ludzi, którzy, kiedy nic się nie dzieje, wrzucają nastrój zen i hibernują umysłowo, dopóki coś ich nie przebudzi. Ja natomiast po jakimś czasie zaczynam tłuc pięściami w ściany - albo, z braku ścian, w innych ludzi.

Basquiat zostawiła mi zegarek. Albo był to rzadki okaz ludzkiej litości, albo też najbardziej podstępna i wyrafinowana tortura. Przez następne parę godzin patrzyłem na niego dość często, by wypalić wzrokiem dziurę w szkiełku.

Dzień włókł się i włókł, niczym lodowiec zsuwający się po zboczu góry. Nie mogłem się skupić na recenzjach samochodów, toteż odkryłem, że opieram się o parapet i wyglądam na Highgate Hill. Słońce uwięzione w potwornym, zwolnionym biegu zabarwiało niebo nad grobem Marksa czerwienią tak głęboką, że zadowoliliby nawet jego.

Może czerwone niebo stanowiło jakiś omen - choć niekoniecznie klasy Gwiazdy Betlejmskiej. Tuż przed tym, nim tarcza dotknęła horyzontu, usłyszałem coś jakby klaskanie dłoni, a potem przeciągnięty, piskliwy krzyk tłuczonego szkła.

Alarm przeciwpożarowy rozdzwonił się w całym budynku, łącznie z moim skrzydłem i zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Poczulem wibracje biegnących stóp i natychmiast potem krzyki na korytarzu. Ktoś huknął wyzywająco bądź ostrzegawczo i nagle urwał, bo coś walnęło o drzwi z siłą dość wielką, by wyrwać zawiasy.

Drzwi wygięły się, a drugie uderzenie sprawiło, że runęły do środka, przelatując parę centymetrów od mej zdumionej twarzy. Jeden z mundurowych wpadł wraz z nimi, wyraźnie nieprzytomny, choć oczy miał wciąż półotwarte. I mimo że to właśnie on rzucił mi na podłogę garść drobniaaków, tak że musiałem czołgać się, by je pozbierać, poczułem ukłucie współczucia.

Szybko minęło.

Wilkołaki, Zucker i Po, przeskoczyły nad ciałem. Zucker był w postaci ludzkiej - czy też takiej, która u niego uchodziła za ludzką. Po górował nad nim niczym potworna umięśniona wieża. Resztki podartej koszuli wciąż czepiały się beczułkowatego torsu. Nieprawdopodobny zestaw żółtobiałych kłów jeżył mu się w paszczy, przyciągając mój wzrok tak mocno, że pozostałe rysy zamieniły się w rozmazaną plamę, gdy przeszedł ciężko obok, sprawdzając, czy mundurowy zaraz aby nie wstanie.

Zucker obdarzył mnie upiornym uśmiechem.

- Byliśmy w sąsiedztwie - oznajmił. - Pomyśleliśmy, że wpadniemy.

- No proszę, a ja nie mam nawet ciasta - mruknąłem.

- Nie jadam ciasta. Chcesz coś zabrać?

Pokręciłem głową. Bardzo chciałem odzyskać własne ubranie, ale nie miałem pojęcia, gdzie umieściła je Basquiat. Cóż, będę musiał jakoś sobie radzić.

Po górował nade mną. Zucker spojrział na niego z uznaniem.

- Znasz taką dyscyplinę olimpijską, w której ludzie chodzą bardzo szybko? - spytał mnie.

- Słyszałem o niej.

- To właśnie musisz zrobić. Jeśli zaczniesz biec, mój przyjaciel najpewniej cię wywróci, nadepnie ci na głowę i wypruje flaki. Taki już jest. Ale istotnie, spieszy nam się, toteż poruszaj się jak najszybciej, nie biegnąc.

Zucker odwrócił się i pierwszy wyszedł z pokoju, ja podążyłem za nim, Po zamykał pochód niczym ruchoma ściana. Tyle że na ścianach zwykle można spodziewać się graffiti, a nie kręgosłupów, kłów i zaślinionych szczęk.

Drugi gliniarz leżał bezwładnie w rogu. Wokół, niczym milczący świadkowie jego braku czujności, leżały rozrzucone różowe kartki dodatku wyścigowego. Zresztą i tak nie miał szans, nawet gdyby zobaczył *loup-garou*. Podejrzewałem, że, żeby choć spowolnić Po, trzeba by co najmniej granatnika.

Alarmy wciąż wyły, wypełniając powietrze tak, że nie zostało w nim miejsca na cokolwiek innego. Z początku zakładałem, że to ogólny sygnał alarmowy. Potem jednak, gdy dotarliśmy do krótkich schodów na końcu korytarza, uświadomiłem sobie, że budynek naprawdę się pali. A przynajmniej piętro pod nami wypełniały kłęby dymu, wiszącego ciężko w powietrzu i wyraźnie rozwarstwowanego. Ostry, chemiczny smród odbierał wiele radości z procesu oddychania.

Znaleźliśmy się w sporej salce z krzesłami pod ścianami - poczekalni jednego z oddziałów specjalistycznych Whittingtona. Zucker zawahał się, po czym wskazał przeciwległy koniec pomieszczenia i ruszył w tamtą stronę. Podążyłem za nim, drepcząc jak najszybciej. Nie chciałem, żeby Po skoczył na mnie z tyłu, a jeszcze mniej podobała mi się wizja wzięcia mnie przez niego za gumową kość.

Dotarliśmy do trzech identycznych wind. Zucker nacisnął przycisk DÓŁ na wszystkich trzech i drzwi środkowej rozsunęły się natychmiast. Popchnął mnie i wpadłem do środka. Zucker zerknął w lewo, w prawo, po czym cofnął się do windy i nacisnął parter.

- Jeśli siądzie zasilanie, to się tu usmażymy - powiedziałem i na tę myśl żołądek autentycznie mi się wywrócił. Cierpię na lekką klaustrofobię, która od czasu do czasu dochodzi do głosu, zwłaszcza kiedy znajduję się w ciasnym pomieszczeniu z półludzkimi potworami, cuchnącymi jak stare wilgotne dywany.

- To nie problem - odparł krótko Zucker. - Zaufaj mi.

Drzwi znów się rozsunęły i wyszliśmy na szeroki korytarz. Zucker nadal prowadził. Parter przypominał wizję piekła, dym był tu gęściejszy, a chemiczny odór jeszcze gorszy. Pod zawodzeniem syren słyszałem teraz całą gamę różnych innych dźwięków: krzyki, wrzaski, wykrzykiwane rozkazy, tupot i łoskot. Żadne kroki nie dobiegały jednak zza naszych pleców. Obejrzałem się i odkryłem, że stopy Po są bose, jak moje. Resztki jego ubrania poodpadały, a wraz z nimi i tak śmiesznie małe szanse, że ktokolwiek mógłby go wziąć za człowieka. Nawet gdyby opanował rozszalałe ciało, wciąż byłby nagusieńki.

Wpadłem na fotel na kółkach, stojący na środku korytarza, i o mało nie poleciałem na twarz. Po warknął ostrzegawczo: wyraźnie uznał to za świadomą prowokację.

- Jak się stąd wydostaniemy?! - zawołałem do Zuckera, który wyprzedzał nas o parę kroków, ale też nie musiał się martwić perspektywą utraty ważnych kończyn i narządów.

- Zaufaj Bogu - zaproponował.

Spojrzałem na niego, zaciekawiony, ale maszerował szerokim korytarzem, nie oglądając się, widziałem więc tylko tył głowy. W jego głosie nie dosłyszałem nawet cienia ironii.

- Zwykle nie jest to dla mnie wyjściem.

- Ale teraz znalazłeś się w Jego rękach.

Przed sobą mieliśmy parę wielkich drzwi. Zucker otworzył je kopniakiem i znaleźliśmy się w czymś w rodzaju atrium. Wyższe sklepienie sprawiało, że opary tańczyły w hipnotycznych splotach smug, niczym zsiadłe mleko w kawie. W głowie mi się kręciło, żołądek podchodził do gardła. Na żadnym z *loup-garou* nie robiło to wrażenia.

Niemal natychmiast straciłem Zuckera z oczu, choć nie oddalił się zbyt daleko. Kiedy ruszyłem w jego ślady, z dymu wyprysnęła ręka i chwyciła mnie za przegub.

- Trzymaj się blisko - wymamrotał Zucker. - Powiedziano nam, że gdybyśmy musieli cię zostawić, mamy cię zabić. Po ma nadzieję, że tak się to ułoży, ale ja wolałbym trzymać się pierwotnego scenariusza.

Nagle zastanowiłem się, jak może wyglądać Zucker po przemianie w postać zwierzęcą. Bez wątpienia był znacznie bardziej opanowany niż jego partner. Uznałem, że wolałbym znajdować się gdzieś daleko, kiedy przestanie nad sobą panować.

Pociągnął mnie za sobą w ołowianoszary półmrok. Zakładałem, że Po wciąż nam towarzyszy, ale go nie widziałem. Niczego nie widziałem. Zupełnie jakby cały szpital stał w ogniu, choć nagle uświadomiłem sobie, że nie dostrzegłem żadnych płomieni ani nie czułem gorąca.

Nagle z dymu wyłoniła się twarz: strażnik w pełnym mundurze, wymachujący latarką, której bezużyteczny promień odbijał się jedynie w skłębionych oparach dymu. Zobaczył nas w chwili, gdy my ujrzelśmy jego, i otworzył usta, by krzyknąć.

Po przeskoczył mi nad głową, lądując na piersi tamtego. Strażnik runął na ziemię. A potem Zucker chwycił Po.

- Zostaw go! Zostaw go, bracie! Niechaj Bóg go znajdzie! Niech Bóg osądzi!

Usłyszałem sapnięcia, szelesty, a potem ogłuszający ryk Po.

Przez chwilę wydało mi się, że może zdołam im się urwać. To znacznie uprościłoby mi życie. Ale odstępując na bok w cuchnącym mroku, z głową wciąż wypełnioną wyciem syren, wpadłem prosto na ścianę. Dokładnie w tym momencie alarm ucichł nagle, pozostawiając porażającą próżnię ciszy, która zajęła wypełniane przez niego miejsce. Echa i pogłosy ucichły, pochłonięte przez gęstą mgłę.

Ręka Zuckera opadła na moje ramię. Najwyraźniej rozstrzygnął już utarczkę z Po.

- Tędy - rzucił. W jego głosie dzwięczała groźna nutka.

Ruszyliśmy naprzód. Pod stopami czułem coś zimnego i kanciastego: przez chwilę nie byłem pewien co to, potem jednak usłyszałem zgrzyt dochodzący spod butów Zuckera i pojąłem, że stąпам po stłuczonym szkle.

- Kurwa! - zaprotestowałem.

Zucker uciszył mnie syknięciem. W nagłej ciszy mój głos zabrzmiał nieprzyzwoicie głośno.

Przed nami otwarło się we mgle dwoje oczu: jaśniejących, żółtych oczu o rozstawie około dwóch metrów. Zaskoczył silnik, Zucker pomachał i oczy błysnęły: reflektory na długich światłach. Ale wciąż znajdowaliśmy się w budynku.

W półmroku po prawej pojawiły się kolejne, stąpające chwiejnie, niewyraźne postaci. Ktoś krzyknął, błysnęła następna latarka. Zucker pstryknął palcami i nim się domyśliłem, że to sygnał, po porwał mnie z ziemi. Pobiegł za Zuckerem, skręcając w lewo i mijając światła. Obok nas przesuwał się matowobiały bok pojazdu, usłyszałem dwa metaliczne szczęknięcia. A potem mnie rzucono - nie na zasłaną szkłem posadzkę atrium, lecz na tył furgonetki. Dwa *loup-garou* wskoczyły za mną i zaczęliśmy się cofać, zdecydowanie zbyt szybko. Zucker zatrzaskał drzwi z ogłuszającym hukiem i pojazd obrócił się z piskiem opon.

- Mach dwa! - ryknął Zucker, waląc dwa razy w dach kantem dłoni.

I wystartowaliśmy tak ostro, że znów poleciałem na twarz, właśnie w chwili, gdy zdołałem dźwignąć się na czworaki. Syrena zawyła żałośnie i dziwnie urywanie, uua, uua, uua, uua, gdy kierowca dodał gazu, zapominając o wszystkich ograniczeniach prędkości.

Obróciłem głowę i mój wzrok padł na wózek z blokowanymi kołami, zestaw medyczny na ścianie, pojemnik z tlenem zamocowany solidnie we wnęce. Znajdowaliśmy się w karetce. Ci podstępni dranie porwali karetkę.

Na składanym krzeselku obok wózka przycupnął trzeci facet. Przysadzisty, o czerwonej twarzy choleryka i włosach, które - choć długie i nawet bujne - zaczynały się kilkanaście centymetrów od czubka głowy, pozostawiając błyszczące, okrągłe lądowisko dla komarów, miał na sobie kurtkę motocyklową i podarte dżinsy, wyglądające jakby wszystkie pęknięcia i dziury pojawiły się na nich przypadkiem, a nie zostały zainstalowane fabrycznie. W dłoni trzymał pistolet z tłumikiem tak długim, że sugerował jakiś poważny kompleks. Celował mi prosto w głowę.

- Jestem Sallis - oznajmił głosem równie groźnym jak twarz. - Będę dziś twoją stewardesą i jeśli ruszysz swoją cholerną dupę choćby na milimetr, pošlę ci w sam

środek główki bardzo wolną kulkę z wydrążonym czubkiem. To, co zostanie ci z mózgu, wyleje się przez nos.

- Jaki macie film? - spytałem, a on trącił mój policzek końcem tłumika, jakby na znak, że nie podoba mu się mój udział w jego numerze komediowym.

- Po prostu tu leż - dodał Zucker, nieco spokojniejszy, bo najgorsze - przynajmniej dla niego - już minęło.

Karetka kołysała się z boku na bok, gdy skręcaliśmy i lawirowaliśmy wąskimi uliczkami. *Loup-garou* musiał przytrzymać się poręczy, by nie polecieć na bok. W jakiś sposób wydał się przez to bardziej ludzki.

- Nie odzywaj się ani słowem do nikogo, łącznie ze mną. Następne twoje słowa mają paść w odpowiedzi na bezpośrednie pytanie. Jasne? Pokiwaj głową.

Wzruszyłem ramionami. Grożenie pistoletem wydało mi się całkiem niewinne, skoro tuż obok mnie przykucnął Po, przypominający worek mięśni z ozdobnym motywem z zębów.

- To nie było przytaknięcie - upomniał surowo Zucker.

- Nie dodałeś: Simon mówi - zauważyłem.

Sallis kopnął mnie w zębra, lecz mimo twardych gadek, wyraźnie mieli rozkaz, by sprowadzić mnie żywego i niezbyt pokiereszowanego. Liczyłem na to, na fakt, że Gwillam zechce ze mną porozmawiać przed wydaniem ostatecznego werdyktu co do mojej przyszłości. W przeciwnym razie może bardziej pilnowałbym swych manier i próbował zrobić lepsze wrażenie.

Kiedy tak jechaliśmy z szaleńczą szybkością przez gęstniejący mrok, miałem mnóstwo czasu, by wszystko zrozumieć. Oczywiście nie było żadnego pożaru, tylko cała kupa granatów dymnych, wyrzuconych przez *loup-garou* drzwiami karetki, gdy ta wpadła przez wielką witrynę na froncie szpitalnego bloku. Owa chemiczna woń to połączenie formaliny i tlenku węgla - a może także gazów wylotowych, jeśli wystrzelili te cholerstwa z mózdzierza.

Tak, to bez wątpienia logiczne. Anathemata nie zrobiliby niczego tak brutalnego jak podpalenie szpitala! Lecz wywołanie paniki mieściło się świetnie w ich metodach postępowania. Gdyby w wywołanym chaosie ktokolwiek zginął, Gwillam z pewnością wypełniłby stosowny formularz i odprawił mszę. Jedno trzeba przyznać katolikom: potrafią się zorganizować.

Ale oczywiście to byli ekskatolicy, ich organizację zdelegalizowano, a ich samych ekskomunikowano. Czym zatem teraz się stali? Może papistowskim

odpowiednikiem drużyny z Mission Impossible. Z całą pewnością byli fanatykami, do tego stopnia przekonanymi, że walczą w słusznej sprawie, że nie zważali nawet na polecenie przełożonych.

To sprawiało, że moja sytuacja stawała się jeszcze niebezpieczniejsza. Fanatycy są nieprzewidywalni - skręcają w prawo, kiedy sądzisz, że zmierzają w lewo. Nie patrzą na świat pod tym samym kątem, co cała reszta, i trzeba o tym pamiętać, starając się z nimi dogadać. Zazwyczaj lepiej jest spisać ich na straty i nawet nie próbować.

Zadzwońłem do Gwillama tylko dlatego, że nie miałem innego wyjścia i nie znałem Basquiat dość dobrze, by jej zaufać. Może wystarczy jej rozsądku, by ujrzała prawdę, gdy ta walnie ją prosto w twarz. A może nie. Tak czy inaczej, nie zamierzałem stawiać na to swojego życia ani duszy Abbie. Czy nawet mojego tyłka. Sprytny glina to nadal glina i wszystko, co się z tym wiąże.

Zwolniliśmy gwałtownie, po czym znów dodaliśmy gazu. Proces powtarzał się kilkanaście razy przez następne kilka minut: nawet przy włączonej syrenie i migającym groźnie kogucie na dachu londyńskie korki mają swoje prawa. W pewnym momencie, gdy pełziliśmy w jednym z nich, nie mogąc wykręcić się z niego swym pożyczonym autorytetem moralnym, Zucker spiął się nagle, a Po wydał dźwięk gdzieś w połowie pomiędzy warkniętym przekleństwem i kocim zawodzeniem. Wiedziałem co to znaczy i dzięki temu mniej więcej zorientowałem się, jak daleko zajechaliśmy. Zaskoczyło mnie także, jak wiele bólu były gotowe znieść na służbie oba *loup-garou*. Przejeżdżaliśmy przez rzekę. Obaj musieli znosić katusze: woda bieżąca jest dla łaków jak kroplówka z kwasu, lecz obaj przyjęli to całkiem nieźle.

No, może nie do końca: zauważyłem, że szpony Po wbiły się antypoślizgowe maty na podłodze, zmieniając je w poszatkiwaną ruinę. Pochylił głowę, oddychał cicho, warkotliwie. Zucker opierał się o wózek, zaciskając powieki, jego bladą twarz pokryła warstewka potu. Był to dobry moment na śmiałą ucieczkę, ale gość przedstawiający się jako Sallis też zdawał sobie z tego sprawę. Wcisnął mi splot między łopatki i nie cofał, dopóki Zucker nie odzyskał panowania nad sobą. Czy mi się to podobało, czy nie, musiałem tu zostać do końca.

Parę minut później opadliśmy bardzo ostro, wóz zadrżał, bo zawieszenie nie do końca zamortyzowało ów wstrząs, podskoczyliśmy na serii źle dopasowanych stalowych krat, piszczących nam pod kołami niczym stłoczone w klatce szczury, i zatrzymaliśmy się. Zucker otworzył drzwi. Wyszedł pierwszy, a solidny łoskot, gdy

jego stopy wylądowały na ziemi, miał w sobie dziwny pogłos. Poza wozem panowała nieprzenikniona ciemność. Po pozbił się i wyturlał w noc, z wdzięczną, bezszelestną gracją, po czym odwrócił się, patrząc na mnie. Sallis machnął bronią, wskazując, że teraz moja kolej. Wysiadłem z karetki i rozejrzałem się wokół. Moje oczy wciąż nie przywykły do mroku na tyle, bym widział, gdzie właściwie stoję, ale niedaleko ponownie zabrzmiało to samo echo. Każde szurnięcie nogi na betonie, każdy trzask i brzęk silnika karetki, stygnącego szybko w chłodnym, nocnym powietrzu, miały swego wiernego bliźniaka, wybiegającego mu z mroku na spotkanie.

Przed nami pojawił się prostokąt brudnożółtego światła i dzięki niemu ujrzałem to, czego już wcześniej się domyśliłem: byliśmy w budynku, pomieszczeniu o olbrzymim planie i suficie niskim jak kościelne katakumby. Białe linie na ziemi, równoległe, równo rozmieszczone, stanowiły kolejną wskazówkę: to nie był kościół, tylko podziemny parking.

- Zabierzcie go do środka - rozległ się zimny głos, tak martwy i beznamienny, że ledwie wzbudził jakiegokolwiek echo.

Czyjaś ręka - zapewne Sallisa - chwyciła mnie z tyłu za ramię i brutalnie pchnęła naprzód. Zucker i Po stąpali po obu moich bokach.

Przekroczyliśmy próg i znaleźliśmy się na betonowej klatce schodowej. Ojciec Gwillam zamknął drzwi przeciwpożarowe i z cichym sapnięciem zaciągnął z powrotem zasuwę. Potem odwrócił się ku mnie.

- Dobrze cię znów widzieć, Castor - wymamrotał. - W końcu znalazłeś się po stronie aniołów.

- Możesz mnie nazwać niezdecydowanym - podsunąłem.

Gwillam uśmiechnął się - lekki grymas, który nie zdołał zakorzenić się na bezbarwnym terytorium twarzy - i skinął głową.

- Wszystko jest już przygotowane na górze - oznajmił. Nie spodobała mi się ta uwaga, ale moja osobista gwardia honorowa zbliżyła się znów, gdy tylko Gwillam pomaszerował schodami, i nie miałem wyboru - musiałem pójść za nim.

Szukałem wskazówek co do miejsca, w którym się znaleźliśmy. Wiedziałem, że jest blisko Tamizy, ale gdzie się przeprawiliśmy? Z pewnością nie w Rotlherhithe, to za daleko na wschód. Tak czy owak, miałem wrażenie, że w pewnym momencie słyszałem zmiany odgłosu silnika, jakbyśmy jechali przez tunel. Ale może skierowaliśmy się na zachód. Nie miałem pewności: domyślałem się jednak, że możemy być gdziekolwiek między Wapping i Kew.

Jednak, gdy wyszliśmy ze schodów na szeroki, wyłożony błękitną wykładziną, opadający lekko korytarz, w mojej głowie rozdzwoniły się dzwonki. Byłem tu już kiedyś, bardzo dawno temu. W nagłym dija vu ujrzałem obłąkańcze oczy Nosferatu.

Kino? Czyżby Anathemata znaleźli jedno z zamkniętych londyńskich kin i wprowadzili się do niego, tak jak Nicky w Walthamstow? Cóż za chora ironia. Ale nie. Jak się okazało, udało im się lepiej. Gwillam pchnął drzwi i pstryknął włącznikiem; na ścianie długiej jak stadion piłkarski kolejno zapalały się światła. Czarna ściana, do tego czarna podłoga, pokryta szramami na pamiątkę niezliczonych stóp. W górze coś, co wyglądało trochę jak tyranozaur, zrobiony ze szkła i czarnej stali i podnoszący się groźnie na moją dwukrotną wysokość. Tyle że to nie był T-Rex, tylko projektor Zeissa.

- A niech to, kurwa - mruknąłem, mimo wszystko zachwycony, gdy w moim umyśle wreszcie zaskoczyło.

- Po nie przepada za podobnym językiem - wymamrotał Gwillam i odniosłem niepokojące wrażenie, że może jednak ma jakieś poczucie humoru.

Okrzyknął zeissowski projektor, a ja poszedłem za nim, czy raczej zostałem zapędzony. Olbrzymia sala po drugiej stronie była niemal pusta, pozostały na niej jedynie widmowe odbicia niewyblakłych części wykładziny w miejscach, gdzie kiedyś stały inne przedmioty: ścianki działowe, elementy wystaw, stare kamery filmowe, dioramy, przedstawiające sceny z wielkich filmów. Anathemata skolonizowali tylko drobny fragment: przy biurkach otoczonych grubymi pętami kabli elektrycznych, przypominającymi zasięki z drutu kolczastego, paru facetów pracowało na laptopach. Kolejni dwaj rozmawiali przez komórki, jeden z nich kreślił palcem linie na tablicy - wielkim planie Londynu, przypiętym do ściany, jak w serialach policyjnych z lat siedemdziesiątych. To wszystko - to i wokół mnóstwo pustego miejsca.

- Teraz, gdy dzieci się usamodzielnili, powinniście przenieść się do mniejszego lokum - zauważyłem, celując w nonszalancki ton i chybiając o dobry kilometr. - Moglibyście spokojnie płacić mniejszy czynsz.

Gwillam się uśmiechnął. Obserwował moją twarz, śledząc z klinicznym zainteresowaniem reakcje.

- A kto tu mówi o czynszu? Zostawili klucz pod wycieraczką, a my się wprosililiśmy. Zakładam, że wiesz, co tu się mieściło, nim umarło.

- Jasne - odparłem. - Wiem.

Ale Gwillam i tak chciał wypowiedzieć puentę i nie dał się zniechęcić.

- To było Muzeum Ruchomego Obrazu.

Same te słowa przywołały niewielką burzę wspomnień. Muzeum, podobnie jak Teatr Narodowy i Sala Festiwalowa, stanowiło część kompleksu South Bank - dołączono je do niego już po wybudowaniu reszty, bo film był opóźnionym dzieckiem świata sztuki i musiał sam rozpychać się łokciami przy stole. Wcześniej byłem tu tylko raz - na wycieczce szkolnej, gdy miałem trzynaście lat. Długa jazda z Liverpoolu pociągiem, z czterema kanapkami z parówkami wieprzowymi i puszką napoju na cały dzień. Udawałem, że to syf, bo tak mówili moi kumple, ale w skrytości ducha uważałem, że staroświecka groza latarni magicznych to super sprawa i zakradłem się, by dwa razy z rzędu obejrzeć sekwencję bitwy x-wingów z tie-fighterami z *Gwiezdnych Wojen*.

Teraz był to tylko pusty magazyn.

- Muzeum zamknięto pod koniec lat dziewięćdziesiątych - rzekł z roztargnieniem Gwillam. - Wystawa pojechała w trasę. Ma się znów otworzyć za jakieś trzy lata. A tymczasem... to wygodne miejsce, niedaleko West Endu. Usiądź, Castor.

Nie zauważyłem krzesła. Stało w plamie cienia po drugiej stronie tablicy, w miejscu, do którego nie sięgały dwa pasma światła. Obok na podłodze leżał zwój liny, a obok stała mała czarna torba lekarska. Był tam też stół: okrągły stolik z poplamionym, laminowanym blatem, wyglądający jak przybysz z innych czasów. Gwillam obrócił krzesło w moją stronę.

- Proszę - rzekł tym samym obojętnym tonem.

- Dzięki, postoję.

Gwillam westchnął i zacisnął wargi z miną sugerującą, że choć często styka się z samolubnym i bezmyślnym zachowaniem, wciąż nie może do niego przywyknąć.

- Jeśli postoisz, Zucker i Sallis nie będą mogli przywiązać cię do krzesła.

- I o to chodzi.

- A ja chcę, żeby cię przywiązali, bo bardzo ułatwi mi to część tego, co dla ciebie zaplanowałem.

- Posłuchaj - zacząłem - jako zatroskany obywatel chętnie zgodzę się współpracować z...

Lecz Gwillam musiał dać swemu zespołowi jakiś sygnał, którego nie dostrzegłem. Masywna, szponiasta łapa po zacisnęła się wokół mego gardła. Bezceremonialnie podciągnął mnie do krzesła, posadził gwałtownie i przytrzymał.

Zucker i Sallis zakrzętnęli się wokół ze sznurami: pełni entuzjazmu amatorzy jeśli chodzi o węzły, ale brak finezji z nawiązką nadrabiali zaangażowaniem.

Podczas gdy się krzatali, Gwillam przyniósł drugie krzesło i postawił naprzeciw mnie. A kiedy cofnęli się z szacunkiem, zakończywszy pracę, podziękował im krótkim skinieniem głowy.

- Sallis - rzekł - zostaniesz ze mną. Panie Zucker, po ostatnich wysiłkach możecie z panem Po oddalić się do kaplicy.

- Dziękuję, ojcze - odparł Zucker i obaj, obróciwszy się na pięcie, odeszli w ciemność. Po drodze obejrzał się na mnie przez ramię, odsłaniając stanowczo zbyt dużo zębów.

Sallis podszedł do ściany i usiadł, oparty plecami. Nie do końca do mnie celował, ale nadal trzymał w dłoni spluwę.

- Czy to jakiś eufemizm? - spytałem Gwillama. Spojrzał na mnie ze szczerym zdumieniem.

- Ależ nie. Gdziekolwiek się zatrzymujemy, mamy ze sobą kaplicę polową, Castor. Nasza wiara jest dla nas bardzo ważna.

- Była wiara.

Gwillam uniósł brew. Nie wyglądał jednak na zdenerwowanego, moja szpilka nie ukłuła tak bardzo, jak oczekiwałem.

- Wiesz, ilu katolików żyje na tym świecie, Castor? - spytał.

- Przed tym, nim razem z kumplami was wykopali, czy po?

- Dobrze ponad miliard. Siedemnaście procent ludności świata. W samych Amerykach jest nas pięćset milionów. Ojciec Święty z konieczności musi być nie tylko przywódcą religijnym, ale i politykiem. Musi grać w gry ludzi i narodów. I czasami oznacza to, że aby wiele zyskać, musi popełnić drobną niesprawiedliwość.

- To znaczy?

- Anathemata Curialis otrzymała bardzo poważny zastrzyk funduszy tuż przed śmiercią Jana Pawła II. A potem jego następcą, Benedykt XVI, polecił nam się rozwiązać pod groźbą ekskomuniki. Te dwa czyny można w najlepszym razie uznać za skurcz i rozkurcz serca. Kościół wyrzekł się nas, ale nie przestał dobrze nam życzyć.

- Mimo że zatrudniacie w swych szeregach wilkołaki? Jak rozległy jest zakres waszych zadań, Gwillam? Po prostu jestem ciekaw.

Gwillam ukląkł, podniósł z ziemi czarną torbę i postawił na stoliku. Otworzył ją i zaczął grzebać w środku. Nie zapomniałem o niej: mogę nawet rzec, że cały czas dręczyła moje myśli.

- Zakres naszych zadań jest niewielki i ściśle określony. Walczymy w ostatniej wojnie. Jesteśmy zagończykami niebios, posłanymi do ojczyzny wroga, by ocenić jego siłę i nękać armie szykujące się do ataku.

- A wróg to?

- Piekło, rzecz jasna.

Kolejno wyjmował z torby: jednorazową strzykawkę, torebkę z folii groszkowej, z niewielką fiolką pełną żółtej jak słoma substancji, większą butelkę czystego przejrzystego płynu i nieotwarte opakowanie wacików chirurgicznych.

- Powstanie umarłych - rzekł, patrząc mi w oczy z chłodnym spokojem fanatyka - stanowiło początek działań zaczepnych. Piekło ruszyło do boju z niebem, we wszystkich sferach i krajach tego świata. Przewidziano to i przepowiedziano. Nie zaskoczyło nas. Ale niektórzy członkowie Kościoła nie uwierzyli świadectwu własnych oczu.

Gwillam uśmiechnął się ponuro. Miałem wrażenie, że przypomina sobie szczególne rozmowy, starcia słów i woli.

- Zapomnieli o obowiązku pasterskim - powiedział łagodnie. - Zbyt skostnieli pośród wygod tego świata i zapomnieli, że świat to zawsze jedynie kuźnia. Nie siada się wygodnie przy bożym ogniu: każdy z nas do niego trafia i zostaje przez niego ukształtowany. Ty, Castor, zdaje się, sądzisz, że istnieje sprzeczność pomiędzy toczoną przez nas bitwą i używanymi narzędziami. Nieprawda. Walczymy w polu z demonami, generałami szatana - i posługujemy się każdą bronią, jaką włoży nam w ręce Bóg. Jeśli wierni katolicy powracają z martwych nie z tego powodu, że spiskowali ze Złym, tylko dlatego że zmieniły się zasady walki, nie odwracamy się do nich plecami. Po i Zucker wiele wycierpieli i wykorzystali swe cierpienie dla dobrych celów. Zaliczam ich do moich najbardziej zaufanych podwładnych.

Zaczął odliczać przedmioty na stole, pokazując je kolejno palcem wskazującym, jakby raz jeszcze sprawdzał czy ma wszystko. Potem z zadowoleniem pokiwał głową i znów na mnie spojrzał.

- Gdzie jest Abbie Torrington? - spytał.

- W policyjnej kostnicy w Hendon.

Gwillam zamrugał, raz, drugi.

- Nie chodzi mi o powłokę - rzekł tonem najbliższym irytacji, jaki u niego zauważyłem. - Lecz o jej prawdziwe ja. Jej ducha. Ty, ze wszystkich ludzi, z pewnością wiesz o czym mówię.

Ja, ze wszystkich ludzi? Wolałem się nie dopytywać.

- Jej dusza tkwi w wisioru - oznajmiłem. - Zrobionym ze złota, w kształcie serca. Ojciec zerwał go z jej szyi tuż po śmierci. Zdaje się, że w środku jest ukryty kosmyk jej włosów i jego właśnie się uczepiła. A teraz ma go Fanke. Zdjął go z trupa Peace'a, po tym jak go zabił w Oriflammie, na Castlebar Hill.

- A gdzie jest Fanke?

- Nie wiem. Gwillam, jeśli uważasz, że duch Abbie to to samo co dusza, jak, do kurwy nędzy, możesz mówić o jej zniszczeniu?

Uniósł brwi.

- Czy nie to właśnie robimy? - spytał. - Czy nie jest to właśnie moc, którą nas obdarzono?

- My? - Nie wiedziałem nawet, dlaczego tak bardzo to mną wstrząsnęło: biorąc pod uwagę, że Anathemata właśnie jemu powierzyli tę misję, było to przecież logiczne.

- Jesteś egzorcystą?

Skinął lekko głową.

- Tak właśnie dowiedziałem się, że Bóg wybrał mnie do walki w Jego sprawie.

- Zabawne - mruknąłem. - A ja tak się dowiedziałem, że nigdy nie będę musiał harować na budowie. Czego używasz? Drzazgi z Krzyża Świętego?

Gwillam przyjrzał mi się z namysłem. Jego dłoń zniknęła w kieszonce na piersi i gdy znów się pokazała, tkwiła w niej mała książeczka, oprawiona w czarną skórę.

- Biblii - odparł. - Tej Biblii. Czytam na głos słowa i fragmenty wybrane losowo z różnych wierszy. Nic dziwnego, że słowa Boga tworzą klątkę na dusze grzeszników. - Odłożył książeczkę. - Powtarzam ci, Castor, jestem żołnierzem. Gdybym mógł ocalić dziecko, zrobiłbym to. Ale nie mogę i nie pozwolę, by jej dusza stała się kluczem, który otworzy drogę na ten świat najpotężniejszemu generałowi piekiel. Wykorzystany przez nich rytuał wymaga ofiary z ciała i ducha: bez duszy dziewczynki nie da się go dokończyć. Pytam więc raz jeszcze: gdzie jest Fanke?

- Nie mam najbledszego pojęcia - odparłem.

I rzeczywiście nie miałem. Nie wiedziałem, gdzie Fanke przebywa w tym momencie. Byłem niemal pewien, gdzie się zjawi w bardzo bliskiej przyszłości, ale ten drobiazg zachowałem dla siebie. Może i Gwillam dawał mi najlepszą szansę

zniweczenia planów Fankego, ale kosztem duszy Abbie? Nie mogłem na to pozwolić. Nie, jeśli jeszcze kiedykolwiek chciałem się przejrzeć w lustrze.

Gwillam skinął na Sallisa, który podszedł do mnie. Schował broń do kabury przypiętej pod pachą i złapał mnie oburącz za włosy, odciągając głowę najdalej jak mógł. Spiałem się, ale stojąc tak nade mną, miał znaczną przewagę siły. Gwillam niespiesznie odkorkował butelkę, nalał część zawartości na jeden z wacików. W powietrzu rozeszła się woń silnego środka dezynfekującego. Gwillam starannie przetarł miejsce z boku u podstawy gardła, po czym odrzucił wacik na stół.

- Mówię ci wszystko co wiem - warknąłem; pozycja z odciągniętą głową bardzo utrudniała gadanie.

- Przekonamy się - odrzekł Gwillam. Rozdarł foliowe opakowanie, nabrał do strzykawki płynu z ampułki i nacisnął lekko tłoczek, posyłając w powietrze drobną strużkę płynu. - Przytrzymaj go - uprzedził Sallisa, pochylając się nad lekarską torbę, tak że na chwilę straciłem go z oczu. - Jeśli to trafi do tętnicy szyjnej, pewnie go zabije.

Jakkolwiek na to patrzeć, sytuacja nie wyglądała różowo. Widziałem wyraźnie, że Gwillam zamierza naszpikować mnie jakąś pochodną tiofuranu, by zapewnić sobie bardziej szczerą, pełniejszą wypowiedź. Czy w jakiś sposób mogłem go jeszcze powstrzymać? Nic nie przychodziło mi do głowy.

Co wiedziałem o serum prawdy? Tyle tylko, ile przeczytałem w tanich thrillerach szpiegowskich. Ale wystarczyło, bym się zorientował, że nie działają. Po prostu usuwały zahamowania, przecinały przewody hamulcowe podświadomości, tak że człowiek pędził przed siebie bez końca, gadając o wszystkim, co wpadło mu do głowy. Ludzie, którym podano propofol bądź pentatol, nie mogli świadomie kłamać, ale wypowiadali mnóstwo swobodnych skojarzeń. Dlatego właśnie podobne środki nie pojawiają się już nawet w tanich thrillerach.

Z drugiej strony, czy naprawdę chciałem przedstawiać Gwillamowi swoje swobodne skojarzenia na temat Asmodeusza, Abbie, Juliet i kościoła Świętego Michała? Odpowiedź brzmiała: nie. Uznałem, że to idealny moment, by zachować swe myśli dla siebie.

I w tej chwili jakby znikąd pojawiła się kolejna informacja, nie wiedziałem nawet, że nią dysponuję. Nagle przypomniałem sobie, do jakiej klasy leków należy serum prawdy, i dało mi to pewien zaczątek pomysłu - wąty i żaloszny, ale lepsze to niż nic. Poza tym nie zaszkodzi spróbować. Jediną wadę stanowił fakt, że gdyby się

nie udało, mogłem już nigdy się nie obudzić. Zacząłem oddychać szybko, głęboko, siłą wtłaczając powietrze do płuc.

- Czy nie byłoby lepiej, gdyby był nieprzytomny? - spytał Sallis z - z mojego punktu widzenia - wręcz nieprzyzwoitym entuzjazmem.

- Bynajmniej - warknął Gwillam. - Jak miałby odpowiadać na pytania, gdybyś rozwalił mu pięścią czaszkę?

Pojawił się z powrotem w moim polu widzenia ze strzykawką w ręce.

- Gwillam - warknąłem, wciąż dysząc szybko, zmuszając się do przyspieszenia oddechu. Musiałem wyglądać jak w autentycznym ataku paniki.

Gwillam się zawahał.

- Co? - spytał.

- Mam alergię.

- Na co dokładnie? - Jego głos był niebezpiecznie łagodny. W strzykawce mógł mieć ze dwadzieścia różnych środków, pozostawało tylko zgadywać.

- Propofol - wykrztusiłem.

Gwillam wzruszył ramionami.

- No to możesz się odprężyć - rzekł. - To coś innego.

Igła opadła ku mojej szyi. Nagle szarpnąłem się w rękach Sallisa i Gwillam znieruchomiał: nie chciał mnie zabić, a przynajmniej dopóki nie zada reszty swoich pytań.

- Przytrzymaj go - warknął.

Sallis objął mi ręką szyję i pochylił się ciężko, przyszpilając mnie i unieruchamiając jak najlepiej umiał.

Wszystko to stanowiło tylko grę na czas. Tymczasem wciągałem w płuca jak najwięcej powietrza, pracując nimi jak miechami, aż do chwili, gdy czubek igły wbił mi się w skórę, a kciuk Gwillama nacisnął tłoczek.

Na mój umysł opadła czerwona zasłona. Po niej, pół sekundy później, nadeszła czarna. Nie były to jednak zasłony, lecz niewzruszone mury, a ja opadłem w nieświadomość tak szybko i mocno, że poczułem siłę zderzenia.

Obudziłem się powoli, boleśnie. Po fraktalnej pustyni mojego mózdzka powoli przelewały się fragmenty myśli, łącząc się niczym kropelki rtęci i zbierając w zimnych jeziorkach.

Najpierw nadeszło ja, ale nic mu nie towarzyszyło. Tylko ja. Jakie ja? Gdzie ja? Kogo to, kurwa, obchodzi? To nie mogło mieć żadnego znaczenia. Kimkolwiek był, może drań zaczekać. Gdzieś w pobliżu rozgrywał się ból i wolałem siedzieć cicho, by mnie nie znalazł.

Jakąś minutę później znikąd pojawiło się jestem i dołączyło do ja. Ja jestem. A zatem myślę.

To znów byłem ja, wynurzający się z chemicznej mazi znieczulenia, czy mi się to podobało, czy nie; boleśnie, brutalnie odradzający się w zimnym, ciemnym pomieszczeniu, które jakby wisiało pod kątem. Ale nie, to byłem ja. Leżałem krzywo, z policzkiem przyciśniętym do podłogi, nogami ugiętymi w powietrzu. Nie mogłem tego zrozumieć, więc odpuściłem. Przynajmniej nadal żyłem. I wciąż myślałem. Uszkodzenia mózgu? Skąd miałbym wiedzieć? Jeśli straciło się dość funkcji mózgowych, by czyniło to jakąś różnicę, pewnie wraz z nimi straciło się zdolność dostrzeżenia tego problemu. Może potworne pulsowanie w czaszce to dobry znak: nadal musiało tam być sporo nerwów, wykonujących swą robotę.

Serum prawdy to ogólny środek znieczulający. To podstawowy induktor, który podaje się, by posłać świadomy umysł na zieloną trawkę, tak by można było rozcinać, kroić i zszywać ciało bez reakcji mózgu. Dzięki hiperwentylacji próbowałem sprawić, by mój organizm wchłonił jak najszybciej jak największą dawkę ze strzykawki Gwillama. Miałem nadzieję, że pominę etap bełkotania i od razu przejdę do pełnej nieświadomości. Może nawet zadziałało: w każdym razie nie pamiętałem, bym cokolwiek mówił. Ale możliwe też, że luka w pamięci to normalne zjawisko po podobnym środku.

Otworzyłem oczy, nie było jednak czego oglądać. Albo cierpiałem na histeryczną ślepotę, albo też znajdowałem się w nieprzeniknionej ciemności. Próbowałem się ruszyć i nie mogłem. Mogłem jedynie podnieść głowę, okazało się to jednak błędem, bo pulsowanie jeszcze się pogorszyło. Otworzyłem usta, by zakląć, i odkryłem, że język przykleił mi się do suchego podniebienia.

Dopiero w tym momencie przypomniałem sobie, że przywiązali mnie do krzesła. Wyglądało na to, że wciąż tam tkwiłem, tyle że krzesło leżało teraz bokiem na ziemi. To wyjaśniało dziwną pozycję i fakt, że nie mogłem nawet drgnąć.

Sukinsyni! Czy Watykan nie podpisał Konwencji Genewskiej? Po prostu podciągnęli lub przenieśli krzesło razem ze mną do jakiejś szafy i wepchnęli do środka tak mocno i niezgrabnie, że się wywróciło. Nie powinno się tak traktować więźniów.

Kiedy ból stopniowo osłabł, zacząłem pracować nad sznurami. Były całkiem luźne: pierwotnie miały mnie tylko powstrzymać podczas przesłuchania, nie uwięzić na zawsze. W efekcie Sallis i Zucker nie pomyśleli, by sprawdzić, czy mogę sięgnąć węzłów palcami.

Mimo to potrzebowałem długiego czasu - na oko ponad godziny - by uwolnić rękę. Kiedy to w końcu zrobiłem, palce miałem tak obolałe i pocierane sztywnymi włóknami sizalowymi, że musiałem chwilę odpocząć, nim zacząłem rozwiązywać nogi. Uwolnienie ich poszło mi znacznie szybciej. Ale potrzebowałem dobrych dziesięciu minut masowania, by przywrócić im życie i wstać.

No dobra, byłem wolny. Ale gdzie właściwie się znajdowałem? Ruszyłem naprzód, wyciągając przed siebie rękę, aż w końcu znalazłem ścianę. Potem zacząłem się przesuwając wzdłuż niej do kąta. Bez wątplenia nie była to szafa, raczej spory pokój, choć szorstka faktura ścian sugerowała nadal magazyn.

Zamierzałem okrążyć pomieszczenie, ale już na drugiej ścianie natrafiłem na drzwi i mile widzianego sąsiada, włącznik światła. Przekręciłem go, odmawiając w duchu modlitwę, i nad moją głową zapłonęły trzy świetlówki. Przez chwilę mrugałem, oślepiony ostrym, białym blaskiem.

Dobrze odgadłem: to był magazyn o wysokim suficie, z głębokimi półkami ciągnącymi się wzdłuż całej przeciwległej ściany. Były jednak puste, prócz paru okrągłych bębnow, mających pół metra średnicy, najpewniej mieszczących stare taśmy filmowe. Kiedy wystawa ruszyła w drogę, musieli zabrać wszystko, czego nie przybito na stałe. Albo może Gwillam polecił uprzątnąć pomieszczenie, by się upewnić, że nie znajdę niczego, co mogłoby pomóc mi w ucieczce.

Ale nikt nie jest doskonały. Gdy moje spojrzenie zatoczyło pełny krąg i dotarło w kąt najdalszy od miejsca, w którym stałem, twarz rozjaśnił mi ponury uśmiech. Ponieważ wysoko, na widoku, przyśrubowana do ściany, wisiała mała biała skrzyneczka z wymalowanym czerwonym krzyżem. Apteczka.

Mój bilet na wolność.

20

Zawartość apteczek różni się w zależności od miejsca, lecz jądro zawsze pozostaje to samo - bandaż i plastry w milionie różnych rodzajów i rozmiarów. Zwykle jest tam też środek dezynfekujący i waciki. W tej znalazło się nawet kilka elementów bardziej egzotycznych, takich jak savlon w sprayu i ocet na uządlenia. Nic z nich nie miało dla mnie znaczenia. Szukałem przedmiotów ze szpicem bądź ostrzem.

Poszcęściło mi się. Wkrótce trafiłem na parę maleńkich nożyczek, pęsetę do wyciągania drzazg i pół tuzina agrafek. Drzwi miały zwykły, wpuszczany zamek zatrzaskowy bez nazwy producenta. Wrzuciłem pęsetkę z powrotem do skrzynki - była za szeroka i zdecydowanie za słaba. Wygiąłem jedną z agrafek, tworząc niemal prostą linię, po czym za pomocą nożyczek, niczym miniaturowych obcęgow, zgiąłem ostrą końcówkę, tworząc haczyk. Po spinie do włosów to mój ulubiony zaimprovizowany wytrych, który z łatwością radzi sobie z tak prostą robotą jak ta tutaj.

Potrzebowałem zaledwie pięciu minut, by trzy zapadki znalazły się na właściwych miejscach. Ostatnia zaskoczyła z bardzo satysfakcjonującym szczęknięciem. Nim sprawdziłem drzwi, zgasilem światło i pozwoliłem oczom znów przywyknąć do ciemności. Ze szczeliny nie sączył się nawet najślabszy blask: gdyby tam był, zauważyłbym go wcześniej, gdy w pokoju wciąż panował nieprzenikniony mrok. W tych okolicznościach podstawowym moim celem pozostawało widzieć, nie będąc widzianym. W przeciwnym razie znalazłbym się w punkcie wyjścia.

Po jakiejś minucie uchyliłem drzwi jak najciszej umiałem. Wyjrzawszy na zewnątrz, zaczekałem, aż rozleglejsza ciemność zacznie układać się w kształty, po czym przekroczyłem próg. Znalazłem się w innej części wielkiej hali wystawowej, równie pustej i przestronnej jak ta, w której przesłuchiwał mnie Gwillam. Hala powinna mieć co najmniej kilka wyjść na ulicę bądź do innych części kompleksu South Bank, wciąż otwartych dla publiki. Wystarczyło tylko się upewnić, że nie wpadnę na nikogo z wesołej gromadki Gwillama. W przypadku Po oznaczało to

jednak nie tylko pozostanie niewidzialnym, ale też niedopuszczenie, by poczuł mój zapach.

Poziom, na którym się znajdowałem, wyglądał na całkowicie opuszczony, więc tu akurat miałem szczęście. Zastanawiałem się, czy odpocząć parę minut, nim ruszę dalej, lecz czas naglił - nie miałem pojęcia, co mogłem powiedzieć pod wpływem narkotyku i jak dużo wie Gwillam. Pozostawał też problem stroju. Miałem na sobie szpitalną koszulę i jeśli zbyt długo pozostanę na tym chłodzie, pewnie zapadnę w hipotermię. Po jakiejś minucie krążenia tam i z powrotem po rozległej sali znalazłem schody i ruszyłem na dół, stąpając powoli w nieprzeniknionej ciemności, by nie polecieć na łeb, na szyję na sam dół. Uznałem, że w najgorszym razie trafię pewnie na parking - który z kolei jakoś musiał łączyć się z ulicą. Nawet gdyby miał na końcu zamkniętą kratę, byłem niemal pewien, że zdołam ją otworzyć.

Lecz drzwi na dole schodów okazały się wyjściem przeciwpożarowym, wbrew wszelkim przepisom i logice zamkniętym na łańcuch i kłódkę. Wycofałem się na piętro wyżej i sprawdziłem tamtejsze. Pchnięte, uchyliły się, a ja zamarłem. Po chwili wyjrzałem przez szczelinę między framugą a skrzydłem drzwi. Tutaj nie było aż tak ciemno. Gdzieś w dali płonęły światła - dostrzegałem słaby, błękitnawy blask przesączaający się zza czegoś, co wyglądało jak przenośna ścianka działowa, z przodu i nieco po lewej. Wyteżyłem słuch - żadnych dźwięków, prócz bardzo słabego szmeru jakichś maszyn.

Wszedłem do środka i ostrożnie zamknąłem za sobą drzwi. Wcześniej czy później musiałem opuścić klatkę schodową i wolałem, by stało się to jak najbliżej poziomemu gruntu. Centrum South Bank to niezwykle spektakularny pionowy labirynt, nawet przy zapalonych światłach, i mogłem z łatwością zmarnować kwadrans bądź więcej, błąkając się po ciemku.

Kilka kroków doprowadziło mnie do owej ścianki. Poruszając się tak wolno i bezszelestnie jak mogłem, wychyliłem się i spojrzałem na źródło światła.

Przy terminalu komputerowym siedział na tanim plastikowym krześle mężczyzna. Był zwrócony do mnie plecami, lecz rozpoznałem łysinę na czubku głowy: Sallis. Przeglądał niekończące się ekrany tekstu w dwóch kolumnach, całkowicie na nich skupiony. Pistolet ze zdjętym tłumikiem leżał obok niego na biurku z komputerem między kubkiem kawy z sieci Republic of Coffe a styropianowym pudełkiem z hamburgerem. Anathemata może i szykowali się do wojny, ale żyli jak gliniarze obserwujący podejrzanych.

Rozważałem możliwe wyjścia. W zasięgu wzroku nie dostrzegłem nikogo. W olbrzymiej sali nie zauważyłem żadnych innych wysepek światła. Sallis głęboko pogrążył się w czymś, co całkowicie odcięło się od otaczającego go świata. Mogłem przekraść się obok niego i może dotrzeć do drzwi tak, by nie załatwił mnie po drodze.

Z drugiej strony, on miał pistolet. I ubranie. I może jakąś forszę w kieszeniach. Kiedy diabeł wskazuje drogę, liczą się przede wszystkim potrzeby.

Cofnąłem się o krok. Jeszcze jeden. I jeden w bok. Oceniałem wszystko z pamięci i uznałem, że lepiej sobie nie poradzę. Wpadłem na ściankę ramieniem, w ostatniej chwili skacząc tak, by trafić w nią wysoko i uderzyć całym ciężarem w górną połowę. A kiedy runęła, poleciałem wraz z nią.

Sallis nawet nie krzyknął. Owszem, wydał z siebie dźwięk, ale z rodzaju tych, którym nie potrafiłbym oddać sprawiedliwości bez specjalistycznego sprzętu. Upadając, z donośnym łoskotem rąbnął głową w biurko, powalony połączonymi ciężarami ścianki działowej i mojego ciała. A potem nogi biurka nie wytrzymały i po prostu zniknął mi z oczu w ogólnym rumowisku.

Przesunąłem się i zerwałem szybko w obrotach, tak by móc zaatakować Sallisa w razie, gdyby wciąż był przytomny i sięgał po broń. Ale nie musiałem się martwić. Leżał na ziemi absolutnie nieruchomo, z głową i tułowiem pod zawałoną ścianką. Złapałem spluwę, sprawdziłem, który koniec jest który, i w końcu znalazłem bezpiecznik. Załatwiwszy to, podważyłem stopą bliższy koniec ścianki. Sallis leżał nieprzytomny. Z płytkiego skaleczenia na czole spływała wąska strużka krwi. Nadal jednak oddychał, a poza skaleczeniem nie dostrzegłem innych ran. Pewnie, kiedy wstanie, będzie mu dolegał wyłącznie ból głowy.

Rozebrałem go szybko i włożyłem jego dżinsy, koszulę i marynarkę. Pasowały całkiem nieźle, zważywszy na okoliczności, a lekki odór potu stanowił cenę, którą byłem gotów zapłacić. Przeszukałem kieszenie. Strzał w dziesiątkę: plik banknotów, portfelik z kartami, a nawet kluczyki na bajeranckim breloku z logo Mitsubishi. Spluwę też zabrałem, bo w żaden sposób nie mogłem odzyskać swojej własnej broni. Byłem gotów i wciąż gonił mnie czas. Zawahałem się jednak, bo nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Tuż po nim pojawił się następny, stanowczo nietypowy i irytujący, bo oznaczał, że musiałby cofnąć się tam, skąd przyszedłem. Nie byłem pewien, czy zysk materialny zrównoważy stratę czasu, ale tak czy inaczej, nie mogłem sobie pozwolić na długie kosztowne rozmyślania. Po pierwsze, najważniejsze. Grzebiąc w rumowisku, znalazłem parę kartek papieru i czarny marker. Rozłożyłem

kartkę na plecach Sallisa i nabazgrałem krótki liścik. Pewnie w niczym nie pomoże, ale też nie zaszkodzi, więc co mi tam. Złożyłem go i wsunąłem za gumkę slipek Sallisa niczym pięciofuntówkę za stringi jednego z chippendalesów. Potem cofnąłem się do magazynu i zgarnąłem pół tuzina pudełek z taśmą filmową, potrząsając nimi najpierw, by sprawdzić, czy są pełne. Mogła to być czysta taśma, obecnie bezużyteczna, bo kamery jej używające przerdzewiały i trafiły na złom dziesiątki lat temu, albo też mogły być to zagubione arcydzieła z czasów kina niemego. Z rozmysłem nie sprawdziłem etykietek, bo czymkolwiek kiedyś były, mnie interesowała tylko jedna ich cecha. Wciąż pamiętałem ognioodporne drzwi w kinie Nicky'ego: taśma filmowa pali się równie łatwo jak benzyna.

Czas ruszać w drogę. I to najwyższy. Tym razem nie zniechęciła mnie kłódka, bo tym razem miałem pistolet Sallisa. Pierwszy strzał chybił, drugi przerwał łańcuch; kopniakiem otworzyłem drzwi.

Znalazłem się na parkingu, niemal całkiem pustym. Na wypadek, gdyby nieprzyzwoicie głośny huk strzałów sprowadził tu wilkołaki bądź strażników, chcących sprawdzić, co się dzieje, przyspieszyłem kroku, wspinając się na łagodną rampę, wiodącą ku, jak miałem na nadzieję, wyjściu. W połowie drogi natrafiłem na motocykl, oparty niczym pijak o ścianę, w sposób sugerujący złamaną podpórkę. Na górze drogę zagradała kratka. Po drugiej stronie były światła, dźwięki i życie: miłośnicy teatru i nocni balangowicze przechodzili ulicą, szczęśliwie nieświadomi istnienia mrocznych światów, kryjących się tuż obok tych przyczajonych, tajemniczych. Czy była to ta sama noc, czy następna? Jak długo pozostawałem nieprzytomny po tym, jak Gwillam podał mi serum prawdy? Odpowiedź nadeszła natychmiast: gdybym leżał całą dobę, byłbym zdecydowanie bardziej odwodniony. Wciąż jeszcze był czwartek i nadal miałem szansę.

Przez chwilę niemal z niechęcią pomyślałem o ludziach przepływających obok mnie nieprzerwaną rzeką normalności - nie tylko z powodu ich radosnych twarzy i swobodnych rozmów, ale dlatego, że ich obecność tu i teraz, oznaczała, że nie mogłem znów posłużyć się bronią. Sprawdziłem kratę. Nie była zamknięta. Szarpnięta uniosła się z kwikiem zarzynanej świni.

Nagle podskoczyłem, co w innych okolicznościach można by uznać za komiczne. Cofnąłem się w miejsce, gdzie parkował motocykl, i przyjrzałem mu się uważniej. Logo nad przednim reflektorem tworzyły trzy romby ułożone w trójkąt koncernu Mitsubishi. Motor miał też parę koszy z tyłu niczym rower kurierski.

Przez chwilę czułem absolutny spokój bliski paniki. Wyłowilem kluczyki Sallisa z kieszeni jego marynarki. Jeśli to się uda, musi mi dopisywać cudze szczęście, bo moje z całą pewnością mu nie dorównuje.

Starając się zachowywać swobodnie na wypadek, gdyby ktokolwiek z ulicy zerknął do środka, wsunąłem pudełka z taśmą do koszy po trzy z obu stron i wskoczyłem na siodelko. Na pochylni a mną słyszałem już tupot nóg, którym towarzyszyły krzyki. Nie oglądałem się. Kiedy ktoś reaguje na krzyki, wygląda na winnego.

Kluczyk pasował i silnik już za pierwszym podejściem przebudził się do hałaśliwego, radosnego życia. Dopiero teraz się obejrzałem i poczułem ulgę na widok mundurów - i ciał, całkowicie, stuprocentowo ludzkich ciał.

Wciąż dzieliło ich ode mnie jakieś piętnaście metrów. To dało i dość czasu, bym nałożył kask, powieszony na kierownicy - ciemnoczerwony, tak jak motor, i ozdobiony motywem skrzydlatej czaszki. Bezpieczeństwo przede wszystkim. A potem dodałem gazu, pozostawiając trzech krzyczących strażników w jednym obłoku spalin.

Nie wiedziałem do końca, jak trafić do ośrodka opieki Stangera. Nie wiedziałem, czy trafiłem na listę poszukiwanych. Nalot na szpital z pewnością trafił do dzienników. Pytanie brzmiało: czy zdążyli już przejrzeć gruzy i upewnić się, że mnie w nich nie ma? A jeśli tak, to czy oprócz nieuniknionego polecenia zatrzymania opublikowali oficjalny list gończy?

Jeśli tak, normalne wejście do Stangera mogło oznaczać powrót prosto w objęcia policji. Z drugiej strony, w środku było coś, czego potrzebowałem, i nie widziałem innego sposobu na zdobycie go.

I kiedy tak siedziałem na motorze na ciemnym parkingu, próbując podjąć decyzję, opatrność sięgnęła ku mnie pod postacią Paula. Wszedł ciężko głównymi drzwiami, oparł się o bok karetki w miejscu, gdzie parę dni temu rozmawialiśmy, i zapalił papierosa. Wydmuchnął nosem pióropusz dymu, który zawisł w nieruchomym powietrzu niczym runiczna inskrypcja, wycięta wprost w ciele nocy.

Kiedy zsiadłem z motoru i ruszyłem ku niemu, zerknął w moją stronę i przyjrzał się uważnie. Z powodu motoru uznał mnie za obcego. Zobaczyłem jednak na jego twarzy cień wątpliwości i dostrzegłem, jak się napina. Kiedy znalazłem się dość

blisko, by mnie usłyszał bez potrzeby podnoszenia głosu, zdjąłem hełm, nie zwalniając kroku.

- Cześć, Paul - rzuciłem.

Wysunął dolną szczękę, wyraźnie zmagając się z zagadką mego pojawienia.

- Cześć, Castor. Zdawało mi się, że uciekasz przed policją.

Skinąłem lekko głową, podchodząc do niego i opierając ramię o karetkę. Kask trzymałem pod pachą, lewą rękę wsunąłem do kieszeni skórzanej kurtki Sallisa.

- Zgadza się - powiedziałem, trącąc kask paznokciem kciuka. - Stąd moje sprytne przebranie.

- Uzbrojony i niebezpieczny. Tak słyszałem.

- Uzbrojony, owszem. - Pokazałem mu pistolet i schowałem go szybko. - Niebezpieczny byłbym tylko wtedy, gdybym zdołał się zorganizować. Jak się miewa Rafi?

Paul zaciągnął się papierosem i wydmuchnął kolejny obłok dymu. Na widok pistoletu skrzywił się. Nie wyglądał jednak na zdumionego ani zastraszonego.

- Dobrze - odparł. - Rafael miewa się dobrze. Najlepiej, odkąd pamiętam. Jeśli chcesz znać prawdę, ledwie mogę uwierzyć, że to ten sam popieprzony facet.

- Jeśli chcesz znać prawdę, nie jest ten sam. Paul, muszę się z nim zobaczyć.

Zaśmiał się cicho i pokręcił głową, szczerząc zęby jak po świetnym dowcipie.

- Nic z tego, stary - rzekł. - Pokazywali cię w telewizji. Wszyscy w środku o tym gadają. W tej chwili wygrywają ci, którzy uważają, że zawsze miałeś podstępne spojrzenie.

- Nie muszą oglądać mojej twarzy. - Uniosłem kask. - Po prostu wprowadź mnie do środka, Paul. To ważne. A potem możesz powiedzieć, że groziłem ci bronią.

- A nie, Castor?

- Co nie?

Paul spojrział mi w oczy, spokojnie, zimno.

- Nie grozisz mi bronią?

Skrzywiłem się.

- Kurwa, nie. Nikogo nie zabiłem, Paul, i nie zamierzam teraz zaczynać. Ale muszę pomówić z Rafim i pomyślałem, że możesz mi pomóc. Jeśli nie chcesz, mogę tylko cię prosić, żebyś jakiś czas nie wszczynał alarmu.

Rzucił na asfalt niedopałek papierosa i rozdeptał.

- To bardzo wkurzy doktora Webba - zauważył. - Wyszedłby na durnia.

- Tak - mruknąłem. - Chyba tak.

W głowie wyliczałem odległości i szanse. Gdybym wszedł prosto z ulicy do aneksu, w którym mieściła się cela Rafiego, nie przechodząc przez recepcję, pełniąca dyżur pielęgniarka zaalarmowałaby wszystkich. Dotarłbym do Rafiego, ale czy dostałbym się do celi bez klucza? I czy zdołałbym stamtąd wyjść?

- Z pewnością - zastanawiał się głośno Paul. - Z pewnością to mu by zepsuło cały dzień. Poszukiwany przestępca wchodzi wprost z ulicy, przedostaje się przez wszystkie środki bezpieczeństwa, po czym wychodzi. Trudno wytłumaczyć coś takiego radzie nadzorczej.

Wyprostował ramiona, jak ktoś, kto powraca do walki po krótkim, jakże potrzebnym odpoczynku.

- Zróbmy to - rzekł.

Paul poszedł pierwszy. Wyglądał na obojętnego i znudzonego.

Ja podążyłem za nim, w kasku ze spuszczoną osłoną, trzymając jedno z pudełek z taśmą, bo nie dysponowałem innymi rekwizytami.

Pielęgniarka w recepcji uniosła głowę i zobaczyła, że to Paul. Potem, gdy już miała wrócić do przerwanej lektury, dostrzegła drugą postać. Spojrzała na mnie i na to, co trzymam, i w jej oczach błysnęło zainteresowanie.

- Gdzie jest doktor Webb, Lizzie? Ten gość - machnął przez ramię kciukiem - musi dostać podpis i musi go złożyć sam szef.

- Chyba w swoim gabinecie. - Pielęgniarka znów zerknęła na niego. - Mam go wywołać?

- Nie, sam go zaprowadzę, ale wpisz się najpierw - dodał surowo, zwracając się do mnie. - Tak w ogóle to kretyńska pora na dostawę. No dalej, pospiesz się. Niektórzy z nas mają sporo pracy.

Pielęgniarka podała mi długopis. Wpisałem się do książki wizyt jako Fredrick Cheney LaRue, które to nazwisko utkwilo mi w głowie po lekturze książki Woodwarda i Bernsteina na temat afery Watergate.

- Tędy. - Paul ruszył korytarzem rozkołysanym krokiem. Pomachałem do pielęgniarki - kask sprawił, że ów gest nabrał bardziej charakteru paramilitarnego niż cywilnego - i poszedłem za nim. Okropnie mnie kusiło, żeby się obejrzeć, ale zmusiłem się do patrzenia przed siebie: miałem nadzieję, że rozdział, którego lekturę właśnie przerwała Lizzie, jest znacznie ciekawszy niż dziwny nieznajomy, zjawiający się w nocy, by zanieść szefowi taśmę filmową.

Gabinet Webba mieścił się po prawej za wejściem do aneksu. My skręciliśmy w lewo, w stronę zabezpieczonych cel. Paul zajrzał przez judasza, sprawdzając, gdzie dokładnie jest Rafi - ostrożność zrodzona z długiego doświadczenia - a potem otworzył przede mną drzwi. Wszedłem do środka, on podążył tuż za mną, zatrzasnął je cicho. Kiedy się obejrzałem, wzruszył ramionami.

- Jak mam twierdzić, że groziłeś mi bronią, gdybym został na zewnątrz, na straży?

- Rozsądna uwaga - przyznałem.

Rafi leżał na prycy z metalowych rurek - nowym dodatku do celi, samym w sobie stanowiącym żywe świadectwo tego, jak wiele się tutaj zmieniło przez ostatnie kilka dni. Kiedy Asmodeusz pozostawał w ascendencji, w celi nie trzymano absolutnie niczego, bo nigdy nie było wiadomo, kiedy nastrój demona zmieni się ze spokojnego w zabawowo morderczy. Na początku jego pobytu zbyt wielu członków personelu oberwało, potem Webb kazał Pen, jako prawnej opiekunce Rafiego, podpisać stosowne papiery, i odtąd celę zmieniono w pusty metalowy sześcian. W porównaniu z owymi dawnymi, złymi czasami teraz wyglądała niemal przytulnie. Oprócz łóżka na ścianie wisiał plakat - reprodukcja „Słoneczników” Van Gogha. Pod spodem ustawiono komódkę z leżącymi na blacie papierami i ołówkiem. W dawnych czasach wystarczyłoby to, by Asmodeusz mógł rozpętać tu prawdziwe piekielko.

Rafi spał, i to bardzo mocno. Spojrzałem na Paula, który wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Doktor Webb mówi, że dopóki nie dostaniemy nowej opinii, pan Ditko ma nadal zażywać dawne leki. O tych samych porach, w tych samych dawkach. Oczywiście, kiedy miał, jak by tu rzec, sublokatora, nie miało to znaczenia. W każdej chwili, gdy zechciał, mógł otrząsnąć się z ich działania. Teraz dwa temazepany podawane o dziewiątej wyłączają go totalnie, aż do rana.

To mnie nie zdziwiło, bo takim właśnie skurwielem był Webb: „wszystko według przepisów, mam związane ręce”. Ponieważ nie musiałem się nikomu tłumaczyć, bez wstępu zrobiłem to, co chciałem zrobić. Wyjąłem nożyczki, zabrane z apteczki w Centrum South Bank, i ostrożnie obciąłem kosmyk włosów Rafiego, nie budząc go przy tym.

- Po co ci jego włosy? - spytał Paul.

Na jego twarzy odbił się lekki niesmak.

- To przynęta - odparłem ponuro.

Niesmak Paula z pewnością nie dorównywał mojemu - znałem przecież prawdę. To będzie ostatnia deska ratunku, powiedziałem sobie. Nie skorzystam z niej, jeśli nie zawiedzie wszystko inne. Zresztą i tak pewnie nie zdołam podejść zbyt blisko, by to zrobić. Musiałbym też zgrać wszystko idealnie w czasie, toteż istniała spora szansa, że odbyłem tę wycieczkę na darmo. Trzy razy powtórzyłem tę litanię, lecz nie sprawiła, że poczułem się lepiej.

Schowałem nożyczki do kieszeni i obwiązałem włosy wokół serdecznego palca lewej dłoni, by ich nie zgubić. Potem, nieco skrępowany, bo Paul stał tuż za mną, wpatrując mi się w plecy, usiadłem na podłodze i skrzyżowałem nogi. Z pochyloną głową i zamkniętymi oczami zacząłem cicho gwizdać.

Bez instrumentu jest to nieco trudniejsze, aczkolwiek nie niemożliwe. W czasach, gdy Juliet wciąż była zła, wściekła i skurwysyńsko niebezpieczna i przymierzała się do pożarcia mojego ciała i duszy, wyrwałem się z paszczy śmierci (ściślej mówiąc, była to zupełnie inna część jej anatomii, ale nie przejmujemy się zbyt detalem technicznymi), wystukując ręką rytm. Wszystko, co robią łapacze duchów, to tylko przenośnia - widoczna, słyszalna czy jaka tam - interpretująca coś, co dzieje się w naszych umysłach. Jedyne ograniczenia narzucamy sobie sami.

Zagwizdałem starą melodię, znaną pod wieloma tytułami. Jeden z nich to „The Flash Lad”. To ballada o rozbójniku, ponoć pochodząca z XVIII wieku. Jeśli wsłuchać się w tekst, kończy się źle, sama melodia jest jednak słodka i uznałem, że doskonale pasuje do tego, co próbowałem zrobić.

Kiedy Asmodeusz po raz pierwszy wtargnął do ciała Rafiego, poniosłem widowiskową klęskę, usiłując właściwie go wyczuć. Dlatego właśnie tak fatalnie spierdoliłem sprawę. Nierozzerwalnie związałem duszę Rafiego z esencją demona. Lecz od tej pory setki razy grałem Rafiemu na flecie, usypiając demona tak, by mój przyjaciel zyskał parę godzin oddechu od piekła, w które go wepchnąłem. Znałem zatem Asmodeusza całkiem dobrze: wiedziałem, jak czują go moje palce, jak brzmi w umyśle. Znałem jego melodię.

Wplotłem do mego gwizdania cień przywołania i poczułem, jak demon reaguje. Bardzo słabo - niezwykle słabo, lecz wyczuwalnie. Szybko zmieniłem rytm i ton. Nie mogłem po prostu przerwać, ale mogłem poluzować, niczym wędkarz zmniejszający napięcie żyłki, tak by pozwolić rybie zerwać się i uciec. Nie chciałem znów stawiać czoła Asmodeuszowi w tej ciasnej celi, zdecydowanie tego nie chciałem. Musiałem jednak sprawdzić, czy wciąż tu jest. Mieć pewność, że choć główna masa demona

utkwiała w zimnych kamieniach kościoła Świętego Michała, jakaś jego drobina nadal pozostawała w duszy Rafaela Ditko.

Dostałem to, czego potrzebowałem, a Rafi nawet nie drgnął. Pozwoliłem, by melodia rozplynęła się w ciszy, i wstałem, krzywiąc się, gdy lewa noga zareagowała ostrym bólem. Chyba miałem tam sińca. Podejrzywałem, że solidnie ją stłukłem - najpewniej wtedy, gdy Gwillam i jego wilkołaki wrzucili mnie do magazynu, kiedy nadal byłem nieprzytomny.

I wtedy właśnie Rafi otworzył oczy. Przez chwilę czy dwie spojrzenie się nie skupiało - a może skupiało się gdzieś za mną, na czymś ze snów, co wciąż widział. Potem zamrugał, rejestrując moją obecność.

- Fix - wymamrotał.

- Cześć, Rafi.

- To było kurewsko dziwne. Właśnie z tobą rozmawiałem.

- Naprawdę?

- Pewnie mi się śniło. Wszystko w porządku?

- Wszystko świetnie, Rafi.

Znow zamknął oczy i druga zmiana jego oddechu pokazała jasno, że zasnął.

- Dzięki, Paul - rzekłem do rosłego pielęgniarza, który obserwował mnie z czymś w rodzaju ponurej fascynacji.

- To wszystko? Dostałeś to, czego chciałeś?

- Mniej więcej. Masz może komórkę?

- Jasne.

- Mógłbym pożyczyć?

- Dobra. Ale to kawał złomu.

Sięgnął wielką łapą do kieszeni i wyjął mały srebrny gadżet, który spokojnie mógł nosić jako kolczyk.

Wziąłem telefon i przed schowaniem sprawdziłem stan baterii.

- I zapalniczkę - dodałem.

Paul odetchnął dość głośno, by można to uznać za westchnienie. Ale podał mi zapalniczkę.

Zmierzyłem go uważnym wzrokiem.

- Chcesz, żebym cię tu zamknął, czy coś w tym stylu, żebyś wyglądał bardziej jak ofiara, a mniej jak współlnik?

Lekceważąco machnął ręką.

- Tak, jasne. Choć po prawdzie zastanawiam się nad poszukaniem sobie innej roboty. Takiej, w której nie musiałbym znosić tak wielu dupków. Uważaj na siebie, Castor.

- Dzięki, Paul. Jestem ci coś winien.

- Mniej więcej od sześciu do dziesięciu. Powiedz mi, gdzie pijasz, a zjawię się kiedyś, żeby odebrać dług.

- Jerusalem przy Britton Street. To niezłe miejsce.

- Dobra. Do zobaczenia.

Wyszedłem, w ostatniej chwili przypominając sobie, że powinienem wrzucić pudełko z taśmą pod łóżko Rafiego, by wyglądało na to, że dostarczyłem przesyłkę. Kiedy raz zaczynamy kłamać, wchodzi nam to w nawyk, jak wszystko inne.

A potem musimy sami sobie przypominać, żeby przestać.

21

Najfajniejszą rzeczą w jeździe motocyklem z idiotyczną, wariacką prędkością ulicami ruchliwego miasta nocą jest to, że przestajemy myśleć o czymkolwiek innym. Jeśli choć na sekundę tracimy koncentrację, mamy duże szanse nawiązać tak bliski kontakt ze ścianą, że oprócz wiadra i skrobaczki nic nas z nią nie rozłączy.

To mnie nie powstrzymało. Byłem w dziwnym stanie: nakręcony do walki, do której mogło w ogóle nie dojść. Jeśli Fanke dopełnił rytuału przywołania, dusza Abbie została zapalona jak zapalka i wykorzystana do oświetlenia Asmodeuszowi drogi do świata ludzi - po dwóch nieplanowanych postojach w Rafim Ditko i kościele Świętego Michała. Albo, jeśli Fanke rozstawił swój kramik u Świętego Michała, ale nie zdążył przed tym, nim Gwillam i jego kudłaci katolicyści odstępcy włączyli się do zabawy, sataniści prawdopodobnie już nie żyli - to plus. Ale Abbie została egzorcyzmowana przez ludzi uważających siebie za tych dobrych - to minus. Tak czy inaczej odeszła na zawsze i na obietnicę, którą złożyłem Peace'owi, odpowie tylko wiatr, wiejący przez świat wraz z odpowiedziami na zagadeczki Boba Dylana.

Nie, pozostawała mi tylko jedna nadzieja. Tylko w jeden sposób mogłem coś tu zdziałać: jeśli Fanke nie rozpoczął jeszcze rytuału, a Anathemata nie wiedzieli, gdzie się odbędzie. Musiałem wierzyć, że logistyka satanizmu jest bardziej skomplikowana, niż się wydaje, i że zemdlałem, nim zastrzyk Gwillama wyciągnął ze mnie zbyt wiele.

Przyjechałem obok Świętego Michała, by móc na niego spojrzeć z zewnątrz. Żadnych świateł ani oznak życia: albo wszystko dobiegło już końca, albo zabawa jeszcze się nie zaczęła. Albo może Fanke po prostu lubi pracować w ciemności, co właściwie miało pewien sens.

Porzuciłem motor trzy przecznice dalej i wycofałem się. Pod jedną pachą niosłem stos pudełek z taśmą filmową, drugą dłoń ukryłem w kieszeni skórzanej kurtki, zaciskając palce na kolbie pistoletu. Rozpacz by mnie osłabiła, toteż

próbowałem przekuć moje uczucia w gniew, co z kolei wiązało się z problemami związanymi z planowaniem z wyprzedzeniem i zachowaniem jasnego spojrzenia.

To musiało być tutaj. Jeśli już się nie stało. Musiałem jedynie powstrzymać go, nim zdoła wywołać Asmodeusza, nim rozsieje psychiczną truciznę, której skosztowali już parafianie od Świętego Michała w całym mieście, i nim pozwoli mu pochłonąć duszę Abbie Torrington.

Moje szanse oceniałem całkiem wysoko: mniej więcej tak jak prawdopodobieństwo białego Bożego Narodzenia, Drugiego Przyjścia i ponownego zejścia się Beatlesów (żywych i umarłych).

Furtka kościelna była jak zawsze zamknięta. Rozejrzałem się szybko po ulicy, sprawdzając, czy ktokolwiek obserwuje to miejsce, po czym przeskoczyłem nad nią i wylądowałem na cmentarzu. W bezksiężycową noc, obok kościoła, nadal spowitego w płaszcz ciemności, miałem tu dość naturalnej osłony, by nie musieć zbytnio przejmować się skradaniem. Po prostu zatoczyłem łuk i wybrałem miejsce, z którego mogłem obserwować zakrystię, samemu nie będąc widzianym.

Siedząc pod starym dębem, oparty o szeroki pień, szykowałem się na długą noc. Okazało się jednak, że nie musiałem wystawiać na próbę swej wyświeconej cierpliwości. Po zaledwie godzinie brzęk łańcucha przyciągnął moją uwagę ku furtce. Jakąś sekundę później usłyszałem zgrzyt i szcęk nożyc do metalu, wgrzyzających się w grubą stal. Furtka się otwarła i przeszły przez nią bezszelestnie trzy postacie. Jedna, tuż za bramką, rzuciła niedbale na ziemię łańcuch i kłódkę.

W miejscu, w którym siedziałem, całkowicie skrywały mnie głębokie cienie pod drzewem i nieprzenikniony mrok nocy. Nie tylko mieliśmy nów, ale sama noc była pogodna, co oznaczało, że żadne chmury nie odbijały rdzawego blasku ulicznych latarni. A wbrew powszechnym przesądom w świetle gwiazd nie da się zobaczyć zbyt wiele.

Dwaj z trzech mężczyzn - przynajmniej ich wzrost sugerował, że to mężczyźni - podeszli do drzwi zakrystii. Trzeci ustawił się przy furtce - albo jej pilnował, albo pełnił bardziej ceremonialną funkcję.

Przynieśli ze sobą łomy, ale ich nie potrzebowali, bo drzwi wciąż wisiały na jednym zawiasie po wczorajszym ataku Juliet. Otworzyli je pchnięciem i weszli do środka.

Tymczasem przez furtkę przechodzili w milczeniu kolejni ludzie, mijający wartownika. Część z nich dźwigała torby, jeden z przybyszy niósł na plecach długi

futerał, wyglądający, jakby mieścił w sobie wędkę. Z pozorów można by sądzić, że to zwykłe towarzyskie spotkanie.

Policzyłem, że były ich jakieś dwa tuziny. Nadciągali kolejno parami i trójkami w ciągu następnych dziesięciu minut. Musieli opóźnić swe przybycie tak, by przypadkowi przechodnie nie zwrócili na nich uwagi. Zapewne podobnie postąpili tydzień wcześniej w kwakerskim domu spotkań. Dyskrecja to podstawa bytu współczesnych nekromantów. Nie można niepokoić sąsiadów, bo nigdy więcej cię nie zaproszą. Zastanowiłem się przelotnie, jacy ludzie uważają za świetny pomysł spędzanie weekendów na mordowaniu dzieci, by przyspieszyć nastanie piekła na ziemi, ale szybko zrezygnowałem. Im mniej o nich wiedziałem, tym bardziej mi to odpowiadało.

Kiedy przybył Fanke, poznałem go natychmiast. Nie z powodu charakterystycznej sylwetki, lecz unížonej służalczości ludzi drepczących u jego boku, a raczej parę kroków za nim po obu stronach, i po tym, jak strażnik przy furtce skłonił mu się nisko. Fanke nawet nie mrugnął po dostrzeżeniu owego aktu samoponíženia: przepłynął obok, otoczony niemal widoczną aurą arogancji. Ponownie pogładziłem broń. Gdybym był pewien, że śmierć Fankego powstrzyma rytuał, i bardziej wierzył we własną celność, w tym momencie wywalilibym w niego cały magazynek. Ale okropnie przygnębiające byłoby zrobienie tego i chybienie, a potem przymusowe patrzenie, jak ci skurwiele kontynuują swoją piekielną balangę. Nie, broń bardziej przyda się w mych dłoniach jako środek odstraszający niż śmiertcionośnie narzędzie; dopóki jej nie użyję, nikt nie zgadnie, jak kiepsko strzelam.

Kiedy ostatni spóźnialscy zniknęli w środku, strażnik zamknął furtkę i obwiązał ją krótką linką, czy może drutem - patrząc z mojego miejsca, nie zdołałem tego stwierdzić. Miałem nadzieję i liczyłem na to, że dołączy do przyjaciół przy ołtarzu. Ale nie. Oparł się mur, wyglądając na ulicę przez szczelinę w miejscu, w którym bramka zwisała lekko na nowych mocowaniach. Obejrzałem się w stronę kościoła i wydało mi się, że tuż za drzwiami dostrzegłem lekki ruch. A potem w nawie zapłonęło światło i ujrzałem wyraźnie sylwetkę stojącego tam człowieka.

Dwóch strażników. Choć nie stali na jednej linii, nie mogłem podejść do jednego bez zdradzenia swej pozycji drugiemu. A naprawdę nie chciałem, by Fanke dowiedział się, że tu jestem, nim będę gotów stawić mu czoło. Musiałem zatem załatwić tych gości po cichu, nie podnosząc alarmu w kościele. I w dodatku szybko, nim rytuał zajdzie za daleko.

Rozważyłem kilka opcji rzucania kamieni i zaimprovizowanych dywersji, aż w końcu zauważyłem, że mogę się dostać na dach zakrystii. Z miejsca, w którym siedziałem, dałoby się okrążyć kościół, wdrapać na mur po przeciwnej stronie cmentarza, a stamtąd na leżące stromo dachówki. Jeśli tylko utrzymają mój ciężar, zdołam podejść do gościa w drzwiach tak, że ten przy furtce mnie nie zauważy.

No dobra, to już jakiś plan - jeśli mogłem go tak nazwać, nie naruszając Ustawy o nazewnictwie. Ale nim zacząłem działać, musiałem załatwić coś jeszcze. Wyciągnąłem z kieszeni komórkę i w ciemności wystukałem numer, wykorzystując wypukłość na klawiszu z piątką do zorientowania kciuka. Dzwonek zadźwięczał mi głośno w uchu - ale tylko w uchu, dzięki Bogu.

- Służby alarmowe. O jaką służbę chodzi? - To był kobiecy głos. Bezosobowy i energiczny.

- Policję - wymamrotałem gardłowo.

- Przełączam.

Czekałem. Po jakichś dziesięciu sekundach cisza zamieniła się w kolejny dzwonek. Odebrał mężczyzna:

- Komisariat przy Bowater Street. W czym mogę pomóc?

- Może mnie pan przełączyć na Uxbridge Road - warknąłem. Tamten przez moment milczał.

- Przepraszam, ale nie zrozumiałem. W czym mogę pomóc?

- Proszę mnie przełączyć na Uxbridge Road - powtórzyłem. - To bardzo pilne.

Znów czekałem. Nie tak powinny działać telefony alarmowe, ale wiedziałem, że główne komisariaty mają bezpośrednie linie łączące ze wszystkimi pozostałymi. Jeśli facet zacznie wyciągać ze mnie informacje, będę musiał podać mu szczegóły. Inaczej jednak...

- Tu Uxbridge Road. Ma pan jakieś kłopoty?

- Mam wiadomość - odparłem. - Dla detektyw sierżant Basquiat. Proszę jej powtórzyć, że dzwonił Felix Castor. Proszę jej powiedzieć, że jestem w kościele Świętego Michała przy Du Cane Road i że jest tu też Anton Fanke. Niech przyjedzie natychmiast. Z oddziałem szturmowym.

Rozłączyłem się i schowałem telefon. Zagrałem już dwa jokery. To powinno wystarczyć na każde rozdanie. Cokolwiek się stanie i cokolwiek mnie spotka, pocieszała mnie myśl, że Fanke i jego odwrotnie religijni kolesie będą mieli problemy z opuszczeniem tego budynku cało i zdrowo.

Wstałem tak wolno i gładko, jak tylko mogłem, i prześliznąłem się między nagrobkami, uginając kolana tak, by moja głowa nie odcinała się na tle nieba. Przez pierwsze dziesięć metrów pozostawałem w zasięgu wzroku obu wartowników - gdyby się odwrócili. Liczyłem na to, że gęste cienie zakamuflują moje ruchy, a szum odległych samochodów zagłuszy przypadkowe dźwięki. Mimo to skradałem się możliwie najostrożniej, ledwie unosząc stopy, na wypadek gdyby któraś natrafiła na gałązkę bądź porzuconą puszkę po coli i zdradziła moją obecność.

Kiedy zatoczyłem dostatecznie szeroki łuki, by zyskać osłonę, nieco się odprężyłem. Wyprostowałem plecy i przyspieszyłem, docierając do ściany kilkoma niemal normalnymi krokami. Wdrapanie się na nią po ciemku okazało się trudniejsze niż oczekiwałem, bo nawet po znalezieniu dobrego oparcia dla stóp, wciąż musiałem stać przyciśnięty do ściany i wymacywać szczeliny, rozkładając szeroko ręce, niczym głupkowaty dubler Chrystusa. Raz obluzowany kamień przesunął mi się pod nogą i poleciał na ziemię z wyraźnym łoskotem: zamarłem, wytężając słuch w oczekiwaniu zbliżających się kroków, ale nikt się nie zjawił. Podjąłem wspinaczkę, zaciskając zęby. Nagle pomyślałem, że na szczycie muru może czekać drut kolczasty albo szklane odłamki, czy inny podobny syf, który co prawda widziałem za dnia, ale mój umysł go nie zarejestrował.

Ale nie. Kamienne bloki były nierówne, lecz dość szerokie, bym mógł na nich stanąć i bez większego trudu pójść naprzód. A dach okazał się dziecinnie łatwy: zrobiono go w dawnych czasach z solidnego materiału, nie z miękkiego PCV, i przyjął mój ciężar z dodającą otuchy zerową reakcją.

Przywierając do dachówek, zacząłem przesuwając się z tyłu zakrystii na front. Teraz, oglądając się i patrząc w dół, widziałem pod sobą drzwi. Sączący się przez otwór w nich słaby blask rzucał na zwirową ścieżkę bladozłotą plamę światła w kształcie dziurki od klucza. W tym świetle ciemny kształt niemal na środku pokazywał, gdzie dokładnie stoi wartownik Fankego. Jego samego jednak nie widziałem.

Nie miałem czasu na blefowanie, finezję czy sprytne podstępny. Przyszło mi do głowy tylko jedno: wyciągnąć rękę i przesunąć końcem lufy pistoletu po kamiennym murze. Za pierwszym razem nic się nie stało, podobnie za drugim, gdyż szum samochodów z ulicy zagłuszył słaby dźwięk. Cóż, do trzech razy sztuka. Pode mną w ciemności ciemniejsza postać przekroczyła próg i jasna twarz uniosła się. Odpaliłem i wystartowałem. Facet nawet się nie zorientował, co go uderzyło, i może nigdy się nie

obudzi i nie dowie. Łądując na nim, rąbnąłem go mocno kolbą pistoletu, pozwalając, by siły przyciągania i rozpędu dołączyły do mojej własnej. Broń uderzyła o jego czaszkę z głośnym, lekko mdlącym łupnięciem i gość runął bezwładnie na ziemię, zapewniając mi miększe lądowisko, niż się spodziewałem. Przeturlałem się i zerwałem już w biegu, zmierzając wzdłuż tylnej ściany kościoła ku środkowi, gdzie mieściła się furtka. Moje stopy chrzęściły na żwirze, ale nic nie mogłem na to poradzić: musiałem założyć, że wartownik przy furtce usłyszał, jak ląduję, i zechce sprawdzić, co się, u diabła, dzieje.

Dotarłem do rogu w chwili, gdy wyłonił się zza niego. W sumie wyszło całkiem nieźle, bo ja się go spodziewałem, a on mnie nie. Nie spodziewał się też pięści, która walnęła go w brzuch. Zgiął się wpół ze zduszonym, urwanym sapnięciem. Złapałem go za ramię i obróciłem, po czym uderzyłem jego głową w niezwykle poręczny nagrobek - raz, drugi, trzeci. Po trzech razach wyglądał, jakby stracił zainteresowanie dalszą potyczką. Puściłem go i padł bezwładnie na glebę.

Jak dotąd, nieźle. Obróciłem go na wznak, z bronią w ręce, sprawdzając, czy nie udaje. Był nieprzytomny. Z kącika otwartych ust ściekała krew i ślina. Na głowie także dostrzegłem krew. A niech tam. Z braku Pana zemsta będzie musiała być moja. Podszedłem do pnia dębu i zabrałem pojemniki z taśmą, po czym wróciłem do drzwi, omijając ciało pierwszego wartownika. Rozważyłem pomysł ściągnięcia ciał ze ścieżki i ukrycia między grobami, ale w mojej głowie tykał zegar. A zresztą przez witrażowe okna nikt nie zauważyłby powalonych ludzi, chyba że przeszedłby przez furtkę i zechciał wejść do kościoła od tyłu, a w takim przypadku i tak by mnie przyłapał. Przez chwilę nasłuchiwałem pod drzwiami, potem wśliznąłem się do środka. Sama zakrystia była pusta, tak jak oczekiwałem. Podszedłem do drugich drzwi, wiodących do kościoła. Stały otworem. Zza nich dobiegał cichy szmer głosów i jeszcze cichsze szuranie lekkich, odbijających się echem kroków, lecz z tego miejsca niczego nie widziałem: prezbiterium, tak jak miałem nadzieję, było puste. Jeśli mi się poszczęści, cokolwiek się tam dzieje, odbywa się w nawie głównej, blisko ołtarza.

Podłogę zakrystii pokrywał dywan przeznaczony dla miękkich stóp księży. Nim przekroczyłem próg prezbiterium, zrzuciłem buty. Nie chciałem, by doskonała akustyka Świętego Michała zdradziła moją obecność, nim przygotuję swoją stalle.

Kamień był tak zimny, że o mało sam się nie zdradziłem mimowolnym okrzykiem. Zupełnie, jakby pasożytnicza roślina z mroźnej tundry wniknęła przez

podeszwy stóp do mych rozdygotanych nóg. Teraz żałowałem, że zdjąłem buty. Było już jednak za późno.

Zacząłem przekradać się aż do miejsca, gdzie prezbiterium łączyło się z nawą główną. Światło padało z jednego końca przestronnego wnętrza, tego z ołtarzem, tak jak zgadłem - sataniści uwielbiają bezcześcić i gwałcić uświęcony porządek, niech Bóg ma w opiece ich małe czarne serca. Są tak kurewsko przewidywalni, że nawet nie zabawni. W miejscu, gdzie się znajdowałem, zalegały głębokie cienie, i czułem się raczej pewnie. Nawet gdybym wyrzwał z przejścia, nikt by mnie nie zauważył.

Wciąż się przygotowywali. Postacie w szatach przesuwają krzesła, tworząc szerokie, puste miejsce tuż pod ołtarzem. Jeden z nich - sądząc po czerwonych szatach, które opisał mi Peace, był to Fanke we własnej osobie - klęczał pośrodku, a piskliwy odgłos sugerował co robi: kreślił błędny krąg.

Tak czy inaczej, wszystkie dziatki miały zajęcie. Gdyby zaczęli już śpiewać i tańczyć w kole, oddałbym strzał ostrzegawczy w czyjeś plecy i wpadł do środka jak piorun - odtwarzając chwile chwały Peace'a z poprzedniego tygodnia - tak się jednak złożyło, że miałem czas, by przygotować mego własnego asa w rękawie. Opadłem na czworaki, czy raczej na trojaki, bo lewą ręką przyciskałem do piersi pudełko z taśmą, tak mocno, by nie obijały się o siebie i nie zdradziły mojej obecności. Wymknąłem się z cieni prezbiterium i przekradłem do najbliższego rzędu ławek, po czym wśliznąłem między nie, starając się czynić jak najmniej hałasu. A potem z aż przesadną ostrożnością złożyłem na ziemi moje brzemię i rozpakowałem.

Jak już wcześniej wspomniałem, stare taśmy filmowe to chyba najbardziej łatwopalna rzecz na świecie. Do przygotowania koktajlu Mołotowa potrzebna jest butelka, kawałek szmatki, najróżniejsze detale. Taśma filmowa po prostu się pali, zmienia natychmiast w płonący celulooid, rozpalony dym i błękitnobiałe płomienie, niczym płomień brudnego palnika: wystarczy rzucić zapalną i lepiej być gdzie indziej, kiedy trafi.

Za zapalnik posłużyła mi świeca wotywna, którą podniosłem z podłogi po drodze przez transept: jedna z tych, które rozsypały się i poturlały, kiedy poprzedniej nocy wywróciłem stół. Miała prawie cztery centymetry grubości, ale złamałem ją w rękach, tłumiąc dźwięk pod marynarką, i szybko oderwałem solidne, niemal przezryste kawałki, pozostawiając samą lśniącą, sztywną różdżkę knota - zaimprovizowany lont - sztywny i nasączony czystym woskiem.

Natura dźwięków dobiegających z frontu kościoła się zmieniała. Kroki ucichły. Zaczęły się rytmiczne zaśpiewy. Miałem nadzieję, że liturgia satanistyczna jest równie długaśna jak zwykła: potrzebowałem jeszcze paru minut.

Ostrożnie otworzyłem pudełka, znalazłem końce taśm i wyciągnąłem kawałek z każdego. Związałem je razem niczym pięć splecionych ogonów szczerzego króla ze starej ludowej bajki. Wetknąłem między nie koniec knota, ustawiając tak, że stanął niemal pionowo, po czym zapaliłem drugi koniec. Z początku płonął jasno, potem zaczął przygasać, gdy chłód i nienawiść, zamknięte w kamieniach, skupiły się na małym punkciku światła. Parę chwil przyglądałem mu się z rosnącą podejrzliwością, ale się ustabilizował. Nie miałem pewności, czy przetrwa dość długo, by dojść do taśm, ale nic więcej nie mogłem zrobić.

Pośród odpowiedzi akolitów zabrzmiał samotny głos: głos Fankego. Niski, przejmujący, uroczysty. Spodziewałem się kawałków późnośredniowiecznej łaciny o tym, że Lucyfer to pocziwy gość, który chce tylko wyciągnąć rękę i nas dotknąć, ale to brzmiało starzej, a moja klasyczna greka ogranicza się do „którędy do łazienki?” i „moje poproszę z retsiną.”

- *Aberamenthó oulerthexa n axethreluo óthnemareba* - zagrzmiał Fanke głosem podniesionym, zarówno w tonie jak i głośności. - *Iaõ Sabaõth Iaeõ pakenpsõth pakenbraõth sabarbatiaõth sabarbatianę sabarbaphai. Satana. Beelzebub. Asmode.*

Nie mogłem wybrać lepszej chwili na swoje wejście. Wstając pomiędzy tanimi miejscami, wystrzeliłem w sufit i ów strzał zahuczał pod sklepieniem niczym głos Boga. Sataniści obrócili się gwałtownie z opadniętymi szczękami. Fanke zająknął się w swej recytacji. Wszedłem spośród ław, celując mu w pierś.

- Cześć, Anton - rzuciłem, idąc niespiesznie ku niemu. - Steve. Dylan, czy jak się tam dziś, kurwa, nazywasz. Co u ciebie? Jeśli cię to interesuje, wiem, jak się to skończy. Następne twoje słowa to: „poddaję się”. A potem się odwrócisz, położywszy ręce na balustradzie, i przyjmiesz pozycję.

Akolici cofali się przede mną na obie strony. Kiedy ostatnio mieli do czynienia z pełnym świętego oburzenia świrem z bronią, stali się ruchomymi celami i doświadczenie to wyraźnie odcisnęło na nich piętno. Fanke jednak nie ustępował, a wyraz jego twarzy niemal się nie zmienił: do dawnej zimnej wyniosłości dołączyła jeszcze drwiąca pogarda. To mnie nieco wkurzyło.

- Cofnij się od kręgu - poleciłem.

Byłem już tak blisko, że nie musiałem podnosić głosu. Próbowałem kątem oka obserwować frajerów, na wypadek gdyby przeszukali kieszenie i znaleźli ukryte w nich własne jaja. Ale pierwsza kula, tak czy inaczej, była przeznaczona dla Fankego, a także druga, trzecia i czwarta, jeśli do tego dojdzie.

Nawet nie drgnął. Stał nieco sztywno, lewe ramię unosząc odrobinę wyżej od prawego. Przypomniałem sobie, jak się szarpnął, kiedy Peace wypalił po raz drugi. Dostał kulkę albo w samo ramię albo wysoko w prawą rękę. Ale był twardzielem, a przedstawienie musiało trwać.

- Castor - powiedział z wyniosłą litością. - Dałem ci twoje życie. Owszem, wiele też ci odebrałem, nadal jednak uważam, że ogólna równowaga została zachowana. Ale zjawileś się tutaj i mimo wszystko to stosowne, byś powitał pana mego, Asmodeusza, kiedy nadejdzie.

- Nie zdążył na pociąg - warknąłem. - Kazał cię uściskać. A teraz cofnij się od tego pieprzonego kręgu, Fanke, albo przysięgam na grób mojej świętej matki, że za chwilę będziesz miał w sobie tyle dziur, że zobaczę przez nie spokojnie zdjęcie z krzyża na środkowej płycie ołtarza za twoimi plecami.

- Nie. - Fanke pokręcił głową i opuścił wzrok, jakby rozmyślał nad naturą ludzkiej głupoty. - Nie zrobisz tego. Patience?

Z początku nie zrozumiałem, o co mu chodzi, dopóki z lewej strony nie usłyszałem drżącego głosu kobiety:

- Tak, mistrzu.

- Powiedz panu Castorowi, ile ofiar przygotowaliśmy na dzisiejszy wieczór.

- Trzy, mistrzu. Są trzy.

- A jaki jest ich porządek?

- Najpierw chi: duch. Duch już wcześniej poświęcony. Następnie demon. W końcu kobieta.

Zerknąłem w lewo, z palcem na spuście, tak że, gdyby Fanke choć drgnął, zarobiłby cały magazynek. To szybkie spojrzenie wystarczyło do potwierdzenia tego, co sam wiedziałem. Kobieta, która mu odpowiedziała, była tą samą, którą poznałem parę dni wcześniej w biurze - blondynką o posiniaczonej twarzy, przedstawiającą się jako Melanie Torrington. A potem znów spojrzałem na Fankego, który uniósł wzrok.

Nie był nawet z siebie dumny. Wyraz jego twarzy mówił jasno, że przechytrzenie mnie nie stanowiło żadnego wyczynu.

- Tym razem chciałem mieć pewność - wymamrotał. - Duch dziecka powinien zakończyć rytuał przywołania i uwolnić mego straszliwego Pana z tego... miejsca. Ale na wszelki wypadek pomyślałem, że najlepiej będzie użyć Hecateum: potrójnej ofiary, obejmującej żywych i umarłych, mężczyznę i kobietę, ducha i ciało.

Postąpiłem kolejny krok ku niemu, przytykając lufę do jego piersi. Tym razem cofnął się lekko i oparł plecami o balustradę ołtarza. Ucieszyłem się, że w końcu uzyskałem jakąś reakcję.

- Pokaż mi - zasugerowałem.

- Nie. Odłóż broń.

Wytrzymałem jego wzrok i powtórzyłem raz jeszcze z naciskiem, który zabrzmiał bardzo ostatecznie:

- Pokaż! Albo obaj trafimy do piekła nieco wcześniej, niż oczekujemy.

Fanke odwrócił się, żeby spojrzeć na kobietę.

- Przyniescie je - rozkazał, starając się, by to polecenie zabrzmiało lekceważąco i wyniośle.

Dostrzegł w moich oczach to, że jestem gotów strzelić, i zrezygnował z prób blefowania. To już coś.

Postaci w szatach rzuciły się biegiem, by wypełnić rozkaz mistrza. Jeśli kiedykolwiek dołączę do kultu, to chcę to zrobić od razu na poziomie oficerskim: płotki zdecydowanie za bardzo uwielbiają najgorsze zajęcia.

Obserwowałem wszystko kątem oka. Pen i Juliet nie przebywały nawet w innym pomieszczeniu, jedynie w cieniu pod amboną, ułożone na ziemi. Juliet wciąż nie ocknęła się ze śpiączki/transu/czy czego tam i w ogóle nie zareagowała, gdy sataniści wynieśli ją i ułożyli tuż za Fankem, po prawej. Pen była związana, zakneblowana, świadoma i piekielnie wściekła. Zdołała kopnąć jednego z nich w miejsce, które zapewne poświęcił już Mrocznemu Władcy: zgiął się wpół z piekielnym wrzaskiem i upuścił jej nogi. Natychmiast zastąpili go dwaj inni mężczyźni i dokonali zadania, wynosząc ją na inspekcję. Położyli Pen po lewej stronie Fankego, tak że z mojego punktu widzenia znalazł się pomiędzy pięknymi zakładniczkami.

Potem ze znakomitym wyczuciem dramatyzmu Fanke wyciągnął ku mnie zaciśniętą pięść, jakby w pozdrowieniu, po czym rozprostował palce, demonstrując wisior Peace'a - na nowym łańcuszku - zwisający z palca wskazującego.

- *Veni, puella* - wymamrotał.

Duch Abbie zmaterializował się wokół jego dłoni, zdumiony i przerażony. Dziewczynka rozglądała się gorączkowo, dostrzegając twarze otaczających ją satanistów, i mnie, po drugiej stronie magicznego kręgu. Na mnie jej spojrzenie spoczęło najdłużej. W oczach ducha dostrzegłem nienawiść.

- Nie kłamie dla lepszego efektu, Castor. - Fanke przemawiał do mnie poprzez niematerialne ciało Abbie. - Kłamie po to, by osiągnąć cel. W tym przypadku, jak widzisz, powiedziałem prawdę. A teraz odłóż broń. Chyba że uważasz, że moja śmierć to uczciwa wymiana za Pamelę. Bo niczego więcej nie osiągniesz: ceremonia i tak się odbędzie i zostanie dokończona.

- Gdzie twój mężczyzna? - Wciąż grałem na czas.

Na te słowa Fanke naprawdę się uśmiechnął.

- Nie mam go - przyznał. - Chciałem użyć twojego przyjaciela, zombie, Nicholasa Heatha. Tak, wiem o nim. Wiem wszystko, co można wiedzieć o twoim życiu: ostatecznie bardzo długo byłem blisko ciebie. Ale gdy moi ludzie poszli po Heatha, znaleźli to inne stworzenie i poddałem się pokusie. Mój pan nie przepada za sukubami i jest coś stosownego w posłaniu jednego z nich w ogień, by go uwolnić.

Patrzył mi w oczy - drwiąco, złośliwie, pewien, że trzyma w ręku wszystkie karty.

- Mężczyzna nadal by się przydał - dodał - dla zachowania równowagi. Ale to już zależy od ciebie. Jeśli chcesz, możesz rozegrać do końca tę pantomimę rodem z filmu noir, albo też możesz zająć miejsce Pameli Bruckner i umrzeć wewnątrz kręgu. Pozwolę na to. Jeśli w tej chwili odłożysz broń i przeprosisz za swój brak szacunku.

Zawahałem się. Oczywiście kłamał, ale nadal zależało mi na czasie, z wielu różnych przyczyn.

- Gdzie jest teraz Nicky? - spytałem ostro, kupując jeszcze parę sekund.

Najwyraźniej na knocie pozostało więcej wosku niż przypuszczałem, Basquiat nie zadzwoniła, żeby sprawdzić wiadomości, a mój własny pech szybko odzyskiwał znakomitą formę.

Fanke zmarszczył brwi.

- Z tego, co mi wiadomo, twój martwy przyjaciel pozostał nietknięty, lecz szczegóły są nieco mętne. Zamknął się w pomieszczeniu na pierwszym piętrze kina. Kiedy moi ludzie próbowali otworzyć drzwi... - Urwał, widząc mój szeroki uśmiech. - Cóż, może już wiesz o podjętych przez niego środkach bezpieczeństwa. Straciłem kilku cennych współpracowników i nie zdołałem wykurzyć zombie z jego nory. Lecz

sukub stanowi znakomity zamiennik. Wynajęcie ciebie było najlepszą decyzją, jaką kiedykolwiek podjąłem, Castor. W owym czasie sądziłem tylko, że utrzymuję wszystko w rodzinie, ale zapewniłeś mi wiele dodatkowych niespodziewanych zysków. Teraz jednak opóźniasz dalszą procedurę, a i tak jest już dość spóźniona. Proszę o twoją decyzję.

Fanke patrzył na mnie wyczekująco. Widziałem w jego oczach, że w odróżnieniu ode mnie, w ogóle nie musi blefować. Zamierzał osiągnąć swój cel, nawet gdyby to oznaczało, że za pomocą amunicji z wydrążonym czubkiem kompletnie przemebluję mu wnętrze. Tak czy inaczej, przedstawienie miało trwać.

Starając się nie zważać na Abbie, której martwe spojrzenie cały czas mnie przygważdżało, skinąłem głową.

- Zgoda - powiedziałem. - Wypuść Pen, daj jej pięć minut na odejście, a potem oddam ci broń.

- Nie - uciął z irytacją Fanke. - Oddasz broń teraz i przyjmiesz moją obietnicę, że nic jej się nie stanie. Żadnej dalszej zwłoki. Decyduj.

Czekałem na próżno na eksplozję z tylnych ławek bądź walenie w kołatkę i okrzyk „Otwierać, policja” przy głównym wejściu. Cisza, w której wroga obecność Asmodeusza wibrowała niczym podprogowa warstwa dźwięku, pozostawała niewzruszona.

Po długiej chwili, gdy Fanke otwierał już usta, by przemówić - do swych podwładnych, nie do mnie, bo zwrócił głowę ku nim - odwróciłem pistolet w dłoń i wyciągnąłem do niego kolbę naprzód. Skinął głową, wyraźnie zadowolony, wziął go, po czym oddał wysokiemu akolicie, który zmaterializował się u jego boku.

- A przeprosiny? - spytał Fanke, patrząc na mnie niczym pobłażliwy nauczyciel, który nie chce się uciec do kary cielesnej.

- Będziesz musiał zagwizdać - warknąłem. - Umiesz gwizdać, prawda? Jeśli nie, mogę cię nauczyć.

Obdarzył mnie najzimniejszym uśmiechem, jaki kiedykolwiek oglądałem.

- Grip, wyceluj, proszę, w pana Castora - polecił. - I wprowadź go do kręgu. Niech ktoś założy mu na szyję strunę fortepianową, tak by na pewno został tam, gdzie mu każe. Wygląda jak ktoś, kto ma ochotę cofnąć dane słowo.

Sługusy w szatach napadły na mnie ze wszystkich stron, nagle odzyskując odwagę. Poczulem na sobie wiele rąk, popychających mnie na skraj kręgu. Pierwszy raz zobaczyłem go wyraźnie. Wyglądał identycznie jak ten w sali spotkań kwaków,

tyle że był cały, nieuszkodzony przez podziurawione i zamienione w miazgę deski. Nakreślono go na kamieniu, i to nie farbą czy kredą, ale czubkiem noża. Kilka na wpół ukształtowanych planów, które kroili mi się głowie, na ten widok spakowało się i odeszło.

Facet, którego Fanke nazywał Grip, wbił mi lufę w krzyż, znacznie mocniej niż było to konieczne, i przytrzymał. Tymczasem inna postać - wysoka, przysadzista kobieta - bardzo ostrożnie założyła mi na szyję drucianą pętlę. Ostrożność jednak ograniczała się do jej własnych palców; gdy tylko struna znalazła się na miejscu, kobieta zacisnęła ją i poczułem, jak wbija się w ciało pod moim jabłkiem Adama. Oba końce struny obwiązano wokół drewnianych bloczków: trzymała je w dłoniach niczym pielęgniarz dzierżący naładowane końcówki defibrylatora. Lecz samą strunę można raczej porównać do gilotyny. Gdybym ruszył się z tego miejsca, moja głowa pozostałaby tutaj, i reszta ciała musiałaby jakoś sobie radzić bez niej.

Fanke obszedł krąg i stanął naprzeciwko mnie. Była z nim Abbie, dyndająca lekko w powietrzu. Jego pięść zaciskała się w miejscu, gdzie znajdowałoby się jej serce, gdyby wciąż żyła i je miała. Trudno było patrzeć na zmieszanie i strach dziewczynki. Akolici o poważnych, uroczystych twarzach - oprócz Grippa i kobiety ze struną - zajęli swe miejsca w szerszym kręgu, sięgającym od balustrady ołtarza aż do stosu odsuniętych na bok krzeseł obu stron nawy. Było ich więcej niż sądziłem: co najmniej czterdziestu. Niektórzy musieli przyjść głównymi drzwiami, po tym jak reszta już urządziła i otworzyła kramik - to wyjaśniało, dlaczego nie widziałem, jak przynoszą Pen i Juliet. Jednym z nich był doktorek ze szkockim akcentem, który zrobił mi zastrzyki przeciwężcowe, kiedy zemdlałem w holu Pen.

Ukrzyżowany Chrystus patrzył na nas z wysoka, wyraźnie niepewny co do całej procedury.

- Wolałbym zacząć od ciebie - oświadczył bez cienia wrogości Fanke. - Podobnie jak Pamela jesteś tu nieco nie na miejscu. Pod wieloma względami nie jesteś godzien wzniosłej okazji. Lecz najpierw musimy odprawić ducha dziecka. To nie może czekać. Próba złożenia innej ofiary przed tą, która wywoła mego Pana, byłaby nierozsądna. Będziesz zatem musiał poczekać na swoją kolej, Castor. I będziesz musiał patrzeć, jak wszystkie twoje knowania i machinacje spelzają na niczym. Dopiero potem pozwolimy ci odejść w śmierć. Zrozum jednak, że to nie okrucieństwo z mojej strony, wyłącznie... logistyka.

- Cóż, jeśli logistyka, to nie mam nic przeciw temu - odparłem. - Zaczynałem już sądzić, że mnie nie lubisz.

Struna zacisnęła się odrobinę wokół mego gardła.

- *Marmarauõth marmarachtha marmarachthaa amarda maribeõth* - zaintonował Fanke śpiewnym głosem.

Akolici dołączyli chórem.

- *Satana! Beelzebub! Asmode!*

Rozłożyli ręce, po czym złączyli je i spleli w wyraźnie rytualnym geście.

- *Iattheoun iatreoun salbiouth aõth aõth sabathiouth iattherath Adõnaiai isarsuria bibibe bibiouth nattho Sabaoth aianapha amourachthę. Satana. Beelzebub. Asmode.*

Kolejne wymachiwanie rękami. Akolita po lewej stronie Fankego uniósł świecę. Ten po prawej ją zapalił. Fanke ujął świecę w lewą dłoń, nie zająknąwszy się nawet.

- *Ablanathanalba, aeęiouõ, iaeõbaphrenemoun. Aberamenthõ oulerthexa n axethreluo õthnemareba.*

Choć niemal całe wnętrze było już wcześniej pogrążone w ciemności, przestrzeń wokół nas stała się jakby jeszcze ciemniejsza. Popelnilem błąd i spojrzałem w górę - zupełnie jakby kościół dysponował własnym, wewnętrznym słońcem, właśnie przechodzącym zaćmienie. Coś wisiało nad nami w mroku - coś podobnego do czarnego dymu, tyle że przeciętego rozgałęziającymi się żyłkami jeszcze głębszej ciemności, podobnymi do naczyń krwionośnych. Rozrastało się jakieś pięć, sześć metrów nad głową Fankego i opadało ku nam - czy raczej ku Abbie, która zobaczyła to i zaczęła się szamotać niczym mucha w pajęczej sieci. Nieważne jak bardzo się starała, nie mogła się uwolnić.

- Proszę! - wyszeptała. - Och, proszę!

Na średniowiecznych drzeworytach wygląda na znacznie mniejszego, ale wiedziałem kogo widzimy: Asmodeusza, wylewającego się z kamienia w odpowiedzi na przywołanie Fankego.

Chłód przybył wraz z nim, skupiając się wokół nas tak nagle i intensywnie, że poczułem, jak skóra na twarzy naciąga mi się mocno.

Fanke uniósł prawą dłoń na wysokości płomienia świecy.

- *Phõkensepseu earektathou misonktaith* - wyrecytował. - *Uasemmeigadõn Satana. Uasemmeigadõn Beelzebub. Uasemmeigadõn Asmode, Asmode atheresphilauõ.*

Złączył dłonie tak, by wisiorek dotknął płomienia. Czy raczej próbował, ale mu się nie udało, bo Abbie zaparła się piętami w nicości i zaczęła walczyć, i choć jego dłoń zadrżała niczym uderzony piorunochron, nie przesunęła się nawet o milimetr. Był ranny w prawą rękę - Peace go w nią postrzelił - i już wcześniej widziałem, że porusza nią sztywno i niezręcznie. Może to dało zdesperowanemu duchowi niewielkie pole manewru. Tak czy inaczej, Fanke wyraźnie się zdumiał. Spojrzał na nią gniewnie i szarpnął mocniej. Jego przegub podskoczył raz, drugi i znów zaczął się przesuwać.

Nim jednak wisiorek i płomień się spotkały, ja wysunąłem rękę i wsadziłem serdeczny palec w ogień świecy. Włos Rafiego nadal oplatający go ciasnym pierścieniem zasyczał i zapłonął.

- Amen - warknąłem, zaciskając z bólu zęby, toteż wyglądało to na prywatny, niezrozumiały dla innych żart.

Struna fortepianowa zacisnęła się mocniej wokół mego gardła, a cały kościół eksplodował.

22

Nie potrafię opisać tego dźwięku. Jeśli umiecie sobie wyobrazić pełną orkiestrę dętą, która nafaszerowała instrumenty trotylem i wysadziła się w powietrze po ostatnim takcie marsza wojskowego, to będzie dobry początek. Ale to był tylko szum w tle: odgłos metalowych pudełek z taśmą filmową rozdierany rozgrzane do czerwoności strzępy, które odbijały się ud ścian i przelatywały ze świstem nad naszymi głowami, podczas gdy same rolki zamieniły się w gejzery płomieni i gazu, rozszerzające się zbyt szybko, by dało się od nich uciec. To krzykowi Asmodeusza ta chwila zawdzięczała swą wyjątkowość. Dennis Peace próbował mi go opisać, opowiadając, co się działo w domu, gdzie spotykała się sekta, ale niespecjalnie mu się udało. Miałem wrażenie, jakbym słyszał go każdym milimetrem skóry w tonacji sprawiającej, że organy wewnętrzne zaczynały wibrować i krzyczeć do taktu: jakbym się zmienił w napiętą membranę, na którą sypie się tłuczone szkło i wygrywa dźwięki na rozdieranej skórze.

Jeszcze sekundę przytrzymałem dłoń w płomieniu, aż w końcu ból stał się nie do zniesienia. A potem cofnąłem się chwiejnie, i to powinien być mój koniec - lecz kobieta ze struną fortepianową także straciła równowagę i bezsensownie przycisnęła rękę do uszu. Drewniane uchwyty na końcach struny zwisły swobodnie. Ich ciężar sprawił, że drut wciął się nieco głębiej w moje gardło, lecz towarzyszący temu ból rozplynął się bez śladu w obejmującej całe ciało migrenie, wywołanej przez ryk bólu i wściekłości Asmodeusza.

Fanke pozostał na miejscu po drugiej stronie kręgu; usta miał otwarte, jakby krzyczał. Nie widziałem ani śladu Abbie. Nie byłem pewien, kiedy dokładnie zniknęła, ale nie otaczała już jego zaciśniętej pięści. Wszyscy inni padali na kolana albo usiłowali uciekać na nagle miękkich nogach. Pośrodku nawy głównej rozkwitła chmura tłustego czarnego dymu. Z początku pełzła nisko nad ziemią, z każdą chwilą

jednak wznosiła się i rozrastała. W jej wnętrzu migotały płomienie, przypominające oczy.

Spojrzałem w górę na Asmodeusza, to znaczy na nieprzenikniony cień, który gęstniał nad naszymi głowami - wiedziałem, że w pewnym sensie cały budynek jest Asmodeuszem. Stwór zwijał się i skręcał bez ładu i składu, podobne żyłom macki skupiały się w jego sercu, a potem rozszerzały gwałtownie, kreśląc w powietrzu krzywizny i zaciskając się z donośnym trzaskiem. To oznaczało, że moje uszy znów działają; po pierwszym wstrząsie wybuchu pudełek z taśmą bałem się, że pękły mi bębrenki.

Po pierwsze, najważniejsze. Pociągnąłem strunę i poczułem, jak przez moment stawia opór, a potem ustępuje. Z miejsc, w których częściowo wbiła mi się w gardło, wytrysnął deszcz kropel krwi. Pochyliłem się nad magicznym kręgiem i wyprowadziłem cios, który trafił Fankego prosto w twarz. Poparzone palce zareagowały eksplozją bólu; on zareagował, lecąc do tyłu na balustradę ołtarza. Przeskoczywszy nad kręgiem, ruszyłem za nim i zadałem kolejne uderzenie, po którym zgiął się wpół i upuścił wisiołek Abbie.

Doskonale. Chwyciłem z podłogi małe złote serduszko i prostując się, dla lepszego efektu rąbnąłem kolanem grzbiet nosa Fankego. Uznałem, że to powinno dać mu sporo do myślenia, gdy ja tymczasem zajmę się Pen i Juliet.

Oczywiście nie znalazłem jeszcze odpowiedzi na pytanie, jak zdołam wynieść z płonącego budynku dwie kobiety. Kiedy jednak odwróciłem się, ściskając wisiołek w zranionej lewej dłoni, odkryłem, że było mało prawdopodobne, bym musiał stawić czoło temu problemowi. Mimo płomieni strzelających ku sklepieniu z tyłu kościoła i kłębow dymu snujących się między ławami, wyznawcy Fankego pozbierali się i biegli na pomoc swemu mistrzowi. Pierwszy dotarł do mnie w chwili, gdy się odwróciłem, i wymierzył niezgrabny cios, który równie niezgrabnie zablokowałem. Odpowiedziałem, waląc go z główki, czego się zupełnie nie spodziewał. Drugi miał nóż; ominął zranionego kolegę tak, by mógł się nim posłużyć. Lecz parę innych postaci w szatach wpadło na niego, wytrącając go z równowagi, i zdołałem przeskoczyć przez balustradę, unikając ataku.

Pobiegli za mną, zajmując miejsca wzdłuż balustrady, by zablokować mi drogę ucieczki. Było to ostateczne miejsce, w którym ktokolwiek chciałby się znaleźć, gdyby ogień się rozprzestrzenił i odciął nas od wyjścia, ale akolitom Fankego najwyraźniej bardziej zależało na dokończeniu rytuału niż na własnym bezpieczeństwie. Tego

właśnie nie potrafiłem zrozumieć w religiach: tego całkowicie nieatrakcyjnego połączenia altruizmu i obłądu.

Dajcie mi raczej cynicznych, samolubnych drani. Z nimi przynajmniej można grać jak należy i mieć pewność, że będą się trzymać reguł. Puściłem się biegiem w stronę ołtarza, lecz tylko dlatego, że nie mogłem pobiec nigdzie indziej. Kiepsko nadawał się na ostatni bastion, jak to już wcześniej odkrył ukrzyżowany Jezus.

Próbowałem na niego wskoczyć, ale, ponieważ lewą rękę miałem załatwioną, musiałem użyć prawej, którą znacznie gorzej radzę sobie w takich skokach. Nie przeleciałem nad marmurowym blatem ołtarza, sterzącym na kilkanaście centymetrów dookoła podstawy: zamiast tego uderzyłem w niego kolaniem, pośliznąłem się i upadłem bezładnie na podłogę.

Sataniści zbliżali się ku mnie, zbyt liczni, bym mógł z nimi walczyć, i zbyt głupi, bym ich przestraszył. Potem jednak, ku mojemu zdumieniu, zamiast mnie stratować i rozszarpać na strzępy, zgodnie z odwieczną tradycją fanatyków religijnych, zawahali się i zatrzymali chwiejnie, patrząc na ołtarz nade mną. Chwilę później przekonałem się dlaczego, gdy coś, drapiąc, przebiegło po nim i tuż nad głową ujrzałem długie, smukłe szpony, chwytające kamienną krawędź.

A potem tkwiący tam stwór skoczył w sam środek bandy satanistów. Z początku przypominał ogara - lecz tylko dlatego, że w moim umyśle nałożyły się dwa obrazy: szare futro i wychudzona smukła sylwetka. Poruszał się zupełnie nie jak ogar: wygiął się w łuk niczym atakujący wąż, wrzasnął niczym kot i chlasnął w lewo i w prawo łapami, z których wyrastały szpony niczym rzędy skalpeli czule ułożonych wedle wielkości. Jeden z satanistów zawył, lecz jego krzyk urwał się, gdy z przeciętego gardła trysnęła krew. Kolejny, chwiejąc się, poleciał do tyłu, przyciskając do twarzy rękę; między palcami ujrzałem wzbierającą szkarłatną ciecz. Trzeci miał już w dłoni pistolet i wystrzelił, lecz kule poleciały daleko, odłamując jedną rękę Chrystusa na ołtarzu. Usłyszałem, jak spada na ziemię, nie czyniąc nikomu krzywdy. Sataniści rozbiegli się na boki. Szary stwór miotał się między nimi niczym derwisz. Wówczas ujrzałem jego twarz i na nowo ogarnęła mnie wyjątkowa groza: częściowo dlatego, że olbrzymie kły, zbyt wielkie, by pomieścić się w zniekształconym pysku, nadawały mu wygląd obłąkańczego uśmiechu, lecz przede wszystkim dlatego, że była to twarz Zuckera i dostrzegłem człowieka wewnątrz bestii.

Zacisnąłem mocniej dłoń na medaliku, lecz moje zwęglone palce nie zginały się do końca i oczy *loup-garou* dostrzegły już błysk złota, niepasującego do poczerniałej

ręki. Spiał się do skoku, a wówczas mężczyzna z bronią znów wystrzelił i jedna z nóg bestii wygięła się mocno. Zucker kwiknął przesywając, obracając się ku nowemu zagrożeniu. Już go nie było, bo Po - w ludzkiej postaci - wyłonił się z dymu, chwycił głowę strzelca obiema rękami i przekręcił tak, że spojrzała do tyłu.

Podążyłem śladem większości jeszcze żyjących satanistów i uciekłem. Niestety, uciekaliśmy w samo serce burzy i wyznawcy Fankego zaczęli padać jak skoszone zboże. W kościele rozległy się strzały. Tamci jednak wyraźnie woleli kule od tego, co ich ścigało - kilkunastu także dobioło broni i odpowiedziało ogniem. Pośród kłębow dymu dostrzegłem sylwetki w czarnych szatach, zbliżające się z głębi kościoła, omijające sięgający sklepienia stos pośrodku, w miejscu gdzie eksplodowały pudełka z taśmami. A potem kula świsnęła mi nad lewym uchem, wylupując w oparciu ławki dziurę wielkości pięści, i padłem na ziemię.

Zastanawiałem się, czy nie byłoby warto tam zostać, dopóki to wszystko się nie skończy. Fanke nie mógł nic zrobić bez wisiora, który wciąż tkwił bezpiecznie w mojej poczerniałej od ognia dłoni. Ale komandosom kościelnym Gwillama chodziło o to samo, i jeśli zdobędą wisiora, bez chwili wahania egzorcyzmują Abbie. Nie chciałem dać im szansy. Przyznaję, to była moja wina, że w ogóle się tu znaleźli - liścik, który zostawiłem w South Bank, zapraszał, by dołączyli tu do mnie na nieformalną pogawędkę i niewielki dżihad. Miałem nadzieję, że przybycie Anathemata - albo też Basquiat - nastąpi w chwili, gdy będę potrzebował dywersji. Zawsze lubiłem starą zagrywkę, w której to inni walczą między sobą. Ale wokół robiło się zbyt gorąco jak na mój gust - tak w sensie dosłownym, jak i przenośni. Pen i Juliet ciągle leżały w miejscu, w którym mogła je trafić zbłąkana kula, a nawet bez tego gęstniejący dym sugerował, że pożar się rozprzestrzeni. Wiedziałem, że cokolwiek się stanie, nie stać mnie na luksus siedzenia w kryjówce.

Przynajmniej dym nieco mnie osłaniał - a także dusił, sprawiał, że do oczu napływały łzy, a płuca ścisnęły się spazmatycznie przy każdym oddechu, ale nie można mieć wszystkiego. Poczłogałem się na czworakach do końca ławki, a potem pomknąłem pędem ku nawie bocznej, gdzie rząd filarów zapewniał nieco solidniejszą osłonę. Zacząłem przemykać między nimi, zmierzając ku otwartej przestrzeni przed balustradą ołtarza, gdzie leżały Pen i Juliet.

Dym był tak gęsty, że nie musiałem przejmować się ukrywaniem, i choć w kościele wciąż dźwięczały strzały, kula mogła mnie trafić jedynie przypadkiem. Nikt nie zdołałby wycelować w coś takim, nawet za pomocą noktowizora - w

noktowizorze cały kościół wyglądałby jak jedna wielka plama niewyraźnej czerwieni, niczym rozlana krew.

Najpierw odnalazłem Pen. Była nieprzytomna, co mnie nie zaskoczyło. Złapałem ją pod pachy i pociągnąłem w stronę, gdzie, jak mi się zdawało, znajdowało się wyjście. Pomyliłem się o kilka metrów, ale pod zewnętrzną ścianą natrafiłem na korytarz pozbawiony dymu - był to efekt działania osobliwego prądu powietrza. I gdy się tam znalazłem, widziałem już, dokąd idę. Powlokłem ją do kruchty - przedsionka szerokiego na zaledwie trzy metry - i dopiero tam odprężyłem się wbrew wszystkiemu, ciesząc się, że znalazłem się w ciasnym pomieszczeniu po straszliwym odsłonięciu wewnątrz kościoła właściwego.

Oczywiście, gdybym się zastanowił, pojąłbym, że ktoś z zespołu Gwillama musiał pilnować wyjścia - Gwillam nie byłby sobą, gdyby przeoczył coś takiego. W chwili, gdy złożyłem Pen na ziemi z głową opartą o drzwi, w miejscu gdzie z zewnątrz napływało czyste, nadające się do oddychania powietrze, ze skłębionej czerni wyłonił się Po, oświetlony z tyłu ogniami piekielnymi, i skutecznie zablokował mi drogę powrotu do nawy. Zupełnie już nie przypominał człowieka: był tym samym hienowatym stworem, którego widziałem przy „Kolektywie z Tamizy”, a potem u Whittingtona, z przednimi kończynami dwa razy dłuższymi od tylnych, przez co, stojąc, przypominał małpę.

Ruszył ku mnie, szczerząc zęby w uśmiechu. Nie był to uśmiech rozbawienia. Raczej pozwalał mu odsłonić główną broń, która sterczała ze szczęki niczym noże do steków. Przyglądałem mu się uważnie, szykując się, by uskoczyć, lecz w wąskiej kruchcie brakowało miejsca, by przesunąć się choćby kawałek. Gdziekolwiek się znajdę, pozostanę w jego zasięgu.

I wtedy ponad jego ramieniem pojawiła się druga postać, zmierzająca niespiesznie ku niemu z szalejącego ognistego piekła. Wyglądała... cóż, w tym momencie wyglądała tak dobrze, że z pewnością bym się rozplakał, gdyby nie to, że już wcześniej płakałem z powodu dymu.

- Powinieneś był mnie obudzić, Castor - zganiała mnie Juliet. Jej głos zabrzmiał ostro, ochryple. - O mało wszystkiego nie przespałam.

Po odwrócił się i jednocześnie skoczył, rycząc przeraźliwie. Uderzył w Juliet niczym zębaty, szponiasty meteoryt. Jego potężne tylne kończyny uniosły się, by wypruć jej wnętrzności w chwili, gdy zaciśnie szczęki na głowie.

Taki przynajmniej miał plan. Pochyliła się pod nim, gibko i z gracją. Chwyliła go rękami i, wykorzystując jego własny rozpęd, cisnęła w sam środek najbliższego rzędu ławek. W ułamku sekundy zerwał się z ziemi, ale Juliet okazała się szybsza. Gdy znów ku niej ruszył, podniosła jedną z ławek, idealnie oceniając jej równowagę i zupełnie nie przejmując się ciężarem. Uderzyła nią Po w głowę i ramiona tak szybko, że jej sylwetka rozmazała się na moment.

O dziwo, w Po wciąż pozostała odrobina woli walki: przypuszczam, że mogłoby być jej więcej, gdyby nie to, czym oddychał. Skoczył na nią i oboje runęli na ziemię; chmura dymu i płomieni ukryła ich przed moim wzrokiem.

Pozwoliłem Juliet zająć się sobą, wiedząc, że da radę. Po przerwaniu rytuału Asmodeusz najwyraźniej stracił nad nią jakąkolwiek władzę. Podejrzywałem, że nie było go już w ogóle w kościele. A jeśli nawet, z całą pewnością nie nadawał się do walki.

Wróciłem do Pen, otworzyłem kopniakiem główne drzwi kościoła i wywlokłem ją na wyłożoną kamieniami ścieżkę. Potem opadłem na kolana, połykając chłodne powietrze niczym wino. I podobnie jak po winie zakręciło mi się w głowie, a umęczoną pierś wypełniło uczucie niemal nieznośnej lekkości.

Cudowna chwila minęła, gdy moją głowę trąciła lufa pistoletu.

- Daj mi medalik - wychrypiał Fanke.

Jego głos brzmiał jeszcze bardziej przerażająco, bo słyszałem w nim niezdrowy organiczny bulgot. Nie oglądając się, wiedziałem, że to człowiek niemający zbyt wiele do stracenia.

- Nie mam go - odparłem.

- Wstań. Podnieś ręce. No już, Castor!

Może jestem paranoikiem, ale w tym momencie uznałem, że pożyję zapewne tak długo, jak zdołam utrzymać Fankego w niepewności. Kiedy zdobędzie medalik, z pewnością zechce się zemścić za przerwany rytuał i utraconą urodę. Zaryzykowałem, oceniając na oko jego pole widzenia, i pozwoliłem wisiorce wysliznąć mi się z palców w miejsce pomiędzy ręką i ciałem Pen. Potem wstałem, bardzo wolno, rozkładając ręce na boki i rozcapierzając palce.

Fanke poklepał mnie, sprawdzając kieszenie. Słuchanie jego oddechu sprawiało mi ból: był nierówny, przeciągły, z wilgotnym poświstem, sugerującym obecność życiodajnych płynów w miejscach, gdzie nie powinny się znaleźć. Sprawdził

mój płaszcz, potem spodnie. Kiedy niczego nie znalazł, wbił nieco mocniej lufę w mój policzek.

- Gdzie on jest? - spytał ostro.

- Chyba zostawiłem go w środku - podsunąłem. - Na ołtarzu.

Pistolet trącił mi kość policzkową, gdy Fanke go odbezpieczył.

- W takim razie chyba już nie żyjesz - warknął.

Z całą pewnością jeden z nas nie żył. Rozległ się odgłos przypominający rozdierany jedwabny szal i pistolet poleciał z brzękiem na kamienie. Obróciwszy głowę, zobaczyłem, jak Fanke sztywnieje. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Cofnął się o krok i spojrzał na swój brzuch. Czerwona szata dobrze ukrywała plamy, lecz krew najpierw zaczęła kapać, a potem ściekać spod niej, zbierając się w szczelinach między kamiennymi płytami ścieżki i tworząc rozszerzającą się czerwoną sieć pośród czerni. Fanke drżącą ręką dotknął swego lewego boku: w tym miejscu na jego szacie pojawiły się rozdarcia, kilka równoległych cięć, które rozkwitły, jakby same z siebie. Lecz krew zdradzała prawdę: dokonano ich od tyłu, przebijając ciało na wylot.

Fanke wydał z siebie odgłos brzmiący niczym pełen niedowierzania śmiech, a potem jego wargi rozchyliły się, gdy wymamrotał coś, co dotarło do mnie jako bezkształtne westchnienie: może był to satanistyczny odpowiednik „Ojcze, w Twoje ręce...”. Złożył się wpół niczym akordeon - choć to kiepskie porównanie, bo kiedy składamy akordeon, z każdego zgięcia nie wycieka ciemna żylna krew. Runął na ścieżkę, uderzając głową o kamień dość mocno, by roztrzaskać czaszkę, ale to nie miało już znaczenia. Zucker, wciąż w postaci zwierzęcej, kuśtykając, wyminął ciało, przyglądając mi się obląkanym wzrokiem. Mógł się posługiwać tylko jedną z przednich łap. Drugą, zgiętą, przyciskał do piersi. Musiał przysiąść na tylnych, kiedy uderzył Fankego od tyłu - przecinając jego korpus pod żebrami i zamieniając organy w grubo mieloną sieczkę.

Cofnąłem się o krok w prawo, odciągając Zuckera od Pen. Podążył za mną, spomiędzy jego szczęk wyciekała strużka śliny. Był w bardzo złym stanie i nie sprawiła tego tylko rana po kuli. Szpony, tak przerażające w walce, włókł teraz po kamieniach, z trudem utrzymując się na nogach. Warknął jednak nisko z głębi gardła, zbliżając się ku mnie, a jego oczy zwięzły się na myśl o słodkim mordzie.

Wciąż się cofałem, jednocześnie skręcając, tak że musiał się obracać, by nie spuścić mnie z oka. Z każdą chwilą poruszał się wolniej, z coraz słabszą koordynacją.

Jego pierś unosiła się i opadała niczym prześcieradło na wietrze. Słyszałem jednak tylko cichutkie zgrzytanie, jakby jego zęby tarły o siebie.

- Wiesz, jaka firma jest największym konsumentem srebra na świecie? - spytałem Zuckera swobodnym tonem.

Nie odpowiedział. Jego zdrowa przednia łapa ugięła się pod nim. Upadł na ziemię, jakby składał mi pokłon.

- Eastman Kodak - rzekłem łagodnie. - I to właśnie wdychałeś.

Jego oczy zamknęły się, pierś unosiła się i opadała gwałtownie. Może nawet pokona truciznę, ale jego udział w walce dobiegł końca. Wróciłem do Pen. Musiałem znów uklęknąć, walcząc z nagłą falą czerni, która pojawiła się znikąd. Wciąż trwałem w tej pozycji i zaczynałem walczyć z warstwami taśmy okalającymi przeguby Pen, gdy z kościoła wyłoniła się Juliet. Tuż za nią, po obu stronach, maszerowało dwóch ludzi Gwillama. Celowali do niej z karabinów, ale nawet nie próbowali ich użyć - pewnie widzieli, co zrobiła z Po. A jeśli tak, niemal na pewno powątpiewali w swoje szanse w jakimkolwiek zwarciu.

Jednakże w tej chwili Juliet także nie wyglądała zdrowo. Ona też wdychała srebro i nie służyło jej ani trochę lepiej niż Zuckerowi. Oczywiście, w odróżnieniu od Zuckera, nie miała w sobie żadnego metalu w bardziej poręcznej postaci pocisków kaliber czterdzieści pięć z wydrążonym czubkiem, toteż wciąż trzymała się na nogach. Ale, idąc, kołysała się nie do końca z własnej woli, a pomiędzy lekko rozchylonymi wargami ujrzałem zaciśnięte zęby. Podeszła do mnie, przyglądając się skrepowanej Pen z kliniczną ciekawością.

- To jakieś nowe hobby? - spytała.

- Zrób coś dla mnie, dobrze? - wychrypiałem, jak moja mama rano w czasach, gdy paliła trzydzieści fajek dziennie. - Czy w środku został jeszcze ktoś żywy?

Juliet obejrzała się na drzwi kościoła, z których wciąż wypływał dym gęstymi, nierównymi kłębami niczym krew z rany.

- Ci w kapłańskich szatach nie żyją - oznajmiła. - Wilkołak także. Większość tych - skinieniem głowy wskazała ludzi Gwillama - najwyraźniej przeżyła. Kto to?

- Siostry miłosierdzia - odparłem słabo. - No, w każdym razie jedna z organizacji kościelnych.

Juliet obnażyła zęby. Nie kocha religii ani trochę bardziej niż ja.

Usłyszałem tupot na kamieniach i uniosłem głowę, by ujrzeć Gwillama, zmierzającego ku nam w towarzystwie dwóch mężczyzn uzbrojonych w karabiny

maszynowe. Wykonał gest, niemal przypominający błogosławieństwo, ale nie, to był rozkaz dla jego ludzi, by się rozproszyli - w razie, gdyby musieli do nas strzelać, obejmowali swym zasięgiem możliwie największy łuk. Posłuchali bez słowa. Lufy ich splotów skierowały się ku mnie i Juliet. Patrzyła na nie obojętnie. Muszę przyznać, że osobiście czułem się zbyt odsłonięty.

Sam Gwillam minął nas i zatrzymał się w miejscu, gdzie na kamieniach leżał Zucker. Przykucnął obok ciała, małego, żalosego i pozbawionego wszelkiej godności, jak wszyscy po śmierci, i położył mu dłoń na czole. Jego wargi poruszały się bezszelestnie. Nie próbowałem z nich czytać. Potem wstał i obrócił się ku mnie.

- Nie jesteś człowiekiem, prawda? - spytał Gwillam i uświadomiłem sobie, że przemawia do Juliet.

- Nie. - Pokręciła głową. - A ty?

Czoło Gwillama się zmarszczyło.

- Podaj mi swoje imię i rodowód - warknął. - *In nominibus angelorum qui habent postatem in aere atque...* - Urwał, bo Juliet zaśmiała się zmysłowo, sugestywnie.

Albo dochodziła do siebie po zatruciu srebrem szybciej niż podejrzewałem, albo znakomicie grała. Ale też zawsze to potrafiła.

- Byłam stara, kiedy twoja religia była jeszcze młoda, o, człowieku - wymamrotała gardłowo. - Nie lękam się twojego boga i nie przybiegam do nogi jak suka, kiedy mnie wołasz, nieważne, czy znasz moje imię.

- W takim razie rozkażę swym ludziom strzelać - rzucił.

- A ja przejdę przez kule i pożrę ich serca wyrwane z piersi - odparła. - Ciebie jednak zabiję tak, jak moi pobratymcy. Jestem bowiem sukubem i mazzikim. Sprawię, że mnie pokochasz i stracisz duszę.

Twarz Gwillama pobladła i pojąłem, że groźba do niego przemówiła. Zastanowiło mnie jednak, że Juliet mu grozi, zamiast po prostu to zrobić. Zazwyczaj subtelność nie jest jej najmocniejszą stroną. Zacząłem się obawiać, że wchłonięte srebro i czas, który spędziła w niewoli u Asmodeusza, osłabiły ją bardziej niż przypuszczałem.

Powoli, z wysiłkiem, Gwillam skupił swą uwagę na mnie.

- Zabiłeś dziewczynkę? - spytał ostro. - Przegnałeś jej duszę? Czy to dlatego rytuał się nie powiódł?

- Ty mi powiedz - podsunąłem.

Jego oczy się zwęziły. Patrzył, jak wyławiam wisiorek spod pachy Pen.

- Nie. Ona wciąż tu jest.

- Jeśli sięgnie po Biblię - powiedziałem do Juliet, nie patrząc na nią - zechciej, proszę, rozszarpać mu gardło.

Wstałem powoli.

- Jeśli zdołam udowodnić, że Abbie Torrington nie stanowi już zagrożenia, pójdiesz sobie? - spytałem Gwillama.

- Jeżeli potrafisz tego dowieść, owszem - odparł bez wahania. - Masz moje słowo, Castor. Nie zniszczyłbym niewinnej duszy bez bardzo ważnych przyczyn.

Skinąłem głową. To mi wystarczyło.

- Asmodeusz ma już ludzkiego gospodarza.

- Wiem o tym - powiedział Gwillam. - Oceniliśmy sytuację dwa lata temu i uznaliśmy, że lepiej nic nie robić. Zabicie Rafaela Ditko mogłoby jedynie wyzwolić Asmodeusza i pozwolić mu działać na naszej płaszczyźnie.

- Poza tym zabicie go nie byłoby takie łatwe - przypomniałem brutalnie, nieco zirytowany jego wyniosłym tonem. - Asmodeusz jest z nim związany ciałem i duchem, więc zabicie Rafiego to nie łatwizna.

Gwillam potwierdził niecierpliwym gestem.

- Obciąłem kosmyk jego włosów - oznajmiłem z lekkim wahaniem, bo nie miałem ochoty mówić tego głośno, ukazywać innym ludziom tego, co zrobiłem po kryjomu, Rafiemu. - Okręciłem go wokół palca. A potem, gdy Franke wygłosił inwokację, kiedy zaprosił Asmodeusza, by posilił się ofiarą wewnątrz kręgu, dotarłem tam pierwszy. To spłonęły włosy Rafiego, nie Abbie. To dusza Rafiego została poświęcona i ofiarowana. I to duszę Rafiego ukąsił Asmodeusz przybywający na posiłek.

Gwillam patrzył na mnie w martwej ciszy, czekając na ciąg dalszy. Juliet także mi się przyglądała z nieprzeniknioną miną.

- Asmodeusz nigdy do końca nie opuścił Rafiego. Jego część uwięzła, tu, pośród kamieni, czekając na wyzwolenie w chwili ofiarowania duszy Abbie: druga połowa nadal pozostawała tam, gdzie przez ostatnie dwa lata - wbita niczym szrapnel w ciało i duszę Rafiego Ditko.

Twarz Gwillama zdradzała głęboki szok.

- A zatem demon...?

- Zaczął pożerać sam siebie. To coś jak paskudna wersja podniesienia samego siebie za sznurówki. Gdyby Asmodeusz pożarł duszę Rafiego zamiast Abbie, rytuał mający go uwolnić jednocześnie by go unicestwił. Nie miał wyboru, musiał się wycofać, nawet jeśli tym samym przerwał rytuał i zniweczył wszystko, co zdołał osiągnąć Fanke. To dlatego wszystko się posypało. I dlatego Abbie nie ma już znaczenia - przynajmniej jako broń w waszej pieprzonej świętej wojnie. Asmodeusz zerwał więź i umknął z powrotem do więzienia, z którego od początku próbował uciec.

- Do Rafaela Ditko.

- Do Rafiego Ditko - zgodziłem się.

Do mojego przyjaciela, którego zdradziłem po raz drugi. Co gorsza, dostrzegłem, że Pen ma otwarte oczy i słyszy każde słowo. Knebel tkwiący w ustach nie pozwolił jej skomentować, lecz spojrzenie było aż nadto wymowne.

Gwillam przyglądał mi się z uznaniem.

- Muszę ci pogratulować, Castor - rzekł uroczystym tonem. - Jesteś dość bezwzględny, by móc służyć w szeregach Anathemata, jeśli kiedyś odnajdziesz światło. Ale - zawahał się, masując grzbiet nosa, jakby musiał możliwie najbardziej taktownie poruszyć dość śliski temat - czemu to wszystko miałyby zmienić moje zdanie co do duszy Abbie Torrington? Poświęcono ją Asmodeuszowi. Co mogłoby powstrzymać innego adepta, równie bezlitosnego i pozbawionego ludzkich uczuć, jak Fanke, przed dokończeniem tego, co tamten zaczął?

Pytanie to kompletnie mnie zaskoczyło. Zacząłem pospiesznie improwizować.

- Nikt inny o niej nie wie - oznajmiłem. - Zabiłeś właśnie całą ekipę Fankego, a Zucker załatwił jego samego.

- To prawda. Ale co napisał na swoich forach? Komu się zwierzał? Co uczynią jego... parafianie z Kościoła satanistycznego, gdy dowiedzą się o tej kłęsce? Nie, bardzo sprytnie rozwiązałeś problem bieżący, lecz na dłuższą metę zagrożenie zostaje. Dusza dziewczynki to wciąż detonator, szukający jedynie bomby. Oddaj cesarzowi to co cesarskie. Oddaj Bogu to co boskie.

Otworzyłem usta, by kazać Gwillamowi zabrać te bzdury w miejsce, gdzie król piechotą chodzi, ale on jeszcze nie skończył.

- Jehoszua! - zagrzmiał niemal śpiewnym tonem. - Jehoszua. Władco wszystkich ludzi i wszystkich ludzi bracie! Chwałę ciebie i żyję w twych oczach! Naczynia różnią się między sobą. Cóż z nią uczynimy wedle prawa? A kiedy nastał dzień, on odszedł. Do domu Szymona.

Zareagowałem zbyt wolno. Nie zgadłem, co robi Gwillam, dopóki nie zerknąłem z ukosa na Juliet i nie uświadomiłem sobie nagle, że w jej bezruchu kryje się napięcie. Stała sztywno wyprostowana, absolutnie nieruchomo, choć mięśnie jej szyi napięły się jak postronki.

- To było zakłęcie, które ją krępowało - oznajmił Gwillam. - Czy mam wymówić następne, które ją zniszczy?

Odruchowo postąpiłem krok ku niemu. Lufy karabinów skupiły się na mnie niczym oczy węży namierzających ruch. Zatrzymałem się, pojąwszy, że nie dotrę do niego żywy.

- Czy mam wymówić...

- Nie - powiedziałem. - Nie rób tego.

Nigdy bym nie uwierzył, że ktoś potrafi tak szybko namierzyć Juliet. Lecz jej moc kryła się w wypełnianiu oczu, nosa i umysłu ofiary jej esencją. Kiedy ma się do czynienia z egzorcystą, to bardzo ryzykowana strategia - musisz wyeliminować go szybko, inaczej odkryjesz, że przekazałeś mu całą niezbędną amunicję.

- W takim razie oddaj mi wisiołek - rzekł Gwillam. Spojrzałem na błyskotkę w mojej dłoni, ale się nie poruszyłem. Przez trzy uderzenia serca wszyscy trwaliśmy w bezruchu.

- Castor... - wymamrotał ostrzegawczo Gwillam.

- Weźmiesz wisiołek i odejdziesz?

- Nie zabijając ciebie i tej demonicznej istoty, choć mógłbym to zrobić z łatwością? Tak. Przyjmij tę ofertę. Lepszej nie usłyszysz.

Miał rację. Rzuciłem mu wisiołek, a on złapał go jedną ręką. Oczy Juliet zwęziły się: nie mogła nawet drgnąć.

Gwillam dał sygnał swoim ludziom. Zakreślił w powietrzu kółko palcem wskazującym, co najwyraźniej oznaczało „zwijajcie namioty”. Zaczęli właśnie odmaszerowywać w równym szeregu - dwóch z nich niosło Zuckera - gdy witrażowe okna po obu stronach kościoła eksplodowały w deszczu wielobarwnych odłamków, rzygając w noc dymem i płomieniami.

Gwillam odszedł jako ostatni. Zatrzymał się na chwilę, jakby chciał załatwić coś jeszcze.

- Wspominałem, że zbadaliśmy dokładnie przypadek Ditko, tuż po tym, jak oddałeś go do kliniki Charlesa Stangera - zaczął.

- Tak. Wspominałeś.

- Może poczujesz się lepiej, co do swej roli w tym wszystkim, jeśli powiem ci, co wówczas odkryliśmy.

Nie zareagowałem niczym, co można uznać za słowa zachęty, ale Gwillam i tak podjął wątek, obserwując mnie uważnie.

- Fanke miał wówczas kochankę. Obecnie już nie żyje. W swych związkach seksualnych zawsze preferował dziewczyny młode i głupie. Najwyraźniej żywi - powinienem rzec: żywił - upodobanie do narzucania swej woli ludziom zbyt słabym i ograniczonym, żeby stawili opór. Na imię miała Jane, zwykła Jane, ale gdy dołączyła do Kościoła satanistów, przezwano ją Guinevere. Najwyraźniej przeżywała własne, romantyczne fantazje. Większość ludzi mimo jej wysiłków nadal nazywała ją Jane. Rafaelowi Ditko jednak przedstawiono ją jako Guinevere. Zazwyczaj skracał to imię do Ginny.

Wspomnienie uderzyło mnie niczym rozpędzona ciężarówka. „Czy Ginny to widziała? Gdzie ona jest? Czeka na zewnątrz?”.

- Chryste Panie! - jęknąłem.

Gwillam kiwnął głową, widząc, że skojarzyłem fakty.

- Kiedy tamtej nocy Ditko wywołał Asmodeusza, stanowiło to posunięcie w grze, którą Fanke rozgrywał przeciw Bogu. Abbie Torrington była kolejnym ruchem. Może pierwotnie przeznaczono ją na ofiarę na zupełnie innym ołtarzu, innemu diabłu. Lecz Ditko poniósł klęskę, a ty... zrobiłeś to, co zrobiłeś. Oczywiście wybrał swą własną drogę, ale twoje wybory zostały dokonane dawno temu. Jesteś jednym z żołnierzy niebios. Nieważne, czy w to wierzysz, czy nie. Jesteś gałęzią, którą On wyjmuję z ognia, by porazić swych wrogów. Może kiedy uczyni to z tobą, pozostanie z ciebie wciąż jeszcze coś, co da się zbawić.

- Idź się wypierdol! - warknąłem. Muszę przyznać, że tej ripocie brakowało lekkości. Szczerze mówiąc, brakowało jej wszystkiego.

Gwillam odwrócił się na pięcie i odszedł. Jego kroki dźwięczały na kamiennych płytach, dopóki nie zagłuszyło ich zawodzenie syren. Wyglądało na to, że detektyw sierżant Basquiat sprawdziła w końcu wiadomości.

Nie miałem wprawdzie fletu, ale też nie potrzebowałem go do tego, co chciałem zrobić. Powoli, z wahaniem zagwizdałem kilka taktów dla Juliet: serię dźwięków przecinających więzy nałożone przez Gwillama. Po chwili obróciła się ku mnie, patrząc uważnie, przenikliwie.

- Zgłębianie prawdy odłożmy na później - powiedziałem. - I proszę, bez nieprzystojnych skojarzeń. Na twoim miejscu znikalbym stąd, i to szybko.

Juliet zerknęła na pierwszy radiowóz, który wyłonił się właśnie zza zakrętu i pędził wprost ku nam. A potem, w blasku jego reflektorów, odwróciła się ku mnie i skinęła głową, jakby mówiła, że z całą pewnością zechce wysłuchać wielu odpowiedzi.

Kiedy radiowozy zatrzymały się na kamiennych płytach po obu stronach, byłem sam.

23

Na strzeżonym oddziale u Whittingtona miałem przynajmniej do dyspozycji gazetę - a także telefon na wózku, tyle drobnych, ile zdołałbym zebrać z podłogi, i kabaret wilkołaków. W areszcie na glinowie przy Uxbridge Road zostały mi tylko ciuchy, minus pasek i marynarka.

Napisy na ścianie były barwne i bardzo urozmaicone, lecz i one z czasem straciły swój urok. Kopanie w drzwi nie zwróciło niczyjej uwagi, prócz gościa w sąsiedniej celi, który zaklął niewyraźnie. W przerwach między przekleństwami bełkotał i mamrotał najróżniejszymi głosami. Nawet karaluchy, zrodzone na swobodzie i dumne, odmówiły startu w wyścigach. Po jakichś trzech godzinach zrozumiałem, dlaczego zabrali mi pasek: gdybym wciąż go miał, na pewno bym się powiesił. Z drugiej strony, gdyby na pryczy leżała jakakolwiek pościel, chociaż bym się przespał.

Basquiat zjawiała się nad ranem. Fields jak zwykle dreptał za nią, przytrzymując płaszcz i podsuwając teksty. Dyżurny strażnik otworzył przed nią drzwi i podetknął listę do podpisu, po czym ustawił na podłodze magnetofon i wyszedł, pozdrawiając ją pełnym szacunku skinieniem głowy.

Basquiat zostawiła magnetofon w spokoju, gestem pokazała, żebym usiadł na pryczy, sama przysiadła na skraju stołu, pozostawiając zapomnianego Fieldsa przy drzwiach.

- A zatem - zaczęła.
 - Czekałem na coś ciekawszego.
 - Płonący kościół pełen trupów w czarnych szatach. Kolejny trup, w czerwonej, leżący na zewnątrz. Oraz ty, klęczący obok kobiety skrepowanej taśmą klejącą.
 - Przyznaję, że na pierwszy rzut oka wygląda to dość podejrzanie - rzekłem.
- Basquiat uśmiechnęła się zimno.

- Owszem, odrobinę. Potem jednak zaczęliśmy przyglądać się szczegółom. Gość w czerwieni został zidentyfikowany jako Anton Fanke. Wygląda na to, że znudziła mu się Belgia.

- Kiedy komuś nudzi się Belgia...

- Tylko bez cwanych tekstów, Castor. Wolę, kiedy jesteś przerażony i zdesperowany. A poza tym nie powiedziałam jeszcze najlepszego. Fanke miał przy sobie spluwę, którą moi kumple z balistyki powitali jak dawno utraconą kochankę. To z niej zabito Melanie Torrington. A przy jednym z nieboszczyków znaleźliśmy nóż z krwią Abigail Torrington na ostrzu. Mnóstwo odcisków palców, łącznie z Fankem, ale nie twoje. Zatem moje wcześniejsze oskarżenie ciebie o tamte morderstwa zaczyna się nieco chwiać. Oczywiście, trzymam cię za Peace'a: byłeś na miejscu zbrodni, a na broni, z której zginął, znaleźliśmy twoje odciski. Tyle że związana taśmą kobieta opowiedziała nam sporo ciekawych rzeczy o świętej pamięci panu Fankem. Rzeczy, w które byś nie uwierzył.

Na wzmiankę o Pen skrzywiłem się.

- Myślę, że w większość bym uwierzył - nie zgodziłem się.

- No tak, może rzeczywiście. Tak czy inaczej, wygląda na to, że szukał Peace'a jeszcze przed tobą, i to w tych samych miejscach, na przykład w klubie w Soho Square. Może zatem historyjka o tym, że wynajął cię, byś odwalił za niego robotę, nabiera nieco sensu.

Co takiego powiedział Burbon Bryant, kiedy spytałem go o Peace'a? „Wygląda na to, że nagle stał się bardzo popularny”. Czemu, do diabła, nie skojarzyłem i nie spytałem, kto jeszcze za nim węszył?

- Miał też poważniejszy motyw, bo parę lat temu starli się z Peace'em w sądzie. Okazuje się, że od tego czasu Peace ścigał go po całej Europie. Chodziło o prawa rodzicielskie i odwiedziny u dziewczynki, Abigail Jeffers. Czy to...?

- Abigail Torrington? Owszem.

- Tak też sądziłam. Inaczej mielibyśmy do czynienia z niesamowitym zbiegiem okoliczności. A zatem, Fanke zamordował Abbie. Ale Peace... Co się właściwie stało? Wciąż nie do końca rozumiem.

- Chodziło o coś więcej niż zabicie Abbie. Jej ciało i dusza miały posłużyć do przywołania do naszego świata demona Asmodeusza. Lecz Peace zaczął działać, nim Fanke dokończył rytuał - przerwał krąg i zabrał ducha Abbie. Jej duszę. Tego właśnie szukał Fanke. I to właśnie zabrał po tym, jak zabił Peace'a.

- Zatem wczorajsza impreza u Świętego Michała to było coś w rodzaju powtórki z rozrywki?

- Można tak to nazwać.

- Tak właśnie to nazwałam, Castor. Pytanie brzmi: jak ty byś to nazwał?

- No cóż, ponieważ oba zakończyły się całkowitym fiaskiem i pozostało po nich mnóstwo trupów, myślę że „powtórka z rozrywki” pasuje całkiem nieźle.

Basquiat się skrzywiła. Wyraźnie nie spodobały jej się moje ogólności.

- Tak, Fanke próbował dokończyć to, co zaczął. Zdobył medalik z włosami Abbie. Fizyczną kotwicę ducha. Zamierzał go spalić wewnątrz kolejnego magicznego kręgu. To by wystarczyło.

- Ale do tego nie doszło.

- Nie.

- Ponieważ?

Dalej nie zamierzałem się posuwać.

- Ktoś im przeszkodził - oznajmiłem beznamiętnie. - Śpiew, tańce, hulanki, swawole. Pewnie sama już dobrze wiesz. Jakiś tuzin ludzi uzbrojonych w karabiny maszynowe, parę *loup-garou* w paskudnym nastroju i niemal cała obsada Producentów z Drury Lane. Nie wiem, ile trupów naliczyliście...

- Czterdzieści dwa - wtrąciła cicho Basquiat.

- ...ale z pewnością dość, żeby nas przekonać, że nie był to występ solowy.

Basquiat wydeła policzek.

- Wciąż te przenośnie showbiznesowe. Chcesz zostać gwiazdą?

- Marzyć zawsze wolno.

Zaczynałem odnosić wrażenie, że detektyw sierżant zrewidowała swoją opinię co do mnie. Z takich czy innych powodów, najwyraźniej uznała - podobnie jak Gwillam, choć on z zupełnie innych przyczyn - że gram po stronie aniołów.

Ale nadal miała do wykonania robotę.

Wstała ze stołu, na którym przysiadła, i skinęła głową na Fieldsa. Ten napiął mięśnie w sposób, który przez moment wyglądał naprawdę groźnie, ale tylko podniósł z podłogi magnetofon i postawił na środku stołu.

- Czterdzieści dwa ciała. - W głosie Basquiat zabrzmiał przeproszający ton. - Muszę to załatwić zgodnie z przepisami. Jeśli nie zrobisz czegoś głupiego, na przykład się nie przyznasz, do jutra powinieneś stąd wyjść.

Fields nacisnął przycisk nagrywania, więc w odpowiedzi jedynie skinąłem głową.

- Detektyw sierżant Basquiat i detektyw konstabl Fields - zaintonował Fields. - Przesłuchanie Feliksa Castora, piątek, dwunastego maja, szósta trzydzieści dwie rano.

I zaczęli przesłuchanie, które trwało niemal godzinę, w sumie jednak było całkiem sympatyczne. Parę razy omal nie przysnąłem. Jedyny niebezpieczny moment nastąpił, gdy zainteresowali się, jak opuściłem strzeżony oddział u Whittingtona. W tym starciu dwóch gliniarzy odniosło poważne obrażenia. Był też strażnik, którego powalił Po; na szczęście Zucker interweniował, zanim ten incydent wyrwał się spod kontroli. (W tym momencie w mojej głowie pojawiło się wspomnienie Po z głową satanisty między szczękami, i raz jeszcze podziękowałem Bogu, w którego nie wierzę). Dołączmy do tego mnóstwo zniszczeń i solidnie przerażonych ludzi. Lecz komandoski atak Gwillama i jego drużyny na Świętego Michała sprawił, że Basquiat kupiła moją historyjkę o porwaniu, a nie ratunku, i o nic mnie nie oskarżyła.

Kiedy przeprowadzili mnie już przez ostatni tydzień mego życia, a ja ujawniłem im wszystko, co zamierzałem, Fields wyłączył magnetofon i wyjął kasetę, którą podpisał i schował do kieszeni. Basquiat podeszła do drzwi i zastukała w nie głośno. Gdy w zamku szczęknął klucz i drzwi się otworzyły, obróciła się ku mnie.

- Przynieść ci coś? - spytała.

- Mój flet, jeśli jeszcze go macie - odparłem. - Powinien być w rzeczach, które mi zabraliście przy pierwszym aresztowaniu.

Skrzywiła się i wzruszyła ramionami.

- Po wszystkim, co się tam działo, nie sądzę, by ktokolwiek go odebrał. Pewnie wciąż tam jest, wraz z twoimi ciuchami i resztą, ale Bóg jeden wie gdzie. Nie mam czasu go teraz szukać. I nie mam też nikogo, kogo mogłabym posłać.

- Nie szkodzi - odparłem. - Poradzę sobie bez. Dzięki za wszystko, pani detektyw.

- Łącznie ze skopaniem ci tyłka podczas pierwszego spotkania? Bardzo proszę, Castor.

- Miłego dnia.

Basquiat wyszła. Fields dreptał za nią niczym potężny frachtowiec za holownikiem. Słuchałem ich kroków, oddalających się korytarzem, a potem hurgotu przesuwanych drzwi aresztu.

Kiedy się upewniłem, że nie wrócą, schyliłem się i wsunąłem dłoń do skarpetki. Łatwo było znaleźć mały kosmyk włosów, bo noga swędziała jak diabli, odkąd go tam wetknąłem. Działo to się jeszcze w kościele, mniej więcej wtedy, kiedy wokół zaczęły świstać kule: rzuciłem się między ławki, podczas gdy sataniści i święci rycerze Gwillama weszli w zwarcie, i uznałem, że to dobry moment na rozstanie Abbie z wisiorkiem. Już pusty, wisiorek był przydatny mniej więcej tak jak zegarek na łańcuszku dla hipnotyzera: coś ładnego, błyszczącego, na co mogą gapić się frajerzy, podczas gdy my robimy co trzeba.

A kiedy Gwillam wszedł do akcji, okazało się, że miałem rację. Na szczęście nie sprawdził towaru przed odejściem, zapewne z powodu zbliżających się syren.

Jak już mówiłem, łatwiej przychodzi mi sztuczki, kiedy mam w dłoniach flet. Ale flet to tylko pośrednik. Muzyka pochodzi z mego wnętrza i w razie potrzeby mogę tworzyć ją sam. Zwłaszcza jeśli, tak jak teraz, mam do czynienia z duchem, którego znam całkiem nieźle.

Siedząc na brzeżku pryczy, zagwizdałem melodię, która dla mnie stała się tożsama z Abbie. Zacząłem cicho, pozwalając, by dźwięk narastał, stopniowo, lecz niepowstrzymanie. Facet z sąsiedniej celi zaprotestował głośno, znajdował się jednak poza zamkniętą pętlą rzeczywistości, która łączyła mnie z melodią, toteż cokolwiek mówił, dla moich uszu brzmiało to niczym abstrakcyjny szum, który wkrótce rozmył się w serii niepowiązanych fragmentów.

Abbie zmaterializowała się przede mną około pół metra nad ziemią, tak powoli, że na początku wyglądała niczym załamanie światła - jak jeden z owych przedmiotów, które można dostrzec tylko pod pewnym kątem, gdy światło pada tak, a nie inaczej. Nie zdziwiło mnie to: po wszystkim, co przeszła w życiu, a potem po śmierci, rozumiałem, że nie chce dać się znowu zaciągnąć do naszego świata. Gdy mnie ujrzała, jej niechęć jeszcze wzrosła: zaczęła walczyć z moim wezwaniem, raz po raz rozpływając się niemal bez śladu, lecz za każdym razem powracając nieco wyraźniej, barwniej, widoczniej, w miarę jak moje wyczucie jej osoby wzmacniało się i oplatałem węzły wezwania wokół jej duszy.

- Puść mnie! - krzyknęła cienkim głosikiem, który dobiegał z bardzo daleka. - Puść mnie!

W końcu przestałem gwizdać i przez chwilę milczałem, chwytając powietrze. To była ciężka praca, cięższa niż jakakolwiek melodia, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się zagrać, prócz jednej, a w tym momencie woląłem nie myśleć o Rafim.

- To właśnie zamierzam zrobić, Abbie - zapewniłem ją. - Ale najpierw chcę ci opowiedzieć o tym, jak umarł twój tata. O tym, co straciłaś. Żebyś zrozumiała.

Patrzyła na mnie, zaciskając wyzywająco drobne widmowe piąstki. Opowiedziałem jej o zasadzce w Oriflammie i o tym, jak Dennis Peace zginął, ratując ją przed złym ojczymem. Nie sprawiała wrażenia przekonanej. Ale też podczas naszych ostatnich dwóch spotkań stałem tuż obok Fankego w okolicznościach cuchnących pod niebiosami.

Potem opowiedziałem Abbie o kościele, i o tym, czemu wsadziłem dłoń w ogień. Pokazałem jej poparzone palce, by dowieść prawdziwości swych słów, i myślę, że w końcu mi uwierzyła. W każdym razie zapomniała o nienawiści i strachu, oplakując ojca suchymi oczami, bo duchy nie mogą płakać. Czasami potrafią naśladować łzy przelane w życiu, ale same nie dysponują wilgocią.

- Może znów zobaczysz tatę - podsunąłem jej jedyny okrucieństwo pociechy, jaki przyszedł mi na myśl. - Jeśli istnieje coś po tym życiu i po tej śmierci, założę się, że jeżeli ktokolwiek może cię tam znaleźć, to właśnie on. Jak dotąd nie pozwolił, by cokolwiek go powstrzymało.

Abbie nie odpowiedziała, obracając się lekko, jakby muśnięta wiatrem, którego nie czułem. Rozejrzała się po ciasnej celi. Nie było to pierwsze więzienie, jakie oglądała w swym krótkim życiu. Ale, przy odrobinie szczęścia, będzie ostatnie.

Znów zacząłem gwizdać, tym razem nie przywołanie i egzorcyzmy, lecz uwolnienie: gwizdałem dźwięki, które rozłączą ją z kosmykiem włosów, tak by mogła udać się, dokąd zechce, nienękana przez Fanke'ów i Gwillamów tego cuchnącego padolu.

Lecz Abbie nie odeszła. Zapewne nie miała dokąd pójść: nie miała miejsca, gdzie mogła czuć się bezpieczna i chciana. Jedyny człowiek, jaki kiedykolwiek ją kochał i próbował pocieszyć, nie żył. Mogła wrócić do Oriflammy i zaczekać tam na niego. Ale nie każdy powstaje, a kiedy to robi, nie zawsze wiadomo, gdzie się zjawi. Był to bardzo niepewny strzał. Teraz pozostały jej tylko niepewne strzały.

Zastanowiłem się nad różnymi wyjściami. Kiedy nie żyjemy, nie możemy liczyć na szczęśliwe zakończenie; mogłem jedynie ograniczyć szkody, nic więcej.

- Żegnaj, Abbie - powiedziałem, wstając i obracając się ku wschodowi. Nie w stronę Mekki, lecz czegoś zupełnie innego, po drugiej stronie miasta. - Żegnaj i powodzenia. Mam nadzieję, że ci się uda.

Znów zagwizdałem melodię, której nie grałem od jakiegoś czasu: „Henry'ego Martina”. Po rękach przebiegło mi elektryczne mrowienie, od ramion aż po koniuszki palców.

Klinika Charlesa Stangera leżała kilka kilometrów dalej, ale duchów - kiedy w ogóle się przemieszczają - nie ogranicza prędkość światła. Niemniej jednak zdążyłem odegrać piosenkę dwa razy i byłem w połowie trzeciego, nim poczułem zbliżającą się obecność, nadciągającą z kierunku niemającego nic wspólnego z północą, południem, wschodem czy zachodem. Nie obejrzałem się. W jakiś osobliwy sposób czułem, że martwe dziewczynki mogą nie polubić Abbie, jeśli zobaczą, jak z nią rozmawiam - zupełnie jakby kontakt mógłby skazić ją życiem i odizolować od reszty.

Moje uszy wychwyciły cichy szept, w którym nie dosłyszałem żadnych słów. Potem zapadła cisza. Przedłużała się. Uczucie bliskości zaczęło zanikać, pozostawiając wyostrzoną świadomość tego, jak zimny jest kamień pod moimi stopami w skarpetkach i jak bardzo śmierdzi powietrze.

Kiedy ostatnie echa melodii zniknęły z mojego umysłu, odwróciłem się.

Byłem sam. Bardziej zmęczony niż kiedykolwiek wcześniej.

24

Basquiat dotrzymała słowa. Zarzuty oddalono i wczesnym sobotnim popołudniem wypuszczono mnie na ulicę. Ubranie, które zostawiłem u Whittingtona, nie odnalazło się, toteż musiałem zostać w kretyńskim stroju odebranych Sallisowi. Do tej pory śmierdział jeszcze mocniej niż wówczas, kiedy go odziedziczyłem. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, była wycieczka do Walthamstow. Woląłem sprawdzić, co u Nicky'ego, bo niekoniecznie uwierzyłem gładkim zapewnieniom Fankego, że wyznawcy jego kultu zostawili mojego ulubionego nieboszczyka w jednym kawałku. Lecz Nicky wyglądał doskonale, a nawet lekko się nadymał, choć kino poza wewnętrznym sanctum w kabinie operatorskiej zostało fachowo, dogłębnie zrujnowane.

- Widzisz, Castor - powiedział - ubezpieczyłem tu wszystko na wszelkie możliwe sposoby i złożyłem już wnioski, oczywiście poprzez pośredników. Nie mogę się przecież ujawnić. Tak czy inaczej, odbuduję wszystko, i to dziesięć razy lepsze. Pieprzyć klimatyzację. Zamówiłem już chłodnię w niemieckiej fabryce, która wyposaża szpitalne kostnice. Wkrótce nie poznasz tego miejsca.

Przyjrzałem się zewnętrznym drzwiom kabiny operatorskiej. Drzewo strzaskano toporami bądź łomami, lecz dało to tylko tyle, że pod spodem ukazał się metal.

- To musiało być niezłe oblężenie - zauważyłem.

Nicky wzruszył ramionami. Część jego dobrego humoru wyparowała.

- O, tak. Kurewsko się bałem. Musiałem patrzeć, podczas gdy oni niszczyli wszystko. Potem zauważyli kamery i je rozwalili, i nawet to mi nie pozostało. To było... sam nie wiem... jakbym miał świerzb i patrzył, jak małe owady pełzają mi pod pieprzoną skórą. - Zmarszczył brwi. - Hej, przykro mi z powodu twojej przyjaciółki. Wiesz to chyba, prawda? Gdybym mógł coś zrobić, zrobiłbym. Na miłość boską, przynieśli ze sobą pierdzielone palniki. Kiedy już mnie tu zamknęli, nic nie mogło ich

powstrzymać. Gdy ją zabrali, próbowałem znów zadzwonić, ale do tego czasu przyciągnęli zagłuszcacz i słyszałem tylko szum.

Zawahał się, jakby za późno uświadomił sobie, że tę część powinien załatwić wcześniej.

- To co, nic jej się nie stało?

- Juliet?

- Ajulutsikael. Nie antropomorfizuj jej. To cię kiedyś wpędzi w kłopoty, wierz mi.

- Czy użycie żeńskiego zaimka już jej nie antropomorfizuje?

Nicky się skrzywił.

- Każdy, kto potrafi wywołać wzdół u umarlaka, zasługuje na żeński zaimek, Castor. Uznaj to za tytuł honorowy.

- Nic jej nie jest, Nicky. Dzięki, że spytałeś. Do tej pory z pewnością doszła już do siebie.

- A moja zapłata? No wiesz, pięć pytań? - Spojrzał na mnie z nadzieją.

Wzruszyłem ramionami.

- Mogę ją zapytać, nic więcej. Umowa zakładała, że ją ochronisz, Nicky. Może uznać, że ją złamałeś.

- Złamałem? - Najężył się. - Hej, mnie tu najechano, Castor. Dotrzymałem swojej części umowy, i to po wielokroć.

Zostawiłem go nad katalogiem, z którego wybierał pokrętła termostatów. W dzisiejszych czasach produkują całkiem niezłe modele.

U Pen, ku memu kompletnemu brakowi zdumienia, zastałem swoje dobra doczesne wyrzucone na podjazd. Sprawdziłem klucz. Nie pasował do zamka. Szybka robota, zważywszy na okoliczności.

Nacisnąłem dzwonek i w drzwiach stanęła siostra Pen, Antoinette. Splotła ręce w pozie no pasaran. Wychodzi jej to całkiem niezłe, choć jest wyższa od Pen zaledwie o dwa centymetry. Ma też podobną cerę i włosy. Ale zajęła się polityką, kandydowała na radcę miejskiego; trzy razy przegrała i nabawiła się permanentnej ponurej miny bez cienia uśmiechu.

- Cześć, Tony. Mogę z nią pogadać?

- Gdyby chciała z tobą gadać, Castor, nie zmieniłaby zamków.
- Czemu jej nie spytasz?
- Bo nie chcę jej uspokajać po kolejnym ataku hysterii. Może wyślesz mejla?
- Nie mam komputera.
- To użyj heliografii.

Zerknąłem na zachmurzone niebo. Antoinette także.

- Wygląda na to, że masz przejebane - stwierdziła, zatrzasnąwszy drzwi.

U Stangera Rafi spał po końskiej dawce środków uspokajających, po tym, jak zaczął tłuc głową w drzwi celi, zostawiając na nich pół twarzy. Oczywiście wyzdrowieje. Asmodeusz powrócił na swe miejsce i był żywo zainteresowany tym, by jego dom poza domem pozostawał w dobrym stanie.

Biorąc jednak pod uwagę okoliczności, drugie przesłuchanie, mające ustalić, czy Rafiego można zwolnić, zostało odroczone sine die.

- To oznacza „prosimy sprawdzać” - przetłumaczył usłużnie doktor Webb. - Masz jeszcze dwadzieścia jeden dni, Castor. Jeśli w tym czasie nie znajdziesz jakiegoś miejsca, zwrócę się do profesor Mulbridge z intencją przekazania Ditko pod opiekę KOM w Paddington.

- Lepiej uważaj - poradziłem.

Webb, nie rozumiawszy, odwrócił się gwałtownie. Staliśmy w głównym korytarzu Stangera, tuż przed celą Rafiego. Korytarz był pusty. Webb znów spojrzał na mnie lekko poirytowany, jakbym zrobił mu głupi dowcip.

- Chodziło mi o to, żebyś uważał, jeśli rzucisz Rafiego na pożarcie Jennie-Jane. Bo jeżeli to zrobisz, z całą pewnością połamię ci obie ręce i obie nogi.

Webb niemal z niedowierzaniem zerknął na dwóch pielęgniarzy, podążających tuż za nim - jego własny, tragiczny chór.

- Mam świadków, którzy słyszeli, jak mi grozisz.

- Z pewnością ich zeznania okażą się bezcenne - zgodziłem się. - Ale i tak stracisz władzę w nogach i rękach.

Może nie było to zbyt taktowne z mojej strony, ale ów dzień był pod wieloma względami długi i dość stresujący. A wciąż pozostawało pytanie, gdzie właściwie zanocuję.

Spotkaliśmy się z Juliet wieczorem w kawiarence przed knajpką w pobliżu schroniska, w którym mieszka. Spóźniła się bez słowa przeprosin i wyjaśniła, że jedna z mieszkanek miała problem ze skorym do rękoczynów mężem. Facet zjawił się nagle jak grom z jasnego nieba i próbował zabrać ze sobą żonę.

- Musiałam się włączyć i pomóc.

- Chcesz powiedzieć, że go zjadłaś?

- Na oczach wszystkich? Oczywiście, że nie. Nadal muszę tam mieszkać, Feliksie.

Jednym łykiem opróżniła filiżankę espresso i wytarła dłonią usta.

- Pokazałam innym kobietom, jak to zrobić.

- Jak co...?

- Narzucić swą wolę mężczyźnie.

- Ach. - Moje domysły zacząłem od tego, na czym Juliet zna się najlepiej. - Z wykorzystaniem kobiecego sprytu?

- Głównie z wykorzystaniem butów. Myślę też, że w pewnym momencie dołączyła pusta butelka.

- Jasne, jasne. - Przemoc, oczywiście. Druga rzecz, w której Juliet jest najlepsza.

Wiedziałem, że coś ją trapi, coś, czego nie potrafiła wyrazić. Spróbowałem jej to ułatwić.

- Dzięki, że ściągnęłaś ze mnie tego wilkołaka - powiedziałem. - Kiedy ktoś wrywa mi kręgosłup przez gardło, to zawsze psuje mi resztę dnia.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła szczerze Juliet. - Ja... - Zawahała się, szukając gładkich, uprzejmych słówek, dla niej kompletnie pozbawionych znaczenia. - Tobie też powinnam podziękować. Myśl, że oddałam się bezbronna... że bez reszty dałam się opętać mocy Asmodeusza... trudno to znieść. Ale ty mnie chroniłeś, dopóki tylko mogłeś. I sprowadziłeś z powrotem.

- Błyskotliwa improwizacja - odparłem szczerze. - Uwzględnij mnie w swoich memuarach. I w swojej woli.

- I w mojej pochwie?

Duży łyk kawy latte wyleciał mi nie tą dziurką w najlepszym komediowym hollywoodzkim stylu. Nie chcąc wzmocnić jeszcze banału, kaszląc i plując, poczerwieniałem cały, czekając, aż parząca ciecz spłynie do żołądka.

- Czy po wszystkim nadal będę mieć duszę? - spytałem chrapliwe, kiedy atak ustał.

Juliet przybrała zamyśloną minę.

- Najpewniej tak - oznajmiła powoli. - W sumie to zależy od tego, w jakim stopniu zdołam nad sobą zapanować. W najlepszym razie zostaną na niej ślady ugryzienia.

Czymże jest życie bez podejmowania ryzyka. Już otworzyłem usta, by się zgodzić, ale Juliet mówiła dalej.

- To jednak będzie musiało trochę poczekać. Dziś zamierzam spróbować czegoś nowego.

- Czegoś nowego? - powtórzyłem, dokładając wszelkich starań, by niechęć i frustracja nie odbiły się w moim głosie. - Skończyłaś już siedemnaście tysięcy lat, Juliet. Czy w ogóle istnieje jeszcze coś nowego?

Uśmiechnęła się szeroko.

- Przez większość tego czasu - przypomniała - odwiedzałam Ziemię jedynie na żądanie ludzi dość potężnych bądź dość głupich, by mnie przywołać. Używali mnie albo do zaspokajania własnych żądz - w takich przypadkach ginęli niezależnie od środków ochronnych, które próbowali stosować - bądź do niszczenia wrogów - i wówczas ginęli inni. Jeśli jednak pragnęli zniszczyć kobietę, wzywali moich kuzynów - inkuby. Przez cały ten czas nigdy nie posłano mnie przeciw kobiecie. Żadna mnie też nie wywołała.

Nagle zrozumiałem, do czego zmierza.

- Cóż, w większości to te same hormony, tylko w nieco innym stężeniu - odparłem lekko.

Znudzony ton głosu wymagał jednak ogromnego wysiłku: przyjemny dreszcz rozchodził mi się po ciele, zrodzony w żołądku, nabrał rozpędu w kroczu i nadal zmierzał w dół.

- Dla mnie - odparła Juliet - to coś innego. A przynajmniej myślę, że może być inne. Cieszyć się żądzą, czystą żądzą, bez odruchu nakazującego polować, zabijać i jeść...

- Skąd wiesz, że impuls się nie zjawi? - Zaczęłam oglądać paznokcie, jakby niezmiernie mnie martwił zebrany pod nimi brud.

- Nie wiem. Ale chyba chciałabym spróbować.

- No to próbuj - rzekłem z desperacją. - Ale czy to musi być akurat dziś...?

- Cóż to za piękne miejsce - rzekł ktoś za moimi plecami. Gdy obróciłem się, przygryzając język, Susan Book wzięła krzesło od jednego z sąsiednich stolików i usiadła między mną i Juliet.

- Okropnie miło tak jeść na ulicy. To takie kontynentalne. Czy jest coś, co zachwyca pana bardziej, panie Castor?

Odparłem nieszczerze, że niczego nie lubię tak bardzo, jak jedzenia na ulicy. Nie dodałem, że pewnie będę też tu nocował.

Susan znów wyglądała, jak kiedyś: nieśmiała, ustępliwa, przepraszająca za życie i całą kupę rzeczy niebędących jej winą. Opowiedziała o postępach sprawy i o tym, jak adwokat stwierdził, że powołując się na tymczasowy obłęd, mógłby znacząco złagodzić wymiar kary. W końcu doszło do zamieszek. Większość uczestniczących w nich ludzi to praworzadni obywatele bez żadnej przeszłości.

- Bez żadnej przeszłości - powtórzyła rozmarzonym tonem. - I kiedy to powiedział: o mnie, nagle uświadomiłam sobie, że ma rację. W ogóle nie miałam przeszłości. Ani trochę, bo zawsze brakowało mi odwagi, by wyjść i coś zrobić.

- A twoje wierzenia religijne? - spytałem.

Wiem, jak to brzmi. Musicie po prostu uwierzyć mi na słowo, że w tym kontekście nie była to kąśliwa uwaga.

- Nadal wierzę w Boga - zapewniła szczerze. - Ale... chyba jednak nie mam powołania do służby Kościołowi. Zamierzam wrócić do dawnej pracy i spróbować trochę pożyć.

- A czym się wcześniej zajmowałaś?

- Byłam bibliotekarką w Stepney.

Zazwyczaj nie dotknąłbym takiej przynęty, nawet za darmowy weekend w Las Vegas. Lecz ten wieczór z całą pewnością nie należał do zwyczajnych.

- Tak - zgodziłem się. - To na pewno się...

- Powinnyśmy już iść - wtrąciła Juliet.

Wstała. Susan zrobiła to samo, uśmiechając się do niej promiennie.

- Do zobaczenia, Feliksie - rzuciła Juliet.

- Jasne.

- Dobranoc, panie Castor.

Tym razem jedynie skinąłem głową. Moja nie będzie nawet w połowie tak dobra, jak twoja, pomyślałem ponuro.

Odeszły, trzymając się za ręce. Odprowadziłem je wzrokiem. Wszędzie wokół nich mężczyźni wpadali na siebie i prawie pod samochody, odwracając głowy.

Mówią, że jeśli w tym życiu cierpimy, w następnym powracamy jako coś lepszego. W takim razie ja powrócę jako bóg.

25

Widziałem ją raz jeszcze parę miesięcy później. Oczywiście nie Juliet, tylko Abbie.

Wraciałem późno do domu po nocy rui i poróbstwa w Farrington - chyba właśnie wtedy Paul dotarł do Jerusalem i upomniał się o dług, ale może mi się miesza. Tak czy inaczej, wędrowałem Old Street o pierwszej nad ranem uchlany w trupa i mniej więcej pogodzony ze światem.

Nagle z witryny przede mną wyprysnęła czwórka małych rozbrykanych, rozchichotanych duchów i na mój widok zamarła. Same dziewczynki, od dziesięciu do jakichś szesnastu lat. Teraz próbowały opanować twarze, tak jak żywe dziewczynki, stające nagle naprzeciw surowego nauczyciela bądź groźnego dyrektora szkoły, i podobnie jak żywym dziewczynkom nie do końca im to się udało. Jedna z nich znów rozśmieszyła pozostałe i umknęły, chichocząc, niczym ptaki przez Golden Lane, w wąską alejkę między budynkami. Trzy z nich rozplynęły się nagle w obłoku szybko gasnących drobinek światła.

Abbie pozostała nieco dłużej, jakby toczyła ze sobą krótką walkę. Miałem nadzieję, że się obejrzy, bym mógł jej pomachać, ale ona chyba jednak nie chciała zostać z tyłu. Przyspieszyła kroku i zniknęła w ciemności.

Nie każdy dostaje to, na co zasługuje. Rafi zasługuje na to, by wyrwać z niego złego bliźniaka i odesłać do piekła z fajerwerkiem w tyłku. Pen zasługuje na Rafiego. Ojciec Gwillam zasługuje na męczeńską śmierć. Ktoś w górze czy może w dole rozdaje nam losy, nie dając nawet szansy sprawdzenia tasowania ani przełożenia tali. To niesprawiedliwe. Ale też nikt nie twierdził, że życie jest sprawiedliwe.

Wyszeptalem ich imiona jak zaklęcie.

Abbie Jeffers

Fanke

Torrington

Peace.